

ELIZABETH GASKELL

PÓŁNOC I POŁUDNIE

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA KATARZYNA KWIATKOWSKA

I

PRZEDŚLUBNA KRZĄTANINA

Żaloty, małżeństwo i tak dalej.

Fragment pieśni Joanny Baillie

Edith – powiedziała łagodnie Margaret. – Edith. Tak jak przypuszczała, Edith zasnęła. Zwinięta w kłębek, leżała na sofie w tylnym salonie na Harley Street i wyglądała uroczo w białym muślinie i błękitnych wstążkach. Gdyby Tytanii zdarzyło się kiedykolwiek przystroić w biały muślin i błękitne wstążki oraz zasnąć na krytej purpurowym adamaszkiem sofie, Edith z powodzeniem można by wziąć za tę boginkę. Jej uroda na nowo uderzyła Margaret. Dorastały razem i wszyscy poza nią dostrzegali piękno Edith. Margaret

natomiast zaczęła o tym myśleć dopiero kilka dni temu, gdy perspektywa zbliżającej się rozłąki przydała mocy wszystkim zaletom i urokowi kuzynki. Rozmawiały o tylu różnych sprawach: o ślubnej sukni i o samej ceremonii, o kapitanie Lennoxie i o tym, co opowiedział Edith o jej przyszłym życiu na Korfu, gdzie stacjonował jego regiment. Potem omówiły kłopoty z utrzymaniem odpowiednio nastrojonego pianina i wydawało się, że ta kwestia jest dla dziewczyny jedną z najważniejszych w jej przyszłym małżeńskim życiu, a na koniec zajęły się sprawą sukien, które przyszła pani Lennox zamierzała zabrać ze sobą w podróż poślubną do Szkocji. Z każdą chwilą przyciszony głos Edith stawał się coraz bardziej senny, aż wreszcie, po kilkuminutowej ciszy, Margaret upewniła się, że pomimo gwaru w sąsiednim pokoju jej kuzynka, zwinięta w miękki kłębek muślinu, wstążek i jedwabistych loków, zapadła w spokojną popołudniową drzemkę.

Margaret zamierzała właśnie podzielić się z nią planami związanymi z życiem na cichej wiejskiej plebanii, gdzie mieszkali jej rodzice. Tam spędzała cudowne wakacje i święta, choć przez ostatnie dziesięć lat prze-

bywała na stałe w domu swej ciotki Shaw. Z braku słuchacza musiała teraz, tak jak dotychczas, rozmyślać w ciszy nad zbliżającymi się w jej życiu zmianami. Myśli te były jednak radosne, jakkolwiek zabarwione żalem z powodu rozstania z łagodną ciotką i ukochaną kuzynką na bliżej nieokreślony czas. Gdy rozkoszowała się wyobrażaniem sobie uprzywilejowanej pozycji jędnaczki, jaką zajmie na plebanii w Helstone, do jej uszu docierały urywki rozmowy prowadzonej w przyległym pokoju. Ciotka gawędziła z pięcioma lub sześcioma damami, które zaprosiła na obiad; ich mężowie nadal gościli w jadalni. Wszyscy byli sąsiadami nazywanymi przez panią Shaw przyjaciółmi, ponieważ jadała z nimi częściej niż z innymi ludźmi, a ich wzajemna zażyłość pozwalała na składanie sobie wizyt również przed lunchem. Damy te i ich mężowie zostali zaproszeni na pożegnalny obiad z okazji zbliżającego się ślubu Edith. Sama narzeczona dość niechętnie przyjęła ten pomysł, ponieważ na ten dzień zapowiedział swój przyjazd wieczornym pociągiem kapitan Lennox. Była rozpieszczoną panienką, ale jednocześnie zbyt niedbałą i leniwą, by wykazać wolę i chęć działania, łatwo zatem ustąpiła

matce, zwłaszcza gdy dowiedziała się, że zamówiono sezonowe specjały, uważane za skuteczne remedium na melancholię pożegnalnych obiadów. Podczas posiłku rozpierała się w krześle, przesuwając jedzenie po całym talerzu z uroczystą i jakby nieobecną miną. Pozostali zebrani świetnie się bawili żartami pana Greya, dżentelmena zajmującego drugi koniec stołu podczas przyjęć u pani Shaw, a po posiłku uprosili Edith, aby uprzyjemniła im czas muzyką. Jeśli chodzi o pana Greya, był tak dowcipny przy stole, że panowie pozostali tam dłużej niż zazwyczaj, co okazało się nader sprzyjającą okolicznością dla pań, przynajmniej sądząc z fragmentów ich rozmowy dosłyszanych przez Margaret.

– Sama zbyt wiele przez to wycierpiałam. Nie chodzi o to, że nie byłam niebiańsko szczęśliwa z biednym generałem, ale tak czy owak duża różnica wieku to istotna przeszkoda w małżeństwie. Już dawno zatem postanowiłam, że oszczędzę mojej Edith takich przeżyć. Oczywiście, bez cienia matczynej zarozumiałości przewidywałam, że moje drogie dziecię wcześniej wyjdzie za mąż. W rzeczy samej po wielokroć powtarzałam, że nastąpi to, zanim córka skończy dziewiętnaście

lat. Naprawdę miałam prorocze przeczucia, kiedy kapitan Lennox... – Tu głos ciotki zamienił się w szept, ale Margaret z łatwością potrafiła dopowiedzieć końcówkę tego zdania.

Rozkwit wielkiej miłości nastąpił w wypadku Edith bez żadnych przeszkód. Pani Shaw poddała się sile przeczuć, jak to sama określiła, i naciskała na zawarcie małżeństwa, choć przez wielu znajomych uważane było ono za niegodne pozycji młodej i ślicznej dziedziczki. Kobieta jednak powtarzała, że jej jedyne dziecko wyjdzie za mąż z miłości, i zawsze po tym stwierdzeniu znacząco wzdychała, jak gdyby ona sama nie wyszła za generała, kierując się uczuciem. W ogóle wydawało się, że matka delektuje się tym narzeczeństwem bardziej niż córka. Oczywiście, Edith była zakochana bez reszty i tak jak należy, ale z pewnością wolałaby ładny dom w Belgravii od owego malowniczego życia na Korfu, które przyobiegał jej kapitan Lennox. To, co ekscytowało Margaret, u jej kuzynki powodowało wzdrygnięcia i marszczenie nosa, częściowo udawane dla przyjemności, którą znajdowała w usilnych zabiegach swego czulego narzeczonego, by zachęcić ją

do wyjazdu, a częściowo wynikające z prawdziwej niechęci do cygańskiego, wędrownego trybu życia. Gdyby pojawił się ktoś z pięknym domem, imponującą posiadłością i ważnym tytułem na dodatek, Edith mimo to trwałaby przy kapitanie, dopóki odczuwałaby pokusę zerwania. Niewykluczone natomiast, że potem czyniłaby mu wyrzuty, iż nie jest skończoną doskonałością. Dowiodłaby tą postawą, że jest nieodrodną córką swej matki, która z wyrachowania poślubiła generała Shawa, nie żywiąc dla niego żadnych cieplejszych uczuć poza szacunkiem dla jego charakteru i majątku, a potem stale, choć trzeba przyznać: w ukryciu, użalała się nad swym ciężkim losem kobiety związanej z niekochanym człowiekiem.

– Nie oszczędzałam ani trochę na jej wyprawie – to były następne słowa, które usłyszała Margaret. – Otrzyma wszystkie te piękne indyjskie szale i chusty, które dostałam od generała, a których już nie noszę.

– Szczęśliwa z niej dziewczyna – odpowiedział głos, jak zorientowała się Margaret, należący do pani Gibson, która żywiła szczególne zainteresowanie tematem rozmowy, ponieważ kilka tygodni wcześniej wy-

dała za mąż jedną z córek. – Helena upierała się przy indyjskim szalu, ale musiałam jej odmówić, gdy usłyszałam tę oszałamiającą kwotę, jaką sobie za niego życzyle. Pewnie będzie zazdrościła Edith tych cudowności. A co to w ogóle za styl? Delhi? Z tą śliczną małą bordiurą?

Margaret ponownie usłyszała głos ciotki, ale tym razem brzmiał tak, jakby uniosła się lekko ze swej półleżącej pozycji i wychyliła w stronę słabiej oświetlonego saloniku.

– Edith! Edith! – wołała, ale potem chyba osunęła się z powrotem na oparcie, jakby znużona tym wysiłkiem. Margaret postąpiła krok do przodu.

– Edith usnęła, ciociu. Może ja mogłabym pomóc?

Na tę przygnębiającą wiadomość o narzeczonej damy jednogłośnie stwierdziły:

– Biedne dziecko.

Miniaturowy kanapowiec, którego pani Shaw trzymała w ramionach, zaczął szczeakać, jakby w odruchu współczucia.

– Cicho, Tiny! Ty niegrzeczna dziewczynko! Obudzisz swoją panią. Chciałam tylko, aby Edith poprosiła

Newton o przyniesienie na dół tych szali. A może ty zechciałabyś po nie pójść, droga Margaret?

Dziewczyna weszła na najwyższe piętro domu do starego pokoju dziecięcego, gdzie Newton zajmowała się dzierganiem koronek potrzebnych do ślubu. Niania poszła po szale, zrzedząc pod nosem, bo musiała je rozpakowywać po raz czwarty lub piąty tego dnia. W tym czasie Margaret rozglądała się po pomieszczeniu, pierwszym, z którym się zaprzyjaźniła, gdy dziewięć lat temu przybyła tu jako nieokiełznana półdzikuska, by od tej chwili dzielić dom, zabawy i naukę ze swą kuzynką Edith. Do dziś miała przed oczyma przyciemniony pokój, którym zarządzała surowa i uroczy-
sta niania, szczególnie wrażliwa na punkcie czystych rąk i podartych sukienek. Margaret pamiętała też ten pierwszy podwieczorek, gdy oddzielono ją od ojca i ciotki, którzy jedli obiad gdzieś tam, na samym dole niekończących się schodów; uważała wtedy, że skoro ona przebywa na wysokości nieba, oni muszą się znajdować we wnętrzu ziemi. W domu rodzinnym, przed przybyciem na Harley Street, jej pokojem dziecięcym była gotownia matki, a ponieważ na plebanii życie za-

czynano się toczyć wcześniej niż w mieście, dziewczynka jadła posiłki razem z rodzicami. Dzisiaj ta wysoka, dorodna osiemnastolatka doskonale pamiętała pierwszą noc i łzy żalu wylewane z dziką pasją przez dziewięciolatkę ukrytą pod kołdrą. Potem jednak niania kazała jej się uspokoić, aby płacz nie obudził panienki Edith. Płakała dalej tak samo gorzko, ale już zdecydowanie ciszej, dopóki nie przyszła jej nowo poznana, śliczna i imponująca ciotka, która miękko wspięła się po schodach, aby pokazać panu Hale'owi jego słodko śpiącą córeczkę. Wtedy mała Margaret stłumiła łkania i starała się leżeć tak cicho, jakby spała, aby nie unieszczęśliwić ojca swą żalnością, której nie ośmieliła się okazywać także przed ciotką. Uważała w ogóle, że ten jej smutek to coś złego, zwłaszcza po tylu nadziejach, planach, przygotowaniach i staraniach, aby dostosować jej garderobę do nowych, lepszych warunków, w jakich miała się znaleźć, i po oczekiwaniu na moment, gdy papa będzie mógł choć na kilka dni oddalić się z parafii i odwiedzić ją do Londynu.

Teraz kochała ten stary pokój, choć jego urządzenie zostało zdemontowane, i na myśl, że już za trzy dni go

opuści, rozglądała się dookoła z uczuciem żalu, zupełnie jak domowy kot, którego ktoś wypędza z ulubionego miejsca.

– Ach Newton! – westchnęła. – Myślę, że wszystkim nam będzie przykro opuszczać ten stary, kochany pokój!

– Właściwie, panienko, jeśli o mnie chodzi, to ja nie będę żałować. Moje oczy nie są już takie jak dawniej, a tu takie marne światło, że koronki to mogę naprawiać tylko przy oknie, a znowu tam jest taki okropny przeciąg, że można się przeziębic na śmierć.

– Cóż, przypuszczam, że w Neapolu znajdziesz wystarczająco dużo i światła, i ciepła. Musisz po prostu odłożyć większość cerowania do czasu, gdy tam dotrze cie. Dziękuję, Newton, zabiorę je na dół, jesteś przecież zajęta.

I Margaret zeszła do salonu obładowana szalami, rozsiewając wokół ich korzenny zapach Orientu.

Ciotka poprosiła ją, aby wystąpiła w roli manekina do zaprezentowania przyniesionych skarbów, ponieważ Edith nadal spała. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że wysoka, doskonale ukształtowana figura modelki, ubranej

w czarną jedwabną suknię na znak żałoby po jednym z krewnych ojca, wspaniale podkreślała piękno długich oszałamiających szali, w których Edith z pewnością by utonęła. Margaret, cicha i bierna, stała bezpośrednio pod kandelabrem, podczas gdy ciotka upinała na niej tkaniny. Tylko od czasu do czasu podczas obracania się widziała swe odbicie w lustrze wiszącym nad kominem i uśmiechała się na widok własnej, dobrze znanej postaci, teraz występującej w szatach księżniczki. Delikatnie dotykała owiniętych wokół siebie zwojów, delektując się ich miękkością i zachwycając cudownymi kolorami, i z cichym, zadowolonym uśmiechem przyjmowała to przystrajanie w owe wspaniałości, zupełnie jak dziecko cieszące się z zabawy w przebieranie. W tej właśnie chwili drzwi się otworzyły i oznajmiono przybycie pana Henry'ego Lennox, brata narzeczonego Edith. Niektóre panie lekko się cofnęły, jakby zawstydzone swym kobiecym zainteresowaniem strojami, natomiast pani Shaw wyciągnęła do nowo przybyłego dłoń. Margaret pozostała nieruchoma, przypuszczając, że może być jeszcze potrzebna do prezentowania szali, ale z rozjaśnioną rozbawieniem twarzą spoglądała na

mężczyznę, pewna chyba, że on również dostrzeże niedorzeczność sytuacji, w której ją zastał.

Pan Henry Lennox nie zdołał przybyć na obiad i teraz pani Shaw była pochłonięta wypytywaniem go o jego brata, a swego przyszłego zięcia, o siostrę, druhnę przybyłą specjalnie na uroczystość ze Szkocji razem z kapitanem, i o innych członków rodziny Lennoxów. Widząc to, Margaret uznała, że nie będzie już potrzebna przy szalach, i zajęła się zabawianiem pozostałych gości, o których jej ciotka chwilowo zapomniała. Prawie natychmiast z tylnego salonu wyłoniła się Edith, mrużąc oczy od silniejszego światła i odrzucając do tyłu lekko potargane loki. Przypominała Śpiącą Królową właśnie wyrwaną ze snu. Nawet drzemiąc, wyczuwała instynktownie, że pan Lennox jest kimś, dla kogo warto się podnieść, i teraz zadawała mu dziesiątki pytań o drogą Janet, przyszłą, a nieznaną jeszcze szwagierkę, dla której deklarowała taki afekt, że gdyby nie duma, Margaret bez wątplenia odczuwałaby zazdrość o tę rywalkę, tak nagle i niespodziewanie pojawiającą się na horyzoncie. Po przyłączeniu się ciotki do ogólnej rozmowy dziewczyna wycofała się z kręgu

gości i wtedy dostrzegła, że Henry Lennox patrzy na wolne miejsce koło niej. Doskonale wiedziała, że gdy tylko Edith uwolni go od lawiny pytań, on zajmie to wypatrzone krzesło. Nie była całkiem pewna, czy zobaczy go tego wieczoru, ponieważ ciotka dosyć zawiśle relacjonowała jego plany; w gruncie rzeczy przybycie pana Henry'ego było raczej niespodzianką. Teraz Margaret poczuła pewność, że to będzie udany wieczór, bo oboje mieli prawie te same upodobania. Jej twarz zajaśniała szczerością i otwartością. Po chwili podszedł, a ona przywitała go uśmiechem, bez cienia nieśmiałości czy zażenowania.

– Przypuszczam, że byliście pogrążone w interesach, to znaczy damskich interesach. Całkowicie to odmienne od moich zajęć, tych prawdziwych, prawnych interesów. Zabawa szalami różni się trochę od sporządzania umów i zapisów notarialnych.

– Byłam pewna, że rozbawi to pana, gdy zastanie nas podziwiający kobiece fatałaszkę, ale przyzna pan, że indyjskie szale są szczytem doskonałości.

– Nie wątpię. Ich cena jest także doskonała. Niczego jej doprawdy nie brakuje. – Tymczasem wchodzili ko-

lejno inni dżentelmeni i dźwięki rozmów stały się niższe w tonie. – To ostatni obiad, jaki wydajecie, prawda? Ostatni przed czwartkiem?

– Zgadza się. Myślę, że po tym wieczorze nareszcie zaznamy odpoczynku, nieznanego w tym domu od wielu tygodni. Chodzi mi o ten rodzaj spokoju, kiedy nie ma już wreszcie nic więcej do zrobienia ani ustalenia w sprawie, która całkowicie zajmowała głowy i serca. W końcu będę miała czas, aby spokojnie pomyśleć. To samo można chyba powiedzieć o Edith.

– Jeśli o nią chodzi, to nie byłbym tego taki pewien, natomiast mogę to sobie wyobrazić odnośnie do pani. Kiedykolwiek panią ostatnio widziałem, gnał panią prawdziwy wir wydarzeń, i to zawsze stworzony przez innych.

– Tak – przyznała smutno Margaret, wspominając niekończące się zamieszanie wokół każdej błahostki, które rozpętywano w ciągu ostatniego miesiąca. – Zastanawiam się, czy małżeństwo naprawdę musi być poprzedzone tym, co pan nazwał wirem wydarzeń lub raczej trąbą powietrzną? Czy nie mógłby to być czas spokoju i wyciszenia?

– Rozumiem, że to dobra wróżka zamówiłaby wyprawę, przygotowała wesele i wypisała zaproszenia? – zauważył, śmiejąc się, pan Lennox.

– Ale czy ta cała mitręga jest naprawdę potrzebna? – spytała, patrząc mu prosto w oczy w oczekiwaniu odpowiedzi.

Uczucie nieopisanego znużenia wszystkimi przygotowaniem, mającymi na celu wywołanie jak najlepszego wrażenia, jakimi przez ostatnie sześć tygodni zajmowała się Edith jako najwyższy autorytet, dopadło w tej chwili Margaret. Potrzebowała teraz kogoś, z kim mogłaby omówić kilka swoich cichych przemyśleń na temat małżeństwa.

– Ależ oczywiście – odpowiedział, nagle poważniejąc. – Są formy i procedury, przez które trzeba przebrnąć, i to nie tyle dla własnej satysfakcji, ile po to, aby zamknąć usta bliźnim, bo bez owego zamknięcia spotkałoby nas potem w życiu niewiele przyjemności. A jak pani zorganizowałaby ślub?

– Och, nie myślałam o tym zbyt wiele. Wiem tylko, że chciałabym, aby to był piękny letni poranek. I chciałabym iść do kościoła w cieniu drzew. I żeby nie

było tylu druhen. I najlepiej, by w ogóle nie było uczt weselnej. Obawiam się, że moje rozwiązanie polegałoby przede wszystkim na wykluczeniu tych elementów, które ostatnio sprawiały mi tyle kłopotów.

– Nie, myślę, że to nie jest kwestia zmęczenia tym, co pani obecnie przeżywa. Idea pełnej prostoty całkowicie zgadza się z pani charakterem.

Margaret nie bardzo spodobało się to stwierdzenie. Skrzywiła się. Pamiętała poprzednie sytuacje, kiedy pan Lennox próbował skierować rozmowę na cechy jej charakteru i sposób postępowania, przy czym wyrażane przez niego opinie były nieco nadmiernie pochlebne. Ucięła ten temat, mówiąc:

– To naturalne, że myślę raczej o spacerze do kościoła w Helstone, a nie o karecie jadącej wybrukowaną ulicą na ślub w Londynie.

– Proszę mi opowiedzieć o Helstone. Nic przecież nie wiem o pani domu. Chciałbym mieć jakieś wyobrażenie o miejscu, gdzie będzie pani mieszkać, kiedy Harley Street 96 stanie się ciemne, brudne, nudne i zamknięte na cztery spusty. Przede wszystkim proszę mi powiedzieć, czy Helstone to wioska, czy miasto.

– To raczej tylko osada. Nawet nie zasługuje na miano wioski. Jest kościół, a wokół niego wśród zieleni stoi kilka domów, choć właściwie powinnam je nazwać chatkami, porośniętych pnącymi różami.

– Które kwitną przez okrągły rok, zwłaszcza na Boże Narodzenie. Tak powinna pani uzupełnić ten obrazek – odrzekł.

– Nie – zaprzeczyła lekko rozdrażniona Margaret. – Nie maluję obrazka. Staram się po prostu opisać Helstone takim, jakie jest. Nie powinien pan kpić.

– Jestem pełen skruchy – odpowiedział. – Tylko że to naprawdę zabrzmiało jak opis wioski z bajki, a nie rzeczywistości.

– Bo taka właśnie jest – zapewniła żarliwie. – Wszystkie inne miejsca, które widziałam, wydają się w porównaniu z okolicami New Forest surowe i prozaiczne. Helstone przypomina miejsce z poematu, i to z poematu Tennysona. Ale na tym koniec, nie będę dalej próbowała go opisywać. Śmiałyby się pan, gdybym powiedziała, co naprawdę myślę o Helstone.

– Wcale nie. Ale widzę, że już pani podjęła decyzję. W takim razie proszę mi opowiedzieć o plebanii, bo jej również jestem ciekaw.

– Przecież nie byłabym w stanie jej opisać. To mój dom. Nie mogłabym ująć jego czaru w słowach.

– Poddaję się. Bardzo pani dzisiaj surowa, Margaret.

– Jak to? – spytała, kierując na niego swe łagodne, wielkie oczy, w tej chwili aż okrągłe ze zdumienia. – Nie przyszłoby mi to do głowy.

– Cóż, z powodu mojej jednej niefortunnej uwagi nie chce mi pani nic opowiedzieć ani o Helstone, ani o samej plebanii, choć powiedziałem przecież, jak bardzo mi zależy, aby coś o nich usłyszeć, zwłaszcza o pani domu.

– Ale ja naprawdę nie potrafię nic powiedzieć o własnym domu. Myślę w ogóle, że nie można o tym rozmawiać z kimś, kto tam nie był.

– W takim razie – tu zatrzymał się na moment – proszę mi powiedzieć, co pani tam robi. Tutaj do południa pani czyta, bierze lekcje lub w inny sposób doskonali swój umysł. Przed lunchem jest spacer, a potem przejażdżka z ciotką. Wieczorem zwykle gdzieś pani wychodzi. A teraz proszę w taki sam sposób wypełnić swój dzień w Helstone. Jeździ pani konno, powozem czy raczej spaceruje?

– Wyłącznie spaceruję. Nie mamy konia, nawet dla papy, który chodzi pieszo także w najodleglejsze zakątki parafii. Spacery są takie cudowne, że poruszanie się powozem byłoby stratą. Nawet jazda konno nie byłaby równie przyjemna.

– Zajmie się pani ogrodnictwem? To, jak przypuszczam, byłoby stosownym zajęciem dla młodej damy na wsi?

– Nie wiem. Obawiam się, że nie lubiłabym takiej ciężkiej pracy.

– Spotkania łucznicze? Pikniki? Bale po wyścigach? Po polowaniach?

– Ależ skąd! – Roześmiała się. – Ojciec ma naprawdę bardzo niewielkie dochody, a nawet gdyby nas było stać na takie atrakcje, wątpię, bym brała w nich udział.

– Widzę, że nic mi pani nie powie. Tylko mi pani powtarza, że nie będzie robiła tej czy tamtej rzeczy. Myślę, że zanim skończy się przerwa w pracy sądu, złożę pani wizytę i zobaczę, czym się pani zajmuje.

– Mam nadzieję, że naprawdę pan przyjedzie. Wtedy na własne oczy zobaczy pan, jak piękne jest Helstone. Ale teraz muszę już pana opuścić. Edith zasiada do gry,

a tylko ja znam się na tyle na muzyce, aby przewracać jej kartki z nutami. Poza tym ciotka nie będzie zadowolona, że tak długo rozmawiamy.

Edith grała wyśmienicie. W połowie utworu drzwi się uchyliły i dziewczyna ujrzała w nich kapitana Lennox, wahającego się, czy powinien wejść. Porzuciła muzykę i pospiesznie wybiegła z pokoju, pozostawiając zmieszanej i zarumienionej Margaret wyjaśnienie zdumionym gościom, czyjeż to pojawienie się spowodowało tak nagłą ucieczkę kuzynki. Kapitan Lennox dotarł wcześniej, niż się go spodziewano. A może już było tak późno? Goście spojrzeli zaskoczeni na zegarki i zaczęli się żegnać.

Edith wróciła jednak i promieniejąc z radości, z mieszaniną nieśmiałości i dumy, wprowadziła do salonu swego wysokiego przystojnego kapitana. Bracia wymienili uściski dłoni, a pani Shaw powitała narzeczonego córki w swój zwykły uprzejmy sposób, w którym zawsze pobrzmiwały tony skargi, wynikające z długoletniego trwania w przekonaniu, że była ofiarą nieodpowiedniego małżeństwa. Teraz, kiedy generał przeniósł się do wieczności, jej życie wypełniały co

prawda tylko przyjemności, ujemne strony właściwie nie istniały, ale dama z zakłopotaniem próbowała znaleźć sobie powód do zmartwienia lub chociażby obawy. Na szczęście już dawno temu postanowiła, że przedmiotem niepokoju będzie jej własne zdrowie, i na samą myśl o nim zaczynała nerwowo pokasywać. Dobrze się stało, że jeden z owych uprzedzająco grzecznych lekarzy zaordynował jej dokładnie to, czego sobie życzyła – zimę we Włoszech. Chociaż pani Shaw, podobnie jak większość ludzi, miała pragnienia, to jednak nie lubiła robić czegokolwiek otwarcie, dlatego niechętnie wyrażała swą wolę lub podawała przyjemność jako motyw postępowania. Woląła czuć się zmuszona do działania zgodnego z nakazem lub pragnieniem innych osób. I naprawdę potrafiła sobie wmówić, że poddaje się twardym zewnętrznym naciskom lub konieczności. W ten oto sposób, skarżąc się i narzekając, robiła cały czas dokładnie to, co sama chciała.

Teraz też zaczęła przedstawiać w tym świetle swą zamierzoną podróż kapitanowi, który, jak nakazywał obowiązek, przytakiwał każdemu słowu przyszłej teściowej, poszukując jednocześnie wzrokiem Edith.

Narzeczona zajęta była właśnie nakrywaniem stolika do herbaty i dysponowaniem przysmaków dla kapitana, mimo iż zapewnił ją, że jadł obiad niecałe dwie godziny wcześniej.

Pan Henry Lennox stał niedaleko swego przystojnego brata i, oparty o kominek, bawił się rozgrywającą się przed nim rodzinną sceną. Jako jedyny w tej rodzinie złożonej z atrakcyjnych ludzi wyglądał przeciętnie, za to jego twarz była inteligentna i żywa. Chwilami Margaret zastanawiała się, o czym myślał, gdy tak stał w milczeniu i z zainteresowaniem zabarwionym ironią obserwował poczynania jej i Edith. Rozmowa pani Shaw z jego bratem wywołała sarkazm, natomiast wrażenia wzrokowe nie prowokowały takiego odczucia, gdyż Henry uważał, że dwie kuzynki zajęte przy stoliku z zastawą do herbaty stanowią śliczny obrazek. Edith zdecydowała, że sama się wszystkim zajmie – była akurat w odpowiednim nastroju, aby pokazać swemu lubemu, jak wspaniale sprawdzi się w roli żony żołnierza. Stwierdziła, że woda na herbatę jest zimna, i posłała do kuchni po wielki imbryk z wrzątkiem. Efekt był taki, że gdy odbierała go przy drzwiach i próbowała

przynieść, okazał się dla niej zbyt ciężki. Wróciła zatem do pokoju z nadąsaną miną, ciemnym śladem na muślinowej sukience i odcisniętą od uchwytu pręgą na maleńkiej, krągłej dłoni. Wszystko to zademonstrowała narzeczonemu, dokładnie tak samo jak robią dzieci w wypadku skaleczenia, i lekarstwo również zastosowano podobne. Margaret wykazała się inwencją, szybko zapalając palnik spirytusowy, choć rozwiązanie to nie do końca odpowiadało wizji cygańskiego obozowiska, które Edith uważała czasami za najbardziej zbliżone do koszarowego życia.

Od tego wieczoru aż do ślubu wszędzie panował rozgardiasz i nieustanna krzątanina.

II

RÓŻE I CIERNIE

*W leśnej polany cieniu zielonym,
Dziecięcym wzrokiem zachwyconym,
W prześwitach liści drzewa starego
Szukałaś nieba błękitnego.*

*Felicia Hemans, „The Spells of Home”,
przeł. Joanna Puchalska*

Margaret, ubrana w swą przedpołudniową suknię, wracała spokojnie do domu z ojcem, który przyjechał, aby wziąć udział w uroczystości ślubnej. Matkę zatrzymało w domu mnóstwo półpowodów, których tak naprawdę nikt poza panem Hale'em nie rozumiał. On jeden wiedział, że wszystkie jego argu-

menty na korzyść szarej atłasowej sukni, której stan wskazywał na to, że nie była nowa, ale też nie stara, okazały się nieskuteczne. Rozumiał też, że skoro nie może zapewnić dostatecznych środków, aby jego żona ubrała się od stóp do głów w nowe stroje, będzie wolała nie pokazywać się na ślubie jedyne dziecko swej jedynej siostry. Gdyby pani Shaw odgadła prawdziwy powód nieobecności siostry, obsypałaby ją sukniami. Upłynęło już jednakże prawie dwadzieścia lat od czasu, gdy była ubogą, ale śliczną panną Beresford, i zdążyła zapomnieć o wszystkich smutkach, poza bólem niedobranego wiekowo małżeństwa, o którym potrafiła debatować przez pół godziny. Jej najdroższa siostra Maria wyszła za swego ukochanego, który nie dosyć, że był od niej tylko o osiem lat starszy, to jeszcze miał łagodne usposobienie i włosy w rzadko spotykanym czarnogranatowym odcieniu, a ponadto był jednym z najbardziej fascynujących kaznodziejów, jakich kiedykolwiek słyszała, i wcielonym ideałem proboszcza. Być może nie był to bardzo logiczny wniosek wyprowadzony z powyższych przesłanek, ale pani Shaw zawsze jednakowo podsumowywała los swej siostry: „Małżeństwo

z miłości, czegoż więcej Maria mogłaby chcieć od życia?” Gdyby spytać o to samą panią Hale i gdyby zdecydowała się powiedzieć prawdę, mogłaby wyrzucić z siebie gotową listę życzeń: srebrzysty połyskujący jedwab, biały pleciony czepek, och, tuziny rzeczy na sam ślub, a dla domu – po prostu setki.

Margaret zdawała sobie sprawę, że matka uznała swój przyjazd na uroczystość za zbyt kłopotliwy, i w gruncie rzeczy cieszyła się, że ich spotkanie nastąpi na plebanii w Helstone, a nie na Harley Street, w czasie panującego przez minione dwa lub trzy dni niezwykłego zamieszania, w którym ona sama odgrywała rolę Figara, będąc jak on niezbędną w kilkunastu miejscach jednocześnie. Na samo wspomnienie tego, co zrobiła i powiedziała w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, wciąż jeszcze odczuwała znużenie umysłu i ciała. Tyle razy wypowiedziała słowa „do widzenia”, że utonęły w nich pospieszne pożegnania z tymi, z którymi żyła tak długo pod jednym dachem. Teraz ogarnął ją żal za minionym czasem i nie miało znaczenia, jakie były te lata. Liczyło się tylko to, że przeminęły, by nigdy nie wrócić. Margaret czuła w sercu ciężar większy,

niż kiedykolwiek sobie wyobrażała, że może odczuwać w chwili powrotu do ukochanego domu. To było przecież miejsce i życie, do których wzdychała od wielu lat w momentach tęsknoty i melancholii, zanim zacierał je sen. Zmusiła się, by oderwać myśli od wspomnień przeszłości i zająć je jasną i niezmaconą perspektywą nadchodzącej przyszłości. Dostrzegła naraz nie wizje minionych zdarzeń, ale to, co faktycznie miała przed oczami: swego ojca śpiącego w przedziale kolejowym. Jego włosy nie były już granatowoczarne, lecz siwe i przerzedzone. Pod cienką skórą twarzy przezierały zarysy kości, co raziloby przy gorzej ukształtowanych rysach, w jego wypadku jednakże miało swój wdzięk, żeby nie powiedzieć: urodę. Na jego twarzy malował się wyraz wyciszenia, ale był to raczej wypoczynek kogoś znużonego, a nie wolny od trosk spokój człowieka wiodącego beztrudnie i satysfakcjonujące życie. Margaret uderzyło boleśnie to zmęczenie i niepokój ojca. Przebiegła w myślach znane sobie okoliczności życia pana Hale'a, które mogły przyczynić się do naznaczenia jego twarzy liniami świadczącymi o nieustannym strapieniu i zgryzocie.

Biedny Frederick! Mój biedny brat! – pomyślała, wzdychając. Och, gdyby tylko został duchownym, zamiast zaciągać się do marynarki! Nie stracilibyśmy go! Szkoda, że tak mało o tym wiem. Nigdy do końca nie zrozumiałam tego, co opowiadała ciotka Shaw. Wiem tylko, że przez tę okropną sprawę nie może wrócić do Anglii. Biedny drogi papa! Jak smutno wygląda. Dobrze, że wracam do domu. Będę mogła pocieszyć i jego, i mamę.

Kiedy ojciec się obudził, przywitała go jasna i promienna, bez śladu poprzedniego zmęczenia. Odpowiedział jej uśmiechem, ale tak słabym, jakby to był dla niego niecodzienny wysiłek, po czym na twarz wróciły natychmiast zmarszczki wiecznego niepokoju. Miał nawyk utrzymywania ust na wpół otwartych, przez co ciągle się wydawało, że zamierza właśnie coś powiedzieć; zwyczaj ten nadawał jego twarzy wyraz niezdecydowania i deformował kształt warg.

Jego oczy były takie jak oczy Margaret, wielkie i łagodne. Poruszał nimi powoli i niesamowicie szeroko, a powieki niemal je przysłaniały. Dziewczyna bardziej przypominała ojca niż matkę i ludzie często się zasta-

nawiali, jak to się stało, że dwoje urodziwych ludzi ma córkę, której wygląd tak odbiega od klasycznych kano-
nów piękna, a według niektórych nie ma z pięknem nic
wspólnego. Miała szerokie usta, zupełnie nieprzypomi-
nające warg w kształcie pąka róż, zdolnych wypowie-
dzieć tylko „tak”, „nie” ewentualnie „jak pan sobie ży-
czy”. Ale linia jej czerwonych warg była nieskończenie
miękka, a cera, choć nieprzejrzysta i biała, zachwycała
gładkością i delikatną barwą kości słoniowej. Chociaż
zazwyczaj na jej twarzy gościł wyraz zbyt poważny
i dostojny jak na tak młodą osobę, to teraz, patrząc na
ojca, przypominała jasny poranek. Na jej policzkach
pojawiły się dołeczki, rzuciła spojrzenia pełne dziecię-
cej radości i bezgranicznej wiary w przyszłość.

Gdy Margaret wróciła do domu, lipiec zbliżał się
ku końcowi. Drzewa w lasach przybrały nasycony,
mroczny odcień zieleni, a paprocie rosnące u ich stóp
wychwytywały ukośnie padające promienie słonecz-
ne. Powietrze było parne i niepokojąco nieruchome.
Margaret włączyła się u boku ojca, a podczas tych
wędrowek deptała paprocie z niemal okrutną radością,
czując, jak ustępują pod naporem jej pewnego kroku

i rozsiewają wokół charakterystyczny aromat. Potem wychodziła na rozległe błonia zalane ciepłym światłem i wszędzie dostrzegała wolne, dzikie stworzenia, bawiące się w blasku słońca pośród traw i kwiatów. To życie, a raczej te spacerunki pomagały jej uświadomić sobie własne oczekiwania. Była dumna z tej leśnej krainy, a wśród tutejszego ludu czuła się jak wśród swoich. Zawarła z okolicznymi mieszkańcami szczere przyjaźnie, nauczyła się ich słownictwa i czerpała przyjemność z używania go. Przebywając z nimi, miała poczucie wolności. Pielęgnowała ich dzieci, czytywała starszym ludziom, cierpliwie z nimi rozmawiała, zanosila przysmaki chorym. Wkrótce postanowiła uczyć w szkole, do której jej ojciec chodził codziennie z obowiązku, zawsze jednak któryś z przyjaciół – mężczyzna, kobieta lub dziecko – odciągnął ją od tego zamiaru, zapraszając do siebie w odwiedziny.

O ile jej życie poza domem było niemal doskonałe, domowe miało pewne wady. Z zakłopotaniem dziecka, oskarżającego się o zbytnią przenikliwość, dostrzegała, że nie wszystko przebiega tak, jak powinno. Jej matka, tak zawsze czuła i uprzejma w stosunku do niej, wyda-

wała się coraz bardziej niezadowolona z ich położenia. Uważała, że biskup, z nieznanых przyczyn nie przydzielając panu Hale'owi bardziej dochodowej parafii, dopuszcza się zaniedbania obowiązków episkopalnych. Winiła także męża, że nie potrafił sam wyrazić życzenia zmiany obecnego stanowiska na lepsze. Na takie zarzuty pan Hale wzdychał i odpowiadał, że wystarczyłoby mu, gdyby w małym Helstone zdołał zrobić to, co jest jego powinnością. Dodawał, że świat z każdym dniem staje się coraz bardziej zdumiewający, a on sam czuje się bezsilny. Margaret widziała, jak przy każdym ponawianym nacisku żony dotyczącym starań o awans ojciec coraz bardziej się kurczył. W takich momentach próbowała przekonać matkę do Helstone, ale pani Hale twierdziła, że otoczenie tyłu drzew negatywnie wpływa na jej zdrowie. Wtedy Margaret zabierała ją na wspaniałe, szerokie płaskowyzę, na zalane słońcem lub ocienione chmurami równiny w przekonaniu, że matka zbyt przywykła do życia wśród czterech ścian domu, wychodząc tylko do kościoła, szkoły i kilku najbliższych domostw. Spacerowały przynosiły dobry skutek, ale tylko latem. Gdy nadeszła jesień i pogoda stała

się zmienna, przeświadczenie pani Hale o szkodliwości warunków panujących w okolicy wyraźnie się pogłębiło. Coraz częściej też narzekała, że jej męża, który miał lepsze wykształcenie niż pan Hume i który był lepszym proboszczem niż pan Houldsworth, nie spotkały zaszczyty będące udziałem owych panów.

Margaret nie była przygotowana do życia w ciężkiej atmosferze spowodowanej trwającymi wiele godzin napadami niezadowolenia. Jeszcze w Londynie wiedziała, a wręcz cieszyła się myślą, że będzie musiała zrezygnować z wielu luksusów dostępnych na Harley Street, które z jej punktu widzenia były tylko utrudnieniem lub ograniczeniem swobody. Radość z każdej miejskiej przyjemności doskonale równoważyła, a nawet może przeważała świadoma duma, że w razie konieczności dziewczyna doskonale potrafiłaby się obyć bez tych atrakcji. Chmury jednak nigdy nie zasnuwają nam tej części nieba, gdzie się ich spodziewamy. Gdy Margaret spędzała wakacje w domu, kilkakrotnie słyszała łagodne skargi i żale matki na jakies drobne niedogodności w Helstone czy na pozycję zajmowaną przez pana Hale'a, ale w ogólnej masie szczęśliwych wspomnień nie pamiętała o mniej przyjemnych detalach.

W drugiej połowie września nadeszły jesienne słoty i burze, które zmusiły Margaret do spędzania w domu więcej czasu niż dotychczas, tym bardziej że w bezpośrednim sąsiedztwie nie mieszkała żadna rodzina o pozycji zbliżonej do statusu państwa Hale'ów.

– To bez wątpienia jedno z najbardziej zapomnianych przez Boga i ludzi miejsc w Anglii – stwierdziła pani Hale podczas trwania jednego ze swych płaczkliwych humorów. – Nie mogę odżałować, że ojciec nie ma tu kogoś, z kim mógłby przestawać. Jest taki odizolowany. Przez cały tydzień nie widuje nikogo poza farmerami i parobkami. Gdybyśmy tylko mogli zamieszkać w drugiej części parafii, to już by było znacznie lepiej. Do Stansfieldów moglibyśmy dojść niemal pieszo, a już do Gormanów z pewnością tak.

– Gormanowie? – spytała Margaret. – Czy to nie ci, którzy dorobili się na handlu w Southampton? Cieszę się, że ich nie odwiedzamy. Nie znoszę sklepikarzy. Dobrze, że trzymamy się od nich z daleka i utrzymujemy raczej kontakty z wieśniakami i robotnikami rolnymi, bo oni przynajmniej są pozbawieni pretensji.

– Nie powinnaś być taka wybredna, droga Margaret – odpowiedziała matka, która w skrytości myślała o przy-

stojnym młodym Gormanie spotkanym swego czasu u pana Hume'a.

– Ależ skąd! Mój gust można doprawdy nazwać różnorodnym. Lubię ludzi, którzy zajmują się ziemią. Lubię żołnierzy i żeglarzy. Lubię też wykonawców trzech wyuczonych profesji, jak sami się nazywają, przedstawicieli prawa, Kościoła i medycyny. I jestem pewna, że nie chciałabyś, abym podziwiała rzeźników, piekarzy i wytwórców świec. Mam rację, mam?

– Ale Gormanowie nie byli ani rzeźnikami, ani piekarzami, tylko ogólnie szanowanymi producentami powozów.

– Doskonale. Produkcja powozów to takie samo kupiectwo jak pozostałe, a przy tym, moim zdaniem, to zdecydowanie mniej ważne dla społeczeństwa niż bycie piekarzem lub rzeźnikiem. Och, jakże mnie męczyły te codzienne przejażdżki z ciotką Shaw i jak marzyłam o spacerze!

Margaret chętnie chodziła na spacer, nawet przy niesprzyjającej aurze. Była tak rozradowana, że prawie tańczyła u boku ojca. Gdy szła przez wrzosowisko, a zachodni wiatr łagodnie wiał jej w plecy, popychając

do przodu, czuła się lekka jak liść unoszony jesiennymi podmuchami wiatru. Znacznie trudniej było spędzać przyjemnie wieczory. Natychmiast po herbacie ojciec wycofywał się do swej małej biblioteki i dziewczyna zostawała sama z matką. Pani Hale nigdy nie gustowała w książkach i już na samym początku małżeństwa skutecznie zniechęciła męża do czytania jej na głos, podczas gdy ona zajęta była robótkami. Spróbowali też kiedyś gry w tryktraka, ale to również nie spotkało się z jej aprobatą. W miarę jak wzrastało zaangażowanie pana Hale'a pracą w szkole i w parafii, odkrył, że spowodowane tymi obowiązkami zakłócenia w ich przyjętym rozkładzie dnia traktowane są przez jego żonę jako poważna uciążliwość. Uważała je za nienależące do jego profesji i w wielu sytuacjach podejmowała z nimi walkę. Dlatego, gdy dzieci były jeszcze małe, pan Hale usunął się do biblioteki i, o ile był w domu, tam właśnie spędzał wieczory na lekturze swych ukochanych ksiąg o tematyce spekulatywnej i metafizycznej.

Kiedy Margaret była tu poprzednim razem, przywiozła ze sobą wielkie pudło książek zaleconych przez nauczycieli i guwernantkę. Wtedy letnie dni wydawały

jej się zbyt krótkie, by przebrnąć przez te wszystkie lektury przed powrotem do miasta. Teraz jednak miała do dyspozycji tylko kieszonkową serię angielskiej klasyki w pięknej oprawie. Tomy te eksmitowano z biblioteki ojca, aby zapełnić regał w salonie, a wśród tych książek dzieła Thomsona, Hayley'a i Middletona były zdecydowanie najłżejsze, najnowsze i najzabawniejsze. Można zatem przyjąć, że ten zbiór nie zapewniał zajęcia na zbyt długo. Margaret opowiedziała więc matce każdy szczegół swego londyńskiego życia, a pani Hale słuchała tego z zainteresowaniem. Czasami była rozbawiona, niekiedy zadawała pytania, ale najczęściej porównywała życie swej siostry, swobodne i wygodne, ze skromnymi możliwościami plebanii w Helstone. Podczas tych wypełnionych narzekaniem wieczorów córka była skłonna nagle przerywać rozmowę i wsłuchiwać się w krople deszczu, równomiernie kapiące na ołowianą ramkę wykuszowego okna. Raz czy dwa złapała się na odruchowym liczeniu tego monotonnego kapania, podczas gdy świadoma część jej umysłu zajęta była rozważaniem, czy odważy się zadać pytanie w kwestii tak bliskiej jej sercu, a mianowicie: gdzie znajduje się obec-

nie Frederick. I co robi? I kiedy ostatnio mieli od niego wiadomości? Była świadoma, że początek kłopotów ze zdrowiem matki i jej niechęci do Helstone datuje się od czasu owego buntu, w który zaangażował się Frederick. Margaret wiedziała o tym bardzo niewiele, a dodatkowo odnosiła wrażenie, że ten epizod skazany został na zapomnienie. To wszystko sprawiało, że ilekroć zbliżyła się do tego tematu, coś powstrzymywało ją od zadawania pytań. Gdy była z matką, wydawało jej się, że najwłaściwszym partnerem do takiej rozmowy byłby ojciec, jednak gdy była z nim, czuła, że to z nią rozmawiałaby swobodniej.

Prawdopodobnie i tak nie dowiedziałyby się niczego nowego. W jednym z listów, które otrzymała podczas pobytu na Harley Street, ojciec pisał, że mieli wieści od Fredericka. Ponoć nadal mieszkał w Rio, cieszył się dobrym zdrowiem i przysyłał jej ucałowania. Ale to były tylko suche fakty, a nie żywa, szczegółowa relacja, o jakiej marzyła. W tych rzadkich chwilach, gdy się go wspominało, zawsze nazywali go biednym Frederickiem. Jego pokój utrzymywany był dokładnie w takim stanie, w jakim się znajdował, gdy jego wła-

ściciel wyjeżdżał, a Dixon, pokojówka pani Hale, regularnie go odkurzała. Była to jedyna praca w gospodarstwie domowym, którą Dixon wykonywała, zawsze pamiętając dzień, kiedy lady Beresford zatrudniła ją jako osobistą pokojówkę dla podopiecznych sir Johna, ślicznych panien Beresford, piękności z Rutlandshire. Służąca niezmiennie uważała pana Hale'a za plagę, która spadła na jej młodą panią i przekreśliła jej szanse życiowe. Nie wiadomo, jak daleko mogłaby zajść panna Beresford, gdyby się tak nie spieszyła do małżeństwa z ubogim wiejskim duchownym. Ale Dixon była zbyt lojalna, by opuścić swą panią w nieszczęściu i upadku (czyli w małżeństwie). Została z panią Hale i poświęciła się jej sprawom, uważając się za dobrą i opiekuńczą wróżkę, której zadaniem jest unieszkodliwienie nienawistnego olbrzyma, pana Hale'a. Jej ulubieńcem i dumą był panicz Frederick. Dlatego, odstępując lekko od przyjętych przez siebie zasad i z pominięciem swej godności, prezencji i sposobu bycia, raz w tygodniu udawała się, by przygotować jego komnatę, jakby młody pan miał się zjawić jeszcze tego samego wieczoru.

Margaret nie mogła pozbyć się myśli, że nadeszła jakaś wiadomość o Fredericku, która nieznana była matce, ale wywołała na twarzy ojca ów wyraz niepokoju i troski. Pani Hale najwyraźniej nie odnotowała jakiegokolwiek zmiany w wyglądzie czy zachowaniu męża. Był zawsze wrażliwy i łagodny, a jego nastrój zależał od każdej informacji o losie bliźnich – w wielodniowe przygnębienie wpędzało go asystowanie przy czyjejs śmierci lub wiadomość o popełnionej zbrodni. Teraz jednak Margaret zauważyła u niego pewien rodzaj roz-targnienia, nieobecność, jakby jego myśli były zajęte sprawą, od której nie potrafił się uwolnić nawet w toku codziennych działań, takich jak pocieszanie osieroconych rodzin czy nauczanie w szkole, gdzie miał nadzieję zwalczyć zło w młodym pokoleniu. Ograniczył nawet swe wizyty u parafian i częściej zamykał się w bibliotece, niecierpliwie oczekując nadejścia listonosza.

Sygnałem, że poczta dotarła, był stukot w okiennice kuchni, i jeszcze nie tak dawno listonosz musiał powtarzać pukanie, zanim ktokolwiek uświadomił sobie, co ten dźwięk oznacza, i pofatygował się, aby odebrać listy. Teraz, jeśli ranek był pogodny, pan Hale kręcił

się w ogrodzie, natomiast w deszczowe dni wystawał w oknie swego pokoju, czekając, aż listonosz zjawi się na plebanii lub minie ją, kiwając duchownemu głową na wprost z uszanowaniem, na wprost z poufałością. Pan Hale odprowadzał go wzrokiem aż poza różany żywopłot i zimozielony krzew chruściny, a potem, z wszelkimi oznakami ciężkiego serca i zafrasowanego umysłu, wracał do swego pokoju, aby zająć się codzienną pracą.

Margaret była w wieku, kiedy obawy nieoparte na bezwzględnych faktach łatwo na pewien czas wygnać z pamięci, zwłaszcza pod wpływem jasnego słonecznego dnia lub jakichś szczęśliwych zewnętrznych okoliczności. A kiedy w październiku nastąpiło czternaście wspaniałych, pogodnych dni, jej troski rozwiały się tak lekko jak dmuchawce i myślała już tylko o cudach lasu. Sezon paproci się zakończył, a teraz, gdy minęły deszcze, zyskała dostęp do wielu ukrytych pośród drzew polan, które w lipcu i sierpniu mogła podziwiać tylko z oddali. Razem z Edith pobierały lekcje rysunku i teraz żałowała, że podczas letnich dni tyle czasu strawiła na czczym upajaniu się pięknem ostępów leśnych. Postanowiła zatem naszkicować to, co jeszcze zdoła, za-

nim w Helstone na stałe zagości zima. Pewnego ranka zajęła się przygotowaniem sztalug, gdy pokojówka Sara otworzyła szeroko drzwi do salonu i zaanonsowała:

– Pan Henry Lennox.

III

JAK SIĘ CZŁOWIEK SPIESZY...

*Przez powagę i oddanie,
A więc w sposób szlachetniejszy
Zyskasz damy zaufanie,
Wzniosłych rzeczy nie umniejszysz!
Wyprowadź z sali balowej,
Wskaż jej gwiazdy firmamentu,
Strzeż jej prawdomównym słowem
Bez fałszywych komplementów.*

*Elizabeth Browning, „Tak» pewnej damy”,
przet. Ludmiła Marjańska*

Ran Henry Lennox.

Margaret chwilę wcześniej o nim myślała,

wspominając jego pytania o jej przyszłe zajęcia domowe, i teraz przyszło dziewczynie do głowy powiedzenie: *Parler du soleil et l'on en voit les rayons**. Zgodnie z tym słoneczna jasność zagościła na jej twarzy, gdy odkładała sztalugi i szła w kierunku gościa z wyciągniętą do powitania dłonią.

– Powiadom mamę, Saro – powiedziała. – Obie mamy do pana tyle pytań o Edith. Taka jestem wdzięczna, że pan przyjechał.

– Czyż nie mówiłem pani, że to zrobię? – spytał tonem niższym niż ten, którym mówiła.

– Ale słyszałam, że przebywa pan w górach w Szkocji, więc nie sądziłam, że Hampshire pana skusi.

– Och – odpowiedział już łzej. – Nasza młoda para płatała same niemądre figle i wystawiała się na każde możliwe ryzyko. Wspinali się w górach, żeglowali po jeziorze, więc uważałem, że potrzebny jest im ktoś odpowiedzialny, kto się nimi zajmie. Całkowicie wymknęli się memu wujowi spod kontroli i utrzymywali go w panicznym strachu przez szesnaście godzin na

* W wolnym przekładzie: „Wspomnij o słońcu, a ujrzysz jego promienie” (fr.)

dobę. Nie dziwię mu się zresztą, bo wystarczyło raz ich zobaczyć, by się przekonać, że absolutnie nie można im zaufać. Uznałem więc za swój obowiązek nie opuszczać ich, aż się upewnię, że bezpiecznie zaokrętowali się w Plymouth.

– Był pan w Plymouth? Edith nic mi o tym nie wspominała. Co prawda ostatnio pisała do mnie w takim pośpiechu. Naprawdę odpłynęli we wtorek?

– Naprawdę odpłynęli i tym samym zwolnili mnie z mych obowiązków. Edith przekazała mi mnóstwo wiadomości dla pani. Chyba nawet mam tu taką małą notkę. Ach, tak, jest tutaj.

– Och, dziękuję! – wykrzyknęła Margaret i chcąc przeczytać list w samotności, przeprosiła gościa i wyszła pod pozorem sprowadzenia matki, tłumacząc, że Sara z pewnością nie zrozumiała wydanego jej polecenia.

Gdy dziewczyna wyszła, pan Lennox zaczął w charakterystyczny dla siebie badawczy sposób przyglądać się pomieszczeniu. W promieniach porannego słońca mały salon wyglądał na tyle dobrze, na ile to było możliwe. Środkowe okno w wykuszu było otwarte. Zza na-

roźnika wychylały się pęki róż i szkarłatnego kapryfolum, a niewielki trawnik porastały werbena i bodziszki we wszystkich kolorach tęczy. To bogactwo barw na zewnątrz sprawiało jednak, że kolorystyka salonu wydawała się uboga i wyblakła. Dywan nie był nowy, perkal nosił ślady częstego prania, a całe mieszkanie sprawiało wrażenie mniejszego i bardziej zużytego, niż się spodziewał, zwłaszcza jako tło i oprawa dla królewskiej Margaret. Podniósł jedną z książek leżących na stole. To był *Raj* Dantego w starej włoskiej oprawie z białego złoconego welinu. Obok dostrzegł słownik i kartkę z kilkoma słowami wynotowanymi przez Margaret – zwykła, nieciekawa lista słówek, ale z jakichś względów odczuwał przyjemność, spoglądając na nią. Po chwili z westchnieniem odłożył kartkę na stół.

Ich dochody są najwyraźniej tak małe, jak mówiła. Jakie to dziwne. Przecież Beresfordowie to dobra rodzina.

Tymczasem dziewczyna odnalazła matkę. To był jeden z niedobrych dni pani Hale, gdy wszystko wydawało się jej zbyt kłopotliwe i ciężkie do zniesienia. Tak też potraktowała nagłe pojawienie się pana Lennox,

choć w głębi duszy pochlebiało jej, że uznał przyjazd do nich za wart fatygi.

– To bardzo niefortunne. Przecież obiad będzie dzisiaj tak wcześnie, a poza zimnym mięsem nic innego nie przygotowano, gdyż służba jest zajęta prasowaniem. A oczywiście musimy go zaprosić, bo to w końcu szwagier Edith i w ogóle. W dodatku ojciec jest dzisiaj w takim kiepskim nastroju, zupełnie nie wiem, co go napadło. Byłam przed chwilą u niego i kiedy wchodziłam, siedział przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Powiedziałam mu, że z pewnością tutejsze powietrze nie służy mu ani trochę lepiej niż mnie, ale nagle uniósł głowę i błagał, abym nic więcej nie mówiła przeciw Helstone, bo on tego nie może znieść, gdyż jest ono jedynym miejscem na ziemi, które kocha. Pomimo to jestem pewna, że to powietrze jest wilgotne i szkodliwe.

Margaret poczuła, jakby gruba lodowata chmura zasłoniła przed nią słońce. Cierpliwie wysłuchiwała tych narzekań, mając nadzieję, że matce owe żale przyniosą ulgę, teraz jednak należało przyciągnąć uwagę pani Hale z powrotem do osoby gościa.

– Papa lubi pana Lennox. Świetnie się rozumieli

w czasie śniadania weselnego. Jestem pewna, że jego przyjazd poprawi mu humor. I nie martw się obiadem, mamu. Zimne mięso świetnie się nadaje na lunch, a pan Lennox tak właśnie potraktuje nasz obiad o godzinie drugiej.

– Ale co my z nim pocniemy do tej pory? Teraz jest przecież dopiero wpół do jedenastej.

– Zaproponuję mu, aby mi towarzyszył, gdy pójde szkicować. Wiem, że on też rysuje, i tym sposobem nie będziesz go miała na głowie. Tylko proszę cię, chodź ze mną teraz do niego. To by się wydawało takie dziwne, gdybyś do niego nie wyszła.

Pani Hale zdjęła swój czarny jedwabny fartuch i rozpogodziła się. Wyglądała na bardzo atrakcyjną damę, gdy witała się z panem Lennoxem z serdecznością należną komuś, z kim łączyły ją więzy powinowactwa. Wyraźnie spodziewał się zaproszenia do spędzenia u nich dnia i przyjął je z takim entuzjazmem, że pani Hale zaczęła się zastanawiać, czy nie byłaby w stanie dołożyć czegoś do zimnej wołowiny. Wszystko mu odpowiadało: zachwycił się propozycją Margaret, aby poszli razem szkicować, i za nic w świecie nie zgodził

się, aby teraz przeszkadzać panu Hale'owi, zwłaszcza wobec perspektywy spotkania się z nim przy obiedzie. Dziewczyna przyniosła swoje przybory do rysowania, aby gość mógł pośród nich znaleźć coś dla siebie, i kiedy papier oraz pędzle zostały wybrane, obydwójce wyszli z domu w najweselszych nastrojach na świecie.

– Proszę, przystańmy tu na minutę lub dwie – powiedziała Margaret. – Właśnie te domki prześladowały mnie podczas owych dwóch tygodni deszczu i wyrzucały mi, że ich nie narysowałam.

– Zanim się do końca zawałam i nic z nich nie pozostanie. Szczerze mówiąc, jeśli mamy je narysować, a są rzeczywiście bardzo malownicze, nie odkładajmy tego lepiej do przyszłego roku. Ale gdzie usiądziemy?

– Mógł pan przyjechać tu prosto z kancelarii w Temple, zamiast błąkać się przez dwa miesiące w Szkocji. Proszę spojrzeć na ten wspaniały pień – drwale pozostawili go w idealnie oświetlonym miejscu. Rozłożę na nim mój pled i będzie z tego prawdziwy leśny tron.

– Tak, a ta kałuża będzie dywanikiem dla pani stóp. Proszę poczekać, przesunę się i będzie pani mogła podejść bliżej. Kto mieszka w tych domkach?

– Zostały wybudowane na dziko jakieś pięćdziesiąt lat temu. Jeden jest niezamieszkaany. Leśnicy zamierzają je rozebrać, kiedy tylko umrze stary człowiek mieszkający w tej drugiej chatce. Biedaczyna! Ale proszę spojrzeć, oto on. Podejdę i porozmawiam z nim. Jest tak głuchy, że usłyszy pan wszystkie nasze sekrety.

Staruszek stał w słońcu tuż przed swym domkiem, z gołą głową, i opierał się na lasce. Jego sztywne rysy rozluźniły się i rozplynęły w powolnym uśmiechu, gdy tylko Margaret podeszła do niego i zaczęła z nim rozmawiać. Pan Lennox pospiesznie naszkicował te dwie postacie, a potem ukończył pejzaż, stanowiący dla nich tło; tak przynajmniej zaobserwowała panna Hale, gdy nadszedł czas, by wrócić do domu. Sprzątali po sobie wodę i skrawki papieru, a gdy nawzajem zaprezentowali sobie swe dzieła, dziewczyna śmiała się i rumieniła, natomiast pan Lennox przyglądał się jej twarzy.

– To właśnie nazywam podstępem – skomentowała. – Nie przyszło mi do głowy, że uwieczni pan Izaaka i mnie, kiedy na pana prośbę wypytywałam go o historię tych chat.

– Nie mogłem się oprzeć. Nawet pani nie wie, jaka

to była pokusa. I nie ośmielę się wyznać, jak bardzo ten szkic mi się podoba.

Nie był całkowicie pewien, czy usłyszała to ostatnie zdanie, zanim odeszła w stronę strumienia, by umyć swą paletę. Wróciła zaróżowiona, ale poza tym wyglądała na idealnie niewinną i nieświadomą. Raczej go to cieszyło, bo te słowa wymknęły mu się bez udziału woli, co było ewenementem w wypadku kogoś tak dalekowzrocznie planującego swe poczynania jak pan Henry Lennox.

Dom zaprezentował się korzystnie, gdy do niego dotarli. Chmury zniknęły z czoła matki dzięki dwóm karpom, które pojawiły się w najdogodniejszym momencie za sprawą jednego z sąsiadów. Pan Hale wrócił ze swego porannego obchodu i czekał na gościa przed furtką prowadzącą do ogrodu. Mimo wytartego płaszcza i znoszonego kapelusza wyglądał na stuprocentowego dżentelmena. Margaret była dumna z ojca. Zawsze ze świeżą i czułą radością obserwowała, jakie pozytywne wrażenie wywierał na nieznanym. A jednak, gdy szybko obrzuciła wzrokiem jego twarz, dostrzegła na niej ślady niezwyčajnego poruszenia, które wizyta pana Lennoxa tymczasowo oddaliła, ale nie usunęła.

Pan Hale wyraził chęć obejrzenia ich szkiców.

– Odnoszę wrażenie, że te odcienie strzechy są zbyt ciemne, nie uważasz? – zasugerował, zwracając córce jej pracę i wyciągając dłoń po rysunek pana Henry’ego, który przez krótki moment zawahał się, zanim podał kartkę panu Hale’owi.

– Nie, papo, myślę, że nie. Rojniki i rozchodniki bardzo pociemniały pod wpływem deszczu. Czyż nie są podobne, papo? – spytała, zaglądając mu ponad ramieniem, gdy oglądał postacie na rysunku pana Lennox’a.

– Tak, bardzo. Twoja figura i w ogóle cała postawa są wyśmienicie oddane. A w ten dokładnie sztywny sposób stary Izaak garbi swe zreumatyzmowane plecy. A cóż to zwisa z gałęzi? Bo przecież to nie ptasie gniazdo.

– Och, to tylko mój czeppek. Nie umiem rysować w czepku. Tak mi wtedy gorąco w głowę. Zastanawiam się, czy potrafiłabym narysować ludzi. Tu jest tyle osób, które chciałabym uwiecznić.

– Powiedziałbym, że z powodzeniem oddałaby pani owo podobieństwo, na którym tak pani zależy – powie-

dział pan Lennox. – Głęboko wierzę w siłę woli. Myślę, że udało mi się całkiem nieźle panią odmalować.

Pan Hale szedł w kierunku domu jako pierwszy, natomiast Margaret celowo zwlekała, bo chciała zerwać róże i przybrać nimi do obiadu swą codzienną suknię.

Panna z Londynu zrozumiałaby, co chciałem dać do zrozumienia, mówiąc to – pomyślał pan Lennox. – Doszukiwałaby się w każdym skierowanym do siebie zdaniu ukrytego komplementu. Ale nie wierzę, by Margaret...

– Proszę poczekać! – zawołał. – Proszę pozwolić sobie pomóc.

Zebrał dla niej kilka aksamitnych szkarłatnych róż, których nie była w stanie sama dosięgnąć, i podzielił zebrany bukiet – dwa kwiaty zatrzymał dla siebie i umieścił w butonierce, po czym zadowolony i szczęśliwy oddał jej resztę, aby mogła je ułożyć.

Rozmowa przy obiedzie toczyła się spokojnie i przyjemnie. Obie strony miały do siebie wiele pytań, było też sporo ostatnich wiadomości o włoskich wakacjach pani Shaw. Interesująca konwersacja, proste i wolne od wszelkiej pretensji zachowanie gospodarzy, a nade

wszystko sąsiedztwo Margaret sprawiły, że pan Lennox zapomniał o owym uczuciu zawodu, którego doznał, gdy zorientował się, że dziewczyna, opisując dochody swego ojca jako bardzo skromne, mówiła prawdę i tylko prawdę.

– Margaret, dziecko, może zebrałabyś dla nas na deser kilka gruszek? – zaproponował pan Hale, kiedy postawiono na stole oznakę gościnności w postaci świeżo zdekantowanej butelki wina.

Pani Hale poczuła się dotknięta. Gość mógł odnieść wrażenie, że deser jest rzeczą niespotykaną i przez to improwizowaną na plebanii. Tymczasem wystarczyłoby, aby mąż się odwrócił, i wtedy zobaczyłby biszkopty, konfitury i mnóstwo innych rzeczy ustawionych zgodnie z regułami sztuki na pomocniku. Ale pan Hale tak sobie wbił do głowy pomysł z gruszkami, że nie mógł od tego odstąpić.

– Na południowym murze jest jeszcze trochę ber, tych brązowych soczystych gruszek, które są war-te wszystkich egzotycznych owoców i przetworów. Biegnij, Margaret, i przynieś nam kilka.

– Proponuję, byśmy przenieśli się do ogrodu i tam

zjedli te gruszki – powiedział pan Lennox. – Nie ma nic wspanialszego niż zatopić zęby w chrupiącym, soczystym owocu, ciepłym i pachnącym od słońca. Najgorsze jest tylko to, że zuchwałe osy również roszczą sobie prawa do tych cudów natury i potrafią zatruć człowiekowi nawet największą przyjemność.

Podniósł się, jakby chciał podążyć za Margaret, która wyszła przez przeszklone drzwi, i czekał tylko na pozwolenie pani Hale. Gospodyni wołałaby co prawda dokończyć obiad jak należy, z zachowaniem całego ceremoniału, który dotychczas przebiegał tak gładko, zwłaszcza że razem z Dixon wyciągnęły z kredensu owe szklane miseczki do opłukania palców, aby mogła się zaprezentować jak przystało na siostrę wdowy po generale Shaw. Jednakże, skoro jej mąż już się podniósł, aby towarzyszyć gościowi, nie pozostało jej nic innego, jak tylko się poddać.

– Uzbroję się w nóż – stwierdził pan Hale – gdyż dni delectowania się owocami w sposób, jaki pan zachwalał, minęły dla mnie bezpowrotnie. Dopiero gdy pokroję je na ćwiartki, mogę się swobodnie nimi cieszyć.

Margaret przygotowała z liści buraków talerze do gruszek, zachwycających swą złocistobrązową barwą. Pan Lennox częściej spoglądał na nią, niż na owoce, natomiast pan Hale, zdecydowany wyczerpać do dna każdą kroplę radości i doskonałości tej godziny, którą wykradł zmartwieniu, starannie wybrał najbardziej dojrzałą berę, a potem delektował się nią i wolną chwilą, siedząc na ogrodowej ławce. Margaret i pan Lennox przechadzali się po niewielkiej, tarasowo ułożonej ścieżce wzdłuż południowego muru, gdzie pszczoły nadal brzęczały i pilnie pracowały w ulach.

– Jakie doskonałe życie zdajecie się tu pędzić! Dotychczas zawsze odczuwałem raczej wzdętość wobec poetów oraz tych ich życzeń: „Och, gdybym miał maleńką chatkę za wzgórzami”^{*} i temu podobnych rzeczy, ale teraz obawiam się, że tak naprawdę nie jestem nikim więcej jak tylko mieszczuchem. Dzisiaj poczułem, że dwadzieścia lat studiowania prawa mogłoby zostać z naddatkiem wynagrodzone przez jeden rok takiego doskonałego życia jak tutaj. Co za błękit nie-

* Cytat z *A Wish* Samuela Rogersa.

ba! – powiedział pan Lennox, patrząc w górę. – I ten szkarłat lub bursztyn listowia. I do tego ten idealny bezruch! – zachwycił się, wskazując na kilka olbrzymich drzew, które okalały ogród, upodabniając go do gniazda.

– Zechce pan pamiętać, że to nasze niebo nie zawsze jest tak uroczo błękitne jak teraz. Miewamy deszcze, a nasze liście opadają z drzew i wilgotnieją, choć i tak uważam, że Helstone jest najdoskonalszym miejscem na ziemi. Proszę sobie przypomnieć, jak pewnego wieczoru na Harley Street szydził pan z mojego opisu: „Wioska z bajki” – tak pan powiedział.

– Szydzić, Margaret, to chyba za mocne słowo.

– Być może. Ale wtedy byłam przepełniona myślami o domu i chciałam z kimś o tym rozmawiać, a pan tymczasem... Jakiego słowa powinnam tu użyć?... Wypowiadał się pan o Helstone tonem pozbawionym szacunku i sympatii, nadając mu miano wioski z bajki.

– Już nigdy więcej tego nie zrobię – zapewnił ją ciepło. Doszli do narożnika i spacerowali dalej.

– Prawie bym sobie życzył, Margaret... – Zatrzymał się i zawahał.

Ta przerwa była tak niezwykła u tego elokwentnego zazwyczaj prawnika, że zdziwiona dziewczyna spojrzała na niego pytająco. Ale prawie natychmiast – choć nie potrafiłaby powiedzieć, co ją w nim zaniepokoiło – zapragnęła znaleźć się przy matce, ojcu, gdziekolwiek, byle dalej od pana Lennox. Czuła bowiem, że zamierza zadać jej pytanie, na które nie będzie umiała odpowiedzieć. Już w następnej chwili jednak duma, której tyle w sobie nosiła, pomogła jej pokonać nagle wzburzenie i miała nadzieję, że jej towarzysz niczego nie zauważył. Mogła, oczywiście, udzielić odpowiedzi, i to właściwej. Czuła zresztą, że to wzdraganie się przed wysłuchaniem go było niskie i niegodne jej, bo mogłoby świadczyć, że nie miała w sobie mocy, aby położyć kres tej sytuacji z całą swoją panięńską godnością.

– Margaret – powiedział i niespodziewanie ujął jej dłoń, zmuszając tym samym, by się zatrzymała i wysłuchała go. Ona tymczasem czuła łomot serca i wyrzucała to sobie. – Margaret, wolałbym, aby nie kochała pani Helstone aż tak bardzo, aby nie była tu pani aż tak spokojna i szczęśliwa. Przez te trzy miesiące liczyłem, że zastanę panią tęskniącą za Londynem, za tamtejszymi

przyjaciółmi, choć trochę żałującą tamtych dni, tak aby wysłuchała pani z większą przychylnością – ona tymczasem delikatnie, ale stanowczo usiłowała oswobodzić swą dłoń z jego uchwytu – kogoś, kto nie ma zbyt wiele do zaoferowania, prawie nic poza perspektywami na przyszłość. Ale ten ktoś kocha panią, i to właściwie wbrew sobie. Margaret, zaskoczyłem panią? Proszę coś powiedzieć!

Widział, że jej usta drżą, jakby się miała rozplakać. A ona zebrała wszystkie siły, aby się uspokoić, i odezwała się dopiero, gdy odzyskała panowanie nad głosem:

– Zaskoczył mnie pan. Nie sądziłam, że jest pan mną zainteresowany w ten sposób. Zawsze myślałam o panu jako o przyjacielu i jeśli to możliwe, chciałabym nadal tak o panu myśleć. Nie lubię, gdy ktoś do mnie mówi tak jak pan w tej chwili. Nie mogę udzielić panu odpowiedzi, jakiej by pan sobie życzył, choć będzie mi przykro, jeśli poczuje się pan urażony.

– Margaret – powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Napotkał jej otwarte spojrzenie, pełne teraz dobrej woli i niechęci do zadawania bólu. „Czy pani kocha innego?” – zamierzał spytać, ale wydało mu się, że takie

pytanie byłoby obelgą dla nieskazitelnego spokoju tych oczu.

– Wybacz mi, pani, działałem zbyt raptownie. Teraz spotyka mnie za to kara. Daj mi tylko nadzieję. Daj mi tę słabą pociechę i powiedz, że nie spotkałaś dotychczas nikogo, kogo mogłabyś... – Znowu przerwał. Nie był w stanie dokończyć zdania. A Margaret ostro wyrzucała sobie, że stała się przyczyną jego cierpienia.

– Ach! Jakże żałuję, że ten pomysł w ogóle przyszedł panu do głowy! Tak się cieszyłam, mogąc myśleć o panu jako o przyjacielu.

– Ale czy mogę mieć nadzieję, Margaret, że pewnego dnia pomyślisz o mnie jako o ukochanym? Nie teraz, oczywiście, nie ma pośpiechu, ale kiedyś?

Milczała przez pewien czas, próbując znaleźć w swym sercu prawdę, a potem odpowiedziała:

– Myślałam o panu tylko jako o przyjacielu. I lubię tak myśleć. Ale jestem pewna, że nie byłabym w stanie traktować pana jako kogoś więcej. Proszę, zapomnijmy oboje, że ta – „nieprzyjemna”, zamierzała powiedzieć, ale się powstrzymała – rozmowa miała w ogóle miejsce.

Przez chwilę nie odpowiadał, a gdy się odezwał,

w jego głosie pojawił się z powrotem typowy dla niego chłód:

– Oczywiście, skoro pani uczucia są tak zdecydowane, a cała ta rozmowa okazała się dla pani tak nieprzyjemna, najlepiej będzie o niej zapomnieć. Ten pomysł, aby zapomnieć o wszystkim, co bolesne, brzmi świetnie w teorii, ale trudniej go będzie, przynajmniej mnie, wprowadzić w życie.

– Jest pan rozdrażniony – zauważyła. – Co jednak mogę na to poradzić?

Mówiąc to, wyglądała na tak szczerze przejętą, że przez chwilę walczył ze swym rozczarowaniem i w końcu udało mu się odpowiedzieć serdeczniej, choć w jego głosie nadal pobrzmiwały twarde nuty:

– Powinna pani wziąć pod uwagę, że to jest zmartwienie i zawód nie tylko dla człowieka zakochanego, ale w ogóle niestworzonego do romansu, kogoś nazywanego przez otoczenie beznamiętnym i rozważnym, kto pod wpływem pasji odstąpił od swych zwyczajów. Ale nie będziemy już o tym mówić. W każdym razie ten człowiek jeden jedyny raz dopuścił do głosu lepszą, cieplejszą stronę swej natury i spotkało go odrzucenie

oraz odmowa. Muszę się podnieść na duchu, i to najlepiej, gardząc własnym szaleństwem. Usiłujący się wybić adwokat wymyślił sobie, że się ożeni.

Margaret nie mogła na to odpowiedzieć. Cały ton tej wypowiedzi ją zirytował. Wydawało się, że te słowa poruszyły i przywołały wszystkie rozbieżności między nimi, które często ją od pana Lennox'a odpychały, choć na Harley Street był przecież najmilszym towarzyszem, najbardziej współczującym przyjacielem, najlepiej ze wszystkich rozumiejącym ją człowiekiem. Na tę myśl poczuła, aż do bólu, że musiała mu odmówić, wmieszała się jednak odrobina zadowolenia i jakby ulgi. Jej piękne wargi wygięły się z pewnym lekceważeniem. Dobrze się stało, że właśnie zakończyli rundę wokół ogrodu i wpadli niespodziewanie na pana Hale'a, o którym zupełnie zapomnieli. Nie skończył jeszcze swojej gruszki – delikatnie ją obierał, uzyskując jeden długi skrawek skórki o grubości cynfolii, a czynność tę wykonywał nieśpiesznie i z pełnym zaangażowaniem. Przypominało to bajkę o wschodnim władcy, który na polecenie mędrca zanurzył głowę w misie z wodą i za-

nim ją wyjął, przed oczami przebiegło mu całe życie*. Margaret doznała wstrząsu, całkowitej przemiany, zanim upłynęło tyle czasu, by ojciec zdążył zjeść owoc. Czuła się ogłuszona i nie potrafiła odzyskać panowania nad sobą na tyle, aby wziąć udział w trywialnej konwersacji, która wywiązała się między jej ojcem a panem Lennoxem. Dziewczyna była poważna i nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę. Myślała o jednym – kiedy Henry wreszcie się pożegna i zostawi ją samą, aby mogła spokojnie przemyśleć wydarzenia ostatniego kwadransu. On marzył o odjeździe co najmniej tak samo niecierpliwie jak ona, ale kilka minut lekkiej i niedbałej pogawędki, niezależnie od tego, ile by go kosztowało, było niezbędne dla jego urażonej próżności i zachowania resztek szacunku do siebie. Od czasu do czasu rzucał okiem na smutną i zamyśloną twarz Margaret.

Nie jestem jej tak całkiem obojętny, jak jej się wydaje – pomyślał. Nie wolno mi tracić nadziei.

Zanim upłynął kwadrans, w jego wypowiedziach

* Opowieść o Checu Chahabeddinie, z *Bajek tureckich*.

pojawił się lekki sarkazm, a o życiu w Londynie i na wsi mówił tak, jakby był świadom swych szyderstw, ale też jakby się ich obawiał. Pan Hale był skonfundowany. Jego gość nagle okazał się innym człowiekiem niż ten, z którym rozmawiał podczas weselnego śniadania i dzisiejszego obiadu. To był powierzchowny, błyskotliwy światowiec i jako taki stał się dla proboszcza kimś obcym. Cała trójka poczuła ulgę, gdy oświadczył, że musi się natychmiast pożegnać, jeżeli chce zdążyć na pociąg o godzinie piątej. Udali się do domu i szukali pani Hale, aby mógł się także z nią pożegnać. W ostatniej chwili przed odjazdem poprzez świeżo powstałą skorupę przedarł się prawdziwy Henry Lennox.

– Margaret, niech pani mną nie gardzi. Ja naprawdę mam serce, pomimo to, co tu mówiłem. A na dowód proszę mi uwierzyć, że kocham panią jeszcze bardziej niż przedtem... o ile nie nienawidzę pani za to lekceważenie, z którym słuchałaś mnie przez ostatnie pół godziny. Do widzenia, Margaret. Margaret!

IV

WĄTPLIWOŚCI I KŁOPOTY

*Choćbyś mnie rzucił na brzeg pusty, Panie,
Jak okręt burzą strzaskany,
Gdzie wciąż się srożą morskie bałwany,
A wicher wyje nieubłaganie,
Kiedy Tyś ze mną, nic się nie stanie.*

*William Habington, „Castara”,
przeł. Joanna Puchalska*

Odjechał. Dom zamknięto na noc. Nie było już błękitu nieba, nie było szkarłatnych ani bursztynowych barw. Margaret weszła na górę, aby się przebrać do herbaty, i znalazła Dixon w kiepskim humorze z powodu zamieszania, jakie wywołał przyjazd gościa

w tak pracowity dzień. Okazywała swe niezadowolenie, szarpiąc złośliwie włosy Margaret podczas czesania, co tłumaczyła koniecznością jak najszybszego udania się do pani Hale; była to chyba jednak tylko wymówka, bo potem dziewczyna bardzo długo musiała czekać na matkę w salonie. Niezapalone świece stały na stole, a ona siedziała sama przy kominku i przebiegała myślą wydarzenia dnia: rozkoszny spacer w lesie, miłe rysowanie, serdeczna atmosfera przy obiedzie i nieprzyjemny, żalony spacer w ogrodzie.

Jak bardzo mężczyźni różnią się od kobiet! Podczas gdy ona siedziała poruszona i nieszczęśliwa, bo jej instynkt i uczciwość wymagały, aby odmówiła, on, krótko po odrzuceniu jego propozycji, która winna być najważniejszą i najświętszą w życiu, potrafił rozmawiać, jakby wygrane sprawy sądowe, sukces i komfortowy dom oraz grono miłych znajomych były wszystkim, czego pożądał. Ach, jak bardzo potrafiłaby go kochać, gdyby był inny! Ale po zastanowieniu się zrozumiała, że był właśnie taki z powodów, które tkwią w nim bardzo głęboko. Potem jednak tłumaczyła sobie, że jego zachowanie w czasie ostatniej rozmowy skrywało go-

rycz zawodu, który z pewnością odczuwałaby i ona, gdyby to jej uczucie zostało odrzucone.

Matka weszła do salonu, zanim Margaret zdołała opanować wirujące myśli i przywrócić w nich jakikolwiek ład. Szybko jednak została zmuszona do otrząśnięcia się ze wspomnień wydarzeń i słów wypowiedzianych minionego dnia i zamienienia się we współczującego słuchacza. Najpierw dowiedziała się o oburzeniu Dixon z powodu ponownego przypalenia podkładu do prasowania, a potem wysłuchiwała opowieści o tym, jak Susan Lightfoot paradowała ze sztucznymi kwiatami przypiętymi do czepka, dając tym dowód swej próżności i frywolnego charakteru. Pan Hale sączył herbatę w roztargnionym milczeniu, pozostawiając Margaret obowiązek udzielania matce odpowiedzi. Zastanawiała się przy tym, jak jej rodzice mogli tak szybko i bez śladu zapomnieć o swym dzisiejszym gościu, nawet nie wspominając jego imienia. Nie pamiętała zapewne, że to nie im pan Lennox się oświadczył.

Po herbacie pan Hale podniósł się i stał przy kominku, z łokciem opartym na gzymsie i głową spoczywającą na dłoni, wyraźnie zamyślony. Od czasu do

czasu głęboko wzdychał. Pani Hale wyszła, aby ustalić z Dixon szczegóły przekazania odzieży zimowej dla biednych, a Margaret przygotowywała dla matki jej robótkę z wełny chesankowej i aż kurczyła się w sobie na myśl o długim wieczorze. Marzyła, aby nadszedł już czas pójścia do łóżka, gdzie będzie mogła ponownie przemyśleć wydarzenia dnia.

– Margaret! – odezwał się w końcu pan Hale z tak nagłą desperacją, że jego córka aż drgnęła. – Czy te plecionki są pilną sprawą? Chodzi mi o to, czy możesz je zostawić i pójść ze mną do biblioteki? Chcę z tobą porozmawiać o czymś bardzo ważnym dla nas wszystkich.

„Bardzo ważnym dla nas wszystkich”. Pan Lennox nie miał okazji do odbycia na osobności rozmowy z jej ojcem po tym, jak mu odmówiła swej ręki, nie chodziło więc o to. W pierwszej chwili Margaret poczuła się winna i zawstydzona, że stała się dorosłą kobietą braną pod uwagę w kwestiach matrymonialnych, a zaraz potem uświadomiła sobie, że ojciec może być niezadowolony z podjęcia przez nią decyzji bez konsultacji z nim. Szybko jednak odrzuciła te myśli, gdy zrozumiała, że to nie owo ostatnie, nagłe wydarzenie wywołało niepo-

kój i dręczące wątpliwości, o których ojciec życzył sobie z nią pomówić. W bibliotece pan Hale poruszył ogień, palcami zgasił świece i kilkakrotnie westchnął, zanim zebrał myśli na tyle, by przemówić. W końcu wyrzucił to z siebie z jękiem:

– Margaret, zamierzam opuścić Helstone.

– Opuścić Helstone, papo!?! Ale dlaczego?

Nie odpowiedział od razu. Zmieszany, przekładał nerwowo jakieś papiery na stole, kilkakrotnie otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale zamykał je ponownie, nie mając dość odwagi, by wyrzec choć jedno słowo. Margaret nie mogła znieść widoku jego napięcia, które dla ojca było jeszcze bardziej przykre niż dla niej.

– Ale dlaczego, papo kochany? Powiedz mi!

Nagle spojrział na nią i odpowiedział wolno i z pełnym mocy spokojem:

– Ponieważ nie mogę być dłużej kapłanem Kościoła anglikańskiego.

Margaret była pewna, że ojca spotkał w końcu jeden z owych upragnionych przez matkę awansów, i to zmusza go, by opuścić piękne, umiłowane Helstone i zamieszkać przy którymś z tych dostojnych, cichych

dzieńców, jakie od czasu do czasu widywała w miastach katedralnych. Były to poważne i imponujące miejsca, ale jeśli przeniesienie się tam miało oznaczać opuszczenie domu w Helstone na zawsze, to byłoby tylko przygnębiającą zmianą i w konsekwencji uporczywym bólem. Nic jednak nie mogło się równać z szokiem, jakiego doznała po ostatniej wypowiedzi pana Hale'a. Co to mogło oznaczać? Tajemniczość tej decyzji tylko potęgowała jej zdenerwowanie. Poruszał ją widok ojca, pełnego żalości i cierpienia, jakby błagał własne dziecko o miłosierny i sprawiedliwy sąd. Naraz poczuła mdłości. Czyżby został wmieszany w coś, co zrobił Frederick? Przecież jej brat był wyjęty spod prawa. Czyżby ojciec, z powodu naturalnej miłości do syna, dopuścił się...

– Och! Dlaczego? Powiedz, ojcze! Powiedz mi wszystko! Dlaczego już nie możesz być duchownym? Z pewnością, jeśli biskupowi doniesiono o Fredericku, i ciężki, niesprawiedliwy...

– To nie ma żadnego związku z Frederickiem. Biskup też nie ma z tym nic wspólnego. To ja sam. Margaret, wszystko ci opowiem. Odpowiem na każde

twoje pytanie ten jeden raz, ale później nie wracajmy już do tego. Poniosę wszelkie konsekwencje swych bolesnych, ponurych wątpliwości, ale mówienie o tym, co przysporzyło mi tyle cierpienia, jest ponad moje siły.

– Wątpliwości, ojcze!?! Wątpliwości w kwestiach religijnych?! – wykrzyknęła Margaret wstrząśnięta jak nigdy dotąd.

– Nie! Nie wątpliwości w kwestiach religijnych. Żadnej najmniejszej rysy, jeśli chodzi o wiarę. – Przerwał, a jego córka westchnęła, jakby zatrzymała się na samej krawędzi nowej okropności. On zaś zaczął mówić prędko, niczym ktoś, kto chce jak najszybciej dotrzeć do wyznaczonego sobie celu. – Nie zrozumiesz tego wszystkiego, co ci opowiem... te lata pełne niepokoju, czy powinienem pozostawać na tym stanowisku... moje wysiłki, by stłumić ciągłe wątpliwości siłą autorytetu Kościoła. Och, Margaret, jak ja kocham ten święty Kościół, z którego mam być wykluczony. – Przez chwilę nie był w stanie mówić dalej.

Margaret zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Wszystko to wydawało jej się tak strasznie niejasne, jakby ojciec postanowił przejść na mahometanizm.

– Czytałem dzisiaj o owych dwóch tysiącach wier-
nych, którzy zostali usunięci ze swych kościołów – kon-
tynuował pan Hale z bladym uśmiechem – i próbowa-
łem przejąć choć trochę ich odwagi. Ale to bez sensu.
Bez sensu. To dla mnie takie bolesne.

– Ale, papo, czy ty to dobrze rozważyłeś? Och, to
takie okropne, takie szokujące – powiedziała Margaret,
nagle wybuchając płaczem. Jedyna stabilna podsta-
wa jej domu, idei ukochanego ojca, zdawała się trząść
i przewracać. Co miała powiedzieć? Co można było
poradzić?

Na widok jej rozpaczony pan Hale zebrał się w sobie,
by ją pocieszyć. Przełknął suche, dławiące go łkanie
wydobywające się prosto z serca i podszedł do szafki
z książkami, z której wyjął tom stanowiący w ostatnim
czasie jedną z jego podstawowych lektur. To właśnie
z tej książki czerpał siłę, aby przyjąć kurs, którym teraz
podążał.

– Posłuchaj, kochana Margaret – powiedział, obejmując ją w pasie.

Ujęła w swe ręce jego dłonie i mocno ścisnęła, ale nie
potrafiła podnieść głowy i spojrzeć na niego. Nie mo-

gła też wysłuchać uważnie tego, co jej czytał. Była zbyt wzburzona.

– To monolog napisany przez człowieka, który kiedyś był, tak jak ja, duchownym w wiejskiej parafii. Autorem jest niejaki pan Oldfield, proboszcz w Carsington w Derbyshire, a napisał to ponad sto sześćdziesiąt lat temu. Wtedy czas jego próby się skończył. Stoczył ciężką walkę. – Te dwa ostatnie zdania pan Hale powiedział ciszej, jakby mówił sam do siebie. A potem przeczytał na głos:

Jeśli już dłużej nie możesz kontynuować swej pracy, nie obrażając Boga, nie dyskredytując religii, nie rezygnując z wierności sobie, nie raniąc sumienia, nie niszcząc pokoju i nie narażając się na utratę zbawienia, jednym słowem, jeśli warunki, na których musiałbyś, o ile chciałbyś, dalej pracować, są grzeszne i pozbawione łaski Boga, możesz, a raczej musisz uwierzyć, że Nasz Pan twoje milczenie, twoje zawieszenie, wycofanie i odstąpienie przekształci ku chwale swojej i Ewangelii. Bóg

użyje cię w taki lub inny sposób. Duszy, która pragnie Mu służyć i Go wielbić, nigdy nie zabraknie po temu okazji. Nie ograniczaj wielkości Naszego Pana myślą, że znajdzie On tylko jedną drogę, na której możesz głosić Jego chwałę. Może to osiągnąć i przez twe milczenie tak samo jak przez twe modlitwy, przez twe wycofanie tak samo jak przez twą pracę. Jest fałszem twierdzenie, że najlepiej służymy Bogu, gdy wypełniamy najcięższe obowiązki, jeśli to twierdzenie ma usprawiedliwiać najmniejszy grzech, nawet gdy ten grzech zawiera się w tej służbie lub daje okazję do spełnienia obowiązku. Nie otrzymasz dziękczynienia, jeśli zostaniesz oskarżony o deptanie boskiej chwały i o łamanie twych ślubów pod pozorem, że jest to niezbędne, byś mógł kontynuować swą służbę Kościołowi.

Gdy tak to czytał, przebiegając wzrokiem to, co omijał, utwierdzał się w swych przekonaniach i czuł, że także potrafiłby się zdobyć na odwagę i stałość, aby

działać w zgodzie z własnym sumieniem. Ale gdy zamilkł i usłyszał konwulsyjny szloch córki, cała jego odwaga zniknęła wobec przenikliwego cierpienia.

– Margaret, dziecko! – zawołał, przyciągając ją bliżej. – Pomyśl o pierwszych męczennikach, pomyśl o owych tysiącach, którzy cierpieli za swe przekonania.

– Ale, ojcze – odrzekła, unosząc nagle zarumienioną i mokrą od łez twarz – oni cierpieli za prawdę, podczas gdy ty... och, papo, papo!

– Ja cierpię za sumienie, dziecko – powiedział z godnością, mimo że drżał przy tym, co nie dziwiło, biorąc pod uwagę jego nadwrażliwość. – Muszę postąpić tak, jak mi nakazuje sumienie. Zbyt długo znosiłem własne wyrzuty i każdy inny człowiek, nie tak ospały i tchórzliwy jak ja, już dawno by się zbuntował. – Potrząsnął głową ze smutkiem i mówił dalej: – Najgorętsze marzenie twojej biednej matki zostanie spełnione z ową przewrotną kpina losu, z jaką zbyt gorące pragnienia się ziszczają. Jak jabłko Sodomy, na zewnątrz piękne, ale w środku jest tylko popiół. To jej życzenie doprowadziło w końcu do przesilenia, za które powinienem być i jestem, mam nadzieję, wdzięczny. Niecały mie-

siąc temu biskup zaproponował mi lepsze beneficjum. Gdybym je przyjął, musiałbym publicznie odnowić deklarację Trzydziestu Dziewięciu Artykułów Wiary*. Próbowałem, Margaret, próbowałem odsunąć ten dylemat, po prostu odrzucając awans i pozostając tu, tłamsząc me sumienie, tak jak je do tej pory naginałem. Niech mi Bóg wybaczy.

Podniósł się i spacerował po pokoju, cichym głosem wypowiadając pod swoim adresem słowa wyrzutu i poniżenia, z których córka na szczęście usłyszała tylko kilka. W końcu powiedział:

– Margaret, wracam do tej smutnej troski, od której zacząłem. Musimy opuścić Helstone.

– Tak. Rozumiem. Ale kiedy?

– Napisałem do biskupa. Wydawało mi się, że ci o tym mówiłem, ale o wszystkim teraz zapominam – powiedział pan Hale, wpadając w przygnębienie, gdy tylko zaczął mówić o szczegółach twardej rzeczywistości. – Poinformowałem go o moim zamiarze opuszcze-

* *Prawdy wiary* ogłoszone w 1563 r. jako doktrynalna definicja wyznania anglikańskiego, potwierdzająca niezależność Kościoła anglikańskiego w stosunku do doktryny kalwinizmu i religii katolickiej.

nia parafii. Był bardzo łaskawy i uprzejmy, argumentował i przestrzegał, ale na próżno, zupełnie na próżno. Przecież ja sam wypróbowałem to wszystko na sobie. Daremnie. Będę musiał wziąć mój akt rezygnacji i osobiście zawieźć go biskupowi, by się z nim pożegnać. To będzie kolejna próba, ale gorsze, znacznie gorsze jest to, że muszę się rozstać z moimi parafianami. Wyznaczono wikarego, który będzie czytał modlitwy. Jest to niejaki pan Brown i przyjedzie jutro. Ja natomiast w następną niedzielę wygłoszę kazanie pożegnalne.

A więc to ma być tak szybko? – pomyślała Margaret. Choć może to i lepiej. Zwlekanie tylko zaostrzyłoby ból. Chyba lepiej, że tak nagle została uderzona niby obuchem planami wprowadzanych zmian, których prawie dokonano, zanim się o nich dowiedziała.

– Co na to wszystko mama? – spytała, wzdychając. Ku jej zaskoczeniu ojciec nie odpowiedział od razu, tylko znowu zaczął chodzić po pokoju. W końcu się zatrzymał i odrzekł:

– Margaret, jestem wielkim tchórzem. Nie umiem zadawać bólu. Wiem doskonale, że małżeństwo ze mną okazało się nie tym, na co twoja matka miała nadzieję,

czego miała prawo oczekiwać. A to będzie dla niej taki cios, że nie miałem serca... nie miałem siły, aby jej o tym powiedzieć. Nie można jednak dłużej zwlekać. Ona musi się dowiedzieć. – Popatrzył ze smutkiem na córkę.

Margaret aż osłabła na myśl, że matka o niczym nie wie, gdy tymczasem sprawa jest tak zaawansowana.

– Tak. Naprawdę musi się dowiedzieć – przytaknęła. – Być może, mimo wszystko, ona nie... ależ tak, z pewnością tak, będzie zaszokowana. – Siła ciosu wróciła do dziewczyny, gdy próbowała sobie wyobrazić, jak jej matka mogłaby przyjąć decyzję męża. – Ale dokąd się przeniesiemy? – spytała wreszcie, uderzona nagle sprawą ich przyszłego bytu, o ile jej ojciec miał w ogóle jakieś plany.

– Do Północnego Milton* – odpowiedział z głuchą apatią. Zauważył, że choć dzięki swej miłości córka stanęła po jego stronie i przez moment usiłowała go uspokoić, jej rana była świeża, głęboka i bolesna.

– Północne Milton! To przemysłowe miasto w Darkshire?

* Fikcyjna nazwa miasta, którego pierwowzorem jest Manchester.

– Tak – potwierdził ojciec, zobojętniały i przybity.

– Ale dlaczego tam, papo? – spytała.

– Ponieważ tam jestem w stanie zarobić na chleb dla mojej rodziny. Ponieważ nikogo tam nie znam, nikt tam nie słyszał o Helstone i nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać... o tym.

– Chleb dla rodziny! A ja myślałam, że ty i mama macie... – Nagle się zatrzymała, powściągając swe naturalne zainteresowanie ich wspólną przyszłością, gdy zobaczyła, że czoło ojca posępnieje. On jednakże, dzięki swej zdolności współodczuwania, od razu wyczytał w jej twarzy jak w lustrze odbicie własnego przygnębienia, i dla niej spróbował się choć trochę rozchmurzyć.

– Wszystko ci opowiem, Margaret. Pomóż mi tylko poinformować matkę, bo to jest ponad moje siły. Sama myśl o jej rozpaczliwej przyprawia mnie o chorobę z przeżenienia. Jeśli wszystko ci opowiem, być może uda ci się przekazać jej to jutro. Nie będzie mnie przez cały dzień, bo chcę się pożegnać z farmerem Dobsonem i tymi biedakami na Bracy Common. Czy wielką niechęcią napawa cię myśl o poinformowaniu o wszystkim matki, Margaret?

Napawało ją to tak wielkim przerażeniem, że aż się kurczyła w sobie. Drżała bardziej niż kiedykolwiek w dotychczasowym życiu i nie mogła nawet od razu ojcu odpowiedzieć. Widząc to, rzekł:

– Bardzo tego nie chcesz, prawda?

Ona się jednak przemogła i z pogodnym zdecydowaniem na twarzy odpowiedziała:

– To będzie trudne, ale konieczne. I zrobię to najlepiej, jak potrafię. Ty i tak, ojcze, masz mnóstwo innych bolesnych spraw do załatwienia.

Pan Hale potrząsnął głową z przygnębieniem i ścisnął jej dłoń w przyływie wdzięczności. Margaret zaś ponownie poczuła się tak zrozpaczona, że z trudem opanowała wybuch płaczu. Aby zająć czymś myśli, powiedziała:

– Teraz powiedz mi, papo, jakie mamy plany. Wiem, że ty i mama macie jakieś pieniądze niezależnie od dochodu z prebendy, prawda? Tak jak ciotka Shaw?

– Tak, mamy około stu siedemdziesięciu funtów na rok własnych pieniędzy, z czego siedemdziesiąt przekazujemy Frederickowi, od kiedy jest za granicą. Nie wiem, czy on tyle potrzebuje – mówił z waha-

niem w głosie. – Musi przecież dostawać coś za służbę w hiszpańskiej armii.

– Frederickowi nie może niczego braknąć w obcym kraju – stwierdziła zdecydowanie Margaret – skoro w ojczyźnie potraktowano go tak niesprawiedliwie. Pozostaje zatem sto funtów. Czy nie moglibyśmy żyć we trójkę za tę kwotę w jakimś bardzo tanim i bardzo cichym zakątku Anglii? Jestem pewna, że tak.

– Nie – odpowiedział ojciec. – To by mi nie odpowiadało. Muszę coś robić. Muszę się czymś zająć, aby nie dopuścić do siebie niezdrowych, dręczących myśli. Pobyt na wsi boleśnie przypominałby mi o Helstone i o moich dawnych obowiązkach, a tego bym nie zniósł, Margaret. A poza tym sto funtów na rok, po opłaceniu kosztów związanych z utrzymaniem domu, nie pozwoliłoby na zapewnienie twojej matce wygód, do których jest przyzwyczajona i do których ma prawo. Nie, musimy pojechać do Milton. To postanowione. Podejmuję lepsze decyzje sam, gdy nie działam pod wpływem tych, których kocham – stwierdził, jakby przeprasząc za to, że wszystko ustalił, zanim powiadomił rodzinę o swych zamiarach. – Jeśli ktoś mi podsuwa inne rozwiązania, od razu robię się niezdecydowany.

Margaret postanowiła zachować milczenie. W końcu jakie miało znaczenie, dokąd się przeniosą, wobec tej jednej okropnej zmiany – zmiany jego poglądów?

Pan Hale kontynuował:

– Kilka miesięcy temu, kiedy udręka zwątpienia stała się nie do zniesienia, napisałem do pana Bella. Pamiętasz go, Margaret?

– Nie, myślę, że nigdy go nie spotkałam. Ale oczywiście wiem, kim jest. To ojciec chrzestny Fredericka, twój dawny opiekun w Oxfordzie, prawda?

– Zgadza się. Jest tam członkiem kolegium Plymouth, ale wydaje mi się, że pochodzi właśnie z Północnego Milton. W każdym razie ma tam dużą posiadłość, której wartość bardzo wzrosła, odkąd Milton stało się dużym miastem przemysłowym. Miałem powody przypuszczać... powody, by wierzyć... zresztą lepiej nie będę o tym mówił. Byłem pewien jego sympatii dla mnie, ale nie mogę powiedzieć, by udzielił mi wsparcia w moich dylematach. Całe życie spędził bez żadnych wstrząsów w swoim kolegium. Teraz jednak był dla mnie tak uprzejmy, jak to tylko możliwe. I to jemu zawdzięczamy nasz wyjazd do Milton.

– Jak to? – spytała Margaret.

– Bo ma tam dzierżawców, domy i fabryki. Chociaż nie lubi tego miejsca, zbyt gwarne i ruchliwe jak na kogoś o jego przyzwyczajeniach, jest zmuszony utrzymywać tam pewne stosunki. I powiadomił mnie, że z tego, co słyszał, jest tam zapotrzebowanie na prywatnego nauczyciela.

– Prywatny nauczyciel! – zawołała Margaret i spytała z pogardą: – A co ci fabrykanci mogą mieć wspólnego z klasyką, z literaturą, z obyciem dżentelmena?

– Och – odpowiedział ojciec – niektórzy z nich wydają się przyzwoitymi ludźmi, świadomymi własnych braków, bardziej niż wielu w Oxfordzie. Niektórzy są zdecydowani podjąć naukę, mimo że osiągnęli wiek męski, a inni chcą, aby ich dzieci się uczyły, skoro oni sami nie mieli tej szansy. W każdym razie, tak jak powiedziałem, jest tam miejsce dla prywatnego nauczyciela. Pan Bell zarekomendował mnie niejakiemu panu Thorntonowi, swemu dzierżawcy i, jak wnoszę z jego listów, bardzo inteligentnemu człowiekowi. W Milton, Margaret, będę wiódł życie bardzo pracowite, jeśli nawet nie szczęśliwe, a wśród innych ludzi i w nowym otoczeniu nic nie będzie przypominało mi Helstone.

To był ten ukryty motyw. Margaret to odgadła, bo sama żywiła podobne uczucia. Tam jest inaczej. Tamto miasto, nieodpowiadające jej jako miejsce do życia, prawie nienawistne z tym wszystkim, co słyszała o północy Anglii, o przemysłowcach, ludziach, o dzikim i ponurym kraju, miało jedną podstawową zaletę – było zupełnie różne od Helstone i nigdy nie będzie im przypominało o ich ukochanym miejscu na ziemi.

– Kiedy jedziemy? – spytała po chwili.

– Jeszcze nie wiem dokładnie. Chciałem to z tobą przedyskutować. Mówiłem ci, że matka jeszcze o niczym nie wie. Ale myślę, że powinniśmy wyjechać w ciągu dwóch tygodni. Kiedy moja rezygnacja zostanie przyjęta, nie będę miał prawa tu pozostawać.

Ten termin ogłosił Margaret.

– W ciągu dwóch tygodni!

– Nie mówię, że dokładnie co do dnia. Nic nie jest jeszcze ustalone – dopowiedział pan Hale szybko, ale z pełnym niepokoju wahaniem, bo zauważył, że córki zamglily się smutkiem, a cała twarz zaczęła się mienić.

Margaret błyskawicznie przywołała się do porządku.

– Tak, ojcze, masz rację, najlepiej załatwić to szybko i zdecydowanie. Tylko że mama nic jeszcze nie wie! To chyba najgorszy kłopot.

– Biedna Maria! – powiedział czule pan Hale. – Biedna, biedna Maria! Och, gdybym nie był żonaty, gdybym był sam na świecie, jakie to wszystko byłoby łatwe! Ale tak... Margaret, nie ośmielę się jej tego powiedzieć!

– Nie – odpowiedziała dziewczyna ze smutkiem. – Ja to zrobię. Tylko daj mi czas do jutra wieczorem, abym wybrała odpowiedni moment. Och ojcze! – krzyknęła z nagłym gorączkowym błaganiem. – Powiedz, powiedz mi, że to tylko nocny koszmar, okropny sen, powiedz, że to się nie dzieje naprawdę. Niemożliwe, żebyś zamierzał opuścić Kościół, oddać Helstone, odseparować się na zawsze ode mnie, od mamy, zwiedziony jakimś urojeniem, jakąś pokusą. Niemożliwe, abys to właśnie zamierzał!

Podczas tej przemowy ojciec siedział sztywno i nieruchomo. A potem spojrzał jej w twarz i ochryłym głosem odpowiedział wolno, waząc każde słowo:

– To właśnie zamierzam. Nie oszukuj się, wątpię

w prawdziwość moich słów, w moje utrwalone zamiary i postanowienia. – Przez jakiś czas patrzył na nią w milczeniu nieruchomym, kamiennym wzrokiem.

Odpowiedziała mu błagalnym spojrzeniem, ale po chwili dotarło do niej, że to, co oznajmił, jest nieodwołalne. Wtedy się podniosła i ruszyła w stronę drzwi. Bez słowa, bez spojrzenia. Gdy położyła dłoń na gałce, zawołał ją. Stał przy kominku, skurczony, zgarbiony, ale kiedy cofnęła się w jego kierunku, wyprostował się i kładąc dłonie na jej głowie, powiedział uroczyście:

– Niech boże błogosławieństwo będzie z tobą, moje dziecko!

– I niech cię zachowa dla swego Kościoła – odpowiedziała z głębi serca. I od razu zdjął ją lęk, aby nie uznał jej odpowiedzi za lekceważącą, niewłaściwą, aby nie poczuł się dotknięty, że tak odpowiedziała mu córka. Zarzuciła mu ramiona na szyję, a on przytrzymał ją przez chwilę przy sobie. Słyszała, jak mruczał do siebie:

– Męczennicy musieli znieść jeszcze więcej bólu. Nie cofnę się.

Byli zaskoczeni, gdy usłyszeli panią Hale pytającą

o córkę. Oderwali się od siebie z pełną świadomością tego, co ich czeka. Ojciec przypomniiał pośpiesznie:

– Idź, Margaret, idź. Jutro mnie nie będzie. Do wieczora musisz powiedzieć o wszystkim matce.

– Tak – odrzekła i wróciła do salonu, oszołomiona i zdezorientowana.

V

POSTANOWIENIE

*Błagam Cię o rozważną miłość,
Mądrą nieustannym staraniem,
By szczęście przyjmować radosnym uśmiechem,
By umieć osuszyć łzy.
I błagam o serce niepamiętające o sobie,
Zdolne pocieszać i współczuć.*

Anna Laetitia Waring, fragment hymnu

Margaret wysłuchała wszystkich planów matki dotyczących sposobów udzielenia pomocy biedniejszym parafianom. Nie umiała nie słuchać, choć każdy nowy projekt był jak cios sztyltem w jej serce. Kiedy nadejdą mrozy, będą już daleko

od Helstone. Reumatyzm starego Simona będzie mu nadal dokuczał, a jego wzrok jeszcze się pogorszy, ale nie będzie nikogo, kto by go odwiedził i mu poczytał, nikogo, kto wesprze go kokilką bulionu i solidną czerwoną flanelą. A jeśli nawet znajdzie się ktoś taki, będzie obcy, i staruszek nadaremnie będzie wypatrywał Margaret. Mały kaleki synek Mary Domville na próżno dowlecze się do drzwi, czekając na nią idącą przez las. Ci biedni przyjaciele nigdy nie zrozumieją, dlaczego ich opuściła. A poza nimi jest wielu innych. „Ojciec zawsze wydawał cały dochód pochodzący z prebendy. Pewnie naruszam nasz i tak skromny fundusz, ale zima będzie najprawdopodobniej surowa i musimy tym biedakom pomóc”.

– Och mamó, zróbmy wszystko, co tylko możemy – żarliwie poprosiła Margaret, ignorując głos rozsądku, za to chwytając się kurczowo myśli, że po raz ostatni udzieli takiej pomocy. – Nie wiadomo, jak długo tu jeszcze będziemy.

– Źle się czujesz, moja kochana? – spytała pani Hale z niepokojem, opacznie rozumiejąc aluzję córki co do niepewności ich pobytu w Helstone. – Jesteś blada

i wyglądasz na zmęczoną. To wszystko przez to wilgotne, niezdrowe powietrze.

– Nie, mamó, to nie tak. Powietrze jest tu cudowne, aromatyczne. Pachnie tak czysto i świeżo, zwłaszcza w porównaniu z zadymioną Harley Street. Ale rzeczywiście jestem zmęczona, pewnie już nadeszła pora, żeby pójść do łóżka.

– Już niedługo, jest wpół do dziesiątej. Ale lepiej zrób to od razu. Poproś Dixon o kleik. Jak już będziesz w łóżku, przyjdę i sprawdzę, co z tobą. Obawiam się, że się przeziębiałaś. Albo zaszкодziło ci to morowe powietrze znad stojących stawów.

– Och mamó – powiedziała Margaret, blado się uśmiechając, gdy całowała matkę. – Nic mi nie jest, nie martw się o mnie. Po prostu jestem zmęczona.

Poszła na górę. Aby ukoić niepokój matki, posłusznie zjadła miseczkę kleiku, a potem leżała spokojnie w łóżku, gdy pani Hale przyszła, aby sprawdzić stan córki i pocałować ją, zanim uda się na noc do swego pokoju. W chwili gdy drzwi sypialni matki się zamknęły, Margaret wyskoczyła z łóżka, narzuciła na siebie robdeszan i zaczęła przemierzać pokój tam i z po-

wrotem, aż skrzyknięcie jednej z desek podłogowych przypomniało jej, że nie powinna robić najmniejszego hałasu. Podeszła i zwinęła się w kłębek na siedzisku w głębokiej wnęcie niewielkiego okna. Tego ranka, kiedy wyrzała na zewnątrz, jej serce aż zadrżało na widok jasnych, świetlistych błysków na kościelnej wieży, bo stanowiły zapowiedź pięknego, słonecznego dnia. Teraz, szesnaście godzin później, siedziała przepelniona smutkiem zbyt silnym, by móc go wypłakać, czując tępy, lodowaty ból, który zdawał się wypierać z niej bezpowrotnie młodość i pogodę ducha. Wizyta pana Henry'ego Lennox, jego propozycja były jak sen, jak coś, co miało miejsce w innym życiu, natomiast przykra rzeczywistość była taka, że jej ojciec do tego stopnia dopuścił do swego umysłu zwątpienie, że stał się schizmatykiem, wyrzutkiem, a wszystkie zmiany, które miały nastąpić, były konsekwencją tego jednego niszczycielskiego faktu.

Widziała ciemnoszary zarys wieży kościelnej, znaczący równymi liniami środek perspektywy, odcinający się od intensywnie granatowego tła, w które się wpatrywała. Czuła, że mogłaby tak patrzeć przez całą

wieczność, wpatrywać się w coraz dalsze regiony nieboskłonu, a mimo to nie dostrzegłaby ani śladu Boga. Wydawało jej się w tym momencie, że ziemia jest bardziej opustoszała, niż gdyby zakryto ją żelazną kopułą, poza którą mógł panować wieczny pokój i chwała Wszechmogącego. Ten niezmałony spokój bezkresnej przestrzeni odczuwała teraz jako szyderstwo, stanowiące większą niż inne, realne przeszkody, barierę dla ziemskich cierpiętników, kierujących ku niej swe wołania, które wznoszą się w ten bezkres i giną – giną na wieki, zanim dotrą do Jego tronu. Zatopiona w rozmyślaniach, nie usłyszała wejścia ojca. Księżyc świecił wystarczająco mocno, aby pan Hale dostrzegł, w jak niezwykłym miejscu i nietypowej dla siebie pozycji znajduje się córka. Podeszedł do niej i dotknął jej ramienia, zanim w ogóle uświadomiła sobie jego obecność.

– Margaret, usłyszałem, że wstałaś. Przyszedłem, bo chciałem, abyś się ze mną pomodliła, abyśmy razem zmówili Modlitwę Pańską. To nam dobrze zrobi. Obojgu.

Uklękli razem przy oknie. On patrzył w górę, ona miała głowę opuszczoną w pełnym pokory zawsty-

dzeniu. Bóg tam był, blisko nich. Słuchał szeptanych przez nich słów. Jej ojciec mógł być heretykiem, ale czy ona sama, nie więcej niż pięć minut wcześniej, ogarnięta rozpaczliwymi wątpliwościami, nie dała dowodu znacznie dalej idącego sceptycyzmu? Nie odezwała się ani słowem, ale po wyjściu ojca wślizgnęła się do łóżka jak dziecko wstydzące się swego przewinienia. Jeśli świat był pełen wprawiających w konfuzję problemów, ona znajdzie w sobie ufność, ale chciałaby znać choć jeden, najbliższy krok.

Tej nocy w jej snach pojawił się pan Lennox, jego wizyta i oświadczyzny, które zostały w myślach tak brutalnie odsunięte przez następne wydarzenia dnia. Wspinał się na jakieś oszałamiająco wysokie drzewo, aby dosięgnąć gałęzi, na której wisiał jej czepek. Mężczyzna spadał, a ona usiłowała podbiec, aby mu pomóc, ale przytrzymała ją jakaś niewidzialna silna ręka. Pan Lennox zmarł. Nagle nastąpiła zmiana sceny – Margaret znalazła się w salonie na Harley Street i rozmawiała z nim jak dawniej, choć cały czas miała świadomość, że widziała jego śmierć na skutek tego okropnego upadku.

Ponura, niespokojna noc. Co za fatalne przygotowanie na nadchodzący dzień! Poderwała się ze snu, niewypoczęta i świadoma, że rzeczywistość jest nawet gorsza niż jej majaki senne. Naraz wszystko jej się przypomniało; nie tylko samo zmartwienie, ale też dylemat, który je spowodował. Dokąd... jak daleko zabłąkał się jej ojciec, prowadzony przez swe wątpliwości, które dla niej były kuszeniem Złego? Tak pragnęła o to zapytać, ale jednocześnie czuła, że za nic w świecie nie chciałyby usłyszeć odpowiedzi na to pytanie.

Uroczy, rześki poranek sprawił, że pani Hale czuła się wyjątkowo dobrze i przy śniadaniu promieniała zadowolaniem. Cały czas mówiła o planowanej pomocy dla mieszkańców wioski i w ogóle nie zauważyła, że jej mąż się nie odzywa, a Margaret odpowiada tylko monosylabami. Zanim sprzątnięto ze stołu, pan Hale się podniósł i opierając się jedną ręką o stół, jakby potrzebował wsparcia, oświadczył:

– Nie będzie mnie do wieczora w domu. Idę do Bracy Common i zjem obiad u farmera Dobsona. Wrócę na herbatę o siódmej.

Nie spojrzął na żadną z nich, ale Margaret wiedzia-

ła, co chciał jej przekazać. Do godziny siódmej matka musi się o wszystkim dowiedzieć. On sam zwlekałby z tym aż do wpół do siódmej, ale jego córka była ulepiona z innej gliny. Nie zniosłaby tego wiszącego nad nią ciężaru przez cały dzień. Lepiej było mieć to najgorsze za sobą. I tak dnia jej nie wystarczy, by pocieszyć matkę. Ale gdy stała przy oknie, zastanawiając się, jak zacząć, i czekając, aż służąca opuści pokój, pani Hale poszła na górę, aby się ubrać do wyjścia do szkoły. Zeszła na dół gotowa i bardziej ożywiona niż zazwyczaj.

– Mamo, przejdźmy się razem po ogrodzie. Tylko jedno okrążenie – zaproponowała Margaret, obejmując ją w pasie.

Wyszły na zewnątrz przez oszklone drzwi. Matka odezwała się, ale Margaret nie potrafiłaby powiedzieć, na jaki temat. Zauważyła pszczołę wchodzącą w głąb kielicha kwiatu i postanowiła, że gdy owad wyjdzie ze swą zdobyczą, będzie to dla niej znak. Pszczoła wyszła.

– Mamo! Papa planuje opuścić Helstone! – wyrzucała z siebie słowa jednym tchem. – Zamierza też odejść z Kościoła i zamieszkać w Północnym Milton.

To były te trzy ciężkie prawdy z trudem wypowiedziane.

– Dlaczego tak mówisz? – spytała pani Hale z zaskoczeniem i niedowierzaniem. – Kto ci naopowiadał takich bzdur?

– Sam ojciec – odrzekła Margaret, pragnąc jednocześnie powiedzieć coś ciepłego i pocieszającego, choć zupełnie nie wiedziała, co. Znalazły się obok ogrodowej ławki. Matka opadła na nią i rozplakała się.

– Nie rozumiem cię – powiedziała. – Albo się strasznie pomyliłaś, albo to ja cię nie zrozumiałam.

– Nie, mamu, nie pomyliłam się. Papa napisał do biskupa, informując go, że ma tak poważne wątpliwości, iż sumienie nie pozwala mu pozostać duchowym Kościoła anglikańskiego i musi opuścić Helstone. Ojciec konsultował się również z panem Bellem, wiesz, ojcem chrzestnym Fredericka, i ustalili, że zamieszkamy w Północnym Milton.

Przez cały czas, gdy Margaret mówiła, pani Hale patrzyła na nią i cienie smutku na twarzy dziewczyny upewniły ją, że jeśli nawet to nie jest prawda, to przynajmniej córka wierzy w to, co mówi.

– Nie sędzę, aby to mogła być prawda – oświadczyła w końcu. – Jestem pewna, że powiedziałałby mi o tym, zanim sprawa zaszłaby tak daleko.

Margaret w głębi duszy uważała, że ojciec powinien był poinformować o wszystkim żonę. Nieważne, że ciągle się skarżyła i narzekała, że była niezadowolona. Popełnił błąd, dopuszczając, by o zmianie jego poglądów i nadchodzącej rewolucji w ich życiu dowiedziała się od ich lepiej poinformowanego dziecka. Margaret usiadła przy matce i przyciągnęła do piersi jej niestawiającą oporu głowę, pochylając jednocześnie swoją, by pieszczotliwie miękki dotknąć policzkiem jej twarzy.

– Najmilsza mammo! Tak bardzo się baliśmy, że sprawimy ci ból. Ojciec okropnie się tym martwił. Wiesz, że nie jesteś silna, a on musiał dać sobie radę z takim niewyobrażalnym napięciem.

– Kiedy on ci powiedział, Margaret?

– Wczoraj, dopiero wczoraj – odpowiedziała, od razu wyczuwając, że to pytanie zostało podyktowane zazdrością. – Biedny papa! – próbowała nakierować myśli matki na to, przez co musiał przejść ojciec, i wzbudzić w niej współczucie.

Pani Hale uniosła głowę.

– Co on ma na myśli, mówiąc o wątpliwościach? – spytała. – Chyba nie uważa, że myśli inaczej ani że wie lepiej niż Kościół?

Margaret potrząsnęła głową i do oczu napłynęły jej łzy, bo matka dotknęła samego jądra jej własnej zgryzoty.

– Czy biskup nie może mu wszystkiego wyjaśnić? – spytała starsza dama niecierpliwie.

– Obawiam się, że nie – odpowiedziała Margaret. – Ale nie pytałam. Bałam się tego, co mógłby mi odpowiedzieć. Tak czy inaczej wszystko jest już ustalone. Opuści Helstone w ciągu dwóch tygodni. Nie jestem pewna, ale chyba wspominał, że złożył już akt rezygnacji.

– W ciągu dwóch tygodni! – wykrzyknęła pani Hale. – Myślę, że to takie dziwne, takie nie w porządku. Prawdziwa bezduszność – oznajmiła i zaczęła szukać ulgi we łzach. – Ma wątpliwości, tak mówiłaś, i zrzeka się beneficjum, a to wszystko bez porozumienia ze mną. Jestem pewna, że gdyby mnie pierwszej zwierzył się ze swych wątpliwości, zdusiłabym je w zarodku.

Jakkolwiek Margaret uważała postępowanie ojca za niewłaściwe, nie mogła znieść, że matka go obwinia. Wiedziała, że jego skrytość brała się z czułości wobec żony i choć mógł zgrzeszyć tchórzliwością, z pewnością jego serce nie znało bezduszności.

– A ja prawie miałam nadzieję, mamó, że ucieszysz się z wyjazdu z Helstone – powiedziała Margaret po chwili. – Sama wiesz, że nigdy nie czułaś się dobrze w tutejszym powietrzu.

– Chyba nie sądzisz, że zadymione powietrze w przemysłowym mieście, takim jak Północne Milton, z jego kominami i sadzami, będzie lepsze niż tutaj. Tu jest tak czysto i słodko, nawet jeśli powietrze jest trochę osłabiające. Wyobraź sobie tylko mieszkanie pośród fabryk i tych robotników. Choć, oczywiście, skoro twój ojciec opuszcza Kościół, to i tak nie będziemy nigdzie przyjmowani. Cóż to za hańba dla nas! Biedny, kochany sir John! Dobrze, że nie dożył tej chwili i nie musi oglądać tego, do czego doprowadził twój ojciec. Gdy byłam dziewczynką i mieszkałam w Beresford Court z twoją ciotką Shaw, codziennie po obiedzie sir John wznosił pierwszy toast: „Za Kościół i króla. I na pohybel antymonarchistom!”

Dziewczyna była zadowolona, że myśli matki nie wracały do znaczącego milczenia męża na temat kłuczowych w jego życiu spraw, bo dla Margaret to właśnie było najboleśniejszą okolicznością, oczywiście zaraz za poważnym niepokojem o naturę wątpliwości gnębiących ojca.

– Wiesz przecież, mamo, że tu i tak prawie nie mieliśmy towarzystwa. A Gormanowie, którzy są naszymi najbliższymi sąsiadami... o ile można ich nazwać towarzystwem, a poza tym prawie ich nie widzimy... zajmują się handlem dokładnie tak samo jak ci ludzie w Milton.

– Tak – odpowiedziała pani Hale oburzonym tonem – ale Gormanowie przynajmniej wytwarzają powozy dla połowy utytułowanych ludzi w hrabstwie, więc utrzymują z nimi choć taki kontakt. A ci fabrykanci bawełny? Powiedz mi, jacy ludzie pod słońcem zakładają na siebie bawełnę, skoro stać ich na len?

– Dajmy sobie spokój z przędzalniami i ich właścicielami. Nie bronię ich ani trochę bardziej niż innych ludzi zajmujących się handlem. I tak nie będziemy mieli z nimi do czynienia.

– Co, na litość boską, skłoniło twego ojca, aby wybrać Milton jako miejsce zamieszkania?

– Częściowo to – odrzekła Margaret z westchnieniem – że tak bardzo różni się od Helstone, a częściowo przyczyniło się do tej decyzji zapewnienie pana Bella, że w Milton jest praca dla prywatnego nauczyciela.

– Prywatny nauczyciel w Milton! A dlaczego nie może pojechać do Oxfordu i uczyć dżentelmenów?

– Zapominasz, mamó, że ojciec odchodzi z Kościoła z powodu swoich poglądów. Jego wątpliwości unieвозмоżliwiłyby mu podjęcie pracy w Oxfordzie.

Pani Hale przez jakiś czas się nie odzywała, tylko cicho płakała. W końcu spytała:

– A meble? Jak nam się uda zorganizować całą tę przeprowadzkę? Nigdy w życiu nic takiego nie robiłam. I mamy tylko dwa tygodnie!

Margaret poczuła niewymowną ulgę, widząc, że poruszenie i rozpacz pani Hale opadły na tyle, iż zajęła się sprawami, które dla niej samej były nieistotne, ale przy których mogła wesprzeć matkę. Planowała, obiecywała i nakłaniała ją, aby rozpocząć organizację przeprowadzki przynajmniej w takim zakresie, w ja-

kim mogły cokolwiek ustalać, nie znając dokładnych zamiarów ojca. Przez cały dzień dziewczyna nie odstępowała matki na krok, próbując nadażyć ze współczuciem za wszystkimi zwrotami w jej uczuciach. W miarę jak zbliżał się wieczór, wzrastał jej niepokój, gdyż pragnęła, by jak najcieplejsze powitanie czekało ojca, gdy zmęczony wróci do domu po dniu wypełnionym rozpaczą. Próbowała uświadomić matce, jakie męki musiał znosić w samotności przez ten cały czas, ale pani Hale z uporem powtarzała chłodno, że powinien był się jej zwierzyć, a wtedy ona udzieliłaby mu odpowiedniej rady. Na dźwięk kroków ojca w holu Margaret poczuła słabość w sercu. Nie śmiała wyjść do niego i zdać mu relacji z tego, co działała, aby nie wywołać zazdrości matki. Słyszała, że zwlekał z wejściem do pokoju, tak jakby oczekiwał córki lub jakiegokolwiek od niej znaku, ale nie odważyła się ruszyć. Zauważyła, że matce trzęsą się usta i że zbladła, więc najwyraźniej ona również była świadoma powrotu pana Hale'a. Po chwili otworzył drzwi i stanął w progu, niepewny, czy powinien wejść. Jego twarz miała barwę jasnego popiołu, a spojrzenie było pełne takiego onieśmienia i strachu

prawie żałosnego w męskiej twarzy, że, chcąc nie chcąc, czuło się dla niego współczucie. Widoczna niepewność, rzucające się w oczy osłabienie ciała i umysłu przemówiły do jego żony. Podeszła do niego, zarzuciła mu rękę na szyję i krzyknęła:

– Och Richardzie, Richardzie! Powinieneś był mi powiedzieć już dawno!

Wtedy Margaret wybiegła z płaczem i pospieszyła po schodach na górę. Rzuciła się na swoje łóżko i ukryła twarz w poduszce, aby zdławić histeryczne łkanie, któremu w końcu dała upust po całym dniu zachowywania twardej samokontroli. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo tak leżała. Nie docierały do niej żadne dźwięki, mimo że do pokoju weszła służąca, aby przygotować sypialnię na noc. Przestraszona dziewczyna wymknęła się z powrotem na paluszkach i poszła powiedzieć Dixon, że panna Hale płacze tak, jakby jej pękało serce. Dodała też, że jeśli panienka się nie uspokoi, to wpędzi się w śmiertelną chorobę. W następstwie tego Margaret poczuła czyjś dotyk i gwałtownie zerwała się do pozycji siedzącej. Zobaczyła ten sam pokój co zawsze i zarys postaci Dixon, bo służąca matki trzy-

mała świecę lekko za sobą, bojąc się reakcji oczu zaskoczonej panienki, i tak już opuchniętych i zażawionych.

– Och Dixon, nie słyszałam, jak wchodziłaś! – zawołała Margaret, odzyskując szczątki swego opanowania. – Czy jest bardzo późno? – zapytała, unosząc się z trudem na łóżku i stawiając stopy na podłodze, ale nadal nie wstając. Odsuwała z twarzy wilgotne, potargane włosy i starała się wyglądać, jakby nic się nie stało, jakby tylko zasnęła.

– Nie mogę powiedzieć, która jest godzina – odpowiedziała Dixon tonem niezadowolenia. – Zupełnie straciłam poczucie czasu od chwili, gdy mama panienki przekazała mi te okropne wieści, kiedy ją ubierałam przed herbatą. A jak Charlotte powiedziała mi, że panienka płacze, panno Hale, pomyślałam: „Nic dziwnego, biedactwo!” A pan sobie wymyślił, że zostanie tym... jak mu tam... dysydem. W jego wieku, po tylu latach! A przecież jeśli nawet nie można powiedzieć, że dobrze sobie radził w Kościele, to nie szło mu tak najgorzej. Miałam kuzyna, panienko, który w wieku pięćdziesięciu lat został pastorem u metodystów. A przedtem był całe życie krawcem. No, ale to nie

dziwota, że zmienił zawód, bo przez te wszystkie lata ani razu nie udało mu się uszyć pasujących spodni. Ale nasz pan?! Powiedziałam do pani: „Co by powiedział biedny sir John? Nigdy nie podobało mu się, że wyszła pani za pana Hale’a, ale gdyby wiedział, czym to się skończy, miotałby jeszcze gorsze przekleństwa niż kiedykolwiek. O ile to w ogóle możliwe!”

Dixon była do tego stopnia przyzwyczajona do komentowania postępowania pana Hale’a wobec jego żony, a swojej pani – która słuchała tego lub nie, w zależności od kaprysu – że nie zauważyła błysków w oczach Margaret ani jej rozszerzających się nozdrzy. Słyszeć, jak służąca mówi o jej ojcu w taki sposób prosto w twarz!

– Dixon – powiedziała niskim tonem, którego zwykle używała w chwilach poruszenia, a słychać w nim było odgłosy odległej wrzawy lub przeraźliwej burzy szalejącej gdzieś daleko. – Dixon! Zapominasz, do kogo mówisz. – Stała prosto i pewnie naprzeciw służącej matki i mierzyła ją spokojnym, świetlistym spojrzeniem. – Jestem córką pana Hale’a. Odejdź! Popełniłaś fatalną pomyłkę, i to taką, której sama się będziesz wstydić, gdy tylko się nad tym zastanowisz.

Służąca przez chwilę kręciła się niezdecydowanie po pokoju, aż Margaret powtórzyła:

– Możesz odejść, Dixon. Chcę, żebyś sobie poszła.

Kobieta nie wiedziała, czy ma się obrazić za te zdecydowane słowa, czy rozplakać. Każda z tych metod odniosłaby skutek, gdyby chodziło o panią Hale, ale jak Dixon sama do siebie powiedziała: „Panna Margaret ma w sobie coś z naszego starego pana. To samo biedny panicz Frederick. Ciekawe, skąd im się to wzięło?” Mimo iż poczułaby śmiertelną urazę za takie słowa wypowiedziane przez kogoś mniej wyniosłego i zdecydowanego, została poskromiona na tyle, że zapytała na wpół z pokorą, a na wpół tylko z urazą:

– Może rozepnę panience suknię i rozczeszę włosy?

– Nie. Nie dzisiaj. Dziękuję.

Margaret właściwie wyprosiła służącą z pokoju – bez słowa otworzyła przed nią drzwi, a potem je za nią zamknęła. Od tej chwili Dixon podziwiała pannę Hale i podporządkowała się jej. Twierdziła, że to z powodu podobieństwa do biednego panicza Fredericka, ale prawda była taka, że podobnie jak wiele innych osób lubiła być pod panowaniem silnej i zdecydowanej osobowości.

Margaret potrzebowała od Dixon pomocy w działaniu i umiaru w słowach. Przez jakiś czas służąca uznała za swój obowiązek okazywać urazę i odzywać się jak najmniej do swej młodej pani, więc cała jej energia znajdowała ujście w czynach. Dwa tygodnie to naprawdę niewiele czasu na zorganizowanie tak poważnej przeprowadzki. Jak Dixon powiedziała: „Każdy, tylko nie dżentelmen...”, ale spojrzawszy na ściągnięte brwi Margaret, pokryła resztę zdania kaszlem, a potem potulnie przyjęła zaoferowaną przez panienkę drażetkę miętową, żeby uspokoić „to lekkie łaskotanie w piersi”. Jednakże chyba każdy poza panem Hale’em miałby wystarczająco dużo praktycyzmu, aby wiedzieć, że w tak krótkim czasie będzie bardzo trudno znaleźć dom w Północnym Milton lub gdziekolwiek indziej, dokąd mogliby przewieźć meble, które należało usunąć z plebanii w Helstone.

Pani Hale, pokonana przez kłopoty, komplikacje i konieczność podejmowania natychmiastowych decyzji, które zdawały się spadać jej na głowę jednocześnie, zachorowała i Margaret poczuła ulgę, gdy matka położyła się do łóżka, pozostawiając jej zarząd nad całą

operacją. Dixon, wierna roli strażniczki i opiekunki, czuwała przy swojej pani i wynurzała się z sypialni pani Hale tylko po to, by potrząsać głową i mrużyć do siebie w tak złowieszczy sposób, że Margaret wołała tego nie słuchać. Miała bowiem przed sobą jasno wytyczony cel – opuszczenie Helstone. Następca pana Hale’a został wyznaczony, nie wolno było więc zwlekać, i to z wielu powodów, nie tylko ze względu na ojca. On zaś wracał każdego dnia do domu coraz bardziej przygnębiony pożegnalnymi spotkaniami, gdyż zdecydował się je przeprowadzić z każdym parafianinem z osobna. Margaret nie miała doświadczenia w praktycznych sprawach, które musiały być załatwione, a nie było nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić z prośbą o radę. Na szczęście kucharka i Charlotte miały ręce chętne do pracy i mężne serca. Dzięki rozsądkowi panny Hale, który podpowiadał jej najlepsze rozwiązania, przygotowania do przenosin posuwały się zatem, przynajmniej jeśli chodzi o pakowanie. Ale dokąd mieli się udać? W ciągu tygodnia muszą opuścić Helstone. Czy jechać od razu do Milton, czy gdzieś indziej? Tak wiele kolejnych ustaleń zależało od tej

jednej decyzji, że pewnego wieczoru Margaret zdecydowała się spytać o to ojca, mimo jego wyraźnego zmęczenia i przygnębienia.

– Moja droga! – odpowiedział. – Naprawdę miałem zbyt wiele na głowie, żeby to ustalić. A co mówi matka? Jakie ma życzenia? Biedna Maria!

Odpowiedziało mu echo, głośniejsze nawet niż jego własne westchnięcie. Do pokoju weszła właśnie Dixon po kolejną filiżankę herbaty dla pani Hale. Usłyszała ostatnie słowa pana domu i czując się bezpieczna w jego obecności przed karcącym wzrokiem Margaret, ośmieliła się powiedzieć:

– Moja biedna pani.

– Chyba nie sądzisz, że jej się pogorszyło? – spytał, odwracając się pospiesznie.

– Naprawdę nie umiem powiedzieć. Nie mnie o tym sądzić. Jej choroba wydaje się zależeć bardziej od ducha niż od ciała.

Pan Hale wyglądał na bezbrzeżnie zmartwionego.

– Zabierz lepiej dla mamy herbatę, póki jest jeszcze gorąca, Dixon – przykazała Margaret cicho, ale ze stanowczością w głosie.

– Och, przepraszam, panienko. Zająłam się myślami o mojej biednej... o pani Hale.

– Papo! – powiedziała Margaret. – To napięcie jest niekorzystne dla was obojga. To jasne, że mama odczuje konsekwencje twojej zmiany przekonań, i nic na to nie poradzimy – ciągnęła miękko – ale kierunek został wytyczony, przynajmniej do pewnego miejsca. I myślę, ojczy, że zdołałabym namówić mamę, aby pomogła mi w planowaniu, o ile tylko powiesz mi, co mamy planować. Mama nigdy nie wyraziła jakiegokolwiek życzenia, a tylko roztrząsa to, na co i tak nie mamy wpływu. Powiedz mi, czy jedziemy prosto do Milton? Wynająłeś tam dom?

– Nie – odpowiedział. – Myślę, że tymczasowo zatrzymamy się w wynajętych pokojach i rozejrzemy się za domem.

– Czy zatem meble powinny być tak spakowane, byśmy do czasu znalezienia domu mogli je zostawić na stacji?

– Sądzę, że tak. Rób, co uważasz za najlepsze. Pamiętaj tylko, że będziemy mieli znacznie mniej pieniędzy.

Z tego, co wiedziała Margaret, nigdy nie mieli nadwyżek finansowych. Nagle poczuła, że zrzucano jej na ramiona ogromny ciężar. Zaledwie cztery miesiące wcześniej jedyne decyzje, które musiała podejmować, dotyczyły tego, jaką suknię powinna założyć do obiadu oraz jak najlepiej usadzić gości podczas wieczornych przyjęć na Harley Street. Samo tamtejsze gospodarstwo domowe nie należało do takich, które wymagają wiele wglądu czy ingerencji, i pomijając jedną przełomową kwestię związaną z oświadczeniami kapitana Lennox, wszystko inne przebiegało z regularnością zegarka. Raz do roku odbywała się wielka debata pomiędzy ciotką a Edith, czy powinny wyjechać na wyspę Wight, za granicę czy do Szkocji, ale Margaret to nie dotyczyło. Nawet się o to nie starając, bezpiecznie dryfowała wtedy w stronę cichej przystani rodzinnego domu. Teraz jednak, od dnia, kiedy propozycja pana Lennox tak ją zaskoczyła i zmusiła do podjęcia decyzji, każdy dzień przynosił nowe pytania i dylematy, które musiały zostać rozstrzygnięte, a wszystkie te kwestie miały najwyższą wagę zarówno dla niej, jak i dla tych, których kochała.

Po herbacie ojciec poszedł na górę, aby posiedzieć trochę przy żonie, a Margaret została w salonie sama. Naraz wzięła świecę i poszła do biblioteki po wielki atlas. Przytaszczyła go do salonu i zagłębiła się w studiach nad mapą Anglii. Gdy ojciec wrócił na dół, powitała go jasnym spojrzeniem.

– Wpadłam na świetny pomysł. Spójrz tu! W Darkshire, o niecałą szerokość mojego palca od Milton, leży Heston. Słyszałam od wielu osób mieszkających na Północy, że to takie urocze, niewielkie kąpielisko. Co byś powiedział na to, żeby mama pojechała tam z Dixon i została do czasu, aż ty i ja znajdziemy i przygotujemy dom w Milton? Trochę morskiego powietrza dobrze by jej zrobiło przed zimą, a poza tym oszczędzilibyśmy jej zmęczenia. Wiem, że Dixon z przyjemnością się mamą zaopiekuje.

– Dixon jedzie z nami? – spytał pan Hale z konsternacją i niepokojem.

– Och, tak! – odpowiedziała Margaret. – Ona jest całkowicie zdecydowana, a poza tym sądzę, że mama nie dałaby sobie bez niej rady.

– Ale obawiam się, że będziemy musieli radzić sobie

od tej pory zupełnie inaczej. W mieście wszystko jest droższe. Wątpię, by Dixon się tam podobało. Szczerze mówiąc, Margaret, czasami odnoszę wrażenie, że ta kobieta zadziera nosa.

– Tak właśnie jest, papo – odpowiedziała – ale skoro ona będzie musiała się pogodzić z innym stylem życia, my będziemy musieli się pogodzić z jej humorami, bo nadejdą jeszcze gorsze. Ale ona naprawdę nas kocha i czułaby się okropnie, gdyby musiała nas opuścić, zwłaszcza w naszej obecnej sytuacji. Jestem tego pewna. Więc ze względu na mamę i ze względu na wierność samej Dixon myślę, że ona musi z nami pojechać.

– Dobrze, kochanie. Kontynuuj. Ja się poddam. Jak daleko jest z tego Heston do Milton? Szerokość twojego palca nie pozwala mi nabrać pojęcia o tej odległości.

– Cóż, oceniam, że to około trzydziestu mil. To nie jest dużo.

– Nie w odległości, ale w... Zresztą nieważne. Jeśli jesteś przekonana, że to będzie dobre dla matki, to tak to zorganizujemy.

To był wielki krok naprzód. Teraz Margaret mogła na poważnie zająć się planowaniem, pracą i działaniem,

a pani Hale mogła wyrwać się ze swego bezwładu i zapomnieć o cierpieniach, myśląc o czekającej ją rozkoszy pobytu nad morzem. Żałowała jedynie, że mąż nie będzie jej towarzyszył w ciągu tych dwóch tygodni, które miała spędzić w Heston, gdyż byłoby zupełnie tak samo jak wtedy, gdy w czasie narzeczeństwa przyjechał na całe czternaście dni do Torquay, gdzie przebywała z sir Johnem i lady Beresford.

VI

POŻEGNANIE

*Tęskniący konar, wiatrem poruszony
Lekki puch kwiatu dokola rozsiej.
Buk opuszczony do cna zbrązowieje,
A klon płomienny splotnie niespełniony.
Niczyj słonecznik płatków promykami
Świetliście ujmie swych ziarenek lico.
Goździki lata zapachem nasycą
Tylko powietrze, śpiewne owadami.
Aż się na nowo do życia obudzi
Ta sama natura i ten ogród cały;
I rok po roku będą się doń śmiały
Oczy i serce dziecka innych ludzi.
Jak rok w rok nowy ogrodnik strudzony
Dbać będzie, aby kwiaty nadal mogły kwitnąć,*

*Tak rok po roku z wolna będą niknąć
Nasze wspomnienia tamtych wzgórz zielonych.*

*Alfred Tennyson, „In memoriam”,
przeł. Joanna Puchalska*

Wreszcie nadszedł ten ostatni dzień. Dom był pełen spakowanych pudeł, które grupowano przy drzwiach wejściowych i stopniowo przewożono na najbliższą stację kolejową. Nawet trawnik z boku domu wyglądał brzydko i nieporządnie, bo pokrywała go słoma wywiana z domu przez otwarte drzwi i okna. Opustoszałe pokoje pobrzmiwały okropnym echem, a słońce ostro i nieprzyjaźnie wpadało przez pozbawione zasłon okna, pogłębiając jeszcze wrażenie obcości i nieprzytulności. Do ostatniej chwili nietknięta pozostała gotownia pani Hale, gdzie teraz ona z Dixon pakowały ubrania, przeszkadzając sobie nawzajem, wykrzykując i pokazując jedna drugiej różne zapomniane skarby, pochodzące z czasów, gdy dzieci były jeszcze małe. Nie wydawało się, aby w ich pracy dokonywał

się jakikolwiek postęp. Na dole Margaret zachowała zimną krew, gotowa podejmować decyzje i radzić ludziom zatrudnionym do pomocy kucharce i Charlotte. Te dwie ostatnie, popłakując od czasu do czasu, zastanawiały się, jak młodej pani udaje się tak dobrze znieść ten ostatni dzień, i w końcu zgodziły się co do tego, że po tylu latach pobytu w Londynie Margaret po prostu nie dba o Helstone. A ona stała tam, blada i cicha, obserwując wszystko swymi wielkimi poważnymi oczami, zauważając każdy najmniejszy szczegół. Nikt nie rozumiał, jak bardzo krwawiło jej serce, jaki czuła ucisk, którego żadne westchnienia nie mogły poluzować, jak ogromny wysiłek musiała włożyć w to, by nie pogrążyć się w rozpacz i bólu. Kto by się jednak tym wszystkim zajął, gdyby ona się poddała? Ojciec w zakrystii sprawdzał z kancelistą dokumenty, księgi i różne rejestry. Gdy wracał do domu, musiał pakować swe książki, bo nie zgodził się komukolwiek powierzyć tej pracy. Przede wszystkim jednak czy Margaret była osobą, która załamałaby się w obecności obcych ludzi lub chociażby starych domowników, takich jak kucharka lub Charlotte? Nigdy.

W końcu czterej pakowacze poszli do kuchni wypić herbatę, a Margaret ruszyła się sztywno i ociężale z miejsca w holu, gdzie stała tak długo. Przeszła przez opustoszały i rozbrzmiewający echem salon i wyszła na zewnątrz, prosto w zapadający zmrok listopadowego wieczoru. Lekka zasłona szarej mgiełki zaciemniała widok, ale go nie ukrywała, nadając za to przedmiotom liliowy odcień, jako że słońce nie zniknęło jeszcze całkowicie za horyzontem. Śpiewał rudzik i Margaret pomyślała, że to może ten sam, o którym ojciec opowiadał jako o swoim oswojonym zimowym przyjacielu i dla którego własnoręcznie zbudował domek przy oknie biblioteki. Liście były teraz wspanialsze niż kiedykolwiek, choć niedługo pierwszy mróz miał zrzucić je wszystkie na ziemię. Już teraz pojedynczo, lecz jednostajnie spływały w dół, bursztynowe i złote w skośnych promieniach zachodzącego słońca.

Margaret ruszyła ścieżką wzdłuż muru obsadzonego gruszami. Nie była tam od czasu, gdy przemierzyła tę drogę u boku Henry'ego Lennox. Tutaj, przy tej grządce tymianku, zaczął mówić o tym, o czym teraz nie wolno jej było nawet myśleć. Gdy wtedy próbowała

odpowiedzieć, jej oczy spoczywały na tej późno kwitnącej róży, a w samym środku jego ostatniego zdania złapała się na tym, że myśli o jaskrawej urodzie piezrastych liści marchewki. Tylko czternaście dni i takie zmiany! Gdzie on teraz jest? W Londynie? Przemierza dawną trasę? Je obiad z towarzystwem z Harley Street? A może z własną, jeszcze weselszą grupą? Nawet teraz, gdy Margaret szła ze smutkiem przez wilgotny i ponury ogród pogrążony w półmroku, gdzie wszystko dookoła opadało, więdło i niszczało, on po całym dniu satysfakcjonującego znoju odkładał, być może, prawnicze książki i, jak jej to wielokrotnie opowiadał, odświeżał się, zażywając ruchu w ogrodach Temple, gdzie słuchał stłumionych odgłosów miasta, bliskiego, lecz niewidocznego stamtąd, i obserwował odbicia jego świateł w wodach rzeki. Często, w przypiływie dobrego humoru, wspominał Margaret o tych pospiesznych spacerach, na które wyrывał się w przerwach między pracą a obiadem, a ona lubiła te opowieści.

Tutaj panowała cisza. Rudzik zamilkł w nieruchomym bezmiarze nocy. Od czasu do czasu drzwi jednego z okolicznych domków otwierały się i zamykały, jak-

by dopuszczając do wnętrza zmęczonych pracą mieszkańców osady. Te odgłosy dochodziły jednak z oddali, natomiast ciche, ukradkowe szmery wśród szelestu opadłych liści w lesie za ogrodem wydawały się bliższe na wyciągnięcie dłoni. Margaret wiedziała, że to jeden z kłusowników. Gdy minionej jesieni przesiadywała w swej sypialni przy zgaszonej świecy, ciesząc się uroczystym pięknem niebios i ziemi, wielokrotnie widziała bezgłośnie, lekkie przeskoki kłusowników ponad furtką, ukradkowe przemykanie się przez pokryty rosą i oświetlony światłem księżycy trawnik, a w końcu znikające w cieniu w głębi ogrodu sylwetki. Nieokiełznana wolność i pełne przygód życie tych ludzi pociągały ją i Margaret szczerze życzyła im powodzenia. Wtedy nie odczuwała przed nimi strachu. Ale dzisiaj się bała, choć nie wiedziała dlaczego. Usłyszała, jak Charlotte zamyka okna i rygluje je na noc, nieświadoma, że ktokolwiek wyszedł z domu do ogrodu. Uszkodzona lub złamana gałąź ciężko spadła na ziemię w najbliższej części lasu. Margaret zaczęła biec w stronę domu, szybka jak łania, dopadła przeszklonych drzwi i uderzała w nie z drżącym pośpiechem, czym przestraszyła Charlotte.

– Wpuść mnie, wpuść mnie! To tylko ja, Margaret!

Jej serce nie przestało trzepotać, dopóki nie znalazła się bezpieczna w salonie, z oknami zamkniętymi na skoble, wśród przyjaznych ścian chroniących ją ze wszystkich stron. Usiadła na jednej ze skrzyń. Pokój, całkowicie już pozbawiony wyposażenia, był ponury i wyziębiony. Nie było ognia na kominku ani żadnego światła poza płomieniem jednej długiej świecy trzymanej przez Charlotte. Służąca przyglądała się panience z zaskoczeniem, a Margaret wyjaśniła jej, wstając:

– Wystraszyłam się, że zostanę na zewnątrz, Charlotte. Wtedy już byś mnie nie usłyszała z kuchni, a drzwi prowadzące na dróżkę i na dziedziniec kościelny są od dawna zamknięte.

– Nie ma obawy, panienko, szybko bym za panienką zatęskniła. Ci ludzie będą chcieli wiedzieć, co mają dalej robić. A ja zaniiosłam herbatę do biblioteki pana, bo to chyba jeszcze najwygodniejszy pokój, o ile można tak powiedzieć.

– Dziękuję ci, Charlotte. Dobra z ciebie dziewczyna. Będzie mi przykro rozstawać się z tobą. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy lub rady, musisz

spróbować napisać do mnie. Wiesz, że zawsze będę zadowolona z listu z Helstone. Wyślę ci mój adres, kiedy tylko się urządzimy.

Pokój ojca był przygotowany do herbaty. Na kominku płonął ogień, a na stole stały niezapalone świece. Margaret usiadła na dywaniku, częściowo po to, aby się rozgrzać, bo przez osiadłą na jej sukni wieczorną wilgoć i zmęczenie zrobiło jej się chłodno. Splotła dłonie wokół kolan dla utrzymania równowagi, a głowę opuściła lekko w dół. Jakikolwiek był stan jej umysłu, sama postawa wyrażała przygnębienie, ale na dźwięk kroków ojca na żwirowej ścieżce od razu się zerwała. Pospiesznie przyglądała gęste czarne włosy, wytarła kilka zdradzieckich łez, które nie wiadomo jak wymknęły się na jej policzki, i ruszyła otworzyć ojcu drzwi. Objawiał znacznie silniejszy smutek niż ona. Z trudem udało jej się nakłonić go do rozmowy, choć próbowała poruszać interesujące go tematy, co dla niej samej było wysiłkiem prawie przekraczającym możliwości.

– Daleko dzisiaj poszedłeś? – spytała, widząc, że odmówił jakiegokolwiek jedzenia.

– Aż do Fordham Beeches. Chciałem spotkać się z wdową Maltby. Jest głęboko zasmucona, że nie miała okazji pożegnać się z tobą. Powiedziała, że mała Susan przez ostatnie dni nie przestawała wypatrywać cię na drodze. Cóż to, Margaret? Co się stało, kochanie?

Myśl o czekającym na nią dziecku i o sprawionym mu zawodzie, co wynikało przecież nie z zaniedbania czy zapomnienia, ale z niemożności opuszczenia domu i obowiązków, była ostatnią kroplą, która przelała czarę bólu i rozpacz Margaret. Wstrząsnęło ją łkanie, jakby miało jej pęknąć serce. Pan Hale był poruszony i zdenerwowany. Podniósł się i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Dziewczyna usiłowała się uspokoić, ale nie chciała się odzywać, dopóki nie odzyska nad sobą panowania. Słyszała za to, jak ojciec mówił do siebie:

– Nie mogę tego znieść. Nie mogę patrzeć na cierpienie innych. Własne wytrzymałbym z cierpliwością. Och, czy nie ma drogi powrotnej?

– Nie, ojczu – powiedziała niskim, pewnym głosem, patrząc mu prosto w oczy. – Źle jest wierzyć, że trwasz w błędzie. Ale stokroć gorzej byłoby uważać cię za hipokrytę.

Obniżyła trochę ton przy ostatnich słowach, jakby rozważanie choć przez moment dwulicowości ojca miało posmak braku należnego mu szacunku.

– Poza tym – ciągnęła – to wszystko przez to, że jestem zmęczona. Nawet nie myśl o tym, że cierpię przez twoją decyzję, papo. Wydaje mi się, że żadne z nas nie nadaje się dziś wieczór do rozmowy na ten temat – dodała, czując, że niezależnie od jej woli fala łez i łkania napływa. – Lepiej pójdę i zaniosę mamie filiżankę herbaty. Poprzednią dostała dawno temu, a byłam zbyt zajęta, by do niej potem pójść, więc jestem pewna, że będzie zadowolona ze świeżej.

Następnego ranka godzina odjazdu pociągu nieubłaganie oderwała ich od uroczego, kochanego Helstone. Odjechali. Po raz ostatni widzieli długą, niską plebanię, na wpół ukrytą za chińskimi różami i ognikami. Nigdy przedtem nie była im tak droga jak teraz, gdy poranne słońce lśniło w oknach, z których każde należało do jednego z ukochanych pokoi. Wsiedli do przysłanego z Southampton powozu, który miał zawieźć ich na stację, i opuścili dom, by nigdy doń nie powrócić. Ból w sercu Margaret sprawił, że

próbowała po raz ostatni spojrzeć na wieżę kościelną, którą można było dostrzec ponad lasem, gdy wjechali w zakręt drogi. Ale jej ojciec również pamiętał o tym widoku i dziewczyna milcząco uznała jego prawo do miejsca przy oknie, przez które wieża będzie widoczna. Cofnęła się w głąb powozu i zamknęła oczy, w których zakręciły się łzy. Na moment zawisły, błyszcząc, na rzęsach, a potem powoli spłynęły jej po policzkach i niezauważone skapnęły na suknię.

Zamierzali zatrzymać się na noc w jakimś cichym hotelu w Londynie. Biedna pani Hale, jak można się było spodziewać, przepłakała prawie cały dzień. Dixon natomiast dawała upust troskom, okazując skrajną złość i w irytujący sposób strzegąc swych halek przed przypadkowym dotknięciem nieświadomego tych wysiłków pana Hale'a, którego służąca uważała za przyczynę wszystkich nieszczęść.

Przemierzali dobrze sobie znane ulice, mijali domy, które zwykli byli odwiedzać, sklepy, w których Margaret traciła czas, niecierpliwie czekając na ciotkę, bez końca podejmującą jakieś ważne decyzje, mijali znajomych na ulicach. Ranek zdawał się nieskoń-

czenie długi i ciągle odnosili wrażenie, że już dawno powinno się ściemnić, gdyż wyczekiwali odpoczynku. Pora, w której dotarli wreszcie do Londynu, była jednak dla mieszkańców miasta najbardziej pracowitą godziną popołudnia. Pani Hale od bardzo dawna nie była w stolicy, więc teraz co chwila podrywała się jak dziecko, by przyglądać się ulicom, wpatrywać się w przejeżdżające powozy i wykrzykiwać komentarze na widok sklepów:

– Och, tu jest magazyn Harrisona, tam kupiłam mnóstwo rzeczy do mojej wyprawy. Ależ się zmieniło! I jakie mają olbrzymie tafle szklane w oknach! Większe nawet niż Crawford w Southampton. A tutaj, no, słowo daję, to jest... nie, to naprawdę... Margaret, właśnie minęliśmy pana Henry'ego Lennox'a. Co on tu robi między tymi wszystkimi sklepami?

Panna Hale gwałtownie wychyliła się do przodu i natychmiast cofnęła z powrotem, śmiejąc się w duchu ze swego raptownego manewru. Oddalili się już na sto metrów. Był dla niej jak wspomnienie Helstone, kojarzył się z jasnym porankiem i z owym dniem tak obfitym w wydarzenia. Z przyjemnością by go zobaczyła,

ale tak, aby on nie widział jej i aby jej nie groziło, że będzie musiała z nim rozmawiać.

Wieczór spędzili w pokoju hotelowym, a ponieważ nie zaplanowali żadnych zajęć, czas ciągnął się w nieskończoność. Pan Hale poszedł do swego księgarza, a potem do kilku przyjaciół. Wszyscy ludzie, których widzieli, czy to na ulicy, czy w budynku hotelu, wydawali się spieszyć na umówione spotkanie, oczekiwani przez kogoś lub sami kogoś oczekujący. Tylko oni byli obcy, samotni, odizolowani. A przecież o kilometr stąd Margaret знаła każdy dom, gdzie zarówno ona sama, jak i jej matka, przez wzgląd na ciotkę Shaw, zostałyby serdecznie powitane, gdyby tylko zdołały przywołać na twarz uśmiech lub choćby wyraz względnego spokoju. Jednakże, jeśli przyniosłyby ze sobą zmartwienie i potrzebowały współczucia lub pomocy w rozwiązaniu swych kłopotów, nie byłyby już tak mile widziane, gdyż domy te należały do bliskich znajomych, lecz nie przyjaciół. Życie w Londynie jest zbyt wypełnione, zbyt szybkie i wirujące, by móc zaoferować strapionym choć godzinę głębokiej ciszy, owego współczucia, okazanego Hiobowi przez jego przyjaciół, gdy „siedzieli

z nim na ziemi siedem dni i siedem nocy, nikt nie wyrzekł słowa, bo widzieli ogrom jego bólu”*.

* Fragment z *Księgi Hioba* (2:13).

VII

NOWE MIEJSCA, NOWE TWARZE

*Mgła tłumi słońce
Z chat karłowatych
Dym w krąg mnie otacza*

*Matthew Arnold, „Consolation”,
przet. Juliusz Żuławski*

Następnego popołudnia około dwudziestu mil od Milton skręcili w boczną linię kolejową, która prowadziła do Heston. Miasteczko skupiało się przy jednej długiej ulicy, ciągnącej się wzdłuż wybrzeża, i miało własny charakter, tak samo różny od kąpielisk na południu Anglii, jak one z kolei niepodobne były do tego typu miejsc na kontynencie.

W Heston, używając szkockiego określenia, wszystko wydawało się pożyteczne i czemuś służące. Do budowy wiejskich wozów używano większej ilości żelaza niż na Południu, a uprzęż w mniejszym stopniu składała się tu ze skóry i drewna. Ludzie widoczni na ulicach przybyli rzekomo do Heston dla przyjemności, ale i tak ich umysły nie znały odpoczynku. Kolory były jakby bardziej szare, praktyczne, nie takie wesołe i urocze jak tam, skąd przybyła Margaret. Nie widywało się kitli ani fartuchów, nawet wśród wieśniaków; spowalniały ruchy, a poza tym często wkręcały się w tryby maszyn, więc po prostu przestano je nosić. W nadmorskich miastach na Południu Margaret widywała sklepikarzy, którzy mieli zwyczaj od czasu do czasu poleniuchować na progu, ciesząc się świeżym powietrzem i dokładnie lustrując ulicę. Tutaj, jeśli sprzedawcy nie mieli klientów i dysponowali odrobiną czasu, znajdowali sobie natychmiast zajęcie, choćby to miało być, jak Margaret sobie wyobrażała, rozwijanie i ponowne zwijanie rolek ze wstążkami. Wszystkie te różnice zaobserwowała, gdy następnego ranka wyszły z matką w poszukiwaniu tymczasowego mieszkania.

Dwie noce spędzone w hotelach kosztowały więcej, niż pan Hale się spodziewał, i byli bardzo zadowoleni, że już pierwsze oglądane pokoje do wynajęcia okazały się czyste i miłe. Margaret po raz pierwszy od wielu dni poczuła, że odpoczywa, a z tym wytchnieniem łączyły się chwile rozmarzenia, czemu samo otoczenie wyjątkowo sprzyjało. Odległe morze uderzało miarowo w piaszczysty brzeg, a gdzieś bliżej słychać było krzyki chłopców prowadzących osiołki. Niezwykłe sceny przesuwały się przed jej oczyma, ale w swym rozleniwieniu nie próbowała ich nawet analizować, więc przemijały: spacer na plaży, wdychanie morskiego powietrza, tak łagodnego i ciepłego na tym wybrzeżu, mimo że zbliżał się już koniec listopada, długa, zamglona linia horyzontu, gdzie morze stykało się z łagodnym w kolorze niebem, biały żagiel odległej łodzi, który srebrzył się nagle w bladych promieniach słonecznych. Wydawało jej się, że mogłaby tak przemarzyć życie w owym luksusie stanu niemyślenia, w jakim się pogрузyła, bo nie śmiała rozważać przeszłości, a nie życzyła sobie wyobrazać przyszłości.

Tej przyszłości trzeba było jednak stawić czoło, nie-

zależnie od tego, jak trudna i twarda miałyby się okazać. Pewnego wieczoru ustalono, że następnego dnia Margaret z ojcem pojedą do Północnego Milton i rozejrzą się za jakimś domem. Pan Hale otrzymał sporo listów od pana Bella, a także kilka od pana Thorntona. Zależało mu na tym, aby jak najszybciej ustalić szczegóły dotyczące przyszłego zajęcia i zbadać szanse na powodzenie, a mógł to zrobić tylko podczas osobistej rozmowy z panem Thorntonem. Margaret uświadamiała sobie, że powinni się przenieść do Milton jak najszybciej, ale odczuwała do tego przemysłowego miasta taką odrazę i tak wierzyła w dobroczynny wpływ morskiego powietrza na zdrowie matki, że chętnie odroczyłyby w czasie ich wyprawę.

Kilka mil przed celem podróży zobaczyli wielką ołowianą chmurę wiszącą nad horyzontem po tej stronie, w którą właśnie zmierzali. Ta skłębiona poducha wydawała się jeszcze ciemniejsza, bo kontrastowała z bladym, szarobłękitnym kolorem nieba, typowym dla zimy, której nieubłagane zbliżanie się potwierdzały pierwsze poranne przymrozki. Im bliżej miasta, tym bardziej wyczuwalny był w powietrzu nie tylko

zapach, ale także smak dymu, choć być może to, co odczuwali, było bardziej wrażeniem wywołanym brakiem zapachu trawy i ziół. Szybko przesuwali się długą prostą ulicą, budzącą poczucie beznadziei, regularnie zabudowaną identycznymi domkami z cegły. Od czasu do czasu ukazywały się ogromne, podłużne budynki o wielu oknach. Fabryki. Stały w otoczeniu domów, jak kura pomiędzy kurczakami, i wyrzucały z siebie czarny, „nieparlamentarny”^{*} dym, co stanowiło wystarczające wyjaśnienie dla chmury, którą Margaret wzięła za zwiastuna deszczu. Gdy jechali szerszymi ulicami z dworca kolejowego do hotelu, ciągle musieli się zatrzymywać, gdyż wielkie wozy towarowe blokowały nie dość szerokie jezdnie. W czasie przejazdów z ciotką Margaret bywała w centrum Londynu, ale tam ciężkie, niezdarne pojazdy przemieszczały się z wielu różnych powodów i z różnymi ładunkami. W Milton każdy wóz, wózek czy fura były wypełnione tylko bawełną, zarówno tą nieprzerobioną w workach, jak również w formie bel utkanej surówki. Ludzie tłoczyli się na

* Określenie odnosi się do prawa ustanowionego przez angielski parlament w 1847 r., nakazującego fabrykom utylizację wytwarzanego przez nie dymu.

chodnikach, a ich ubiór, choć z dobrego materiału, wydawał się niechlujny i niestaranny, bardzo różniący się od znoszonej co prawda i niekiedy wyświechtanej, ale mimo to szykownej odzieży przedstawicieli tej samej klasy, widywanych w Londynie.

– New Street – powiedział pan Hale. – To, jak przypuszczam, główna ulica w Milton. Bell często mi o niej opowiadał. To właśnie dzięki poszerzeniu jej trzydzieści lat temu i zmianie z polnej drogi w jezdnię jego posiadłość tak zyskała na wartości. Przędzalnia pana Thorntona musi być gdzieś tu w okolicy, bo jest on dzierżawcą pana Bella. Zresztą przypuszczam, że urodził się mniej więcej w czasie tych zmian i powstawania budynków fabryki.

– Gdzie jest nasz hotel, papo?

– Przy końcu tej ulicy, jak sądzę. Zjemy lunch przed czy po obejrzeniu tych domów, które zaznaczyliśmy w „Milton Times”?

– Wykonajmy może najpierw naszą pracę.

– Doskonale. W takim razie sprawdzę tylko, czy nie ma dla mnie żadnej notki lub listu od pana Thorntona, gdyż obiecał, że da mi znać, jeśli usłyszy

cokolwiek o tych domach, a potem możemy wyruszyć. Zatrzymamy dorożkę, co uchroni nas przed zgubieniem się i spóźnieniem na popołudniowy pociąg.

Na pana Hale'a nie czekał żaden list, więc od razu rozpoczęli poszukiwania domu. Trzydzieści funtów na rok stanowiło wszystko, co mogli wydać na wynajem, ale za te pieniądze w Hampshire znaleźliby przestronny dom ze sporym ogrodem. Tutaj natomiast lokum z niezbędnymi dwoma bawialniami i czterema sypialniami wydawało się za tę kwotę nieosiągalne. Odwiedzili wszystkie domy z listy i kolejno je wykreślali. W końcu spojrzeli na siebie z jawnym niepokojem.

– Myślę, że musimy wrócić do tego drugiego na wykazie. Tego w Crompton, chyba tak się nazywa to przedmieście. Tam były trzy salony. Pamiętasz, jak się śmialiśmy z tylu salonów w porównaniu z trzema zaledwie sypialniami? Już to przemyślałam. Ten frontowy pokój na dole będzie twoim gabinetem i jednocześnie jadalnią (biedny papa!), ale wiesz, ustaliliśmy, że mama musi mieć tak wygodną bawialnię, jak to tylko możliwe. A przecież ten pokój u góry, z tą wstrętną różowo-błękitną tapetą i masywnym gzymsem, ma naprawdę

piękny widok na równinę z zakolem rzeki czy kanału, cokolwiek to jest. Ja mogłabym zająć sypialenkę z tyłu, tę małą, na podeście u szczytu pierwszych schodów, zaraz nad kuchnią. Dla ciebie, papo, i dla mamy zostałby ten pokój za bawialnią, a w szafie wbudowanej w połąć dachu mielibyście garderobę.

– Ale co z Dixon? I co z dziewczyną, którą mamy zatrudnić do pomocy?

– Chwila. Jestem pod wielkim wrażeniem odkrycia mojego geniuszu organizacji. Dixon zajmie... zaraz, jak to było... wiem, ten salonik z tyłu. Myślę, że jej się spodoba, ciągle przecież tak zrzędzi z powodu schodów w Heston. A dziewczyna może mieszkać na poddaszu ze skośnym dachem nad waszą sypialnią. Może tak być?

– Przypuszczam, że tak. Ale te tapety! Co za gust! Kto wpadł na pomysł, żeby zastosować takie kolory w małym domu? I ten ciężki gzyms!

– To nieważne, papo! Z pewnością potrafisz tak oczarować właściciela, żeby zmienił tapetę w jednym czy dwóch pokojach. Koniecznie w bawialni i waszym pokoju, bo w nich mama będzie spędzała najwięcej

czasu. A twoje regały z książkami i tak zakryją ten krzykliwy deseń w jadalni.

– Uważasz zatem, że tak będzie najlepiej? Jeśli tak, to udam się od razu do tego pana Donkina, wymienionego w ogłoszeniu. Zawiozę cię do hotelu, abys mogła zamówić dla nas lunch i odpocząć, a zanim posiłek będzie gotowy, zdążę wrócić. Mam nadzieję, że uda mi się załatwić nowe tapety.

Margaret również miała taką nadzieję, choć nie odezwała się ani słowem. Nigdy dotąd nie zetknęła się z kimś, kto znajdował większe upodobanie w ozdobach niż w prostocie, która sama w sobie jest najlepszą podstawą elegancji. Ojciec wprowadził ją do hotelu, zostawiwszy u stóp schodów, i poszedł do właściciela wybranego przez nich domu. W chwili gdy Margaret położyła dłoń na klamce drzwi do ich apartamentu, podbiegł do niej jeden z kelnerów:

– Przepraszam panią, ma'am. Dżentelmen odszedł tak szybko, że nie zdążyłem mu powiedzieć, iż pan Thornton go szukał zaraz po tym, jak państwo wyszli. A z tego, co mówił przedtem pani ojciec, zrozumiałem, że wrócą państwo za godzinę. Tak też powiedziałem

panu Thorntonowi. Przyszedł ponownie pięć minut temu i postanowił czekać na pana Hale'a. Jest teraz w państwa pokoju.

– Dziękuję. Ojciec niedługo wróci i wtedy będziecie mogli mu to powiedzieć.

Margaret otworzyła drzwi i weszła do środka z ową śmiałą, pełną godności i prostoty postawą, tak dla niej charakterystyczną. Nie czuła się niezręcznie, miała na to zbyt wiele obycia w towarzystwie. Oto do jej ojca przyszedł ktoś w interesach, a ponieważ ten człowiek starał się być wobec nich uczynny, była skłonna traktować go z całą grzecznością. Pan Thornton był o wiele bardziej niż ona zdziwiony i zmieszany. Zamiast skromnego duchownego w średnim wieku w jego stronę zmierzała młoda dama z wyważoną wyniosłością, młoda dama zupełnie nieprzypominająca tych, które zwykł był widywać. Ubrana była bardzo prosto: dopasowany słomkowy czepek z najlepszego materiału i wykwintnego kształtu, przyozdobiony białą wstążką, suknia z ciemnego jedwabiu, bez żadnych falban czy innych upiększeń, wielki indyjski szal, który spowijał ją długimi ciężkimi fałdami, a ona nosiła go tak, jak

cesarzowa nosi draperie. Zupełnie nie rozumiał, kim ona jest. Jej wolne od zmieszania czy zdenerwowania spojrzenie, które rzuciła mu prosto w oczy, świadczyło o tym, że jego obecność jej nie zaskoczyła. Na pięknym obliczu nie pojawił się wyraz niepokoju, nie dostrzegł też rumieńca zakłopotania na jej twarzy o kremowej karnacji. Słyszał, że pan Hale ma córkę, ale był przekonany, że chodzi o małą dziewczynkę.

– Pan Thornton, jak sądzę! – powiedziała Margaret po krótkiej ciszy, kiedy nieprzygotowany na to spotkanie mężczyzna się nie odezwał. – Zechce pan usiąść. Ojciec odprowadził mnie tu zaledwie minutę temu, ale niestety nie przekazano mu, że pan na niego czeka, i dlatego ponownie wyszedł w interesach. Ale wkrótce wróci. Przykro mi, że zadał pan sobie trud, przychodząc tu dwukrotnie.

Pan Thornton miał nawyk przejmowania przywództwa, ale wydawało się, że to ona od razu objęła panowanie nad sytuacją. Tuż przed jej wejściem zaczął się już niecierpliwic z powodu straty czasu w dzień targowy, ale teraz, na jej zaproszenie, potulnie zajął miejsce.

– Czy orientuje się pani, dokąd jej ojciec się udał? Może mógłbym go tam znaleźć?

– Poszedł do niejakiego pana Donkina na Canute Street. Jest on właścicielem domu w Crampton, który mój ojciec zamierza wynająć.

Pan Thornton znał to miejsce. Widział ogłoszenie i poszedł obejrzeć ten dom, przede wszystkim stosując się do prośby pana Bella, aby w miarę swoich możliwości wspomógł pana Hale'a, a dodatkowo wiedziony własnym zainteresowaniem osobą duchownego, który w takich okolicznościach opuścił stanowisko kościelne. Pan Thornton był zdania, że dom w Crampton nadawał się idealnie dla pana Hale'a, ale teraz, gdy zobaczył Margaret, z jej oszałamiającym sposobem poruszania się i prezencją, zaczynał się czuć zażenowany, że przez chwilę uważał to miejsce za odpowiednie dla Hale'ów, choć oglądając nieruchomość, zauważył jej braki.

Margaret nie mogła nic poradzić na swój wygląd: jej lekko odęta górna warga, owalny, uniesiony podbródek, sposób trzymania głowy, jej pełne kobiecości i lekko wyzywające ruchy zawsze sprawiały na nieznanym wrażenie wyniosłości. Teraz była zmęczona

i szczerze wołałaby milczeć oraz zażyć odpoczynku, który ojciec dla niej zaplanował, jednakże należało zachować się zgodnie z panującymi zasadami i podtrzymać rozmowę z gościem. Musiała przyznać, że nie był przesadnie wykwintny ani subtelny, co nie dziwiło, skoro obracał się w surowym Milton, z jego zatłoczonymi ulicami. Margaret wołałaby, aby sobie poszedł, tak jak początkowo zamierzał, zamiast siedzieć tu i sucho odpowiadać na jej uwagi. Zdjęła szal i powiesiła go na oparciu krzesła. Siedziała zwrócona twarzą do gościa i do światła, a cała uroda dziewczyny odsłoniła się oczom mężczyzny: jej biała zaokrąglona szyja ponad pełną, a jednak gibką postać, jej usta poruszające się tak lekko, gdy mówiła, niezakłócające chłodnej powagi twarzy żadną odmianą, zawsze zachowujące to urocze wyniosłe wygięcie, jej ciemne aksamitne oczy, z taką dziewczęcą otwartością patrzące prosto na niego. Zanim ich rozmowa dobiegła końca, prawie wmówił w siebie, że jej nie lubi. W ten sposób usiłował skompensować pełne zawstydzienia uczucie, że podczas gdy on wpatrywał się w nią z podziwem, którego nie potrafił powstrzymać, ona spoglądała na niego z dumną

obojętnością. Był pewien, że ta młoda dama uważa go za kogoś, kim, ku własnej irytacji, przekonywał się, że jest – nieokrzesanego wielkiego mężczyznę, całkowicie pozbawionego wyrafinowania i wdzięku. Cichy chłód jej postawy zinterpretował jako lekceważenie i tak bardzo go to uraziło, że był gotów wstać i odejść, a przede wszystkim nigdy więcej nie mieć do czynienia z Hale'ami i ich pychą.

Dokładnie w chwili, gdy Margaret poruszyła ostatni ze znanych sobie tematów towarzyskiej rozmowy – o ile rozmową można było nazwać wymianę kilku krótkich zdań – wszedł pan Hale, który swoim miłym obejściem dżentelmena i uprzejmością wypowiedzianych przeprosin przywrócił dobre imię swej rodzinie w opinii pana Thorntona.

Obydwaj panowie mieli sobie bardzo wiele do powiedzenia na temat ich wspólnego przyjaciela, pana Bella, a Margaret, zadowolona ze zwolnienia jej z obowiązku bawienia gościa, podeszła do okna i starała się oswoić z tym wszystkim, co w wyglądzie miasta było dla niej obce. Tak bardzo ją to pochłonęło, że nie usłyszała słów ojca zwróconych do niej, i musiał je powtórzyć:

– Margaret! Właściciel z uporem podziwia tę szkaradną tapetę i obawiam się, że będziemy musieli ją pozostawić.

– Jaka szkoda! – odpowiedziała i zaczęła rozważać możliwość przysłonięcia przynajmniej części ścian własnymi szkicami, ale w końcu zrezygnowała z tego pomysłu, uznając, że tylko pogorszyłoby to wygląd pokoju.

Tymczasem jej ojciec ze szczerą wiejską gościnnością zapraszał pana Thorntona, by zjadł z nimi lunch. Przemysłowiec, jakkolwiek byłoby mu to bardzo nie na rękę, czuł, że przystałby na tę propozycję, gdyby Margaret choć jednym słowem lub spojrzeniem poparła zaproszenie ojca. Potem ogarnęło go jednocześnie i zadowolenie, i irytacja, że tego nie zrobiła. Gdy wychodził, ukłoniła mu się bardzo nisko i poważnie, a on poczuł się jeszcze bardziej niezdarny i tak świadomy najmniejszej cząstki własnego ciała jak nigdy dotąd.

– A więc, Margaret, teraz lunch, i to jak najszybciej! Zamówiłaś już?

– Nie, papo. Nie miałam okazji, bo ten człowiek już tu był, gdy weszłam.

– W takim razie weźmiemy cokolwiek, co możemy dostać od razu. Obawiam się, że pan Thornton trochę się tu naczekał.

– Wydawało mi się, że to trwało bardzo długo. Wszedłeś w ostatniej chwili, bo zaczynało mi brakować pomysłów. Nie podejmował żadnego tematu, tylko rzucał mi krótkie opryskliwe odpowiedzi.

– Ale za to na temat, jak sobie wyobrażam. To bardzo światły i rozumny człowiek. Nie wiem, czy słyszałaś, jak wspominał, że to całe Crampton zbudowane jest na żwirowym podłożu i przez to uznaje się je za najzdrowsze w całej okolicy.

Gdy wrócili do Heston, musieli zdać pani Hale relację ze swych poczynąń tego dnia, a ona miała do nich mnóstwo pytań, na które odpowiadali podczas wspólnej herbaty.

– A jaki jest ten twój korespondent, pan Thornton?

– Spytaj Margaret – odpowiedział jej mąż. – Ona i pan Thornton przez dłuższy czas usiłowali rozmawiać, gdy ja pertraktowałem z właścicielem domu.

– Och, nie potrafię powiedzieć, jaki jest – stwierdziła dziewczyna niespiesznie, zbyt zmęczona, by wysilać

swe umiejętności opisywania. Po chwili jednak ożywiła się trochę i dodała: – Jest wysoki, szeroki w ramionach, ma około... Ile ma lat, papo?

– Powiedziałbym, że około trzydziestu.

– Ma zatem około trzydziestu lat. Nie jest ani brzydki, ani przystojny, nie ma w nim nic specjalnego ani zwracającego uwagę. Niezupełnie dżentelmen, ale tego nie należało się spodziewać.

– Absolutnie nie jest wulgarny ani pospolity – wtrącił ojciec, lekko niezadowolony z umniejszania zalet swego jedyne go przyjaciela w Milton.

– Och, nie! – potwierdziła Margaret. – Z takim wyrazem zdecydowania i mocy nawet najbardziej nieładna twarz nie mogłaby się wydać wulgarna lub pospolita. Wolałabym nie musieć z nim negocjować, wygląda na nieprzejednanego. Podsumowując, mamo, jest to człowiek stworzony dla swego zajęcia, mądry i silny, jak przystało na wybitnego człowieka handlu.

– Nie nazywaj przemysłowca człowiekiem handlu, Margaret – powiedział ojciec. – To coś zupełnie innego.

– Naprawdę? Ja stosuję to określenie wobec każdego człowieka, który ma coś do sprzedania. Jeśli jednak

jesteś zdania, że to słowo jest niewłaściwe, papo, postaram się go nie używać. Ale, mamó! Kiedy już mówimy o wulgarności i pospolitości, przygotuj się na koszmarną tapetę w salonie. Różowe i niebieskie róże z żółtymi liśćmi! A do tego wielki, ciężki gzyms wokół pokoju.

Kiedy wprowadzili się do swego nowego domu w Milton, okazało się, że wstrętne tapeta zniknęła. Właściciel spokojnie wysłuchał ich podziękowań, pozwalając im myśleć, skoro taką mieli ochotę, że odstąpił od swojej jasno wyrażonej odmowy zmiany pokrycia ścian. Nie widział najmniejszego powodu, by im wyjaśniać, że to, czego nie zamierzał robić dla nieznanego nikomu w Milton pana Hale'a, aż nadto chętnie wykonał na jedną wzmiankę ze strony pana Thorntona, zamożnego właściciela fabryki.

VIII

NOSTALGIA

*A oto dom, mój dom. W domu,
W moim domu tak bardzo chciałbym być.*

Allan Cunningham, „Hame fain wad I be”

Pokoje zostały odświeżone nowymi, lekkimi tapetami, ale to nie wystarczyło, aby pogodzić rodzinę Hale’ów z Milton. Potrzeba było czegoś więcej, znacznie więcej, niż byli w stanie znaleźć czy zdobyć. Gdy pani Hale dotarła do swego nowego domu, nadeszły ciężkie, żółtawe listopadowe mgły i całkowicie zakryły widok owej równiny z zakolem rzeki.

Margaret i Dixon pracowały przez dwa dni, rozpakowując i ustawiając, ale nadal wszystko w domu wy-

dawało się nie na swoim miejscu. A na zewnątrz gęste opary podchodziły pod same okna i w postaci dławiących białych kłębow niezdrowej mgły wdzierały się do środka za każdym razem, gdy otwierano drzwi.

– Och Margaret! Czy my naprawdę mamy tu żyć? – spytała pani Hale z bezgraniczną rozpaczą, a serce dziewczyny załomotało w rytm posępnego tonu pytania matki.

Z trudem zdołała się zmusić do powiedzenia:

– Och, mgły w Londynie bywają znacznie gorsze!

– Tak, ale tam jesteś pewna, że gdzieś w tej mgle jest sam Londyn i twoi przyjaciele. Tu jesteśmy osamotnieni, opuszczeni. Och Dixon, co to za miejsce!

– W rzeczy samej, proszę pani. Jestem zupełnie pewna, że to miasto już wkrótce wpędzi panią do grobu, a wtedy nie wiem, kto... zostanie! Panno Hale, to zdecydowanie zbyt ciężkie, aby miała panienka to dźwigać.

– Nie jest zbyt ciężkie, dziękuję, Dixon – odpowiedziała Margaret zimnym tonem. – Najlepsze, co teraz możemy zrobić dla mamy, to tak przygotować jej pokój, aby mogła się położyć do łóżka, a potem przynieść jej filiżankę kawy.

Pan Hale był w równie kiepskim nastroju i także on przyszedł do Margaret w poszukiwaniu współczucia.

– Margaret, wydaje mi się, że to jednak niezdrowe miejsce. A jeśli matka lub ty tutaj zachorujecie? Szkoda, że nie wybrałem jakiejś wiejskiej okolicy w Walii. Tu jest naprawdę okropnie – powiedział, podchodząc do okna.

Córka nie mogła go pocieszyć. Wprowadzili się do Milton i musieli wytrzymać dym i mgły przynajmniej przez jakiś czas, choć naprawdę cały świat i inne, dawne życie wydawały się oddzielone od nich oparami okoliczności. Zaledwie poprzedniego dnia zaniepokojony pan Hale podliczył koszty przeprowadzki i dwóch tygodni spędzonych w Heston. Okazało się, że pochłonęło to prawie całą gotówkę, jaką dysponował. Nie! Tu byli i tu musieli pozostać.

Gdy Margaret uświadomiła to sobie wieczorem, aż usiadła w pełnym rozpaczcy otępieniu. Zadymione powietrze zawisło w jej sypialni, która zajmowała wąski, długi podest z tyłu domu. Okno, umiejscowione na dłuższej ścianie, wychodziło na ślepy mur identycznego występu, odległego od ich domu o niecałe

trzy metry, a ściana naprzeciwko wylała się z mgły jak bariera oddzielająca dziewczynę od wszelkiej nadziei. W jej pokoju panował bałagan, bo wszystkie wysiłki skierowała na uczynienie wygodnym pokoju matki. Margaret siedziała na pudle i w pewnej chwili uświadomiła sobie, że etykieta znajdująca się na opakowaniu została wypisana w Helstone, w ich pięknym, ukochanym Helstone. Zmusiła się, by oderwać myśli od przygnębiającej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Na szczęście przypomniała sobie, że ma list od Edith, który w porannej krzątaninie przeczytała tylko do połowy. Kuzynka pisała o przybyciu na Korfu, opisywała podróż po Morzu Śródziemnym, muzykę i tańce na pokładzie statku, radosne nowe życie, które się przed nią otwierało. Opisywała swój nowy dom, balkon z treliazem, panoramę białych klifów i błękitnego morza. Edith pisała dobrze i płynnie, choć może niezbyt plastycznie i obrazowo. Nie wychwytywała najistotniejszych, najbardziej charakterystycznych szczegółów, ale wyliczała chaotycznie mnóstwo przypadkowych drobiazgów. Margaret zrozumiała z tej płątaniny, że kapitan Lennox wspólnie z innym żonatym od niedaw-

na oficerem wynajmuje willę zawieszoną wysoko nad urwistym brzegiem morza. Ich dni o tej późnej porze roku wydawały się wypełnione pływaniem po morzu i piknikami na wsi. Całe obecne życie Edith, spędzane poza domem na poszukiwaniu przyjemności, przypominało sklepienie błękitnego nieba nad głową, tak było wolne, tak niesamowicie wolne od najmniejszej chmurki czy choćby plamki. Jej mąż musiał brać udział w musztrze, natomiast ona, najbardziej muzykalna spośród oficerskich żon, została nakłoniona przez prowadzącego orkiestrę do skopiowania wielu popularnych i modnych w Anglii melodii. Odnosiło się wrażenie, że były to najpoważniejsze i najbardziej uciążliwe obowiązki młodej pary. Edith wyraziła serdeczną nadzieję, że jeśli regiment pozostanie na wyspie przez kolejny rok, jej kuzynka przyjedzie z dłuższą wizytą. Pytała też, czy Margaret pamiętała ów dzień przed dwunastoma miesiącami, kiedy na Harley Street od rana padało, a ona, Edith, nie chciała założyć swojej nowej sukni, aby pójść w niej na jakiś głupi obiad, w obawie, że ją pomoczy i poplamy, a przecież właśnie na tym obiedzie poznała kapitana Lennox.

Tak! Margaret pamiętała to doskonale. Edith i pani Shaw poszły na przyjęcie, a ona później do nich dołączyła. Wspomnienie obfitości i zbytku wyposażenia, okazałości pięknych mebli, wielkości domu, spokojnej, niezakłóconej niczym beztroski gości – wszystko to pojawiło się przed jej oczami, ostro kontrastując z obecnym położeniem. Jej dawne przyjemne i beztroskie życie zniknęło bez śladu. Codzienne prozione obiady, wizyty, zakupy, wieczory taneczne – wszystko to toczyło się dalej, jak dawniej, choć bez udziału ciotki i Edith.

A za nią tęskniono pewnie jeszcze mniej. Wątpiła, by ktokolwiek z dawnej grupy znajomych pomyślał o niej z wyłączeniem Henry’ego Lennox, który z powodu zadanego mu przez nią bólu z pewnością także będzie próbował o niej zapomnieć. Przecież nieraz słyszała, jak chwalił się swą zdolnością do odsuwania od siebie nieprzyjemnych myśli. A potem próbowała przeniknąć nieznaną i dostrzec to, co mogłoby być. Gdyby go kochała i gdyby wyraziła zgodę na jego propozycję, to zmiana przekonań ojca, a co za tym idzie – również zmiana ich sytuacji życiowej – bez wątpienia zostałyby przyjęte przez pana Lennox z niezadowoleniem.

Ta świadomość była dla Margaret gorzka, ale umiała zaakceptować ją z pokorą, bo знаła czystość intencji swego ojca i to pomagało jej zrozumieć jego błędy, choć uważała je za ciężkie i poważne. Jednakże to, że pan Hale tak wiele stracił w oczach świata, że został postawiony pod pręgierzem opinii publicznej, z pewnością przynębiłoby i zirykowało pana Lennox. A gdy uświadomiła sobie możliwy przebieg wydarzeń, zaczęła czuć wdzięczność opatrności za to, że odmówiła mu swej ręki. Jako rodzina znaleźli się teraz chyba na dnie, gorzej być już nie mogło. Trzeba będzie dzielnie stać czoło zdziwieniu Edith i przerażeniu ciotki, kiedy wreszcie nadejdą ich listy.

Margaret podniosła się i zaczęła powoli rozbierać, mimo późnej pory w pełni odczuwając luksus działania bez pośpiechu, zwłaszcza po całodniowej gonitwie. Zасыpiając, miała nadzieję na odrobinę jasności, obojętnej czy wewnętrznej, czy zewnętrznej, ale gdyby wiedziała, jak długo przyjdzie jej na to czekać, upadłaby na duchu i straciła wiarę.

Pora roku była ze wszech miar niesprzyjająca, tak dla ciała, jak i dla umysłu. Matka poważnie się prze-

ziębiła, a Dixon najwyraźniej także niedomagała, choć nie można było bardziej jej obrazić, niż próbując ją odciążyć lub okazując troskę. Nie udało im się znaleźć żadnej dziewczyny do pomocy w gospodarstwie, bo prawie wszystkie pracowały w fabrykach, a tych kilka, które przyszły na rozmowę, zostało szczerze zbesztanych przez Dixon za to, że ośmieliły się uważać za godne pracy w domu dżentelmena. W rezultacie prawie na stałe zatrudniali najzwyczajszą posługaczkę. Margaret marzyła o sprowadzeniu Charlotte, ale była ona służącą zbyt wysokiej kategorii, jak na ich obecną sytuację, a poza tym Milton dzieliła od Helstone zbyt duża odległość.

Pan Hale miał kilku uczniów poleconych mu przez pana Bella lub dzięki bardziej bezpośredniemu i natychmiastowemu wpływowi pana Thorntona. Byli w wieku, w którym większość chłopców nadal przebywa w szkole, ale ich to nie dotyczyło, gdyż w Milton panowało dobrze utrwalone przekonanie, że aby z chłopaka zrobić prawdziwego człowieka handlu, należy go jak najwcześniej oswoić z pracą w przędzalni, biurze lub magazynie. Nawet wysyłani na uniwersy-

tety w Szkocji wracali niezdatni do zajęć handlowych, a cóż by się z nimi stało, gdyby pojechali do Oxfordu lub Cambridge, gdzie mogli rozpocząć naukę dopiero po ukończeniu osiemnastu lat! Tak więc większość przedsiębiorców wysyłała swych synów w czternastym lub piętnastym roku życia na praktyki, bezlitośnie odcinając wszystkie boczne pędy, które ośmielałyby się kierować w stronę literatury lub rozwoju umysłu, i zachowując całą siłę i energię młodej rośliny dla handlu czy przemysłu. Mimo wszystko zdarzali się bardziej światli rodzice, a także młodzi ludzie, którzy zdawali sobie sprawę z niedostatków swego wykształcenia i usiłowali je uzupełnić. Co więcej, było też kilku mężczyzn, już nie młodzieńców, ale ludzi w najlepszych latach dojrzałego życia, którzy posiadli ową trudną mądrość uświadomienia sobie własnej ignorancji. Zamierzali nauczyć się tego, czego nie zdołali opanować wcześniej, a spośród tych uczniów pan Thornton był najstarszym i z pewnością najulubieńszym. Pan Hale nabrał zwyczaju częstego i tak pełnego uwagi cytowania jego słów, że w domu żartowano, zastanawiając się, ile czasu przewidzianego na naukę panowie poświęcają faktycznie

na nią, gdyż wydawało się, że większość spędzają na rozmowie.

Margaret popierała sposób traktowania tej przyjaźni ojca z panem Thorntonem tylko jako lekkiej i wesołej znajomości, zauważyła bowiem, że matka zaczyna się czuć zazdrosna. Dopóki ojciec dzielił swój czas między książki i parafian, jak miało to miejsce w Helstone, pani Hale nie dbała o to, jak często widuje męża. Ale teraz, gdy on niecierpliwie wyglądał każdego kolejnego spotkania i rozmowy z panem Thorntonem, nagle poczuła się urażona i zirytowana, jakby po raz pierwszy lekceważył jej towarzystwo. Nadmierne pochwały pana Hale'a miały zaś taki efekt, jaki zwykle wywierają podobne pochwały na słuchaczach; obie panie miały czasami ochotę potraktować pana Thorntona tak, jak swego czasu postąpiono wobec Arystydesa, zwanego Sprawiedliwym*.

Po dwudziestu latach cichego życia na wiejskiej plebanii Hale był wręcz oszołomiony energią, z jaką pokonywano tu wszelkie trudności – moc urządzeń fa-

* Wg Plutarcha niektórzy Ateńczycy głosowali za skazaniem Arystydesa na banicję tylko dlatego, że znużyło ich nazywanie go Sprawiedliwym.

brycznych połączona z siłą człowieka, jaką obserwował w Milton, imponowała mu swym ogromem, któremu się bez reszty poddawał. Margaret mniej wychodziła z domu, miała mniejszy kontakt z ową maszyną i pracującymi przy niej ludźmi, nie poddała się zatem sile ich oddziaływania. Zetknęła się jednak z niektórymi spośród tych, którzy ulegając fascynacji tą siłą, dotkliwie cierpieli. Zawsze w takich sytuacjach powstaje pytanie, czy uczyniono wszystko, aby zminimalizować ich cierpienia. A może w triumfalnym pochodzie tłumów stratowano bezsilnych, zamiast ich delikatnie odsunąć z drogi zwycięzców, którym nie mają siły towarzyszyć?

Na barki Margaret spadł obowiązek znalezienia służącej do pomocy Dixon, która z początku sama podjęła się zadania zatrudnienia kogoś, kto wykonywałby najbrudniejsze i najcięższe prace domowe. Niestety, wyobrażenie Dixon o dziewczynie do pomocy opierało się na wspomnieniach o schludnych starszych uczniach ze szkoły w Helstone, które czuły się dumne, mogąc przyjść i pomóc na plebanii, a ją traktowały z pełnym respektem, odczuwając przed nią większą obawę

niż przed państwem Hale. Sama Dixon była oczywiście świadoma owego podpartego bojaźnią szacunku i bardzo jej się podobał; pochlebiało jej to, podobnie jak Ludwikowi XIV schlebiało, iż dworzanie przysyłają oczy przed porażającą światłością jego obecności. Ale tylko wierna miłość dla pani Hale sprawiła, że kobieta wytrzymała bezczelny i hardy sposób, w jaki starające się u nich o pracę dziewczyny z Milton odpowiadały na jej pytania o kwalifikacje. Posunęły się nawet do tego, że też ośmiały się zadawać jej pytania. Trudno się zresztą dziwić, że miały wątpliwości co do wypłacalności rodziny, która mieszkała w domu za trzydzieści funtów rocznie, a mimo to spoglądała na innych z góry i trzymała dwie służące, z których jedna była wyniosła i wszechwładna. Pan Hale nie był tu traktowany jak proboszcz w Helstone, ale jak zwykły człowiek, gotów do płacenia tylko określonej stawki. Margaret była znużona i zniecierpliwiona wysłuchiowaniem sprawozdań na temat potencjalnych pokojówek, które Dixon ustawicznie składała jej matce. Dziewczynę także odstraszały surowe maniery tych ludzi, wzdrygała się z przesadną dumą przed ich poufałymi zaczepkami

oraz czuła się urażona ich nieskrywaną ciekawością co do majątku i stanowiska każdej rodziny w Milton, która nie była w żaden sposób związana z handlem, ale im bardziej Margaret odczuwała ich impertynencję, tym chętniej milczała na ten temat. Wiedziała też, że gdyby osobiście zajęła się wyszukaniem służącej, oszczędziłaby matce wysłuchiwanie tego recitalu rozczarowań i przyjmowanych obelg, zarówno wyobrażonych, jak i prawdziwych.

Zgodnie ze swym postanowieniem Margaret przemierzała miasto i wchodziła do sklepów kolonialnych i do rzeźników, poszukując owej pokojówki doskonałej. Z każdym tygodniem obniżała jednak swe wymagania i oczekiwania, w miarę jak docierało do niej, że w przemysłowym mieście każdy woli pracę w przędzalni, dającą większą niezależność i lepsze zarobki, niż posadę w prywatnym domu.

Samotne poruszanie się po tym tętniącym życiem mieście było dla niej czymś w rodzaju próby. Poczucie stosowności ciotki Shaw, jej bezradność i zależność od innych sprawiały, że zawsze nalegała, aby w wyprawach Edith i Margaret poza Harley Street i najbliższe

sąsiedztwo towarzyszył im lokaj. Dziewczyna buntowała się po cichu przeciw owemu ograniczaniu jej niezależności i tym bardziej rozkoszowała się swobodnymi spacerami i włóczęgami po lesie. Tam poruszała się pewnym i energicznym krokiem, który czasami zmieniał się w bieg, jeśli się spieszyła, a czasami przystawała w zupełnym bezruchu, zasłuchana bądź zapatrzona w dzikie stworzonka, śpiewające w listowiu lub wyglądające roziskrzonymi oczami z niskich stert chrustu czy gęstwiny kolcolistu. Konieczność zamiany takich spacerów, gdy o marszu lub bezruchu decydowała tylko jej wola, na równy i elegancki krok, odpowiedni do poruszania się po ulicy, była dla dziewczyny wyzwaniem. Mogłaby się śmiać z samej siebie, że zauważyła tę różnicę, gdyby nie wiązało się to z poważniejszą komplikacją.

Część miasta, w której leżało Crampton, wykorzystywana była przez pracowników fabryk jako trasa komunikacyjna. Przy bocznych uliczkach za ich domem znajdowało się mnóstwo przedziałni, które dwa lub trzy razy dziennie wyrzucały z siebie strumienie mężczyzn i kobiet, i dopóki Margaret nie zorientowała się w godzinach ich napływu i odpływu, miała to nie-

szczęście, że ustawicznie zderzała się z tymi ludzkimi masami. Szli pośpiesznie i z zuchwałymi, pozbawionymi bojaźni twarzami głośno śmiali się i kpili, zwłaszcza z tych, którzy zajmowali wyższą niż oni pozycję społeczną. Z początku Margaret była przestraszona ich nieposkromioną swobodą i ignorowaniem wszelkich prawideł obowiązujących na cywilizowanych ulicach. Dziewczyny, z obcesową, ale pozbawioną wrogości nonszalancją, komentowały jej ubiór, a nawet dotykały szala lub sukni, aby ocenić rodzaj materiału, a kilka razy zdarzyło się nawet, że zadawały jej pytania dotyczące jakiejś części garderoby, która szczególnie im się podobała. Jej kobiece zrozumienie dla ich zainteresowania strojem, wzmocnione naturalną uprzejmością, sprawiało, że z radością odpowiadała na ich pytania, kiedy tylko zdołała je zrozumieć, a potem uśmiechała się, słysząc ich komentarze. Nie miała nic przeciwko spotkaniu nawet licznej grupy tych dziewczyn, niezależnie od tego, jak głośno mówiły lub jak gwałtownie się zachowywały. Ale zawstydzali ją i przerażali mężczyźni z fabryk, którzy w ten sam bezpośredni sposób komentowali nie jej strój, lecz wygląd. Ona, która do-

tychczas za impertynencję uważała nawet najbardziej zawołowaną uwagę na temat swej prezencji, musiała teraz znosić nieskrywany i wyrażany wprost podziw tych mężczyzn. Gdyby mniej się obawiała tej chaotycznej wrzawy, być może dostrzegłaby, że za ową otwartością wypowiedzi nie kryła się choćby najmniejsza chęć urażenia dziewczyny. To z jej strachu rodziło się oburzenie, twarz Margaret purpurowiała, a w oczach zapalały się płomienie, gdy niektóre z komentarzy dobiegały jej uszu. Zdarzało jej się także usłyszeć inne stwierdzenia, które, gdy znalazła się już bezpieczna w domu, nawet ją bawiły, choć równocześnie irytowały.

Pewnego dnia, gdy już minęła gromadę mężczyzn, z których kilku wyraziło zwykłe życzenie i nadzieję, że mogłaby być ich ukochaniem, jeden z maruderów dodał:

– Dzięki twojej ślicznusiej buźce, laleczko, dzień wygląda weselej.

Innego dnia, gdy nieświadomie uśmiechnęła się do swoich myśli, zwrócił się do niej jakiś nędznie ubrany robotnik w średnim wieku:

– Śmieję się, laleczko, niejeden by się śmiał, gdyby miał taką buźkę.

Ten człowiek wyglądał na tak znękanego, że Margaret nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu, mimo woli zadowolona, że jej wygląd mógł wywołać u tego człowieka choć jedną przyjemną myśl. Wydawało się, że zrozumiał jej spojrzenie. W ten sposób narodziło się między nimi ciche porozumienie i rozpoznawali się, jeśli w ciągu dnia ich ścieżki się ze sobą skrzyżowały. Poza tym jednym komplementem nigdy nie wymienili ani słowa, a jednak Margaret wypatrywała go z większym zainteresowaniem niż jakiegokolwiek innego mężczyzny w Milton. Raz czy dwa, w niedzielę, widziała go spacerującego z dziewczyną, którą uznała za jego córkę, a która wyglądała, o ile to możliwe, na jeszcze bardziej niezdrową niż on.

Pewnego dnia panna Hale z ojcem doszli aż do pól otaczających miasto. Była wczesna wiosna i Margaret zerwała przy żywopłotach i w rowach trochę kwiatów, fiołków i ziarnopłonów, czując niewypowiedzianą nostalgię za ich obfitością na Południu. Ojciec zostawił ją samą, gdyż śpieszył się do Milton na umówioną lekcję, i w drodze powrotnej spotkała swych skromnych przyjaciół. Dziewczyna obrzuciła kwiaty tęsknym

wzrokiem i Margaret, działając pod wpływem impulsu, ofiarowała jej swój bukiet.

Jasnobłękitne oczy błysnęły, gdy przyjmowała wiązankę, a ojciec przemówił w jej imieniu:

– Dziękuję, panienko. Bessy będzie dużo myślała o tych kwiatach. Tak właśnie będzie. A ja będę myślał o uprzejmości panienki. Sądzę, że pani nie jest stąd.

– Nie – odpowiedziała Margaret, wzdychając. – Pochodzę z Południa, z Hampshire – kontynuowała z lekką obawą, czy nie uraziła go, wymieniając nazwę, której mógł nie znać.

– To za Londynem, prawda? A ja jestem z Burnleyways, to czterdzieści mil na północ. A jednak, widzi panienka, że Północ i Południe się zeszyły i zawarły przyjaźń w tym wielkim zadymionym mieście.

Margaret spowolniła swój marsz, aby dotrzymać kroku mężczyźnie i jego córce, których tempo dostosowane było do mizernych sił dziewczyny. Panna Hale zwracała się teraz do niej łagodnie i współczująco, trafiając tym do serca jej ojca:

– Wydaje mi się, że nie jesteś zbyt silna.

– Nie – odrzekła tamta – i nigdy nie będę.

– Wiosna nadchodzi. – Margaret spróbowała dodać chorej otuchy.

– Nie pomoże mi ani wiosna, ani lato – odpowiedziała cicho dziewczyna.

Margaret podniosła wzrok na mężczyznę, prawie spodziewając się z jego strony zaprzeczenia lub jakiejś uwagi, która dodałaby choć trochę nadziei do żalości córki. Zamiast tego powiedział:

– Obawiam się, że ona mówi prawdę. Choroba całym ją opanowała.

– Tam, dokąd pójdę, będę miała i wiosnę, i kwiaty, i amaranty. A poza tym błyszczące szaty.

– Biedna mała, biedna mała – wyrzekł z trudem jej ojciec niskim głosem. – Nie wiem, czy tak będzie, ale to dla ciebie, biedaczyno, pociecha. Biedna mała. I biedny ojciec. Już wkrótce.

Jego słowa zaszokowały Margaret. Wstrząsnęły nią, ale nie odepchnęły. Ta para raczej przyciągała ją i interesowała.

– Gdzie mieszkacie? Myślę, że musimy być sąsiadami, bo tak często spotykamy się na tej drodze.

– Pod dziewiątką na Frances Street, druga w lewo, jak się minie Złotego Smoka.

– A jak się nazywacie? Postaram się zapamiętać.

– Nie wstydzę się swego nazwiska. Jestem Nicholas Higgins, a ona to Bessy Higgins. Po co panienka pyta?

Te słowa zdziwiły Margaret, bo w Helstone byłoby całkowicie zrozumiałe, że takie pytania, jakie właśnie im zadała, zdradzają zamiar odwiedzenia biedniejszych sąsiadów.

– Pomyślałam... miałam zamiar was odwiedzić. – Naraz poczuła się zakłopotana, proponując im swoją wizytę, a nie mając w gruncie rzeczy żadnego do niej powodu, może poza uprzejmym zainteresowaniem nieznanymi. Nagle ten pomysł wydał jej się impertynencją i wyczytała to samo w oczach mężczyzny.

– Nie lubię, jak mi się obcy kręcą po domu. – Ale prawie od razu złagodniał, widząc jej nagłe rumieńce, i dodał: – Panienka jest tu obca, można by powiedzieć, i pewno nie zna tu zbyt wielu ludzi. I dała panienka mojej małej kwiaty, sama z siebie. Może panienka przyjść, jeśli chce.

Słyszając tę odpowiedź, Margaret czuła mieszaninę rozbawienia i irytacji. Nie była pewna, czy uda się w to miejsce, gdzie potrzebne było pozwolenie, udzielane

jako wielki przywilej. Gdy doszli do miasta i znaleźli się na Frances Street, osłabiona dziewczyna zatrzymała się jednak i powiedziała:

– Niech panienska pamięta, że obiecała do nas przyjść.

– No, no – powiedział jej ojciec niecierpliwie – przyjdzie. Teraz jest trochę obrażona, bo myśli, że powinienem być grzeczniejszy. Ale przemyśli to i przyjdzie. Czytam z tej jej dumnej buźki jak z książki. Chodź, Bess. Dzwonek w przędzalni się odzywa.

Margaret poszła do domu, myśląc o swych nowych przyjaciołach i uśmiechając się na wspomnienie tego, jak mężczyzna odgadł, co się działo w jej umyśle. Od tego dnia Milton stało się dla niej jaśniejszym miejscem. Nie miało to nic wspólnego z nadejściem długich wiosennych dni, nie oznaczało też, że czas pogodził ją z nowym miejscem zamieszkania. Po prostu nie była już w Milton sama.

IX

PRZYGOTOWANIE DO HERBATY

*Niech w czarkę z porcelany, wzorzyście kolorową,
Zdobną rysunkiem złotym i kreską kobaltową,
Leją indyjskich listków wonnych nektar słodki
Lub war palonych słońcem ziaren gęstej mokki.*

*Anna Laetitia Barbauld, „The Groans of the Tankard”,
przeł. Joanna Puchalska*

Dzień po spotkaniu Margaret z Higginsem i Bessy pan Hale przyszedł na górę do małej bawialni o niezwyklej dla siebie godzinie. Podchodził do różnych przedmiotów i niby je oglądał, ale jego córka doskonale wyczuła, że to tylko nerwowy odruch, rodzaj gry na zwłokę. Widziała, że ojciec odkłada oznaj-

mienie czegoś, co chce, ale jednocześnie boi się wypowiedzieć. W końcu się przełamał.

– Moja droga! Zaprosiłem pana Thorntona na dzisiejszą herbatę.

Pani Hale wpółleżała w swoim fotelu z zamkniętymi oczyma i wyrazem bólu na twarzy, który ostatnio właściwie nigdy z niej nie znikał. Po stwierdzeniu wygłoszonym przez męża od razu zareagowała gderliwością:

– Pana Thorntona! Dzisiaj! Ale po cóż ten człowiek tu przychodzi? Czego on chce? I to dzisiaj, kiedy Dixon pierze moje muśliny i koronki. I do tego nie ma miękkiej wody przy tych wstrętnych wschodnich wiatrach, które wieją tu chyba przez okrągły rok.

– Wiatr właśnie zmienia kierunek, moja droga – powiedział pan Hale, spoglądając na kłęby dymu płynące ze wschodu. Nadal nie do końca rozpoznawał strony świata i zazwyczaj powoływał się na nie *ad libitum* (wg upodobania) w zależności od potrzeby i okoliczności.

– Nie wspominaj mi o tym – odrzekła pani Hale, drżąc, i jeszcze ściślej owinęła się szalem. – Zresztą nieważne, czy wschodni, czy zachodni wiatr, przypuszczam, że ten człowiek i tak przyjdzie.

– Och mammo, od razu wiadomo, że nigdy nie spotkałaś pana Thorntona. On wygląda jak ktoś, komu sprawia przyjemność zmaganie się z każdą przeciwnością, jaką napotka – z wrogami, wiatrami czy nieszczęśliwymi wypadkami. Im bardziej będzie wiało czy padało, tym pewniejsze jest, że on się tu zjawi. Lepiej pójdę i pomogę Dixon. Staję się powoli mistrzynią w krochmaleniu. A nasz gość nie będzie oczekiwał żadnej rozrywki poza rozmową z ojcem. Papo, naprawdę marzę o tym, aby poznać twojego najwierniejszego przyjaciela. Wiesz, że spotkałam go dotychczas tylko raz, i byliśmy tak zakłopotani, co powiedzieć, że w rezultacie nie mówiliśmy właściwie nic.

– Nie sędzę, Margaret, abyś go kiedykolwiek polubiła lub uznała za miłego. To nie jest typ ulubieńca pań.

Dziewczyna z pogardą przekrzywiła głowę.

– Nie jestem wielbicieleką tego typu, który nazywasz ulubieńcem pań, ojcze. Ale liczy się to, że pan Thornton przychodzi tu jako twój przyjaciel, jako ktoś, kto cię docenił.

– Jako jedyny w Milton – dodała kwaśno pani Hale.

– Tak więc grzecznie przyjmijmy pana Thorntona

i poczęstujemy go kakaowymi ciasteczkami. Pochlebimy Dixon, gdy ją poprosimy, by je upiekła. A ja podejmuję się wyprasowania twoich czepków, mamo.

Wielokrotnie w ciągu tego poranka Margaret marzyła, aby pan Thornton znalazł się gdzieś bardzo daleko. Miała zupełnie inne plany na ten dzień: list do Edith, spory fragment Dantego, odwiedziny u Higginsów. Zamiast tego musiała zająć się prasowaniem, wysłuchiwać marudzenia Dixon i liczyć na to, że okazując służącej wystarczająco dużo współczucia, zdoła powstrzymać ją od wylania swych żalów przed panią Hale. Przez cały ten czas musiała przypominać sobie o sympatii swego ojca dla pana Thorntona, aby móc powściągnąć irytację, która powodowała jedną z tych migren, męczących ją ostatnio coraz częściej. Z trudem zdołała mówić, kiedy w końcu usiadła i powiedziała matce, że nie jest już Goską praczką, ale panną Margaret Hale – damą. To miał być taki mały żart, ale wyrzuciła go sobie właściwie od razu, bo matka potraktowała to stwierdzenie z pełną powagą.

– Tak, gdyby ktoś mi powiedział, kiedy byłam jeszcze panną Beresford, jedną z piękności w hrabstwie,

że moje własne dziecko będzie musiało stać pół dnia w przyciasnej kuchni i harować jak sługa, żeby przygotować dom na przyjęcie sklepikarza, i że ten człowiek będzie jedynym, który...

– Och mammo – wtrąciła Margaret, podnosząc się – nie karz mnie w ten sposób za tę moją bezmyślną uwagę. Nie przeszkadza mi ani prasowanie, ani żadna inna praca, o ile wykonuję ją dla ciebie lub dla papy. Urodziłam się jako dama, tak mnie wychowaliście i taką pozostanę, nawet jeżeli będę szorować podłogę lub zmywać naczynia. Jestem teraz trochę zmęczona, ale to chwilowe, i za pół godziny będę mogła zacząć od początku. A jeśli chodzi o to, że pan Thornton zajmuje się handlem, ten biedny człowiek nic nie może na to poradzić. I obawiam się, że ta jego spóźniona edukacja nie pomoże mu stać się kimś więcej niż tylko fabrykantem. – Margaret uniosła się powoli i odeszła do swego pokoju, bo w tej chwili niczego więcej nie dałaby rady znieść.

Mniej więcej w tym samym czasie w domu pana Thorntona rozgrywała się scena, która pod pewnymi względami przypominała rozmowę w domu państwa

Hale. Mocno zbudowana dama, która dawno przekroczyła wiek średni, zajmowała się robótką w surowej, pięknie umeblowanej jadalni. Rysy jej twarzy, podobnie jak całe otoczenie, sprawiały wrażenie twardych i solidnych, choć nie grubych, a sam wyraz oblicza powoli przechodził od jednej zdecydowanej miny do kolejnej, równie stanowczej. Skala możliwości wyrażania uczuć mimiką była raczej niewielka, ale ten, kto raz spojrzał na jej twarz, zazwyczaj wracał do niej wzrokiem. Nawet przypadkowi przechodnie na ulicy lekko odwracali głowę, by dokładniej przyjrzeć się tej monej, poważnej, pełnej godności kobiecie, która nigdy nie ustępowała pierwszeństwa ani nie zatrzymywała się, zmierzając jak okręt pod pełnymi żaglami prostym kursem do jasno wytyczonego celu, który sama zdefiniowała. Była dobrze ubrana w suknię z grubego czarnego jedwabiu, w którym ani jedna nitka nie była uszkodzona czy wypłowiała. Naprawiała wielki obrus z wykwintnej materii, od czasu do czasu unosząc go bliżej światła, aby wyszukać cienkie miejsca wymagające jej delikatnej interwencji. W pokoju nie było książek, pomijając sześć tomów *Komentarzy* do Biblii autorstwa

Matthew Henry'ego, które leżały na środku blatu solidnego pomocnika, oflankowane przez urnę do herbaty z jednej, a lampę z drugiej strony. W odległym pokoju ktoś ćwiczył na fortepianie, grając jakąś salonową bagatelkę niesłychanie szybko, przy czym przeciętnie co trzecia nuta była albo nietrafiona, albo pominięta. Jeśli chodzi o finalne głośne akordy, to połowa ich została odbębniiona fałszywie, co najprawdopodobniej w niczym nie umniejszyło samozadowolenia wykonawcy. Pani Thornton usłyszała kroki, tak samo zdecydowane jak jej własne, osoby przechodzącej koło jadalni.

– John, czy to ty?

Syn otworzył drzwi i ukazał się matce.

– Co sprowadza cię tak wcześnie do domu? Myślałam, że idziesz na herbatę do przyjaciela pana Bella, do tego pana Hale'a.

– Taki mam zamiar, matko. Przyszedłem do domu tylko po to, by się przebrać.

– Przebrać, phi! Kiedy ja byłam dziewczyną, młodzi mężczyźni kontentowali się ubieraniem raz dziennie. Dlaczego miałbyś zmieniać ubranie, idąc na spotkanie ze starym proboszczem?

– Pan Hale jest dżentelmenem, a jego żona i córka to damy.

– Żona i córka! One też uczą? Co robią? Nigdy o nich nie wspominałeś.

– Nie, mamó, nie wspominałem, ponieważ nigdy nie spotkałem pani Hale, a pannę Hale widziałem tylko raz przez pół godziny.

– Pilnuj się, żeby ta dziewczyna bez grosza przy duszy cię nie złowiła.

– Jak dobrze wiesz, mamó, nie jest łatwo mnie złowić. Ale nie wolno mówić o panie Hale w ten sposób, który, jak wiesz, jest dla mnie obraźliwy. Nigdy dotychczas nie słyszałem, aby jakakolwiek młoda dama zastawiała na mnie sidła, i nie sądzę, żeby ktoś zadał sobie taki bezsensowny trud.

Pani Thornton nie przytaknęła synowi, choć w gruncie rzeczy była raczej dumna z przedstawicielkę swojej płci.

– Ja tylko mówię, żebyś uważał. Być może nasze dziewczęta w Milton mają zbyt dużo charakteru i honoru, aby łowić męża, ale ta panna Hale pochodzi z tych arystokratycznych hrabstw, a tam, o ile to, co mówią, jest prawdą, bogaci mężowie są w cenie.

Pan Thornton zmarszczył czoło i podszedł bliżej.

– Mamo – powiedział z pogardliwym śmieszkiem – doprowadziłaś do tego, że ci się zwierzę. Ten jedyny raz, kiedy spotkałem pannę Hale, traktowała mnie z wyniosłą grzecznością, w której była spora domieszka lekceważenia. Trzymała się ode mnie na dystans, jakby była królową, a ja jej pokornym, niedomytym wasalem. Bądź spokojna, mamo.

– Nie! Nie jestem spokojna. Ani zadowolona. Jak śmiała, ona, córka odstępcy i zdrajcy Kościoła, kręcić na ciebie nosem?! Gdybym była tobą, nie dbałabym o żadne z nich. Banda zuchwalców!

Wychodząc z pokoju, powiedział:

– Pan Hale jest dobry, łagodny i uczony. Nie jest zuchwalcem. A jeśli chodzi o panią Hale, to będę ci mógł coś o niej powiedzieć wieczorem. O ile będziesz chciała mnie wysłuchać.

Zamknął drzwi i odszedł.

– Gardzić moim synem! Traktować go z lekceważeniem! No rzeczywiście. Ciekawe, gdzie by znalazła drugiego takiego jak on! I jako chłopiec, i jako mężczyzna, zawsze miał najszlachetniejsze, najlepsze ser-

ce. I nie chodzi o to, że jestem jego matką! Widzę, co jest co, bez upiększeń, bez zaślepienia! Wiem, co warta jest Fanny, i wiem, co wart jest John. Gardzić nim. Nienawidzę tej dziewczuchy!

X

ŻELAZO I ZŁOTO

*Jesteśmy jak te drzewa, które wstrząsane, jeszcze mocniej
wrastają w ziemię.*

George Herbert, „Affliction”, w: „The Temple”

Pan Thornton opuścił dom, nie wchodząc ponownie do jadalni. Był trochę spóźniony i szybkim krokiem zmierzał w stronę Crampton. Niepokoił się, aby nie obrazić swego nowego przyjaciela niepunktualnością, która mogłaby zostać potraktowana jako brak szacunku. Zegar na wieży kościelnej wybijał wpół do ósmej, gdy stanął pod drzwiami, czekając, aż Dixon mu je otworzy. Jej ruchy, i tak powolne, stawały się jeszcze bardziej opieszale, gdy musiała się zniżyć do czynności otwierania drzwi. Wprowadziła go do niewielkiej bawialni. Pan Hale powitał tam swego gościa

i zaprowadził do żony, której blada twarz i szczerze owinięta szalem postać stanowiły zrozumiałe wyjaśnienie jej chłodnego, zdystansowanego pozdrowienia. Gdy pan Thornton wchodził do pokoju, Margaret zajmowała się zapalaniem lampy, ponieważ zapadał już zmierzch. Lampa rzucała łagodne światło na środek mrocznego saloniku, którego wiejskim zwyczajem nie odseparowano od nocnego nieba i zewnętrznej ciemności. Pana Thorntona uderzył kontrast między pokojem, w którym się teraz znalazł, a tym, który nie tak dawno opuścił. Tamten, ładny, ale przyciężki, pozbawiony śladów kobiecej obecności z wyjątkiem miejsca, gdzie siedziała jego matka, nie miał żadnych udogodnień poza tymi, które służyły jedzeniu i picciu. Pani Thornton zdecydowanie najbardziej lubiła przebywać w jadalni, a jej wola stanowiła w domu prawo. Salon natomiast był dwa razy, nie, dwadzieścia razy wspanialszy, ale nawet nie w czwartej części tak wygodny jak ten. Tu nie było żadnych złocień, nie było lusterek ani nawet kawałka szkła, w którym mogłoby się odbijać światło, stwarzając podobne wrażenie jak woda w krajobrazie. Ciepłą, stonowaną paletę kolorów ożywiały perkalowe

zasłony i pokrycia krzesel, pochodzące ze starego, dobrego Helstone. Otwarty sekretarzyk typu davenport stał przy oknie naprzeciw drzwi, a przy drugim oknie ustawiono postument z porcelanową białą wazą, z której spływały kłęby bluszczu, liście jasnozielonej brzozy i miedzianego buku. Śliczne koszyki z robótkami porozstawiano w różnych miejscach, ale zdecydowanie dominowały książki. Wybierane nie ze względu na atrakcyjną oprawę, leżały na jednym ze stołów, jakby przed chwilą je tam odłożono. Za drzwiami znajdował się inny stół, nakryty do herbaty, a na białym obrusie ustawiono paterę z ciastkami kakaowymi oraz kosz ze stosem pomarańczy i rumianych amerykańskich jabłek, artystycznie poukładanych na liściach.

Pan Thornton czuł, że te czarujące starania są w tej rodzinie czymś naturalnym i codziennym, a ich główną inicjatorką jest Margaret. Stała przy stoliku z herbatą w pastelowej muślinowej sukni, w której przeważał kolor różowy. Wyglądała, jakby nie przysłuchiwała się rozmowie, a tylko zajmowała filiżankami, pomiędzy którymi jej krągłe kremowe dłonie poruszały się z uroczą, bezgłośnie wykwintnością. Na ramieniu miała branso-

letkę, która zsuwała się na nadgarstek. Pan Thornton obserwował opadanie owej kłopotliwej ozdoby ze zdecydowanie większą uwagą, niż słuchał pana Hale'a. Wydawało się, że zahipnotyzował go widok dziewczyny niecierpliwie poprawiającej bransoletkę, a gdy przedmiot powrócił na swoje miejsce, obserwator wyczekiwał jego ponownego zsunięcia. Był tym tak zaabsorbowany, że niemal krzyknął w pewnym momencie: „Znowu spada!” Po jego przybyciu pozostało tak niewiele przygotowań do herbaty, że poczuł prawie przykrość, gdy konieczność jedzenia i picia przeszkodziła mu w przypatrywaniu się Margaret. Podała mu jego filiżankę z dumną miną niechętnego niewolnika, ale potem błyskawicznie wychwyciła moment, kiedy był gotów do przyjęcia kolejnej porcji herbaty. A on zamarzył, aby poprosić ją, by zrobiła dla niego to samo, do czego zmusił ją ojciec, który ujął w swą męską dłoń jej drobne paluszki i posłużył się nimi jak szczypczykami do cukru. Wtedy pan Thornton zobaczył, jak uniosła na ojca swe piękne rozświetlone oczy, pełne rozbawienia zmieszanego z miłością, gdyż rozśmieszyła ją ta pantomima, o której oboje byli przekonani, że nikt jej nie dostrzeżeł.

Nadal bolała ją głowa, o czym świadczyła jej bladeść i milczenie, ale była zdecydowana raczej podtrzymać rozmowę w wypadku przeciągającej się kłopotliwej ciszy niż dopuścić, by przyjaciel, gość i uczeń ojca miał jakiegokolwiek podstawy czuć się u nich zaniedbywanym. Rozmowa jednak płynęła gładko i Margaret wycofała się do narożnika, gdzie po herbacie przeniosła się już pani Hale ze swoją robótką. Dziewczyna poczuła, że może wreszcie pozwolić swym myślom wędrować bez obawy, że zostanie nagle zmuszona do wypełnienia luki w rozmowie obu panów.

Byli pochłonięci omawianiem tematu, który podjęli podczas ostatniego spotkania. Jakaś trywialna uwaga wypowiedziana przez matkę niskim głosem przywołała Margaret do rzeczywistości. Uniosła wzrok znad swej robótki i nagle uderzyła ją różnica w zewnętrznym wyglądzie między ojcem a jego gościem, odzwierciedlająca wyraźne przeciwieństwo ich natur. Ojciec był szczupły i przez to wydawał się jeszcze wyższy, o ile nie był, jak w tej chwili, zestawiony z kimś równie wysokim, ale dobrze zbudowanym. Rysy twarzy pana Hale'a były miękkie i łagodne, z często powtarzającym się falują-

cym drzeniem, towarzyszącym każdej zmianie emocji, a powieki miał duże i okrągłe, co przydawało oczom szczególnego omdlewającego piękna, prawie kobiecego w charakterze. Brwi były mocno wygięte w łuk i, ze względu na wielkość marzycielskich powiek, raczej oddalone od oczu. Natomiast jeśli chodzi o twarz pana Thorntona, jego proste brwi spoczywały nisko nad czystymi, głęboko osadzonymi, poważnymi oczami, których spojrzenie, choć nie nieprzyjemnie ostre, było przenikliwe i wnikające w samo serce i rdzeń tego, na co ich właściciel patrzył. Na twarzy miał tylko kilka bruzd, ale za to głębokich, jakby wyrzeźbionych w marmurze, zgrupowanych głównie wokół ust, które lekko napinał na przepięknych i nienagannych zębach. Te zęby dawały efekt rozbłyskujących nagle promieni słonecznych, kiedy rzadki, jasny uśmiech pojawiał się w jednej chwili, najpierw w oczach, i zmieniał całkowicie wygląd twarzy; surowe oblicze zdecydowanego na wszystko mężczyzny wyrażało wtedy żarliwą i szczerą radość, tak otwarcie i bezpośrednio okazywaną tylko przez dzieci. Margaret polubiła ten uśmiech i był to pierwszy szczegół, który jej się spodobał u nowego

przyjaciela ojca. Doszła do wniosku, że te przeciwieństwa, które właśnie wyodrębniła w ich wyglądzie zewnętrzny, są być może wyjaśnieniem sympatii, jaką ci dwaj mężczyźni do siebie czuli.

Margaret udzieliła matce pomocy przy jej wełnianej robótce i ponownie zagłębiła się w swych rozważaniach. Mogła się temu oddać bez obaw, ponieważ pan Thornton tak zupełnie o niej zapomniał, jakby w ogóle nie było jej w pokoju. Zajęty był opowiadaniem panu Hale'owi o wspaniałej sile i niesamowitej precyzji działania młota parowego, który kojarzył się byłemu duchownemu z cudownymi historiami o służalczym dżinnie z *Baśni Tysiąca i Jednej Nocy* – najpierw rozciągał się od ziemi do samego nieba, wypełniając sobą cały horyzont, by już w następnej chwili posłusznie skurczyć się i schować w miniaturowej wazie, tak małej, że mieściła się w dłoni dziecka.

– A to ucieleśnienie mocy, ta praktyczna realizacja gigantycznej myśli narodziła się w umyśle człowieka tu, w naszym mieście. Ten właśnie człowiek* ma w sobie

* Mowa tu o Jamesie Nasmyth, przyjacielu autorki książki, który w 1842 r. opatentował młot parowy.

ów pęd, by się dalej wspinać, krok po kroku, stopień po stopniu, po tym, co już osiągnął, do kolejnych cudów i wynalazków. I ośmielę się powiedzieć, że między nami jest wielu, którzy, gdyby tego człowieka zabrakło, podejmą jego dzieło i poprowadzą tę kampanię, która podporządkuje wszystkie dobra materialne nauce.

– Te pochwały przypominają mi stare wersy: „Mam w Anglii setkę kapitanów, a każdy z nich mu dorównuje”.

Na ten cytat Margaret podniosła zdumiony wzrok na ojca. Jak to się stało, na litość boską, że od kół zębatach przeszli nagle do tej starej ballady o Chevym Chace?

– To nie są moje przechwałki – odpowiedział pan Thornton – tylko czysta rzeczywistość. Nie zaprzeczam, że czuję dumę z przynależności do tego miasta, lub raczej powinienem powiedzieć: okręgu, którego potrzeby zrodziły takie oszałamiające koncepcje. Wolałbym raczej być harującym, cierpiącym, nawet nieudolnym człowiekiem tutaj niż wieść nudne dostatnie życie w utartych koleinach tego, co pan nazywa bardziej arystokratycznym społeczeństwem na Południu, z tymi

ich ospałymi dniami pełnymi lekkomyślnej bez troski. Ktoś oblepiony miodem staje się niezdolny, by się poderwać i lecieć.

– Myli się pan – odezwała się Margaret, którą oszczerstwa pod adresem jej ukochanego Południa poderwały do żarliwej i gwałtownej obrony, co natychmiast zabarwiło szkarłatem jej policzki i napełniło oczy łzami gniewu. – Nic pan nie wie o Południu. Jeśli jest tam mniej ryzyka, mniej postępu, bo na pewno nie mniej ciekawych doświadczeń... więc jeśli jest tam mniej ryzyka związanego z hazardową naturą handlu, co wydaje się warunkiem wymuszającym powstawanie tych cudownych wynalazków, to jest tam także mniej cierpienia. Tutaj na ulicach widuję ludzi zgnębionych, przygniecionych jakimś dotkliwym zmartwieniem czy troską. Oni nie tylko cierpią, ale też nienawidzą. Na Południu też są biedni, ale na ich twarzach nie ma tego przerażającego wyrazu poczucia niesprawiedliwości, który widuję tutaj. Nie zna pan Południa, panie Thornton – podsumowała, po czym pogrążyła się w zaciętej ciszy, zła na samą siebie, że powiedziała tak wiele.

– A czy wolno mi powiedzieć, że pani nie zna

Północy? – spytał z niewypowiedzianą łagodnością w głosie, bo zdał sobie sprawę, że naprawdę ją zranił.

Trwała w narzuconym sobie milczeniu, pragnąc wrócić do ukochanych miejsc, które musiała pozostawić w Hampshire. Czuła, że przez tę gorącą tęsknotę jej głos drżałby i nie byłaby w stanie mówić pewnie i równo.

– W każdym razie, panie Thornton – wtrąciła pani Hale – musi pan przyznać, że Milton jest bardziej zadymione i brudne niż jakiegokolwiek miasto na Południu.

– Obawiam się, że w kwestii czystości miasta muszę ustąpić – odpowiedział z szybkim błyskiem uśmiechu. – Ale parlament nakazał nam palić nasz własny dym, więc przypuszczam, że jak grzeczne dzieci zrobimy to, co nam kazano. Kiedyś.

– Wspominał pan chyba, że zmienił pan kominy, aby zużywały dym, czyż nie? – spytał pan Hale.

– Zostały zmienione, ale na moje polecenie. Zanim parlament się do tego wtrącił. To był spory wydatek, zwraca się jednak przez oszczędność węgla. Nie jestem pewien, czy zrobiłbym to, gdybym czekał, aż ustawa przejdzie. Liczono chyba na to, że poczekam, aż ktoś

na mnie doniesie i nałożą na mnie grzywnę, a potem miałbym zastosować wszystkie możliwe legalne środki oporu, by się w końcu poddać. Ale każde prawo, które swe umocnienie uzależnia od donosicieli i kar, staje się bezwładne przez samą ohydę mechanizmu, na którym się opiera. Wątpię, by w ciągu ostatnich pięciu lat kogośkolwiek doniósł na działanie jakiegokolwiek komina, choć niektóre z nich ciągle przerabiają trzecią część węgla w to, co tutaj jest nazywane nieparlamentarnym dymem.

– Ja tylko wiem – upierała się pani Hale – że tutaj nie można mieć czystych muślinowych zasłon dłużej niż tydzień. A w Helstone zmieniałyśmy je co miesiąc lub nawet rzadziej, a i tak przy końcu tego okresu nie wyglądały na brudne. A jeśli chodzi o ręce... Margaret, mówiłaś, że ile razy musiałaś dziś umyć ręce przed śniadaniem? Trzy razy?

– Tak, mamo.

– Wydaje się, że ma pan poważne obiekcje co do aktów parlamentu i ustawodawstwa ingerującego w sposób zarządzania fabrykami w Milton – zauważył pan Hale.

– To prawda. I nie tylko ja, ale wielu innych również. Myślę też, że mamy rację. Maszyny... nie chodzi mi o urządzenia do produkcji wyrobów z drewna i stali, ale o maszyny do przerobu bawełny... są całkowicie nowe i nic dziwnego, że nie zawsze i nie wszystko działa jak należy. Co było siedemdziesiąt lat temu? A dzisiaj? Oddzielnie przedtem funkcjonujące, pojedyncze elementy zostały połączone. Ludzie startujący z tego samego punktu, jeśli chodzi o wykształcenie i urodzenie, nagle zajęli różne pozycje: pracodawcy i pracownika, tylko dzięki zdrowemu rozsądkowi w dostrzeganiu możliwości i okazji. To właśnie wyróżniało niektórych i pozwalało im dostrzec, jak wielka przyszłość jest ukryta w tym, co rozpoczął swym wynalazkiem sir Richard Arkwright*. Szybki rozwój tego, co można nazwać nowym przemysłem, dał tym nowym panom niesamowitą siłę w postaci majątku i władzy, i to nie tylko nad pracownikami, ale nad klientami, nad całym światowym rynkiem. Jako przykład zmian może posłu-

* R. Arkwright (1732–1792) – twórca nowoczesnego przemysłu przędzalniczego, wynalazca maszyny (1768) pozwalającej na masową produkcję nici bawełnianej.

żyć anons, wydrukowany niecałe pięćdziesiąt lat temu w gazecie w Milton, głoszący, że firma X, jedno z pół tuzina przedsiębiorstw drukujących na surówce, zamyka magazyny codziennie w południe i dlatego klienci muszą przychodzić przed upływem tej godziny. Proszę sobie wyobrazić dzisiaj człowieka ograniczającego godziny sprzedaży. Jestem przekonany, że gdyby dobry klient przyszedł o północy, wstałbym i z kapeluszem w dłoni czekałbym na jego zamówienia.

Margaret wyduła usta, ale coś zmuszało ją do słuchania. Już nie potrafiła zatopić się we własnych myślach.

– Wspominam o tym tylko po to, by pokazać, jak nieograniczoną władzą dysponowali przemysłowcy na początku stulecia. Poczuli się tym kompletnie odurzeni. Odnosili szalone sukcesy w swych ryzykownych przedsięwzięciach, a w konsekwencji zabrakło im równowagi także w innych sferach życia. Ich prostota i poczucie sprawiedliwości były często zdominowane przez nadmierne bogactwo, które nagle stało się ich udziałem. Do dzisiaj krążą historie o nieposkromionej ekstrawagancji, jaką odznaczał się owi bawełniani baronowie,

zwłaszcza podczas uroczystych okazji. I nie ma wątpliwości, że tyranizowali swoich pracowników. Zna pan to przysłowie, panie Hale: „Posadź żebraka na końskim grzbiecie, to pojedzie do piekła”? Otóż niektórzy z tych fabrykantów pojechali do piekła w oszałamiającym stylu, bez skrupołów miażdżąc ludzkie ciało i kości pod końskimi kopytami. Ale stopniowo sytuacja zaczęła się zmieniać, pojawiło się więcej fabryk, więcej pracodawców, potrzeba było nowych robotników. Siły właścicieli i pracowników zaczęły się równoważyć, a obecnie toczy się między nami całkiem poważna walka. Z niechęcią poddajemy się decyzjom rozjemcy, z trudem tolerując wtrącanie się przedstawicieli wścibskiej instytucji, którzy mają tylko bardzo powierzchowną znajomość zagadnienia, nawet jeśli ten mieszacz nosi miano Sądu Najwyższego.

– Czy naprawdę użycie terminu „walka między dwiema klasami” jest uzasadnione? – spytał pan Hale. – Widzę zresztą po sposobie, w jaki pan używa tego określenia, że tak właśnie postrzega pan tę sytuację.

– Bo to prawda. I wierzę, że ta walka to taka sama konieczność jak to, aby rozsądek i rozważne działanie

występowały przeciw ignorancji i brakowi przezorności. To właśnie jedna z zalet naszego systemu; robotnik może dzięki własnemu wysiłkowi i staraniom wznieść się i objąć władzę oraz pozycję pracodawcy. Wystarczy przyzwoitość, trzeźwość i obowiązkowość, by móc wstąpić w nasze szeregi. To niekoniecznie oznacza bycie właścicielem fabryki, ale także brygadzystą, kasjerem, księgowym, urzędnikiem, kimś stojącym po stronie władzy i porządku.

– Czy, jeśli dobrze zrozumiałam, uważa pan każdego, komu z jakiegokolwiek przyczyny nie udało się awansować, za swego wroga? – spytała Margaret czystym, zimnym głosem.

– Taki ktoś jest swoim własnym wrogiem – szybko odpowiedział pan Thornton, w najmniejszym stopniu niedotknięty wyniosłą dezaprobatą, którą sugerował sposób wyrażania i ton głosu dziewczyny. Już po chwili dzięki swej prostolinijności i uczciwości uświadomił sobie jednak, że jego słowa były tylko słabą i niewiele znaczącą odpowiedzią na to, o co zapytała. I niezależnie od tego, jak bardzo pogardzała nim i jego poglądami, czuł się w obowiązku wobec siebie samego wyjaśnić

jej swoje stanowisko najlepiej, jak potrafił. A jednak trudno było wskazać, czym jej interpretacja różniła się od tego, co miał na myśli. Najlepszym pomysłem zilustrowania własnych przekonań wydało mu się opowiedzenie głównych kolei swego życia. Ale czy takie zwierzenia wobec obcych nie byłyby zbyt osobiste? Uznał jednak, że to najprostsza i najbardziej bezpośrednia droga przekonania swych gospodarzy, i dlatego, zwalczając uczucie nieśmiałości, które na chwilę zabarwiło jego ogorzałe policzki rumieńcem, powiedział:

– Moje poglądy opieram na własnych doświadczeniach. Szesnaście lat temu mój ojciec zmarł w wielkiej nędzy, w przykrych okolicznościach. Zostałem odebrany ze szkoły i w ciągu kilku dni musiałem, najlepiej jak potrafiłem, stać się mężczyzną. Na szczęście miałem przy sobie matkę, jakiej wielu mogłoby mi pozazdrościć, kobietę wielkiej woli, stanowczości i determinacji. Przeprowadziliśmy się do małego miasta, gdzie życie było tańsze niż w Milton i gdzie znalazłem zatrudnienie w sklepie z tkaninami. Jest to zresztą doskonałe miejsce, aby zaznajomić się z handlem. Po pewnym czasie moje zarobki doszły do piętnastu szylingów,

z których musieliśmy utrzymać trzy osoby. Moja matka tak rozporządzała tą sumą, że regularnie odkładała trzy szylingi z tych piętnastu. To był początek. I to nauczyło mnie i przyzwyczało do wyrzeczeń. A teraz, kiedy jestem w stanie zapewnić mojej matce wszelkie wygody, jakich wymaga jej wiek, a nie jakich sobie życzy, przy każdej okazji cicho jej dziękuję za tę wczesną naukę, której mi udzieliła. Jestem przekonany, że w moim wypadku sukces to nie sprawa trafu, zasług czy talentu. To po prostu kwestia wyrobionych nawyków, pogardy dla folgowania sobie, zwłaszcza niezastżonego. Najlepiej zresztą o owych kapryсах nie myśleć. Sądzę, że to opisane przez pannę Hale cierpienie, które dostrzegła odcisnięte na twarzach ludzi w Milton, to naturalna kara za nadużywanie przyjemności w poprzednim okresie życia. Nie spoglądam na pobłażających sobie, nadwrażliwych ludzi jako godnych mej nienawiści, po prostu odczuwam lekceważenie dla słabości ich charakteru.

– Ale pan przecież ma podstawy dobrego wykształcenia – zauważył pan Hale. – Entuzjazm i werwa, z jakimi czyta pan teraz Homera, wskazują, że nie jest to

dla pana nieznany autor. Musiał pan to już studiować i teraz tylko odświeża pan tę starą znajomość.

– To prawda, długo ślęczałem nad tym w szkole, przyznam nawet, że swego czasu uważany byłem za całkiem niezłego klasyka, choć od tamtej pory moja łacina i greka poszły w zapomnienie. Ale proszę mi powiedzieć: czy w najmniejszym stopniu przygotowały mnie do życia, które musiałem wieść? W żadnym. Absolutnie w żadnym. Jeśli chodzi o wykształcenie, to każdy człowiek umiejący pisać i czytać zaczynał swą karierę dokładnie z tego samego punktu co ja.

– Cóż, nie zgadzam się z panem, ale to być może przez to, że jestem w kwestiach literatury perfekcjonistą. Czy przypomnienie bohaterskiej prostoty życia przedstawianego przez Homera było panu wsparciem i zachętą?

– Ani trochę! – wykrzyknął, śmiejąc się, pan Thornton. – Byłem zbyt zajęty, aby myśleć o dawno zmarłych ludziach, kiedy żyjący przepychali się ze mną łeb w łeb w walce o pożywienie. Ale teraz, kiedy zapewniłem mojej matce cichy spokój, który przystoi jej wiekowi i wynagradza jej poprzednie wysiłki, mogę

powrócić do tych dawnych opowieści i w pełni się nimi cieszyć.

– Prawdopodobnie moja uwaga pochodzi z zawodowego przekonania, że nic nie dorówna wartościowej książce – odpowiedział pan Hale.

Kiedy gość się podniósł, przygotowując się do odejścia, uścisnął dłonie panu i pani Hale'om, a potem ruszył w stronę Margaret, aby i z nią pożegnać się w ten sam sposób; był to szczerzy przyjacielski zwyczaj praktykowany w Milton. Niestety, panna Hale nie spodziewała się tego. Tylko mu się ukloniła, choć już w chwili, gdy zobaczyła, jak wyciągnął w jej stronę dłoń, po czym szybko ją cofnął, żałowała, że nie znała jego zamiaru. Pan Thornton jednakże nie wiedział o jej spóźnionym żalu, wyprostował się i odszedł, mrucząc do siebie po opuszczeniu domu:

– Najbardziej zadufana w sobie, niemiła dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkałem. Przy takich fochach zapomina się nawet o jej wielkiej urodzie.

XI

PIERWSZE WRAŻENIE

*Żelazo ponoć jest składnikiem naszej krwi,
Drobina zatem w każdym czteku tkwi;
Lecz w jego żyłach, rzecz to oczywista,
Miast zwykłej krwi stal cyrkuluje czysta.*

Anonim, przeł. Joanna Puchalska

*M*argaret! – powiedział pan Hale, gdy wrócił do pokoju po odprowadzeniu swego gościa na dół. – Nie ukrywam, że patrzyłem z niepokojem na twoją twarz, gdy pan Thornton opowiadał nam, iż był subiektem w sklepie. Wiedziałem o tym od pana Bella, więc nie stanowiło to dla mnie niespodzianki, ale poważnie się obawiałem, że wstaniesz i wyjdiesz z pokoju.

– Och papo! Chyba nie powiesz mi, że uważasz mnie za taką głupiutką? Tak naprawdę to z tego wszystkiego, co mówił, ta opowieść o sobie samym podobała mi się najbardziej. Wszystko inne napełniało mnie niesmakiem, bo było takie bezwzględne. Ale o sobie opowiadał zwyczajnie, bez tych pretensji, które czynią sklepikarzy wulgarnymi, a za to z takim pełnym czułości szacunkiem o swojej matce. Miałam natomiast ochotę wyjść, kiedy tak się szczyił tym swoim Milton, jakby nie było drugiego podobnego miejsca na świecie. Albo gdy oświadczył, że gardzi ludźmi lekkomyślnymi i rozrzutnymi, zamiast uświadomić sobie, że powinien spróbować nauczyć ich tej brakującej im przezorności, zamiast dać im taką szkołę, jaką dała mu jego matka, której najwyraźniej zawdzięcza swą pozycję, jakakolwiek by ona była. Zdecydowanie jego stwierdzenie, że pracował w sklepie, podobało mi się najbardziej.

– Jestem zdumiona, Margaret, tym, co powiedziałaś – odezwała się pani Hale. – Ty, która zawsze oskarżałaś ludzi w Helstone o sklepikarstwo. Poza tym myślę, panie Hale, że nie postąpił pan właściwie, przedstawiając nam takiego człowieka i nie informując nas

uprzednio o jego przeszłości. Naprawdę bałam się, że on dostrzeże, jak bardzo byłam zaszokowana niektórymi jego wypowiedziami. Jego ojciec zmarł „w nędzy, w trudnych okolicznościach”. Przecież to może nawet oznaczać, że zmarł w warsztacie.

– Nie jestem pewien, ale to może być coś gorszego – odpowiedział jej mąż. – Sporo słyszałem o naszym gościu od pana Bella, jeszcze zanim tu przybyliśmy, a ponieważ on sam opowiedział wam część swego życia, wypełnię pozostawione przez niego luki. Jego ojciec oddawał się szalonym spekulacjom, a gdy wszystko na tym stracił, popełnił samobójstwo, bo nie był w stanie znieść hańby. Dotychczasowi przyjaciele odsunęli się od niego, gdy jego nieuczciwe spekulantstwo wyszło na jaw – dzikie, beznadziejne zmagania, by za pomocą pieniędzy obcych ludzi wydrzeć światu własną porcję bogactwa. Nikt nie wyciągnął pomocnej dłoni w stronę matki i chłopca. Było też jeszcze jedno dziecko, chyba dziewczynka, zbyt mała, żeby zarabiać. W każdym razie nikt im nie pomógł, a pani Thornton jest, jak przypuszczam, ostatnią osobą na świecie, która czekałaby na niechętną i wymuszoną uprzejmość. Wyprowadzili

się z Milton i, z tego, co wiem, chłopak rozpoczął pracę w sklepie, a jego zarobki, razem z niewielkimi pieniędzmi zapisanymi na matkę, pozwalały im utrzymać się przez długi czas przy życiu. Pan Bell opowiadał mi, że dosłownie latami żyli na samej wodziance, ale jak, tego nie potrafił powiedzieć. Długo po tym, jak wierzyciele starego pana Thorntona porzucili nadzieję odzyskania choć części swych pieniędzy, o ile w ogóle liczyli na to po jego samobójstwie, ten młody człowiek wrócił do Milton i obszedł ich wszystkich, spłacając pierwszą ratę należnych im kwot. Nie było żadnego hałasu, żadnego zebrania wierzycieli, wszystko załatwił bez zbędnej wrzawy, ale cały dług został w końcu uregulowany. Odbył się to z materialną pomocą jednego z wierzycieli, jakiegoś starego zrzędy, jak go określił pan Bell, który przyjął pana Thorntona na swego rodzaju partnera w interesach.

– To naprawdę wspaniałe – oświadczyła Margaret. – Jaka szkoda, że taka wyjątkowa natura zostanie zbrukana jego pozycją przemysłowca.

– Jak to zbrukana? – nie zrozumiał ojciec.

– Och tato, przez to ocenianie wszystkiego pod ką-

tem bogactwa. Kiedy opowiadał o sile mechanicznej, widać było, że dla niego to tylko nowa droga rozwoju przemysłu i robienia pieniędzy. A ci biedni ludzie wokół niego, cóż, są biedni, bo są zdeprawowani. Nie zasługują na jego współczucie, bo nie mają ani jego żelaznej natury, ani możliwości płynących z bycia bogaczem.

– Nie zdeprawowani, nie użył tego słowa. Powiedział: nieprzezorni i samopobłażający.

Margaret zbierała materiały do robótek matki i przygotowywała się do nocy. W chwili gdy zamierzała opuścić pokój, zawahała się. Chciała złożyć oświadczenie, o którym sądziła, że ucieszy jej ojca, ale aby było ono kompletne i prawdziwe, musiała w nim zawrzeć drobne zastrzeżenie. W końcu się zdecydowała.

– Papo, ja naprawdę uważam pana Thorntona za człowieka wyjątkowego, ale osobiście go nie lubię.

– A ja tak! – odpowiedział ze śmiechem ojciec. – Osobiście, jak to nazwałaś, i w ogóle. Ale nie stawiam mu pomnika, jak jakiemuś bohaterowi. Dobranoc, dziecko. Twoja matka wyglądała dziś na znużoną.

Margaret już jakiś czas temu zwróciła z niepokoi-

jem uwagę na zmęczony wygląd matki, a wzmianka ojca sprawiła, że dziewczyna zasypiała z niejasną obawą, która jak cień legła na jej sercu. Życie, które pani Hale wiodła w Milton, radykalnie różniło się od tego w Helstone, gdzie oddychała świeżym powietrzem, niezależnie od tego, czy przebywała w domu, czy na dworze. Nawet samo powietrze było tam inne od tutejszego, które zdawało się pozbawione wszelkich ożywczych wartości. Obręcz domowych trosk tak mocno i w tak nowej, dokuczliwej formie zacisnęła się wokół kobiet, że istniały poważne obawy o wpływ tych zmartwień na zdrowie pani Hale. Margaret dostrzegła także inne niepokojące oznaki tego, że coś złego dzieje się z matką. Przeprowadzała ona jakieś potajemne rozmowy w swojej sypialni z Dixon, po których wierna służąca wychodziła zapłakana i zdenerwowana, co świadczyło o tym, że jakieś zmartwienie jej pani wzbudziło współczucie służącej. Pewnego razu Margaret weszła do pokoju pani Hale tuż po takiej konferencji i zastała matkę na kolanach. Dziewczynie udało się uchwycić kilka słów modlitwy o cierpliwość i siłę w znoszeniu jakiegoś ciężkiego fizycznego cierpienia. Panna Hale marzyła o odnowieniu wię-

zi zażyłości i zaufania, która została nadszarpnięta przez jej długi pobyt u ciotki, i starała się pieśzczołami i łagodnymi słowami wślizgnąć z powrotem na swe dawne miejsce w sercu matki. Ale choć odwzajemniała ona czułe gesty oraz słowa, i to w obfitości, która z pewnością zadowoliliby córkę w przeszłości, Margaret czuła, że jakaś tajemnica jest przed nią skrywana i że ma to związek ze zdrowiem matki. Tej nocy długo leżała, nie śpiąc, i zastanawiała się, jak można zmniejszyć niedobry wpływ życia w Milton na jej matkę. Należy znaleźć służącą, która odciążałaby Dixon, nawet jeśli Margaret miałaby poświęcić tym poszukiwaniom cały swój czas. Wtedy stara służąca zajmowałaby się tylko panią Hale, odpowiednio do jej potrzeb i przyzwyczajień. Odwiedzanie biur pośrednictwa pracy, spotkania z mnóstwem ludzi, na których pomoc raczej nie mogła liczyć, i z kilkoma osobami, które może mogłyby coś dla niej zrobić, zajęły czas i myśli Margaret przez kilkanaście dni. Pewnego popołudnia spotkała na ulicy Bessy Higgins i zatrzymała się, by z nią porozmawiać.

– Jak się czujesz, Bessy? Lepiej, mam nadzieję, zwłaszcza że wiatr się zmienił.

– Lepiej i nie lepiej, jeśli wie panienka, co to znaczy.

– Niezupełnie – odpowiedziała Margaret z uśmiechem.

– Jest mi lepiej, bo kaszel nie rozrywa mnie całą noc na strzępy, ale czuję się zmęczona i wyczerpana byciem tu, w Milton. Marzę, aby się przenieść do Ziemi Obiecanej. A kiedy sobie pomyślę, że jestem jeszcze daleko od tego celu, to serce mi zamiera i nie jest mi lepiej. Jest mi gorzej.

Margaret zawróciła i szła przy dziewczynie, z mozołem i powoli pokonującej drogę w stronę domu. Przez jakiś czas nic nie mówiła, w końcu spytała niskim głosem:

– Bessy, czy ty życzysz sobie śmierci? – Sama wzdrygała się na tę myśl, czepiając się życia z całym uporem osoby młodej i zdrowej.

Teraz dla odmiany Bessy milczała przez chwilę, a w końcu odpowiedziała:

– Gdyby żyła panienka takim życiem jak ja i zmęczyła się nim tak jak ja, i gdyby myślała czasami: „Może to potrwa pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat, bo tak jest z niektórymi”, wtedy wszystko by się panience

kołowało i kręciło i byłoby panience niedobrze, jakby każdy rok z tych sześćdziesięciu lat wirował wokół niej i naigrawał się z niej długością godzin i minut wlokących się bez końca... Dziewczyno! Mówię ci, byłabyś zadowolona, gdyby lekarz ci powiedział, że nie sądzi, abyś doczekała następnej zimy.

– Ale, Bessy, jakie wiodłaś życie?

– Myślę, że nie gorsze niż inni. Tylko że ja się nim trapiłam, a inni nie.

– Ale co się stało? Wiesz, że jestem tu obca, więc nie potrafię tak szybko chwytać znaczenia tego, co mówisz, jak gdybym spędziła tu całe życie.

– Gdyby przyszła panienka do naszego domu, tak jak obiecała, może bym opowiedziała. Ale ojciec powiedział, że panienka jest taka jak reszta. U was tak jest: co z oczu, to z serca.

– Nie wiem, kim jest ta reszta. I byłam bardzo zajęta. A poza tym, szczerze mówiąc, zapomniałam trochę o mojej obietnicy.

– Panienka to zaproponowała. Nikt z nas o to nie prosił.

– Zapomniałam, co obiecałam, przynajmniej chwi-

lowo – mówiła cicho Margaret. – Powinnam była przypomnieć sobie, kiedy nie byłam już taka zajęta. Czy mogę pójść z tobą teraz?

Bessy szybko spojrzała na swą towarzyszkę, by sprawdzić, czy naprawdę ma ona ochotę na to, co mówi. Spojrzenie z ostrego zmieniło się w tęskne i łagodne, gdy dostrzegła miękki i przyjacielski wzrok Margaret.

– Niewielu o mnie dba. Jeśli panienka chce, to chodźmy.

Ruszyły razem w milczeniu. Gdy skręciły na małe podwórze otwierające się na nędzną ulicę, Bessy powiedziała:

– Proszę się nie zrażać, jeśli tata będzie w domu i z początku odezwie się do ciebie szorstko. Zapamiętał cię, wiesz? Dużo myślał o tym, że masz do nas przyjść, i dlatego, że cię polubił, był zły i niezadowolony.

– Nie obawiaj się, Bessy.

Gdy weszły, Nicholasa nie było w domu. Wielka niechlujna dziewczyna, młodsza od Bessy, ale wyższa i silniejsza, była zajęta przy zlewie. Poruszając się niezdarnie, wpadała na meble i ogólnie robiła taki hałas i zamieszanie, że Margaret wzdrygnęła się ze współczucia dla biednej Bessy,

która ciężko opadła na pierwsze z brzegu krzesło, jakby spacer kompletnie pozbawił ją sił. Panna Hale poprosiła siostrę chorej o kubek wody, a gdy dziewczyna pobiegła spełnić tę prośbę, potykając się o przybory kominkowe i zahaczając po drodze krzesło, Margaret rozluźniła wstążki przy czepku Bessy, aby ułatwić jej oddychanie.

– Uważa panienska, że takie życie jak to jest coś warte? – Bessy zdołała w końcu nabrać powietrza.

Margaret nie odpowiedziała, tylko przytrzymała kubek przy ustach chorej. Ta wypiła wodę jednym długim gorączkowym haustem, a potem osunęła się na oparcie i zamknęła oczy. Dało się słyszeć jej szept: „Nie będą już łaknąć ani nie będą już pragnąć, i nie porazi ich słońce ani żaden upał”^{*}.

Margaret pochyliła się do przodu i powiedziała:

– Bessy, bądź cierpliwa, nie przekreślaj swojego życia, jakiegokolwiek jest lub mogłoby być. Pamiętaj, kto ci je ofiarował i kto sprawił, że jest, jakie jest.

Zaskoczyły ją słowa Nicholasa, który wrócił niezauważony i stanął tuż za nią.

* Fragment z *Księgi Apokalipsy* (7, 16).

– Nikt nie będzie głosił mojej dziewczynie kazań. Już i tak jest wystarczająco źle z tymi jej marzeniami, metodystycznymi mrzonkami, wizjami miast o złotych bramach i klejnotach. Jeśli ona to lubi, to niech tak będzie. Ale na tym koniec. Nie zniosę żadnych więcej głupot i żadnego mącenia jej w głowie.

– Ale z pewnością – powiedziała Margaret, odwracając się w jego stronę – wierzy pan w to, co powiedziałam, że Bóg dał jej życie i zdecydował, jakie ono ma być.

– Wierzę w to, co widzę, i w nic więcej. Oto w co ja wierzę, młoda kobieto. Nie wierzę we wszystko, co słyszę, o nie, wcale. Słyszałem, jak jedna dziewczyna robiła wielki hałas o to, gdzie mieszkamy, i obiecywała, że przyjdzie. A moja córka ciągle o tym myślała i jak słyszała obce kroki, to aż się rumieniła. Myślała, że ja tego nie widzę. A tamta w końcu przyszła. I jest mile widziana, ale tylko tak długo, dopóki nie będzie tu gadać o tym, o czym nic nie wie.

Bessy obserwowała twarz Margaret. Trochę się uniosła w krześle i kładąc dłoń na ramieniu gościa, błagalnym gestem powiedziała:

– Nie gniewaj się na niego. Wielu myśli tak samo jak on. Bardzo wielu tutaj. Gdybyś słyszała, co mówią, nie dziwiłabyś się jego słowom. Rzadko się zdarza ktoś tak dobry jak on. Mój ojciec. Ale och! – westchnęła, wpadając z powrotem w rozpacz – czasami to, co mówi, sprawia, że jeszcze bardziej marzę o śmierci, bo chciałabym tyle rzeczy wiedzieć i mam taki mętlik w głowie, tyle wątpliwości.

– Biedna córuś. Moja biedna córuś! Bardzo cię zdernowałem. Ale człowiek musi mówić, jak jest naprawdę. A kiedy widzę, jak świat idzie teraz w złą stronę, jak zajmują się sprawami, o których nic nie wiedzą, a zostawiają niezafatwione to, co kuleje i co mają tuż pod nosem, to mówię: zostawcie całe to gadanie o religii w spokoju i weźcie się do tego, co widzicie i na czym się znacie. To jest moje wyznanie wiary. Rozwiązanie proste, w zasięgu ręki, łatwe do wprowadzenia.

Bessy jednak dalej błagała Margaret:

– Nie myśl o nim źle. To dobry człowiek. Naprawdę. Czasem myślę, że nawet w domu Boga pochłonie mnie smutek, jeśli ojca tam nie będzie. – Niezdrowe rumieńce wróciły na jej policzki, a gorączkowe płomienie bły-

skały w oczach. – Ale ty tam będziesz, ojciec. Będziesz. Och, moje serce! – Przyłożyła dłoń do piersi i nagle zrobiła się blada niczym całun.

Margaret trzymała Bessy w ramionach i tuliła znękaną głowę dziewczyny do swej piersi. Odsunęła jej cienkie, delikatne włosy ze skroni i przemyła czoło wodą. Nicholas z bystrością ludzi kochających rozumiał wszystkie dawane mu znaki i dostarczał potrzebne przedmioty. Nawet okrągłooka siostra zdołała bezgłośnie pracować, gdy Margaret stanowczo ją uciszyła. W końcu atak, ten cień zapowiadający śmierć, minął. Bessy ocknęła się i wychrypiała:

– Położę się do łóżka. To najlepsze miejsce. Ale – chwyciła się sukni Margaret – przyjdiesz jeszcze. Wiem, że przyjdiesz. Ale powiedz to.

– Przyjdę jutro – obiecała Margaret.

Bessy oparła się o ojca, który miał ją zanieść na górę. A gdy gość uniósł się, by odejść, mężczyzna przemógł się i powiedział:

– Chciałbym, aby istniał Bóg, tylko po to, by Go prosić o błogosławieństwo dla panienki.

Panna Hale odeszła bardzo smutna i bardzo zamyślona.

Spóźniła się do domu na herbatę. W Helstone nieprzestrzeganie godzin posiłków było poważnym występkiem w oczach matki. Tu jednakże wydawało się, że wykroczenie to straciło swą moc wywoływania jej irytacji, podobnie jak się stało z wieloma innymi naruszeniami domowego rytuału. Margaret prawie tęskniła za dawnymi wymówkami.

– Znalazłaś służącą, kochanie?

– Nie, mamó. Ta Anna Buckley zupełnie by się nie nadawała.

– A może ja spróbuję – zaproponował pan Hale. – Każda z was po kolei już starała się rozwiązać ten nasz kłopot. Pozwólcie także mnie spróbować. Może to ja znajdę Kopciuszka, któremu niespodziewanie uda się założyć pantofelek.

Margaret z trudem zdołała się uśmiechnąć, słysząc ten mały żart, tak bardzo przytłoczyła ją wizyta u Higginsów.

– Ale co byś zrobił, papo? Jak byś się do tego zabrał?

– Poprosiłbym jakąś doświadczoną panią domu, aby poleciła mi kogoś, kogo zna ona sama lub jej służba.

– Doskonale. Musimy jeszcze tylko złapać taką panią domu.

– Już złapana. A raczej sama wpadnie w sidła i jutro będziecie ją mogli złapać, o ile potraficie.

– Ale co też ma pan na myśli, panie Hale? – spytała jego żona z rozbudzoną ciekawością.

– Mój wzorowy uczeń, jak Margaret go nazywa, powiedział mi, że jego matka zamierza jutro złożyć wizytę pani i pannie Hale.

– Pani Thornton! – wykrzyknęła pani Hale.

– Ta matka, o której nam opowiadał? – spytała Margaret.

– Pani Thornton. Jedyne dziecko, jaką ma, jak przypuszczam – potwierdził cicho pan Hale.

– Chętnie ją poznam. To musi być niezwykła osoba – oznajmiła jego córka. Żona zaś dodała:

– Być może ona ma jakąś krewną, która by nam opowiadała i byłaby szczęśliwa, mogąc u nas pracować. Z tego, co jej syn opowiadał, odniosłam wrażenie, że to taka staranna i oszczędna osoba, więc chętnie przyjęłabym kogoś z tej samej rodziny.

– Moja droga – odezwał się pan Hale poważnie zaniepokojony – błagam cię, nie ujawniaj się z tym pomysłem. Wyobrażam sobie, że pani Thornton jest wynio-

sła i dumna w swym postępowaniu, podobnie jak nasza mała Margaret w swoim. I wydaje mi się, że ta pani kompletnie ignoruje ten dawny trudny czas, ich biedę i oszczędzanie, o których tak otwarcie opowiada jej syn. W każdym razie jestem przekonany, że nie chciałyby, aby obcy cokolwiek o tym wiedzieli.

– Weź, proszę, pod uwagę, papo, że mnie nie cechuje tego typu wyniosłość, o ile grzeszę jakąkolwiek wyniosłością. Ja osobiście uważam, że nie, choć ty mnie o to zawsze oskarżasz.

– Nie jestem w pełni przekonany, czy ona tak się zachowuje, ale z drobnych uwag, które czasem wymkną się panu Thorntonowi, tak właśnie wnioskuje.

Panie nie okazały najmniejszego zainteresowania sposobem, w jaki pan Thornton wypowiadał się o swej matce, natomiast Margaret chciała wiedzieć, czy musi zostać w domu podczas tej wizyty, bo unie możliwiłoby jej to odwiedziny u Bessy. Mogłyby pójść do Higginsów dopiero wieczorem, bo przedpołudnia wypełniały jej obowiązki domowe. W porę jednak przypomniała sobie, że nie powinna zostawiać na głowie matki fatygi samotnego bawienia gościa.

XII

PRZEDPOŁUDNIOWE ODWIEDZINY

Cóż, przypuszczam, że naprawdę musimy.

Sir Arthur Helps, „Friends in Council”

Pan Thornton miał niejakie trudności z przekonaniem swej matki, aby odwiedziła panie Hale z zachowaniem odpowiednich form. Nie składała zbyt wielu wizyt, a jeśli już to robiła, to traktowała je jako ciężki obowiązek. Syn podarował jej powóz, ale nie zgodziła się na trzymanie na stałe koni; wynajmowano je więc przy poważnych okazjach, gdy wybierała się na przedpołudniową lub wieczorną wizytę. Niecałe dwa tygodnie temu konie były wynajęte na trzy dni, podczas których odwiedziła wszystkich swoich znajomych,

a teraz była kolej na nich, aby ponieśli koszty i wysiłek związany z rewizytą. Niestety, Crampton było zbyt oddalone, aby pani Thornton mogła udać się tam pieszo. Wielokrotnie pytała syna, czy jego życzenie, aby odwiedziła Hale'ów, było na tyle stanowcze, by opłacało się wezwać dorożkę. Liczyła, że syn wycofa się jeszcze ze swego pomysłu, gdyż, jak twierdziła, nie widziała najmniejszego sensu w zawieraniu znajomości z wszystkimi nauczycielami i mentorami w Milton. Następnym razem może mu przyjść do głowy, aby spotkała się z żoną człowieka, który uczył Fanny tańczyć.

– Poprosiłbym o to, gdyby pan Mason i jego żona świeżo tu przybyli i nie mieli przyjaciół, jak państwo Hale.

– Nie musisz od razu tak się irtutować. Wybieram się tam jutro. Chciałam tylko, abys dokładnie zrozumiał, jakie mam na ten temat zdanie.

– Jeśli jedziesz tam jutro, zamówię konie.

– Nonsens, John. Ktoś mógłby pomyśleć, że śpisz na złocie.

– Niezupełnie, na razie. Ale jeśli chodzi o konie, podjąłem już decyzję. Ostatnim razem, gdy jechałaś

dorożką, wróciłaś do domu z bólem głowy od wstrząsów i szarpnięć.

– Z pewnością się nie skarżyłam.

– Nie. Moja matka nie ma zwyczaju się skarżyć – powiedział to z dumą. – Ale tym bardziej muszę o ciebie dbać. A teraz, jeśli chodzi o Fanny, uważam, że odrobina trudu wyszłaby jej tylko na dobre.

– Ona nie jest z tego samego materiału co ja i ty, John. Ona mogłaby tego nie znieść.

Po tych słowach pani Thornton zamilkła, bo dotyczyły tematu, który ją zawstydzał i martwił. Żywiła nieświadomą pogardę dla słabych charakterów, a jej córka, Fanny, była słaba właśnie w tych punktach, w których ona sama i jej syn byli mocarzami. Pani Thornton nie miała specjalnie skłonności do rozmyślań. Jej szybkie osądy i silne postanowienia służyły jej doskonale i wołała je od niekończących się dyskusji i debat z samą sobą. Instynktownie czuła, że nic nie wzmocniłoby Fanny na tyle, by znosiła cierpliwie niewygody lub odważnie stawiała czoło trudnościom. I choć jej matka krzywiła się, przyznając to przed sobą, to jednak ta świadomość sprawiała, że jej stosunek do dziewczyny zabarwiony był

litościwą czułością, z jaką kobiety traktują zazwyczaj swe chorowite dzieci. Nieuważny obserwator mógłby uznać, że pani Thornton okazuje zdecydowanie więcej uczucia Fanny niż Johnowi, ale ktoś taki byłby w głębokim błędzie. Ta śmiałość, z jaką matka i syn oznajmiali sobie nawzajem niewygodne i trudne prawdy, dowodziła wzajemnego zaufania i polegania na mocnych fundamentach ich dusz. Natomiast niespokojna czułość pani Thornton w stosunku do córki, zakłopotanie, z jakim próbowała ukryć jej niedostatki tych wielkich zalet, które sama miała i tak wysoko ceniła u innych, to zakłopotanie zdradzało brak bezpiecznej przystani dla jej uczuć matki. Swego syna nigdy nie nazywała inaczej, niż John. „Kochanie”, „moja droga” i inne podobne zwroty zarezerwowane były dla Fanny. Ale to za niego dziękowała Bogu dniem i nocą, i to ze względu na niego chodziła po Milton z uniesioną głową.

– Fanny, kochanie, będę miała dzisiaj konie do powozu, bo jadę z wizytą do tych pań Hale. Może byś pojechała i odwiedziła nianię? To w tym samym kierunku, a ona tak się zawsze cieszy na twój widok. Mogłabyś do niej pójść, gdy ja będę u pani Hale.

– Och mammo, to tak daleko, a ja jestem taka zmęczona.

– Ale czym? – spytała pani Thornton, lekko unosząc brew.

– Nie wiem, chyba pogodą. Jest taka... osłabiająca. A nie mogłabyś przywieźć tu niani, mammo? Powóz mógłby ją zabrać i spędziłaby u nas resztę dnia. Jestem pewna, że to by jej się podobało.

Pani Thornton przez chwilę się nie odzywała, ale odłożyła swą robótkę na stół i wydawała się nad czymś rozmyślać.

– Ale musiałyby wracać sama wieczorem, a to długa droga – odpowiedziała w końcu.

– Przecież odeślę ją w dorożce. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby wracała pieszo.

W tym momencie wszedł pan Thornton, który właśnie wybierał się do przędzalni.

– Mammo, myślę, że nie muszę o tym mówić, ale jeśli istnieje sposób, w jaki mogłabyś pomóc pani Hale w jej chorobie, to z pewnością to zrobisz.

– Jeśli o czymś takim się dowiem, to tak. Ale nigdy nie byłam chora, więc zachcianki takich osób są mi nieznanne.

– Cóż, jest tu przecież Fanny, która rzadko nie odczuwa jakiejś dolegliwości, więc z pewnością będzie umiała ci coś zasugerować, prawda, Fan?

– Nie zawsze coś mi dolega – odpowiedziała nadęsa dziewczyna. – A poza tym ja nie jadę z mamą. Boli mnie dzisiaj głowa i nigdzie nie wychodzę.

Pan Thornton wyglądał na poirytowanego. Matka spuściła wzrok na swoją robótkę i pilnie zajęła się szyciem.

– Fanny, życzę sobie, byś też pojechała – powiedział władczo. – To nie tylko ci nie zaszkodzi, ale wręcz przyniesie korzyść. Będę ci wdzięczny, jeśli bez dalszego nakłaniania po prostu tam pojedziesz.

Po tych słowach nagle wyszedł z pokoju.

Gdyby został choć chwilę dłużej, Fanny pod wpływem jego tonu zaczęłaby płakać, nawet mimo użytych przez brata słów „będę ci wdzięczny”. Wobec odejścia Johna zaczęła tylko marudzić:

– John zawsze odzywa się do mnie tak, jakbym sobie tylko wymyśliła, że jestem chora, a ja przecież jestem pewna, że nie wymyślam sobie takich rzeczy. Kim w ogóle są ci Hale'owie, wokół których on robi tyle zamieszania?

– Fanny, nie mów tak o swoim bracie. Z pewnością ma powody, by nas prosić o złożenie im wizyty, bo w przeciwnym razie tak by nie należał. Pospiesz się z ubieraniem.

Ta drobna utarczka między synem a córką nie nastroiła pani Thornton pozytywnie wobec „tych Hale’ów”. Jej zawistne serce powtórzyło pytanie córki: „Kim oni są, że Johnowi tak zależy na okazaniu im uwagi?” To pytanie powracało do niej jak refren piosenki jeszcze długo po tym, jak Fanny zapomniała o swojej uwadze, pochłonięta fascynującym oczekiwaniem, jak jej nowy czepek będzie się odbijał w mijanych oknach wystawowych.

Pani Thornton była nieśmiała. Dopiero w ostatnich latach dysponowała wolnym czasem, który mogła poświęcić na bywanie w towarzystwie, ale to nie bardzo jej odpowiadało. Podobało jej się natomiast wydawanie przyjęć i krytykowanie tych, wydawanych przez innych ludzi. Jednakże wychodzenie, aby spotkać się z nieznanymi jej osobami, to było coś zupełnie innego. Czuła się nieswojo i wchodząc do małej bawialni państwa Hale’ów, wyglądała jeszcze bardziej surowo i groźnie niż zazwyczaj.

Margaret była zajęta haftowaniem małego kawałka batystu, który miał stanowić część ubranka dla spodziewanego dziecka Edith. „Błahe i bezużyteczne” – skomentowała w duchu pani Thornton. Już bardziej podobało jej się to, co pani Hale robiła na drutach; to uznała przynajmniej za praktyczne. Cały pokój był pełen bibelotów, których odkurzanie zabierało z pewnością mnóstwo czasu, a dla ludzi o ograniczonych przychodach czas to pieniądz. Wszystkich tych spostrzeżeń dokonała, rozmawiając z panią Hale w charakterystyczny dla siebie, stonowany sposób, wypowiadając zwyczajowe banały, jakie większość ludzi potrafi znajdować na poczekaniu bez angażowania umysłu. Pani Hale wkładała więcej wysiłku w swe słowa, urzeczona wspaniałą, autentycznie starą koronką, jaką miała na sobie pani Thornton; „koronką – jak później relacjonowała w rozmowie z Dixon – z tych szydełkowych, jakie nie są wyrabiane już od siedemdziesięciu lat i jakich nigdzie nie można kupić. To musi być odziedziczone i świadczy o tym, że pani Thornton miała jakichś przodków”. Tak więc spadkobierczyni koronek urosła w oczach pani Hale do rangi osoby zasługującej na coś więcej niż tyl-

ko ospałe wysiłki bycia uprzejmym wobec gościa, do jakich w normalnej sytuacji ograniczyłaby się gospodyni. Wkrótce potem Margaret, łamiąc sobie głowę, o czym rozmawiać z Fanny, usłyszała, jak pani Thornton i jej matka zagłębiają się w rozmowę na nigdy niewyczerpany temat służby.

– Przypuszczam, że nie jest pani muzykalna – powiedziała Fanny – bo nigdzie nie widzę fortepianu.

– Bardzo lubię słuchać dobrej muzyki, ale sama nie gram najlepiej, a moi rodzice nie przywiązują do tego zbyt dużej wagi. Dlatego przed sprowadzeniem się tutaj sprzedaliśmy nasz stary instrument.

– Nie rozumiem, jak może pani bez niego wytrzymać. Dla mnie to coś niezbędnego.

Piętnaście szylingów na tydzień i z tego trzy zaoszczędzone – pomyślała Margaret. Ale ona wtedy musiała być młodzieńcem. Prawdopodobnie zdążyła zapomnieć o własnych przejściach. Choć przecież musi wiedzieć o tamtych dniach.

Gdy panna Hale się odezwała, w jej głosie po-brzmiewał chłód:

– Sądzę, że są tu organizowane dobre koncerty.

– Och, tak. Cudowne! Choć zbyt dużo tam ludzi, to jest najgorsze. Zarządzający wpuszczają każdego. Ale można być pewnym, że się usłyszy najnowszą muzykę. Zawsze po koncercie składałam ogromne zamówienie u Johnsona.

– Czy to znaczy, że lubi pani nowoczesną muzykę tylko ze względu na to, że jest nowa?

– Przynajmniej wiem, co jest w modzie w Londynie, bo inaczej śpiewacy nie przywoziliby tego tutaj. Pani była, oczywiście, w Londynie?

– Tak, mieszkałam tam przez kilka lat.

– Ach, Londyn i Alhambra to dwa miejsca, o których marzę.

– Londyn i Alhambra!

– Tak, od czasu gdy przeczytałam *Opowieści z Alhambry**. Nie zna ich pani?

– Nie sądzę, abym je znała. Ale podróż do Londynu jest niekłopotliwa.

– Tak, lecz z pewnych względów – powiedziała Fanny, ścisząc głos – mama nigdy tam nie była i zu-

* Washington Irving, *Tales of Alhambra*, 1832.

pełnie nie rozumie mojej tęsknoty. Jest taka dumna z Milton. Dla mnie to tylko brudne, zadymione miasto, ale ona chyba najbardziej je podziwia właśnie za ten brud i dym.

– Jeśli to jest od wielu lat dom pani Thornton, to ja dobrze rozumiem tę miłość – powiedziała jej towarzyszka swym czystym, dźwięcznym głosem.

– Cóż tam pani mówi o mnie, panno Hale? Można spytać?

Zaskoczona Margaret nie miała gotowej odpowiedzi na to pytanie, więc wyręczyła ją panna Thornton:

– Och mammo, próbujemy tylko znaleźć przyczynę twego przywiązania do Milton.

– Dziękuję, ale nie wydaje mi się, aby moja naturalna sympatia do miejsca, gdzie się urodziłam, wychowałam i gdzie od wielu lat mieszkam, wymagała jakiegokolwiek uzasadnienia.

Margaret poczuła irytację. Ze sposobu, w jaki Fanny przedstawiła temat ich rozmowy, wynikało, że impertynencko omawiały uczucia pani Thornton. Jednocześnie wzburzył ją sposób, w jaki ta dama dała do zrozumienia, że czuje się urażona.

Po chwilowej przerwie pani Thornton mówiła dalej:

– Czy wie pani cokolwiek o Milton, panno Hale? Widziała pani jakąkolwiek z naszych fabryk? Którykolwiek z naszych wspaniałych magazynów?

– Nie! – odrzekła Margaret. – Dotychczas nie widziałam niczego takiego.

Potem jednak zdała sobie sprawę, że ukrywając swą całkowitą obojętność dla takich miejsc, przedstawiła swe zapatrywania w niepełny sposób. Dlatego kontynuowała:

– Przypuszczam, że ojciec zabrałby mnie tam, gdybym wyraziła taką ochotę, ale szczerze mówiąc, perspektywa oglądania fabryk nie wydaje mi się kusząca.

– To bardzo ciekawe miejsca – oświadczyła pani Hale – ale tyle tam zawsze hałasu i brudu. Pamiętam, jak poszłam raz w liliowej jedwabnej sukni oglądać, jak się wyrabia świece, i moje ubranie zostało doszczętnie zrujnowane.

– To możliwe – skomentowała krótko pani Thornton z dezaprobatą. – Uważałam po prostu, że powinny panie, jako nowe mieszkanki miasta, które zyskało sławę dzięki postępowi w tej jednej, szczególnej dziedzi-

nie przemysłu, być zainteresowane poznaniem miejsc związanych z tą branżą, zwłaszcza że są to przedsięwzięcia unikatowe w skali kraju. Gdyby jednakże panna Hale zmieniła zdanie i raczyła się zainteresować fabrykami w Milton, mogę tylko zapewnić, że z przyjemnością zdobędę pozwolenie na obejrzenie drukarni, hali krosien lub innych mniej skomplikowanych działów w przędzalni mego syna. Jestem pewna, że można tam spotkać każde możliwe udoskonalenie, i to doprowadzone do perfekcji.

– A ja się cieszę, że nie lubi pani tych wszystkich przędzalni i fabryk, i innych takich – wyznała półszeptem Fanny, gdy podniosła się, by towarzyszyć szeszczącej z godnością matce, która żegnała się z panią Hale.

– Myślę, że na pani miejscu chciałabym wiedzieć o nich jak najwięcej – odpowiedziała jej cicho Margaret.

– Fanny! – odezwała się pani Thornton, gdy wracały do domu. – Będziemy bardzo grzeczne dla tych Hale'ów, ale proszę, abyś nie zawierała jednej z tych twoich pospiesznych i nieopanowanych przyjaźni z ich córką, bo dobrze na tym nie wyjdiesz. Matka wygląda

rzeczywiście na bardzo chorą, ale wydaje się miłą, spokojną osobą.

– Wcale nie zamierzam się z nią zaprzyjaźnić, mam – zapewniła Fanny z kwaśną miną. – Byłam dla niej miła i starałam się ją bawić, bo uważałam to za swój obowiązek.

– Cóż, w każdym razie John będzie musiał być z nas zadowolony.

XIII

OŻYWCZA BRYZA

*Strach, ból, kłopoty i zwątpienie,
Udręka – to przelotne cienie;
A śmierć – nie tylko ukojenie.
Pośród bezkresów pustyń srogich
Niępewni w labiryncie drogi,
W lochach miotając się złowrogich,
Gdy przewodnika w Tobie mamy,
Niestraszne ciemność, lęk, omamy,
Bo szlak w blask niebios wiedzie bramy.
Jak już, z przeróżnych miejsc na ziemi
Dążąc, bezpiecznie go przejdziemy,
Cel nasz, dom Ojca, osiągniemy!*

*Richard Chevenix Trench, „The Kingdom of God”,
przeł. Joanna Puchalska*

Gdy tylko goście wyszli, Margaret popędziła na górę po czepek i szal, by pobiec do Higginsów.

Chciała sprawdzić, jak się czuje Bessy, i posiedzieć przy niej aż do obiadu. Idąc zatłoczonymi wąskimi ulicami, rozmyślała, jak bardzo stały się dla niej interesujące przez sam fakt, że zaczęła się troszczyć o jedną z mieszkańek miasta.

Mary Higgins, niechlujna młodsza siostra, usiłowała najlepiej, jak potrafiła, wysprzątać dom na przybycie oczekiwanego gościa. Wypiaskowała nawet środek podłogi, pozostawiając jednak brud na płytach kamiennych pod stołem, krzesłami i wzdłuż ścian. Choć na dworze panował skwar, na palenisku płonął wielki ogień, przez co w całym pomieszczeniu było gorąco jak w piecu. Margaret nie zdawała sobie sprawy z tego, że hojność w szafowaniu węglem była ze strony Mary oznaką gościnności wobec niej, i sądziła, że ten duszący, obezwładniający żar jest konieczny ze względu na Bessy. Chora leżała na rodzaju krótkiej sofy ustawionej pod oknem. Była jeszcze słabsza niż poprzedniego dnia, a dodatkowo męczyło ją wstawanie za każdym razem, gdy słyszała zbliżające się kroki i szła sprawdzić, czy

nadchodzi spodziewany gość. Ale teraz, gdy Margaret przysła i usiadła na krześle koło niej, Bessy leżała cicho i spokojnie i zadowalała się wpatrywaniem w twarz nowej przyjaciółki i dotykaniem części jej stroju, delektując się, niczym dziecko, wykwintnością materii.

– Nigdy dotąd nie rozumiałam, czemu ludziom w Biblii tak zależało na miękkich szatach. Ale to musi być takie miłe chodzić ubranym tak jak ty. To jest zupełnie inne niż takie zwyczajne rzeczy. Jak patrzę na tych wielkich państwa, to zwykle oczy mi się męczą od ich jaskrawych kolorów, ale twoje ubranie jakoś mnie uspokaja. Skąd masz tę sukienkę?

– Z Londynu – odpowiedziała ubawiona Margaret.

– Z Londynu! Byłaś w Londynie?

– Tak. Mieszkałam tam przez kilka lat. Ale mój prawdziwy dom był w lesie, poza miastem.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła Bessy. – Ja tak lubię słuchać o wsi, o drzewach i innych takich rzeczach.

Wyciągnęła się na sofie, zamknęła oczy i skrzyżowała ręce na piersi. Leżała tak w zupełnym bezruchu, gotowa przyjąć wszystkie wizje, które Margaret mogła jej przekazać.

Od czasu opuszczenia Południa panna Hale nie rozmawiała z nikim o Helstone, pomijając przypadkowe wspomnienie nazwy miejscowości. Widziała je w snach, żywsze jeszcze niż w rzeczywistości, i gdy zasypiała, jej pamięć wędrowała po wszystkich ukochanych miejscach. Ale dla tej dziewczyny serce Margaret się otworzyło.

– Och Bessy. Tak bardzo kochałam dom, który opuściliśmy. Chciałabym, byś mogła go zobaczyć. Nawet w połowie nie potrafię ci opisać jego piękna. Wokół rosną wielkie drzewa, a ich gałęzie rozchodzą się we wszystkich kierunkach, dając cień i wytchnienie nawet w samym środku dnia. I choć wydaje się, że liście są nieruchome, to wszędzie dookoła słyszeć szmery lekkich podmuchów. Dookoła, ale raczej w oddali. Darn jest czasami tak miękka i delikatna jak aksamit, a czasami niesamowicie bujna, bo maleńki, ukryty, szmerzący strumyczek nieustannie ją nawadnia. A w niektórych miejscach rosną kłęby paproci, całe połacie paproci. Niektóre w głębokim cieniu, na innych kładą się pasma złotych promieni słonecznych. To przypomina falujące morze.

– Nigdy nie widziałam morza – wymruczała Bessy. – Ale mów dalej.

– Gdzieniegdzie widać szerokie błonia, tak wysoko, jakby wznosiły się ponad czubkami drzew.

– Cieszę się. Czuję duszność tu na dole. Gdy wychodziłam poza miasto, zawsze chciałam wejść jak najwyżej, rozejrzeć się daleko dookoła i nabrać tak głęboko powietrza. Do pełna. Wystarczająco duszę się tu w Milton i jak opowiadałaś, że te drzewa ciągną się i ciągną, to od samego słuchania czułam się otępiła. W przędzalni tak samo bolała mnie głowa. Ale myślę, że na tych błoniach nie ma hałasu.

– Nie – potwierdziła Margaret – tylko czasami w górze zaśpiewa skowronek. Zdarzało się, że słyszałam, jak jakiś farmer ostro i głośno odzywał się do swych parobków, ale to zawsze było gdzieś w oddali. Te głosy przypominały mi tylko, a to było całkiem przyjemne, że inni ludzie muszą gdzieś tam ciężko pracować, podczas gdy ja siedzę sobie na krzewinkach wrzосу i nic nie robię.

– Kiedyś sobie myślałam, że gdybym tak miała jeden dzień, w którym nie musiałabym nic robić, taki dzień

odpoczynku w jakimś cichym miejscu jak te, o których opowiadasz, to może by mnie to postawiło na nogi. Ale teraz całe dnie spędzam beczynn timer i jestem tak samo znużona jak wtedy w pracy. Czasem jestem tak zmęczona, że chyba będę musiała odpocząć, zanim uda mi się cieszyć Niebem. Trochę się obawiam pójścia tam od razu, wołałabym najpierw wyspać się dobrze w grobie, żeby się wzmocnić.

– Nie obawiaj się, Bessy – powiedziała Margaret, kładąc dłoń na rękę chorej. – Bóg będzie umiał zapewnić ci doskonalszy wypoczynek niż beczynność na ziemi czy śmiertelny sen w grobie.

Bessy poruszyła się niespokojnie i powiedziała:

– Wołałabym, żeby ojciec nie mówił tego, co ciągle powtarza. On chce dobrze, jak ci wczoraj powiedziałam, i będę to mówić wciąż i wciąż. Ale, widzisz, choć ja mu wcale nie wierzę za dnia, to w nocy, jak mam gorączkę i na wpół śpię, na wpół czuwam, wtedy to mnie nachodzi. I tak mi źle. I ja myślę, że jeśli to ma być koniec wszystkiego, jeśli urodziłam się tylko po to, by zszarpać sobie serce i życie, żeby zachorować w tym strasznym miejscu, w tym hałasie z przedział-

ni, który mi zawsze dzwoni w uszach, aż chce mi się krzyżeć, żeby choć na trochę umilkli i dali mi chwilę ciszy, z tym puchem tak wypełniającym mi płuca, że umieram z pragnienia jednego głębokiego oddechu, ale takim czystym powietrzem, o jakim opowiadałaś, z mamą, która odeszła i już nigdy więcej nie będę mogła jej powiedzieć, jak ją kochałam, ani opowiedzieć jej o moich troskach, więc jeśli to ma być całe życie i jeśli nie ma Boga, który osuszy wszystkie łzy we wszystkich oczach, to, dziewczyno! – Nagle usiadła i kurczowo, prawie groźnie ścisnęła dłoń Margaret. – To mogłabym oszaleć i zabić cię. Mogłabym.

Osunęła się z powrotem, zupełnie wyczerpana tym gwałtownym zrywem. Margaret uklękła przy niej.

– Bessy. Mamy Ojca w niebiosach.

– Wiem! Wiem! – jęczała chora, z trudem rzucając głową z boku na bok. – Jestem nikczemna. I tak podle do ciebie mówiłam. Nie przestrasz się mnie. Teraz już pewnie nie będziesz chciała przyjść! A ja nie tknęłabym włosa z twojej głowy. I – otworzyła oczy i poważnie spojrzała na Margaret – wierzę, może nawet bardziej niż ty, w to, co ma nadejść. Czytałam *Księgę*

Objawienia, aż nauczyłam się jej na pamięć. I kiedy się budzę i jestem przy zdrowych zmysłach, nigdy nie wątpię w chwałę, której mam dostąpić.

– Nie rozmawiamy o tych zwidach, które cię nachodzą, gdy masz gorączkę. Wolałabym raczej usłyszeć, co robiłaś, gdy byłaś zdrowa.

– Myślę, że byłam zdrowa przed śmiercią mamy, ale mniej więcej od tamtej pory nigdy nie byłam już silna. Wkrótce potem zaczęłam pracować w gręplarni, puch dostał się do moich płuc i mnie zatruł.

– Puch? – spytała Margaret.

– Puch – powtórzyła Bessy. – Małe kępkki, które wylatują z bawełny, jak się ją grępluje, i tak wypełniają powietrze, aż wygląda jak biały kurz. Mówią, że to wlatuje do środka płuc i je zatyka. W każdym razie niejedni, co pracował w gręplarni, zachorował, kaszląc i plując krwią, bo po prostu zatruł się puchem.

– Ale czy nie można temu zaradzić? – spytała Margaret.

– Nie wiem. Niektórzy mają na jednym końcu gręplarni takie wielkie koło, co robi przeciąg i unosi ten kurz, ale to koło kosztuje mnóstwo pieniędzy, może na-

wet pięćset lub sześćset funtów, a nie przynosi zysków. Więc tylko kilku właścicieli je założyło. I słyszałam, że niektórzy nie chcieli pracować przy takim kole, bo mówili, że ciągle są głodni, a przedtem przyzwyczaili się do połykania puchu, i jeśli mają teraz pracować przy kole, to powinni zarabiać więcej. I te koła stanęły między panami a robotnikami. A ja i tak chciałabym, żeby koło było tam, gdzie ja pracowałam.

– Czy twój ojciec nic o tym nie wiedział? – spytała Margaret.

– Wiedział. I było mu przykro. Ale tak w ogóle to nasza fabryka była dobra. I pracowali tam stali robotnicy. A tata nie chciał mnie puszczać między obcych, bo chociaż teraz byś w to nie uwierzyła, ale wtedy niejeden nazywał mnie pierwszorzędną dziewczyną. A ja nie chciałam, żeby mnie uważali za delikatnusią i mięką, i trzeba było płacić za szkołę Mary, tak mówiła matka, a ojciec lubił kupować książki i chodzić na takie różne odczyty, i to wszystko kosztowało. Więc pracowałam, aż nie mogłam się pozbyć świstu maszyn z uszu i puchu z gardła. I na tym świecie już się nie pozbędę. I to wszystko.

– Ile masz lat? – spytała Margaret.

– Dziewiętnaście skończę w lipcu.

– Ja też mam dziewiętnaście.

Panna Hale pomyślała, z jeszcze większym niż Bessy smutkiem, o kontraście między nimi. Przez jakiś czas nie mogła wypowiedzieć ani jednego słowa, bo usiłowała opanować przepełniające ją emocje.

– Jest jeszcze Mary – powiedziała Bessy. – Chciałabym, abyś była jej przyjaciółką. Ma siedemnaście lat i jest już ostatnią z nas. I nie można jej pozwolić iść do przędzalni. Ale nie wiem, co innego mogłaby robić.

– Myślę, że raczej nie mogłaby.... – Margaret nieświadomie rzuciła okiem na brudne narożniki pokoju. – Raczej nie nadawałaby się na służącą, prawda? Mamy starą wierną pokojówkę, właściwie przyjaciółkę rodziny, która potrzebuje pomocy, ale jest bardzo wymagająca. Nie byłoby w porządku nękać jej kimś, kto nie dość, że nie byłby dla niej wyręką, to jeszcze stanowiłby źródło zdenerwowania i irytacji.

– Rozumiem. Chyba masz rację. Dobra dziewczyna z naszej Mary, ale kto miał ją nauczyć zajmować się domem? Bez matki, ze mną pracującą w przędzalni aż do

dnia, gdy nadawałam się tylko do burczenia na nią, że robi źle coś, czego ja nie umiałabym zrobić wcale. Ale tak bym mimo wszystko chciała, żeby mogła mieszkać z tobą.

– Nawet jeśli ona się nie nadaje, aby zamieszkać u nas jako służąca, a tego nie wiem, to zawsze będę się starała być jej przyjaciółką, Bessy. Ze względu na ciebie. A teraz muszę iść. I przyjdę tak szybko, jak będę mogła. Ale jeśli to nie będzie jutro albo następnego dnia, ani nawet za tydzień lub dwa, nie myśl, że o tobie zapomniałam. Po prostu mogę być zajęta.

– Wiem, że już o mnie nie zapomnisz. Już w ciebie nie zwątpię. Ale pamiętaj, że za tydzień lub dwa mogę być martwa i pogrzebana.

– Przyjdę tak szybko, jak będę mogła, Bessy – obiecała Margaret, ściskając mocno jej dłoń. – Ale daj mi znać, jeśli ci się pogorszy.

– Tak, zrobię to – odpowiedziała Bessy, oddając uścisk.

Od tego dnia stan pani Hale się pogarszał. Zbliżała się rocznica ślubu Edith i patrząc wstecz na to spiętrzenie trosk, Margaret zastanawiała się, jak udało im

się znieść te ostatnie miesiące. Gdyby była w stanie to przewidzieć, bez wątpienia próbowałaby się odsunąć i ukryć przed nadciągającymi kłopotami. A jednak każdy pojedynczy dzień okazywał się całkiem znośny, bo małe jasne punkciki prawdziwych radości błyskały wesoło w samym środku zmartwień. Rok temu, a raczej kiedy przybyła do Helstone i po raz pierwszy zdała sobie sprawę z gderliwego usposobienia matki, przytłoczyłaby ją sama perspektywa przewlekłej choroby w obcym, hałaśliwym i ruchliwym mieście, zwłaszcza przy obniżonym komforcie życia. Wobec pojawienia się poważnej i uzasadnionej podstawy do skarg w matce narodziła się jednak nowa, prawdziwa cierpliwość. Była tak łagodna i cicha mimo silnego cierpienia fizycznego, jak przedtem okazywała rozdrażnienie i niepokój, choć nie istniał żaden powód do zmartwienia. Jeśli natomiast chodzi o pana Hale'a, to obawa o zdrowie żony, co było charakterystyczne dla człowieka jego pokroju, przybrała formę rozmyślniej ślepoty. Wyrażany przez córkę niepokój wywoływał taką irytację, jakiej Margaret jeszcze nigdy u niego nie widziała.

– Doprawdy, Margaret, ponosi cię wyobraźnia. Bóg

wie, że pierwszy podniósłbym alarm, gdyby twoja matka naprawdę zachorowała. Przecież odgadywałem jej bóle głowy w Helstone, nawet gdy o nich nie wspominała. Zawsze, jak jest chora, robi się taka blada i przezroczysta. A teraz ma żywe i zdrowe kolory na twarzy, takie same, jakie miała, gdy ją poznałem.

– Ale, papo – zasugerowała panna Hale z wahaniem – ja myślę, że to jest rumieniec bólu.

– Nonsens, Margaret. Mówię ci, że coś tu wymyślasz. Moim zdaniem to z tobą jest coś nie tak. Poślij jutro po doktora, ale dla siebie. A potem, jeśli ci to poprawi nastrój, niech ten sam doktor obejrzy matkę.

– Dziękuję, papo. To mi naprawdę poprawi nastrój. – Podeszła do niego, aby go ucałować, jednak odsunął ją stanowczo, choć delikatnie, jakby zasugerowała coś nieprzyjemnego, czego chętnie pozbyłby się równie łatwo jak bliskości córki. Zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju.

– Biedna Maria – odezwał się do siebie. – Tak bardzo chciałbym, aby można było postępować właściwie, nie poświęcając przy tym innych. Znienawidzę to miasto. I siebie też, jeśli ona... Powiedz, Margaret: czy

twoja matka często wspomina ci o starych miejscach?
Chodzi mi o Helstone.

– Nie, papo – odpowiedziała mu córka ze smutkiem.

– Sama więc widzisz, że przestała się trapić tą przeprowadzką. Zawsze mnie cieszyła świadomość, że twoja matka jest taka prostolinijna i otwarta, dzięki czemu od razu widziałem każde jej najmniejsze zmartwienie. Nigdy nie umiałaby zataić przede mną czegokolwiek, co miałyby poważny wpływ na jej zdrowie, prawda, Margaret? Jestem tego zupełnie pewien. A więc nie chcę już więcej słyszeć tych niemądrych, chorobliwych pomysłów. Chodź, pocałuj mnie i zmykaj do łóżka.

Słyszała, jak przemierzał pokój (miotął się jak wieiórka w klatce – tak to nazywały z Edith) jeszcze długo po tym, jak skończyła swe niespieszne przygotowania do snu, długo po tym, jak leżąc w łóżku, nasłuchiwała jego kroków.

XIV

BUNT

*Dawniej
Przesypiałam noce słodko niczym dziecię.
Ale teraz się budzę, gdy ostry wieje wiatr,
I myślę o mym biednym chłopcu,
Rzucanym po bezwzględnych wodach.
I wtedy mi się zdaje, że to była zbyt twarda kara
Odrywać go ode mnie za taki drobny błąd.*

Robert Southey, „The Sailor’s Mother

Margaret z radością zauważyła, że matka odnosi się do niej czulej i serdeczniej, niż to miało miejsce kiedykolwiek od czasu dzieciństwa. Córka stała się dla pani Hale prawdziwą przyjaciółką,

a był to przywilej, o którym dziewczyna marzyła od lat, skrycie zazdroszcząc go Dixon. Dokładała starań, aby okazywać zainteresowanie każdej prośbie czy uwadze matki, nawet jeśli dotyczyły błahostek, których sama by nie zauważyła lub o które nie dbałaby bardziej, niż słoń trafiłby się szpilką wbitą w nogę. Ale tak jak zwierzę podniosłoby uważnie ową szpilkę na polecenie swego opiekuna, tak Margaret spełniała każde życzenie matki. I zupełnie nieświadomie zbliżała się do nagrody.

Pewnego wieczoru podczas nieobecności męża pani Hale zaczęła opowiadać Margaret o jej bracie Fredericku. Dziewczyna od dłuższego czasu chciała zadać mnóstwo pytań na ten temat, lecz była to jedna z nielicznych spraw, wobec których jej nieśmiałość przeważała nad wrodzoną otwartością. Im bardziej chciała rozmawiać o bracie, tym mniej było prawdopodobne, że sama zacznie o niego pytać.

– Och Margaret, w nocy tak strasznie wiał wiatr. Wpadał z wyciem przez kominek do naszego pokoju. Nie mogłam spać. Nigdy nie śpię przy takim wietrze. Mam ten nawyk czuwania od czasu, gdy biedny Frederick ruszył na morze, a teraz, nawet jeśli nie obu-

dzę się od razu, śnię, że jest sztorm i olbrzymie zielone ściany fal napierają na jego okręt. Są tak ogromne, że przewyższają nawet maszty i kłębią się dookoła białą pianą jak jakiś gigantyczny grzebieniasty wąż. To stary sen, ale wraca w takie wietrzne noce i w końcu jestem wdzięczna, że się budzę. A potem siedzę w łóżku, spięta i zeszywniała, sam na sam z moim przerażeniem. Biedny Frederick. Jest teraz na lądzie, więc wiatr nie może mu zrobić nic złego, choć mogłoby się zdarzyć, że straciłby jeden z tych wysokich kominów.

– Mamo, gdzie przebywa Frederick? Nasze listy są kierowane na ręce państwa Barbour w Kadyksie, tyle wiem. Ale gdzie jest sam Frederick?

– Nie pamiętam nazwy tego miejsca, ale on nie nazywa się Hale. To musisz zapamiętać, Margaret. Zwróć uwagę na F. D. w rogu każdego listu. Przyjął nazwisko Dickenson. Chciałam, aby nazywał się Beresford, do czego w pewnym sensie miałby prawo, ale twój ojciec uznał, że to nie jest najlepszy pomysł. Rozumiesz, że mógłby zostać rozpoznany, gdyby przyjął moje nazwisko.

– Mamo – powiedziała Margaret – mieszkałam

u ciotki, kiedy to się stało, i chyba nie byłam wystarczająco dorosła, abyście powiedzieli mi wszystko wprost. Teraz jednak chciałabym wiedzieć, jeśli mogę. Jeśli opowiadanie o tym nie jest dla ciebie, mam, zbyt bolesne.

– Bolesne? Nie! – odrzekła pani Hale z pałającymi policzkami. – Bolesna jest tylko myśl, że prawdopodobnie już nigdy więcej nie zobaczę mojego kochanego chłopca. A poza tym postąpił właściwie. Mogą sobie mówić, co tylko im się podoba, ale ja mam jego listy. I prędzej uwierzę jemu, choć to mój syn, niż jakiemukolwiek sądowi wojskowemu na ziemi. Idź do mojej japońskiej szafki, kochanie, i przynieś pakiet listów z drugiej szuflady po lewej stronie.

Margaret poszła. To były żółtawe kartki poplamione wodą morską i przesiąknięte owym szczególnym aromatem typowym dla listów przewożonych przez ocean. Przyniosła je matce, która trzęsącymi się palcami rozwiązała jedwabny sznurek i, po sprawdzeniu dat, podała kartki córce. A potem, jeszcze zanim Margaret zdołała pojąć znaczenie zawartych w listach informacji, pani Hale rzucała pospieszne, niespokojne uwagi:

– Sama widzisz, Margaret, jak od samego początku nie przepadał za kapitanem Reidem. To był drugi oficer na Orionie, statku, na którym Frederick wypłynął w swój pierwszy rejs. Mój biedny chłopiec! Jak wspólnie wyglądał w tym swoim mundurze aspiranta, ze sztyletem w dłoni. Rozcinał nim gazety, zupełnie jakby to był nóż do papieru. Ale pan Reid, który nie był jeszcze wtedy kapitanem, od początku nie lubił Fredericka. A potem... Czeka! To są te listy, które pisał na pokładzie Russella. Gdy go tam przydzielono i okazało się, że dowódcą jest jego stary wróg, kapitan Reid, twój brat postanowił z cierpliwością znieść jego tyranie. Patrz! To ten list! Tylko go przeczytaj, Margaret. Gdzie on o tym pisze...? Stój!

*Mój ojciec może liczyć, że z odpowiednią
cierpliwością zniosę wszystko, co jeden oficer
i dżentelmen może znieść ze strony drugiego.
Ale biorąc pod uwagę moją dotychczasową wie-
dzę o obecnym dowódcy, przyznaję, że z obawą
spodziewam się długiej serii tyranii na pokła-
dzie Russella.*

Widzisz, przyrzekł, że będzie cierpliwy, i jestem pewna, że słowa dotrzymał, bo nikt nie miał tak łagodnego usposobienia jak mój chłopiec, o ile oczywiście ktoś go nie rozdrażnił. Czy to ten list, w którym opisuje gniew kapitana Reida na marynarzy za to, że nie manewrowali statkiem tak szybko jak załoga Avengersa? Widzisz, Frederick opisuje, że na Russellu było mnóstwo nowych ludzi, podczas gdy Avenger był trzy lata w bazie i nie miał nic do roboty poza ściganiem statków handlarzy niewolników i musztrowaniem członków załogi, aż poruszali się w górę i w dół po takielunku, jak jakieś szczury czy małpy.

Margaret czytała powoli list, prawie nieczytelny z powodu wyblakłego atramentu. To mogła być – to prawdopodobnie była – relacja z tyranii i nadmiernych wymagań, bardzo przesadzona przez autora, który pisał list, mając świeżo przed oczami ową scenę kłótni. Kilku marynarzy znajdowało się w górze na olinowaniu głównego masztu i kapitan rozkazał im zejść natychmiast na dół, strasząc, że ostatni z nich zostanie poddany chłości dyscypliną dziewięciorzemienną. Ten, który był najdalej na dźwigarze, zdając sobie spr-

wę, że nie będzie w stanie prześcignąć swych kompanów, a jednocześnie okropnie obawiając się hańby zapowiedzianej kary, rzucił się w desperacji na dół, aby złapać linę znajdującą się niżej. Niestety, nie powiodło mu się i bez zmysłów spadł na pokład. Żył jeszcze tylko kilka godzin, a gdy młody Hale pisał swój list, wzburzenie załogi osiągnęło stadium wrzenia.

– Ten list dotarł do nas o wiele, wiele później, już po tym, jak dowiedzieliśmy się o buncie. Biedny Frederick! Sądzę, że ulgę przyniosło mu samo napisanie tego listu, mimo że nie wiedział, w jaki sposób go wysłać. Mój biedaczek! A potem zobaczyliśmy sprawozdanie w gazecie, to znaczy, zanim otrzymaliśmy list. Pisali o okrutnym buncie, który wybuchł na pokładzie Russella. Napisano, że buntownicy zostali na statku i odpłynęli na nim, by, jak przypuszczano, zająć się piractwem, i że kapitan Reid został wysadzony za burtę w szalupie razem z kilkoma oficerami czy marynarzami. Ich nazwiska były podane, bo uratował ich jakiś parowiec z Indii Zachodnich. Och Margaret, prawie z ojcem umarliśmy nad tą listą, bo nie było na niej nazwiska Fredericka Hale’a. Uważaliśmy, że zaszła

pomyłka, bo przecież nasz syn był takim wspaniałym chłopcem, choć może trochę w gorącej wodzie kąpanym. Doszliśmy do wniosku, że jedno z nazwisk na liście, Carr, to pomyłka drukarska i że powinno być napisane Hale. Wszyscy wiedzą, jakie niedbałe są gazety. Następnego dnia w porze nadejścia poczty twój ojciec poszedł do Southampton po gazety. A ja nie mogłam wytrzymać w domu, więc wyszłam, by spotkać go na drodze. Nadszedł bardzo późno, znacznie później, niż się go spodziewałam. Siedziałam przy żywopłocie i czekałam na niego. W końcu przyszedł. Miał luźno zwieszane ręce, opuszczoną głowę i szedł tak ciężko, jakby każdy krok wiązał się z wysiłkiem ponad siły. Margaret, jeszcze teraz go widzę.

– Nie opowiadaj dalej, mamó. Mogę to sobie wyobrazić – powiedziała Margaret z czułością, wyciągając się obok matki i całując jej dłoń.

– Nie, nie możesz, Margaret. Nikt, kto go wtedy nie widział, nie mógłby sobie tego wyobrazić. Z trudem udało mi się wstać i ruszyć w jego stronę. Wydawało mi się, że wszystko dookoła mnie wiruje. Kiedy doszłam do niego, nic nie mówił, a może zdumiało go, że spotyka

mnie tak daleko, ponad trzy mile od domu, za bukiem Oldhama. Ujął mnie za ramię i gładził moją rękę, jakby prosił, bym była cicho, bo spotkał go jakiś straszny cios. A ja zaczęłam się cała trząść tak bardzo, że nie mogłam mówić. Wziął mnie w ramiona, schylił swą głowę nad moją i zaczął nią potrząsać. I płakał takim dziwnie stłumionym, zawodzącym głosem, aż w końcu znieruchomiałam z wielkiego strachu i tylko błagałam go, aby mi powiedział, co udało mu się ustalić. Wtedy drżącą dłonią, jakby poruszał nią ktoś inny wbrew jego woli, podał mi do przeczytania tę wstrętną gazetę, gdzie nazywali naszego chłopca zdrajcą najgorszego rodzaju i napisali jeszcze, że spowodował „podłą kompromitację całej profesji”. Nawet nie umiałabym ci powtórzyć, jakich okropnych słów użyli. Jak tylko to przeczytałam, wzięłam tę gazetę i podarłam na strzępy, podarłam... och Margaret, wydaje mi się, że podarłam ją zębami. Nie płakałam. Nie mogłam. Policzki miałam gorące jak ogień, a oczy mnie piekły. Zobaczyłam, że ojciec patrzy na mnie z powagą. Powiedziałam mu, że to wszystko kłamstwo, i tak właśnie było. Wiele miesięcy później przyszedł ten list i sama mogłaś przeczytać, że Frederick został sprowo-

kowany. Podniósł bunt nie ze względu na siebie ani doznane przez siebie krzywdy. Po prostu powiedział kapitanowi, co o tym wszystkim myśli, a to tylko pogorszyło całą sprawę, bo większość marynarzy stanęła po stronie Fredericka. Wiesz, Margaret – kontynuowała po chwili słabym, drżącym z wyczerpania głosem – trochę się z tego cieszę. Chyba jestem bardziej dumna z tego, że przeciwstawił się niesprawiedliwości, niż gdyby po prostu był dobrym oficerem.

– Ja z pewnością jestem dumna z tego, co zrobił – oznajmiła Margaret mocnym, zdecydowanym tonem. – Lojalność i posłuszeństwo wobec mądrych i sprawiedliwych przełożonych zawsze zasługują na pochwałę. Ale jeszcze wspanialsze jest stawienie oporu samowolnej władzy, niesprawiedliwie i okrutnie sprawowanej, i to nie dla siebie, ale w obronie słabszych.

– Mimo to chciałabym móc zobaczyć go jeszcze raz, choć jeden raz. Jest moim pierwszym dzieckiem, Margaret. – Pani Hale mówiła głosem przepelnionym tęsknotą i wydawała się przeproszać za swe pragnienie, za owo wypowiedziane marzenie, jakby oznaczało ono pomniejszenie wartości jej drugiego dziecka.

Taka myśl nawet nie powstała jednak w głowie Margaret. Zastanawiała się, w jaki sposób można by spełnić życzenie matki.

– Upłynęło już sześć lub siedem lat. Czy nadal by go ścigali, mamó? A gdyby wrócił i stanął przed sądem, na co by go skazano? Z pewnością byłby w stanie udowodnić, że został sprowokowany.

– To by nic nie pomogło – odpowiedziała pani Hale. – Kilku marynarzy, którzy towarzyszyli Frederickowi, zostało pojmanyh i odbył się nad nimi sąd wojenny na pokładzie Amicii. Wierzę we wszystko, co powiedzieli na swoją obronę, bo to samo twierdził Frederick. Ale to nic nie dało.

Po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy pani Hale zaczęła płakać. A jednak coś podkusiło Margaret, by wydobyć z matki zakończenie, które przeczuwała, a jednocześnie się go obawiała.

– Co się z nimi stało, mamó?

– Powieszono ich na rei – ciągnęła drżącym głosem pani Hale. – Ale najgorsze jest to, że sąd, skazując ich na śmierć, orzekł, iż pozwolili się odwieść od pełnienia swych obowiązków przez oficerów.

Przez dłuższy czas panowała cisza.

– Frederick spędził potem kilka lat w Ameryce Południowej, prawda?

– Tak. A teraz jest w Hiszpanii. W Kadyksie lub gdzieś w okolicy. Jeśli pojawi się w Anglii, zostanie powieszony. Nigdy już nie zobaczę twarzy mego syna, bo gdyby tu przyjechał, powiesiliby go.

Nie było dla niej pocieszenia. Pani Hale odwróciła twarz w stronę ściany i leżała całkowicie nieruchomo, pogrążona w matczynej rozpacz. Z lekką niecierpliwością zabrała swą dłoń z uścisku córki, jakby chciała zostać sam na sam ze wspomnieniem syna. Kiedy zjawił się pan Hale, Margaret wyszła, z sercem ściśniętym przygnębieniem, bez nadziei na pokrzepienie z jakiegokolwiek strony.

XV

PRACODAWCY I PRACOWNICY

*Mysł przeciw myśli.
A z tego starcia miecza i tarczy
Wytryska iskra prawdy.*

Walter S. Landon, „The Last Fruit of an Old Tree”

Margaret – odezwał się ojciec następnego dnia – musimy pójść z rewizytą do pani Thornton. Matka nie czuje się dobrze i nie przypuszcza, aby zdołała zajść tak daleko, ale ty i ja pójdziemy tam dziś po południu.

Po drodze pan Hale rozpoczął rozmowę o zdrowiu swojej żony, a w jego głosie pobrzmiwały nuty tajonego niepokoju, w końcu, ku zadowoleniu Margaret, obudzonego.

– Czy konsultowałaś się z doktorem, Margaret? Posłałaś po niego?

– Nie, papo, bo mówiłeś, że ma przyjść do mnie, a ja czułam się dobrze. Ale gdybym tylko usłyszała o jakimś dobrym lekarzu, poszłabym do niego jeszcze dzisiaj i poprosiła, aby przyszedł, bo jestem pewna, że mama jest poważnie chora.

Zdecydowała się przedstawić swą opinię tak otwarcie i brutalnie, bo gdy ostatnio wyraziła swe obawy, ojciec całkowicie je odrzucił, nie dopuszczając do siebie myśli o chorobie żony. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie. Odpowiedział przybitym głosem:

– Myślisz, że ukrywa jakieś cierpienia? Naprawdę uważasz, że dolega jej coś poważnego? Może Dixon ci coś powiedziała? Och Margaret! Prześladowuje mnie myśl, że to nasza przeprowadzka do Milton ją zabiła. Moją biedną Marię!

– Och papo, nawet sobie niczego takiego nie wyobrażaj – prosiła zaszokowana Margaret. – Mama nie czuje się dobrze, i tyle. Wszyscy się czasami gorzej czujemy, ale potem wypełniamy zalecenia lekarza i znowu jesteśmy zdrowi, zdrowsi nawet niż przedtem.

– Czy Dixon coś ci powiedziała o matce?

– Nie, ale wiesz, że Dixon uwielbia robić sekrety z drobiazgów. To prawda, że była nieco tajemnicza, jeśli chodzi o zdrowie mamy, co mnie trochę zaniepokoiło, ale to wszystko. I myślę, że bez powodu. Nie wiem, czy pamiętasz, papo, ale nie tak dawno twierdziłeś, iż ponosi mnie wyobraźnia.

– Mam nadzieję, że tak właśnie jest. Ale zapomnij, co wtedy powiedziałem. Chcę, żeby w sprawie zdrowia matki ponosiła cię wyobraźnia. Nie wahaj się przekazywać mi wszystkich swoich domysłów. Jestem nimi zainteresowany, choć wypowiadałem się, jakby mnie złościły. Spytamy panią Thornton, czy może polecić nam jakiegoś dobrego lekarza. Nie będziemy wydawać pieniędzy na nikogo innego, tylko na pierwszorzędno specjalistę. Czeka, tu skręcamy.

Ulica nie wyglądała na zdolną pomieścić dom, który byłby godny stanowić miejsce zamieszkania pani Thornton. Jej syn nigdy nie narzucił żadnego wyobrażenia o swojej rezydencji, ale podświadomie Margaret miała przekonanie, że wysoka, mocna, ładnie ubrana pani Thornton musi mieszkać w budynku o podob-

nych cechach. Natomiast Marlborough Street zabudowane było długimi rzędami małych domków, z pojawiającymi się gdzieniegdzie ślepyimi ścianami; tyle w każdym razie mogli dostrzec z miejsca na początku ulicy, gdzie stanęli.

– Powiedział mi, że mieszka przy Marlborough Street. Tego jestem pewien – stwierdził pan Hale z zakłopotaną miną.

– Być może mieszkanie w małym domu to jedna z tych oszczędności, które nadal praktykuje. Tu jest mnóstwo ludzi, pozwól mi kogoś spytać.

Zagadnęła przechodnia i dowiedziała się, że pan Thornton mieszka przy przędzalni; wskazano jej drzwi do portierni fabryki, znajdujące się na samym końcu ślepego muru, który już wcześniej zauważyli. Wejście do stróżówki przypominało zwykłe drzwi ogrodowe, a obok znajdowała się wielka zamknięta brama, umożliwiająca wjazdy i wyjazdy furom i wozom. Strażnik wpuścił ich na ogromny, podłużny dziedziniec. Po jednej stronie usytuowane były biura i kantory, w których przeprowadzano transakcje handlowe, natomiast po przeciwnej stał olbrzymi budynek z wieloma oknami.

Przędzalnia. Płynął stamtąd nieustanny brzęk urządzeń i przeciągły, jęczący ryk maszyn parowych, wystarczający, aby ogłuszyć każdego, kto przebywał w jego zasięgu. Naprzeciw muru, wzdłuż którego przebiegała ulica, przy jednym z krótszych boków dziedzińca, zobaczyli ładny kamienny budynek, przyczerniony – co do tego nie było wątpliwości – od fabrycznego dymu i sadzy, ale pokryte farbą części fasady, okna i schody utrzymane były we wzorowej czystości.

Dom wyglądał na zbudowany jakieś pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat wcześniej. Kamienne elementy elewacji, wysokie, wąskie okna i ich liczba, dwa ciągi schodów prowadzących do drzwi wejściowych i ograniczająca je balustrada – wszystko to świadczyło o wieku budynku. Margaret zastanawiała się, dlaczego ludzie, których stać było na tak imponującą rezydencję i do tego utrzymaną w doskonałym stanie, nie woleli mniejszego domu na wsi lub chociaż gdzieś na przedmieściach, zamiast mieszkać w tym nieustającym wirze i łoskocie fabryki. Jej nieprzywykłe do nadmiernego hałasu uszy z trudnością wychwytywały słowa ojca, gdy stali na schodach i czekali na otwarcie drzwi. Także dziedziniec, którego

granicę stanowiły owe wielkie wrota na końcu muru, przedstawiał raczej ponury widok, o czym Margaret mogła się przekonać, gdy weszli po staroświeckich schodach na piętro i zostali wprowadzeni do salonu, którego trzy okna były usytuowane nad drzwiami wejściowymi i pokojem mieszczącym się na prawo od głównego wejścia. We wnętrzu nie było nikogo i wydawało się, że salon stał niezamieszany od dnia, w którym ukryto meble pod pokrowcami z taką troską, jakby dom miał zostać zalany lawą i odkryty tysiąc lat później. Ściany były różowozłote, a wzór na dywanie przedstawiał bukiety kwiatów na jasnym tle, jednakże na środku tego dywanu rozłożono bezbarwny kawałek płóciennej wykładziny. Okna przysłaniały koronkowe zasłony, a każde krzesło lub sofa miały swój indywidualny pokrowiec siatkowy lub włóczkowy. Wszystkie wolne od mebli przestrzenie zajmowały duże grupy figur alabastrowych, zabezpieczonych szklanymi kloszami przed kurzem. Na środku pokoju, dokładnie pod otulonym pokrowcem żyrandolem, stał okrągły stół, na którym pięknie oprawione książki rozmieszczono w regularnych odstępach wokół obwodu, zupełnie jak różnokolorowe szprychy

koła. Wszystkie przedmioty odbijały światło, ale nic go nie pochłaniało, przez co cały pokój wypełniały plamki i cętki, powodujące niemal ból oczu. Margaret odniosła tak niekorzystne wrażenie, że tylko odnotowała panującą wszędzie nieprawdopodobną czystość, zaskakującą, wobec tak zanieczyszczonego powietrza, a zaraz potem uświadomiła sobie, jaki wysiłek trzeba było włożyć w utrzymanie tego efektu krainy wiecznych lodów. Gdziekolwiek spojrzeła, widziała świadectwa troski i pracy, które nie miały jednakże na celu stworzenia atmosfery swobody ani zapewnienia komfortu przy wykonywaniu cichych domowych robótek. Celem było najpierw zdobienie, a potem utrzymanie zdobień wolnych od brudu czy uszkodzenia.

Zanim pojawiła się pani Thornton, mieli czas na obserwacje i cichą rozmowę. Mówili co prawda tylko to, co cały świat mógłby usłyszeć, ale w tego typu pokojach jest coś, co sprawia, że ludzie ściszą głos, jakby w obawie przed obudzeniem śpiącego echa.

W końcu przyszła pani Thornton, szeleszcząc czarnym jedwabiem. Muśliny i koronki jej stroju stanowiły konkurencję dla czystej bieli muślinów i siatko-

wych wzorów w salonie, ale nie dominowały nad nimi. Margaret wyjaśniła powody, dla których jej matka nie mogła zrewizytować pani Thornton, ale obawiając się ponownie obudzić lęki ojca, udzieliła tylko bardzo skrótowych informacji. W efekcie gospodyni odniosła wrażenie, że cierpienia pani Hale to czasowa lub wymyślona dolegliwość, typowa dla światowych kobiet, którą z łatwością mogłaby przezwyciężyć, gdyby tylko uznała, że okoliczności są tego warte. Pani Thornton zauważyła ponadto, że jeżeli niedyspozycja pani Hale była rzeczywiście poważna, to przecież dzisiejsza wizyta mogła zostać przesunięta na inny dzień. Pamiętała też, że na jej własną wizytę u Hale'ów specjalnie wynajęto konie do powozu oraz że jej syn bardzo naciskał na udział Fanny w tych odwiedzinach, aby okazać gospodarzom wszelkie możliwe względy. To wszystko sprawiło, że pani Thornton wyprostowała się z obrażoną miną i nie tylko nie okazała Margaret współczucia, ale wręcz nie dała wiary jej słowom.

– Jak się czuje pan Thornton? – spytał pan Hale. – Po otrzymaniu wczoraj jego listu obawiałem się, że coś się stało.

– Mój syn rzadko choruje, a jeśli nawet, to nigdy o tym nie mówi ani nie wykorzystuje tego jako wymówki, aby się od czegoś uchylić. Powiedział mi, że nie zdołał wygospodarować wolnego czasu na wspólne z panem czytanie, sir. Jestem pewna, że bardzo tego żałował, bo wysoko ceni godziny spędzane z panem.

– Dla mnie są one co najmniej tak samo przyjemne – odrzekł pan Hale. – Czuję się znów młody, widząc jego radość i zachwyty nad tym wszystkim, co w literaturze klasycznej najpiękniejsze.

– Nie wątpię, że znajomość klasyków jest pożądana u ludzi, którzy dysponują wolnym czasem. Przyznaję, że mój syn powrócił do nauki wbrew memu zdaniu. Czas i miejsce, w których przyszło mu żyć, wymagają od niego całej energii i uwagi. Klasycy są odpowiedni dla ludzi trawiących życie na wsi lub na uniwersytetach, ale człowiek, który chce coś znaczyć w Milton, powinien swe myśli i siły koncentrować na bieżących sprawach. Taka jest przynajmniej moja opinia. – To ostatnie zastrzeżenie dodała z „dumą podszywającą się pod pokorę”^{*}.

* Cytat z *The Devil's Thoughts* Samuela Taylora Coleridge'a (1799); „duma podszywająca się pod pokorę” to ulubiony grzech szatana.

– Ale przecież jeśli umysł zbyt długo zajmuje się tylko jednym przedmiotem, staje się sztywny i skostniały, niezdolny do poszerzania swych zainteresowań – zareplikowała Margaret.

– Nie bardzo rozumiem, co pani ma na myśli, mówiąc o umyśle sztywnym i skostniałym. Daleka też jestem od podziwu dla owych zmiennych, wirujących umysłowości, które dziś całkowicie poświęcają się czemuś, by jutro kompletnie o tym zapomnieć. Posiadanie wielu zainteresowań nie pasuje do ideału przemysłowca z Milton. Wystarcza mu lub powinno wystarczać, aby miał tylko jeden cel w życiu i wszystkie moce poświęcał na jego osiągnięcie.

– A ów cel? – spytał pan Hale.

Ziemiste policzki pani Thornton pokrył rumieniec, a oczy rozbłyły, gdy odpowiadała:

– Osiągnąć i utrzymać wysoką, zaszczytną pozycję pomiędzy kupcami swego kraju, pomiędzy mieszkańcami swego miasta. Taką właśnie pozycję zdobył mój syn. Gdziekolwiek by się pan znalazł, nie tylko w Anglii, ale w całej Europie, nazwisko Johna Thornтона z Milton jest znane i szanowane przez ludzi inte-

resu. Pozostaje, oczywiście, zupełnie nieznane w modnych kręgach – kontynuowała pogardliwie. – Próżniacy z wyższych sfer raczej nie usłyszą o przemysłowcu z Milton, chyba że dostanie się on do parlamentu lub poślubi córkę jakiegoś lorda.

Zarówno pan Hale, jak i Margaret mieli niepokojącą i niedorzeczną świadomość, że oni też nie słyszeli tego wielkiego nazwiska, dopóki pan Bell nie napisał w jednym ze swych listów, że warto byłoby zaprzyjaźnić się z panem Thorntonem. Świat jego dumnej matki nie był ani światem eleganckich ludzi z Harley Street, ani światem wiejskiego duchownego pochodzącego z ziemiaństwa w Hampshire. Twarz Margaret, mimo wszelkich jej wysiłków, by wyrażać wyłącznie zainteresowanie słowami gospodyni, wyjawiała, niestety, przewrażliwionej na tym punkcie pani Thornton prawdziwe myśli jej gościa.

– Pomyślała pani, panno Hale, że nigdy nie słyszała pani o moim wspaniałym synu. Uważa mnie pani za starą kobietę, której myśli i horyzonty ograniczają się do Milton, a jest jak ta pliszka, co swój ogon chwali.

– Nie – odpowiedziała Margaret z niejakim zapa-

łem. – Być może rzeczywiście pomyślałam, że przed przyjazdem do Milton nie znałam nazwiska pana Thorntona. Ale od kiedy tu jestem, usłyszałam na jego temat wystarczająco dużo, aby go szanować i podziwiać, i zdawać sobie sprawę, ile prawdy i zasadności jest w tym, co pani o nim powiedziała.

– Kto pani o nim mówi? – spytała pani Thornton lekko udobruchana, ale zazdrosna, że czyjeś słowa mogły nie oddać jej Johnowi całej sprawiedliwości.

Margaret zawahała się, zanim udzieliła odpowiedzi, bo nie podobało jej się to władcze wypytywanie. Na ratunek, przynajmniej według swego mniemania, pospieszył córce pan Hale.

– To, co najlepiej pokazało nam, jakim jest człowiekiem, to były słowa samego pana Thorntona. Czyż nie, Margaret?

Gospodyni z lekka się nadęła i powiedziała:

– Mój syn nie należy do tych, którzy opowiadają o swych czynach. Czy wolno mi ponownie spytać panią, panno Hale, na podstawie czyich relacji wyrobiła sobie pani tak przychylną o nim opinię? Jako matka jestem ciekawa i żądna pochwał na temat moich dzieci.

– Chodzi przede wszystkim o to – odrzekła Margaret – co pan Thornton, mówiąc o sobie, zataił, zwłaszcza o swoim poprzednim życiu, a o czym my wiedzieliśmy od pana Bella. Tak. To, bardziej niż jego słowa o sobie, uświadomiło nam, jak silne ma pani podstawy, by być dumna z syna.

– Pan Bell! A cóż on może wiedzieć o Johnie? On, prowadzący takie leniwe życie w jakimś sennym kolegium. Ale jestem pani zobowiązana, panno Hale. Wiele z tych dobrze wychowanych panienek wymigałoby się przed sprawieniem starej kobiecie przyjemności usłyszenia, że jej syn jest chwalony.

– Ale dlaczego? – spytała zdumiona Margaret, patrząc pani Thornton prosto w oczy.

– Dlaczego! Ponieważ, jak przypuszczam, instykt podpowiada im, jak zrobić ze starej matki swojego adwokata na wypadek, gdyby miały plany wobec serca jej syna.

Uśmiechnęła się ponuro, zadowolona ze szczerości Margaret. Poza tym chyba wyczuła, że zadawała jej pytania trochę tak, jakby przyznawała sobie prawo do przepytywania gościa. Panna Hale roześmiała się

wprost na tak przedstawiony jej pogląd, a śmiała się tak radośnie, że rozdrażniła panią Thornton, bo słowa zdolne wywołać taką reakcję musiały być dla dziewczyny kompletnie i całkowicie niedorzeczne. Margaret zdołała zapanować nad swoją wesołością, gdy tylko dostrzegła poirytowanie na twarzy gospodyni.

– Proszę o wybaczenie, madam. Ale naprawdę jestem pani wdzięczna za uwolnienie mnie od zarzutu robienia planów w stosunku do serca pana Thorntona.

– Niejednej młodej damie już się to zdarzyło – odpowiedziała sztywno matrona.

– Mam nadzieję, że panna Thornton czuje się dobrze – wtrącił pan Hale, pragnąc zmienić bieg rozmowy.

– Czuje się nie gorzej niż zazwyczaj. Nie jest bardzo silna – odpowiedziała krótko gospodyni.

– A pan Thornton? Przypuszczam, że mogę żywić nadzieję na spotkanie w czwartek.

– Niestety, nie mogę się wypowiadać na temat planów mego syna. W mieście prowadzone są jakieś wicherzyelskie działania i pojawiła się groźba strajku. Jeśli do tego dojdzie, na pewno wielu naszych przyja-

ciół będzie chciało skorzystać z doświadczenia i rozsądku Johna. Myślę jednak, że przyjdzie do pana w czwartek. W każdym razie na pewno powiadomi pana, gdyby musiał odwołać spotkanie.

– Strajk! – zawołała Margaret. – O co? Dlaczego zamierzają strajkować?

– O przejęcie zarządu i własności innych ludzi – prychnęła pani Thornton z zaciekłością. – Po to zawsze strajkują. Jeśli pracownicy mojego syna przyłączą się do strajku, udowodnią, że są bandą niewdzięcznych psów. A nie mam wątpliwości, że się przyłączą.

– Czy żądają wyższych wynagrodzeń? – spytał pan Hale.

– To tylko przykrywka. Prawda jest taka, że chcą zostać panami w fabrykach, a dotychczasowych właścicieli zamienić w niewolników w ich własnych przedsiębiorstwach. Zawsze o to chodzi, zawsze mają to w głowach i co kilka lat dochodzi do starcia między pracodawcami a pracownikami. Ale sądzę, że tym razem się przeliczą. Trochę się zdziwią. Jeśli odejdą od maszyn, może się okazać, że powrót nie będzie taki łatwy. Wydaje mi się, że nasi przemysłowcy mają jakiś

pomysł, a to nauczy robotników, aby dobrze się zastanowili, zanim w przyszłości zastrajkują.

– Czy to nie spowoduje wzburzenia w mieście? – spytała Margaret.

– Oczywiście, że tak. Ale z pewnością nie jest pani tchórzem, prawda? Milton to nie miejsce dla tchórzy. Pamiętam czas, gdy musiałam przecisnąć się przez tłum rozwścieczonych mężczyzn, zaklinających się, że wytoczą krew z Makinsona, gdy tylko odważy się wychylić nos ze swej fabryki. On nic o tym nie wiedział, więc ktoś musiał pójść i go ostrzec, bo w przeciwnym razie byłby już martwy. I to musiała być kobieta. Poszłam więc. A gdy już się tam dostałam, nie mogłam wyjść. Chodziło o moje życie, więc weszłam na dach, gdzie były stopy kamieni przygotowanych do zrzucenia na głowy tłumu, gdyby chcieli sforsować drzwi fabryki. I dałabym radę unieść te ciężkie kamienie i rzucać nimi równie celnie jak najlepszy mężczyzna, gdybym nie osłabła przedzieraniem się przez tę rozgorączkowaną hołotę. Jeśli zamierza pani mieszkać w Milton, panno Hale, musi pani wyrobić w sobie dzielność serca.

– Postaram się – powiedziała pobladła Margaret. –

Nie wiem, czy jestem dzielna, czy nie, dopóki nie stanę przed próbą. Obawiam się jednak, że okażę się tchórzem.

– Ludzie z Południa często są przestraszeni tym, co my w Darkshire nazywamy po prostu życiem i walką. Ale kiedy się żyło dziesięć lat pomiędzy ludźmi, którzy niezmiennie czują urazę wobec lepszych od siebie i tylko czekają na możliwość, aby im odpłacić, człowiek ma sposobność się przekonać, czy jest tchórzem, czy nie, proszę mi wierzyć.

Tego wieczoru pan Thornton przyszedł do pana Hale'a. Wprowadzono go do salonu, gdzie pan domu czytał na głos żonie i córce.

– Przychodzę częściowo po to, aby przekazać list od mojej matki, a częściowo po to, by przeprosić za odwołanie naszego wczorajszego spotkania. List zawiera adres, o który pan prosił, doktora Donaldsona.

– Dziękuję! – powiedziała pospiesznie Margaret, wyciągając dłoń po kartkę, bo nie chciała, aby matka usłyszała, że wypytywali o lekarza. Z zadowoleniem zauważyła, że pan Thornton zrozumiał od razu jej obawę, bo podał jej notatkę, nic więcej nie dodając.

Pan Hale zaczął mówić o strajku i oblicze pana Thorntona przybrało najgorszy wyraz twarzy jego matki, co natychmiast wzbudziło niechęć obserwującej go Margaret.

– Tak. Głupcy będą mieli ten swój strajk. Pozwólmy im na to. To nam całkiem odpowiada. Daliśmy im szansę. Uważają, że handel kwitnie tak jak w zeszłym roku. My widzimy na horyzoncie sztorm i staramy się dostosować żagle, ale ponieważ nie uzasadniamy naszych kroków, nie wierzą, że działamy rozsądnie. Ich zdaniem powinniśmy dać im pełne uzasadnienie sposobu, w jaki chcemy wydać lub zaoszczędzić własne pieniądze. Henderson próbował zmylić swoich ludzi, tam w Ashley, ale się nie udało. Wolał strajk, bo to by mu pasowało w księgach. Kiedy więc przyszli do niego prosić o podwyżkę o pięć procent, powiedział im, że się zastanowi i udzieli odpowiedzi w dniu wypłaty. Oczywiście wiedział, jak będzie brzmiała jego odpowiedź, ale liczył na to, że wzmocni ich zarozumiałstwo i samozadowolenie i doprowadzi do strajku. Okazali się jednak zbyt przenikliwi, a poza tym usłyszeli coś o niekorzystnych perspektywach dla han-

dlu. Przyszli więc do niego w piątek i wycofali swe roszczenia, a Henderson był zmuszony kontynuować produkcję. Ale my, pracodawcy w Milton, podjęliśmy dzisiaj decyzję. Nie damy ani jednego pensa więcej. Poinformowaliśmy ich, że być może konieczne będzie obniżenie zarobków, a na pewno nie będzie podwyżki. Taka jest bieżąca sytuacja, a teraz czekamy na ich następny krok.

– A co to będzie? – spytał pan Hale.

– Podejrzewam, że generalny strajk. Najprawdopodobniej zobaczy pani za kilka dni Milton bez dymu, panno Hale.

– Ale dlaczego – spytała – nie wyjaśnił im pan powodów, dla których spodziewa się pan złej koniunktury? Nie wiem, czy użyłam właściwych słów, ale myślę, że rozumie pan, co mam na myśli.

– Czy tłumaczy się pani swojej służącej ze swych wydatków lub oszczędności, z gospodarowania pani własnymi pieniędzmi? My, właściciele kapitału, mamy prawo decydować, co z nim zrobimy.

– Tylko prawo ludzkie – powiedziała Margaret bardzo cicho.

– Przepraszam, nie dosłyszałem, co pani powiedziała.

– Wolałabym nie powtarzać – odrzekła. – To miało związek z uczuciem, którego raczej pan nie podzieli.

– A może mnie pani wypróbuje? – prosił. Opanowała go nagle chęć dowiedzenia się, co ona powiedziała. Margaret czuła niezadowolenie z powodu jego nieustępliwości, ale nie zamierzała się upierać, by nie przypisywać swoim słowom zbyt dużego znaczenia.

– Powiedziałam, że miał pan prawo ludzkie. Chodziło mi o to, że istnieje jeszcze prawo boskie, a ono nie pozwala dowolnie dysponować swoją własnością i narzuca pewne ograniczenia.

– Wiem, że różnimy się w naszych zapatrywaniach religijnych, ale może doceni pani, że w ogóle mam jakikolwiek, nawet jeśli są inne niż pani?

Mówił przytłumionym głosem, jakby zwracał się tylko do niej. Margaret nie życzyła sobie tej poufałości, więc odpowiedziała zwykłym tonem:

– Nie sądzę, abym miała jakikolwiek powód do rozpatrywania pańskich przekonań religijnych akurat w tej sprawie. Chciałam tylko powiedzieć, że nie istnieje

je ludzkie prawo zabraniające pracodawcy całkowitego zmarnowania lub wyrzucenia swych pieniędzy w błoto, jeśli tylko ma na to ochotę. Ale są fragmenty w Biblii, które sugerują, przynajmniej moim zdaniem, że jeśli tak robi, to zaniedbuje tym samym swe obowiązki jako dysponenta mienia. Zresztą wiem tak niewiele o strajkach, zarobkach, pracy, kapitale, że chyba byłoby lepiej, gdybym o tym nie rozmawiała z takim politycznym ekonomistą jak pan.

– To właśnie najważniejszy powód – powiedział żarliwie. – Z wielką przyjemnością wyjaśnię pani wszystko, co może się wydać niezwykle lub zagadkowe osobie nieznającej zagadnienia, szczególnie w takim czasie jak teraz, gdy nasze działania zostaną z pewnością wykorzystane do agitacji przez każdego pismaka zdolnego utrzymać pióro w ręce.

– Dziękuję – odpowiedziała chłodno. – Oczywiście w pierwszej kolejności zwrócę się po potrzebne wyjaśnienia do mego ojca, jeśli będę skonfundowana życiem w dziwnym dla mnie tutejszym środowisku.

– Uważa je pani za dziwne? Dlaczego?

– Nie wiem. Być może dlatego, że na pierwszym

planie widzę dwie klasy zależne od siebie pod każdym względem, a jednak wyraźnie traktujące interesy drugiej strony jako całkowicie przeciwstawne swoim. Nigdy przedtem nie mieszkalam w miejscu, gdzie byłyby dwie grupy ludzi, które zawsze się nawzajem krytykują.

– Kogo pani słyszała krytykującego panów? Nie pytam, kogo pani słyszała znieważającego robotników, bo widzę, że upiera się pani, aby opacznie rozumieć to, co kiedyś powiedziałem. Ale kto przy pani oskarżał pracodawców?

Margaret poczerwieniała. Potem jednak uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Nie bardzo lubię być przesłuchiwana. Odmawiam odpowiedzi na pańskie pytanie. Poza tym to nie ma związku z faktami. Proszę uwierzyć moim słowom, że słyszałam pewnych ludzi, powiedzmy lepiej: niektórych robotników, mówiących, że w interesie właścicieli fabryk leży, aby pracownicy nie gromadzili pieniędzy, bo posiadanie oszczędności w banku uniezależniłoby ich od pracodawców.

– Przypuszczam, że to ten cały Higgins ci to powiedział – odezwała się pani Hale.

Pan Thornton niczym nie okazał, że dotarło do niego to, co Margaret chciała przed nim zataić.

– Słyszałam ponadto – kontynuowała dziewczyna – że pracodawcy preferują niewykształconych pracowników zamiast pieniaczy czy „żywoplotowych prawników”, jak kapitan Lennox zwykł był nazywać tych spośród swoich znajomych, którzy bezustannie zadawali pytania i podważali każdą zasadę. – Ostatnią część wypowiedzi Margaret adresowała raczej do swego ojca niż do gościa.

Kim jest kapitan Lennox? – spytał w duchu pan Thornton z dziwnym niezadowoleniem, które powstrzymało go od udzielenia dziewczynie odpowiedzi.

Do rozmowy włączył się pan Hale.

– Nigdy nie interesowałam się szkolnictwem, Margaret, bo w przeciwnym razie wiedziałabyś, ile w Milton zrobiono dla rozwoju edukacji.

– Nie – odpowiedziała, nagle potulniejąc. – Wiem, że nie dość dbam o szkoły. Ale wiedza i ignorancja, o których mówiłam, nie odnoszą się ściśle do umiejętności czytania i pisania, nie chodzi mi o naukę czy informacje, których udziela się dzieciom. Chodzi mi

o bronienie dostępu do tej wiedzy, która może prowadzić właściwą drogą kobiety i mężczyzn. Nie do końca wiem, co to jest. Ale on, to znaczy mój informator, twierdzi, że pracodawcy wolą, aby ich robotnicy byli wielkimi dziećmi, żyjącymi tylko chwilą obecną i wykonującymi polecenia ze ślepych, bezrozumnych posłuszeństwem.

– Jednym słowem, panno Hale, najwyraźniej pani informator znalazł chętnego słuchacza dla swych oszczerstw rzucanych na pracodawców – stwierdził pan Thornton obrażonym tonem.

Margaret nie odpowiedziała. Była niezadowolona, że potraktował jej słowa osobiście.

Z kolei odezwał się pan Hale.

– Przyznam, że choć w przeciwieństwie do Margaret nie nawiązałem żadnej bliższej znajomości ze środowiskiem robotników, uderzył mnie antagonizm między pracodawcami a pracownikami. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie, a niektóre pana słowa tylko to potwierdziły.

Pan Thornton milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. Margaret właśnie opuściła salon i był zdener-

wowany tym, co między nimi zaszło. Jednakże ten właśnie niepokój uczynił go chłodniejszym i bardziej poważnym, a tym samym przydał jego słowom godności:

– Jestem przekonany, że moje interesy są identyczne z interesami moich pracowników i vice versa. Wiem, że panna Hale nie lubi określenia: siła robocza, więc postaram się go nie używać, choć stosuję je odruchowo jako fachową nazwę wprowadzoną do słownictwa, jeszcze zanim rozpocząłem działalność. Wierzę, że kiedyś, w przyszłości, w jakimś kolejnym tysiącleciu, w Utopii, ta jedność może stać się rzeczywistością. Sądzę też, że republika jest najdoskonalszą formą rządów.

– Weźmiemy się do lektury *Republiki* Platona, kiedy tylko skończymy Homera.

– Cóż, być może nadejdzie czas, gdy spełni się ta platoniczna idea i wszyscy – kobiety, mężczyźni i dzieci – będziemy żyć w republice. Ale biorąc pod uwagę obecny poziom moralny i umysłowy, właściwsza jest monarchia konstytucyjna. W niemowlęctwie jest nam potrzebny mądry despotyzm, aby nas przez ten okres przeprowadzić. Potem dzieci i młodzi ludzie są najszczęśliwsi pod niezawodnymi prawami wydanymi

przez dyskretną i silną władzę i autorytety. Przyznaję rację pannie Hale w tym, że uważam pracowników za dzieci, ale stanowczo zaprzeczam oskarżeniom, że to pracodawcy doprowadzili do takiego stanu lub go utrzymują. Twierdzę, że despotyzm jest najlepszą formą rządzenia robotnikami, i dlatego w momencie, gdy mam z nimi do czynienia, zamieniam się w autokratę. Wykorzystam cały swój rozsądek nie dla oszustw czy filantropii, czego mamy na Północy trochę zbyt wiele, ale aby ustanawiać mądre prawa i podejmować sprawiedliwe decyzje przy prowadzeniu mojej działalności. A te prawa i decyzje będą miały na celu w pierwszym rzędzie moje dobro, a dobro moich pracowników w drugim. Nikt jednak nie zmusi mnie, abym swoje decyzje uzasadniał lub wycofywał się z raz powziętych postanowień. Niech odejdą od maszyn! Dotknie mnie to tak samo jak ich. Ale w końcu się przekonają, że ani nie ustąpiłem, ani nie zmieniłem zdania.

Margaret wróciła do pokoju. Zajmowała się swą robotką i nic nie mówiła. Odpowiedział pan Hale:

– Obawiam się, że zabieram głos jako ignorant, ale z mojej niewielkiej wiedzy wynika, że masy właśnie

przechodzą szybko przez ten okres, który rozdziela dzieciństwo od dorosłości, i to zarówno w życiu społeczeństw, jak i jednostek. Błędem, który popełnia wielu rodziców w wychowywaniu istoty na tym właśnie etapie, jest upieranie się przy tym samym bezwzględnym posłuszeństwie, które dotychczas obowiązywało i polegało na przestrzeganiu prostych praw, na przykład „przyjdź, gdy cię wołam” lub „rób, co ci mówię”. Mądrzy rodzice ustępują wobec pragnienia niezależności dziecka, stając się raczej przyjacielem i doradcą, gdy ich władza absolutna się kończy. Jeśli myślę się w moim rozumowaniu, to proszę sobie przypomnieć, że to pan przywołał tę analogię.

– Całkiem niedawno – odezwała się Margaret – czytałam o historii, która wydarzyła się w Norymberdze zaledwie trzy lub cztery lata temu. Pewien bogaty człowiek mieszkał tam w wielkim dworze, który uprzednio łączył funkcje magazynu i mieszkania. Krążyły pogłoski, że miał dziecko, ale nikt nie był tego pewien. Przez czterdzieści lat te plotki pojawiały się i gasły, ale nigdy nie znikły całkowicie. Dopiero po śmierci tego człowieka okazało się, że to była prawda. Miał syna – wyro-

śniętego mężczyznę z nierozwiniętym intelektem dziecka, a ojciec utrzymywał go w tym nienormalnym stanie, aby ustrzec od pokus i błędów. Oczywiście, gdy to wielkie dorosłe dziecko zostało wypuszczone w świat, każdy fałszywy i podły doradca miał je w swej mocy. Nie umiał odróżnić dobra od zła. Jego ojciec popełnił błąd, wychowując syna w niewiedzy, którą brał za niewinność. Po czternastu miesiącach rozpustnego życia chłopak trafił pod opiekę miasta, ponieważ groziła mu śmierć głodowa. Nie potrafił nawet znaleźć odpowiednich słów, aby z efektem żebrać.

– Zastosowałem porównanie podsunięte przez pannę Hale, zestawiając rolę pracodawców z rolą rodziców, więc nie powinienem się skarżyć, że je pan obrócił w broń przeciwko mnie. Ale, panie Hale, kiedy podawał pan mądrego rodzica jako model, powiedział pan, że pozwala on swemu dziecku na pewną niezależność. Jasne jest, że nie nadszedł czas, aby w godzinach pracy robotnicy mieli prawo do samodzielnego działania. Nawet nie do końca rozumiem, co pan ma na myśli, mówiąc o potrzebie niezależności. Twierdzę, że to pracodawcy naruszałiby niezależność swych pracow-

ników w sposób, którego ja osobiście nie uważałbym za usprawiedliwiony, gdyby wtrącali się nazbyt w życie, jakie robotnicy prowadzą poza fabryką. Pracują dziesięć godzin dziennie dla nas i nie sądzę, abyśmy mieli jakiegokolwiek prawo narzucać im sposób spędzania reszty czasu. Tak wysoko cenię swoją niezawisłość, że nie wyobrażam sobie większej degradacji, niż gdyby ktoś mną ustawicznie kierował, pouczał, robił mi wykłady lub chociażby próbował szczegółowo planować moje działania. Choćby to był najmądrzejszy lub najbardziej wszechwładny z ludzi, z równą mocą podniosę bunt i odrzucę jego interwencje. Wydaje mi się, że takie podejście jest silniejsze na Północy niż na Południu.

– Bardzo przepraszam, ale czy nie jest to konsekwencją tego, że nigdy nie było równości i prawdziwej przyjaźni pomiędzy klasą ludzi udzielających rad a tymi, którym doradzano? Konsekwencją tego, że każdy człowiek musiał stać na niechrześcijańskiej i odizolowanej pozycji, oddzielony od swych braci i o nich zazdrosny, w nieustannej obawie, że jego prawa będą łamane?

– Ja tylko stwierdzam fakt. Przepraszam, ale mam

umówione spotkanie o ósmej i powinienem już iść. Muszę zatem przyjąć teraz fakty, nie próbując znaleźć dla nich wyjaśnienia. Nie zrobiłoby to zresztą żadnej różnicy i nie pomogło zdecydować, jakie kroki należy przedsięwziąć w tej konkretnej sytuacji. Trzeba ustalić fakty.

– Ale – powiedziała cicho Margaret – moim zdaniem właśnie byłaby różnica, i to podstawowa...

Ojciec dał jej znak, aby zamilkła i pozwoliła panu Thorntonowi dokończyć to, co miał do powiedzenia. Stał on już bowiem przygotowany do odejścia.

– Musi mi pani przyznać jedno: biorąc pod uwagę silne poczucie niezależności każdego człowieka w Darkshire, czy mam jakiegokolwiek prawo narzucać innym moje poglądy dotyczące tego, jak powinni się zachowywać (a wiem, że oni znienawidziliby to tak samo, jak nie zniósłbym tego ja sam), tylko dlatego, że oni mają na sprzedaż swą pracę i czas, a ja kapitał, aby je kupić?

– W żadnym wypadku – odrzekła Margaret, zdecydowana, aby powiedzieć chociaż to jedno. – Ale nie ze względu na pracę i kapitał. Nie ma pan prawa

narzucać im swych poglądów, ponieważ jest pan człowiekiem i ma pan do czynienia z ludźmi, nad którymi posiada pan, niezależnie od tego, czy z tego korzysta, czy nie, olbrzymią władzę, bo wasze życie i dobrobyt są na stałe i na wskroś ze sobą splecione. Bóg tak to zorganizował, że jesteśmy od siebie nawzajem zależni. Możemy ignorować naszą własną zależność lub odmawiać przyjęcia do wiadomości faktu, że inni od nas zależą w większym zakresie niż tylko cotygodniowa wypłata zarobków. Ale to powiązanie istnieje, czy nam się to podoba, czy nie. Ani pan, ani żaden z przemysłowców nie poradzi sobie sam. Najdumniejszy, najbardziej niezależny człowiek zależy od otaczających go ludzi przez ich nieświadomy i niedostrzegalny wpływ na jego charakter, na jego życie. A nawet najbardziej odizolowany z waszych wielkich ludzi w Darkshire ma wokół siebie uzależnione od niego istoty, które przylegają do niego i czepiają się go ze wszystkich stron, i nie uda mu się ich strącić, tak samo jak twarda skała, którą on sam przypomina, nie zdoła strącić...

– Proszę cię, Margaret, nie brnij w porównania, już raz wyprowadziłaś nas tym na manowce – powiedział

ojciec z uśmiechem, aczkolwiek czuł niepokój, że zatrzymują pana Thorntona wbrew jego woli. Była to jednak nieprawda, gdyż gość nie miał nic przeciw temu opóźnieniu tak długo, jak Margaret mówiła, nawet jeżeli jej słowa go irytowały.

– Proszę mi tylko powiedzieć, panno Hale, czy kiedykolwiek podlegała pani wpływowi... nie, to nie jest właściwy sposób przedstawiania tej kwestii. Czy jeśli kiedykolwiek była pani świadoma, że podlega wpływowi innych ludzi, nie okoliczności, to czy ci ludzie działali pośrednio, czy bezpośrednio? Stosowali metodę namawiania, zakazywania, przedstawiania przykładów czy też byli prawymi, uczciwymi ludźmi, wypełniającymi swe obowiązki z przekonaniem, z niezachwianą wiarą, bez myśli o tym, czy ich działanie nauczy kogoś pracowitości lub oszczędności? Gdybym był robotnikiem, dwadzieścia razy bardziej imponowałoby mi to, że mój pracodawca jest uczciwy, punktualny, bystry, zdecydowany w swych działaniach – a robotnicy w sztuce szpiegowania biją na głowę nawet służących – niż jakiegokolwiek wtrącanie się, choćby z najlepszych pobudek, w mój sposób spędzania czasu

poza pracą. Staram się nie rozmyślać zbyt wiele nad tym, kim jestem, ale wierzę w prostą uczciwość moich pracowników i na niej polegam, tak samo jak na jawności ich opozycji, w odróżnieniu od sposobu, w jaki strajk będzie przeprowadzony w niektórych przedsiębiorstwach. Moi tkacze wiedzą bowiem, że wzgardzę nawet najmniejszą próbą niehonorowego wykorzystania sytuacji lub zastosowania podstępów. To szersze zjawisko, niż obejmuje cała seria wykładów na temat „Uczciwość jedynym sposobem postępowania”, gdzie życie rozmywa się w słowach. Nie! Jaki pan, taki kram. Jaki pracodawca, tacy pracownicy, i to bez zbytniego wyrachowania z jego strony.

– To wielkie stwierdzenie – powiedziała ze śmiechem Margaret. – Kiedy zobaczę ludzi gwałtownie i uparcie domagających się respektowania ich praw, będę mogła wyciągnąć z tego wniosek, że ich pracodawca jest taki sam „i że nie bardzo wierzy w tę wielką cnotę, która cierpliwa jest, łaskawa jest i nie szuka swego”^{*}.

* Fragment z *Pierwszego Listu do Koryntian* (13, 4–5).

– Jest pani dokładnie taka sama jak ci wszyscy obcy, którzy nie rozumieją zasad działania naszego systemu, panno Hale – rzucił pospiesznie. – Wydaje się wam, że nasi robotnicy są figurkami z ciasta, którym można z łatwością nadać każdą formę, jaka nam się tylko podoba. Zapomina pani, że mamy z nimi do czynienia tylko przez trzecią część ich życia. Wydaje się pani także nie dostrzegać, że obowiązki przemysłowca zdecydowanie wykraczają poza te związane z jego rolą jako pracodawcy zatrudniającego ludzi. Z naszą działalnością wiąże się mnóstwo innych czynności o charakterze komercyjnym, dzięki którym stajemy się prawdziwymi pionierami cywilizacji.

– Sądzę – powiedział pan Hale z uśmiechem – że mógłby pan rozciągnąć trochę swą pionierską działalność na ich domy. Ci pańscy robotnicy to niezła grupa ludzi twardych i raczej barbarzyńskich.

– Tacy właśnie są – odparł pan Thornton. – Nie znają się na wyrafinowaniu i subtelności. Z Cromwella byłby świetny właściciel przędzalni, panno Hale. Przydałby się nam teraz, aby stłumić ten strajk.

– Cromwell nie zalicza się do moich bohaterów –

powiedziała zimno – ale staram się pogodzić pański podziw dla despotyzmu z deklarowanym przez pana szacunkiem dla niezależności charakteru innych ludzi.

Zaczerwienił się, słysząc jej ton.

– Z własnego wyboru jestem zarządzającym, którego decyzje nie podlegają pytaniom ani tłumaczeniom, i do tego winni się stosować moi robotnicy w godzinach pracy. Ale ten czas mija i nasza współpraca się kończy. Wtedy jej miejsce zajmuje właśnie szacunek dla ich niezależności, którego ja sam dla siebie wymagam.

Przez chwilę milczał, zbyt poirytowany, by mówić, ale potem się otrząsnął i życzył państwu Hale'om dobrej nocy. A przechodząc koło Margaret, powiedział niskim głosem:

– Raz podczas tego wieczoru odezwałem się do pani porywczo i obawiam się, że raczej niegrzecznie. Ale jak pani wie, jestem tylko nieokrzesanym fabrykantem z Milton. Czy zdoła mi pani wybaczyć?

– Z pewnością – odpowiedziała, uśmiechając się do niego. Wydawał się zaniepokojony i przybity, i z ledwością się rozchmurzył na widok jej słonecznej twarzy, z której zupełnie zniknął efekt północnego wiatru to-

warzyszącego ich dyspucie. Po raz kolejny jednak nie wyciągnęła w jego stronę dłoni, a on znowu odczuł ten unik i przypisał go jej dumie.

XVI

CIEŃ ŚMIERCI

*Uwierz w ową nieznaną dłoń, która każdego z nas
Poprowadzi tą ścieżką, jakiej sami byśmy nie wybrali.
I w każdej godzinie bądź przygotowany na zmianę,
Albowiem prawa świata są niestałe.*

Z mądrości arabskich

Następnego dnia doktor Donaldson złożył pierwszą wizytę pani Hale. Margaret liczyła, że dzięki panującej ostatnio między nią a matką poufałości skrytość starszej damy zostanie przełamana. Zawiodła się. Wyproszono ją z pokoju, podczas gdy Dixon tam pozostała. Panna Hale nie rzucała się szybko w uczucie miłości, ale jeśli już kochała, to całą sobą i z niemałą domieszką zazdrości.

Weszła do sypialni matki, przylegającej do bawialni, i czekając na wyjście lekarza, przemierzała pokój w tę i z powrotem. Co jakiś czas przystawała, nasłuchując, bo wydawało jej się, że słyszy jęk. Splotła mocno dłonie i wstrzymała oddech. Tak, teraz była pewna, że słyszała jęk. Potem na kilka minut nastąpiła cisza, a jeszcze później dał się słyszeć szmer przesuwanych krzeseł, podniesione głosy i inne dźwięki towarzyszące pożegnaniom.

Gdy tylko usłyszała otwieranie drzwi, szybko wyszła z sypialni.

– Mój ojciec jest, niestety, nieobecny, panie doktorze, musiał zająć się jednym z uczniów właśnie o tej porze. Czy zechciałby pan wejść do jego pokoju na dole?

Widziała wszystkie przeszkody, które Dixon rzuciła jej pod nogi, by uniemożliwić rozmowę z lekarzem. Margaret pokonała je, podkreślając swe prawa córki, trochę w duchu zbliżonym do godnej postawy starszego brata z przypowieści o synu marnotrawnym. Udało jej się skutecznie poskromić nadgorliwość starej służącej, a świadome przyjęcie tej zdecydowanej postawy wobec Dixon dało Margaret choć kroplę rozbawienia w morzu niepokojów. Zaskoczona twarz służącej upew-

niła dziewczynę, jak nedorzecznie wyniośle i po pańsku musi wyglądać, i ta myśl towarzyszyła jej aż do gabinetu ojca, spychając na moment w niepamięć bolesną świadomość, jaką sprawę musi załatwić. Wkrótce jednak przypomniała sobie smutną rzeczywistość, prawie zapierającą jej dech w piersi. Minęła dłuższa chwila, zanim udało jej się wydobyć z siebie słowo, ale gdy się odezwała, jej mina wyrażała nakaz.

– Co się dzieje z mamą? Będę wdzięczna, jeśli powie mi pan całą prawdę. – Widząc wahanie na twarzy lekarza, dodała: – Jestem jej jedynym dzieckiem... tutaj. Obawiam się, że ojciec nie jest wystarczająco świadom niebezpieczeństwa, i dlatego, jeśli są poważne powody do niepokoju, będziemy musieli przekazać mu to łagodnie. I ja mogę to zrobić. Mogę też pielęgnować matkę. Z tych powodów proszę o prawdę. Patrzenie na pana twarz i niemożność odczytania z niej diagnozy przeraża mnie bardziej, niż mogłyby to sprawić jakiegokolwiek pana słowa.

– Droga młoda damo, pani matka wydaje się mieć przy sobie wielce oddaną i sprawną służącą, która jest dla niej raczej przyjaciółką niż...

– Ale to ja jestem jej córką, sir.

– A jeśli powiem, że wyraźnie sobie życzyła, aby nic pani nie mówić...?

– Nie jestem ani wystarczająco dobra, ani cierpliwa, aby poddać się temu zakazowi. Poza tym jestem pewna, że pan jest zbyt mądry i doświadczony, aby zgodził się pan przyrzec utrzymanie wszystkiego w tajemnicy.

– Cóż – powiedział ze smutnym półuśmiechem – ma pani rację. Nie obiecałem. W gruncie rzeczy obawiam się, że sekret wkrótce sam się ujawni, nawet bez mego udziału.

Przerwał. Margaret zbliała i zacisnęła usta. Poza tym trwała w bezruchu. Doktor Donaldson nie mógłby stać się taką znakomitością w dziedzinie medycyny bez zdolności szybkiego wglądu w charakter ludzki. Od razu sobie uświadomił, że ta dziewczyna wymusi całą prawdę, że zorientuje się, jeśli cokolwiek zostanie przed nią ukryte, i że ten zatajony fakt będzie torturował ją bardziej, niż gdyby знаła prawdę. Niskim głosem wypowiedział dwa zdania, cały czas obserwując Margaret. Żrenice jej oczu rozszerzyły się z czarnej zgrozy, a skóra twarzy posiniała. Zamilkł. Czekał, aż panna Hale trochę dojdzie do siebie i uda jej się odzyskać oddech.

– Szczerze dziękuję panu, sir, za zaufanie – odezwała się po chwili. – Ten strach mnie prześladował od tygodni. A to, co pan powiedział, to prawdziwa tragedia. Biedna, biedna mama.

Jej usta zaczęły drżeć, a doktor pozwolił jej znaleźć ulgę w płaczu, bo był pewien, że jest wystarczająco silna, by szybko nad sobą zapanować.

Uroniła tylko kilka łez. Na tyle sobie pozwoliła, zanim wróciła do pytań, które cisnęły jej się na usta.

– Czy będzie bardzo cierpiała?

Potrząsnął głową.

– Nie potrafię powiedzieć. To zależy od sił organizmu i tysięcy innych rzeczy. Ale ostatnie odkrycia medyczne przyniosły nam duże możliwości łagodzenia bólu.

– Ojciec! – przypomniała sobie z drzeniem Margaret.

– Nie znam pana Hale’a i dlatego trudno mi cokolwiek radzić. Ale powiedziałbym, że najlepiej, aby sama pani uniosła ciężar tej wiedzy, którą pani ze mnie tak ostro wymusiła, aż oswoi się pani z tym, co powiedziałem. Wtedy prawdopodobnie będzie pani łatwiej zdecydować, co pocieszy ojca. Będę od czasu do czasu od-

wiedział pani matkę, aczkolwiek obawiam się, że poza podawaniem środków zmniejszających ból niewiele zdołam dla niej zrobić. Moje wizyty i wiele drobnych sygnałów obudzą jednak i pogłębią niepokój pani ojca, a co za tym idzie – przygotowują go na przyjęcie wiadomości. Nie, młoda damo, nie, moja droga. Widziałem się z panem Thorntonem i szanuję pani ojca za jego poświęcenie, niezależnie od tego, czy się z nim zgadzam, czy nie. Dobrze zatem, ale tylko ten jeden raz, jeśli to ma pani sprawić przyjemność, moja droga. Proszę tylko pamiętać, że następnym razem przyjdę jako przyjaciel. I będzie pani musiała nauczyć się tak mnie traktować, bo spotykanie się i wzajemne poznawanie w takich okolicznościach jak te jest warte więcej niż całe lata ceremonialnych wizyt.

Płacz nie pozwalał Margaret odpowiedzieć, ale zegnając się z lekarzem, z całych sił uściśnęła mu dłoń.

To jest właśnie ktoś, kogo nazywam świetną dziewczyną! – pomyślał doktor Donaldson, gdy wsiadł do powozu i miał wreszcie okazję, by zbadać swą dłoń, na której uścisk Margaret pozostawił odcisnięte pręgi. – Kto by pomyślał, że taka malutka rączka może mieć

tyle siły. Pewnie ma silny kośćiec i stąd ta szalona moc. Ależ z niej królowa! Ta głowa z początku odrzucona do tyłu, gdy zmuszała mnie do mówienia! A potem pochyłona do przodu, taka zasłuchana. Biedactwo. Muszę tam zaglądać i upewnić się, czy się nie przeciąża. Choć zawsze mnie dziwi, jak wiele te rasowe istoty są w stanie zdziałać i wycierpieć. A ta jest taka dzielna. Ma kręgosłup. Inna na jej miejscu, po takim wstrząsie, z takimi kolorami na twarzy, albo by zemdląła, albo wpadła w histerię. A ona nie! Ona nie! I doszła do siebie samą siłą woli. Taka dziewczyna zdobyłaby moje serce, gdybym był trzydzieści lat młodszy. A teraz już za późno. No, ale dotarliśmy do Archerów.

Wyskoczył z powozu, gotów poświęcić swe myśli, mądrość, doświadczenie i współczucie tej właśnie rodzinie, zupełnie jakby nie miał innych pacjentów na świecie.

W tym czasie Margaret wróciła do gabinetu ojca, aby odzyskać siły, zanim pójdzie na górę i stanie przed matką.

Boże! Dobry Boże! – myślała w rozpacz. To okropne. Jak ja to zniosę? Taka śmiertelna choroba. I nie ma

nadziei! Och mammo! Żałuję, że w ogóle wyjechałam do ciotki Shaw i spędziłam wszystkie te lata z dala od ciebie! Biedna mama! Ile ona musiała wytrzymać. Proszę Cię, Boże, niech te cierpienia nie będą silne, niech nie będą zbyt straszne! Jak ja wytrzymam samo patrzenie na to? Jak zniosę mękę ojca? Na razie nie może się dowiedzieć. I nie wszystko naraz. To by go zabiło. I nie stracę już ani jednej cennej sekundy z dala od mojej kochanej mamy.

Pobiegła na górę. Dixon nie było w pokoju. Pani Hale spoczywała w fotelu, cała owinięta białym, miękkim szalem, w twarzowym czepku założonym specjalnie z okazji wizyty doktora. Jej twarz była lekko zaróżowiona, a wyczerpanie wizytą lekarza nadało jej spokojny wyraz. Margaret była zdumiona, widząc matkę taką wyciszoną.

– Cóż to, Margaret? Tak dziwnie wyglądasz. Co się stało? – I nagle do jej umysłu zakradła się myśl, co może być przyczyną wyglądu córki. Spytała z lekkim niepokojem: – Mam nadzieję, że nie widziałaś się z doktorem Donaldsonem i nie zadawałaś mu żadnych pytań, prawda, dziecko?

Margaret nie odpowiedziała, a tylko spojrzała rozpaczliwie na matkę. Pani Hale się rozgniewała.

– Z pewnością nie mógłby złamać przyrzeczenia, które mi złożył, bo...

– Tak, mam, właśnie tak. Zmusiłam go. To ja. Możesz winić tylko mnie.

Uklękła przy matce i złapała ją za rękę. Nie wypuściła jej dłoni, choć pani Hale próbowała ją wyszarpanąć. Dziewczyna całowała ją, mokną od gorących łez.

– Margaret, postąpiłaś bardzo niewłaściwie. Byłaś świadoma tego, że nie życzę sobie, abyś wiedziała. – Ale po chwili, jakby zmęczona tymi zmaganiem, pozostawiła rękę w dłoniach córki, a potem słabo oddała uścisk. To zachęciło Margaret do mówienia.

– Och mam, pozwól mi być twoją pielęgniarką. Nauczę się wszystkiego od Dixon. To ja jestem twoim dzieckiem i myślę, że to ja mam prawo zajmować się tobą.

– Nie wiesz, o co prosisz – odpowiedziała pani Hale, dygocząc.

– Wiem, wiem. Wiem o wiele więcej, niż przypuszczasz. Pozwól mi się tobą opiekować. Pozwól mi cho-

ciąż spróbować. Nikt nigdy nie starał się tak, jak ja się będę starała. To będzie dla mnie pocieszenie, mamó.

– Moje biedne dziecko! Dobrze, spróbujemy. Wiesz, Margaret, byłyśmy pewne z Dixon, że odsunęłabyś się ode mnie, gdybyś się o wszystkim dowiedziała.

– Dixon była pewna! – powtórzyła Margaret ze skrzywieniem ust. – Nigdy by nie przyznała, że mogę cię prawdziwie kochać, a tym bardziej kochać cię tak jak ona. Pewnie myślała, że jestem jedną z tych biednych, chorowitych istotek, lubiących spoczywać na różanym łożu i potrzebujących kogoś, kto by je cały dzień wachłował. Nigdy więcej nie pozwól, mamó, aby uprzedzenia Dixon stanęły między nami. Proszę cię! – błagała.

– Nie gniewaj się na Dixon – zaniepokoiła się pani Hale.

Margaret tymczasem odzyskała równowagę.

– Nie będę. Postaram się być potulna i nauczyć się od niej wszystkiego, jeśli tylko pozwolisz mi opiekować się tobą. Pozwól mi być na pierwszym miejscu. Potrzebuję tego. Gdy byłam u ciotki, wyobrażałam sobie, że o mnie zapomnialaś, i na samą tę myśl płacz kołysał mnie do snu.

– A ja się niepokoiłam, jak Margaret znieśie nasz skromny dom i biedę po tych wygodach i luksusie na Harley Street. I częściej się wstydziłam, że to ty widzisz nasze niedostatki, niż gdy ich świadkiem był ktoś obcy.

– Och mamó! A ja się tak tym wszystkim cieszyłam! Życie w Helstone było o tyle bardziej zajmujące i zabawne niż komfortowa monotonia na Harley Street. Półka z rączkami wyciągana z szafy i służąca za tacę podczas proszonych obiadów. Albo ta stara skrzynia po herbacie, która po wypchaniu i obiciu stała się otomaną. To wszystko, co ty nazywasz skromnym, ubogim wyposażeniem naszego wiejskiego domu, stanowiło największy urok tamtejszego życia.

– Już nigdy nie zobaczę Helstone, Margaret – powiedziała pani Hale, a oczy zaszklily jej się łzami. Dziewczyna nie była w stanie nic odpowiedzieć, a matka mówiła dalej: – Gdy tam byłam, chciałam stamtąd wyjechać. Każde inne miejsce wydawało mi się przyjemniejsze. A teraz umrę z dala od Helstone. To słuszna kara.

– Nie wolno ci tak mówić! – krzyknęła niecierpliwie Margaret. – Doktor powiedział, że możesz żyć latami. Och mamó! Jeszcze wrócisz do Helstone!

– Już nigdy! I to jest moja pokuta. Ale, Margaret! Frederick! – To jedno jedyne słowo sprawiło, że wybuchnęła płaczem jak w bolesnej męce. Wydawało się, że myśl o nim zachwiała jej równowagę, zniszczyła spokój, przemogła wyczerpanie. A potem zaczęła dziko i namiętnie wołać: – Fredericku! Fredericku! Wróć do mnie. Ja umieram. Mój ukochany pierworodny, wróć do mnie jeszcze ten jeden raz!

Ten atak hysterii był tak gwałtowny, że przerażona Margaret sprowadziła Dixon. Służąca przysłała wzburzona i oskarżyła pannę Hale o zdenerwowanie matki. Dziewczyna zniosła to z pokorą, mając tylko nadzieję, że ojciec w tym czasie nie wróci. Mimo niepokoju, który nawet przerastał przyczynę, spełniała wszystkie polecenia Dixon szybko i starannie, bez jednego słowa samousprawiedliwienia. Udało jej się w ten sposób udobruchać swego oskarżyciela. Wspólnie położyły matkę do łóżka, a Margaret siedziała przy niej, dopóki chora nie zasnęła. Potem Dixon gestami wyprosiła pannę Hale z pokoju i z kwaśną miną, jakby robiła coś wbrew swemu przekonaniu, poleciła jej wypić filiżankę kawy, którą przygotowała w bawialni, i stała nad

Margaret we władczej postawie, dopóki polecenie nie zostało wykonane.

– Jakby panienka nie była taka ciekawska, to nie musiałaby się panienka gryźć przed czasem. I tak ten czas przyjdzie za wcześnie. A teraz pewnie panienka powie o wszystkim panu i dopiero będę miała z wami galimatias.

– Nie, Dixon – odpowiedziała Margaret głosem pełnym smutku – nie powiem ojcu. Nie zniósłby tego tak jak ja. – I aby udowodnić swą odporność, wybuchnęła płaczem.

– No! Wiedziałam, że tak będzie. Zaraz obudzi panienka mamę, a ona przecież dopiero co spokojnie usnęła. Droga panienko Margaret, ja to musiałam ukrywać już od tygodni. Wiem, że nie mogę jej kochać tak jak wy, ale i tak kocham ją bardziej, niż kiedykolwiek kochałam kogokolwiek – mężczyznę, kobietę lub dziecko. Jeden tylko panicz Frederick zbliżył się do jej miejsca w moim sercu. Było tak, odkąd tylko pokojówka lady Beresford pierwszy raz zabrała mnie, bym ją obejrzała, ubraną do wyjścia w białą krepę, przystrojoną kłosami i szkarłatnymi makami, a ja na ten widok

aż wbiłam sobie igłę w palec i ją złamałam, a wtedy ona wyjęła swoją chusteczkę, gdy mi tę igłę usunęli. A kiedy wróciła z balu, znowu przyszła, żeby nasączyć bandażę miksturą. Na tym balu była najśliczniejszą ze wszystkich młodych dam. Od tamtej pory kocham ją najmocniej na świecie. Nie pomyślałabym wtedy, że kiedykolwiek zobaczę, jak nisko upadła. Nie chodzi mi o to, aby komuś robić wyrzuty. Wiele osób nazywa panienkę ładną i śliczną, i co tam jeszcze. Nawet w tym zadymionym miejscu, gdzie z trudem cokolwiek widać, znajdują się sowy, które to zauważą. Ale jeżeli chodzi o piękność, nigdy nie dorówna panienka swej matce, nigdy, nawet za tysiąc lat.

– Mama jest nadal śliczna. Biedna mama!

– Niech panienka nie zaczyna, bo w końcu ja się rozkleję – wychlipała. – W tym stanie nie da panienka rady wytrzymać powrotu pana do domu i tego całego wypytywania. Proszę iść na spacer i wrócić trochę spokojniejsza. Wiele razy pragnęłam wyjść i tak długo chodzić, aż z głowy zniknęłaby ta myśl, co się z nią dzieje i jaki będzie koniec.

– Och Dixon! – powiedziała Margaret. – A ja tyle

razy byłam na ciebie zagniewana, nie wiedząc, jak straszliwy sekret musisz ukrywać.

– Niech cię Bóg błogosławi, dziecko! Podoba mi się, że okazujesz trochę serca! To stara dobra krew Beresfordów. Przecież to dziad ostatniego sir Johna zastrzelił swego zarządcę, tak jak stał, kiedy tamten mu powiedział, że się wziął do dzierżawców i wycisnie ich jak cytrynę, aż do ostatniego pensa.

– Cóż, Dixon, ja w każdym razie cię nie zastrzelę i postaram się nigdy więcej nie gniewać.

– Nigdy się panienka nie gniewała. A jeśli ja tak mówiłam, to tylko do siebie, tak na osobności, ot, żeby sobie miło pogawędzić, bo przecież nie mam tu nikogo odpowiedniego do rozmowy. A panienka, jak się tak zapala, to wygląda kubek w kubek jak panicz Frederick. Z przyjemnością gniewałabym panienkę każdego dnia, byle tylko widzieć odbicie wzburzonego panicza na panienki buzi. A teraz proszę już iść. Ja dopilnuję pani. A jeśli chodzi o pana, to o ile wróci, jego książki dotrzymają mu towarzystwa.

– Idę – powiedziała Margaret. Przez chwilę kręciła się koło Dixon, jakby zakłopotana i niepewna. Nagle pocałowała służącą i szybko wyszła z pokoju.

– Boże, błogosław jej! – powiedziała Dixon. – Słodka jak cukierek. Jest troje ludzi, których kocham: pani, panicz Frederick i ona. Tylko tych troje. To wszystko. A resztę mogą powiesić, bo nie wiem, po co ich ziemia nosi. Przypuszczam, że pan urodził się po to, by się ożenić z panią. Gdybym uważała, że kocha ją tak, jak powinien, to może z czasem też bym go pokochała. Ale powinien był traktować ją znacznie lepiej, a nie tylko czytać i czytać, rozmyślać i rozmyślać. I patrzcie, dokąd go to zaprowadziło. Niejeden, który nigdy ani nie czytał, ani nie rozmyślał, został proboszczem albo dziekanem i czym by tam jeszcze. Pan też mógłby to osiągnąć, gdyby tylko bardziej dbał o panią i gdyby dał sobie spokój z tym czytaniem i zastanawianiem się

Poszła – mruknęła do siebie, wyglądając przez okno, gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych.

Biedna panienska! – pomyślała. – Te jej ubrania wyglądają na zużyte, zwłaszcza jak je porównać z ich wyglądem rok temu, kiedy wróciła do Helstone. Wtedy nie miała w szafie czegoś takiego jak zacerowane pończochy czy czyszczone rękawiczki. Wszystko nowe. A teraz?

XVII

CZYM JEST STRAJK?

*Każda ścieżka ma swe ciernie,
Wobec których musisz zachować ostrożność.*

*Każdy z nas ma swój krzyż,
Który tylko modlitwa pomoże ci dźwigać.*

Anna Laetitia Waring, fragment pieśni

Margaret wyszła z ciężkim sercem i bardzo niechętnie. Ale już na pierwszej ulicy, na Milton Street, samo powietrze poruszyło jej młodą krew, nim dotarła do najbliższego zakrętu. Jej krok stał się lżejszy, usta czerwieńsze i zaczęła zauważać świat, a nie tylko pograżała się w myślach. Dostrzegła masę włóczących się jakby bez celu ludzi: mężczyzn przecha-

dzających się powoli z dłońmi w kieszeniach, głośno śmiejące się i rozmawiające dziewczęta, zbite w gromady, wyraźnie podekscytowane i hałaśliwie demonstrujące swój brak skrępowania. Bardziej zaniedbani mężczyźni, a stanowili oni mniejszość, okupowali schody piwiarni i szynków, paląc fajki i rzucając bardzo swobodne komentarze na temat przechodniów. Margaret z niechęcią myślała o perspektywie przejścia tymi ulicami w drodze na podmiejskie pola, dokąd pierwotnie zamierzała się udać. Zamiast tego postanowiła odwiedzić Bessy Higgins. Nie będzie to, co prawda, tak uspokajające jak spacer poza miastem, ale przynajmniej spełni dobry uczynek.

Gdy weszła, Nicholas Higgins siedział przy ogniu i palił, natomiast Bessy kołysała się na fotelu bujanym po drugiej stronie paleniska.

Nicholas wyjął z ust fajkę, podniósł się i popchnął swe krzesło w stronę gościa. Oparł się wyczekująco o kominek, podczas gdy Margaret pytała Bessy o samopoczucie.

– Ma smutną minę i kiepski nastrój – powiedział ojciec dziewczyny – ale zdrowie jej się poprawiło. Ona

nie lubi strajku, za wszelką cenę chciałaby zachować spokój i ciszę.

– To już trzeci strajk, który widzę – wyjaśniła Bessy, wzdychając, jakby to była wystarczająca odpowiedź i uzasadnienie.

– Ten trzeci zrównoważy dwa poprzednie. Zobaczysz, że tym razem ich załatwimy. Zobaczysz, że przyjdą i będą błagać, abyśmy wrócili na naszych warunkach. To wszystko. Poprzednio nam się nie udało, ale tym razem jesteśmy zdesperowani i przygotowani.

– Dlaczego strajkujecie? – spytała Margaret. – Strajk polega na tym, że przestajecie pracować, dopóki nie dostaniecie żądanych przez was zarobków, prawda? Nie dziwcie się mojej ignorancji. Tam, skąd pochodzę, nigdy nie słyszałam o strajkach.

– Żałuję, że ja tam nie mieszkam – powiedziała Bessy ze znużeniem. – Ale nie powinnam czuć się przygnębiona ani chora na myśl o strajku, bo widzę go po raz ostatni. Zanim się skończy, będę w świętym Jeruzalem.

– Ona jest tak zajęta przyszłym życiem, że nie myśli o obecnym. A ja, widzi panienska, muszę robić to,

co mogę, ale tutaj, na tym świecie. I uważam, że ptak w dłoni jest więcej wart niż dwa gdzieś tam w zaroślach. Dlatego mamy inne zdanie na temat strajku.

– Ale – powiedziała Margaret – gdyby ludzie zastrajkowali, jak to pan nazywa, tam, skąd pochodzę, gdzie większość ich pracuje w polu, to ziarno nie zostałoby zasiane, siano zwiezione, a zboże zebrane.

– I? – zapytał i wrócił do swojej fajki.

– Co w takim razie – kontynuowała – stałoby się z farmerami?

Wypuścił kłąb dymu.

– Sądzę, że albo musieliby zrezygnować ze swych farm, albo płaciliby uczciwe stawki.

– Przypuśćmy, że nie mogliby zrobić tego pierwszego lub nie zrobiliby tego ostatniego: nie mogliby zrezygnować ze wszystkich farm naraz, nawet gdyby bardzo tego chcieli, a nie mieliby ani siana, ani zboża na sprzedaż w tym roku. Skąd więc mieliby wziąć pieniądze na opłacenie zarobków pracowników w następnym roku?

Nadal się zaciągał i wypuszczał kłęby dymu. W końcu powiedział:

– Nie wiem nic o ludziach tam, na Południu. Słysza-

łem, że są bez ikry, zrezygnowani, prawie zagłodzeni, zbyt wyczerpani głodowaniem, by zauważyć, że są wykorzystywani. Ale tutaj tak nie jest. My wiemy, kiedy nas wykorzystują, i mamy w żyłach zbyt wiele żywej krwi, by na to pozwolić. Odejdziemy od naszych krosien i powiemy: „Możecie nas głodzić, ale nie zdołacie nas wykorzystać, panowie właściciele”. I tym razem im się nie uda, niech będą przeklęci.

– Chciałabym mieszkać na Południu – wyznała Bessy.

– Wiele trzeba tam znieść – powiedziała Margaret. – Wszędzie zresztą są troski, które trzeba znosić. Tam trzeba podołać ciężkiej fizycznej pracy, a brak dostatecznej ilości jedzenia nie pozwala nabrać sił.

– Ale ta praca jest na zewnątrz – zauważyła Bessy. – Z dala od tego wiecznego, wiecznego hałasu i okropnego gorąca.

– Czasami tam pada deszcz i ściska mróz. Młodym to nie szkodzi, ale starsi niszczeją od reumatyzmu, przedwcześnie powykręcani i niesprawni. Mimo to wciąż pracują, bo w przeciwnym razie musieliby iść do przytułku, gdzie i tak trzeba pracować, by zarobić na swoje utrzymanie.

– A ja myślałam, że panienka lubi to Południe.

– Bo tak jest – potwierdziła Margaret z uśmiechem na myśl, że dała się złapać we własne sidła. – Chodziło mi tylko o to, Bessy, że dobro i zło można spotkać wszędzie, a skoro powiedziałaś, co tutaj jest złego, pomyślałam, że będzie sprawiedliwie powiedzieć ci, co jest złego na Południu.

– I mówi panienka, że oni tam nigdy nie strajkują? – spytał raptownie Nicholas.

– Nie! – odpowiedziała Margaret. – Myślę, że mają na to zbyt wiele rozsądku.

– A ja myślę – odparł, usuwając popiół z fajki z taką gwałtownością, że ją złamał – że nie tyle mają zbyt wiele rozsądku, co raczej zbyt mało ducha.

– Och ojcie! – odezwała się Bessy. – Co osiągnęliście tymi strajkami? Przypomnij sobie ten pierwszy, wtedy kiedy umarła mama. Przypomnij sobie, jak wszyscy głodowaliśmy, a ty najbardziej. A potem po kolei, co tydzień, wracaliście do pracy z tymi samymi zarobkami, aż wrócili wszyscy, dla których była praca. A niektórzy już na zawsze zostali żebrakami.

– Tak – przyznał. – Tamten strajk był źle zorgani-

zowany. Ci, którzy nim dowodzili, albo byli głupcami, albo nie byli prawdziwymi mężczyznami. Ale zobaczycie, tym razem będzie zupełnie inaczej.

– Nadal mi pan jednak nie wyjaśnił, po co strajkujecie – przypomniała Margaret.

– Więc tak: jest pięciu lub sześciu właścicieli, którzy nie chcą płacić tyle, ile dawali przez ostatnie dwa lata. Utuczyl się na nas, rozkwitli, wzbogacili, a teraz przychodzą i mówią, że mamy pracować za mniej. A my nie będziemy. Najpierw ich zagłodzimy. A potem zobaczymy, kto będzie dla nich pracował. Moim zdaniem zabiją kurę, która im zносиła złote jaja.

– Zamierzacie umrzeć po to, aby się na nich zemścić?

– Nie – powiedział. – Nie zamierzamy. Ale ja jestem gotowy raczej umrzeć niż ustąpić. Ludzie twierdzą, że jak postąpi tak żołnierz, to jest honorowy, więc czemu nie miałby tak zrobić biedny tkacz?

– Ale – odrzekła Margaret – żołnierz umiera za naród, za innych.

Zaśmiał się ponuro.

– Dziewczyno – powiedział – jesteś tylko młodą

osóbką, ale czy myślisz, że mogę utrzymać naszą trójkę, Bessy, Mary i mnie, za szesnaście szylingów na tydzień? Czy myślisz, że ja strajkuję dla siebie? To tak jak z tym żołnierzem, co umiera za innych, tylko że on tych innych nigdy nie widział ani o nich nie słyszał, a moja sprawa to taki John Boucher, co mieszka obok z chorą kobietą i ósemką drobiazgu, a wszystkie za młode, żeby iść do fabryki*. I nie chodzi mi tylko o niego, bo to biedny niedojda, który potrafi obsługiwać zaledwie dwa krosna naraz, ale chodzi o sprawiedliwość. Bo dlaczego, pytam, mamy pracować za mniej niż przez ostatnie dwa lata?

– Proszę mnie nie pytać – odparła Margaret. – Jestem zupełną ignorantką. Proszę spytać kogoś z pracodawców. Z pewnością potrafią to uzasadnić. To nie może być jedynie ich arbitralna, bezpodstawna decyzja.

– Pani jest tu obca – rzekł z pogardą. – Dużo tam pani wie. „Proszę spytać pracodawców”. Powiedzieliby, żebyśmy pilnowali własnego nosa i pozwolili im zająć

* Zgodnie z ustawą Factory Act z 1819 r. w przemyśle przędzalniczym nie wolno było zatrudniać dzieci poniżej dziewiątego roku życia.

się swoimi sprawami. Naszym psim obowiązkiem jest przyjąć obcięte zarobki i jeszcze podziękować, a ich sprawa to wydusić z nas, co się da, aż do granic wytrzymałości głodu, i utuczyć się na zyskach. O to właśnie toczy się ta cała sprawa.

– Ale – kontynuowała Margaret, zdecydowana się nie poddać, choć widziała, że go irytuje – sytuacja na rynku może być taka, że oni po prostu nie mogą utrzymać wysokości waszych wynagrodzeń.

– Sytuacja na rynku! To jest właśnie jedno z tych ich oszustw. Ja mówiłem o stawce zarobków. A sytuacja na rynku zależy od fabrykantów, to oni trzymają ją w ręku i wyciągają przed siebie jak jakiegoś potwora–straszaka, aby zmusić niegrzeczne dzieci do posłuszeństwa. Powiem panience, że to ich sprawa, ich rola, jak niektórzy mówią, zgnieść nas i powiększyć swoje fortuny, a nasza sprawa to powstać i twardo walczyć, nie tylko dla nas samych, ale dla wszystkich, dla sprawiedliwości i uczciwości. Ale my pomagamy im osiągać zyski, więc chcemy też z nich korzystać. Tym razem nie chodzi o to, że chcemy ich złota tak bardzo jak dotychczas. Zresztą mamy odłożone trochę pieniędzy na czas straj-

ku. I jesteśmy zdecydowani wytrwać lub upaść. Razem. Żaden z nas nie wróci do pracy za mniej, niż związek ustalił, że się należy. Więc ja mówię: Hura! Hura dla strajku! A banda Thorntona, Slicksona i Hampera niech się tym martwi.

– Thorntona! – powtórzyła Margaret. – Pana Thorntona z Marlborough Street?

– Thorntona z Przędzalni Marlborough. Tak go nazywamy.

– To on jest jednym z tych pracodawców, z którymi walczyacie, prawda? Jaki jest w pracy?

– Widziała panienska kiedyś buldoga? Proszę postawić buldoga na tylnych łapach, ubrać w surdut i spodnie, i będzie pani miała Johna Thorntona.

– Nie – odpowiedziała Margaret ze śmiechem. – Z tym się nie zgodzę. Pan Thornton jest raczej zwyczajny, nie przypomina buldoga, brak mu krótkiego, szerokiego nosa i zakrzywionej górnej wargi.

– Nie chodzi oczywiście o wygląd. Ale jak wpadnie na jakiś pomysł, to przyczepi się do tego i nie odpuści, właśnie jak buldog. Trzeba by go odpędzać widłami, żeby zostawił. Niezły przeciwnik z tego Johna

Thorntona. Jeśli chodzi o Slicksona, jestem pewien, że już niedługo będzie próbował blagą i pochlebstwami namówić ludzi do powrotu do pracy, a jak się znowu znajdą w jego mocy, to ich oszuka. Odrobi sobie na nich te wszystkie swoje grzywny, jasna sprawa. Jest śliski jak węgorz, taki jest. Trochę jak kot – gładki, chytry i zawzięty. Z nim walka nigdy nie jest uczciwa, nie taka, jak będzie z Thorntonem. Ten jest niewzruszony. Twardy jak gwóźdź. Uparty do szpiku kości. Po prostu stary buldog.

– Biedna Bessy – powiedziała Margaret, odwracając się w stronę dziewczyny. – Cały czas wzdychasz. Nie lubisz przepychanek i walki, za którymi przepada ojciec, prawda?

– Nie – przyznała Bessy ciężko. – Chora jestem od tego. Mogłabym sobie życzyć innych rozmów, jeśli to są ostatnie moje dni, innych rozmów niż sprzeczki i swary, które mi zszargały życie, te wszystkie utarczki o pracę, zarobki, panów, robotników i łamistrajków.

– Biedulka! Twoje ostatnie dni są jeszcze odległe! Już teraz lepiej wyglądasz, wystarczyło trochę ruchu i odmiany. Poza tym będę teraz spędzał dużo czasu w domu, więc wprowadzę tu trochę ożywienia.

– Dym z tytoniu mnie dławi! – odpowiedziała mu gderliwie.

– W takim razie nigdy więcej nie zapalę w domu! – obiecał z czułością. – Ale dlaczego dotychczas mi tego nie powiedziałaś, ty niemądra dziewczyno?

Przez moment nic nie mówiła, a w końcu odezwała się tak cicho, że tylko Margaret mogła ją usłyszeć:

– Będzie szukał całego pocieszenia, jakie uda mu się znaleźć, w fajce albo w dżinie, zwłaszcza teraz.

Nicholas wyszedł za drzwi, aby dokończyć palenie, a Bessy zaczęła z pasją:

– Czy ja nie jestem głupia?! Nie jestem? Wiedziałam, że muszę zatrzymać ojca w domu, z dala od tych ludzi zawsze gotowych w czasie strajku kusić mężczyzn, żeby wypili. I nie powstrzymałam się od kłótni, musiałam powiedzieć o tej fajce. I teraz będzie wychodził, wiem, że tak. Zawsze, jak będzie chciał zapalić. Nie wiadomo, jak to się skończy. Już wolałabym się zadławić tym dymem.

– Czy to znaczy, że twój ojciec pije? – zaniepokoiła się Margaret.

– Nie. Niezupełnie – odpowiedziała Bessy tym sa-

mym dzikim, poruszonym głosem. – Ale jakie ma inne wyjście? Na pewno masz takie dni – jak wszyscy, tak sądzę – kiedy wstajesz i mijają godziny, a ty marzysz o jakiejkolwiek odmianie, o jakiejś różnicy, o czymkolwiek. Pamiętam, że w takie dni chodziłam po chleb do piekarza innego niż zwykle tylko dlatego, iż do szaleństwa doprowadzała mnie myśl, że mam znów patrzeć na to samo i słyszeć to samo, i czuć ten sam smak, a w głowie mieć te same myśli, a raczej ten sam brak myśli. I tak dzień za dniem. Zawsze. Marzyłam, żeby być mężczyzną, żeby móc pohulać, powłóczyć się, nawet jeśli to miałyby być wędrowniki w poszukiwaniu pracy. A u ojca, jak u wszystkich mężczyzn, to pragnienie jest silniejsze niż u mnie, to zmęczenie niezmiennością, pracą bez końca. Co oni mają zrobić? Trudno ich winić, gdy idą do szynku, bo chcą, żeby ich krew choć przez chwilę płynęła szybciej i żywiej, chcą widzieć rzeczy, jakich inaczej by nie zobaczyli, kolorowe obrazki i inne takie. Ale ojciec nigdy nie był pijakiem, choć od czasu do czasu bywa wstawiony. Tylko widzisz – głos Bessy przybrał żałobny, błagalny ton – w czasie strajku dzieje się mnóstwo rzeczy, które zwalają z nóg i przy-

gnębiają, bo oni rozpoczynają ten strajk tacy pełni nadziei. I skąd mają czerpać pocieszenie? Ojciec zrobi się gniewny i szalony, wszyscy oni tacy będą, a potem zmęczą ich ten gniew i szaleństwo. I mogą w nerwach zrobić coś, o czym będą chcieli potem zapomnieć. Niech Bóg błogosławi twoją słodką współczującą twarz, ale nie masz jeszcze pojęcia, czym jest strajk.

– Czekaj, Bessy – powiedziała Margaret. – Nie twierdzę, że przesadzasz, bo zbyt mało o tym wszystkim wiem, ale nie czujesz się dobrze i dlatego widzisz tylko ciemną stronę. Może jest jeszcze inna, jaśniejsza, na którą warto spojrzeć.

– Łatwo ci tak mówić, przecież zawsze żyłaś w miłych zielonych miejscach, nie poznałaś ani niedostatku, ani zmartwień, ani pewnie nikczemności.

– Bądź ostrożna – odrzekła Margaret z płonącymi policzkami i błyszczącymi oczami – z wydawaniem osądów, Bessy. Za chwilę wrócę do domu, do mojej matki, która jest chora, tak bardzo chora, że z przerażającego więzienia bólu i cierpienia nie ma dla niej innej drogi wyjścia niż śmierć. A jednak z pogodną twarzą muszę rozmawiać z moim ojcem, który nie ma poję-

cia o prawdziwym stanie matki i do którego ta świadomość musi docierać stopniowo. Jedyna osoba, która mogłaby mi współczuć i pomóc, jedyna osoba, której obecność pocieszyłaby moją matkę bardziej niż cokolwiek na ziemi, otóż ten ktoś został niesłusznie oskarżony i ryzykowałby śmierć, gdyby przyjechał zobaczyć się ze swą umierającą matką. Mówię to tylko tobie, Bessy. Nie wolno ci o tym nikomu wspomnieć. Nikt inny w Milton o tym nie wie i prawie nikt inny w Anglii. Czy nadal uważasz, że nie mam trosk? Że nie wiem, co to niepokój, choć jestem dobrze ubrana i mam wystarczająco dużo jedzenia? Och Bessy, Bóg jest sprawiedliwy i równo porozdzielał nasze losy, choć nikt oprócz Niego nie zna goryczy, która przepęlnia nasze dusze.

– Wybacz mi – odpowiedziała Bessy z pokorą. – Czasami, gdy myślę o moim życiu i o tych niewielu przyjemnościach, jakich zaznałam, wydaje mi się, że jestem jedną z tych skazanych na śmierć przez spadającą z nieba gwiazdę: „A imię gwiazdy zowie się Piołun. I trzecia część wód stała się piołunem, i wielu ludzi

pomarło od wód, bo stały się gorzkie”*. Łatwiej znieść ból i troski, gdy się wierzy, że zostały zapowiedziane na długo wcześniej, może dlatego, że to wygląda, jakby moje cierpienie było niezbędne do wypełnienia się pro-roctwa. Bo w przeciwnym razie chyba zostało zesłane bez celu.

– Ale pomyśl, Bessy – odpowiedziała jej Margaret. – Bóg niechętnie nas dręczy. Nie rozmyślaj tyle nad pro-roctwami, ale skup się raczej na jaśniejszych stronach Biblii.

– Przypuszczam, że to by było rozsądniejsze, ale gdzie indziej znalazłabym takie wielkie obietnice, gdzie usłyszałabym o tych rzeczach tak innych od mojego ponurego świata i, przede wszystkim, tak innych od tego miasta? Tylko w *Objawieniach*. Wiele razy sama dla siebie powtarzałam wersety z rozdziału VII tylko po to, by słyszeć te dźwięki. Są równie wspaniałe jak organy i takie inne od codzienności. Nie, nie potrafię zrezygnować z *Księgi Objawienia*. To mi daje więcej pociechy niż jakakolwiek inna księga w Piśmie Świętym.

* Fragment z *Księgi Apokalipsy* (8:11)

– Pozwól mi przyjść i przeczytać ci niektóre z moich ulubionych rozdziałów.

– Dobrze – zgodziła się z entuzjazmem – przyjdź. Może ojciec cię wysłucha. Jego uszy są zamknięte na moje gadanie. Mówi, że to nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje teraz, a jego przede wszystkim to interesuje.

– A gdzie twoja siostra?

– Pracuje przy krojeniu barchanu. Nie chciałam jej puścić, ale jakoś musimy żyć, a związek nie może nas wystarczająco mocno wesprzeć.

– Muszę już iść. Bardzo mi pomogłaś, Bessy.

– Ja pomogłam?!

– Tak. Przyszłam tu bardzo przygnębiona i wydawało mi się, że moje zmartwienie jest jedyne na świecie. Ale teraz, kiedy usłyszałam, co ty musiałaś znieść latami, czuję się znacznie silniejsza.

– Niech Bóg cię błogosławi. Zawsze myślałam, że dobroczynność to sprawa dla bogatych. Będę dumna, jak sobie pomyślę, że udało mi się pomóc tobie.

– To nie będzie dobroczynność, jeśli będziesz tak o tym myślała. I wszystko ci się pogmatwa.

– Nie przypominasz nikogo, kogo znam. Nie wiem, co z tobą zrobić.

– Ja też nie wiem, co ze sobą zrobić. Do widzenia.

Bessy na moment przestała się kołysać i odprowadziła Margaret wzrokiem.

Ciekawe, czy wiele jest takich tam, na Południu – zastanawiała się. – Jest trochę jak powiew wiejskiego powietrza. Odświeża mnie. Kto by pomyślał, że ta twarz, taka jasna, taka silna, jak anioła, o którym śnię, że ona może znać troski, o jakich mówiła. Ciekawe, czym grzeszy. Wszyscy przecież grzeszymy. Tyle o niej myślę. Ale ojciec tak samo. I nawet Mary. A nieczęsto się zdarza, żeby ona na kogokolwiek zwróciła uwagę.

XVIII

SYMPATIE I ANTYPATIE

*Serce się we mnie buntuje
I słyszę wewnątrz dwa głosy.*

Friedrich Schiller, „Wallenstein”

Do powrocie do domu Margaret znalazła na stole dwa listy: jeden był notatką zaadresowaną do matki, natomiast drugi został dostarczony pocztą, a pochodził od ciotki Shaw, o czym świadczyły zagraniczne znaczki i sam jego wygląd: cienki, błyszczący i szeleszczący. Dziewczyna wzięła do ręki ten drugi list i gdy mu się przyglądała, niespodziewanie wszedł ojciec:

– Matka była na tyle zmęczona, że położyła się

wcześniej. Obawiam się, że taki niespokojny dzień nie sprzyjał najbardziej wizycie lekarza. Co powiedział? Pytałem Dixon, ale mi odparła, że to z tobą rozmawiał o matce.

Margaret się zawahała, a ojciec natychmiast spoważniał i się zaniepokoił:

– Chyba nie sądzi, że to coś poważnego?

– Na razie nie. Powiedział, że mama wymaga troski i opieki. Był bardzo uprzejmy i obiecał, że ponownie ją odwiedzi, by sprawdzić, czy jego lekarstwa działają.

– Tylko troska. Nie zalecał zmiany powietrza? Nie wspominał, że pobyt w tym zadymionym mieście jej szkodzi, Margaret?

– Nie, ani słowa – odpowiedziała z powagą. – Myślę, że był nieco zaniepokojony.

– Lekarze mają po prostu taki sposób bycia. To taka zawodowa maniera – stwierdził pan Hale.

Margaret zorientowała się po nerwowym zachowaniu ojca, że pierwsze ziarno myśli o możliwym niebezpieczeństwie zostało zasiane w jego umyśle, mimo że usiłował nadać pozytywne znaczenie wszystkiemu, co mówiła. Nie potrafił jednak zostawić tego tematu, nie

mógł zająć się innymi sprawami. Przez cały wieczór uparcie wracał do wizyty lekarza, aczkolwiek był niechętny do przyjęcia nawet najmniej niepokojącej informacji, co niewymownie smuciło Margaret.

– Ten list przyszedł od ciotki Shaw, papo. Dotarła do Neapolu, ale stwierdziła, że jest tam dla niej zbyt gorąco, więc wynajęła mieszkanie w Sorrento. Myślę jednak, że raczej nie podoba jej się we Włoszech.

– Nie wspominał nic o dziecie?

– Jedzenie ma być pożywne i lekkostrawne. Moim zdaniem apetyt mamie dopisuje.

– Tak, i właśnie dziwi mnie, że zalecił dietę.

– To ja go o nią spytałam, papo. – Nastąpiła kolejna przerwa, a po chwili Margaret oznajmiła: – Ciotka Shaw pisze, że wysłała mi jakieś ozdoby z koralu. – Po czym dodała z półuśmiechem: – Ale obawia się, że odszczepieńcy z Milton nie docenią tych skarbów. Ona chyba czerpie swoje informacje o odszczepieńcach na podstawie kwaków, prawda?

– Jeśli kiedykolwiek usłyszysz lub zauważysz, że twoja matka ma jakieś życzenia, pamiętaj, abyś od razu dała mi znać. Obawiam się bowiem, że ona nie za-

wsze mówi mi, na co miałyby ochotę. Proszę też, abyś zainteresowała się tą dziewczyną od pani Thornton. Gdybyśmy mieli dobrą, sprawną służącą, Dixon mogłaby na stałe zajmować się tylko matką i z pewnością już wkrótce moja biedna Maria zasiadałaby między nami. Musimy się tylko tym zająć. Była po prostu ostatnio bardzo zmęczona tą gorącą pogodą i poszukiwaniami służącej. Wystarczy trochę odpoczynku, by wróciły jej siły, prawda, Margaret?

– Mam nadzieję – odpowiedziała dziewczyna, ale tak smutnym głosem, że ojciec to zauważył.

Uszczypnął ją w policzek.

– Jesteś taka blada, że muszę ci przydać trochę kolorów. Dbaj o siebie, dziecko, bo następnym razem będziemy musieli wezwać lekarza do ciebie.

Tego wieczoru nie potrafił niczym się zająć. Ciągłe chodził na czubkach palców sprawdzać, czy żona nadal śpi. Margaret ścisnęło się serce na widok tego poruszenia. Próbował zdusić i stłamsić w sobie ten okropny strach wyłaniający się z najciemniejszych zakamarków jego duszy. W końcu wrócił odrobinę pocieszony.

– Obudziła się, Margaret. Nawet się uśmiechnęła,

jak mnie zobaczyła przy łóżku. Uśmiechnęła się jak za dawnych czasów. Powiedziała, że czuje się wypoczęta i gotowa do herbaty. Gdzie ten liścik do niej? Chciałaby go zobaczyć. Przeczytam go jej, gdy ty będziesz przygotowywać herbatę.

Liścik pochodził od pani Thornton i był formalnym zaproszeniem dla pana, pani i panny Hale na obiad, który odbędzie się dwudziestego pierwszego bieżącego miesiąca. Margaret była zdumiona, widząc, że przyjęcie zaproszenia jest w ogóle brane pod uwagę w świetle smutnych perspektyw, które pojawiły się tego dnia. Wizja męża i córki biorących udział w obiedzie u Thorntonów opanowała wyobraźnię pani Hale, jeszcze zanim Margaret poznała zawartość listu. To wydarzenie mogło wprowadzić ciekawe urozmaicenie w monotonię życia chorej i uczepiła się tego pomysłu, reagując rozdrażnioną nieustępliwością na obiekcje córki.

– Cóż, Margaret! Jeśli matka sobie tego życzy, na pewno oboje chętnie pójdziemy. Nigdy by się tak nie upierała, gdyby nie czuła się zdecydowanie mocniejsza. Chyba naprawdę jest z nią lepiej, niż się obawialiśmy, co, Margaret? – odezwał się pan Hale następnego dnia,

gdy dziewczyna zasiadła do pisania liściku zawiadamiającego o przyjęciu zaproszenia. – Margaret? – upewniał się, wykonując nerwowe ruchy rąk.

Byłoby okrucieństwem odmawiać mu pociechy, której tak bardzo pragnął. Poza tym upór, z jakim odrzucał samo istnienie zagrożenia, chwilami napępiał pannę Hale niemal nadzieją na wyzdrowienie matki.

– Myślę, że rzeczywiście mama czuje się lepiej od wczoraj – przyznała. – Jej oczy błyszczą, a twarz się wygładziła.

– Niech Bóg cię błogosławi – powiedział ojciec poważnie. – Ale czy to aby prawda? Wczoraj było tak parno, że każdy czuł się osłabiony. Bardzo nieszczęśliwie się złożyło, że doktor Donaldson odwiedził ją właśnie wczoraj.

Ojciec wyszedł do swoich codziennych zajęć, których mu ostatnio przybyło, bo zgłosił się do pobliskiej szkoły, aby wygłosić wykłady dla robotników. Jako temat wybrał architekturę eklezjastyczną, co było przejawem jego własnych upodobań i wiedzy, a nie próbą dostosowania się do charakteru miejsca czy potrzeb tych, dla których miał prowadzić odczyty. Sama instytucja

natomiast była tak pogrążona w długach, że z wdzięcznością przyjęła propozycję poprowadzenia gratis kursu przez kogoś tak wykształconego i uzdolnionego jak pan Hale, zupełnie nie dbając o temat zajęć.

– I cóż, mamu? – spytał pan Thornton tego wieczoru. – Kto przyjął zaproszenie na obiad?

– Fanny, gdzie są listy? Slicksonowie przychodzą, Collingbrookowie i Stephensowie też, Brownowie odmówili. Hale’owie – ojciec i córka tak, matka jest zbyt chora. Macphersonowie przyjdą i pan Horsfall, i pan Young. Zastanawiam się, czy nie zaprosić Porterów, skoro Brownowie nie mogą przyjść.

– Doskonale. Wiesz, z tego, co mówi doktor Donaldson, obawiam się, że z panią Hale nie jest chyba najlepiej.

– W takim razie dziwne z ich strony, że przyjmują zaproszenie na obiad, skoro z matką jest źle – odezwała się Fanny.

– Nie powiedziałem, że jest bardzo źle – odpowiedział jej brat ostro. – Powiedziałem tylko, że nie jest najlepiej. Możliwe, że oni nic o tym nie wiedzą.

A potem nagle sobie przypomniał, że zgodnie z tym,

co powiedział mu doktor Donaldson, Margaret musi być w każdym razie świadoma stanu matki.

– Bardzo możliwe, że zdają sobie po prostu sprawę z tego, co sam wczoraj powiedziałaś, John, że byłoby bardzo korzystne dla pana Hale’a, gdyby zostali przedstawieni takim ludziom jak Stephensowie i Collingbrookowie.

– Jestem pewien, że to akurat nie miało wpływu na ich decyzję. Nie! Chyba zresztą rozumiem, jak się sprawa przedstawia.

– John – prychnęła Fanny tym swoim słabym nerwowym śmiechem – jak ty zawsze rościsz sobie pretensje do rozumienia tych Hale’ów! A nam nigdy nie przyznajesz prawa, żeby cokolwiek o nich wiedzieć. Czy naprawdę tak się różnią od wszystkich innych ludzi, z którymi mamy do czynienia?

Nie zamierzała go zdenerwować, ale nawet gdyby to zaplanowała, nie udało by jej się zrobić tego tak skutecznie. Ukrywał jednak swą irytację, nie racząc odpowiedzieć na pytanie siostry.

– Nie sądzę, aby byli niezwykli – stwierdziła pani Thornton. – On wydaje się dość wartościowym czło-

wiekiem. Co prawda zbyt prostym, by się nadawał do interesów, więc pewnie dlatego był najpierw duchownym, a teraz jest nauczycielem. W niej jest coś z wielkiej damy, do tego ta jej choroba. Jeśli chodzi o dziewczynę, to ona jedyna stanowi dla mnie zagadkę, a to się nieczęsto zdarza. Chyba ma wysokie mniemanie o sobie. Zadziera nosa, a ja nie rozumiem, dlaczego. Czasami mi się nawet wydawało, że uważa swe towarzystwo za zbyt cenne. A przecież nie są bogaci, a z tego, co słyszę, nigdy nie byli.

– A poza tym, mamó, ona nie jest wykształcona. Nie umie grać.

– No, dalej, Fanny. Czego jeszcze jej brakuje, żeby osiągnęła twoje standardy? – prowokował pan Thornton.

– Ależ, John – zwróciła się do niego matka – przecież Fanny nic złego nie powiedziała. Sama słyszałam, jak panna Hale przyznała, że nie potrafi grać. Gdybyś zostawił nas w spokoju, być może zdołałybyśmy ją polubić i dostrzec jej zalety.

– Ja na pewno nie! – wymruczała Fanny, odważna, bo pod ochroną matki.

Pan Thornton dosłyszał to, ale nie pofatygował się, by odpowiedzieć. Chodził w tę i z powrotem po jadalni i czekał, aż matka zadzwoni po świecę; wtedy mógłby zasiąść do czytania lub pisania, jednym słowem do pracy, i tym samym położyłby kres tej rozmowie. Ale nawet przez myśl mu nie przeszło, aby wtrącać się w którąkolwiek z domowych zasad, narzuconych i przestrzeganych przez panią Thornton, a będących wspomnieniem dawnego oszczędnego życia.

– Mamo – powiedział, zatrzymując się i odważnie wyjawiając prawdę – zależałoby mi, abyś polubiła pannę Hale.

– Dlaczego? – spytała, zaskoczona poważnym, a jednocześnie żarliwym wyznaniem syna. – Chyba nie myślisz o poślubieniu jej? Dziewczyny bez pensa przy duszy?

– Nigdy by mnie nie zechciała – odpowiedział z urywanym śmiechem.

– Myślę, że by nie zechciała – przytaknęła matka. – Roześmiała mi się w twarz, gdy ją pochwaliłam, że powtórzyła mi pochlebne zdanie pana Bella na twój temat. Podobała mi się jej szczerłość, bo dowodziła, że ona o tobie nie myśli. Ale już w następnej minucie roz-

gniewała mnie, bo zdawała się uważać... Cóż, nieważne! W tym masz rację, że ona ma zbyt wysokie pojęcie o sobie, by w ogóle na ciebie spojrzeć. Impertynencka dziewczucha! Ciekawe, gdzie znalazłaby lepszego.

Jeśli te słowa zraniły jej syna, przytłumione światło skutecznie skryło jego emocje. Już po chwili podszedł z serdecznością do matki i lekko kładąc dłoń na jej ramieniu, powiedział:

– Cóż, ponieważ jestem w pełni przekonany, że to wszystko, co powiedziałaś, to prawda, a poza tym nie mam najmniejszej myśli ani zamiaru oświadczać się jej, proszę, byś w przyszłości wierzyła, że rozmowa o niej zupełnie mnie nie interesuje. Przewiduję zresztą, że ta dziewczyna doigra się kłopotów, może przez brak matczynej opieki. I dlatego proszę cię tylko, abyś była gotowa zostać jej przyjaciółką, gdyby zaszła taka potrzeba. A teraz, Fanny – dodał – wierzę, że masz wystarczająco dużo delikatności, by zrozumieć, że przypuszczenie, iż miałem jakikolwiek powód inny niż ten, który podałem, by prosić ciebie i matkę o okazywanie względów pannie Hale, byłoby uwłaczające zarówno dla niej, jak dla mnie, choć myślę, że dla niej nawet bardziej.

– Nie mogę wybaczyć jej tej dumy – powiedziała matka. – Okażę jej przyjaźń w potrzebie ze względu na twoją prośbę, John. Okazałabym przyjaźń nawet samej Jezebel, gdybyś ty mnie o to poprosił. Ale ta dziewczyna, która kręci na nas wszystkich nosem, która kręci nosem na ciebie...

– Ależ, mamu, nigdy się nie wystawiłem i nie zamierzam się wystawiać na jej pogardę.

– Pogarda. Też coś! – Tu nastąpiło jedno z owych wymownych parsknięć pani Thornton. – Lepiej zresztą już o niej nie mówmy, jeśli mam być dla niej miła. Gdy jestem w jej towarzystwie, nie wiem, czy ją lubię, czy nie, ale kiedy o niej myślę lub słyszę, jak ty o niej mówisz, wtedy jej nienawidzę. Przecież wiem, że zadzierała wobec ciebie nosa, choć tego nie przyznajesz.

– A jeśli nawet... – Na chwilę zamilkł, po czym dokończył: – ...to nie jestem byle chłoptasiem, aby mnie wystraszyły dumne miny jakiejś kobiety lub jej niezrozumienie dla mnie i mojej pozycji. Mogę się tylko z tego śmiać.

– To oczywiste. Z niej też się możesz śmiać. I z jej wysokiego mniemania o sobie i tych wyniosłych tonów.

– W takim razie zupełnie nie rozumiem, czemu tyle o niej mówisz – powiedziała Fanny. – Jeśli o mnie chodzi, to mam serdecznie dość tego tematu.

– No cóż – odrzekł jej brat z odcieniem goryczy – proponuję zatem, byśmy znaleźli jakiś inny, przyjemniejszy temat. Co powiesz na strajk jako miłą odmianę?

– Czy robotnicy odeszli od maszyn? – spytała pani Thornton z żywym zainteresowaniem.

– U Hampera tak. Moi jeszcze pracują. Muszą wypracować do końca swój tydzień ze strachu, że zostaną oskarżeni o złamanie kontraktu, który zawarłem z każdym z nich, a zgodnie z umową grozi im kara za opuszczenie stanowiska przed wypracowaniem czasu.

– Koszty procesu byłyby wyższe, niż sami robotnicy są warci. Banda niewdzięcznych miernot – odpowiedziała matka.

– Możliwe, ale pokazałbym im, że dotrzymuję słowa i oczekuję, aby oni dotrzymali swego. Zdążyli już mnie poznać. Ludzie Slicksona nie pracują i to więcej niż pewne, że on nie będzie marnował pieniędzy na procesy z nimi. Nas też czeka zatrzymanie maszyn, matko.

– Mam nadzieję, że nie ma bardzo wielu kontraktów w toku.

– Oczywiście, że są. I robotnicy dobrze o tym wiedzą. Ale nie wszystko rozumieją, choć im się wydaje, że tak właśnie jest.

– Co przez to rozumiesz, John?

Świece zostały przyniesione i Fanny podjęła swoją niekończącą się wełnianą robótkę, nad którą otwarcie ziewała. Od czasu do czasu rozpierała się na krześle i bezmyślnie wpatrywała w przestrzeń, pogodzona ze wszystkim i nieniepokojona żadną troską.

– Chodzi o to, że Amerykanie wprowadzają swoją przędzę tak agresywnie na światowy rynek, iż naszą jedyną szansą na wyeliminowanie konkurencji jest tańsza produkcja. Jeśli nam się to nie uda, możemy od razu zwinąć cały interes i szukać sobie innego zajęcia – razem, i robotnicy, i właściciele. A ci głupcy żądają kwot płaconych trzy lata temu, ba, ich liderzy powołują się na stawki u Dickinsona, choć wiedzą równie dobrze jak ja, że zmusił ich, aby grzywny zostały wypłacone z ich zarobków, jak żaden honorowy człowiek nigdy by nie postąpił; poza tym stosował jeszcze inne metody,

do jakich ja osobiście nigdy bym się nie zniżył. Biorąc to pod uwagę, ich realne zarobki u Dickinsona są gorsze niż u nas. Słowo daję, matko, ale wołałbym, aby w mocy były dawne prawa*, zakazujące zrzeszania się w związki. To nie do pomyślenia, by głupcy, ignoranci i kontraktowi robotnicy, tylko dzięki zjednoczeniu ich słabych i niemądrych głów, mieli władać fortunami tych, którzy stworzyli to wszystko dzięki swej wiedzy i doświadczeniu, niejednokrotnie kosztem trosk i zmuszeni do rozwiązywania wielu dylematów. Chcą doprowadzić do tego – ale ze mną to się nie uda – że będziemy musieli iść do sekretarza Związku Przędzalników i z odkrytą głową i kapeluszem w dłoni pokornie błagać, aby w swej uprzejmości zapewnił nam pracowników, którzy będą zarabiali tyle, ile sami uznają za stosowne. Tego właśnie chcą ci, którzy nie mają dość rozumu, by pojąć, że jeśli my, właściciele, nie będziemy mieli udziału w zyskach, aby zrekompensować nasz trud i starania tu w Anglii, to równie dobrze możemy się wynieść do innego kraju. Poza tym nie widzą, że

* Mowa o *The Combination Acts* – ustawach z 1799 i 1800 r. delegalizujących związki zawodowe; zawieszonych w 1824 r.

wobec krajowej i zagranicznej konkurencji żaden z nas nie osiągnie wysokich profitów i będziemy mogli być wdzięczni losowi, jeśli w ogóle nam się to uda w ciągu najbliższych kilku lat.

– Nie możesz sprowadzić robotników z Irlandii? Nie trzymałabym tutejszych pieniaczy ani dnia dłużej. Pokazałabym im, że ja jestem panem i mogę zatrudniać takich służących, jak mi się podoba.

– Z pewnością mogę. I zrobię to, jeśli strajk się przedłuży. Będzie się to wiązało z kłopotami i kosztami, i obawiam się, że także z niebezpieczeństwem. Ale prędzej to zrobię, niż się poddam.

– Jeśli mogą się pojawić dodatkowe koszty, to żałuję, że zdecydowaliśmy się właśnie teraz na wydawanie obiadu.

– Ja też żałuję, ale nie ze względu na koszty, lecz dlatego, że mam teraz myśli zajęte czymś innym. Poza tym będę miał wiele niezapowiedzianych wizyt. Musimy jednak przyjąć pana Horsfalla, a on nie zostanie długo w Milton, natomiast jeśli chodzi o innych, to jesteśmy im winni zaproszenie, więc załatwimy wszystko od razu.

Kontynuował swój niespokojny spacer po pokoju, ale już się nie odzywał. Od czasu do czasu tylko nabierał głęboko powietrza, jakby walcząc ze sobą, czy powinien zrzucić z siebie jakąś dręczącą go myśl. Fanny tymczasem zadawała matce jedno niewiele znaczące pytanie za drugim, a żadne z nich nie miało nic wspólnego z omawianym właśnie problemem. Każda choć trochę mądrzejsza osoba zorientowałaby się, że myśli pani Thornton pochłania ostatnia rozmowa z synem. W konsekwencji dziewczyna otrzymała ciąg krótkich odpowiedzi i nie żałowała, gdy o godzinie dziesiątej dołączyli do nich służący, aby się wspólnie pomodlić. Modlitwy czytała zawsze matka, rozpoczynając od rozdziału z Pisma Świętego, a obecnie mozolnie przedzierali się przez *Stary Testament*. Po zakończeniu modlitw pani Thornton pożegnała się z synem i życzyła mu dobrej nocy, obdarzając go długim, mocnym spojrzeniem, które nie zawierało ani odrobiny tej czułości, jaką nosiła w sercu, za to posiadało intensywność błogosławieństwa.

Po wyjściu matki pan Thornton podjął swój spacer. Ten zbliżający się niechybnie strajk przyhamuje lub za-

trzyma realizację jego planów dotyczących przędzalni. Projekty i przemyślenia wielu niespokojnych godzin zostaną całkowicie zmarnowane przez szaleństwo i obłąkanie robotników, które więcej złego przyniosą im niż jemu, choć obecnie trudno byłoby określić rozmiar szkód, jakie mogli wyrządzić. I to byli ci, którzy uważali się za predestynowanych do kierowania pracodawcami i dysponowania ich kapitałem! Hamper właśnie tego dnia powiedział, że jeśli ten strajk go zrujnuje, zacznie wszystko od nowa i będzie się pocieszał myślą, że ci, którzy do tego doprowadzili, znajdą się w większych tarapatkach niż on, ponieważ on ma głowę i ręce, a oni tylko ręce. Dodał też, że jeśli robotnicy zniszczą swoją pozycję na rynku, nie będą potrafili ani odrobić strat, ani przestawić się na inną produkcję. Takie rozważania nie pocieszały jednak pana Thorntona. Możliwe, że zemsta nie dawała mu przyjemności, ale za bardzo cenił pozycję, którą zdobył w pocie czoła, i świadomość jej zagrożenia przez ignorancję lub szaleństwo innych sprawiała, że nie poświęcał ani jednej myśli konsekwencjom, jakie samym robotnikom może przynieść ich niefrasobliwe postępowanie. Nie przestawał prze-

mierzać pokoju, od czasu do czasu lekko zaciskając zęby. W końcu zegar wybił godzinę drugą. W lichtarzach migotały świece. Zapalił swój kaganek i wymruczał:

– W końcu raz na zawsze dowiedzą się, z kim mają do czynienia. Dam im dwa tygodnie i to wszystko. Jeśli przed końcem tego czasu nie uświadomią sobie swej głupoty, sprowadzę robotników z Irlandii. Myślę, że to robota Slicksona. Niech diabli wezmą jego i te jego gierki! Uważał, że ma zbyt pełne magazyny, więc jak przyszli do niego na początku, udawał, że się poddaje. No i utwierdził ich tylko w tym szaleństwie, a o to mu chodziło. Stąd się to wszystko zaczęło.

XIX

ODWIEDZINY ANIOŁA

*A jednak, tak jak duszę w sen spowitą
Anielska czasem wzywa sfera,
Tak myśl materię nieraz pospolitą
Porzuca i w blask spoziera.*

*Henry Vaughan, „Odeszli wszyscy do jasnego światła”,
przeł. Stanisław Barańczak*

Pani Hale była zainteresowana i poruszona perspektywą przyjęcia u Thorntonów. Nie przestała rozważać różnych szczegółów dotyczących zbliżającego się obiadu, zachowując się przy tym trochę jak dziecko, które domaga się opisu czekających je przyjemności, zanim one nastąpią. Monotonne życie ludzi cho-

rych często czyni ich podobnymi do dzieci, bo i jedni, i drudzy nie mają poczucia proporcji zdarzeń, a poza tym wierzą, że niedostępny dla nich świat zewnętrzny, poza otaczającymi ich ścianami, jest znacznie większy i bogatszy niż w rzeczywistości. Pani Hale jako dziewczynka nie była wolna od próżności i prawdopodobnie, gdy została żoną ubogiego duchownego, zawstydziała się tej słabości; zdołała ją stłamsić i ukryć, ale nie wykorzenić. Teraz lubiła myśleć o stroju Margaret na zbliżające się przyjęcie i z pełną niepokoju troską rozważać, co córka powinna włożyć. Bawiło to Margaret, która w ciągu roku na Harley Street nabrała większego obycia w towarzystwie, niż jej matka podczas dwudziestu pięciu lat życia w Helstone.

– Uważasz zatem, że powinnaś włożyć swoją białą jedwabną sukienkę? Jesteś pewna, że będzie pasować? Przecież prawie rok upłynął od ślubu Edith.

– Och, tak, mam! Pani Murray ją uszyła i na pewno będzie dobra. Bryty stanika są tak skrojone, że można regulować jego szerokość w zależności od tego, czy przytyłam, czy schudłam. Ale myślę, że moja figura się nie zmieniła.

– A nie byłoby lepiej, gdybyś ją pokazała Dixon? Mogła przecież zżółknąć od leżenia.

– Jak sobie życzysz. Ale nawet jeżeli tak się stało, mam przecież tę śliczną z różowej gazy, tę, którą podarowała mi ciotka Shaw zaledwie dwa lub trzy miesiące przed ślubem Edith. A ta z pewnością nie pożółkła.

– Ale mogła wyblaknąć.

– Cóż! W takim razie pozostanie mi jeszcze zielona jedwabna. Czuję się, jakby mnie dotknęły dylematy bogaczy związane ze zbyt szerokim wyborem.

– Chciałabym wiedzieć, co powinnaś włożyć – nerwowo przyznała pani Hale.

Zachowanie Margaret natychmiast się zmieniło.

– Może pójde, mam, i przymierzę jedną po drugiej, a wtedy będziesz mogła zobaczyć, która jest najodpowiedniejsza?

– Ale... chociaż tak! Tak chyba będzie najlepiej.

Margaret poszła. Bardzo ją korciło, aby popsocić i porobić figle, przebierając się o tej niezwykłej porze dnia: zrobiła z sutego białego jedwabiu wielki balon i cofała się przed panią Hale z ukłonami, jakby była królową. Ale gdy tylko zorientowała się, że jej wybry-

ki zostały potraktowane jako lekceważenie okazywane w tak kluczowej sprawie i że poirytowały matkę, od razu stała się poważna i zaangażowana, choć nie mogła zrozumieć, co opętało świat, aby robić tyle zamieszania ojej strój. Tego samego dnia, gdy Margaret opowiadała Bessy Higgins o tym, że pani Thornton obiecała pomóc im znaleźć służącą, i przy okazji wspomniała o planowanym obiedzie, chora dziewczyna raptownie się ożywiła:

– A niech to! Idziesz na obiad do Thorntonów w Marlborough?

– Tak, Bessy. Dlaczego tak cię to dziwi?

– Och, nie wiem. Oni się odwiedzają z najważniejszymi ludźmi w Milton.

– A ty nie uważasz, abyśmy byli całkiem najważniejszymi ludźmi w Milton, co, Bessy?

Policzki dziewczyny pokryły się czerwienią, gdy usłyszała, jak łatwo Margaret odczytała jej myśli.

– Cóż – odpowiedziała – tutaj najważniejsze są pieniądze, a ja myślę, że nie macie ich zbyt wiele.

– Nie – przytaknęła Margaret – to prawda. Ale jesteśmy wykształceni i żyliśmy wśród takich właśnie

ludzi. Cóż jest takiego zaskakującego w tym, że zostaliśmy zaproszeni przez człowieka, który przychodząc do mego ojca na lekcje, tym samym uznaje się za stojącego niżej? Nie chodzi o to, że lekceważę pana Thorntona. Niewielu subiektów ze sklepu bławatnego zdołałoby osiągnąć to, co on.

– Ale czy będziecie mogli dla niego wydać obiad? W waszym małym domu? Ich dom jest trzy razy większy niż wasz.

– Myślę, że zdołalibyśmy wydać dla niego obiad, jak to nazywasz. Pewnie nie w takim wielkim pokoju i nie dla tylu osób, ale chyba w ogóle nie pomyśleliśmy o tym w ten sposób.

– Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że pójdziesz na obiad do Thorntonów – powtórzyła Bessy. – Przecież sam burmistrz tam chodzi. I członkowie parlamentu, i inni.

– Myślę, że podołam zaszczytowi spotkania z burmistrzem Milton.

– Ale te damy będą tak wspaniale ubrane! – nie dała za wygraną Bessy, z troską przyglądając się perkalowej sukience Margaret, a jej wprawne oko rodem

z Milton wyceniło materiał na siedem pensów za metr. Twarz panny Hale pokryła się dołeczkami, gdy dziewczyna wesoło się zaśmiała.

– Dziękuję ci, Bessy, że poświęcasz tyle uwagi memu wyglądowi pomiędzy tymi wszystkimi ważnymi ludźmi. Mam sporo sukien na wielkie okazje. Jeszcze tydzień temu powiedziałabym, że są zbyt strojne jak na to, co kiedykolwiek jeszcze będzie mi potrzebne. Ale skoro mam obiadować u pana Thorntona i być może nawet z burmistrzem przy jednym stole, założę moją najlepszą suknię. Możesz być tego pewna.

– A co założysz? – spytała Bessy z wyraźną ulgą.

– Biały jedwab – odpowiedziała Margaret. – Tę sukienkę uszyto na ślub mojej kuzynki rok temu.

– Będzie idealna! – zdecydowała panna Higgins, opierając się wygodniej. – Nie chciałabym, aby patrzyli na ciebie z góry.

– Och, ta suknia jest wystarczająca, aby mnie uchronić przed spojrzeciami z góry. Przynajmniej w Milton.

– Chciałabym móc zobaczyć cię w tym stroju – powiedziała Bessy. – Choć myślę, że nie jesteś dziewczyną, którą ludzie nazwaliby śliczną. Na to masz za mało na

twarzy białego i czerwonego. Ale wiesz? Śniłaś mi się długo przedtem, zanim cię poznałam.

– Nonsens, Bessy!

– Ależ tak. To była właśnie twoja twarz. Patrzyłaś z ciemności tymi swoimi czystymi, stanowczymi oczami, z włosami odgarniętymi z czoła, które układały się jak promienie wokół twarzy. A twarz miałaś taką gładką i szczerą jak teraz. Zawsze przychodziłaś dodawać mi siły i wydaje mi się, że brałam ją z tych głębokich pocieszających oczu. I nosiłaś świetliste szaty, takie właśnie, w jakie będziesz ubrana. Więc sama widzisz, że to byłaś ty.

– Nie, Bessy – powiedziała łagodnie Margaret. – To był tylko sen.

– A czy ja nie mogę w moim nieszczęściu śnić takiego snu jak inni? Jak ci wszyscy w Biblii? Mieli nawet wizje! Ojciec też się interesuje snami. Powtarzam ci, że widziałam cię wyraźnie, jak szłaś równo w moim kierunku i odgarniałaś do tyłu włosy takim szybkim ruchem. I lekko odstawały od głowy. A ubrana byłaś w białą błyszczącą sukienkę, taką, jaką masz założyć. Pozwól mi przyjść i cię w niej zobaczyć. Chcę ją zobaczyć i jej dotknąć, dokładnie tak jak w moim śnie.

– Moja kochana Bessy, to tylko twoja wyobraźnia.

– Wyobraźnia czy nie, ale przyszłaś. A jak tylko zobaczyłam cię w moim śnie, od razu wiedziałam, że przyjdiesz. A gdy tu siedzisz, jest mi łatwiej i czuję się spokojniejsza. Przynosisz ulgę, jak ogień w zimny dzień. Mówiłaś, że ten obiad będzie dwudziestego pierwszego. Jeśli Bóg da, przyjdę i cię obejrzę.

– Och Bessy! Możesz przyjść, będę ci rada. Ale nie mów już tak, bo mi sprawiasz przykrość.

– W takim razie zatrzymam to dla siebie, choćbym miała sobie odgryźć język. Chociaż to i tak jest prawda.

Margaret przez moment milczała, po czym dodała:

– Możemy o tym czasami porozmawiać, jeśli naprawdę uważasz, że to prawda. Tylko nie teraz. Powiedz mi: czy ojciec przyłączył się do strajku?

– Tak – odpowiedziała ciężko Bessy, zupełnie inaczej, niż mówiła jeszcze przed chwilą. – On i wielu innych, wszyscy ludzie od Hampera i jeszcze inni. I tym razem kobiety są tak samo dzikie i brutalne jak mężczyźni. Jedzenie jest takie drogie, a one muszą dać jeść dzieciom. Gdyby Thorntonowie oddali im swój wielki obiad, to za te same pieniądze można by kupić ziem-

niaki i mąkę. To by uciszyło płacz wielu dzieciątek i krzyk wielu matek.

– Nie mów tak! – krzyknęła Margaret. – Przez to czuję się jeszcze bardziej podła i winna, że w ogóle idę na ten obiad.

– Nie! – zaprotestowała Bessy. – Przeznaczeniem niektórych są wystawne przyjęcia, purpura i delikatna bielizna. Pewnie jesteś jedną z nich. Inni narodzili się, by spędzić życie w mozołach i na harówce. A w naszych czasach psy nie są tak litościwe, jak były w czasach Łazarza. Ale jeśli będziesz chciała, bym ochłodziła twój język koniuszkiem umoczonego w wodzie palca, to przyjdę do ciebie przez wielką zatokę, przez samo wspomnienie tego, kim tutaj dla mnie byłaś*.

– Bessy, masz wysoką gorączkę. Poznaję już po dotyku twojej dłoni, a jeszcze to, co mówisz... Tego strasznego dnia nie będzie podziału na tych, którzy tu byli żebrakami, i tych bogatych. Nie będziemy sądzeni według czegoś tak marnego i przypadkowego, ale według tego, kto z nas wiernie podążał za Chrystusem.

* Nawiązanie do fragmentów *Ewangelii według św. Łukasza* (Łk 16).

Margaret się podniosła, znalazła trochę wody i namoczyła w niej swą chusteczkę. Potem położyła chłodny, wilgotny okład na czole chorej i zaczęła rozcierać jej zziębnięte stopy.

Bessy zamknęła oczy i pozwoliła się ukoić. W końcu powiedziała:

– Też byś postradała zmysły, jak ja, gdyby ludzie przychodzili jeden za drugim pytać o twego ojca, a każdy zostawałby, by ci opowiedzieć swoją historię. Niektórzy mówili o śmiertelnej nienawiści i przez to moja krew zamieniała się w lód, takie okropne rzeczy opowiadali o panach. Ale większość ich to były kobiety i żaliły się, żaliły, a po ich policzkach płynęły łzy. Nie wycierały ich, chyba nawet ich nie zauważały. Płakały z powodu cen żywności i tego, że ich dzieci w nocy nie mogą spać z głodu.

– I naprawdę sądzą, że strajk to naprawi? – spytała Margaret.

– Tak mówią – odpowiedziała Bessy. – Mówią, że sprzedaż od dawna szła dobrze i że panowie zarobili krocie pieniędzy. Ile, tego ojciec nie wie, ale związek oczywiście tak. I to naturalne, że chcą udziału w zy-

skach, zwłaszcza teraz, gdy drożeje jedzenie. A związek mówi, że to jego obowiązek zmusić panów, aby oddali część pieniędzy. Ale panowie w jakiś sposób zdobyli przewagę. I boją się, że ją utrzymają. To jak wielka bitwa, jak Armagedon. Idą do przodu, uśmiechają się do siebie i walczą ze sobą aż do chwili, gdy prosto z pola walki zostaną porwani w otchłań piekielną.

Wszedł Nicholas Higgins i dosłyszał ostatnie słowa córki.

– Tak! Ja też będę walczył. I tym razem wygram. To nie potrwa długo, szybko się poddadzą, bo mają mnóstwo zamówień, na które podpisali kontrakty. Wkrótce zrozumieją, że lepiej będzie dla nich, jak nam dadzą nasze pięć procent, niż gdyby mieli stracić cały zysk z dostaw, nie wspominając o karach za niedotrzymanie terminu. Och moi panowie! Dobrze wiem, kto wygra.

Z jego zachowania Margaret domyśliła się, że pił, przy czym bardziej wskazywał na to pełen ekscytacji ton niż to, co mówił. Upewniły ją w tych podejrzeniach nerwowe wysiłki Bessy, która za wszelką cenę starała się nakłonić Margaret do jak najszybszego odejścia.

– Dwudziesty pierwszy, czyli od czwartku za tydzień – powiedziała. – Mogę więc przyjść i zobaczyć cię ubraną do wyjścia do Thorntonów? O której jest ten obiad?

Zanim Margaret zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się Higgins:

– Do Thorntonów! Idzie panienska do nich na ten obiad? Niech go panienska poprosi, aby wznioł toast za produkcję zamówionego towaru. Zresztą do dwudziestego pierwszego będzie zachodził w głowę, jak się z tego wywiązać. Proszę mu powiedzieć, że siedem setek robotników ruszy do Przędzalni Marlborough następnego dnia po tym, jak nam da nasze pięć procent, i te siedem setek wykona mu te jego zamówienia. Spotka ich tam panienska wszystkich. Hampera, mojego pana też. To jeden z tych starodawnych przyjemniaczków, co to nie umie się do człowieka odezwać inaczej niż przekleństwem. Chyba by umarł, gdyby powiedział coś do mnie po ludzku. Ale co tam! Jego warkot jest chyba nawet gorszy niż jego razy. Może mu panienska powiedzieć, że to są słowa jednego z jego strajkujących, o ile ma panienska ochotę. U Thorntona będzie zresztą ca-

lutki komplet właścicieli fabryk. Chętnie bym do nich przemówił, szczególnie jakby już byli po obiadku i nie chciałyby im się ruszyć. Przemówiłbym im do słuchu. Powiedziałbym im znowu, do czego nas doprowadzają.

– Do widzenia – rzuciła z pośpiechem Margaret. – Do widzenia, Bessy! Będę cię wyglądała dwudziestego pierwszego, o ile będziesz się czuła wystarczająco dobrze, żeby przyjść.

Leki i kuracja zaordynowane pani Hale przez doktora Donaldsona poprawiły z początku jej samopoczucie do tego stopnia, że nie tylko sama chora, ale także Margaret zaczęły mieć nadzieję, że być może diagnoza lekarza była błędna i że jest szansa na całkowity powrót do zdrowia. Jeśli chodzi o pana Hale'a, choć nigdy nie uświadamiał sobie powagi sytuacji, triumfował nad kobiecym strachem z wyraźną ulgą, która dowodziła, do jakiego stopnia przejmował się dolegliwościami żony mimo fragmentarycznej wiedzy o nich. Tylko Dixon nie przestawała krakać Margaret do ucha. Dziewczyna jednak ignorowała kruka i ośmielała się wierzyć w cud.

Potrzebowali tego przebłysku nadziei w sprawach domowych, bo na zewnątrz nawet ich niedoświadczono-

ne oczy rozpoznawały mroczne i złowieszcze objawy niezadowolenia. Pan Hale miał znajomych pomiędzy robotnikami i był głęboko przygnębiony ich z powagą opowiadanymi historiami o cierpieniu i znoszonych niedolach. Nie dzieliliby się tymi opowieściami z kimś, kto z racji swojej sytuacji życiowej zrozumiałby ich bez słów, ale oto pojawił się człowiek z odległego hrabstwa, zupełnie zaskoczony działaniem systemu, w środek którego rzucił go los, i każdy z robotników chciał uczynić z niego sędziego i świadka swoich uzasadnionych roszczeń. Wtedy pan Hale przedkładał całą tę listę żalów i pretensji panu Thorntonowi, aby ten, ze swym doświadczeniem zarządzającego, zinterpretował je i wyjaśnił ich przyczyny. Przedsiębiorca zaś robił to z punktu widzenia ekonomii, wykazując, że odkąd istnieje handel, zawsze były okresy wzrostu i obniżenia koniunktury oraz że podczas jej spadku pewna część pracodawców i pracowników musi popaść w ruinę i zniknąć z szeregu tych szczęśliwych, odnoszących sukces. Mówił tak, jakby ta konsekwencja była na tyle logiczna i uzasadniona, że nikt, ani właściciele, ani robotnicy, nie powinien się skarżyć, jeśli taki mu przypadnie los.

Fabrykant zostaje wtedy wykluczony z wyścigu, w którym nie może dalej brać udziału, z gorzkim poczuciem własnej niekompetencji i sprawionego zawodu, raniony w walce, stratowany przez swych nibyprzyjaciół w ich pogoni za bogactwem, lekceważony tam, gdzie kiedyś był traktowany z honorami, pokornie błagający o zatrudnienie, gdy kiedyś to on z wielkopańskim gestem dawał innym posady. Oczywiście, mówiąc w ten sposób o losie przemysłowca, który już wkrótce, w wyniku przemian na rynku, mógł się stać jego losem, pan Thornton nie był skłonny okazywać więcej współczucia robotnikom, którzy słabli w szybkim i bezlitosnym postępie i musieli odejść, pokonani, gdyż nikt ich już nie potrzebował; czuli przy tym, że nawet w grobie nie zaznają spokoju od nieustającego płaczu swych bliskich, których pozostawili bezsilnych, i zazdrościli ptakom, zdolnym nakarmić swe młode własną krwią. Całe jestestwo Margaret buntowało się przeciwko panu Thorntonowi, gdy tak rezonował, jakby handel i ekonomia były wszystkim, a człowieczeństwo niczym. Z trudem zdołała podziękować mu za szczególną uprzejmość, którą jej tego dnia okazał – bo delikatność

pozwoliła mu wyczuć, że powinien złożyć jej swą ofertę na osobności – deklarując, że każdy przedmiot, który byłby przydatny w chorobie, a który dzięki jego majątkowi lub dalekowzroczności pani Thornton znajdował się w jego domu, jest do dyspozycji jej matki, gdyby pani Hale tego potrzebowała.

Obecność pana Thorntona po tym, jak się wypowiedział o strajku, po tym, jak ogłosił ów wyrok, którego ona nadal nie chciała uznać za nieodwołalny, sprawiała, że Margaret zaciskała zęby, patrząc na niego i słuchając go. Jakim prawem był jedyną osobą, poza Dixon i doktorem Donaldsonem, dopuszczoną do tego straszliwego sekretu, który trzymała zamknięty w najczarniejszym i najtajniejszym zakamarku serca, nie mając śmiałości nawet się do niego zbliżyć, chyba że udało jej się przywołać niezmierną siłę, by znieść świadomość, że pewnego dnia, już wkrótce, zapłacze na głos po swojej matce i nie odpowie jej żaden głos z bezdennej mroku? A on wiedział. Widziała to w jego współczujących oczach, słyszała w poważnym, tklwym głosie. Jak pogodzić te oczy i ten głos z zimną rozważą, z suchym, bezlitosnym sposobem wykładania zasad handlu i wprowadzaniem

bez wahania tych zasad w życie, aż do osiągnięcia pełnych konsekwencji i korzyści? Ta niezgodność, ten rozdźwięk irytowały ją niewymownie, zwłaszcza po tym, co usłyszała od Bessy o wzbierającym żalu i rozgoryczeniu wśród ludzi.

Nicholas Higgins mówił coś zupełnie innego. Został wyznaczony na członka komitetu i twierdził, że zna sekrety, o których przeciętni zjadacze chleba nie mają pojęcia. Szczególnie wymownie i szeroko wypowiadał się na ten temat w wigilię przyjęcia u pani Thornton, gdy Margaret przyszła odwiedzić Bessy. Zastała Nicholasa sprzeczącego się z Boucherem, sąsiadem, o którym Higginsowie często wspominali. Jako niewykwalifikowany robotnik z dużą rodziną całkowicie od niego uzależnioną, wzbudzał na przemian współczucie i gniew swego bardziej energicznego i krewkiego sąsiada, który zarzucał Boucherowi brak tego, co nazywał ikłą. Higginsa ogarnęła pasja, co Margaret zauważyła, gdy tylko przekroczyła próg mieszkania. Boucher stał i kołysał się, opierając obie dłonie na wysokiej obudowie kominka. Wpatrywał się przy tym w ogień z desperackim wyrazem twarzy, któ-

ry niepomierzenie irytował Nicholasa, choć jednocześnie przemawiał do jego serca. Bessy gwałtownie bujała się w fotelu, a w owym czasie Margaret wiedziała już, że świadczyło to o wzburzeniu przyjaciółki, natomiast Mary Higgins wiązała niezgrabnie czepek wielkimi wstążkami, idealnie pasującymi do jej nieporadnych palców. Dziewczyna z głośnym chlipaniem wychodziła do pracy przy krojeniu barchanu, wyraźnie pragnąc jak najszybciej oddalić się od sceny, która ją zdenerwowała. Na to weszła Margaret. Przez chwilę stała przy drzwiach, a potem z palcem na ustach wsunęła się do środka i przysiadła na poduszce koło Bessy. Nicholas zauważył jej wejście i przywitał ją szorstkim, ale pozbawionym wrogości skinieniem. Mary, korzystając z otwartych drzwi, szybko wydostała się na zewnątrz i gdy tylko znalazła się poza zasięgiem władzy ojca, zaczęła głośno płakać. Jedyne John Boucher nie zwrócił najmniejszej uwagi ani na wchodzącą, ani na wychodzącą.

– To nie ma znaczenia, Higgins. Ona długo nie pociągnie. Ona po prostu niknie. Nie dlatego, że brakuje jej jedzenia, ale dlatego, że nie może patrzeć, jak mal-

chy głodują. Tak, powiadam, głodują. Pięć szylingów na tydzień może wystarczy tobie, bo masz tylko dwie gęby do wykarmienia, a jedna z nich to dziewczucha, co sama może zarobić na jedzenie dla siebie. Ale my głodujemy. I mówię ci to jasno, że jeśli ona umrze, czego się boję, zanim dostaniemy te nasze pięć procent, to ja rzucę temu bogaczowi pieniądze prosto w twarz i powiem: „Bądź przeklęty. Niech będzie przeklęty cały ten twój okrutny świat, bo zabraliście mi najlepszą żonę, jaka kiedykolwiek rodziła mężczyźnie dzieci”. A ty słuchaj, człowieku. Ciebie znienawidzę i tę całą bandę ze związku. Moja nienawiść dopadnie cię nawet w zaświatach. Zobaczysz, człowieku. Jeśli tylko się okaże, że mnie zwodzisz. Mówiłeś, Nicholas, w tamtą środę, a dziś jest wtorek drugiego tygodnia, że zanim miną dwa tygodnie, panowie sami przyjdą do nas na kolacjach błagać, żebyśmy wzięli naszą robotę po takich stawkach, jakie chcemy, a teraz ten czas prawie minął. A nasz maluśki Jack leży w łóżeczku i jest zbyt słaby, żeby płakać. Czasem tylko łka z samego serca, taki jest głodny. Nasz maluśki Jack, człowieku. A ona nigdy nie doszła do siebie, odkąd się urodził, i kocha go, jakby

był jej całym życiem. I chyba jest. Bo myślę sobie, że on mnie będzie kosztował tę najwyższą cenę. Jej życie. Nasz malutki Jack, co to mnie co rano budził, przykładając te słodkie usteczka do mojej szorstkiej, paskudnej gęby, szukając jakiegoś gładkiego miejsca do pocałowania. A teraz leży i kona z głodu.

W tym miejscu głęboki szloch zaczął dławić biedaka, a Nicholas podniósł na Margaret oczy napętnione po brzegi łzami, zanim zdołał wykrztusić z siebie cokolwiek.

– Weź się w garść, chłopie. A twój malutki Jack nie będzie głodował. Dostałem monety i zaraz pójdziemy i kupimy mu mleka i dobrego czterofunciaka. Co moje, to twoje, jasna sprawa, jeśli jesteś w potrzebie. Tylko, chłopie, nie trać nadziei! – mówił, grzebiąc w imbryku w poszukiwaniu pieniędzy. – Przysięgam na serce i duszę, że tym razem wygramy. Musimy tylko wytrwać jeszcze jeden tydzień, a wtedy zobaczysz, jak sami do nas przyjdą i jak będą błagać, żebyśmy wrócili do naszych przedzalni. A związek... znaczy ja... ja dopilnuję, abys miał dość i dla dzieciaków, i dla twojej kobiety. Nie trać więc otuchy i nie idź do tych tyranów szukać roboty.

Mężczyzna na te słowa odwrócił twarz, a była tak biała, tak mizerna, zalana łzami i zrozpaczona, że na ten widok Margaret zaczęła płakać.

– Wiesz dobrze, że gorszy tyran niż ci wszyscy panowie mówi: „Zgińcie z głodu i patrzcie, jak inni giną z głodu, ci, co się ośmielili przeciwstawić związkowi”. Wiesz to dobrze, Nicholasie, bo jesteś jednym z nich. Może macie dobre serca tak osobno, ale jak się zbierzecie razem do kupy, to mniej w was uczuć niż w dzikim, wygłodniałym do szaleństwa wilku.

Nicholas już trzymał rękę na skoblu drzwi, ale na te słowa zatrzymał się, odwrócił w stronę Bouchera i zamknął temat:

– Więc niech mnie Bóg wesprze, człowieku, jeśli nie chcę jak najlepiej dla ciebie i dla nas wszystkich. A jeśli postępuję źle, gdy wierzę, że robię dobrze, to niech ten grzech spadnie na głowy tych, którzy dopuścili, bym pozostawał w niewiedzy. Myślałem nad tym, aż mnie rozum bolał. Wierz mi, Johnie, tak było. I mówię ci jeszcze raz: nie ma dla nas innej drogi niż tylko wierzyć w związek. Sam zobaczysz, że związek wygra.

Wyszedł. Ani jedno słowo nie padło z ust Margaret

lub Bessy. Patrzyły na siebie i każda wydała westchnienie z głębi serca. W końcu Bessy się odezwała:

– Nigdy nie sądziłam, że jeszcze usłyszę, jak ojciec przyzywa Boga. Ale sama słyszałaś, jak mówił: „Niech mnie Bóg wesprze”.

– Tak! – powiedziała Margaret. – Pozwól mi przynieść tyle pieniędzy, ile zdołam, pozwól mi przynieść trochę jedzenia dla dzieci tego biedaka. Ale nie dopuść do tego, by odkrył, że to pochodzi od kogoś innego niż twój ojciec. To i tak będzie niewiele.

Bessy leżała, nie zwracając uwagi na słowa Margaret. Nie płakała, tylko próbowała wyrównać oddech.

– W moim sercu wyschły już wszystkie łzy – powiedziała. – Boucher przychodził w tych dniach i opowiadał mi o swych obawach i kłopotach. Wiem, że to nieudacznik, ale także człowiek. I chociaż przedtem wiele razy gniewałam się z nim i z jego żoną, która tak jak on jest niedołągą, ale widzisz, nie wszyscy ludzie są rozumni, a jednak Bóg chce, żeby żyli. A do tego daje im kogoś do kochania i kogoś, kto ich kocha, tak samo jak mądryemu Salomonowi. A gdy ich ukochaną osobę spotyka nieszczęście, to boli ich tak samo, jak bolało

Salomona. To wszystko mi się myli. Może to dobrze, że ktoś taki jak Boucher ma związek, żeby się nim opiekował. Chciałabym jednak, żeby ci ludzie ze związku tu przyszli i żeby po kolei stanęli naprzeciw Bouchera. Myślę, że gdyby go usłyszeli, powiedzieliby mu – ale musieliby go słuchać pojedynczo – powiedzieliby mu, że może wrócić i wziąć jakąś pracę, nawet jakby to było niezgodne z tym, co przedtem przykazali.

Margaret siedziała w kompletnej ciszy. Jak w ogóle miała wrócić do swego wygodnego życia i zapomnieć tego człowieka? Jak miała zapomnieć ten ton niewymownej męki, bardziej niż słowa oddający cierpienie, które go dotknęło? Wyjęła sakiewkę. Niewiele tam było tego, co mogła nazwać własnymi pieniędzmi, ale to, co miała, wcisnęła w dłoń Bessy bez słowa.

– Dziękuję. Wielu z nich ma tak samo niewiele, ale nie są tak przygnębieni, a przynajmniej tego nie okazują tak jak on. Ale teraz, kiedy ojciec już wie, nie dopuści, żeby im czegoś zabrakło. Widzisz, Boucher jest w trudnej sytuacji, bo ma tyle dzieci, a do tego ona tylko kwęka i gdera. Przez ostatni rok zastawili wszystko, co się dało. Chyba nie myślisz, że pozwolilibyśmy im

głodować, chociaż sami mamy niewiele? Jeśli sąsiedzi nie zajmą się sobą nawzajem, to nie wiem, kto to zrobi. – Bessy chyba się obawiała, aby Margaret nie pomyślała, że Higginsowie nie mieli chęci, a w pewnym stopniu także możliwości udzielenia pomocy ludziom, których roszczenia panna Hale najwyraźniej uznawała za uzasadnione. – A poza tym – kontynuowała – ojciec jest zupełnie pewien, że właściciele fabryk muszą ustąpić, i to w ciągu najbliższych kilku dni, bo dłużej nie wytrzymają. Ale i tak ci dziękuję. Dziękuję w imieniu swoim i Bouchera. I kocham cię za to coraz mocniej i mocniej.

Tego dnia Bessy wydawała się spokojniejsza, ale przeraźliwie omdlewająca i wyczerpana. Gdy skończyła mówić, wyglądała na tak słabą i znużoną, że Margaret poważnie się zaniepokoiła.

– To nic – powiedziała chora. – To jeszcze nie śmierć. Miałam okropną noc ze snami lub czymś takim jak sny, bo nie spałam, i jestem dzisiaj taka rozbita. Dopiero ten biedny człowiek trochę mnie ożywił. Nie! To jeszcze nie śmierć, ale jest już blisko. Tak, przykryj mnie i może zasnę, jeśli kaszel mi pozwoli. Dobranoc,

choć nie powinnam tak mówić, bo to dopiero popołudnie, ale światło jest dzisiaj takie przyćmione, takie mgliste.

XX

CZŁOWIEK CZY DŻENTELMEN

*Starym i młodym – mówię ci
– pozwolimy się najeść do woli,
Choćby nawet mieli po dziesięć rzędów zębów,
to nie szkodzi.*

John Fletcher, „Rollo, Książę Normandii”

Margaret wracała do domu pogrążona w tak bolesnych myślach o tym, co zobaczyła i usłyszała, że zupełnie nie wiedziała, jak zdoła się zmobilizować do spełnienia czekających ją obowiązków. Największym wyzwaniem była konieczność stałego podtrzymywania pogodnej rozmowy z matką, która, unieruchomiona w domu, zawsze wyglądała powrotu

Margaret z najkrótszego nawet spaceru, czekając na nowe wiadomości.

– Czy twoja przyjaciółka z fabryki przyjdzie w czwartek zobaczyć cię ubraną do wyjścia?

– Była taka chora, że nawet nie przyszło mi do głowy, by ją o to spytać – wyznała Margaret żałośnie.

– Och! Wydaje się, że wszyscy są teraz chorzy – stwierdziła pani Hale z empatią, jaką chory odczuwa na myśl o innym niedomagającym. – To musi być okropne chorować na jednej z tych ciemnych, tylnych uliczek. – Jej dobre serce dało o sobie znać i powrócił stary nawyk myślenia o innych. – Nawet tutaj jest wystarczająco nieprzyjemnie. Co mogłabyś dla niej zrobić, Margaret? Pan Thornton przysłał mi po twoim wyjściu kilka butelek starego portu. Myślisz, że butelka takiego wina pomogłaby tej biedaczce?

– Nie, mamó! Nie sądzę, żeby byli bardzo biedni, w każdym razie nic o tym nie mówią. Poza tym Bessy choruje na płuca. Nie będzie chciała wina. Ale mogłabym jej zanieść trochę naszych konfitur z tych cudownych owoców z Helstone. Nie! Jest inna rodzina, której chciałabym dać... Och mamó! Jak mam się

ubrać w te piękne szmatki i iść na wspaniałe przyjęcie, mając przed oczami tę rozpacz i nędzę, jakie dzisiaj widziałam! – wykrzyknęła Margaret, łamiąc dyscyplinę, którą sobie sama przed wejściem do pokoju matki narzuciła, i opowiadając o tym, czego się dowiedziała u Higginsów.

Relacja córki w najwyższym stopniu zdenerwowała panią Hale i stan ten nie ustąpił, dopóki nie podjęła konkretnych działań. Poleciała Margaret spakować koszyk, i to w bawialni, pod swoim oknem, i zdecydowała, że ma on zostać od razu wysłany potrzebnym. Prawie obraziła się na córkę, gdy ta stwierdziła, że mogą poczekać do rana z przekazaniem daru, ponieważ Higginsowie zadbali już o najważniejsze potrzeby sąsiadów, a ona sama pozostawiła Bessy pieniądze na ten cel. Pani Hale nazwała ją za takie stwierdzenie nieczułą i nie dała córce spokoju, dopóki koszyk nie opuścił domu. Wtedy oznajmiła:

– W gruncie rzeczy może się okazać, że postępujemy niesłusznie. Pan Thornton powiedział ostatnio, że to błąd popierać przedłużanie walki przez udzielanie pomocy strajkującym. A ten Boucher strajkuje, prawda?

Pani Hale zwróciła się z tym pytaniem do swego męża, gdy przyszedł na górę, ożywiony po lekcji z panem Thorntonem, która zgodnie ze zwyczajem zakończyła się rozmową. Margaret zupełnie nie dbała o to, czy swoim darem przyczyniła się do przedłużenia strajku, bo w stanie ekscytacji, w jakim się znajdowała, nie była zdolna wybiegać myślą tak daleko do przodu.

Pan Hale słuchał i próbował być bezstronnym sędzią. Przywołał w pamięci wszystkie te argumenty, które wydawały się tak jasne jeszcze pół godziny temu, gdy padały z ust pana Thorntona, ale został zmuszony do trudnego i niezadowolającego kompromisu. Jego żona i córka nie tylko postąpiły słusznie, ale przez moment nawet nie wyobrażał sobie, że mogłyby zareagować inaczej. Niemniej, jeśli chodzi o ogólną zasadę, słuszne było to, co powiedział pan Thornton. Jeśli bowiem strajk się przedłuży, właściciele fabryk będą zmuszeni sprowadzić pracowników z innych regionów – o ile oczywiście nie zdarzy się tak jak w przeszłości, kiedy to w efekcie strajku powstawała nowa maszyna i dochodziło do zmniejszenia ogólnej liczby zatrudnionych. W tej sytuacji oczywiste jest, że najlepsze, co można

zrobić, to odmówić wszelkiej pomocy, która wzmocniłaby siły strajkujących i ich szaleństwo. Jednakże, jeśli chodzi o Bouchera, to pan Hale zdecydowany był pójść do niego z samego rana i dowiedzieć się, co jeszcze można dla niego zrobić.

Zgodnie ze swym postanowieniem następnego rana odwiedził Boucherów. Nie zastał pana domu, natomiast odbył długą rozmowę z panią Boucher, obiecując jej interwencję w sprawie skierowania do infirmerii. Był przy tym świadkiem, jak hojnym darem jego żony zarządzają z rozmachem dzieci, pod nieobecność ojca sprawujące rządy w domu. Dlatego relacja pana Hale'a z pobytu u tej biednej rodziny była bardziej pogodna i pocieszająca, niż Margaret ośmielała się liczyć. W rzeczywistości to, co powiedziała ojcu poprzedniego dnia o sytuacji tych nieszczęśników, przygotowało go na zdecydowanie gorszy stan rzeczy i dlatego odebrał wszystko lepiej, niż było w istocie.

– Pójdę tam znowu, żeby spotkać się z tym człowiekiem – zdecydował. – Nadal nie jestem pewien, jak porównać tutejsze domostwa z tymi w Helstone. Widzę tu meble, o których zakupie nasi pracownicy na

Południu nigdy by nawet nie pomyśleli, a spożywane tu codziennie potrawy tam traktowane są jak luksus. A jednak, kiedy cotygodniowe zarobki robotników zostały wstrzymane, jedynym źródłem dochodu strajkujących jest lombard. Człowiek musi się tu w Milton nauczyć inaczej patrzeć na rzeczy i przykładać do nich inną miarę.

Tego dnia także Bessy czuła się lepiej, choć nadal była tak słaba, że zdawała się całkowicie zapomnieć o swoim życzeniu obejrzenia Margaret w jej wyjściowej kreacji, o ile nie było to tylko na pół świadome pragnienie wypowiedziane w gorączce.

Panna Hale mimo woli porównywała swe obecne przygotowania do wizyty, na którą wcale nie miała ochoty pójść, zwłaszcza z sercem obciążonym tyloma troskami, z dawnym beztroskim, dziewczęcym strojeniem się, jakie jeszcze rok temu było udziałem jej i Edith. Jedyną pozytywną stroną tego upiększania się w obecnej chwili była świadomość, że cieszy ono matkę. Margaret zarumieniła się, gdy Dixon otworzyła drzwi salonu i wydała okrzyk podziwu.

– Panna Hale wygląda ładnie, proszę pani, prawda?

Korale od pani Shaw pasują idealnie. Dodały panience tej odrobiny koloru. Bez tego, panno Margaret, byłaby panienka zbyt blada.

Ciemne włosy dziewczyny były zbyt gęste, aby móc je zaplatać w warkocze. Można je było tylko skręcać po wielokroć, aż ciężkie jedwabiste sploty niczym korona otoczyły jej głowę. Zwoje zebrane były w węzeł na karku, przytrzymywany dwiema koralowymi szpilkami, przypominającymi małe strzały. Białe jedwabne rękawy sukni podwiązano tasiemkami z takiego samego materiału, a tuż poniżej nasady zaokrąglonej mleczno-białej szyi spoczywały ciężkie kule koralu.

– Och Margaret, tak bardzo chciałabym wybrać się z tobą na jedno z tych dawnych towarzyskich spotkań u Barringtonów, wprowadzić cię tak, jak lady Beresford wprowadzała mnie.

Margaret ucałowała matkę za ten wybuch macierzyńskiej próżności, ale była tak bardzo zafrasowana, że z trudem przywołała uśmiech na twarz.

– Wołałabym raczej zostać z tobą w domu, naprawdę bym wołała, mamo.

– Bzdury, kochanie! Pamiętaj, żebyś dokładnie

zwracała na wszystko uwagę podczas tego przyjęcia. Bardzo jestem ciekawa, jak też oni tu to wszystko organizują. Szczególnie mnie interesuje drugie danie. Jutro mi powiesz, co podają zamiast dziczyzny.

Pani Hale byłaby więcej niż zaciekawiona, byłaby zdumiona, gdyby zobaczyła okazałość stołu i wystawność obiadu. Dla Margaret, z jej wykształconym w Londynie smakiem, liczba specjalów była przytłaczająca. Jej zdaniem wystarczyłaby połowa, co dodałoby przyjęciu lekkości i elegancji. Jednakże jednym z nienaruszalnych praw gościnności w kodeksie pani Thornton było zapewnienie gościom możliwości raczenia się każdym smakołykiem, o ile tylko mieliby na to ochotę. Na co dzień skromna aż do wstrzemięźliwości, za punkt honoru uważała fetowanie swych gości. Jej syn podzielał to przekonanie. Nigdy nie miał do czynienia – choć mógłby to sobie wyobrazić, a także miał możliwości i predyspozycje, by w tym zasmakować – z innym typem towarzystwa niż to, które opierało się na wzajemnym zapraszaniu się na okazałe posiłki. Nawet teraz, gdy odmawiał sobie jego zdaniem niepotrzebnych wydatków na rzeczy osobiste i więcej niż raz

żałował, że zaproszenia na ten obiad zostały wysłane, z zadowoleniem obserwował przygotowania w starym wspaniałym stylu.

Margaret i jej ojciec przybyli jako pierwsi, gdyż pan Hale bardzo się obawiał, że niepunktualnością obraziliby gospodarzy. W salonie na pierwszym piętrze zastali tylko panią Thornton i Fanny. Wszystkie osłony zostały zdjęte z mebli i pomieszczenie wprost błyszczało złotym jedwabnym adamaszkiem i jaskrawymi kwiatami wzorzystego dywanu. Każdy zakątek wypełniały bibeloty w liczbie powodującej znużenie oka, a ten nadmiar ozdób przykro kontrastował z gołą brzydota widoku za oknem wychodzącym na wielki dziedziniec fabryczny, gdzie otwarto ogromną, wielosegmentową bramę, aby umożliwić wjazd powozom gości. Sama wielopiętrowa przedziałnia wznosiła się po lewej stronie, rzucając głęboki cień, sztucznie przyspieszający letni zmierzch.

– Mój syn był do ostatniej chwili zajęty interesami, ale lada moment do nas dołączy, panie Hale. Może ze chce pan usiąść?

Gość stał przy jednym z okien, ale na słowa pani Thornton odwrócił się i spytał:

– Czy takie bliskie sąsiedztwo przędzalni nie jest dla pań czasami nieprzyjemne?

Zapytana wyprostowała się:

– Nigdy. Powodzenie nie uderzyło mi do głowy i nie zamierzam zapomnieć, co stanowi źródło majątku i władzy mojego syna. A poza tym nie ma drugiej takiej fabryki w Milton. Jedna z hal ma dwieście dwadzieścia jardów kwadratowych.

– Chodziło mi o to, że dym, hałas, wchodzenie i wychodzenie tłumu robotników mogą być męczące.

– Zupełnie się z panem zgadzam, panie Hale! – wtrąciła się Fanny. – Ten ciągły zapach pary wodnej i oleju z maszyn! I do tego ten ogłuszający huk!

– Zdarzało mi się słyszeć coś, co było znacznie bardziej ogłuszające – zareagowała natychmiast jej matka – a co nazywano muzyką. Maszynownia znajduje się w części położonej od ulicy i z ledwością ją tu słyszymy, z wyjątkiem okresu letniego, kiedy wszystkie okna są otwarte. A jeśli chodzi o stały gwar powodowany przez robotników, to przeszkadza mi on nie bardziej niż brzęczenie ula. Jeśli kiedykolwiek zdarza mi się o tym myśleć, to tylko w połączeniu z osobą mojego syna.

Czuję wtedy, że to wszystko należy do niego i że on jest głową, która tym światem fabryki zawiaduje. Teraz z przędzalni nie dochodzi żaden dźwięk, bo robotnicy okazali się tak niewdzięczni, że strajkują. Pewnie pan o tym słyszał. Zresztą ta sprawa, o której wspomniałam, gdy państwo weszli, wiąże się z krokami, które mój syn zamierza podjąć, aby wskazać robotnikom ich miejsce.

Jej zawsze surowy wyraz twarzy pogłębił mroczny gniew, gdy wypowiadała te słowa. Nie zniknął on nawet po wejściu do pokoju pana Thorntona. Od razu zauważyła jego zatroskanie i niepokój, z których nie udało mu się całkowicie otrząsnąć, choć zdołał powitać swych gości pogodnie i serdecznie. Z Margaret wymienił uścisk dłoni, mając świadomość, że ich ręce zetknęły się z sobą po raz pierwszy, choć dziewczyna w ogóle tego nie zauważyła. Spytał o panią Hale i wysłuchał pełnej ufności i optymizmu relacji jej męża. Spoglądał przy tym na córkę, aby się zorientować, do jakiego stopnia zgadzała się z ojcem, ale nie zauważył na jej twarzy niczego, co świadczyłoby o odmiennym zdaniu. Uderzyło go natomiast jej oszałamiające piękno. Nigdy przedtem nie widział jej tak ubranej i teraz

wydało mu się, że ten elegancki strój tak bardzo pasuje do jej szlachetnej postawy i dumnego spokoju na twarzy, że powinna zawsze ubierać się w ten sposób. Rozmawiała z Fanny. Nie słyszał, o czym, ale widział niespokojne i nieustanne ruchy swej siostry poprawiającej suknię, jej wiecznie wędrujące spojrzenie, kierowane to tu, to tam, bez żadnego celu. Zestawił to z atlasowym spojrzeniem wielkich oczu, wpatrujących się uważnie w jeden przedmiot, i czuł, jakby z ich światła promieniowało ukojenie i odpoczynek. Rozchyliła wygięte linie czerwonych warg, z zainteresowaniem wsłuchując się w słowa towarzyszki. Jej głowa, lekko pochylona do przodu, tworzyła długą linię z karkiem, począwszy od czubka głowy, gdzie światło błyszczało na kruczonych włosach, aż po gładkie ramię w kolorze kości słoniowej. Krągłe ręce o wąskich przegubach trzymała lekko skrzyżowane i całkowicie nieruchome w tym ślicznym ułożeniu. Pan Thornton wydał z siebie westchnienie, gdy objął te wszystkie szczegóły jednym ze swych nagłych spojrzeń. Potem odwrócił się plecami do młodych dam i z wysiłkiem, ale mimo to całym sercem i duszą, wdał się w rozmowę z panem Hale'em.

Gości przybywało. Fanny opuściła Margaret i pomagała matce ich witać. Pan Thornton widział, że żadna z napływających kolejnych osób nie rozmawiała z Margaret, i czuł niepokój z powodu tego wyraźnego zaniedbania. Nie zbliżał się do niej, nawet nie patrzył w jej stronę, ale mimo to dokładnie wiedział, co dziewczyna robi, lepiej nawet, niż był świadom tego, co robią inni goście. Margaret tak bardzo pochłonęło przyglądanie się zgromadzonym, że nawet się nie zastanawiała, czy sama jest przedmiotem czyjejś obserwacji. Ktoś poprowadził ją do obiadu, ale ani ona nie zapamiętała jego nazwiska, ani jej towarzysz nie był zainteresowany nią. Pomiędzy panami toczyła się bardzo ożywiona rozmowa, natomiast panie w większości milczały, ograniczając się do obserwowania i zapamiętywania szczegółów dotyczących menu i strojów, by móc je potem krytykować.

Margaret szybko wychwyciła temat ogólnej rozmowy. Zainteresował ją i przysłuchiwała się dyskusji z uwagą. Pan Horsfall, którego przyjazd do miasta dał asumpt do zorganizowania tego przyjęcia, zadawał pytania dotyczące gospodarki, handlu i miejscowych

produktów, a pozostali panowie, sami lokalni przemysłowcy, udzielali mu odpowiedzi i wyjaśnień. Pojawiła się różnica zdań i wkrótce przerodziła się w lekki spór. Odwołano się do pana Thorntona, który do tej pory milczał. Teraz jednak zabrał głos, a swe argumenty wyłożył tak jasno, że oponenti ustąpili. W ten sposób gospodarz zwrócił na siebie uwagę Margaret. Całe jego zachowanie jako pana domu zajmującego się swymi gośćmi cechowała bezpośredniość, prostota i umiar, sprawiające razem nieodpartą wrażenie godności. Margaret pomyślała, że nigdy dotąd nie zaprezentował jej się w tak korzystnym świetle. Gdy przychodził do ich domu, było w nim coś albo z nadgorliwości, albo z gniewnej irytacji, jakby z góry zakładał, że zostanie niesprawiedliwie osądzony, ale był zbyt dumny, by próbować wytłumaczyć motywy swego postępowania. Teraz jednak, gdy znajdował się pomiędzy przyjaciółmi, nie mogło być wątpliwości co do zajmowanej przez niego pozycji. Uważali go za człowieka o wielkiej sile charakteru, za kogoś posiadającego władzę w wielu dziedzinach. Nie musiał walczyć o ich szacunek i poważanie – miał je i był tego świadom, a poczucie to przydało

jego głosowi i zachowaniu owej stonowanej pewności siebie, której Margaret wcześniej w nim nie dostrzegła.

Nie był przyzwyczajony do prowadzenia rozmów z paniami i dlatego w kontaktach z nimi był nieco formalny. Do Margaret prawie wcale się nie odzywał. A ona ze zdumieniem odkryła, jak dobrze się bawi podczas tego przyjęcia, zwłaszcza że pojmowała już wiele lokalnych zawłości, ba, rozumiała niektóre z technicznych słów używanych przez podekscytowanych przemysłowców, a nawet mogła milcząco zająć stanowisko w omawianej kwestii. Podobało jej się, że zabierali głos z zaangażowaniem i powagą, a nie w tym stylu zblazowania, który tak bardzo nużył ją podczas londyńskich spotkań. Zastanowiło ją, że w trakcie tych wszystkich rozważań nad produkcją i handlem ani razu nie poruszono tematu strajku. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że sprawa ta była traktowana chłodno przez właścicieli fabryk, gdyż uważali jej finał za z góry przesądzony. Było jasne, że robotnicy postanowili sami sobie poderżnąć gardło, jak niejednokrotnie robili to w przeszłości, ale skoro są na tyle głupi, by oddać się w ręce łajdakiej bandy płatnych delegatów związkowych, to muszą

ponieść tego konsekwencje. Jeden czy dwóch gości pomyślało, że Thornton wygląda na przygnębionego, bo pewnie traci na tej przerwie w produkcji, ale na to każdy z nich musiał być przygotowany. On i tak najlepiej z nich wszystkich poradzi sobie ze strajkiem, bo w całym Milton nie ma drugiego takiego twardziela; robotnicy już się zawiedli na swoim przedstawicielu, próbującym na Thorntonie zwykłych sztuczek z zastraszaniem. Goście zaśmiewali się w duchu na samą myśl o porażce robotników, usiłujących choćby o jotę zmienić decyzje przemysłowca.

Po obiedzie Margaret nudziła się w salonie i z radością przyjęła pojawienie się panów, nie tylko dlatego, że spojrzenie ojca rozwiało jej senność, ale przede wszystkim dlatego, że tęskniła za rozmową o czymś istotniejszym niż błahostki omawiane przez damy. Podobała jej się werwa i siła obywateli Milton. Wydawały się co prawda dość nieokiełznane i trąciły chępliwością, ale ci ludzie, upojeni tym, co już osiągnęli i ile jeszcze pozostało im do zdobycia, wydawali się zaprzeczać istnieniu ograniczeń. Jeśli nawet w chwilach chłodniejszej refleksji nie we wszystkim ich aprobowała, to nadal

podziwiała ich umiejętność zapominania o sobie i te-
rażniejszości, gdy wyobrażali sobie triumfy nad wszel-
kiego rodzaju materią nieożywioną, które w ich prze-
konaniu bez wątpienia nastąpią w bliżej nieokreślonej
przyszłości, choć może już bez ich udziału.

Margaret była zaskoczona, gdy tuż obok siebie usły-
szała głos pana Thorntona.

– Odniosłem wrażenie, że podczas dyskusji przy obie-
dzie była pani po naszej stronie, czyż nie, panno Hale?

– Z pewnością. Ale tak niewiele wiem na ten temat.
Jednakże byłam zdumiona, gdy ze słów pana Horsfalla
dowiedziałam się, że są ludzie, którzy mają dokładnie
przeciwnie zdanie, tak jak ten wspomniany przez niego
pan Morison. On chyba nie jest dżentelmenem, praw-
da?

– Nie wydaje mi się, abym był właściwą osobą do
oceniańia, czy ktoś jest dżentelmenem, czy nie, pan-
no Hale. Chodzi mi o to, że nie do końca wiem, co
pani rozumie przez to słowo. Zaryzykowałbym jednak
twierdzenie, że ten pan Morison nie jest prawdziwym
człowiekiem. Nie znam go jednak, mogę wydawać opi-
nię o nim tylko na podstawie słów pana Horsfalla.

– Przypuszczam, że mój „dzentelmen” zawiera w sobie pańskiego „prawdziwego człowieka”.

– I znacznie więcej, jak zdaje się pani sugerować. Tu się jednak różnimy. Dla mnie człowiek to jednostka wyższa i pełniejsza niż dzentelmen.

– Ale co to według pana znaczy? – spytała Margaret. – Wydaje mi się, że naprawdę rozumiemy odmiennie te słowa.

– Dla mnie „dzentelmen” to słowo, które opisuje jednostkę w relacjach z innymi ludźmi. A gdy mówię o „człowieku”, to chodzi mi o kogoś nie tylko w odniesieniu do otoczenia, ale przede wszystkim w odniesieniu do siebie, do życia, do czasu, do wieczności. Samotny rozbitek jak Robinson Crusoe, więzień zamurowany w lochach do końca życia, nawet święty Jan – wszyscy oni mają wytrwałość, siłę, wiarę, a najlepsze dla nich określenie to „człowiek”. Czuję się zmęczony tym słowem „dzentelmeński”, które wydaje mi się często niewłaściwie stosowane, a do tego jego znaczenie jest nadmiernie rozszerzane i przez to zniekształcane. Natomiast pełen prostoty rzeczownik „człowiek” i przymiotnik „ludzki” pozostają niedocenione. Stąd

skłonny jestem uważać całe to „dżentelmeństwo” za frazes naszych czasów.

Margaret przez chwilę się zastanawiała, ale zanim zdążyła się odezwać i wypowiedzieć swe zdanie, pan Thornton został odwołany przez jednego z podnieconych gości. Nie słyszała, co prawda, jego słów, ale ich znaczenia mogła się domyślić z krótkich i jasnych odpowiedzi udzielonych przez pana Thorntona, brzmiących pewnie i jednoznacznie, jak grzmot odległych wystrzałów. Najwyraźniej rozmawiali o strajku i rozważali, jaki w związku z nim obrać sposób postępowania. Usłyszała słowa gospodarza:

– To już zostało zrobione. – Dwóch lub trzech spośród zebranych zareagowało na słowa pana Thorntona pomrukiem niedowierzania. On zaś powtórzył: – To jest już zorganizowane.

Wymieniono kilka wątpliwości, pewne utrudnienia wskazał pan Slickson, ujmując pana Thorntona za ramię, aby podkreślić wagę swych słów. Ten ostatni delikatnie się jednak odsunął i z prawie niedostrzegalnym uniesieniem brwi odpowiedział:

– Podejmę to ryzyko. Nikt z panów nie musi się do mnie przyłączać, jeżeli nie chce.

Przywołano kilka kolejnych obaw i przeciwwskazań.

– Nie boję się niczego tak nikczemnego jak podpalenie. Jesteśmy otwartymi przeciwnikami i potrafię bronić się przed każdą przemocą, jakiej się obawiam. I z całą pewnością zdołam ochronić tych, którzy przyjdą do mnie do pracy. Strajkujący znają już moją determinację tak samo dobrze jak wy.

Pan Horsfall odciągnął gospodarza na bok i Margaret przypuszczała, że zamierzał zadać dalsze pytania na temat strajku. W rzeczywistości chciał się dowiedzieć, kim była właśnie ona: taka cicha, taka poważna, taka piękna.

– Jedna z tutejszych dam? – spytał gość, gdy usłyszał jej nazwisko.

– Nie. Z południa Anglii. Wydaje mi się, że z Hampshire – brzmiała chłodna, obojętna odpowiedź.

Pani Slickson tymczasem wypytywała Fanny:

– Kim jest ta cudowna dziewczyna? Ta, która tak wykwiśnie wygląda. Siostrą pana Horsfalla?

– Ależ skąd! Tamten mężczyzna, który rozmawia z panem Stephensem, to jej ojciec, pan Hale. Daje lek-

cje, a raczej przerabia różne książki z młodymi ludźmi. Mój brat spotyka się z nim dwa razy w tygodniu i dlatego błagał mamę, aby ich zaprosiła, bo liczy, że w ten sposób przysporzy panu Hale'owi nowych uczniów. Wydaje mi się, że gdzieś tu mamy jego ulotki, jeśli byłaby pani zainteresowana.

– Pan Thornton! Czy on naprawdę, prowadząc tyle interesów, znajduje czas na to, aby studiować literaturę? I do tego teraz, w trakcie tego okropnego strajku?

Fanny nie potrafiła wywnioskować ze sposobu zachowania pani Slickson, czy powinna być dumna z postępowania brata, czy raczej zawstydzona, i jak wszystkie osoby, dla których opinia świata jest wytyczną dla ich własnych uczuć, skłonna była zarumienić się z powodu każdego nietypowego zachowania. Jej zawstydzeniu położyło kres żegnanie się gości.

XXI

CIEMNOŚĆ NOCY

*Nie istnieje na tej ziemi uśmiech,
który nie miałby łzy za siostrę.*

Ebenezer Elliot, „Corn Law Rhymes”, w: „Exile”

Margaret i pan Hale wracali do domu pieszo. Noc była piękna, ulice puste, a dziewczyna w ślicznym białym jedwabiu – zupełnie jak bohaterka ballady, Leezie Lindsay, w swej zielonej satynowej sukni zakasanej do kolan – szła z ojcem, gotowa tańczyć pod wpływem świeżego nocnego powietrza.

– Myślę, że Thornton nie jest do końca przekonany do tego strajku. Wydawał się raczej niespokojny dziś wieczorem.

– Dziwiłabym się, gdyby był spokojny. Przemawiał jednak ze zwykłym chłodem, gdy tuż przed naszym odejściem niektórzy z gości wypowiadali opinie przeciwne do jego.

– To samo było po obiedzie. Musieliby się nieźle namęczyć, żeby zmienić ten zimny sposób wypowiadania się, ale jego twarz wyrażała zdenerwowanie.

– Ja też byłabym zdenerwowana na jego miejscu. Musi być świadom narastającego gniewu i ledwie powstrzymywanej nienawiści swoich robotników, którzy uważają go za kogoś nazywanego w Biblii twardym człowiekiem – nie tyle niesprawiedliwym, co nieczułym, niezmiennym w osądach, tak twardo stojącym na straży swych „praw”, jak nie powinna stać żadna ludzka istota, biorąc pod uwagę, czym my i nasze błahе prawa jesteśmy wobec Wszchemogącego. Cieszę się, że twoim zdaniem wyglądał na niespokojnego. Gdy sobie przypomnę na wpół oszalałego Bouchera, jego słowa i całe zachowanie, nie mogę znieść myśli o chłodzie pana Thorntona.

– Nie jestem tak jak ty przekonany o okropnym położeniu tego Bouchera. Nie wątpię, że akurat w tam-

tym momencie był w złym stanie, ale w tajemniczy dla mnie sposób związki dają takim ludziom pieniądze. Poza tym z tego, jak sama powiedziałaś, jest to porywczą, gwałtowną naturą, gotową do okazywania wszystkich miotających nią uczuć.

– Och papo!

– Chcę tylko, żebyś oddała sprawiedliwość panu Thorntonowi, którego usposobienie jest dokładnym przeciwieństwem charakteru tego robotnika, Bouchera. To człowiek zbyt dumny, aby w ogóle okazać emocje. Dotychczas uważałem, że właśnie takich ludzi jesteś gotowa podziwiać, Margaret.

– I tak jest. Tak powinno być. W odróżnieniu od ciebie nie jestem jednak przekonana co do istnienia tych uczuć u pana Thorntona. Jest natomiast człowiekiem wielkiej siły charakteru, niezwykłego intelektu, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak niewiele miał okazji, by ten intelekt kształcić.

– Nie tak znowu niewiele. Od bardzo wczesnego wieku prowadził praktyczne życie, co zmusiło go do wyrabiania zdolności osądu i opanowania. Wszystko to rozwija intelekt. Potrzebuje z pewnością wiedzy o prze-

szłości, która jest najlepszą podstawą do przewidywania przyszłości. Ale on wie o tej potrzebie, dostrzega ją, a to już coś. Uważam, że się uprzedziłaś do pana Thorntona, Margaret.

– Jest pierwszym przykładem przemysłowca, kogoś prowadzącego handel, interesy, którego mam okazję poznać, papo. To moja pierwsza oliwka, pozwól mi na grymasy przy przetykaniu. Wiem, że jest kimś dobrym w swoim rodzaju i prawdopodobnie stopniowo polubię ten rodzaj. Chyba nawet już zaczynam go lubić. Dzisiaj bardzo interesowało mnie to, o czym rozmawiali panowie, choć nie rozumiałam z tego nawet połowy. Czułam się naprawdę zawiedziona, kiedy przyszła panna Thornton i zabrała mnie na drugi koniec salonu, twierdząc, że z pewnością czuję się nieswojo jako jedyna dama w męskim towarzystwie. A mnie to nawet do głowy nie przyszło, tak bardzo się zaśluchałam. A damy były takie nudne, papo, tak niesamowicie nudne. Dopiero potem się poprawiło. Przypomniałam sobie naszą starą grę, komu uda się wtłoczyć większą liczbę rzeczowników w jedno zdanie.

– O czym ty mówisz, dziecko? – zdumiał się pan Hale.

– Używały rzeczowników oznaczających przedmioty będące świadectwem bogactwa: gospodyni, podogródnik, rozmiary szkła, kosztowna koronka, brylanty i inne takie rzeczy. A każda z nich formułowała swą wypowiedź tak, aby umieścić w niej wszystkie te słowa, i to w możliwie najciekawszy sposób.

– Sama będziesz tak samo dumna ze swej jednej jedyniej służącej, jeśli to, co mówi o niej pani Thornton, jest prawdą.

– Na pewno będę. Czułam się dziś jak wielka hipokrytka, siedząc tam w białej jedwabnej sukni, z założonymi beczynnymi dłońmi i wspominając całą domową robotę, którą te dłonie dzisiaj wykonały. Jestem przekonana, że zebrani wzięli mnie za wielką damę.

– Nawet ja się dałem nabrać i pomyślałem, że wyglądasz jak prawdziwa dama, kochanie – przyznał ojciec z uśmiechem.

Ten uśmiech jednak natychmiast zgasł i zmienił się w przerażone, rozedrgane spojrzenie, gdy tylko Dixon otworzyła im drzwi i zobaczyli jej twarz.

– Och, proszę pana! Panienko Margaret! Dzięki Bogu, że wróciliście. Jest tu doktor Donaldson. Służąca

od sąsiadów po niego pobiegła, bo posługaczka już wcześniej poszła do domu. Pani już ma się lepiej, ale, och, sir! Godzinę temu myślałam, że to już koniec, że ona umiera!

Pan Hale złapał za ramię Margaret, aby uchronić się przed upadkiem. Spojrzał na córkę i na jej twarzy zobaczył strach i głębokie zmartwienie, ale nie było tam grozy, która jak w kleszcze chwyciła jego własne, nieprzygotowane na złe nowiny serce. Wiedziała więcej niż on i słuchała wieści z pozbawionym nadziei trwożnym zrozumieniem.

– Och, nie powinnam była jej zostawiać. Podła córka. Oto kim jestem! – mruczała do siebie, wspierając niepewne kroki ojca pospiesznie zmierzającego na górę. Na podeście spotkali doktora Donaldsona.

– Już z nią lepiej – wyszeptał. – Środek przeciwbólowy zaczął działać. Skurcze były w istocie bardzo silne, nic dziwnego, że przeraziły służącą. Ale minęły i tym razem pani Hale dojdzie do siebie.

– Tym razem! Puśćcie mnie do niej!

Pół godziny wcześniej pan Hale był człowiekiem w średnim wieku. Teraz miał zamglony wzrok, chwiał

się i zataczał. Sprawiał wrażenie, jakby miał siedemdziesiąt lat. Doktor Donaldson ujął go za ramię i zaprowadził do sypialni. Margaret szła tuż za nimi. Matka leżała z wyrazem twarzy niebudzącym wątpliwości co do jej stanu. Nastąpiła poprawa i chora teraz spała, ale śmierć już ją naznaczyła i z pewnością niedługo się zjawi, by upomnieć się o swoją własność. Pan Hale przez jakiś czas przyglądał się żonie w milczeniu. Potem zaczął się cały trząść i odwróciwszy się od zaniepokojonego lekarza, ruszył po omacku w poszukiwaniu drzwi. Nie mógł ich znaleźć, mimo że w pokoju płonęło kilkanaście świec, przyniesionych tam przez Dixon w pierwszym odruchu nagłego strachu. Słaniając się, dotarł do bawialni i jak ślepiec dłonią poszukiwał krzesła.

Doktor Donaldson podsunął mu jedno, pomógł usiąść i zbadał puls.

– Proszę do niego mówić, panno Hale. Koniecznie musimy go ożywić.

– Papo! – zawołała Margaret płaczliwym głosem, w którym pobrzmiwał dziki ból. – Papo, odezwij się do mnie!

Cień przytomności pojawił się w jego wzroku i z wysiłkiem powiedział:

– Margaret! Czy ty wiedziałaś? Jakie to okrutne z twojej strony!

– Nie, sir, to nie było okrutne! – zaprzeczył lekarz, szybko podejmując decyzję. – Panna Hale działała ściśle według moich zaleceń. Być może podjęliśmy błędną decyzję, ale to nie było okrucieństwo. Jutro pańska żona będzie, mam nadzieję, w lepszym stanie. Miała atak, tak jak przewidywałem, ale nie uprzedziłem o tym panny Hale. Pana żona zażyła opiat, który ze sobą przyniosłem, i teraz będzie spokojnie spała. A jutro jej wygląd, który tak pana przeraził, będzie już należał do przeszłości.

– Ale nie choroba?

Doktor Donaldson rzucił okiem na dziewczynę. Jej przechylona głowa i wzniesiona twarz, pozbawiona wyrazu błagania o tymczasowe zawieszenie wyroku, przekonały lekarza, że jej zdaniem należy wyjawić panu Hale’owi całą prawdę.

– Nie, choroba nie. Nie potrafimy wyleczyć jej choroby mimo całej naszej wychwalanej wiedzy. Możemy tylko spowolnić postępy i złagodzić towarzyszący jej ból. Niech pan będzie człowiekiem, sir, chrześcijani-

nem. Proszę wierzyć w nieśmiertelność duszy, której żaden ból, żadna ziemską choroba nie może dotknąć ani zniszczyć!

W odpowiedzi usłyszał tylko te zdławione słowa:

– Pan nigdy nie był żonaty, doktorze, nie wie pan, jak to jest. – Znękany męski szloch rozdarł ciszę i nieruchomy spokój nocy.

Płacząca Margaret klęczała bez słów koło ojca i próbowała go czule pocieszyć. Nikt z nich, nawet lekarz, nie uświadamiał sobie upływu czasu. Pan Hale pierwszy ośmielił się poruszyć temat dalszego postępowania.

– Co mamy robić? – spytał. – Proszę powiedzieć nam obojgu. Margaret jest moją prawą ręką.

Doktor Donaldson wydał jasne i rozsądne zalecenia. Nie żywił obaw nie tylko co do dzisiejszej nocy, ale także jutrzejszego dnia i kilku kolejnych. Zaznaczył, że nie ma nadziei na trwałą poprawę. Poradził panu Hale'owi, aby poszedł do łóżka, pozostawiając jedną osobę czuwającą przy chorej, aczkolwiek był przekonany, że będzie ona spała bez przerwy. Obiecał przyjść ponownie wcześniej rano i wyszedł, ciepło uściskawszy im dłonie. Zamienili ze sobą tylko kilka słów; przerażenie tak wy-

czerpało ich siły, że zdołali podjąć decyzje wyłącznie odnośnie do najbliższych godzin. Pan Hale postanowił czuwać przy żonie przez całą noc i wszystko, co udało się Margaret osiągnąć, to nakłonić go, by odpoczął na sofie w bawialni. Dixon z zaciętością i uporem odmówiła położenia się do łóżka, a jeśli chodzi o Margaret, to nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby zostawić matkę, nawet gdyby wszyscy medycy świata wygłaszali frazesy o „mężowskiej opiece” i „potrzebie towarzystwa tylko jednej osoby czuwającej”. Dixon siedziała, wpatrywała się, mrugała, osuwała, gwałtownym szarpnięciem przywracała się do pionu. W końcu poddała się i szczerze zachrapała. Margaret zdjęła swą strojną sukienkę i cisnęła ją na bok ze zniecierpliwieniem i wstrętem. Założyła matkę i poczuła się tak, jakby już nigdy w życiu nie mogła zasnąć, jakby wszystkie jej zmysły stały się aż do bólu ożywione. To podwoiło jej determinację, aby zostać przy chorej matce. Każdy widok, każdy dźwięk, każda myśl nawet przynosiły jej cierpienie. Przez ponad dwie godziny słyszała niespokojne ruchy ojca w sąsiednim pokoju. Bezustannie zbliżał się do drzwi sypialni żony i przystawał tam, nasłuchując, aż

Margaret, nie słysząc jego obecności w bawialni, także podchodziła do drzwi, otwierała je i zdawała mu relację ze stanu matki, często nawet bez pytań z jego strony, bo na ich wypowiedzenie nie pozwalały mu spieczone usta. W końcu także on zapadł w sen i cały dom znie-
ruchomiał.

Margaret siedziała, częściowo osłonięta kotarą, i rozmyślała. Wszystkie absorbujące ją niedawno sprawy wydawały się odległe w czasie i przestrzeni. Nie dawniej niż trzydzieści sześć godzin temu martwiła się o Bessy Higgins i jej ojca, a serce ścisnęło jej się na myśl o Boucherze. Teraz to wszystko zdawało się czymś nierzeczywistym, jakby się działo w poprzednim życiu. To, co było poza drzwiami pokoju, nie wiązało się z osobą matki i dlatego zdawało się nierealne. Nawet życie na Harley Street się od niej oddaliło, choć pamiętała, jakby to było wczoraj, jaką przyjemność znajdowała wtedy w tropieniu rysów matki na twarzy ciotki Shaw i jak czekała na nadejście listów, z tęsknotą rozmyślając o ukochanym domu. Samo Helstone pograżyło się w zamglonej przeszłości. Nudne, szare dni minionej zimy i wiosny w Milton, tak monotonne

i ubogie w wydarzenia, zdawały się bardziej związane z tą jedyną sprawą, o którą obecnie dbała. Z jaką chęcią pochwyciłaby ten upływający czas i błagała, by wrócił, by oddał jej to, co tak nisko ceniła, gdy było jeszcze w jej posiadaniu! Jakim czczym przedstawieniem wydawało się życie! Jakim ulotnym, migotliwym, frywolnym! Jakby jakaś dzwonnica w przestworzach, wysoko ponad ziemskimi wstrząsami i tragediami, wybijała bezustannie: „Wszystko jest cieniem! Wszystko przemija! Wszystko jest przeszłością!” Gdy nadszedł poranek, chłodny i szary, taki jak wiele szczęśliwszych poranków dotąd, i gdy Margaret spojrzała na śpiących dookoła, odniosła wrażenie, że ta straszliwa noc była nierealna jak sen, że ta noc też była cieniem, też była przeszłością.

Gdy pani Hale się obudziła, nie wiedziała, jak poważny był jej stan poprzedniej nocy. Wczesna wizyta doktora Donaldsona raczej ją zaskoczyła, a zaniepokojenie na twarzach męża i córki wyraźnie poruszyło. Zgodziła się pozostać tego dnia w łóżku, przyznając się do zmęczenia, ale później postanowiła wstać. Doktor zezwolił jej na przeniesienie się do bawialni. Była niespokojna i nie potrafiła znaleźć sobie wygodnej pozycji.

Wieczorem pojawiła się gorączka. Pan Hale był zupełnie otępiały i niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

– Co możemy zrobić, żeby oszczędzić mamie kolejnej takiej nocy? – spytała Margaret lekarza trzeciego dnia.

– Jest to w pewnym stopniu reakcja na bardzo silne środki na bazie opium, które zdecydowałem się zastosować. Myślę, że obserwowanie jej stanu sprawia więcej bólu pani niż matce znoszenie go. Przypuszczam, że pewną ulgę mogłoby przynieść łóżko wodne. Choć i tak jutro będzie z nią lepiej, trochę tak, jak było przed atakiem. Ale mimo to chciałbym, aby miała łóżko wodne. Wiem, że pani Thornton je posiada, i postaram się zajrzeć dzisiaj do niej. Chociaż – nie. Proszę poczekać – dodał, dostrzegając na twarzy Margaret bladość spowodowaną zbyt długim czuwaniem przy chorej. – Nie jestem pewien, czy zdołam tam dzisiaj dotrzeć. Szykuje mi się długi obchód. Pani jednak nie zaszkodziłby szybki spacer na Marlborough Street i mogłaby pani sama poprosić panią Thornton o wypożyczenie łóżka.

– Oczywiście – przytaknęła dziewczyna – pójdę, gdy tylko mama uśnie po południu. Z pewnością pani Thornton się zgodzi.

Doświadczenie lekarza także i tym razem pozwoliło mu przewidzieć reakcję pacjentki. Wydawało się, że pani Hale otrząsnęła się ze skutków ataku i tego popołudnia wyglądała lepiej, niż Margaret w ogóle miała nadzieję ją jeszcze kiedykolwiek zobaczyć. Opuściła matkę po obiedzie. Pani Hale siedziała w fotelu i trzymała rękę w dłoni męża, który wyglądał na znacznie bardziej znużonego i cierpiącego niż jego chora żona. Mimo to potrafił się uśmiechać, co prawda wolno i raczej słabo, ale jeden czy dwa dni wcześniej wydawał się całkowicie do tego niezdolny.

Dom w Crampton Crescent dzieliły od Marlborough Street dwie mile. Było zbyt gorąco na szybki spacer, o trzeciej po południu sierpniowe słońce wprost zalewało ulice. Pierwszą milę Margaret przeszła, nie zauważając niczego niezwykłego. Pochłaniały ją własne myśli, a do tej pory nauczyła się już torować sobie przejście przez nierówny strumień ludzi płynący ulicami Milton. Stopniowo jednak zauważała niecodzienne fa-

lowanie mas ludzkich w zatłoczonym mieście. Ci ludzie nie tyle się przemieszczali, co raczej przystawali w przypadkowych miejscach. Mówili, słuchali, szemrali w podnieceniu, lecz nie ruszali się z miejsca, gdzie zdarzyło im się zatrzymać. Ale ponieważ ustępowali Margaret z drogi, a ją pochłaniał cel jej wyprawy, nie była tak spostrzegawcza jak wtedy, gdy miała umysł spokojny i wyciszony. Dotarła na Marlborough Street, zanim wyraźnie spostrzegła, że ludzie na ulicach są skrajnie podenerwowani, a dookoła panuje niespokojna i przytłaczająca atmosfera, jak przed burzą, jakieś nieokreślone poruszenie, i to zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Z każdej wąskiej alejki krzyżującej się z Marlborough Street dochodził niski, odległy pomruk, jakby skumulowały się niezliczone srogie, oburzone głosy. Mieszkańcy nędznych, zaniedbanych mieszkań zbierali się przy drzwiach i oknach, o ile oczywiście już nie stali na zewnątrz, a ich spojrzenia kierowały się w jedną stronę. Marlborough Street była okiem cyklonu, na które zebrani spoglądali różnorako – niektórzy ze złowrogim gniewem, inni przyciszonymi głosami rzucając okrutne groźby lub usilne prośby, jeszcze inni reagując po prostu strachem. Gdy

Margaret dotarła do małych drzwi obok bramy na wielki dziedziniec przędzalni i czekała, aż strażnik odpowie na jej dzwonek, rozejrzała się dookoła. Usłyszała pierwsze odległe odgłosy nadciągającej burzy, zobaczyła czoło wzbierającej fali ciemnego tłumu, kolejno wznoszącej się, opadającej i ciągnącej się do samego końca ulicy, jeszcze chwilę wcześniej wypełnionej dławionym harmiderem, który teraz złowieszczo się wznosił. Te spostrzeżenia narzuciły się uwadze Margaret, ale nie zdołały przeniknąć do jej zafrasowanego czymś innym serca. Nie rozumiała znaczenia tego, co zobaczyła, natomiast doskonale czuła ostry nacisk noża, który już wkrótce mógł ją ugodzić, pozostawiając półsierotę bez matki. Próbowwała przyjąć to do wiadomości i się z tym oswoić, by w godzinie próby umieć pocieszyć ojca.

Strażnik ostrożnie uchylił drzwi, jednak nie na tyle, aby zdołała wejść.

– To pani? – upewnił się, głęboko nabierając powietrza, po czym szerzej otworzył furtę, ale nadal pozostawała częściowo zamknięta. Margaret weszła. Portier szybko zamknął i zabezpieczył drzwi. – Ci wszyscy ludzie tu idą, prawda? – spytał.

– Nie wiem. Chyba dzieje się coś niezwykłego, ale gdy przechodziłam, ulica była niemal pusta.

Przebiegła przez dziedziniec i po schodach dotarła do drzwi wejściowych. Dookoła niej panowała cisza. Nie słyszała ani uderzeń i tej charakterystycznej zadyszki maszyny parowej, ani brzęku urządzeń, ani mieszających się i ścierających ostrych głosów. W oddali jednak było już słychać ów złowrogi, nasilający się ryk. Ryk żądań.

XXII

UDERZENIE I JEGO SKUTKI

*Roboty brak, zapłata zła,
Jedzenie coraz droższe.
Ażrisze pracę kradli nam,
Harując za psie grosze.*

*Ebenezer Elliot, „Corn Law Rhymes,
przet. Joanna Puchalska*

Margaret została wprowadzona do salonu, w którym meble na powrót ukryto pod pokrowcami. Z powodu panującego gorąca okna były częściowo otwarte, a rolety weneckie zakrywały szyby. Do pokoju wpadało brzydkie zielonkawe światło, które odbijało się refleksami od szarawej podłogi, two-

rzyło fałszywe cienie i czyniło cerę Margaret wyblakłą i upiorną, co, niestety, dostrzegła w jednym z luster. Usiadła i czekała, ale nikt nie nadchodził. Od czasu do czasu odnosiła wrażenie, że wiatr przybliży odgłosy tłumu, choć przecież nie było wiatru. Powietrze zamarło w ciężkim bezruchu.

W końcu przyszła Fanny.

– Mama już idzie, panno Hale. Przysłała mnie, abym panią w jej imieniu przeprosiła. Pewnie pani wie, że mój brat sprowadził robotników z Irlandii i to rozwścieczyło ludzi w Milton. Jakby nie miał prawa zatrudniać, kogo mu się tylko podoba! Przecież ci dranie i tak nie chcieli dla niego pracować. A teraz tak wystraszyli tych irlandzkich głodomorów, tak im grozili, że boimy się wypuścić tych biedaków. Może ich pani zobaczyć zebranych w górnym pomieszczeniu przędzalni. Będą tam spać, bo musimy ich ochronić przed tą bandą brutalni, którzy nie dosyć, że sami nie mają ochoty pracować, to jeszcze nie pozwalają na to innym. A mama musi dopilnować, żeby dostali coś do jedzenia. John rozmawia z nimi, bo niektóre z kobiet płaczą i chcą wracać. O, jest mama.

Pani domu weszła z wyrazem zaciętej stanowczości na twarzy i na ten widok Margaret poczuła, że wybrała bardzo niekorzystną chwilę, aby ją kłopotać swoją prośbą, mimo że postępowała zgodnie z uprzednio wyrażonym pragnieniem pani Thornton, by zwracać się do niej z każdą sprawą dotyczącą pomocy pani Hale w chorobie. Gospodyni ściągnęła brwi i zacisnęła usta, gdy Margaret powściągliwie opowiadała o bezsenności matki i sugestii doktora Donaldsona, że być może ulgę przyniosłoby łóżko wodne. Przerwała. Pani Thornton nie odpowiedziała od razu. Nagle zerwała się i wykrzyknęła:

– Są przy bramie! Zawołaj Johna, Fanny! Wezwij go z fabryki! Są przy bramie! Wyłamią ją! Biegnij po Johna, mówię!

Wzmagający się stukot, którego nasłuchiwała, zamiast zwracać uwagę na słowa Margaret, dobiegał w tej chwili bezpośrednio zza muru, a narastająca wrzawa rozgniewanych głosów przedzierała się przez drewnianą barierę bramy, wstrząsaną tak, jakby niewidoczny wściekły tłum uczynił tarany ze swych ciał i wycofywał się tylko o krok, by powtórnie uderzyć z większym

i lepiej zsynchronizowanym impetem. Wielka brama drżała od tych potężnych uderzeń, jak trzcina na wietrze.

Kobiety zebrane przy oknie z fascynacją przyglądały się scenie, która je przerażała. Pani domu, służące, Margaret – wszystkie tam były. Fanny wróciła do nich na górę z krzykiem, jakby ktoś ją ścigał, i z histerycznym szlochem rzuciła się na sofę. Pani Thornton wyglądała syna, który nadal znajdował się w przedzalni. Wyszedł stamtąd, spojrzął w górę – na skupisko pobladłych twarzy – i uśmiechnął się do nich z otuchą, po czym zamknął drzwi fabryki. Potem krzyknął do jednej z kobiet, aby zeszła na dół i otworzyła mu drzwi do domu, które Fanny zarygłowała w swej szaleńczej ucieczce.

Pani Thornton poszła osobiście. Dźwięk jego dobrze znanego, rozkazującego głosu był jak posmak krwi dla rozwścieczonego tłumu na zewnątrz. Aż do tej chwili milczeli, oszczędzając każdy oddech na ciężką pracę forsowania bramy, ale teraz, gdy usłyszeli przedsiębiorcę wewnątrz fortecy, wydali z siebie tak srogi, wręcz nieziemski ryk, że nawet pani Thornton pobie-

łała ze strachu, wprowadzając syna do pokoju. Wszedł lekko zarumieniony, ale z oczyma błyszczącymi, jakby odpowiadał na odgłos trąbki zapowiadającej walkę, i z pełnym dumy wyzywającym spojrzeniem, które nadawało mu szlachetnego wyglądu i czyniło niemal przystojnym.

Margaret zawsze się obawiała, że w razie konieczności zabraknie jej odwagi i okaże się tchórzem, ale teraz, w obliczu prawdziwego i uzasadnionego strachu i bliskości niebezpieczeństwa, zapomniała o sobie i wczuła się, wczuła się aż do bólu, w sytuację zaangażowanych stron.

Pan Thornton oznajmił wprost:

– Przykro mi, panno Hale, że odwiedziła nas pani w tej jakże niefortunnej chwili, bo obawiam się, że może pani zostać wystawiona na takie samo niebezpieczeństwo, jakie nam zagraża. Matko! Czy nie byłoby lepiej, gdybyście przeszły do tylnych pokoi? Nie jestem pewien, czy oni przypadkiem nie utorowali sobie też drogi od strony Pinner's Lane aż do stajni, ale jeśli nie, będziecie tam znacznie bezpieczniejsze niż tu. Idź, Jane! – zwrócił się do starszej pokojówki.

Wykonała polecenie, a za nią podążyła reszta słujących.

– Zostaję tu! – zdecydowała jego matka. – Gdzie ty, tam i ja!

Wtedy okazało się, że wycofanie się na tył domu nie przyniosłoby żadnego pożytku, gdyż tłum otoczył także dodatkowe budynki na tyłach posesji i teraz dobiegało stamtąd groźne wycie. W tej sytuacji służące pobiegły z krzykiem i piskami na poddasze, co słysząc, pan Thornton uśmiechnął się pogardliwie i spojrzał na Margaret, która stała samotnie przy oknie znajdującym się najbliżej fabryki. Jej oczy migotały, a kolor policzków i warg się pogłębił. Jakby poczuła jego spojrzenie, bo zwróciła się ku niemu z pytaniem, które już od jakiegoś czasu ją nurtowało.

– Gdzie są ci biedni sprowadzeni robotnicy? W fabryce?

– Tak. Zostawiłem ich skulonych w małym pomieszczeniu u szczytu tylnych schodów. Błagałem ich, aby podjęli ryzyko i uciekali tymi schodami na dół, jeśli usłyszą odgłosy ataku na wejście do przędzalni. Ale temu tłumowi nie chodzi o nich. Chodzi im o mnie.

– Kiedy dotrą tu żołnierze? – spytała go matka niskim, ale pewnym głosem.

Wyjął swój zegarek z tym samym opanowaniem, jakie charakteryzowało wszystkie jego działania. Przez chwilę obliczał:

– Zakładając, że Williams wyruszył od razu, jak mu przykazałem, i nie musiał ich omijać, sądzę, że będą tu za dwadzieścia minut.

– Dwadzieścia minut! – powtórzyła matka i po raz pierwszy w tonie jej głosu pojawiły się nuty przerażenia.

– Zamknij natychmiast okna, mamo! – krzyknął. – Ta brama nie wytrzyma kolejnego naporu. Proszę zamknąć to okno, panno Hale.

Margaret zamknęła okno, przy którym stała, i poszła, aby wspomóc drżące dłonie pani Thornton. Z nieznaney przyczyny przez kolejnych kilka minut od strony ulicy nie dobiegł żaden dźwięk. Pani Thornton z dzikim niepokojem wpatrywała się w syna, najwyraźniej oczekując od niego interpretacji tej niespodziewanej przerwy, dostrzegła jednak tylko na jego twarzy sztywne, ostre linie pogardliwego wyzwania, i ani śladu nadziei czy strachu. Fanny lekko się uniosła:

– Poszli? – spytała szeptem.

– Poszli! – odpowiedział. – Posłuchaj.

Słuchała. Poraził ich jeden wielki wzbierający oddech, skrzywienie poddającego się drewna, szarpnięcie metalu, straszliwy łoskot upadającej bramy. Fanny się zerwała, zatoczyła, wykonała krok w stronę matki i padła, jakby zemdlona. Pani Thornton podtrzymała ją siłą zaczerpniętą tak z ciała, jak z umysłu, i wyprowadziła z salonu.

– Dzięki Bogu! – skomentował to John. – Czy nie byłoby lepiej, gdyby udała się pani na górę, panno Hale?

Jej usta uformowały się, jakby mówiła „nie”, ale nie usłyszał tego słowa, bo zagłuszył je tupot nieprzeliczonych kroków tuż przy ścianach budynku i groźny pomruk niskich, rozgniewanych głosów, z których biła dzika satysfakcja, sprawiających większe wrażenie niż chaotyczne krzyki sprzed kilku minut.

– Nieważne – powiedział, chcąc dodać jej odwagi. – Jest mi bardzo przykro, że została pani tu uwięziona i narażona na te niepokoje. Ale to już nie potrwa długo. Jeszcze kilka minut i dotrą tu żołnierze.

– Och Boże! – krzyknęła nagle Margaret. – Tam jest

Boucher. Poznaję jego twarz, choć jest sina z wściekłości. Walczy, aby się przebić do przodu. Proszę spojrzeć!

– Kim jest Boucher? – spytał zimnym tonem pan Thornton i podszedł bliżej do okna, aby przyjrzeć się człowiekowi, który tak interesował pannę Hale. Gdy tylko strajkujący dostrzegli przemysłowca, rozległ się wrzask – przeraźliwie nieludzki, wrzask demonicznej bestii, która pragnie jedzenia ukrytego przed jej żarłocznością. Nawet on się cofnął na chwilę, zaniepokojony intensywnością wzbudzonej przez siebie nienawiści. – Niech sobie wrzeszczą – powiedział. – Jeszcze pięć minut... Mam tylko nadzieję, że ci biedni Irlandczycy nie oszaleją, słysząc takie nieprzyjemne odgłosy. Proszę wytrzymać jeszcze tylko pięć minut, panno Hale.

– Proszę się o mnie nie martwić – odpowiedziała pospiesznie. – Ale co się stanie za owe pięć minut? Nie może pan zrobić czegoś, aby uspokoić tych biednych ludzi? To okropny widok.

– Żołnierze dotrą tu lada chwila i zrobią z nimi wszystkimi porządek.

– Porządek? – spytała szybko. – Jaki porządek?

– Jedyne porządek, jaki się robi z ludźmi, którzy się

zmienili w dzikie zwierzęta. Wielkie nieba! Ruszyli w stronę przędzalni.

– Panie Thornton – zażądała Margaret, drżąc cała z poruszenia – proszę natychmiast zejść na dół, o ile nie jest pan tchórzem. Proszę zejść na dół i stanąć przed nimi jak mężczyzna. Musi pan uratować tych biednych cudzoziemców, których pan tu przywabił. Proszę porozmawiać z robotnikami jak z istotami ludzkimi. Proszę porozmawiać z nimi uprzejmie. Niech pan nie pozwoli wejść tu żołnierzom i wyciąć w pień tych biedaków doprowadzonych do szaleństwa. Ja przynajmniej widzę tu jednego takiego. Jeśli jest w panu choć odrobina odwagi lub szlachetności, to proszę wyjść i porozmawiać z nimi jak człowiek z człowiekiem.

Odwrócił się w jej stronę i patrzył na nią, gdy mówiła, a przez jego twarz przemknął cień. Aż zacisnął zęby na jej słowa.

– Pójdę więc. Może zechciałaby pani zejść ze mną na dół i zaryglować za mną drzwi? To niezbędne dla zapewnienia ochrony mojej matce i siostrze.

– Och panie Thornton! Ja nie wiem... Mogę się mylić... Tylko...

On jednak już poszedł. Był w holu na dole i odsuwał rygiel na frontowych drzwiach. Wszystko, co mogła zrobić, to szybko za nim pobiec i zamknąć drzwi, a potem wspiąć się z powrotem po schodach na górę z omdlewającym sercem i skołowaną głową. Ponownie zajęła swe miejsce przy oknie. Stał na zewnętrznych schodach. Poznała to po kierunku, w którym zwracały się setki rozgniewanych oczu, ale nic nie widziała ani nie słyszała poza gniewnym pomrukiem pełnym dzikiej satysfakcji. Otworzyła szeroko okno. Wielu z tych ludzi było jeszcze chłopcami, okrutnymi i bezmyślnymi, okrutnymi, bo bezmyślnymi; inni byli mężczyznanami, wychudzonymi jak wilki i tak samo żądnymi krwi. Wiedziała, że ich historie są historią Bouchera: w domu głodują dzieci, a oni sami liczyli na pełen sukces swoich wysiłków zmierzających do wzrostu wynagrodzeń. Teraz czuli wściekłość ponad wszelką miarę na wieść o przybyciu Irlandczyków, gotowych obrabować ich dzieci z chleba. Znała to. Czytała to w twarzy Bouchera, żałośnie zdesperowanej i zmienionej z powodu obłąkania. Gdyby tylko pan Thornton coś do nich powiedział, gdyby tylko usłyszeli jego głos, to chyba

byłoby lepsze niż te dzikie gesty i furia wobec kamiennego milczenia, sugerującego, że nie są godni nawet słów gniewu czy wymówki. Może teraz coś mówił. Na chwilę ucichł bowiem ten hałas, tak nieartykułowany, jakby go wydawały zwierzęta.

Margaret zdarła z głowy czepek i wychyliła się przez okno, by lepiej słyszeć. Mogła tylko obserwować, bo jeśli nawet pan Thornton podjął próbę przemówienia do zebranych, to chwilowy odruch wysłuchania go przeminął i ludzie pieklili się teraz jeszcze bardziej niż poprzednio. Stał z założonymi rękoma, nieruchomy jak posąg, z twarzą pobladłą od powstrzymywanych emocji. Próbowali go zastraszyć, sprawić, by jego stanowczość została zachwiana. Przynaglali się nawzajem do jakiegoś natychmiastowego aktu przemocy. Margaret czuła instynktownie, że w każdej chwili może dojść do zamieszek; jakikolwiek ruch spowoduje eksplozję, w której życie pana Thorntona, pomiędzy setkami rozwścieczonych mężczyzn i lekkomyślnych niedorostków, będzie zagrożone. Czuła, że wkrótce rozbuchane emocje zaleją ten tłum i zerwą wszelkie bariery narzucone przez rozsądek lub strach przed konsekwencjami. Już teraz do-

strzegąła mężczyzn stojących z tyłu, którzy pochylali się, by zdjąć swoje ciężkie drewniane trepy, najłatwiej dostępne pociski. Zrozumiała, że to może być ta iskra wrzucona do beczki prochu. Z krzykiem, którego nikt nie słyszał, wybiegła z pokoju, popędziła po schodach na dół, z opętańczą siłą uniosła żelazną sztabę blokującą drzwi, otworzyła je i stanęła przed nimi, twarzą w twarz z rozwścieczonym morzem mężczyzn, a jej wzrok porażał płonącymi strzałami wyrzutu. Chodaki pozostały w trzymających je dłoniach, twarze, tak straszliwe jeszcze chwilę wcześniej, teraz zamarły w wyrazie konsternacji, jakby pytając, co to wszystko znaczy. Stanęła bowiem między nimi a ich wrogiem. Nie była w stanie nic powiedzieć, więc tylko trzymała ramiona wyciągnięte w ich kierunku, aż odzyskała oddech.

– Och, proszę. Tylko nie przemoc! On jest jeden, a was jest wielu.

Słowa jednak zginęły, bo w jej głosie nie było siły. Wydała z siebie tylko chrapliwy szept. Pan Thornton stał trochę z boku, ale teraz wysunął się zza Margaret, jakby był zazdrosny o wszystko, co stawało między nim a niebezpieczeństwem.

– Odejdźcie! – powiedziała raz jeszcze, a teraz jej głos brzmiał trochę jak płacz. – Wezwano wojsko, żołnierze są w drodze. Odejdźcie w pokoju. Odejdźcie. Wasze żądania, jakiegokolwiek są, zostaną spełnione.

– A odeślcie tych irlandzkich łobuzów z powrotem, gdzie ich miejsce? – spytał jeden z tłumu z pogroźką w głosie.

– Nigdy! Nie będziecie mi rozkazywać! – wykrzyknął pan Thornton.

Zerwała się burza. Wzmogło się wycie i wypełniło powietrze, ale Margaret nie słyszała tego. Śledziła wzrokiem grupkę mężczyzn, którzy już jakiś czas temu uzbroili się we własne drewniaki. Widziała ich ruchy, rozumiała gesty, znała ich cel. Jeszcze chwila i pan Thornton zostanie przez nich ugodzony, on, którego nakłoniła i sprowokowała do przyjścia w to niebezpieczne miejsce. Teraz myślała tylko o tym, jak może go ocalić. Rozrzuciła ramiona przed nim, tak że jej ciało stało się tarczą chroniącą go przed gniewnym tłumem, ale odsunął ją na bok.

– Proszę odejść – nakazał głębokim głosem. – To nie jest miejsce dla pani.

– Właśnie że jest – odpowiedziała. – Pan nie widział tego, co ja.

Jeśli myślała, że jej płęć stanowić będzie ochronę, jeśli zmrużyła oczy w nadziei, że gdy ponownie spojrzy na wściekłych ludzi, zatrzymają się, zastanowią, odwrócą się i znikną, to była w błędzie. Ich ślepa, nierozważna pasja zawiodła ich za daleko, aby mogli się zatrzymać, a przynajmniej niektórych z nich zawiodła za daleko. Zawsze owi dzicy i brutalni mężczyźni z ich zamiłowaniem do okrutnych emocji są siłą napędową zamieszek i nie biorą pod uwagę, do jakiego rozlewu krwi ich działanie może doprowadzić. Chodak zaświszczał w powietrzu. Margaret z fascynacją obserwowała jego lot. Chybił celu. Dziewczyna osłabła ze strachu i odwróciła się, ale nie zmieniła miejsca, tylko ukryła twarz na ramieniu pana Thorntona. Potem z powrotem zwróciła się do tłumu i jeszcze raz przemówiła:

– Na litość boską. Nie niszczone tą przemocą sprawy, o którą walczyacie! Nie wiecie, co robicie. – Starła się, aby jej słowa brzmiały wyraźnie.

Ostry kamień poleciał w jej stronę, kalecząc czoło i policzek, i oślepiający błysk pojawił się jej przed oczami.

mi. Jak martwa osunęła się na ramię pana Thorntona. Na moment otoczył ją ramieniem:

– Doskonale się sprawiliście! – krzyknął. – Przyszliście wypędzić niewinnych cudzoziemców. Setki was napadły na jednego człowieka. A kiedy stanęła przed wami kobieta, prosząc, abyście się dla waszego własnego dobra opanowali, skierowaliście wasz tchórzliwy gniew przeciwko niej. Doskonale wam to poszło.

Milczeli. Z szeroko otwartymi oczami i ustami obserwowali strużkę ciemnoczerwonej krwi na skroni dziewczyny, a ten widok pomógł im się ocknąć z transu nienawiści. Ci, którzy znajdowali się najbliżej bramy, zaczęli się wymykać, zawstydzeni. W całym tłumie zresztą dostrzegalny był ruch wycofywania się. Jeden tylko głos się podniósł:

– Kamlot był dla ciebie, aleś się zasłonił kobietą.

Pan Thornton zadrzał z wściekłości. Płynąca krew przywróciła Margaret świadomość, mglistą, przytłumioną świadomość. Delikatnie posadził dziewczynę na stopniu przy drzwiach i oparł jej głowę o futrynę:

– Może tu pani zostać? – spytał i nie czekając na jej odpowiedź, zszedł powoli schodami na dół i wepchnął

się w sam środek zgromadzenia. – A teraz mnie zabijcie, jeśli taka jest wasza wola. Tu nie ma kobiety, która by mnie osłoniła. Możecie mnie skatować. Ale o krok nie ruszycie mnie z miejsca, które zająłem. Nie wy! – Stał pomiędzy nimi z założonymi rękoma, dokładnie w takiej samej wyzywającej postawie jak przedtem na schodach.

Wsteczny ruch w kierunku bramy już się jednak zaczął, tak samo bezzasadny i ślepy jak gniew. Mogła to spowodować świadomość zbliżania się żołnierzy lub widok bladej uniesionej twarzy z przymkniętymi oczyma, smutnej i nieruchomej jak marmur, choć łzy zbierały się na długich rzęsach i z nich spadały, a z powiększającej się plamy na skroni kapłała krew. Nawet najbardziej zdesperowany z tłumu Boucher wycofywał się, łamał, rozglądał, a w końcu on także odszedł, rzucając pod nosem przekleństwa na właściciela fabryki, który stał w swej niezmienionej pozie, przyglądając się triumfalnie ich odwrotowi. Z chwilą gdy owo wycofywanie zmieniło się zgodnie z jego przewidywaniami w ucieczkę, rzucił się po schodach w stronę Margaret.

Próbowała się podnieść bez jego pomocy.

– To nic – powiedziała z mętным uśmiechem – skóra jest draśnięta, a mnie na moment ogłuszyło. Och, tak się cieszę, że sobie poszli! – dodała i rozplakała się, nie panując nad łzami.

Nie potrafił jej współczuć. Jego gniew nie osłabł, a wręcz się wzmacniał, w miarę jak poczucie realnego zagrożenia się oddalało. Odległy chrzęst kroków marszerujących żołnierzy rozległ się zaledwie pięć minut za późno, aby ten rozpierzchnięty już teraz tłum poczuł siłę władzy przywracającej porządek. Pan Thornton liczył na to, że robotnicy dostrzegą oddziały i poskro mi ich sama myśl o zagrożeniu, któremu wymknęli się w ostatniej chwili. W czasie gdy takie myśli przebiegały mu przez głowę, Margaret wsparła się o futrynę, by odzyskać panowanie nad sobą. Mgła jednak przesłoniła jej świadomość i zdążył ją złapać w ostatniej chwili.

– Mamo! Mamo! – krzyczał. – Zejdź na dół! Poszli sobie, ale panna Hale jest ranna!

Wniósł ją do jadalni i ułożył nieskończenie delikatnie na sofie. Patrząc na jej śnieżnobiałą twarz, nagle uświadomił sobie, kim ona dla niego jest, a wrażenie było tak silne i nagłe, że wypowiedział swe uczucia na głos:

– Och Margaret, moja Margaret! Nawet nie umiem ci powiedzieć, kim się dla mnie stałaś! Martwa, zimna tak jak teraz, jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem. Och Margaret, Margaret! – mówił, a raczej bełkotał niewyraźnie, klęcząc przy niej.

Naraz zerwał się, jakby się zawstydził tych wymruczanych słów. W tym momencie weszła matka, ale niczego nie zauważyła, może poza tym, że jej syn był odrobinę bledszy, odrobinę bardziej surowy niż zazwyczaj.

– Panna Hale jest ranna, mamo. Rzucony kamień ugodził ją w skroń. Obawiam się, że straciła sporo krwi.

– Wygląda na poważnie ranną. Mogłabym pomyśleć, że nie żyje – stwierdziła pani Thornton, szczerze zaniepokojona.

– To omdlenie. Po tym uderzeniu już się do mnie odzywała – uspokajał matkę, ale krew w jego żyłach zdawała się pędem płynąć wprost do serca i cały się trząść.

– Zawołaj Jane. Ona mi przyniesie wszystko, czego potrzebuję. A ty idź do tych twoich Irlandczyków, bo płaczą i krzyczą tak, jakby oszaleli ze strachu.

Poszedł. Ruszał się tak, jakby miał kule u nóg, jakby coś zatrzymywało go przy dziewczynie. Zawołał Jane, zawołał swą siostrę. Należało zapewnić Margaret kobiecą opiekę, należało jej zapewnić łagodną troskę. Czuł jednak każde uderzenie serca na wspomnienie tego, jak zbiegła do niego na dół i stanęła między nim a zagrożeniem. Czy chodziło jej o to, by go ochronić? Wtedy ją odepchnął i odezwał się do niej szorstko, ale widział przede wszystkim niebezpieczeństwo, na jakie się niepotrzebnie narażała. Poszedł do Irlandczyków, choć każdy nerw w jego ciele drżał na myśl o niej do tego stopnia, że trudno mu było zrozumieć, co ci ludzie do niego mówią, a w konsekwencji nie potrafił ich uspokoić i oddalić ich obaw. Stwierdzili, że nie zostaną w tym miejscu, i zażądali, aby ich odesłać z powrotem. I musiał myśleć, mówić, przekonywać.

Pani Thornton przemyśla skroń Margaret wodą kołoforską. Gdy alkohol dostał się do rany, czego nie zauważyła ani ona, ani Jane, panna Hale otworzyła oczy, ale było oczywiste, że nie wie, gdzie jest ani kim są obie kobiety. Ciemne kręgi pod oczami pogłębiły się, usta zadrżały i się zacisnęły, a ona po raz kolejny osunęła się bez zmysłów.

– To musiało być straszliwe uderzenie – powiedziała pani Thornton. – Czy jest ktokolwiek, kto pójdzie po lekarza?

– Ja nie, proszę pani, jeśli można – odpowiedziała Jane, wycofując się. – Ta hołota może się tu czaić w pobliżu. Moim zdaniem rana nie jest tak głęboka, jak się wydaje.

– Nie zamierzam ryzykować. Raniono ją w naszym domu. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, Jane, nie jestem tchórzem. Ja pójdę.

– Proszę pani, niech pani mi pozwoli wysłać kogoś z policji. Tylu ich tu teraz. I żołnierzy też.

– Nie będę zabierała czasu tych ludzi, wysyłając ich z naszymi sprawami. I tak będą mieli dosyć zajęcia, żeby złapać choć kilku z tego tłumu. Nie będziesz się bała zostać tutaj – spytała z pogardą – i przemywać czoła panny Hale, prawda? Nie będzie mnie tylko dziesięć minut.

– A czy Hannah nie może iść?

– A dlaczego Hannah? Dlaczego każdy, tylko nie ty? Nie, Jane, jeśli ty nie idziesz, pójdę ja.

Pani Thornton najpierw poszła do pokoju, gdzie zo-

stawiała wyciągniętą na łóżku Fanny. Córka gwałtownie się poderwała.

– Och mamo, ale mnie przeraziłaś! Myślałam, że to jeden z tych mężczyzn dostał się do domu!

– Bzdury! Wszyscy sobie poszli. Wszędzie dookoła są żołnierze, szukają dla siebie zajęcia, choć na to trochę za późno. Panna Hale jest poważnie ranna i leży na sofie w jadalni. Idę po lekarza.

– Och, nie, mamo! Zamordują cię! – Dziewczyna wczepiła się w suknię matki. Pani Thornton oderwała córkę od siebie niezbyt delikatnie.

– Znajdź mi więc kogoś innego, kto pójdzie, zanim tamta wykrwawi się na śmierć.

– Krwawi! Och, jakie to okropne! Jak to się stało, że jest ranna?

– Nie wiem. Nie miałam czasu, by spytać. Idź do niej na dół, Fanny, i postaraj się na coś przydać. Jane tam z nią jest i mam nadzieję, że to tylko tak źle wygląda. Pokojówka odmówiła wyjścia z domu. Co za tchórz! A ja nie narażę się na kolejną odmowę ze strony służby, więc idę sama.

– Och, litości! – zawodziła Fanny, ale przygotowy-

wała się do zejścia na dół. Wolała raczej to niż zostać sama z myślą o ranach i rozlewie krwi pod tym samym dachem. – Och Jane! – wychlipała, wślizgując się do jadalni. – Co się stało? Ależ ona biała! Jak doszło do tego, że jest ranna? Wrzucali kamienie do bawialni?

Margaret rzeczywiście wyglądała blado i mizernie, choć powoli zaczynała odzyskiwać świadomość. Nadal jednak czuła się ogłuszona, a kolejne omdlenia uczyniły ją żałośnie słabą. Zdawała sobie sprawę z zamieszania wokół siebie, z odświeżającego działania wody kolońskiej i ze swego pragnienia, by nie przerywano przemywania czoła. Ale gdy rozmowy ustały, nie mogła otworzyć oczu ani poprosić o okład, zupełnie jak człowiek, który leży w transie przypominającym śmierć i nie może się poruszyć ani wydać jakiegokolwiek dźwięku, którym zatrzymałby straszliwe przygotowania do własnego pochówku, choć jest w pełni świadomy nie tylko wydarzeń rozgrywających się wokół niego, ale także ich przyczyn.

Jane przerwała przemywanie rannej, aby odpowiedzieć na pytanie panny Thornton.

– Byłaby zupełnie bezpieczna, panienko, gdyby zo-

stała w salonie lub przyszła do nas na górę. Byłyśmy na poddaszu, tym od frontu, więc wszystko widziałyśmy, a nic nam nie groziło.

– To gdzie ona była? – spytała Fanny, stopniowo podchodząc bliżej, w miarę jak przyzwyczajała się do widmowej twarzy Margaret.

– Dokładnie przed drzwiami wejściowymi... z panem! – odpowiedziała Jane znacząco.

– Z Johnem! Z moim bratem! A jak ona się tam dostała?

– Cóż, panienko. Nie moja sprawa to powtarzać – odrzekła Jane z lekkim potrząśnięciem głową. – To Sarah...

– Co Sarah? – spytała Fanny z niecierpliwą ciekawością.

Jane podjęła przemywanie czoła Margaret, jak gdyby to, co Sarah zrobiła lub powiedziała, nie było czymś, co miałyby ochotę powtarzać.

– Co Sarah? – powtórzyła ostro Fanny. – Nie mów do mnie takimi półzdaniami, bo nic z tego nie mogę zrozumieć.

– Cóż, panienko, i tak się panienka dowie. Widzi

panienka, Sarah była w najlepszym miejscu, przy prawym oknie, i wszystko widziała. I ona mówi, już wtedy mówiła, że widziała, jak panna Hale obejmowała pana za szyję. Przytuliła go przed tymi wszystkimi ludźmi.

– Nie wierzę w to – stwierdziła Fanny. – Wiem, że ona lata za moim bratem. Każdy to widzi. I jestem pewna, że oddałaby wszystko, żeby się z nią ożenił, ale do tego nigdy nie dojdzie, mogę jej to obiecać. Ale nie wierzę, żeby była aż tak zuchwała i bezwstydna, żeby go obejmować za szyję.

– Biedna młoda pani! Jeśli naprawdę tak zrobiła, to drogo za to zapłaci. Jestem pewna, iż uderzenie uniosło tyle krwi do głowy, że ona nigdy nie wydobrzeje. Zresztą już teraz wygląda na trupa.

– Och, chciałabym, aby mama już wróciła – jęczała Fanny, załamując ręce. – Nigdy przedtem nie byłam w tym samym pokoju z kimś martwym.

– Niech panienka czeka. Ona nie jest martwa. Drżą jej powieki, o, a tu po policzku płynie łza. Niech panienka coś do niej powie.

– Czy już pani lepiej? – spytała Fanny rozdygotanym głosem.

Nie otrzymała odpowiedzi ani żadnego znaku, że ranna ją rozpoznała. Tylko odrobina różu powróciła na wargi Margaret, choć reszta twarzy nadal miała barwę popiołu.

Pani Thornton weszła pośpiesznie, a za nią lekarz, który mieszkał najbliżej.

– Co z nią? Lepiej ci, moja droga? – spytała, gdy dziewczyna otworzyła zamglone oczy i sennie się w nią wpatrywała. – Przyszedł doktor Lowe.

Pani Thornton mówiła głośno i wyraźnie, jakby zwracała się do kogoś głuchego. Margaret próbowała się podnieść i ściągnąć potargane, bujne włosy na ranę.

– Już mi lepiej – powiedziała bardzo cichym, niepewnym głosem. – Trochę źle się poczułam.

Pozwoliła lekarzowi ująć swoją dłoń i zbadać puls. Na jej twarzy wykwitły rumieńce, gdy badał skaleczenie na czole, spojrzała przy tym na Jane, jakby bardziej wzdragała się przed dotykiem służącej niż lekarza.

– Myślę, że to nic takiego. Czuję się już lepiej. Muszę iść do domu.

– Najpierw założę kilka pasków plastra. No, i musi pani trochę odpocząć.

Bez dalszych słów usiadła pospiesznie i pozwoliła lekarzowi założyć opatrunek.

– A teraz, jeśli można – powiedziała – muszę iść. Myślę, że mama tego nie zauważy, prawda? Plastry są pod włosami?

– Nikt niczego nie zauważy.

– Ależ nigdzie pani nie może iść – oznajmiła pani Thornton ze zniecierpliwieniem. – Nie jest pani dość silna.

– Muszę – odpowiedziała Margaret zdecydowanym głosem. – Proszę pomyśleć o mojej mamie. Gdyby się dowiedzieli... Poza tym muszę iść – dodała porywczo. – Nie mogę tu zostać. Czy mogę prosić o wezwanie dorożki?

– Jest pani bardzo rozpłomieniona i rozgorączkowana – zauważył doktor Lowe.

– To tylko przez to, że jestem tutaj, choć tak bardzo pragnę wrócić do domu. Wyjście na świeże powietrze pomoże mi jak nic innego – przekonywała.

– Może rzeczywiście jest tak, jak pani mówi – oznajmił lekarz. – Jeśli pani matka jest tak chora, jak mi opowiadała pani Thornton po drodze, może być dla

niej niebezpieczne, gdy usłyszy o tych zamieszkach, a jej córka nie wróci o czasie do domu. Rana nie jest głęboka. Sprowadzę dorożkę, jeśli służące nadal obawiają się opuścić dom.

– Och, dziękuję – odrzekła Margaret – to mnie od razu uleczy. Wydaje mi się, że to tutejsze powietrze tak mi szkodzi.

Wygodniej rozparła się na sofie i zamknęła oczy. Fanny gestami wyciągnęła matkę z pokoju i coś jej powiedziała, przez co pani domu zaczęła sobie życzyć odejścia gościa co najmniej tak samo mocno jak sama Margaret. Pani Thornton nie uwierzyła, co prawda, całkowicie w relację Fanny, ale wystarczająco, by pożegnać się z dziewczyną bardzo sztywno.

Pan Lowe powrócił z dorożką.

– Jeśli pani pozwoli, panno Hale, odwiozę panią do domu. Ulice nie są jeszcze zupełnie spokojne.

Margaret na tyle już oprzytomniała, by chcieć jak najszybciej pozbyć się zarówno lekarza, jak i dorożki, zanim dotrą na Crampton Crescent, bo nie mogła dopuścić, by ich widok zaalarmował rodziców. Poza tym nic jej w tej chwili nie interesowało. Oczywiście nie

mogłaby zapomnieć tych zuchwałych, brzydkich słów, które o sobie usłyszała, ale świadomie puściła je mimo uszu, przynajmniej do czasu, aż odzyska siły, gdyż – och, jakże była słaba! Jej umysł gorączkowo poszukiwał jakiejś myśli, aby się na niej wesprzeć i wyciszyć, a tym samym ustrzec się przed kolejnym okropnym omdleniem.

XXIII

POMYŁKI

*A gdy to ujrzała jego matka, w głębi serca
Poważnie się zafrasowała, nie wiedząc, co z tego wyniknie.*

Edmund Spenser, „The Faerie Queen”

Nie upłynęło pięć minut od wyjścia Margaret, gdy wrócił pan Thornton z jaśniejącą twarzą.

– Nie mogłem przyjść wcześniej, nadzorca by... Gdzie ona jest? – Rozejrzał się po jadalni, a potem spojrział prawie surowo na matkę, która tymczasem przywracała pokój do normalnego stanu i nie odpowiedziała na jego pytanie. – Gdzie jest panna Hale? – spytał ponownie.

– Poszła do domu – oznajmiła mu krótko.

– Poszła do domu?

– Tak. Czowała się o wiele lepiej. Nie wydaje mi się zresztą, aby to była poważna rana. Po prostu niektórzy ludzie mdleją z byle powodu.

– To niedobrze, że poszła do domu – powiedział, chodząc niespokojnie. – Z pewnością nie odzyskała jeszcze na tyle sił.

– Powiedziała, że może już iść, a doktor Lowe to potwierdził. Sama po niego poszłam.

– Dziękuję ci, mamó. – Przystanął i lekko wyciągnął rękę w jej stronę, jakby chciał z wdzięczności uściśnąć jej dłoń. Ona jednak nie zauważyła tego gestu.

– Jak ci poszło z Irlandczykami?

– Posłałem Pod Smoka po solidny posiłek dla tych nieszczęśników. I tak się dobrze złożyło, że spotkałem ojca Grady'ego. Poprosiłem go, aby do nich przemówił i poradził im, by nie wracali jedną grupą. W jaki sposób panna Hale wróciła do domu? Jestem pewien, że nie byłaby w stanie iść pieszo.

– Pojechała dorożką. Wszystko zostało załatwione tak, jak należało, z zapłatą włącznie. Porozmawiajmy lepiej o czymś innym. Dosyć nam sprawiła kłopotu.

– Nie wiem, gdzie bym się teraz znajdował, gdyby nie ona.

– Czyżbyś się stał tak bezsilny, że musi cię bronić dziewczyna? – spytała pani Thornton ze wzgardą.

Poczerwieniał.

– Niewiele kobiet przyjęłoby na siebie ciosy, które były przeznaczone dla mnie. Całkiem silne i całkiem celne.

– Zakochana kobieta jest zdolna do wielu rzeczy – krótko odpowiedziała pani Thornton.

– Matko! – Postąpił krok do przodu i zatrzymał się, z trudem nad sobą panując.

Zaskoczyła ją siła, jakiej musiał użyć, by narzucić sobie spokój. Nie była pewna natury tych hamowanych emocji, które wywołała, dostrzegła tylko ich niespotykaną gwałtowność. Czy to był gniew? Oczy mu błyszczały, wydał jej się wyższy, oddychał płytko i szybko. To, co w nim wyczuła, było mieszaniną radości, gniewu, dumy, zdumienia i pragnienia. Nie potrafiła jednak dokładnie tego odczytać. Zaburzyło to jej spokój, jak dzieje się zawsze w obecności silnych uczuć, których przyczyny nie rozumiemy lub nie podziwiamy. Podeszła

do bocznego kredensu, otworzyła szufladę i wyciągnęła ścierkę do wycierania kurzu, którą przechowywała tam na wszelki wypadek. Dostrzegła kroplę wody kolońskiej na politurowanym oparciu sofy i odruchowo postanowiła ją wytrzeć. Stała odwrócona tyłem do syna znacznie dłużej, niż to było konieczne, a gdy się w końcu odezwała, jej głos wydawał się zmieniony i sztuczny.

– Przypuszczam, że podjąłeś jakieś kroki wobec buntowników. Nie obawiasz się już więcej przemocy, prawda? A gdzie była policja? Nigdy ich nie ma, gdy są potrzebni!

– Wprost przeciwnie. Widziałem trzech czy czterech, którzy całkiem nieźle walczyli, gdy wyłamano bramę, a potem nadbiegli kolejni, gdy dziedziniec pustoszał. Mogłem już wtedy oskarżyć kilku z robotników, gdybym miał do tego głowę. Myślę jednak, że to nic straconego, bo wielu ludzi potrafi ich zidentyfikować.

– Ale już dzisiaj nie wrócą?

– Dopilnuję, aby zapewniono wystarczającą ochronę całej posesji. Za pół godziny mam umówione spotkanie na posterunku z kapitanem Hanburym.

– Wypij przedtem herbatę.

– Tak, to chyba dobry pomysł. Jest już wpół do siódmej i raczej szybko nie wrócę. Nie czekaj na mnie, mamo.

– Chyba nie myślisz, że pójdę spokojnie do łóżka, nie upewniwszy się, że wróciłeś bezpiecznie do domu?

– Nie, rzeczywiście nie. – Zawahał się na moment. – Jeśli będę miał czas, to po spotkaniu z policją, a potem z Hamperem i Clarksonem wrócę przez Crampton.

Ich oczy się spotkały. Przez chwilę patrzyli na siebie w skupieniu, a potem ona zapytała:

– Dlaczego wracasz przez Crampton?

– Chcę sprawdzić, jak się czuje panna Hale.

– Poślę tam po wiadomości. Williams i tak musi zanieść wodne łóżko, o które prosiła. Wtedy o nią zapyta.

– Muszę tam pójść osobiście.

– Nie tylko po to, by spytać, jak ona się czuje?

– Nie, nie tylko po to. Także by jej podziękować za sposób, w jaki dzisiaj stanęła między mną a tłumem.

– Co w ogóle skłoniło cię, żeby zejść na dół? To było jak wchodzenie do jaskini lwa!

Spojrzał szybko na nią i zrozumiał, że matka nic nie wie o tym, co zaszło między nim a Margaret w salonie. Odpowiedział pytaniem:

– Czy będziesz się bała zostać sama w domu, zanim uda mi się sprowadzić tu policjantów? A może lepiej będzie, jeśli wyślemy teraz po nich Williamsa? Wtedy dotarliby tu, zanim skończymy herbatę. Nie ma czasu do stracenia, bo najpóźniej za kwadrans muszę wyjść.

Pani Thornton wyszła z pokoju, a służba zdumiała się jej poleceniami, zwykle konkretnymi i zdecydowanymi, a teraz mętnymi i niepewnymi. John Thornton został w jadalni i próbował skoncentrować się na sprawach, które miał załatwić na policji, a w rzeczywistości myślał o Margaret. Wszystko wydawało się takie mgliste, takie rozmyte, poza... oprócz... z wyjątkiem jej ramion wokół jego szyi... miękkiego przytulenia, na wspomnienie którego jeszcze teraz robiło mu się gorąco.

Herbata upłynęłaby w kompletnej ciszy, gdyby nie zakłócała jej Fanny, w nieskończoność opisująca swoje uczucia i przeżycia: jak bardzo była przerażona, jak myślała, że odeszli, jak poczuła się chora i słaba, jak cała drżała.

– Tak, tak. Skończ już z tym – powiedział jej brat, wstając od stołu. – Rzeczywistość zupełnie mi wystarczy.

Zamierzał opuścić pokój, ale matka go zatrzymała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Wróć tutaj, zanim pójdziesz do Hale’ów – poprosiła niskim, niespokojnym głosem.

– A ja wiem swoje – powiedziała Fanny do siebie.

– Dlaczego? Nie chciałbym ich niepokoić o zbyt późnej porze – odpowiedział pan Thornton matce.

– John, wróć do mnie na ten jeden wieczór. Rzeczywiście, pora będzie zbyt późna dla pani Hale, ale nie o to chodzi. Jutro możesz... Wróć dzisiejszego wieczoru tutaj. – Rzadko go o cokolwiek błagała. Była na to zbyt dumna. Ale gdy już to robiła, to nigdy na próżno.

– Wrócę tu natychmiast, jak tylko załatwię sprawy przędzalni. Będziesz pamiętała, aby dowiedzieć się o nich?... O nią?

Podczas nieobecności syna pani Thornton w najmniejszym stopniu nie była dla Fanny ani rozmowną towarzyszką, ani uważnym słuchaczem. Natomiast po powrocie Johna cała uwaga matki skupiła się na wysłuchaniu szczegółowej relacji ze wszystkich kroków, jakie podjął, aby zapewnić bezpieczeństwo rodzinie i tym, których zdecydował się zatrudnić, a także by nie do-

puścić do powtórki ostatnich zajęć. Nie miał żadnych wątpliwości. Kara i cierpienie miały być naturalną konsekwencją dla tych, którzy wzięli udział w rozruchach. Było to niezbędne, aby zapewnić ochronę własności i aby wola właściciela stanowiła na jego terenie prawo, równie ostre i bezwzględne jak miecz.

– Mamo! Wiesz, co mam do powiedzenia pannie Hale jutro, prawda?

To pytanie spadło na nią niespodziewanie w chwili, gdy udało jej się w końcu zapomnieć o Margaret. Spojrzała na niego.

– Tak. Wiem. Nic innego nie możesz zrobić.

– Nic innego? Nie rozumiem.

– Chodzi mi o to, że skoro dopuściłeś, by publicznie okazała swe uczucia, to możesz czuć się zobowiązany honorem...

– Zobowiązany honorem – rzucił kpiąco. – Obawiam się, że honor nie ma z tym nic wspólnego. Okazała swe uczucia? O jakie uczucia ci chodzi?

– Ależ, John, nie ma powodu do gniewu. Czy nie pobiegła na dół i nie tuliła się do ciebie, aby cię zasłonić?

– Tak! – potwierdził. – Ale, mamó – kontynuował po chwili, przerywając swój spacer po pokoju i stając przed nią – nie śmiem mieć nadziei. Nigdy nie byłem człowiekiem słabej wiary, ale nie wierzę, aby taka istota jak ona choć trochę o mnie dbała.

– Nie bądź niemądry, John. Taka istota! Z tego, co mówisz, można by pomyśleć, że chodzi o córkę jakiegoś księcia! Ciekawe, jakiego chciałbyś jeszcze dowodu jej uczuć do ciebie. Z pewnością była zmuszona zwalczyć to swoje arystokratyczne podejście do ludzi. W to nie wątpię. Ale bardziej ją lubię teraz, gdy wreszcie zdobyła się na szczerłość. Wiesz, jak wiele znaczy takie stwierdzenie z moich ust. – Pani Thornton uśmiechnęła się powoli, a w jej oczach błysnęły łzy. – Po tym wieczorze bowiem schodzę na drugie miejsce. To dlatego błagałam cię, abyś przesunął swą wizytę u niej na jutro. Chciałam cię mieć dla siebie, tylko dla siebie, o te kilka godzin dłużej!

– Najdroższa mamó!

A jednak miłość jest samolubna, bo zamiast matką zajął się z powrotem swymi nadziejami i obawami tak szybko, że serce pani Thornton zasnuł lodowaty cień.

– Wiem, że ona o mnie nie dba. Rzucę się do jej stóp... Muszę... Nawet jeśli miałbym jedną szansę na tysiąc... Jedną na milion... muszę to zrobić.

– Nie obawiaj się! – zapewniła go matka, ignorując własne zmartwienie, gdy dostrzegła, jak niewielką wagę przywiązywał do tak rzadko wyrażanych przez nią uczuć macierzyńskich, do tego ukłucia zazdrości, które najlepiej świadczyło o intensywności jej zlekceważonej miłości. – Nie bój się – dodała chłodno. – Jeśli chodzi o miłość, to jej uczucie z pewnością dorównuje twojemu. Nie było jej łatwo przemóc tę jej dumę. Nic się nie bój, John – powiedziała, całując go na dobranoc.

Wyszła z jadalni, wolno i majestatycznie. A potem, gdy już była w swoim pokoju, zamknęła drzwi i usiadła, by wypłakać tak niezwykle dla siebie łzy.

Margaret weszła do bawialni, gdzie siedzieli jej rodzice i przyciszonymi głosami prowadzili rozmowę. Nadal wyglądała blado i mizernie.

– Pani Thornton przyśle ci łóżko wodne, mamó – powiedziała wciąż jeszcze niepewnym głosem.

– Kochanie, wyglądasz na taką zmęczoną! Jest bardzo gorąco, Margaret?

– Bardzo. A do tego miasto jest niespokojne przez ten strajk.

Na bardzo krótką chwilę kolory wróciły na twarz Margaret, ale prawie natychmiast zniknęły.

– Jest tu wiadomość od Bessy Higgins z prośbą, abyś do niej przyszła – powiedziała pani Hale – ale uważam, że jesteś na to zbyt zmęczona.

– Tak, jestem zmęczona – potwierdziła. – Nie mogę do niej pójść.

Podczas przygotowywania herbaty milczała i cała się trzęsła. Ku jej zadowoleniu ojciec do tego stopnia był zajęty matką, że nie zauważył niezwykłego wyglądu córki. Nawet gdy pani Hale położyła się do łóżka, nie chciał się zgodzić na opuszczenie żony i zaoferował się, że poczyta jej przed snem. Margaret została sama.

„Teraz o tym pomyślę. Teraz sobie to wszystko przypomnę. Przedtem nie mogłam. Przedtem nie śmiałam”. Usiadła prosto na krześle, dłonie splotła i ułożyła na kolanach, zacisnęła usta, a oczy wpatrywały się w jeden punkt, jakby doświadczała wizji. Głęboko nabrała powietrza.

„Ja, która nienawidzę scen... Ja, która pogardzałam

ludźmi okazującymi emocje... uważając, że brakuje im samokontroli... I to właśnie ja zbiegłam na dół i koniecznie musiałam się rzucić w bijatykę, jak jakaś szalona romantyczka. Czy zrobiłam cokolwiek dobrego? Śmiem twierdzić, że i beze mnie po prostu by stamtąd odeszli”. To były jednak zbyt daleko idące wnioski, na co natychmiast zwróciła uwagę chłodna i zrównoważona część jej umysłu. „A może by nie odeszli? Może jednak pomogłam? Ale co mnie opętało, żeby osłaniać tego człowieka, jakby był bezbronnym dzieckiem? Ach! Nic dziwnego, iż te kobiety pomyślały, że się w nim zakochałam, skoro się zhańbiłam. Ja zakochana. I do tego w nim!” Jej białe policzki nagle stanęły w ogniu. Przyłożyła dłonie do twarzy, a gdy je odsunęła, były mokre od palących łez.

„Jak nisko upadłam, że ktoś ośmielił się tak o mnie mówić. Tylko dla niego mogłam się zdobyć na tyle odwagi właśnie dlatego, że jest mi zupełnie obojętny! O ile rzeczywiście nie czuję do niego niechęci. Bardziej chodziło mi chyba o to, żeby obie strony grały z sobą uczciwie. A to nie było uczciwe, że on tam stał w mieszkaniu i czekał na żołnierzy, żeby złapali tych oszala-

łych biedaków w pułapkę. I nawet nic nie zrobił, żeby ich uspokoić. Ale jeszcze gorsze było to, że zamierzali na niego napaść, tak jak grozili. Tak. Zrobiłabym to samo i niech sobie mówią, co chcą. Jeśli powstrzymałam choć jeden cios, jeśli zapobiegłam choć jednemu okrutnemu wybuchowi gniewu, to postąpiłam, jak na kobietę przystało. I niech sobie obrażają moją panięńską dumę. Przed Bogiem stanę czysta”.

Uniosła głowę i na jej twarz spłynął tak pełen szlachetności spokój, że przypominała wykutą w marmurze.

Weszła Dixon.

– Jeśli można, panienko, oto łóżko wodne od pani Thornton. Tak sobie myślę, że dzisiaj to już za późno, bo pani prawie śpi, ale jutro się przyda.

– Na pewno – odpowiedziała Margaret. – Musimy podziękować pani Thornton.

Dixon wyszła, lecz po chwili wróciła.

– Jeśli można, panienko, ten człowiek mówi, że miał specjalnie spytać, jak się panienka czuje. Myślałam, że chodzi mu o naszą panią, ale on się upiera, że koniecznie miał spytać o pannę Hale.

– O mnie! – powtórzyła Margaret, prostując się. – Czuję się całkiem nieźle. Powiedz mi, że czuję się doskonale – odpowiedziała z twarzą bielszą niż całun i boleśnie pulsującą głową.

Wszedł pan Hale. Opuścił śpiącą żonę i liczył na to, co Margaret od razu dostrzegła, że córka opowie mu coś, czym go ubawi i zainteresuje. Ze słodką cierpliwością przemogła swe cierpienia bez słowa skargi i wynalazła mnóstwo drobnych tematów do lekkiej rozmowy poza tym jednym, dotyczącym zamieszek. Na samą myśl o tym robiło jej się słabo.

– Dobranoc, Margaret. Mam wielkie szanse na naprawdę dobrą noc. A ty wyglądasz bardzo blado od tego ciągłego czuwania. Wezwę Dixon, jeżeli matka będzie potrzebowała czegokolwiek. Ty zaś idź do łóżka i śpij jak suseł, bo jestem pewien, że tego potrzebujesz, moja biedulko.

– Dobranoc, papo.

Pozwoliła rumieńcom zniknąć, wymuszony uśmiech odpłynął, a oczy przytępił uporczywy ból. Margaret rozluźniła swą silną wolę, tak zaangażowaną podczas rozmowy z ojcem. Aż do rana mogła czuć się chora i wycieńczona.

Leżała zupełnie nieruchomo. Poruszenie ręką lub nogą, a nawet palcem, byłoby dla niej wysiłkiem przekraczającym siły i woli, i ciała. Była tak zmęczona, tak oszołomiona, że obawiała się, czy w ogóle zdoła zasnąć. Jej rozgorączkowane myśli raz po raz przekraczały granicę pomiędzy jawą a snem, błędząc, jakby zagubione we własnej przestrzeni. Nie dane jej było zostać samej – powalonej, bezsilnej. Gąszcz skłębionych twarzy wpatrywał się w nią. Nie gniewało jej to ani nie czuła się z tego powodu zagrożona, doświadczała natomiast głębokiego poczucia wstydu, że stała się przedmiotem takiego spojrzenia, takiej obserwacji, a to wrażenie było tak silne, że miała ochotę zagrzebać się pod ziemią. Mimo że się starała, nie mogła jednak umknąć tej penetracji wielu par patrzących na nią nieruchomo oczu.

XXIV

WYJAŚNIONE NIEPOROZUMIENIA

*Twój powab pierwszy serce moje podbił,
Skruszywszy wokół niego mury zbrojne.
W okrutny jasyr wzięte, płonie ogniem
I w samotności wzdycha niespokojne.
Wiedz wszak, że sługa twój się nie poddaje,
Na przekór twej odmowie hardo staje.*

*William Fowler, „The Tarantula of Love”,
przet. Joanna Puchalska*

Następnego ranka Margaret zwlokła się z łóżka, wdzięczna, że noc dobiegła końca, choć mimo wszystko udało jej się trochę odpocząć. W domu panował spokój. Matka obudziła się tylko raz w ciągu

nocy. Lekki zefirek poruszał rozgrzany powietrzem i choć w okolicy nie było drzew, na których można by obserwować igranie wiatru pomiędzy liśćmi, to Margaret wiedziała, że na peryferiach miasta, w zagajnikach i gęstych lasach rozbrzmiewa kojąca, szemrząca melodia, a ta myśl o wznoszących się i opadających dźwiękach napełniała ją szczęściem.

Zasiadła ze swoją robótką w pokoju pani Hale. Zamierzała po zakończeniu przedpołudniowej drzemki matki pomóc jej się ubrać i po obiedzie wyjść do Bessy Higgins. Chciała się pozbyć wszelkich wspomnień o rodzinie Thorntonów i przekonywała się, że nie ma najmniejszego powodu, by o nich myśleć, przynajmniej dopóki przed nią nie staną. Oczywiście, im bardziej pragnęła o nich nie pamiętać, tym częściej pojawiali się w jej myślach, a od czasu do czasu ostry rumieniec wykwitał na jej twarzy, podobnie jak promienie słońca przenikają przez chmury i rozbłyskują na powierzchni morza.

Dixon bardzo delikatnie otworzyła drzwi i na paluszkach zbliżyła się do Margaret, siedzącej przy zaciemnionym oknie.

– Pan Thornton, panienko Margaret. Jest w salonie.

Dziewczyna przerwała szycie.

– Pytał o mnie? Czy papy nie ma?

– Pytał o panienkę. A nasz pan wyszedł.

– Dobrze, już idę – powiedziała cicho Margaret, ale dziwnie się ociągała.

John Thornton stał tyłem do drzwi przy jednym z okien i przyglądał się czemuś na ulicy. W rzeczywistości przejmował go strach. Serce waliło mu w piersi na samą myśl, że ona się zbliża. Nie potrafił zapomnieć dotyku jej ramion wokół swej szyi i własnej niecierplivej reakcji. Wspomnienie tego, jak tuliła się do niego, chcąc go ochronić, przejmowało go dreszczem, podawało w wątpliwość każde powzięte postanowienie, odbierało siłę samokontroli, jakby to wszystko było woskiem wystawionym na działanie ognia. Obawiał się, że ruszy ku niej z ramionami wyciągniętymi w niemym błaganiu, aby podeszła i się w niego wtuliła, jak zrobiła to poprzedniego dnia. Wtedy zlekceważył jej gest, ale nie zamierzał popełnić tego błędu nigdy więcej. Jego serce biło głośno i szybko. Był tak silnym człowiekiem, a drżał na samą myśl o tym, co miał powiedzieć i jak

to zostanie przez nią przyjęte. Mogła zasłabnąć, mogła się zarumienić, mogła opaść w jego ramiona, jakby znalazła swe miejsce na ziemi. W jednej chwili rozpromieniał się, marząc, że tak mogłoby się stać, a już w następnej obawiał się gwałtownego odrzucenia, i na myśl o tym cała jego przyszłość wydawała się ginąć niczym rażona śmiertelną kłatwą. Nawet nie chciał brać tego pod uwagę. Drgnął, zaskoczony wrażeniem czyjejś obecności w pokoju. Odwrócił się. Weszła tak cicho, że jej nie usłyszał. Hałasy uliczne były dla jego ucha wyraźniejsze niż jej płynne ruchy w miękkiej muslinowej sukni.

Stała przy stole i nie zaproponowała, by usiadł. Jej powieki w połowie zasłaniały oczy. Nie zaciskała ust, miała je lekko rozchylone, akurat na tyle, by biała linia zębów była widoczna pomiędzy wygiętymi wargami. Delikatne nozdrza rozszerzały się w rytm powolnych, głębokich oddechów i były to jedyne widoczne na jej twarzy poruszenia. Pokryta żyłkami skóra, owal policzków, pełne wargi, kąciki ust z towarzyszącymi im dołeczkami – wszystko to było tego dnia blade i zabiedzzone. Wrażenie utraty naturalnej, zdrowej kolorystyki

potęgował cień ciemnych włosów ściągniętych na skronie dla ukrycia śladów ciosu, który otrzymała. Głowę, pomimo półprzymkniętych oczu, trzymała lekko odchyloną w dawnej, dumnej postawie. Długie ramiona zwieszały się nieruchomo wzdłuż boków. Ogólnie sprawiała wrażenie więźnia niesłusznie oskarżonego o przestępstwo, którym gardzi i do którego czuje wstręt, a przez to nie zamierza się usprawiedliwiać ani tłumaczyć.

Pan Thornton wykonał jeden czy dwa pospieszne kroki w jej stronę, ale szybko się opanował i podszedł spokojnie do drzwi, które Margaret zostawiła otwarte. Zamknął je, wrócił w głąb pokoju i na moment zatrzymał się naprzeciwko niej przy stole, chłonąc jej oszałamiające piękno, zanim ośmielił się zakłócić jej spokój. Bał się, że tym, co powie, tylko odepchnie ją od siebie.

– Panno Hale, wczoraj byłem bardzo niewdzięczny...

– Nie było żadnego powodu do wdzięczności – powiedziała, podnosząc wzrok i patrząc mu prosto w oczy. – Przypuszczam, że uważa się pan za zobowiązanego do dziękowania mi za to, co zrobiłam. – Wbrew woli, pomimo gniewu, rumieńce wystąpiły jej na twarz,

a oczy zapłonęły, nie tracąc jednak przy tym powagi spojrzenia. – To był tylko naturalny odruch. Każda kobieta postąpiłaby tak samo. Zawsze w obliczu zagrożenia odczuwamy nienaruszalność naszej płci jako przywilej. To ja raczej powinnam – dodała szybko – przeprosić za swoje bezmyślne słowa, które sprowokowały pana do wystawienia się na niebezpieczeństwo.

– To nie pani słowa mnie tam wysłały, ale prawda, którą zawierały, chociaż została ona dość zjadliwie wyrażona. Ale nie powinna pani zmieniać tematu i odwracać mojej uwagi od głębokiej wdzięczności, od mojej... – Stał na krawędzi. Nie chciał się wypowiadać w pośpiechu narzucanym przez emocje, chciał ważyć każde słowo. Chciał, a jego wola zatriumfowała. Zatrzymał się na wpół rozpędzony.

– Nie próbuję zmieniać tematu – powiedziała. – Ja tylko stwierdziłam, że nie jest mi pan winien żadnej wdzięczności. I dodam jeszcze, że każde jej wyrażanie będzie dla mnie bolesne, ponieważ w moim mniemaniu nie zasługuję na nią. Jeśli jednak takie słowa mają ulżyć pańskiemu wyobrażonemu zobowiązaniu, to proszę mówić.

– Nie chodzi o moją chęć doznania ulgi od jakiegokolwiek zobowiązania – rzekł, sprowokowany jej chłodem – wyobrażonego lub nie. Nie wnikam teraz, które... Uważam, wierzę, że zawdzięczam pani życie... Może się pani uśmiechać i uważać to za przesadę. Ja w to wierzę, ponieważ ta myśl przyda memu życiu wartości... Och panno Hale! – kontynuował, tak bardzo zniżając głos pod wpływem nasilających się uczuć, że dziewczyna zaczęła drżeć i dygotać. – Na skutek tych okoliczności zawsze od teraz, przeżywając chwile wielkiej radości, będę mógł powiedzieć sobie: „Całe zadowolenie, całe szczęście w życiu, moją dumę z wykonywanej pracy na tym świecie, radość z istnienia zawdzięczam jej”. A to podwoi moje zadowolenie, rozjaśni dumę, wzmocni radość istnienia tak bardzo, że nie będę umiał powiedzieć, czy to jeszcze przyjemność, czy już ból. Sama myśl, że to wszystko dzięki jednej osobie, nie... Musi pani, ja muszę... – Podszedł bliżej z nagłą determinacją. – Dzięki jednej osobie, którą kocham, jak nigdy przedtem żaden mężczyzna nie kochał kobiety.

Trzymał mocno jej dłoń w swojej. Dyszał, czekając

na odpowiedź. I wypuścił jej rękę z oburzeniem na sam dźwięk jej lodowatego tonu. Jej głos naprawdę ścinał krew w żyłach, choć same słowa dobierała z wahaniem, jakby nie bardzo wiedziała, skąd je wziąć:

– Pana sposób wypowiadania się jest dla mnie wstrząsem. To bluźnierstwo. Takie właśnie jest moje wrażenie i nic na to nie poradzę. Przypuszczam, że nie miał pan takiej intencji, o ile właściwie zrozumiałam, o jakich uczuciach pan mówił. Nie chcę pana rozgniewać, poza tym musimy rozmawiać spokojnie, ponieważ moja matka śpi. Ale całe pana zachowanie mnie obraża...

– Jak to! – wykrzyknął. – obraża panią? Cóż, w takim razie prawdziwy ze mnie nieszczęśnik!

– Tak! – potwierdziła z odzyskaną godnością. – Czuję się obrażona i uważam, że słusznie. Wydaje się, że uznał pan moje wczorajsze zachowanie – jej twarz ponownie pociemniała, ale tym razem oczy zapłonęły raczej ze wzburzenia niż wstydu – za osobistą sprawę między panem a mną, za którą może pan przyjść i mi dziękować. Nie przyszło panu do głowy, żeby w tym zajściu dostrzec, a tak postąpiłby dżentelmen, tak, wła-

śnie dżentelmen – powtórzyła, nawiązując tym samym do ich poprzedniej rozmowy – że każda kobieta zasługująca na to miano wystąpiłaby jako tarcza, aby swą czczoną powszechnie bezbronnością zasłonić człowieka zagrożonego przemocą ze strony tłumu?

– A dżentelmenowi tak uratowanemu podziękowanie jest wzbronione! – wtrącił z ironią. – Ale ja jestem człowiekiem, nie dżentelmenem. I domagam się prawa do wyrażania swych uczuć.

– I ja ustąpiłam wobec tego prawa. A teraz stwierdzam po prostu, że egzekwując to prawo, sprawił mi pan ból – odpowiedziała z dumą. – Ale chyba mniema pan, że nie tylko kobiecy odruch mną kierował, ale... – Gorące łzy, powstrzymywane i gwałtownie zwalczane, napłynęły jej do oczu i zdławiły głos. – ...że do działania skłoniło mnie jakieś specjalne uczucie wobec... wobec pana! Nie było tam męczyzny, nawet najbardziej zdesperowanego z całego tłumu biedaka, dla którego nie miałabym więcej sympatii, dla którego nie zrobiłabym czegokolwiek z większą chęcią.

– Może pani mówić dalej, panno Hale. Pani niewłaściwie ulokowane sympatie są mi znane. Teraz wie-

rzę, że tylko pani wrodzone poczucie sprzeciwu wobec ucisku, tak, chociaż jestem ich pracodawcą, mogą być uciskany, a zatem to poczucie sprawiło, że zachowała się pani tak szlachetnie. Wiem, że pani mną gardzi, ale pozwolę sobie powiedzieć, iż jest to spowodowane tym, że mnie pani nie rozumie.

– Nie zależy mi na tym, aby pana rozumieć – odpowiedziała, chwytając się blatu stołu, aby się na nim wesprzeć, bo osłabła z oburzenia. Uważała, że pan Thornton jest wobec niej okrutny, i rzeczywiście taki był.

– Właśnie widzę, że pani na tym nie zależy. Jest pani nieuczciwa i niesprawiedliwa.

Margaret zacisnęła usta. Nie zamierzała w ogóle odpowiadać na takie oskarżenia. Mimo to, mimo swych ostrych słów, nadal był jednak gotów rzucić się do jej stóp i ucałować rąbek jej sukni. Nie odezwała się, nie poruszyła. Gorące i szybkie łzy zranionej dumy spływały jej po twarzy. Czekał chwilę, aby coś powiedziała, cokolwiek, nawet szyderstwo, bo mógłby jej wtedy odpowiedzieć. Ale ona milczała. Wziął do ręki kapelusz.

– Jeszcze tylko jedno słowo. Wygląda pani, jakby

się pani uważała za zbrukaną moją miłością. Nie może jej pani uniknąć. A ja, choćbym chciał, nie mogę pani z mojej miłości oczyścić. Ale nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym tego. Nigdy przedtem nie kochałem kobiety. Moje życie było zbyt wypełnione pracą, moje myśli za bardzo pochłonięte innymi sprawami. Teraz Kocham i będę kochał. Proszę się jednak nie niepokoić, nie dojdzie do zbytnej demonstracji moich uczuć.

– Nie boję się – odpowiedziała, prostując się. – Nikt dotychczas nie ośmielił się zachować wobec mnie impertynencko i nikt się nie ośmieli. Ale, panie Thornton, był pan bardzo dobry dla mego ojca – dodała, całkowicie zmieniając ton głosu, który teraz przybrał kobiecą miękkość. – Nie dopuśćmy do powstania gniewu między nami. Proszę, nie!

Nie zwrócił uwagi na jej słowa. Przez chwilę zajmował się wygładzaniem kapelusza rękawem surduta. A potem, odrzuciwszy wyciągniętą na zgodę rękę i udając, że nie dostrzegł jej pełnego żalu oblicza, gwałtownie się odwrócił i wyszedł z pokoju. A zanim go opuścił, Margaret zobaczyła w przelocie jego twarz.

Po wyjściu Johna pomyślała, że chyba dostrzegła

w jego oczach błysk neuronionych łez, i to zmieniło jej dumną niechęć w coś innego, łagodniejszego, poczuła prawie bolesne wyrzuty, że sprawiła komuś taką przykrość.

Ale co miałam zrobić? – spytała samą siebie. Przecież ani przez moment go nie lubiłam. Byłam zawsze grzeczna, ale nie zadawałam sobie trudu, aby taić moją obojętność. Przecież nigdy nie myślałam o nas, o nim i o mnie, więc moje zachowanie musiało pokazać moje prawdziwe uczucia. Źle ocenił wczorajsze wydarzenia, całkowicie źle. Postąpiłabym jednak tak samo, gdyby była taka potrzeba, nawet gdybym musiała ponownie przebrnąć przez ten wstyd i nieprzyjemności.

XXV

FREDERICK

*My ją własnemu zostawim losowi;
Rychło się Albion o jej krzywdzie dowie,
Złamana karność i zdeptane prawo
Wołają pomsty.*

*George Byron, „Wyspa”,
przet. Adam Pajgert*

Margaret zaczęła się zastanawiać, czy każde oświadczenie są tak nieoczekiwane i tak denerwujące w chwili, gdy następują, jak te dwie oferty, które jej złożono. Podświadomie i nieumyślnie zaczęła porównywać pana Lennox z panem Thorntonem. Żałowała, że okoliczności skłoniły pana Henry'ego

Lennox do wyrażenia uczuć innych niż przyjaźń, i ten żal dominował przy pierwszej propozycji. Wtedy jednak nie czuła się tak zaskoczona, tak ogłuszona jak teraz, kiedy w pokoju nadal pobrzmiwało echo słów wypowiedzianych przez pana Thorntona. W przypadku Lennox odnosiła wrażenie, że po prostu ześlizgnął się na moment poza linię stanowiącą granicę między przyjaźnią a miłością, a w chwilę później już tego żałował, podobnie jak ona, choć z innych powodów. Jednakże teraz, gdy chodziło o pana Thorntona, zabrakło owego pośredniego stadium przyjaźni, przynajmniej z tego, co wiedziała Margaret. Ich relacje stanowiły długie pasmo wzajemnych opozycji, ich przekonania były ze sobą sprzeczne, a ponadto nigdy nie zauważyła, by dbał o jej opinie tylko dlatego, że wypowiadała je właśnie ona, a nie kto inny. Tak długo, jak te przekonania przeciwstawiały się jego przypominającej skałę sile charakteru, jego mocy, zdawał się odrzucać je z pogardą, aż wreszcie znużył ją wysiłek bezsensownych protestów. A teraz przyszedł i w ten dziwny, prawie szaleńczy sposób wyznał jej miłość. Choć z początku uważała, że jego deklarację wymusiło i sprowokowało współczucie

dla niej po tym, jak zrobiła z siebie widowisko – które mógł, podobnie jak tylu innych, niewłaściwie zrozumieć – to jednak, jeszcze zanim opuścił ten dom, a z całą pewnością już pięć minut później, uświadomiła sobie jasno i wyraźnie, że naprawdę ją kochał. Że kochał ją już wcześniej. Że będzie ją kochał. Aż się skurczyła i zadrżała, jakby zafascynowała ją ta przemożna siła, dotychczas tak odrażająca. Wycofała się z tych myśli i próbowała ukryć się przed nimi. Bez skutku. Parodiując wersy Tasso: Nic nie myśli nigdy, tylko o nim*. Jeszcze bardziej go nie lubiła za to, że opanował jej wolę. Jak śmiał deklorować, że będzie ją nadal kochał, mimo że go z pogardą odtrąciła? Żałowała, że nie odpowiedziała mu bardziej... zdecydowanie. Ostre riposty tłoczyły jej się w głowie teraz, gdy było za późno, by je wypowiedzieć. Głębokie wrażenie, jakie wywarła na Margaret ta rozmowa, przypominało koszmarny sen – wydaje się, że prześladowająca nas mara nie opuściła pokoju, choć już się obudziliśmy, przecieramy oczy i zmuszamy usta do sztucznego uśmiechu. To coś tu

* Torquato Tasso, *Jerozolima wyzwolona*, przeł. Piotr Kochanowski (w oryg.: tylko o niej).

jest, kuli się i bełkocze w kącie, wlepia w nas upiorne oczy i nasłuchuje, czy odważymy się wspomnieć komukolwiek o jego obecności. A my, tchórzliwe istoty, nie ośmielamy się tego zrobić.

Margaret wzdrygnęła się na groźbę jego nieprzemijającej miłości. Co miał na myśli? Czy potrafiłaby go zniechęcić? Mogłaby spróbować. Co za czelność tak ją straszyć! Czy opierał się na jej żalonym zachowaniu wczoraj? Gdyby zaszła taka potrzeba, jutro postąpiłaby tak samo; wobec kalekiego żebraka zrobiłaby to z miłą chęcią, wobec niego zrobiłaby to równie odważnie jak wczoraj, pomimo wniosków, jakie wyciągnął, pomimo brzydkiego fermentu wokół tej sprawy i pomimo insynuacji kobiet. Postąpiła tak, bo uważała to za słuszne, sprawiedliwe i właściwe, aby ratować tych, których uratować mogła. *Fais ce que dois, advienne que pourra*^{*}.

Nie ruszyła się dotychczas z miejsca, w którym stała, gdy on wyszedł. Żadne zewnętrzne okoliczności nie wyrwały jej z transu myśli, w jaki wprowadziły ją jego ostatnie słowa i widok tych głębokich, rozgorączkowa-

* „Rób to, co powinienes, stanie się, co ma się stać”, fraza z poematu francuskiego trubadura Eustache’a de Champs.

nych oczu, których płomienne spojrzenie przełamało jej gniew. Podeszła do okna i otworzyła je w nadziei, że świeże powietrze odegna to nowe zmartwienie, a potem otworzyła także drzwi, powodowana gwałtownym impulsem, by strząsnąć z siebie natrętne wspomnienie minionej godziny – przebywając w czyimś towarzystwie lub oddając się intensywnemu wysiłkowi fizycznemu. Ale dookoła panowała głęboka cisza nieruchomych godzin południowych, typowa dla domu, gdzie ktoś chory zażywa odpoczynku, jakiego nie dane mu było zaznać w nocy. Margaret nie chciała zostać sama ze swymi myślami. Co mogła zrobić? Idź i odwiedź Bessy, oczywiście – pomyślała, gdy przypomniła sobie o wiadomości, która nadeszła poprzedniego dnia. Poszła.

Gdy tam dotarła, zastała Bessy leżącą na ławie przysuniętej bardzo blisko do ognia, mimo że dzień był gorący i parny. Chora leżała całkowicie płasko, jakby na wpół omdlała po paroksyzmie bólu. Margaret była przekonana, że pozycja siedząca zapewniłaby dziewczynie większą swobodę oddychania, i dlatego bez pytania uniosła ją i tak ułożyła poduszki, że Bessy nareszcie mogła odetchnąć, choć wciąż była osłabiona.

– Już myślałam, że cię więcej nie zobaczę – powiedziała w końcu, patrząc tęsknie w twarz panny Hale.

– Obawiam się, że jest ci gorzej. Nie mogłam wczoraj przyjść, moja matka bardzo źle się czuła. I były inne powody – powiedziała Margaret, rumieniąc się.

– Bałam się, że to była zbyt śmiałość posłać Mary po ciebie. Ale te kłótnie, sprzeczki, te hałaśliwe głosy rozdzierały mnie na strzępy i kiedy ojciec wyszedł, pomyślałam: „Och, gdybym tylko mogła usłyszeć jej głos, jak czyta mi słowa pokoju i nadziei, mogłabym umrzeć i spocząć w Panu, zupełnie jak dziecko uciszone do snu kołysanką mamy”.

– Czy mam ci teraz przeczytać rozdział?

– Och, tak, proszę. Pewnie z początku nie będę się wsłuchiwać w sens tego, co czytasz. To będzie dla mnie takie odległe. Ale jak dojdiesz do tych słów, które tak lubię, do słów pocieszenia, zabrzmia znajomo i całą mnie przenikną.

Margaret zaczęła czytać. Bessy przewracała się z boku na bok. Jeśli całym wysiłkiem woli udało jej się uważać przez chwilę, potem okupowała to wzmożonym niepokojem. W końcu wybuchnęła:

– Nie czytaj dalej! To nie ma sensu. Popełniam bluźnierstwo, bo zamiast słuchać cały czas ze złością myślę o tym, na co i tak nic nie można poradzić. Słyszałaś o rozruchach, wczoraj, w Przędzalni Marlborough? Wiesz, u Thorntona?

– Twojego ojca tam nie było, prawda? – spytała Margaret, purpurowiejąc.

– Jego nie. Oddałby prawą rękę, aby do tego nigdy nie doszło. Właśnie to mnie tak martwi. Dobiło go to, co się stało. Nie słucha, jak mu powtarzam, że zawsze znajdą się głupcy, którzy się wyrwą z szeregu. Nigdy nie widziałaś kogoś tak przygnębionego jak on.

– Ale dlaczego? – spytała Margaret. – Nie rozumiem.

– To jest tak: on należy do komitetu od tego ogólnego strajku. Związek go wskazał, ponieważ... Chyba nie powinnam tak mówić, bo to mój ojciec... A więc związek wybrał go, bo jest uważany za mądrego i prawego do szpiku kości. I on, i ci inni z komitetu ułożyli plany. Mieli się trzymać razem na dobre i na złe. To, co ustaliła większość, inni mieli poprzeć, nawet gdyby to było nie po ich myśli. Ale najważniejsze, że nie wolno było robić nic wbrew prawu. Ludzie by się do nich przyłą-

czyli, bo widzieliby, że robotnicy walczą i głodują z niemą cierpliwością. Ale gdyby choć jeden raz doszło do walki lub tylko przepychanki, nawet z łamistrajkami, wszystko byłoby skończone. Wiedzieli o tym z poprzednich strajków. Mieli próbować porozumieć się z tymi niełojalnymi robotnikami i przypochlebić się im, i przekonywać ich, i chyba nawet ich ostrzec. Związek zobowiązał wszystkich swoich członków, że cokolwiek by się działo, lepiej, żeby się położyli i pozwolili zabić, niż żeby zadano choć jeden cios. Uważali, że jeśli się wszystko uda, to pociągną za sobą mieszkańców. Poza tym komitet wiedział, że ich żądania są uzasadnione, i nie chciał, żeby w tym zamęcie wymieszało się dobro ze złem, przynajmniej do dnia, gdy ludzie będą umieli to rozdzielić. Na razie nie umieją, tak jak ja nie umiem oddzielić tego lekarskiego proszku, który mi dałaś, od galaretki. Galaretki jest znacznie więcej, ale i tak czuję tylko smak proszku. Cóż, opowiedziałam ci ze szczegółami o tym wszystkim, ale teraz jestem wycieńczona. Pomyśl sobie sama, co to znaczy dla mojego ojca. Cała jego robota poszła na marne, i to przez takiego głupca jak Boucher, który nie posłuchał rozkazów ko-

mitetu i zrujnował cały strajk, zupełnie tak, jakby był Judaszem. Ale mu ojciec wygarnął ostatniej nocy! Na koniec powiedział, że pójdzie na policję i powie, gdzie mogą znaleźć prowodyra zamieszek. I dodał, że wyda go właścicielom fabryk, żeby zrobili z nim, co będą chcieli. To pokaże światu, że prawdziwi przywódcy strajku nie są tacy jak Boucher, ale są spokojni i rozsądni, dobrzy robotnicy i dobrzy obywatele, posłuszni prawu i sądowi, i że dotrzymują umów. Że chcą tylko godziwych zarobków i że nie chcieli pracować, nawet gdyby mieli umrzeć z głodu, zanim nie dostaliby należnej im płacy. Nigdy jednak nie uszkodziliby czyjejs własności ani nie narazili na szwank czyjegoś życia. Bo wiesz – Bessy obniżyła głos – podobno Boucher rzucił kamieniem w siostrę pana Thorntona i prawie ją zabił.

– To nieprawda – zaprzeczyła Margaret. – To nie Boucher rzucił kamieniem – wyjaśniła, najpierw czerwieniąc, potem blednąc.

– A więc byłaś tam, prawda? – spytała Bessy słabo i niewyraźnie. Mówiła teraz z wieloma przerwami, jakby sprawiało jej to prawdziwą trudność.

– Tak. Nieważne. Mów dalej. Tylko że to nie

Boucher rzucił kamieniem. Ale co odpowiedział twojemu ojcu?

– Nie powiedział ani słowa. Tak się cały trząśł po tych przeżyciach, że nie dało się na niego patrzeć. Słyszałam, jak bardzo szybko oddychał i w jednej chwili wydawało mi się nawet, że szlocha. Ale gdy ojciec powiedział, że go wyda policji, krzyknął straszliwie i uderzył ojca w twarz pięścią, i zniknął jak światło. Ojciec najpierw oniemiał, tak go ten cios zdziwił, bo przecież Boucher był osłabiony i głodem, i tym, co przeszedł. Najpierw siedział z ręką przyłożoną do oka, a potem ruszył do drzwi. Nie wiem, skąd wzięłam tyle siły, ale zerwałam się z ławy i przyczepiłam do niego. „Ojcze! Ojcze! – krzyczałam. – Przecież nie pójdziesz zakablować na tego głodującego biedaka. Nie puszczę cię, dopóki nie powiesz, że tam nie pójdziesz!” „Nie bądź głupia – powiedział. – Słowa lecą łatwiej niż czyny. Nawet nie pomyślałem, żeby na niego donieść, choć, na Boga, zasłużył na to i nie miałbym nic przeciw temu, żeby ktoś inny wykonał brudną robotę i żeby go przymknęli. Ale teraz mnie rąbnął i tym bardziej bym na niego nie doniósł, bo to by było tak, jakbym pozwalał, aby moje

rozrachunki załatwiali inni. A jeśli on, Boucher, kiedykolwiek wydobrzeje po tym głodzie i będzie zdrow, on i ja powalczymy, i to z kopniakami, i ze wszystkim. I wtedy zobaczymy, co mi zrobi”. Ojciec odepchnął mnie, a ja strasznie osłabłam. Jego twarz była jak śnieg, poza tym krwawym śladem od uderzenia. Miałam mdłości od samego patrzenia na niego i nie wiem, czy spałam, czy nie, a może zemdlałam. A jak przyszła Mary, to kazałam jej iść po ciebie. A teraz nic do mnie nie mów, tylko mi przeczytaj jeszcze jeden rozdział. Lżej mi, jak się wygadałam. Potrzebuję teraz innych myśli z tego odległego świata, żeby usunąć ten wstrętny posmak z ust. Przeczytaj mi, ale nie kazanie, tylko rozdział z historią. Tam są takie obrazy, które widzę wyraźnie, wystarczy, że zamknę oczy. Przeczytaj mi o nowym niebie i nowej ziemi. Może uda mi się zapomnieć.

Margaret czytała jej swym miękkim głosem. Choć Bessy zamknęła oczy, słuchała przez pewien czas, a jej rzęsy zwilgotniały od łez. W końcu usnęła po wielu drgawkach i wymamrotanych błaganiach. Panna Hale przykryła ją i wyszła, bo miała niepokojącą świadomość, że może być potrzebna w domu, a dotychczas

wydawało jej się okrucieństwem zostawić umierającą dziewczynę samą.

Gdy wróciła do Crampton Crescent, znalazła matkę w salonie. Był to jeden z jej lepszych dni i nie mogła się nachwalić wodnego łóżka. Twierdziła, że przypomina jej ono łóżka z domu sir Johna Beresforda bardziej niż jakiegokolwiek inne, na którym od tamtego czasu spała. Nie wie, jak to się stało, ale rzemieślnicy nie potrafią już wytwarzać takich łóżek jak za czasów jej młodości. Wydawałoby się, że to takie proste, tym bardziej że dostępne jest to samo pierze, a jednak nie pamięta, kiedy ostatnio tak zdrowo i głęboko spała jak ostatniej nocy. Pan Hale zasugerował, że być może wrażenie wyższej jakości dawnych łóżek jest związane z kondycją młodości, która ułatwia odpoczynek, ale ten pomysł nie został przychylnie przyjęty przez jego żonę.

– Nie, absolutnie nie, panie Hale. To te łóżka u sir Johna. Margaret, ty jesteś młoda i ruszasz się w ciągu dnia. Czy łóżka są wygodne? Czy kiedy się kładziesz, czujesz, że wypoczywasz? A może przewracasz się z boku na bok, próbujesz znaleźć komfortową pozycję, a rano budzisz się tak samo zmęczona, jak byłaś wieczorem?

Margaret się roześmiała:

– Szczerze mówiąc, mamó, w ogóle nie myślę o moim łóżku. Wieczorem jestem tak śpiąca, że gdziekolwiek się ułożę, natychmiast zasypiam. Nie jestem więc chyba właściwą osobą do oceniania jakości łóżek. Poza tym, jak wiesz, nigdy nie miałam okazji wypróbować łóżek sir Johna Beresforda. Nigdy nie byłam w Oxenham.

– Nie? Ach, rzeczywiście. To biedny kochany Frederick pojechał wtedy ze mną. Teraz już pamiętam. Po ślubie tylko raz byłam w Oxenham, na weselu ciotki Shaw. Frederick był wtedy jeszcze malutki. Wiedziałam, że Dixon nie była zadowolona ze zmiany z pokojówki w niańkę, i bałam się, że jeśli zabiorę ją w okolice jej dawnego domu, pomiędzy znanych jej poprzednio ludzi, to mogłaby odejść. Mój biedny synek pojechał cierpiący, ząbkował wtedy, ja zaś spędzałam mnóstwo czasu z Anną przed jej ślubem, poza tym sama też nie byłam bardzo silna, więc biedna Dixon musiała się nim zajmować jeszcze więcej niż na co dzień. To wtedy tak się w nim zakochała. Taka była dumna, gdy od każdego się odwracał i przytulał do niej, że od tamtej

pory chyba już nigdy nie myślała o tym, by nas opuścić. A przecież to wszystko tak się różniło od życia, do jakiego przywykła. Biedny Frederick. Tak go wszyscy kochali. Urodził się z darem zdobywania serc. Nie potrafię spokojnie myśleć o kapitanie Reidzie, jak sobie przypomnę, że nienawidził mojego kochanego chłopca. To zresztą tylko potwierdza, jakim kapitan był złym człowiekiem. Ach Margaret, twój biedny ojciec wyszedł z pokoju. Nie potrafi spokojnie znieść rozmowy o Fredericku.

– A ja uwielbiam słuchać o nim, mamó. Opowiadaj, na co tylko masz ochotę. Nigdy nie mam tego dość. Opowiedz mi, jakim był dzieckiem.

– Cóż, Margaret, nie obraż się, ale był znacznie ładniejszy niż ty. Pamiętam, że gdy po raz pierwszy zobaczyłam cię w ramionach Dixon, powiedziałam: „Co za brzydula”. A ona odpowiedziała: „Cóż, nie każde dziecko może wyglądać tak jak nasz panicz Frederick, niech Bóg go ma w swojej opiece”. Pamiętam to, jakby zdarzyło się wczoraj. Wtedy mogłam go tulić do siebie całymi dniami, a jego łóżeczko stało tuż obok mojego łóżka. A teraz... teraz, Margaret, nawet nie wiem,

gdzie mój chłopiec jest, i czasami myślę, że już nigdy go nie zobaczę.

Dziewczyna usiadła na niskim stołeczku tuż obok sofy matki i delikatnie ujęła jej dłoń, pieszczotami i pocałunkami usiłując ją pocieszyć. Pani Hale płakała bez pohamowania. W końcu usiadła prosto i sztywno i zwracając się do córki oznajmiła jej z łzawą, a przy tym uroczystą powagą:

– Margaret, jeśli jest dla mnie nadzieja, jeśli Bóg da mi szansę wyzdrowieć, to tylko wtedy, gdy zobaczę Fredericka. Tylko jego widok mógłby poruszyć we mnie te resztki sił witalnych, jakie jeszcze mi pozostały.

Przerwała i wydawało się, że zbiera energię i odwagę, by powiedzieć coś jeszcze. Gdy znów się odezwała, jej głos był zdławiony i drżał, jakby uzmysłowiła sobie coś strasznego.

– Margaret, jeżeli mam umrzeć, jeśli przeznaczony mi czas ma się zakończyć przed upływem najbliższych tygodni, to przedtem muszę zobaczyć moje dziecko. Nie wiem, jak to może być zorganizowane. Ale zobowiązuję cię, Margaret, bo z pewnością sama liczysz na spokój w swych ostatnich chwilach, a zatem zobowią-

zuję cię, abyś sprowadziła do mnie mojego chłopca, bo chcę mu pobłogosławić. Tylko na pięć minut, Margaret. Pięć minut na pewno nie będzie dla niego żadnym zagrożeniem. Och dziecko, pozwól mi go zobaczyć choć jeden raz przed śmiercią.

Panna Hale nie zastanawiała się, czy w tej przemowie jest cokolwiek nieroztropnego; nie szuka się rozsądku czy logiki w namiętnych prośbach ludzi skazanych na śmierć. Smagają nas wspomnienia tysięcy niewykorzystanych okazji do spełnienia życzeń tych, których już wkrótce nie będzie między nami, i jeśli proszą nas o poświęcenie im naszego przyszłego szczęścia, składamy je im u stóp i pozwalamy nim dysponować. A życzenie pani Hale było tak naturalne, tak sprawiedliwe, tak uzasadnione dla obu stron! Margaret czuła, że ze względu i na matkę, i na brata powinna nie zważać na potencjalne niebezpieczeństwo grożące Frederickowi i zobowiązać się do zrobienia wszystkiego, aby spełnić marzenie chorej. Rozszerzone błaganie oczy tęskniące w nią wpatrywały, a spojrzenie to było wyczekujące i nieruchome, choć białe wargi drżały jak u dziecka. Margaret powoli się podniosła i stała naprzeciwko swej

kruchej matki, tak aby mogła ona ze zdecydowanego wyrazu twarzy córki upewnić się, że jej życzeniu stanie się zadość.

– Mamo, jeszcze dziś napiszę do Fredericka i przekażę mu twoje słowa. I jestem najzupełniej pewna, że przyjedzie natychmiast. Bądź spokojna, mamo. Jeśli na tej ziemi istnieje coś pewnego, to jest to przyjazd twojego syna.

– Napiszesz? Jeszcze dzisiaj? Och Margaret! Poczta odchodzi o piątej. Zdążysz do tej pory napisać, prawda? Zostało mi tak niewiele czasu. Czuję, że chyba nie wyzdrowieję, choć czasami twój ojciec zmusza mnie, bym miała nadzieję. Napisz od razu, dobrze? I nie trać ani jednej ekspedycji, mogłoby się przecież zdarzyć, że właśnie przez ten jeden dzień wahania Frederick przybędzie za późno.

– Ale przecież ojciec wyszedł...

– Ojciec wyszedł. I co z tego? Myślisz, że odmówiłby mi spełnienia tego ostatniego życzenia, Margaret? Przecież nie zachorowałabym, nie umierałabym, gdyby nie wywiózł mnie z Helstone do tego niezdrowego, zadymionego miejsca.

– Mamo! – zaprotestowała Margaret.

– Ależ tak. Jest właśnie tak. I on sam o tym wie. Ciągłe to powtarza. Zrobiłby dla mnie wszystko, więc chyba nie sądzisz, że odmówiłby mi spełnienia tej ostatniej prośby, właściwie modlitwy, jeśli tak wolisz. Tak naprawdę, Margaret, to ta moja tęsknota za Frederickiem stoi między mną a Bogiem. Bez ostatniego spotkania z moim chłopcem nawet nie umiem się modlić. Naprawdę. Nie trać więc już czasu, moja droga, kochana Margaret. Napisz od razu i wyślij najbliższą pocztą. Wtedy mógłby tu być... mógłby tu być... za dwadzieścia dwa dni. Bo na pewno przyjedzie. Nie zatrzymają go żadne sznury, żadne łańcuchy. Za dwadzieścia dwa dni zobaczę mojego chłopca.

Oparła się wygodnie i przez jakiś czas nie zwracała uwagi na to, że córka siedzi nieruchomo i dłonią zasłania oczy.

– Dlaczego nie piszesz? – spytała w końcu. – Przynieś mi pióro i papier. Spróbuję napisać sama.

Cała drżała od gorączkowego podniecenia. Margaret opuściła dłoń i smutno spojrzała na matkę.

– Poczekajmy tylko, aż wróci ojciec. On będzie najlepiej wiedział, jak to załatwić.

– Obiecałaś, Margaret, nie więcej niż kwadrans temu obiecałaś. Powiedziałaś, że przyjedzie.

– I przyjedzie, mamó, nie płacz, najukochańsza. Napiszę. Tu i teraz. Sama będziesz widziała, że piszę. I wyślę ten list najbliższą pocztą. A jeśli ojciec tak postanowi, to jak tylko wróci do domu, napisze kolejny list. I ten drugi list wyjdzie tylko jeden dzień później. Och mamó, nie płacz tak żałośnie. Rozdzierasz mi serce.

Pani Hale nie potrafiła powstrzymać łez, a jej płacz wkrótce zmienił się w histerię. W rzeczywistości wcale nie starała się opanować, wręcz przeciwnie, przywoływała obrazy szczęśliwej przeszłości i wyobrażała sobie przyszłość. Malowała scenę, gdy będzie leżała bez życia, a jej syn, za którym tak tęskniła, będzie wylewał nad nią łzy, ale ona nie będzie już świadoma jego obecności. Tak bardzo rozczuliła się podobnymi myślami, poczuła dla siebie taką litość, że doprowadziła się do stanu wyczerpania, który grozą napełnił serce Margaret. W końcu pani Hale się uspokoiła i żarliwym wzrokiem przyglądała się córce piszącej list. Dziewczyna napisała to naglące błaganie i pospiesznie zakleiła kopertę, bojąc się, że matka może chcieć je przeczytać. A potem, na

specjalną prośbę pani Hale, która nie chciała nikomu powierzać cennej przesyłki, Margaret osobiście zaniósła list na pocztę. W drodze powrotnej dogonił ją ojciec.

– A gdzieś ty była, moja śliczna? – spytał.

– Na poczcie... z listem. Z listem do Fredericka. Och papo, nie wiem, czy postąpiłam słusznie. Może nie. Ale mama tak nalegała, tak bardzo błagała, ona tak namiętnie chce go zobaczyć. Powiedziała, że sam jego widok by ją uzdrowił. A potem płakała, że musi go zobaczyć, zanim umrze. Nawet nie potrafię opisać, jak na mnie naciskała. Źle zrobiłam?

Pan Hale nie odpowiedział od razu. Potem stwierdził:

– Powinnaś była poczekać, aż wrócę, Margaret.

– Próbowałam ją przekonać... – zaczęła, ale szybko zamilkła.

– Nie wiem – wyznał po chwili. – Powinna go zobaczyć, jeśli tak bardzo tego pragnie, bo wierzę, że to jej bardziej pomoże niż wszystkie lekarstwa przepisane przez doktora. Kto wie, może to ją nawet całkowicie uleczy. Ale obawiam się, że Frederickowi grozi poważne niebezpieczeństwo.

– Mimo to, że od buntu upłynęło już tyle lat?

– Tak. Rząd musi, to oczywiste, podejmować rygorystyczne środki represji w wypadku wykroczeń przeciw władzy, zwłaszcza w marynarce, gdzie oficer dowodzący powinien być otoczony ludźmi świadomymi, że za kapitanem stoi instytucja państwa, gotowa podtrzymać jego oskarżenia i w razie potrzeby pomóc wyrządzone mu krzywdy. Nie! Dla nich to bez znaczenia, czy ich przedstawiciele tyranizowali swoich podwładnych lub doprowadzali tych bardziej porywczych do szaleństwa. A nawet jeśli mieliby wziąć pod uwagę jakiegokolwiek okoliczności łagodzące, to nigdy w pierwszej instancji. Nie liczą się z kosztami, wysyłają statki, przeczesują morza, aby ująć takich przestępców, a upływ lat nie zmaże pamięci zbrodni. Pozostaje ona zawsze świeża i żywa w księgach admiralicji, dopóki nie okupi jej krew.

– Och papo! Co ja narobiłam! A wtedy to mi się wydawało takie słuszne! Jestem pewna, że sam Frederick zaryzykuje.

– Postąpi tak. I powinien tak postąpić! Nie, Margaret. Jestem zadowolony, że tak się stało, choć sam pewnie

bym się na to nie odważył. Naprawdę jestem wdzięczny, że to zrobiłaś. Ja bym się wahał do czasu, gdy byłoby już może za późno. Kochana Margaret, postąpiłaś tak, jak należało. A na ciąg dalszy nie mamy wpływu.

Opowieść ojca o nieustępliwości, z jaką ścigano buntowników, przyprawiła Margaret o gęsią skórkę. A jeśli wezwała brata do domu, aby pamięć o swych winach utopił we własnej krwi? Czuła, że niepokój ojca leżał głębiej, a jego ostatnie słowa miały być tylko pocieszeniem dla niej. Ujęła go pod ramię i wracała do domu u jego boku zamyślona i przygnębiona.

XXVI

MATKA I SYN

*I znalazłam owo święte miejsce wytchnienia
Zawsze niezmiennym.*

Felicia Hemans, „Bride's Farewell”

Gdy tego ranka pan Thornton opuszczał dom państwa Hale, zdumiewająca namiętność prawie go oślepiła. Czuł się tak odurzony, jakby Margaret nie była delikatną kobietą, mówiącą i poruszającą się z wdziękiem, lecz bezlitosną harpią, która wymierzyła mu silny cios pięścią. Odczuwał fizyczne cierpienie – gwałtowny ból głowy i nieregularne bicie serca. Drażnił go hałas, jaskrawe światło, nieustający łoskot i tumult na ulicy. Sam się nazywał głupcem z powodu

tych dolegliwości, a jednak nie potrafił przypomnieć sobie ani ich przyczyny, ani tego, czy była ona adekwatna do konsekwencji. Odnosił wrażenie, że poczułby ulgę, gdyby mógł usiąść na stopniu schodków i wypłakać się jak małe dziecko, które skrzywdzone, szaleje, krzyczy i wylewa potoki łez. Próbował przekonać sam siebie, że nienawidzi Margaret, ale dzika, oszałamiająca miłość przepelniała go nawet wtedy, gdy formował słowa nienawiści. Największą pociechę znajdował w pograżaniu się w swej udręce i rozpamiętywaniu słów, które jej powiedział: że choćby nim pogardzała, choćby go obrażała, odnosiła się do niego z tą swoją dumą i władczą obojętnością, to on swego uczucia nie zmieni. Kochał ją i będzie kochał. I przeciwstawi się i jej, i temu żalonnemu bólowi również.

Zatrzymał się na chwilę, aby utwierdzić się w tym postanowieniu, przekonać się, że jest jasne i pewne. Tuż obok przejeżdżał omnibus zmierzający poza miasto. Konduktor myślał, że pan Thornton jest pasażerem, który zamierza wsiąść, i zatrzymał pojazd przy chodniku. Tłumaczenie pomyłki i przeproszenie wydało się przemysłowcowi zbyt kłopotliwe i męczące, więc po

prostu wsiadł. Jechali wzdłuż rzędów domów, potem obok rezydencji stojących w wypielęgnowanych ogrodach, aż dotarli do wiejskich żywoplotów. W końcu osiągnęli cel podróży – małe miasteczko, gdzie wszyscy wysiedli. To samo zrobił pan Thornton, a następnie oddalił się od przystanku, podobnie jak inni pasażerowie.

Szedł szybko polami, a energiczny marsz pomagał mu myśleć. Wszystko sobie teraz przypomniał: żalną rolę, jaką odegrał, niedorzeczność tego, co zrobił, a co przez całe lata uważał za czyn najgłupszy pod słońcem, i w konsekwencji otrzymał odpowiedź przewidywaną w owych dawnych rozsądnych rozmyślaniach. Czy został zauroczony, omamiony przez te piękne oczy, te półotwarte, pełne westchnień usta, które zaledwie wczoraj znalazły się tak blisko jego twarzy? Nie potrafił odepchnąć od siebie wspomnienia, że ona była przy nim, że go obejmowała. Raz, i być może tylko ten jeden raz. Pojmował zaledwie niektóre jej cechy, nie rozumiał jej w pełni. W jednej chwili była szalenie odważna, by zaraz potem stać się nieśmiała; najpierw okazywała czułość, a po chwili mroziła królewską pychą. A potem rozmyślał wciąż na nowo o każdej sytuacji, w jakiej ją

spotkał, usiłując w ten sposób ostatecznie pozbyć się uporczywych myśli o niej. Przypominał ją sobie w każdej sukni, w każdym nastroju i nie potrafił zdecydować, w jakim wcieleniu podobała mu się najbardziej. Nawet dzisiaj rano, jakże wspaniale wyglądała! Jej oczy ciskały pioruny, gdy przekonywała go, że skoro dzieliła z nim niebezpieczeństwo, właśnie o niego dbała najmniej.

Jeśli pan Thornton był głupcem rano, o czym się zapewnił około dwudziestu razy, nie stał się mądrzejszy po południu. Wszystko, co zyskał podczas swojej sześciopensowej przejażdżki omnibusem, to jeszcze silniejsze niż poprzednio przekonanie, że nigdy nie było i nigdy nie będzie kogoś takiego jak Margaret i że ona go nie kocha i nigdy nie pokocha. I że ona, nie, nie tylko ona, ale cały świat nigdy nie powstrzyma go od kochania jej. Z takimi przemyśleniami wrócił na mały rynecek i ponownie wsiadł do omnibusu, aby pojechać do Milton.

Było późne popołudnie, gdy opuszczał pojazd w pobliżu swego magazynu. W znanym miejscu powróciły stare zwyczaje i ustalony tryb, jakim podążały jego myśli. Zdawał sobie sprawę z tego, ile ma do

zrobienia, bo poza zwykłymi zajęciami musiał nadrobić czas stracony przez wczorajsze zamieszanie. Musiał zobaczyć się ze swymi towarzyszami w sądzie pokoju i podjąć ostateczne decyzje dotyczące zapewnienia bezpieczeństwa sprowadzonym z Irlandii robotnikom przez odseparowanie ich od niezadowolonych miejscowych tkaczy. No i musiał pójść do domu i spotkać się z matką.

Pani Thornton siedziała cały dzień w jadalni i oczekiwała nadejścia wiadomości o tym, że jej syn został przyjęty przez pannę Hale. Podrywała się z krzesła wiele razy na każdy dźwięk rozlegający się w domu, a potem podejmowała odłożoną robótkę i zaczynała pracować igłą – pilnie, choć przez zamglone okulary i niepewną dłoń. Drzwi otwierały się po wielokroć, ale zawsze wchodził ktoś, kto był jej obojętny, z niewiele znaczącą sprawą. Potem surowa twarz kobiety rozluźniła się, zniknął z niej ów mrozący rys grymas, a pojawił się wyraz melancholii, tak różny od zwyczajnej srogości. Oderwała się od rozważań nad ponurymi zmianami, jakie zajdą w jej życiu na skutek małżeństwa syna, i celowo wprowadziła swe myśli na tory praktycznych

spraw dotyczących gospodarstwa domowego. Przyszła para nowożeńców będzie potrzebować nowych zapasów bielizny stołowej, a pani Thornton miała poukładane, jeden na drugim, kosze pełne obrusów i serwetek, które teraz wniesiono, a ona zaczęła je liczyć. Rzeczy należące do niej i oznaczone literami G.H.T., czyli George i Hannah Thorntonowie, były zmieszane z tymi, które kupił jej syn i na których wyhaftowano jego monogram. Niektóre z serwet ze znakiem G.H.T. wykonano z holenderskiego adamaszku najwyższej jakości, obecnie już niedostępnego. Pani Thornton przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nie – tuż po ślubie były jej wielką dumą; następnie zmarszczyła brwi, ściągnęła wargi i ostrożnie odpruła litery G i H. Zaczęła nawet szukać czerwonych tureckich nici do haftu konturowego, aby wyszyć nowe inicjały, ale szpule były puste, a nie miała serca, by o tej porze posyłać po nowe, więc nieruchomym wzrokiem patrzyła z rozmarzeniem na rozłożoną bieliznę. Przed oczami przemykał jej obraz za obrazem, a jej syn był główną, jeśli nie jedyną postacią każdego z nich. Jej syn, jej duma, jej własność. Nadal nie wracał. Bez wątplenia był z panną Hale. Ta nowa miłość

już usunęła ją, matkę, z miejsca pierwszej kobiety jego serca. Przeniknął ją przeraźliwy ból – ukłucie zazdrości. Nawet nie potrafiłaby określić, czy to było bardziej cierpienie psychiczne, czy fizyczne, niemniej skłoniło ją, by usiadła. Ale już po chwili ponownie stała, wyprostowana jak zawsze, z pierwszym tego dnia, ponurym uśmiechem na twarzy. Czekwała w gotowości na powitanie rozradowanego triumfatora, który nigdy nie powinien się dowiedzieć, jak dotkliwy żal czuła jego matka na myśl o małżeństwie syna. Niewiele uwagi poświęciła w swych myślach przyszłej synowej jako osobie. Miała być tylko żoną Johna. Zajęcie miejsca pani Thornton jako pani domu miało być dla wybranki syna tylko jedną z wielu konsekwencji przydających jej chwały. Zasobny i wygodny dom, „purpura i bisior”^{*} jak u biblijnego bogacza, „szacunek, miłość, posłuch, tłum przyjaciół”^{**} – wszystko to było tak naturalne i oczywiste jak klejnoty na szacie królewskiej i tak ze sobą związane, że trudno było myśleć o wartości każdego z tych elementów z osobna. Sam fakt, że jest się wybranką Johna, wyróżniałby nawet

* Fragment z *Ewangelii św. Łukasza* (16,19).

** Cytat z *Makbeta*, akt v, przeł. Stanisław Barańczak.

kuchenną dziewczkę od reszty świata. A panna Hale nie była w końcu taka zła. Gdyby była tutejsza, gdyby była dziewczyną z Milton, pani Thornton chybaby ją lubiła. Była ostra, miała dobry gust, rozum i ikrę. To prawda, że miała uprzedzenia i do tego grzeszyła ignorancją, ale tego należało się spodziewać po kimś wychowanym na Południu. Mimowolne i smutne porównanie między Margaret a Fanny przemknęło przez głowę kobiety i ten jeden raz odezwała się do córki szorstko, zwymyślała ją. Potem jednak, jakby chcąc się ukarać, wzięła *Komentarze* Henry'ego i próbowała się na nich skupić, porzucając liczenie bielizny stołowej, gdyż to zajęcie napawało ją dumą i dawało jej przyjemność.

W końcu rozległy się jego kroki. Słyszała je, nawet gdy wydawało jej się, że jest skupiona na dokończeniu zdania, że jej wzrok podąża za tekstem, że potrafiłaby powtórzyć przeczytane słowa. Mimo wszystko usłyszała, że syn wchodzi do domu. Jej wyczulone zmysły odbierały każdy kolejny odgłos: teraz jest przy stojaku na kapelusze, a teraz tuż przy drzwiach do pokoju. Dlaczego się zatrzymał? Niech wreszcie to najgorsze zostanie wypowiedziane.

Gdy wszedł, trzymała głowę pochyloną nad książką i udało jej się nie spojrzeć na syna. Podeszedł do stołu i stał nieruchomo, czekając, aż matka skończy czytać ustęp, który ją najwyraźniej pochłonął. Z wysiłkiem uniosła wzrok.

– I cóż, John?

Wiedział, co oznacza to pytanie. Przygotował się na nie. Korciło go, aby odpowiedzieć żartem, w którym dałby upust przepelniającej jego serce goryczy, ale matka zasługiwała na coś więcej z jego strony. Obszedł ją dookoła, tak aby nie mogła dostrzec jego twarzy, i odchylając do tyłu jej poszarzałą, kamienną twarz, pocałował ją i wymruczał:

– Nikt mnie nie kocha. Nikt o mnie nie dba. Poza tobą, mamó.

Odwrócił się i oparł głowę o gzyms kominka. Niechciane łzy napłynęły mu do oczu. Podniosła się i zachwiała. Po raz pierwszy w życiu ta silna kobieta się zachwiała. Położyła dłonie na jego ramionach, popatrzyła mu w oczy i zmusiła, by odwzajemnił jej spojrzenie.

– Miłość matki pochodzi od Boga, John. Jest wierna

i trwa na wieki. Miłość dziewczyny przypomina kłęby dymu, wystarczy byle podmuch, by ją zmienić. A więc ona cię nie chce, mój chłopcze, prawda?

Zacisnęła zęby, odsoniła je, zupełnie jak wilk. Kiwnął głową.

– Nie pasuję do niej, mamó. Wiedziałem o tym.

Wycodziła jakieś słowa, ale nie usłyszał, co powiedziała. Z wyrazu jej oczu mógł się jednak domyślić, że to było przekleństwo – jeżeli nawet nie w słowach, to na pewno w intencji. A mimo to jej serce odzyskało lekkość na myśl, że oto znów znajdowała się u syna na pierwszym miejscu.

– Matko! – powiedział pospiesznie. – Nie chcę słyszeć nawet jednego złego słowa pod jej adresem. Oszczędź mi tego. Oszczędź mnie! W sercu, w moim cierpiącym sercu jestem słaby. Kocham ją nadal. Kocham ją chyba jeszcze bardziej niż przedtem.

– A ja jej nienawidzę – oznajmiła pani Thornton niskim, złowrogim głosem. – Próbowalam jej nie nienawidzić, gdy stanęła między tobą a mną. Mówiłam sobie: „Ona go uszczęśliwi”. I pozwoliłabym za to wytoczyć sobie z żył całą krew. Ale teraz jej nienawidzę za

to cierpienie, które tobie zadała. Tak, John, nie musisz ukrywać przede mną, że cierpisz. Jestem twoją matką, nosiłam cię pod sercem i twoja troska jest dla mnie męką. I jeśli nawet ty jej nie nienawidzisz, to ja tak.

– I przez to, mamó, kocham ją jeszcze bardziej. Bo jeśli ty traktujesz ją tak niesprawiedliwie, muszę ją kochać dla równowagi. Czemu jednak w ogóle rozmawiamy o miłości i nienawiści? Ona o mnie nie dba i to wystarczy. To nawet zbyt wiele. Najlepiej nie wracajmy już do tego tematu. To jedyna rzecz, którą możesz dla mnie w tej sprawie zrobić. Po prostu nie wracajmy do tego.

– Z wielką radością. Chciałabym tylko, aby ona z całym swoim otoczeniem została zmieciona z powrotem tam, skąd przybyła.

Przez jakiś czas stał nieruchomo i wpatrywał się w ogień na kominku, a na jego widok suche dotychczas oczy matki napełniły się niewypłakаныmi łzami. A gdy się ponownie odezwał, wydawała się tak samo surowa i zrównoważona jak zawsze.

– Wydano nakaz aresztowania trzech mężczyzn za spiskowanie, mamó. Wczorajsze rozruchy dobiły cały strajk.

Imię Margaret już między nimi nie padło. Pograżyli się w zwykłej rozmowie, raczej o faktach niż o opiniach, a już zupełnie nie o uczuciach. Ich głosy były spokojne i chłodne, tak że ktoś obcy mógłby odnieść wrażenie, że nigdy dotąd nie spotkał się z taką lodowatą obojętnością pomiędzy dwojgiem ludzi najbliżej ze sobą spokrewnionych.

XXVII

OWOCE

*Dar z rąk prostych ludzi,
Jeżeli szczery, nie może urazić.*

*William Shakespeare, „Sen nocy letniej”, akt v,
przeł. Stanisław Barańczak*

Następnego dnia pan Thornton gładko i bez wahania zagłębił się w interesy. Pojawiło się niewielkie zapotrzebowanie na produkty końcowe związane z jego branżą, wykorzystał więc sytuację i twardo negocjował. Punktualnie stawiał się na spotkanie w sądzie pokoju, gdzie zadziwiał zdrowym rozsądkiem, umiejętnością błyskawicznej oceny sytuacji i przewidywania konsekwencji, dzięki czemu udało

się zgromadzeniu podjąć szybkie decyzje. Starsi przemysłowcy, ludzie od wielu lat mieszkający w Milton i znacznie od pana Thorntona zamożniejsi, wycofali się z działalności i zainwestowali swe środki w nieruchomości, podczas gdy on dysponował płynnym kapitałem i pozostawał na polu walki. Tylko on mógł zatem proponować kolejne kroki, to na niego spoglądano w oczekiwaniu propozycji i to jego wyznaczono do poczynienia ustaleń z policją. On zaś dbał o ich podświadomy szacunek niewiele bardziej niż o łagodny zachodni wiatr, który z ledwością rozwiewał dym wydobywający się z ogromnych kominów fabrycznych. Nie zdawał sobie sprawy z otaczającej go aury poważania. Gdyby było odwrotnie, odczuwałby to jako przeszkodę w osiągnięciu wyznaczonego sobie celu, natomiast zgodę obecnych i szybkie zakończenie spotkania uznał za oczywiste. To zachłanne uszy jego matki wyłowiły z rozmów żon tych sędziów pokoju i zamożnych ludzi wzmianki o tym, jak wysokie zdanie mają ci panowie o jej synu. Uważali, że gdyby nie on, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej, znacznie gorzej. Tego dnia pan Thornton załatwiał wszystkie sprawy błyskawicz-

nie i zdecydowanie. Wydawało się, że głęboki wstrząs i zmartwienie poprzedniego dnia, a także zaskakująca beczynność w ciągu kolejnych godzin, oczyściły jego intelekt z zasnuwającej go mgły. Czuł swą moc i cieszył się nią. Prawie potrafił ignorować głos swego serca. Gdyby znał piosenkę młynarza mieszkającego nad rzeką Dee, mógłby zaśpiewać: Nie dbam o nikogo, nikt nie dba o mnie*.

Przedstawiono mu dowody przeciwko Boucherowi i innym prowodyrom rozruchów, natomiast oskarżenia przeciwko owej trójce podejrzewanej o spiskowanie upadły. Stanowczo nakazał policjantom czujność, aby zdecydowana ręka sprawiedliwości trwała w gotowości do wymierzenia kary, kiedy tylko pojawią się dowody przestępstwa. A potem opuścił rozgrzany, cuchnący pokój w sądzie miejskim i wyszedł na zewnątrz, gdzie powietrze było świeższe, choć także parne. I wtedy nagle cała koncentracja, cała wewnętrzna mobilizacja jakby go opuściły. Poczł się tak ospały, że z trudem kontrolował myśli; zaczęły się błąkać wokół Margaret,

* Fragment z opery komicznej Thomasa Arne'a *Love in a Village* (1762), ze słowami Isaaca Bickerstaffe'a.

przywodziły przed jego oczy sceny, ale nie te wczorajsze, gdy go odrzuciła i odepchnęła, lecz te z poprzedniego dnia. Szedł mechanicznie zatłoczonymi ulicami, przeciskając się między ludźmi, ale ich nie zauważając. Czuł się prawie chory z tęsknoty za tym, aby powtórzyła się ta jedna chwila, ten jeden wycinek czasu, gdy ona przywarła do niego, a jej serce biło przy jego sercu.

– Ależ, panie Thornton, traktuje mnie pan dosłownie jak powietrze. Jak się czuje pańska matka? Co za pogoda! Zapewniam pana, że my, lekarze, nie lubimy takiej duchoty.

– Proszę o wybaczenie, doktorze Donaldson. Naprawdę pana nie zauważyłem. Moja matka czuje się całkiem nieźle, dziękuję. To piękny dzień i doskonały na żniwa, taką przynajmniej mam nadzieję. A jeśli zboże zostanie zwiezione bez przeszkód, to koniunktura w przyszłym roku będzie świetna, cokolwiek wy, lekarze, o tym sędzicie.

– Tak, tak. Każdy ma swój punkt widzenia. Zła pogoda i złe czasy dla pana są dobre dla mnie. Gdy handel nie idzie, więcej jest wśród mieszkańców Milton chorób i przygotowań do śmierci, niżby się panu mogło wydawać.

– Nie, jeśli chodzi o mnie, doktorze. Ja jestem z żelaza. Wiadomość o największym długu, jaki kiedykolwiek miałem, nie zdołała mi nawet przyspieszyć pulsu. Ten strajk, który szkodzi mi bardziej niż komukolwiek innemu w Milton, bardziej niż Hamperowi, nie ma żadnego wpływu na mój apetyt. Proponuję zatem, aby poszukał pan pacjenta gdzie indziej, doktorze.

– A propos, polecił mi pan dobrego pacjenta. Biedna dama! Ale porzućmy ten żartobliwy ton, bo zupełnie nie pasuje do tego przypadku. Jestem głęboko przekonany, że pani Hale, wie pan, tej damie w Crampton, nie pozostało już zbyt wiele czasu. Chyba wspominałem panu, że nigdy nie miałem zbyt wielkich nadziei na wyleczenie jej, ale widziałem ją dzisiaj i wygląda to naprawdę źle.

Pan Thornton milczał. Sławetna i wychwalana przez niego stabilność pulsu na moment go zawiodła.

– Czy mogę cokolwiek dla niej zrobić, doktorze? – zapytał zmienionym głosem. – Wie pan... widział pan, że nie narzekają na nadmiar pieniędzy. Czy istnieje jakieś udogodnienie, jakiś przysmak, cokolwiek, co można by jej zapewnić?

– Nie – odrzekł lekarz, kręcąc głową. – Choć może tak. Ciągłe ma ochotę na owoce. To przez to, że gorączkuje. Myślę, że gruszki by jej odpowiadały, a jest ich w tej chwili pod dostatkiem na rynku.

– Jestem pewien, że da mi pan znać, jeśli będę mógł w czymś pomóc – powiedział pan Thornton. – Liczę na pana.

– Och, bez obawy. Nie będę miał litości dla pańskiego portfela, zwłaszcza że znam jego głębokość. Chciałbym, aby dał mi pan *carte blanche* w sprawie wszystkich moich pacjentów i ich potrzeb.

Pan Thornton dotychczas nie grzeszył dobroczynnością, filantropia nie zajmowała go wcale, a niewiele przyznałoby, że w ogóle ma serce. Jednakże teraz wszedł do najlepszego sklepu z owocami w Milton i wybrał kiść purpurowych winogron, zabarwionych najdelikatniejszym rumieńcem, cudownie wybarwione brzoskwinie i najświeższe liście winorośli. Wszystko to zostało ułożone w koszu, a sprzedawca spytał:

– Dokąd mamy to odesłać, sir?

Odpowiedź nie padła.

– Do Marlborough Mills, jak przypuszczam?

– Nie! – odpowiedział pan Thornton. – Proszę dać mi ten kosz. Sam go zabiorę.

Musiał użyć obu rąk, aby unieść koszyk, i przeszedł przez najruchliwszą handlową część miasta, wypełnioną kobietami robiącymi zakupy. Wiele znajomych młodych dam odwracało za nim głowy, dziwiąc się, że zachowuje się jak portier lub chłopiec na posyłki.

Myśl o niej nie powstrzyma mnie od robienia tego, na co mam ochotę – stwierdził w duchu. Podoba mi się zanieść te owoce jej chorej matce i mam do tego prawo. A ona mnie nie zniechęci. Będę postępował według swojego uznania. To byłoby zabawne, gdybym z obawy przed wyniosłą dziewczyną nie wyświadczył uprzejmości człowiekowi, którego lubię. Przecież robię to dla pana Hale'a. I wbrew jego córce.

Szedł niezwykle szybko i wkrótce dotarł do Crampton. Wszedł po dwa stopnie po schodach i znalazł się w salonie, zanim Dixon zdążyła go zaanonsować. Twarz mu się mieniła, a w oczach lśniła serdeczna powaga. Pani Hale leżała rozgorączkowana na sofie, a mąż czytał jej na głos. Margaret, siedząc na taboreciku tuż przy boku matki, zajmowała się robótką. Serce

zatrzepotało jej w piersi na jego widok, nawet jeżeli jego nie drgnęło. Nie zwrócił zresztą na dziewczynę uwagi i ledwo zauważył jej ojca. Ruszył ze swym koszykiem od razu w stronę pani Hale i zwrócił się do niej tym przytłumionym, łagodnym tonem, który jest tak ujmujący, gdy używa go silny, zdrowy mężczyzna w stosunku do osłabionej chorej:

– Spotkałem doktora Donaldsona, ma'am, i wspomniał mi, że owoce są dla pani bardzo wskazane. Pozwoliłem sobie zatem na śmiałość... na wielką śmiałość i przyniosłem kilka takich, które wydały mi się odpowiednie.

Pani Hale była w najwyższym stopniu zdumiona i zadowolona, wprost drżała z podniecenia. Jej mąż, wypowiadając mniej słów, wyraził głębszą wdzięczność.

– Przynieś paterę, Margaret, albo koszyk... cokolwiek.

Panna Hale stała przy stole, bojąc się ruszyć lub spowodować jakikolwiek dźwięk, który uświadomiłby panu Thorntonowi jej obecność w pokoju. Pomyślała, że dla każdego z nich spotkanie twarzą w twarz byłoby dziwne i trudne, wyobrażając sobie, że jeśli najpierw

siedziała na niskim taborecie, a teraz stoi za ojcem, to ich gość mógł jej nie zauważyć. Tak jakby nie wyczuł jej obecności, choć jego spojrzenie nawet na niej nie spoczęło!

– Muszę iść – oznajmił. – Nie mogę zostać. Proszę wybaczyć mi tę śmiałość... moje zachowanie... może trochę zbyt obcesowe... trochę niespodziewane, obawiam się. Następnym razem postaram się być bardziej taktowny, o ile pozwoli mi pani ponownie przynieść sobie owoce, jeżeli zauważę jakieś wyjątkowe okazy. Miłego popołudnia, panie Hale. Do widzenia, ma'am.

Odszedł. Ani jednym słowem, ani jednym spojrzeniem nie zaszczyił Margaret. A ona naprawdę uwierzyła, że jej nie widział. W milczeniu poszła po patereę i z czułością układała owoce, chwytając je końcami delikatnych palców. Jak ładnie postąpił, przynosząc matce te dary, zwłaszcza po tym, co się stało wczoraj.

– Och, jakie są cudowne! – stwierdziła pani Hale słabym głosem. – Jakie to miłe, że o mnie pomyślał. Margaret, kochanie, tylko spróbuj tych winogron! Czy to nie było urocze z jego strony?

– Tak – przytaknęła cicho dziewczyna.

– Margaret – odezwała się pani Hale kłótliwym głosem – nie podoba ci się nic, co robi pan Thornton. Nigdy nie widziałam kogokolwiek tak uprzedzonego jak ty.

Pan Hale obierał właśnie dla żony brzoskwinie i odcinając dla siebie kawałek, powiedział:

– Gdybym miał jakiegokolwiek uprzedzenia, pod wpływem tak wspaniałych owoców rozpląnęłyby się bez śladu. Nie kosztowałem tak wybornych brzoskwiń... nie, nawet nie w Hampshire... nie jadłem takich owoców, odkąd byłem chłopcem. A chłopcom, jak mi się wydaje, smakują wszystkie owoce. Pamiętam, że z przyjemnością jadłem nawet tarninę i rajskie jabłuszka. A pamiętasz, Margaret, te splątane krzewy porzeczek? W tym narożniku przy zachodnim murze w ogrodzie przy domu?

Czy pamiętała? A czyż nie pamiętała każdego najmniejszego zacieku na starym kamiennym murze? Szare i żółtawe porosty znaczyły go niczym mapę. A te małe bodziszki wrastające w każdą szczelinę? Wydarzenia ostatnich dwóch dni wstrząsnęły jej światem, wystawiły jej hart ducha na wielką próbę. A jed-

nak dopiero te przypadkowe słowa ojca, przywołujące wspomnienie słonecznych dni z przeszłości, sprawiły, że zerwała się i upuszczając swą robótkę na podłogę, pospiesznie opuściła salon i pobiegła do swego pokoiku. Za ledwie wydała z siebie pierwszy zdławiony szloch, gdy zdała sobie sprawę, że przy jej komodzie stoi Dixon i wyraźnie czegoś szuka.

– A niech mnie, panienko! Wystraszyła mnie panienka! Mam nadzieję, że pani się nie pogorszyło, prawda? Czy coś się stało?

– Nie, nic. To tylko ja jestem niemądra, Dixon, i chciałam szklankę wody. Czego tu szukasz? W tej szufladzie trzymam muśliny.

Służąca się nie odezwała, tylko dalej przerzucała zawartość szuflady. W pokoju rozszedł się zapach lawendy. W końcu znalazła to, czego szukała, aczkolwiek Margaret nie dostrzegła, co to było. Dixon odwróciła się i oznajmiła:

– Nie podoba mi się, że muszę powiedzieć to panienke, bo i tak ma panienka dosyć innej zgryzoty, a wiem, że tym też będzie się panienka trapić. Umyśliłam sobie, że ukryję to przed panienką chociaż do nocy.

– Ale co się stało? Proszę cię, powiedz, Dixon, i to natychmiast!

– Ta młoda kobieta, którą panienka odwiedzała, Higgins, znaczy.

– Co z nią?

– No więc ona zmarła dziś rano i jest tu jej siostra... Przyszła z taką dziwną prośbą. Wygląda na to, że ta zmarła dziewczyna miała taką zachciankę, takie życzenie, żeby pochowano ją w czymś, co należało do panienki. I ta siostra przyszła prosić o coś takiego, więc szukałam tego czepka nocnego, co to nie szkoda by go było oddać.

– Och, ja sama poszukam! – zawołała Margaret cała we łzach. – Biedna Bessy! Do głowy by mi nie przyszło, że już jej nie zobaczę.

– No właśnie. To kolejna rzecz. Ta dziewczyna na dole prosiła, abym spytała, czy panienka zechciałaby zobaczyć jej siostrę.

– Ale ona jest martwa. – Margaret zbladła. – Nigdy nie widziałam nikogo martwego. Nie! Raczej wołałabym jej nie oglądać.

– Nigdy bym o to nie spytała, gdyby panienka tu nie przyszła. Zresztą powiedziałam to tej Higgins.

– Sama pójdę na dół i z nią porozmawiam – oznajmiła Margaret, bojąc się, że szorstki sposób bycia Dixon może zranić biedną dziewczynę. Wzięła czepek i zeszła na dół do kuchni. Twarz Mary była obrzmiała od płaczu, a na widok Margaret ponownie zalała się łzami.

– Och panienko, ona tak panią kochała, tak kochała. Naprawdę!

Przez dłuższy czas to było wszystko, co udało się wydobyć z Mary. W końcu jednak współczucie Margaret i łajanie Dixon przyniosły taki skutek, że opowiedziała im, co się stało. Nicholas Higgins wyszedł rano, zostawiając Bessy w takim samym stanie jak poprzedniego dnia. Niestety, po godzinie chora poczuła się gorzej i jeden z sąsiadów pobiegł do fabryki, gdzie pracowała Mary. Nie zdołali znaleźć ojca, natomiast siostra zdążyła dotrzeć do domu kilka minut przed śmiercią dziewczyny.

– Już od dwóch dni prosiła, coby ją pochować w czymś panienki. Nigdy jej nie męczyło mówienie o panience. Mówiła, że na niczym śliczniejszym od panienki jej oczy nigdy się nie zatrzymały. Tak strasznie

panienkę kochała. Jej ostatnie słowa były: „Przekaż jej moje najczulsze pozdrowienia. I pilnuj, żeby ojciec nie pił”. Proszę przyjść i ją zobaczyć. Bardzo by jej to pomogło, panienko.

Margaret wzdragająca się z odpowiedzią.

– Tak, pewnie bym mogła. Tak, przyjdę. Przyjdę przed herbatą. A gdzie twój ojciec, Mary?

Panna Higgins pokręciła głową i wstała, zbierając się do wyjścia.

– Panienko – odezwała się Dixon niskim głosem – jaki jest sens, aby panienka tam szła zobaczyć tę biedaczkę? Nie powiedziałabym przeciw temu słowa, gdyby to jej mogło cokolwiek pomóc. Sama bym nawet poszła, gdyby trzeba było. Oni są po prostu przekonani, ci zwykli ludzie, że to oznaka szacunku wobec zmarłych. – Obróciła się nagle w stronę Mary i oznajmiła: – Ja pójdę zobaczyć twoją siostrę. Panna Hale jest zajęta i nie może pójść. Gdyby mogła, toby na pewno poszła.

Dziewczyna patrzyła na Margaret błagalnie. Przyjście Dixon też byłoby zaszczytem, ale nie znaczyłoby tyle samo dla biednej Mary, która dotychczas czuła wobec Margaret przede wszystkim zazdrość, widząc jej zażyłość z Bessy.

– Nie, Dixon! – oznajmiła panna Hale, podejmując w końcu decyzję. – Pójdę. Mary, zobaczymy się po południu – dodała i w obawie przed własnym tchórzostwem czym prędzej odeszła, odbierając sobie tym samym okazję do zmiany postanowienia.

XXVIII

POCIECHA DLA STRAPIONYCH

*Krzyż drogą do korony! – I choć duch człowieczy
Niejedno w życiu cierpienie przejść musi,
Cieszymy się i radujmy, bo u kresu rzeczy
Na wieki królować będziemy w Chrystusie.*

*Łudwig Gotthard Kosegarten, „Via Crucis, Via Lucis”,
przeł. Joanna Puchalska*

*Bo gdy dni płyną mile, zadufani w swej sile, niepomni
jesteśmy na Ciebie;
Ale w próby godzinie głupia dusza jedynie nie zawoła do
Boga w potrzebie.*

*Elizabeth Barrett Browning, „The Lay of the Brown Rosary”,
przeł. Joanna Puchalska*

Tego popołudnia szybko pokonała drogę do domu Higginsów. Mary oczekiwała jej z wyrazem nieufności na twarzy, jakby nie liczyła na jej przyście, więc Margaret się uśmiechnęła, aby rozwiać wątpliwości dziewczyny. Szybko przeszły przez izbę i weszły na górę, prosto w ciche królestwo śmierci. Wtedy do panny Hale dotarło, jak dobrze się stało, że jednak przyszła. Twarz Bessy, często taką wyczerpaną bólem, taką zmęczoną dręczącymi myślami, zdołał teraz łagodny uśmiech wiecznego spoczynku. Łzy wolno napłynęły do oczu Margaret, ale jednocześnie głęboki spokój wypełnił jej duszę. A więc to jest śmierć. Wygląda na bardziej przyjazną i błogą niż życie. Do głowy przyszły jej zdania z Pisma Świętego: „Zaiste, mówi Duch, niech odpoczną od swoich mokołów”, „Spokojni, zużyli już siły” oraz „Tyle daje On i we śnie tym, których miłuje”^{*}.

^{*} Fragment z *Księgi Apokalipsy* (14,13), z *Księgi Hioba* (3,17) i z *Księgi Psalmów* (127,2).

Powoli, bardzo powoli Margaret odwróciła się od łóżka. Mary cichutko popłakiwała z tyłu. Bez słowa schodziły razem na dół.

Na środku pokoju, opierając się o stół, stał Nicholas Higgins. Jego oczy były szeroko otwarte pod wpływem wstrząsu na wieść, którą przekazały mu usługujące języki sąsiadów, gdy przechodził przez podwórze. Te oczy były suche i jakby zdziczałe, gdy usiłował przyswoić sobie wiadomość o śmierci córki i zaakceptować fakt, że jej miejsce przy ogniu pozostanie puste. Chorowała tak długo, od tak dawna umierała i chyba uwierzył, że jej śmierć nigdy nie nastąpi, że Bessy „się prześlizgnie”.

Margaret czuła, że nie powinna tam zostawać. Oswoiła się już z obecnością śmierci, o której on, ojciec Bessy, dopiero się dowiedział. Na jego widok zatrzymała się na chwilę na rozklekotanych, stromych schodach, a potem próbowała umknąć jego nieobecnemu spojrzeniu i zostawić go w mrocznym kręgu rodzinnej tragedii.

Mary usiadła na pierwszym z brzegu krześle, zarzuciła sobie na głowę fartuch i zaczęła zawodzić. Ten dźwięk wyrwał Nicholasa z otępienia. Gwałtownie zła-

pał Margaret za ramię i trzymał ją, aż udało mu się do-
być z siebie zdławiony, szorstki głos:

– Była panienka z nią? Widziała, jak umierała?

– Nie! – odrzekła panna Hale, stojąc nieruchomo i cierpliwie, skoro i tak ją dostrzegł. Nie wypuszczał jej ramienia z uchwytu, ale ponownie odezwał się dopiero po chwili milczenia.

– Wszyscy muszą umrzeć – powiedział w końcu dziwnie poważnym tonem, który kazał przypuszczać, że pił; zbyt mało, aby się upić, ale wystarczająco, by wprawić swe myśli w szaleńczą gonitwę. – Ale była przecież młodsza ode mnie – rozważał, nie patrząc przy tym na Margaret, ale też nie puszczając jej ramienia. Nagle spojrział na nią z szaleńczym pytaniem w oczach: – Jesteście pewne, że naprawdę umarła? Że to nie słabość? Nie omdlenie? To się już zdarzało.

– Nie żyje – odpowiedziała. Nie bała się z nim rozmawiać, choć swym uściskiem zadawał jej ból, a w jego oszołomionych oczach widziała dzikie błyski. – Nie żyje – powtórzyła.

Popatrzył na nią nieruchomo z tym zwątpieniem, które jednakże zdawało się z każdą chwilą znikać z jego wzro-

ku. Nagle puścił Margaret i rzucił się do stołu, chwycił go i potrząsał. A potem zerwał się i z gwałtownym szlochem miotał się po pokoju, roztrzając napotkane na swojej drodze sprząty. Drżąca Mary zbliżyła się do niego.

– Wynoś się! Wynoś się! – wrzeszczał, uderzając ją na oślep i bez opamiętania. – Jesteś dla mnie nikim!

Margaret ujęła ją za rękę i łagodnie trzymała. A Nicholas rwał włosy z głowy, walił głową w twarde drewno, a w końcu padł wyczerpany. Żadna z obecnych się nie ruszyła. Mary nadal drżała od stóp do głów.

Wreszcie, może kwadrans, a może godzinę później, podniósł się. Oczy miał opuchnięte i przekrwione, i sprawiał wrażenie, jakby zapomniał, że ktoś poza nim znajduje się w pokoju. Gdy dostrzegł obie dziewczyny, rzucił na nie spojrzenie spode łba, wzdrygnął się, znów spojrzał ponuro i bez słowa ruszył w stronę drzwi.

– Ojcze! Ojcze! – krzyknęła Mary, rzucając się do jego ramienia. – Nie dzisiaj! Każdego innego dnia, ale nie dzisiaj! Niech mi panienka pomoże! On znów idzie pić! Ojcze, ja cię nie puszczę! Możesz mnie uderzyć, ale nie puszczę. Na samym końcu powiedziała, że mam pilnować, abyś nie pił!

Margaret stała w przejściu, milcząca, ale rozkazująca. Patrzył na nią z wyzwaniem.

– To mój dom. Zejdź mi z drogi, dziewucho, albo się z tobą rozprawię!

Przemocą oderwał od siebie Mary i przymierzał się do uderzenia panny Hale. A jej nawet nie drgnął mięsień na twarzy, nawet na chwilę nie przestała patrzeć na niego z powagą. Wpatrywał się w nią z ponurą srogością. Gdyby się poruszyła, odepchnąłby ją z jeszcze większą gwałtownością niż własną córkę, której twarz krwawiła po tym, jak upadając, uderzyła się o krzesło.

– Czemu się tak na mnie gapisz? – spytał w końcu, zatrzymany w swym szale, poskromiony jej surowym wzrokiem. – Jeśli ci się wydaje, że mnie powstrzymasz od pójścia, gdzie mi się podoba, tylko dlatego, że ona cię kochała... i to do tego w moim domu, gdzie nikt cię nie zapraszał, to się mylisz. Człowiek musi iść się pocieszyć, a znam na to tylko jeden sposób.

Margaret zrozumiała, że uznał jej moc. Co powinna zrobić dalej? Usiadł na krześle tuż przy drzwiach, na wpół pokonany, na wpół obrażony, i zamierzał wydość się z domu, kiedy tylko ona ustąpi mu z drogi, bo

nie chciał stosować wobec niej przemocy, którą groził pięć minut wcześniej. Margaret położyła dłoń na jego ramieniu.

– Chodźmy – powiedziała. – Chodźmy do niej.

Mówiła głosem cichym i bardzo uroczystym, ale nie było w nim ani strachu, ani wątpliwości co do jego zgody. Podniósł się. Stał, nie wiedząc, jak postąpić, a ową niepewność miał wypisaną na twarzy. Czekala na niego. Cicho i z cierpliwością czekała, aż nadejdzie jego czas. Odczuwał niezrozumiałą przyjemność na myśl, że każe jej czekać. Wreszcie ruszył w stronę schodów.

Stanęli przy zmarłej.

– Jej ostatnie słowa do Mary brzmiały: „Pilnuj, aby ojciec nie pił”.

– Teraz to już jej nie zaszkodzi – wymruczał. – Teraz to jej nic nie zaszkodzi – mówił podniesionym nagle głosem i zaczął lamentować. – Możemy się kłócić i rozstawać, możemy się godzić i być przyjaciółmi, możemy się zagłodzić na śmierć! Już żadne z naszych zmartwień jej nie dotknie. Już miała w nich swój udział. Najpierw ciężka robota, potem choroba! Jej życie było jak życie

psa! I umarła bez jednej radości w całym życiu! Nie, dziewczyno, nieważne, co powiedziała, teraz i tak się nie dowie, a ja po prostu muszę wychylić głębszego, muszę zalać mój smutek.

– Nie – powiedziała Margaret łagodniej, skoro on też złagodniał. – Nic takiego pan nie zrobi. Jeśli jej życie było takie, jak pan mówi, przynajmniej nie bała się śmierci, jak inni. Och, powinien był pan posłuchać, jak mówiła o przyszłym życiu, o życiu z Bogiem, z którym teraz jest.

Pokręcił głową, spoglądając przy tym na nią kątem oka. Jego blada, wynędzniała twarz napełniała ją cierpieniem.

– Wygląda pan na wykończonego. Gdzie pan był cały dzień? Raczej nie w pracy?

– Jasne, że nie w pracy – odpowiedział z krótkim ponurym śmieszkiem. – Przynajmniej nie w miejscu, które pani nazwałaby pracą. Byłem w komitecie i tak długo próbowałem zmusić tych głupców, żeby posłuchali głosu rozsądku, aż w końcu mnie wzięły mdłości. Zaprowadzili mnie dziś rano przed siódmą do żony Bouchera. Jest przykuta do łóżka, ale wrzeszczała i pie-

klifa się, dopytując, gdzie jest ten cymbał, jej pokręcony mąż. Jakbym to ja miał go pilnować, jakbym miał nim kierować. Przez tego cholernego durnia wszystkie nasze plany wzięły w łeb. Nóg nie czuję od szukania chłopaków, którzy się musieli pochować, bo prawo jest przeciwko nam. A bardziej od nóg bolało mnie serce. No i spotkałem znajomego, co to mnie poczęstował. Nie wiedziałem, że ona tu umiera. Bess, maleńka, ty byś mi uwierzyła, uwierzyłyabyś, prawda? – zwracał się do niemego kształtu z tym dzikim apelem.

– Na pewno – przytaknęła Margaret. – Na pewno pan nie wiedział. To się stało tak nagle. Ale teraz już pan wie. Widział ją pan. Słyszał pan, co wypowiedziała z ostatnim oddechem. Proszę tam nie iść.

Nie odpowiedział. Dokąd miał się zwrócić po pociechę?

– Niech pan pójdzie ze mną do domu – powiedziała w końcu, lekko drżąc, gdy składała mu tę śmiałą i ryzykowną propozycję. – Przynajmniej zje pan coś solidnego, a z pewnością jest to panu potrzebne.

– Panienci ojciec jest duchownym? – spytał nagle, zmieniając tor swych myśli.

– Był – odpowiedziała krótko.

– Pójdę i wypiję z nim herbatę, skoro panienska prosi. Od dawien dawna mam wiele do powiedzenia jakiemuś duchownemu i nie robi mi różnicy, czy on jeszcze naucza, czy już nie.

Margaret czuła zakłopotanie. Nie była pewna, czy to dobry pomysł, aby Nicholas wypił herbatę z jej ojcem, zupełnie nieprzygotowanym na przyjęcie gościa, takiego gościa. Do tego jej chora matka. To wszystko wydawało się nawzajem wykluczać. Gdyby się jednak teraz wycofała, tylko pogorszyłaby sprawę. To by go zaprowadziło wprost do szynku. W końcu pomyślała, że gdyby tylko udało się go sprowadzić do ich domu, byłby to taki krok naprzód, że odważyłaby się pozwolić na swobodny rozwój wypadków.

– Do widzenia, dziewczuszko! Musimy się w końcu rozstać. Musimy. Ale dla twojego taty byłaś zawsze błogosławieństwem, zawsze, odkąd się urodziłaś. I niech będą pochwalone twoje białe usteczka, bo wreszcie masz na nich uśmiech. I rad jestem, że go widzę ten ostatni raz, choć zostaję sam. Opuszczony na zawsze.

Pochylił się i czule pocałował córkę. Potem za-

krył jej twarz, odwrócił się i podążył za Margaret. Pospiesznie zeszła po schodach, aby powiedzieć Mary o poczynionych ustaleniach, o tym, że był to jedyny sposób, który przyszedł jej do głowy, aby odciągnąć Nicholasa od ginu. Chciała też przekonać ją, by poszła razem z nimi, bo serce jej pękało na samą myśl o pozostawieniu biednej, kochającej dziewczyny samej. Panna Higgins stwierdziła jednak, że ma przyjaciół wśród sąsiadów i że ktoś z nich posiedzi razem z nią. To nie stanowiło problemu, natomiast ojciec...

Nicholas stanął przy nich. Strząsnął z siebie poprzednie emocje i wydawał się zawstydzony, że dał im upust. Doszedł do siebie na tyle, że przyjął nawet pozę zgryźliwości i rozbawienia, ale tak gorzkiego jak „trząskanie cierni płonących pod kotłem”^{*}.

– Idę wypić herbatę z jej ojcem, ot co!

Gdy wychodzili na ulicę, opuścił daszek czapki nisko na oczy i nie patrzył ani w prawo, ani w lewo. Szedł tak u boku Margaret, bojąc się pełnych współczucia słów, a jeszcze bardziej spojrzeń sąsiadów. Milczeli oboje.

* Fragment z *Księgi Koheleta* (7,6).

Kiedy zbliżali się do ulicy, przy której, jak wiedział, mieszkała, zatrzymał się i obrzucił wzrokiem swe ubranie, buty i ręce.

– Zdaje mi się, że trzeba się było najpierw umyć i wyczyścić ubranie?

Byłoby to z pewnością wskazane, ale Margaret zapewniła go, że wpuści go na podwórze i przyniesie mydło i ręcznik. Nie zamierzała pozwolić mu się teraz wyślizgnąć.

Podążył za służącą najpierw korytarzem, a później przez kuchnię, z uwagą stąpając na ciemniejsze fragmenty podłogi, aby ukryć ślady pozostawiane przez swe zabłocone buty. Margaret pobiegła tymczasem na górę. Na podeście spotkała Dixon.

– Jak się czuje mama? I gdzie jest papa?

Pani Hale była zmęczona i udała się do swojego pokoju. Chciała iść do łóżka, ale służąca jej to odradziła, sugerując, by położyła się raczej na sofie i tam wypijała swoją herbatę. Zdaniem Dixon to byłoby lepsze niż nocna bezsenność spowodowana zbyt długim pozostawaniem w łóżku.

Jak na razie sprawy przedstawiały się nieźle. Ale

gdzie był pan Hale? W bawialni. Margaret wpadła tam prawie bez tchu i pospiesznie opowiedziała całą historię, oczywiście niezbyt składnie i kompletnie. Ojciec nie krył zaskoczenia faktem, że pijany tkacz oczekuje go w jego własnym, cichym gabinecie, aby mogli wypić razem herbatę, tak jak go o to błagała córka. Potulny i łagodny pan Hale z pewnością podjąłby się pocieszenia zrozpaczonego Nicholasa, ale niestety, Margaret mocno podkreślała, że ich gość był pijany, a sam pomysł sprowadzenia go do domu traktowała jako ostatnią deskę ratunku, mającą utrzymać ojca Bessy z dala od szynku. Te wszystkie drobne fakty i okoliczności były z sobą tak ściśle powiązane, tak się przenikały, że dziewczyna, dopiero gdy dostrzegła lekki niesmak na twarzy ojca, uświadomiła sobie, jak przedstawiła całą sprawę.

– Och papo, naprawdę go polubisz. O ile tylko zdołasz się przełamać.

– Ale, Margaret, przyprowadzać tu pijanego człowieka... i to w sytuacji, gdy matka jest taka chora?

Panna Hale straciła kontenans.

– Przepraszam, papo. On jest bardzo cichy. Nie jest

pijany, naprawdę. Tylko na początku dziwnie się zachowywał, ale to chyba przez ten wstrząs z powodu śmierci Bessy.

Oczy Margaret napełniły się łzami. Ojciec ujął w dłonie jej słodką twarz i pocałował ją w czoło.

– Nic nie szkodzi, kochana. Pójdę i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby go pocieszyć. Ty zajrzyj do matki. Ale byłbym bardzo rad, gdybyś mogła dołączyć potem do nas w gabinecie.

– Och tak, dziękuję – odrzekła z wdzięcznością. Gdy pan Hale wychodził z pokoju, pobiegła za nim: – Papo, nie zwracaj uwagi na to, co on mówi. On jest... to znaczy... on nie bardzo wierzy w to, w co my wierzymy.

– Cudownie! Pijany tkacz ateista! – powiedział zaniepokojony pan Hale do siebie. Córce zaś polecił:

– Przyjdź do nas, kiedy nasza chora zaśnie.

Margaret poszła do sypialni matki. Pani Hale przebudziła się z drzemki.

– Kiedy napisałaś do Fredericka, Margaret? Wczoraj czy przedwczoraj?

– Wczoraj, mamó.

– Wczoraj. I list został wysłany?

– Tak. Osobiście go zaniósłam.

– Och Margaret! Tak bardzo się boję jego przyjazdu. A jeśli go rozpoznają? I aresztują? A jeśli go stracą po tych wszystkich latach, kiedy się ukrywał i był bezpieczny? Zasypiam i od razu śni mi się, że został złapany i osądzony.

– Ależ, mamó, nie bój się. Oczywiście, że wiąże się z tym jakieś ryzyko, ale zrobimy, co się da, aby je zminimalizować. Zresztą i tak zagrożenie jest niewielkie. Pomyśl, co by było w Helstone. Tam byłoby dwadzieścia, nie, sto razy trudniej. Tam wszyscy pamiętali Fredericka i gdyby w naszym domu pojawił się gość, wszyscy od razu by odgadli, kto to jest. Natomiast tu nikt nas nie zna i nikt o nas nie dba na tyle, aby wnikać w to, kogo gościmy. Poza tym w czasie jego pobytu tutaj Dixon stanie na straży jak smok, prawda, Dixon?

– Chciałabym zobaczyć tego, kto się koło mnie prześlizgnie – odrzekła służąca, szczerząc zęby.

– Poza tym on wcale nie musi opuszczać domu. A jeśli nawet, to może wychodzić po zmroku.

– Biedaczek – skomentowała pani Hale. – Prawie

żałuję, że napisałaś ten list. Myślisz, że teraz jest już za późno, żeby napisać kolejny i odwołać tamten, Margaret?

– Obawiam się, że tak, mamó – odpowiedziała dziewczyna, przypominając sobie, jak błagała Fredericka, by przyjechał natychmiast, jeśli chce zastać matkę przy życiu.

– Nigdy nie lubiłam takiego działania w pośpiechu – stwierdziła niezadowolona pani Hale. Margaret milczała.

– No, już dosyć, proszę pani – wtrąciła Dixon serdecznie, ale stanowczo. – Przecież wie pani, że o niczym nie marzy pani tak jak o zobaczeniu panicza Fredericka. Cieszę się, że panienka Margaret napisała do niego bez tego wahania się „może tak, a może nie”. Szczerze mówiąc, sama miałam na to ochotę. I dobrze go ukryjemy, nie ma obawy. Jedyłą osobą w domu, która w razie potrzeby nie poświęciłaby dla panicza wszystkiego, jest Marta. I tak sobie pomyślałam, że kiedy on tu będzie, ona mogłaby iść do matki. Wspominała raz czy dwa, że chciałyby ją odwiedzić, bo matka miała niedawno udar, ale dziewczyna bała się spytać o pozwolenie. Teraz jed-

nak, jak już będziemy wiedziały, kiedy panicz przyjedzie, dopilnuję, żeby jej tu nie było. Więc niech pani spokojnie pije swoją herbatę i mi zaufa.

Pani Hale ufała Dixon bardziej niż własnej córce i wypowiedź służącej tymczasowo ją uspokoiła. Margaret nalewała herbatę w milczeniu i próbowała wymyślić jakiś przyjemny temat do rozmowy, jednakże jej myśli reagowały podobnie jak Daniel O'Rourke, gdy Księżycowy Człowiek poprosił go, by puścił swój sierp. „Im bardziej prosisz, tym bardziej nie puszcę”*. Im bardziej starała się myśleć o czymś innym niż niebezpieczeństwo, na jakie wystawiony będzie jej brat, tym bardziej wyobraźnia podsuwała jej obrazy możliwych konsekwencji. Matka beztrąsko paplała z Dixon i sprawiała wrażenie, jakby całkowicie zapomniała o tym, że Frederick może zostać skazany, jakby zapomniała, że to na jej życzenie, choć ręką Margaret, wezwano go, narażając tym samym na śmierć. Pani Hale należała do tych

* Słowa Daniela O'Rourke'a, bohatera baśni irlandzkiej, który przeniesiony podstępem na Księżyc, utrzymywał się na nim zaczepiony o sierp. Wypowiedział je, poproszony przez Księżycowego Człowieka, by puścił uchwyt.

osób, które odrzucają myśli o niesprzyjających ewentualnościach, niekorzystnych możliwościach, nieprzyjemnych sytuacjach wszelkiego rodzaju, tak jak rakietą wyrzuca iskry; ale tacy ludzie są też najbardziej wybuchowym, łatwopalnym materiałem, który w zetknięciu z iskrą tli się jako pierwszy, a w końcu wybuchu przeżalnym płomieniem. Margaret była zadowolona, gdy po spełnieniu powinności względem matki mogła zejść do gabinetu. Zastanawiała się, jak przebiega spotkanie jej ojca z Higginsem.

Przede wszystkim było jasne, że pełen godności i prostoty staroświecki dżentelmen swoim kurtuazyjnym zachowaniem całkowicie nieświadomie obudził skrywaną dotychczas uprzejmość gościa.

Pan Hale traktował wszystkich ludzi jednakowo i nigdy dotychczas nie przyszło mu do głowy, aby czynić między nimi różnice w zależności od ich pozycji społecznej. Podał Nicholasowi krzesło, a sam stał, czekając, aż ten na wyraźną prośbę gospodarza zajmie miejsce. Nazywał go niezmiennie panem Higginsem, zamiast zwięzłego „Nicholas” lub „Higgins”, do czego „pijany tkacz ateista” był przyzwyczajony. Nicholas nie

był jednak ani nałogowym pijakiem, ani stuprocentowym ateistą. Jeśli pił, to po to, by utopić troski, jak sam by to określił. A jeśli chodzi o jego ateizm, to po prostu dotychczas nie odkrył religii, która trafiłaby do jego serca i duszy.

Margaret była lekko zaskoczona i bardzo zadowolona, gdy zastała obu panów pogrążonych w poważnej rozmowie. Zwracali się do siebie z pełną szacunku uprzejmością, niezależnie od tego, czy się ze sobą zgadzali. Nicholas, czysty (choć miał do dyspozycji tylko pompę na podwórzu) i mówiący spokojnie, był kimś zupełnie innym niż człowiek, którego dotychczas widywała pod jego własnym dachem, gdzie prezentował szorstką niezależność. Zmoczył i wygładził włosy, poprawił chustkę na szyi i woskiem z pożyczonego ogarka wypolerował chodaki. I oto teraz siedział, perswadując coś ojcu Margaret, wypowiadając się co prawda z bardzo silnym akcentem Darkshire, ale spokojnym głosem i z poważnym wyrazem twarzy. Pan Hale był zainteresowany tym, co miał do powiedzenia jego rozmówca. Spojrzał na córkę, gdy weszła, uśmiechnął się i bez słowa podał jej swoje krzesło, a potem od razu usiadł na

innym i lekko uklonił się gościowi, przeprasząc go za ów przerywnik. Higgins na znak pozdrowienia skinął dziewczynie głową, a ona starannie rozłożyła swą robótkę na stole i zaczęła się przysłuchiwać.

– Jak już mówiłem, sir, nie miałby pan w sobie zbyt wiele wiary, gdyby pan tu mieszkał, znaczy, gdyby się pan tu wychował. Przepraszam, jeśli używam niewłaściwych słów, ale wiara to jest to, co myślimy o maksymach i obietnicach złożonych przez ludzi, których pan nigdy nie widział, o życiu i rzeczach, których nie widział ani pan, ani nikt inny. I chce mi pan wmówić, że to są prawdziwe rzeczy, prawdziwe powiedzenia i prawdziwe życie. A ja się pytam: gdzie jest dowód? Jest tu dookoła wielu, wielu mądrzejszych niż ja i dwadzieścia razy bardziej uczonych, takich, co to mieli czas o tym myśleć, gdy ja zajmowałem się zarabianiem na chleb. I ja widzę tych ludzi. Widzę ich życie. Oni są prawdziwymi ludźmi. I nie wierzą w Biblię, o, nie. Mogą mówić, że wierzą, ale to dlatego, że tak uchodzi. Ale czy pan myśli, że ich pierwsze słowa wymawiane rano

to: „Co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?”*, czy raczej: „Cóż mam uczynić, aby sobie dzisiaj napchać sakiewkę? Dokąd iść? Jaki ubić interes?” Sakiewka, złoto i banknoty to są rzeczy, które istnieją. Można je poczuć i ich dotknąć. One są prawdziwe. A życie wieczne to tylko gadanina, dobra dla... Proszę o wybaczenie, sir. Pan jest duchownym bez roboty, jak mnie mam. Dobra! Nie będę przecież mówił bez szacunku o człowieku, który jedzie na takim samym wózku jak ja. Zadam panu jeszcze jedno pytanie, ale nie żeby mi pan odpowiadał. Wrzucę je tylko panu pod rozwagę, jak tu mówimy: „Napcham nim fajkę i zapalę”, zanim uzna pan nas, którzy wierzymy w to, co widzimy, za głupków i matołów. Jeśli zbawienie i przyszłe życie, i co tam jeszcze, to byłaby prawda, ale nie w słowach, tylko w głębi serca, to przecież robiliby wokół tego taką samą wrzawę, jaką robią wokół ekonomii politycznej. Pali się im, żeby nam przekazać tę mądrość. Ale tamto, to o religii, byłoby jeszcze większym zwrotem, gdyby się okazało, że to prawda.

* Fragment z *Księgi św. Łukasza* (18,18).

– Ale wasi pracodawcy nie mają nic wspólnego z wyznawaną przez was religią. To, czym jesteście z nimi związani, to przemysł, tak przynajmniej uważają, i dlatego to, co ich interesuje, to kształtowanie waszych opinii na temat przemysłu i ekonomii.

– Cieszę się, sir – odpowiedział Higgins, mrugając okiem – że dodał pan „tak przynajmniej uważają”. Bo gdyby pan tego nie dodał, to obawiam się, że uznałbym pana za hipokrytę, mimo że jest pan duchownym, a raczej dlatego, że jest pan nim. Widzi pan, gdyby mówił pan o religii jako o rzeczy – o ile to wszystko prawda – do której człowiek nie powinien przykładać najwyższej wagi, jako sprawy najważniejszej na tym świecie, uznałbym pana za szelmę za to, że został pan duchownym. A wolałbym raczej uważać pana za głupca niż za łotra. Bez urazy, mam nadzieję, sir.

– W żadnym razie. Uważa pan, że się myślę, ja natomiast jestem przekonany, że pan tkwi w znacznie głębszym błędzie. Nie spodziewam się, że od razu pana przekonam, nie podczas jednej rozmowy. Poznajmy się jednak lepiej, rozmawiajmy ze sobą szczerze i otwarcie o tych sprawach, a jestem pewien, że prawda wypły-

nie na wierzch i zwycięży. Nie wierzyłbym w Boga bez wiary w to. Panie Higgins, ufam, że choć porzucił pan wiarę w wiele innych rzeczy, nadal wierzy pan w... – tu głos pana Hale'a obniżył się na znak szacunku – ...że nadal wierzy pan w Niego.

Zupełnie nieoczekiwanie Nicholas Higgins pode-rwał się i stanął wyprostowany. Margaret również się podniosła, bo sądząc z wyrazu twarzy gościa, przypuszczała, że mógłby dostać konwulsji. Pan Hale spoj-rzał na córkę z niepokojem, natomiast Higgins zdołał w końcu wykrztusić:

– Człowieku! Mógłbym powalić cię na ziemię za kuszenie mnie! Czemu próbujesz mnie zarazić swoimi wątpliwościami? Pomyśl o niej, leżącej tam, o życiu, jak-
kie prowadziła! I teraz chcesz mi jeszcze odmówić jedy-
nej i ostatniej pociechy, jaka mi została? Tego, że gdzieś
tam jest Bóg i że to On uczynił jej życie takim, jakie
było? Nie wierzę, że będzie kiedyś jeszcze żyła – powie-
dział, siadając i drętwo mówiąc dalej, jakby zwracał się
do nieczułego płomienia. – Nie wierzę w inne życie niż
to, w którym tyle wycierpiała i miała zmartwień bez
liku. I nie mogę znieść myśli, że to było przypadkowe,

że to był zbieg okoliczności, który można było zmienić jednym podmuchem wiatru. Wiele, wiele razy myślałem, że nie wierzę w Boga, ale nigdy tego nie wypowiedziałem tak wprost, jak ludzie mówią. Mogłem się śmiać z tych, co to mówili, udawać hardego, ale zaraz potem rozglądałem się dookoła i sprawdzałem, czy On mnie słyszał, o ile tam był. Ale dzisiaj, gdy zostałem opuszczony, nie będę słuchał pana i tych pana pytań i wątpliwości. W tym całym pokręconym świecie jest tylko jedna pewna rzecz i będę się tego trzymał, niezależnie, czy to rozsądne, czy nie. To może być dla szczęśliwych ludzi...

Margaret delikatnie dotknęła jego ramienia. Nie odzywała się dotychczas, a on się nie zorientował, że wstała:

– Nicholas, to nie jest kwestia rozsądku. Źle zrozumiałeś mojego ojca. Rozsądek nie ma tu nic do rzeczy. My nie rozważamy. My wierzymy. I ty też. To jest jedyna pociecha w takich chwilach.

Odwrócił się i złapał jej rękę.

– Tak! Właśnie tak! Właśnie... – mówił, ścierając przy tym łzy grzbietem dłoni. – Ale zrozumcie, ona

leży martwa w domu, a ja jestem zupełnie ogłuszony ze smutku i czasami ledwo wiem, co w ogóle mówię. Jakby te gadki, co to ludzie mówili, te, które wtedy uważałem za mądre i prawdziwe, wróciły teraz, gdy mi prawie serce pękło. Strajk też upadł. Wie panienska o tym? Szedłem właśnie do domu, by ją prosić, jak żebrak, żeby mnie choć trochę pocieszyła w tym zmartwieniu. I nagle mnie powaliło, jak mi powiedzieli, że umarła. Po prostu umarła. To było wszystko, ale dla mnie to dość.

Pan Hale wydmuchał nos i wstał, by przyciąć knoty świec, co pozwoliło mu ukryć wzruszenie.

– On nie jest niewierzący, Margaret. Jak mogłaś tak twierdzić? – wyszeptał z wyrzutem. – Wydaje mi się, że przeczytam mu czternasty rozdział z *Księgi Hioba*.

– Jeszcze nie, papo. Tak myślę. A przynajmniej nie w całości. Popytajmy go o strajk. Okażmy mu to współczucie, którego tak potrzebuje i po które szedł do Bessy.

Zaczęli go zatem wypytywać i słuchać odpowiedzi. Kalkulacje związkowców, podobnie jak zbyt wiele obliczeń pracodawców, opierały się na fałszywych za-

łożeniach. Uważali swych towarzyszy za maszyny do pracy, których wydajność można ściśle wyliczyć. Nie wzięli pod uwagę, że emocje mogą wziąć górę nad chłodnym rozumowaniem, tak jak to się stało w wypadku Bouchera i innych uczestników zamieszek. Poza tym wierzyli, że ich skargi na doznane krzywdy będą tak samo ważne dla obcych ludzi, gdzieś tam w świecie, jak dla nich samych. To sprawiło, że byli zaskoczeni przyjazdem Irlandczyków i oburzeni na nich za to, że pozwolili się sprowadzić i zatrudnić na miejsce strajkujących. Gniew ten został w pewnym stopniu złagodzony pogardą dla przybyszy, a także satysfakcją wynikającą z komplikacji towarzyszących rozpoczęciu przez nich pracy w Milton i z opowieści o rzekomym zdumieniu fabrykantów ignorancją i głupotą nowych pracowników, bo takie właśnie przesadzone historie krążyły po mieście. Ale główny cios zadali strajkowi ci z robotników, którzy zignorowali nakaz, aby za wszelką cenę zachować spokój i uniknąć przemocy. To oni zasiali niezgodę wśród współtowarzyszy, to oni wszczęli panikę, że prawo zostało skierowane przeciwko nim.

– Więc strajk dobiega końca – powiedziała Margaret.

– Tak, panienko. To jasne jak słońce. Drzwi fabryk będą się musiały otworzyć jutro na pełną szerokość, żeby wpuścić wszystkich tych, którzy będą prosić o pracę, starając się przekonywać, że nie mają nic wspólnego z akcją, która, gdybyśmy zrobili z niej dobry użytek, podniosłaby nasze zarobki do poziomu, jakiego nie było od dziesięciu lat.

– Dostaniesz pracę, prawda? – spytała Margaret. – Jesteś teraz przecież znanym robotnikiem.

– Hamper pozwoli mi wrócić, dopiero jak sobie obecnie prawą dłoń. Nie wcześniej – odpowiedział jej cicho Nicholas.

Milczała zasmucona.

– Jeśli chodzi o zarobki – powiedział pan Hale – proszę się nie obrazić, ale myślę, że popełniacie pewną pomyłkę. Chciałbym coś panu przeczytać na ten temat.

Podniósł się i podszedł do półki z książkami.

– Proszę się nie kłopotać, sir – odezwał się Nicholas. – Te książkowe bzdury wchodzą mi jednym uchem, a wychodzą drugim. Nic z tego nie pojmuję. Zanim rozstaliśmy się z Hamperem, jeden z jego kierowników powiedział mu, że podburzałem ludzi, aby

się domagali wyższych zarobków. Hamper spotkał mnie potem na dziedzińcu. Miał w ręku cienką książeczkę i powiedział: „Higgins, słyszę, że jesteś jednym z tych cholernych głupców, którzy uważają, że dostaną podwyżkę, bo o nią proszą, a potem jeszcze utrzymają to, co wymusili. A teraz dam ci szansę i przekonamy się, ile jest w tobie rozumu. Tu jest książka napisana przez jednego z moich przyjaciół. Jeśli ją przeczytasz, sam zrozumiesz, że wysokość płac reguluje się sama i ani panowie, ani robotnicy nie muszą w to ingerować. Oczywiście poza sytuacją, gdy robotnicy sami podcinają sobie gardła, strajkując, jak zakute łby, którymi zresztą są”. Tak to panu przedstawię, sir: gdy był pan duchownym i gdy się pan modlił, i gdy chciał pan przekonać ludzi do tego, co pan uważał za słuszne i prawdziwe, to czy zaczynał pan od nazywania ich głupcami i temu podobne, czy raczej miał pan dla nich uprzejme słowa, aby w ogóle chcieli pana wysłuchać i pozwolili się przekonać? Czy modląc się, zatrzymywał się pan co chwila i mówił, niby do siebie, niby do nich: „Przecież jesteście taką bandą głupców, że nawet nie ma sensu, abym próbował wlać wam trochę oleju do gło-

wy”. Przyznaję, że nie byłem w najlepszej formie, żeby przeczytać to, co miał do powiedzenia ten przyjaciel Hampera, bo byłem wściekły z powodu tego, jak się do mnie odzywał. Pomyślałem sobie jednak: „Co mi tam, zobaczymy, co ci kolesie mają do powiedzenia i sprawdzimy, czy to ja, czy to oni mają zakute łby”. Wziąłem więc tę książkę i szarpałem się z nią, ale, Boże miłosierny, cała szła o kapitale i pracy, o pracy i kapitale, aż w końcu uśpiła mnie na amen. Nie udało mi się zapamiętać, które jest które. Ta książka mówiła o wadach i zaletach jednego i drugiego, a ja chciałem się tylko dowiedzieć o prawach ludzi, nieważne, czy biednych, czy bogatych. Po prostu ludzi.

– Ale przy tym – odpowiedział pan Hale – całkowicie przyznając panu rację co do niegrzecznego, szaleńczego i niechrześcijańskiego sposobu, w jaki pan Hamper zwracał się do pana, to rekomendując książkę swego przyjaciela – jeżeli była tam owa informacja, o której mówił, to znaczy, że zarobki same znajdują swój właściwy poziom i że nawet pozornie zakończony sukcesem strajk wymusi ich wzrost tylko na chwilę, bo później i tak spadną do poziomu niższego niż przed-

tem – dał panu wyjaśnienie tego, co chciał pan wiedzieć.

– Może tak, a może nie – oznajmił Higgins z zawziętą miną. – Są dwa różne zdania na ten temat. Ale nawet niech to sobie będzie podwójna prawda, jednak dla mnie to nie było prawdziwe, bo nie dało się tego pojąć. To tak jak z tymi pana książkami po łacinie, co to je pan trzyma na półce. Pewnie jest w nich prawda, ale dla mnie to bzdury i nonsens, chyba że znałbym znaczenie tych słów. I gdyby pan, sir, lub jakiś inny uczony, ale taki z cierpliwością, przyszedł do mnie i powiedział, że nauczy mnie znaczenia tych słów, i gdyby się nie wściekał, że czegoś nie rozumiem albo że zapomniałem, jak jedna rzecz ma się do drugiej, to wtedy, po pewnym czasie, może dostrzegłbym w tym prawdę. Albo i nie. I nie mówię, że będę myślał tak jak inni. I nie jestem jednym z tych, co myślą, że prawdę można wyrazić w słowach, taką prostą, równą i czystą, jakby ją człowiek w odlewni wyciął z blachy. Nie każdy może przełknąć wszystko. Jednemu utknie tutaj, innemu gdzie indziej. A jak zejdzie niżej, to dla jednego będzie za mocna, dla innego za słaba. Ci, co się zabie-

rają do naprawiania świata za pomocą swojej prawdy, muszą ją wybierać różną dla różnych ludzi. I powinni być delikatni, jak ją głoszą, żeby ci biedni głupcy nie plunęli im nią w twarz. A Hamper najpierw trzepnął mnie w ucho, potem rzucił mi tę wielką gorzką pigułę i stwierdził, że jego zdaniem to mi nie pomoże, bo taki ze mnie głupiec, ale mimo to: proszę.

– Tak bardzo chciałbym – odpowiedział pan Hale – aby najlepszy i najmądrzejszy z moich mistrzów spotkał się z niektórymi z was i porozmawiał z wami o tych sprawach. To z pewnością byłby najlepszy sposób, aby pokonać te trudności, które moim zdaniem wynikają z waszej niewiedzy, proszę wybaczyć mi to sformułowanie, panie Higgins, w kwestiach, w których dobre zrozumienie leży w interesie zarówno pracodawców, jak i robotników. Zastanawiam się – dodał, zwracając się częściowo do Margaret – czy nie dałoby się namówić pana Thorntona do zorganizowania czegoś takiego.

– Przypomnij sobie, papo – powiedziała bardzo cicho – co powiedział pewnego dnia... o rządzeniu, wiesz.

Nie chciała wyrażać się jaśniej na temat przeprowa-

dzonej pewnego dnia rozmowy o sposobach kierowania pracownikami – czy lepiej nauczyć ludzi, by sami sobą zarządzili, czy pozwolić na oświecony despotyzm ze strony pracodawców – ponieważ zauważyła, że Higgins podchwycił nazwisko pana Thorntona, a być może nawet całą wypowiedź. Od razu zaczął mówić na ten temat.

– Thornton! To on od razu usiadł i napisał, aby ściągnąć tych Irlandczyków. To on doprowadził do rozruchów i przez to zrujnował strajk. Nawet Hamper, z tym swoim zastraszaniem, poczekałby chwilę. Ale nie Thornton. On idzie za ciosem. Teraz jednak, gdy związek podziękował mu za to polowanie na Bouchera i całą resztę, która się sprzeciwiła naszym wytycznym, wystąpił i na zimno zapowiedział, że skoro strajk się skończył, on, jako strona pokrzywdzona, nie będzie wnosił oskarżenia przeciwko przywódcom rozruchów. Byłem pewien, że zagra ostrzej. Byłem pewien, że wykorzysta przewagę i odegra się na nas otwarcie. Ale on powiedział – taki jeden z sądu powtórzył mi własne słowa Thorntona: „Wszyscy wiemy, o kogo chodzi, znamy ich. Spotka ich oczywista kara za to, co zrobili, bo nikt ich nie zatrudni. To będzie wystarczająco surowa

kara”. Chciałbym tylko, żeby złapali Bouchera, zanim zrobi to Hamper. Wiem, że stary tygrys się na niego zaczął. Nie odpuści mu. Nie on.

– Pan Thornton ma rację – powiedziała Margaret. – Czuje pan do Bouchera urazę, Nicholasie, bo w przeciwnym razie pierwszy by pan przyznał, że tam, gdzie naturalna kara jest wystarczająco surowa, dalsze restrykcje nabierają znamion zemsty.

– Moja córka nie jest wielbicielką pana Thorntona – oznajmił pan Hale z uśmiechem, patrząc na Margaret, podczas gdy ona, czerwona jak piwonia, zabrała się do swej robótki ze zdwojoną pilnością – ale myślę, że to, co powiedziała, jest prawdą. Za to go zresztą lubię.

– Cóż, sir, ten strajk to był kawał harówki dla mnie, więc proszę się nie dziwić, że jestem wyprowadzony z równowagi, bo sprawa upadła przez kilku takich, co to nie umieli trzymać gęby na kłódkę, co nie umieli wytrwać odważnie i spokojnie.

– Zapomina pan o czymś – wtrąciła Margaret. – Niewiele wiem o Boucherze, ale jedyny raz, gdy go widziałam, nie mówił o własnym bólu, ale o cierpieniu swej chorej żony i małych dzieci.

– Prawda. Ale on też nie jest z żelaza. Potem wypląkałby także swoje cierpienia. A przecież nie on jeden musiał przez to przejść.

– Jak to się stało, że należy do związku? – spytała Margaret niefrasobliwie. – Raczej nie cieszy się szacunkiem. Pomijam już to, że sam związek niewiele na tym zyskał.

Higgins się zachmurzył. Przez chwilę milczał, po czym bardzo lakonicznie odpowiedział:

– To nie moja sprawa mówić o związku. Co robią, to robią. Ludzie muszą trzymać się razem, a jeśli im nie po drodze z resztą, to związek ma na takich swoje sposoby.

Pan Hale od razu zauważył, że Higgins zdenerwował się kierunkiem, w którym zmierzała rozmowa, i milczał. Margaret natomiast nie zamierzała ustąpić, choć podobnie jak ojciec zdawała sobie sprawę z niezadowolenia gościa. Czuła instynktownie, że gdyby tylko udało się sprowokować Higginsa, by wypowiedział się otwarcie, byłaby szansa na ustalenie pewnych spraw, na bazie których mogliby dalej rozważać, co jest właściwe i sprawiedliwe.

– A jakie są te sposoby związku?

Spojrzał na nią z zawziętym oporem wobec tego pytania. Ale jej pogodna twarz, spokojne i ufne, utkwione w nim spojrzenie skłoniły go do odpowiedzi:

– No więc, jeśli jakiś człowiek nie należy do związku, to ci, którzy pracują obok niego, mają zakaz rozmawiania z nim. Nawet jeśli ma kłopoty lub jest chory. Jest poza grupą. Nie jest jednym z nas. Chodzi koło nas, pracuje z nami, ale nie jest jednym z nas. Tylko czasem ktoś się do niego odezwie. Niech panienka spróbuje tak żyć. Proszę spróbować tak żyć rok czy dwa, kiedy inni się odwracają, jak panienka na nich spojrzy. Proszę spróbować pracować dwa jardy od ludzi, o których panienka wie, że żywią do niej w swych sercach śmiertelną urazę. A jak powie panienka do nich, że jest zadowolona, to nawet nie błysnie im oko ani nie drgną usta. A jak będzie panience ciężko w życiu, to nawet nie ma sensu im tego mówić, bo nie zwrócą uwagi na panienki westchnienia i smutne miny; a mężczyzna nie jest mężczyzną, jeśli jęczy na głos, a inni nawet go nie spytają, co się stało. Niech więc panienka spróbuje tak żyć przez dziesięć godzin dziennie, trzysta dni w roku

i wtedy będzie panienka choć trochę wiedziała, jakie związek ma sposoby.

– Co za okropna tyrania! – wykrzyknęła Margaret. – No, Higgins, nic mnie nie obchodzi, czy się na mnie zdenerwujesz. Wiem, że nie potrafisz się na mnie gniewać, nawet gdybyś chciał, więc powiem to, co myślę. Otóż w żadnej książce historycznej, którą czytałam, nigdy, przenigdy nie spotkałam się z powolniejszą, bardziej wyrafinowaną torturą niż ta. I ty należysz do związku! I ty chcesz walczyć z tyranią panów!

– Może panienka mówić, co jej się podoba – oznajmił Higgins. – Między panienką a każdym moim gniewnym słowem stoi śmierć. Myśli panienka, że ja nie pamiętam, kto tam leży? I jak bardzo ona panienkę kochała? Poza tym, jeśli związek to grzech, to do tego grzechu przywiedli nas panowie. Może nie to pokolenie, ale ich ojcowie. Starli nas na proszek. Na pył. Wydaje mi się, że pamiętam, jak moja matka czytała taki tekst: „Ojcowie jedli zielone winogrona, a zęby ścierpły synom”*. Tak samo jest z nimi. Związek po-

* Fragment z *Księgi Ezechiela* (18,2).

wstał w tamtych dniach srogiemu ucisku. Był niezbędny. I jest niezbędny teraz, przynajmniej według mnie. Przeciwstawia się niesprawiedliwości: przeszłej, obecnej i przyszłej. Możliwe, że to trochę przypomina wojnę, a wiadomo, że wraz z wojną pojawia się przestępczość. Ale byłoby chyba większą zbrodnią zostawić sprawy tak, jak są. Naszą jedyną szansą jest połączyć ludzi w jednym wspólnym interesie, wskazać im jeden cel. A jeśli niektórzy z nich są tchórzami albo głupcami, to też muszą się przyłączyć do tego wielkiego marszu, bo jego siła tkwi w liczbie uczestników.

– Och – westchnął pan Hale – ten wasz związek byłby piękny, chwalebny, byłby wcieleniem idei chrześcijaństwa, gdyby jego celem i końcem było dobro wszystkich ludzi, a nie tylko przeciwstawianie jednej klasy drugiej.

– Pora, żebym już poszedł, sir – powiedział Higgins, gdy zegar wybił dziesiątą.

– Do domu? – spytała miękko Margaret. Zrozumiał, co miała na myśli, i uściśnął jej wyciągniętą dłoń.

– Do domu, panienko. Może mi panienka zaufać, choć należę do związku.

– Ufam panu całkowicie, Nicholasie.

– Proszę poczekać! – odezwał się pan Hale, zmierzając do regału z książkami. – Panie Higgins, jestem pewien, że zgodzi się pan przyłączyć do naszych rodzinnych modlitw.

Higgins spojrział z niezdecydowaniem na Margaret. Jej poważne, słodkie spojrzenie napotkało jego wzrok. Nie dostrzegł nacisku, tylko serdeczne zaproszenie. Nic nie odpowiedział, ale pozostał na swoim miejscu.

Uklękli razem – Margaret, wierna Kościołowi, jej ojciec, odstępca, i Higgins, niewierzący. Żadnemu z nich to nie zaszkodziło.

XXIX

PROMIEŃ SŁOŃCA

*Poczułem jakieś pragnienia i to mnie lekko rozpogodziło,
A potem nadeszły marne przyjemności,
Skąpane w zimnej, bladej poświacie nadziei,
Która srebrząc swe wątle skrzydła, w ciszy odfrunęła
Niczym ćma w promieniach księżyca.*

Samuel Taylor Coleridge, „Zapiski” 2, 34

Następnego ranka Margaret otrzymała list od Edith, tak samo czuły i niekonsekwentny jak jego autorka, ale zawarte w nim uczucia odpowiadały serdecznej naturze panny Hale, a jeśli chodzi o niekonsekwencję kuzynki, to wychowując się przy niej, po prostu nie dostrzegała tej jej cechy. List brzmiał następująco:

Och Margaret, sam widok mojego maleńkiego chłopca wart jest podróży z Anglii. Jest cudownym dzieciaczkiem, zwłaszcza w czepeczkach, a już w szczególności w tym, który Ty mu przysłałaś, Ty wytrwała panienko, co ma paluszki wróżki. A skoro już wzbudziłam zazdrość we wszystkich matkach, jakie tu są, pilnie potrzebuję nowej porcji zachwyków nad moim synkiem. Może to jest powód. A może nie tylko to. Może jest w tym trochę rodzinnych uczuć, miłości kuzynowskiej. Tak bardzo pragnę, byś tu do mnie przyjechała, Margaret! I jestem zupełnie pewna, że to by świetnie pomogło cioci. Wszyscy tu są młodzi i zdrowi, niebo jest wiecznie błękitne, zawsze świeci słońce, a orkiestra cudnie gra od świtu do nocy. A wracając do refrenu mej śpiewki, to on się wiecznie uśmiecha. Wprost marzę o tym, byś go dla mnie narysowała, Margaret. Nieważne, co robi, zawsze jest najśliczniejszy, najwspanialszy, najlepszy. Jestem całkowicie przekonana, że kocham go znacznie bardziej niż mojego męża, który tyje

i zrzędzi, a twierdzi przy tym, że jest zajęty. Nie. Jednak nie jest! Właśnie przyszedł, żeby mi przekazać cudowną wiadomość o pikniku organizowanym przez oficerów z okrętu Hazard, który rzucił kotwicę w pobliskiej zatoce. A skoro mój mąż przyniósł taką wspaniałą nowinę, odwołuję wszystko, co przed chwilą powiedziałam. Wydaje mi się, że ktoś kiedyś spalił sobie dłoń za to, że powiedział lub zrobił coś, czego potem żałował, prawda? Cóż, ja swojej nie spalę, bo to by bolało i zostałaaby obrzydliwa blizna. Ale cofam to, co powiedziałam, tak szybko, jak to możliwe. Cosmo jest tak samo cudowny jak nasz chłopiec, wcale nie jest gruby i nigdy, przenigdy nie zrzędzi. Tylko że czasami bywa bardzo, bardzo zajęty. Mówię to nie dlatego, że go kocham... obowiązek żony... Zaraz, gdzie ja byłam? Miałam coś bardzo ważnego do napisania, tego jestem pewna. Ach,*

* Odniesienie do Thomasa Cranmera (1489–1556), męczennika protestanckiego; włożył on w płomień dłoń, którą uprzednio podpisał wyparcie się wiary anglikańskiej.

tak. Już wiem. Najdroższa Margaret! Musisz do mnie przyjechać. To by bardzo pomogło cioci, ale to już chyba pisałam. Znajdź lekarza, który jej to zaleci. Powiedz mu, że to ten dym w Milton jej szkodzi. Naprawdę jestem pewna, że to tylko to. Nic innego. Trzy miesiące, bo nie wyobrażam sobie, abyś miała przyjechać na krócej, a więc trzy miesiące tego cudownego klimatu – wieczne słońce i winogrona na każdym kroku, tak jak jeżyny w Anglii – zupełnie by ją wyleczyły. Nie zapraszam wuja (tu list stał się mniej swobodny; pan Hale był w niełasce, postawiony do kąta jak niegrzeczne dziecko za to, że zrezygnował z poprzedniej posady), ponieważ wydaje mi się, że nie pochwała wojny, żołnierzy i orkiestry wojskowej. Przynajmniej inni znani mi odszczepieńcy należą do Towarzystwa Pokoju, więc obawiam się, że wuj nie będzie chciał przyjechać. Gdyby jednak mimo wszystko chciał, powiedz mu, że*

* *Peace Society*, zał. w 1816 r., zachęcało do rozwiązywania sporów na drodze arbitrażu.

ja i Cosmo zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby go uszczęśliwić: schowam czerwony płaszcz Cosmo i jego miecz, orkiestra będzie grała tylko poważne, smutne kawałki, a jeśli będą graли coś błahego, to tak wolno, jak się tylko uda. Kochana Margaret, gdyby Twój ojciec zechciał Wam towarzyszyć w tej podróży, postaramy się, aby miło tu spędził czas, choć ja się raczej trzymam z dala od osób, które kierują się sumieniem. Mam nadzieję, że Ty tak nie postępujesz. Powiedz cioci, żeby nie zabierała ze sobą zbyt wielu ciepłych ubrań, choć obawiam się, że dotrzecie tu dopiero pod koniec roku. Ale nie masz pojęcia, jak tu jest gorąco. Raz spróbowałam założyć mój cudny indyjski szal na piknik. Staralam się zachować zgodnie z tym powiedzeniem, wiesz: „Chcesz być piękna, musisz cierpieć”, i inne takie mądrości. Ale nie dało się. Tak jakby Tiny, tego pieska mamy, ubrać w uprzęż słonia – byłam uduszona przez własny strój. Użyłam więc szala jako genialnego dywanu, na którym wszyscy mogliśmy usiąść.

Och, a oto mój mały chłopczyk, Margaret. Jeśli teraz, zaraz się nie spakujesz i nie przyptyniesz tu pierwszym statkiem, pomyślę, że pochodzisz w prostej linii od króla Heroda.

Margaret marzyła o jednym dniu z życia Edith – o wiecznym szczęściu, radosnym domu, słonecznym niebie. Gdyby życzenie pozwoliło jej się przenieść, już by jej tu nie było. Choć na jeden dzień. Pragnęła i potrzebowała siły, jaką taka zmiana mogłaby jej dać. Nawet kilka godzin takiego beztroskiego życia, kilka godzin ponownej młodości. Nie miała jeszcze dwudziestu lat, a musiała się zmierzyć z takimi troskami, że czuła się stara. To było jej pierwsze odczucie po lekturze listu kuzynki. Ale potem przeczytała go ponownie i, zapominając o sobie, ubawiła się jego podobieństwem do samej Edith. Radośnie się śmiała, gdy do salonu weszła pani Hale, wspierając się na ramieniu Dixon. Margaret natychmiast się zerwała, aby przygotować dla matki poduszki. Pani Hale wydawała się jeszcze słabsza niż zwykle.

– Z czego się tak śmiejesz, Margaret? – spytała, gdy

tylko odzyskała oddech po wysiłku, jakim było dla niej usadowienie się na sofie.

– Z listu, który otrzymałam dziś rano od Edith. Czy chciałabyś, abym ci go przeczytała?

Zaczęła czytać na głos i przez pewien czas pani Hale wydawała się nim zainteresowana. Nie przestawała rozważać, jakie imię nadała Edith swojemu synkowi, sugerowała różne ewentualności i podawała możliwe powody, dla których każde z tych imion mogło być wybrane. W samym środku tych dywagacji zjawił się pan Thornton, przynosząc kolejną porcję owoców dla pani Hale. Nie potrafił odmówić sobie przyjemności zobaczenia Margaret. Nie miał w tym innego celu jak tylko doraźna nagroda; kierowała nim rozmyślność człowieka zwykle pragmatycznego i opanowanego. Wszedł do pokoju, już od progu odnotowując obecność panny Hale, ale poza powitalnym zimnym ukłonem udało mu się więcej na nią nie spojrzeć. Został tylko tak długo, by ofiarować przyniesione brzoskwinie i wypowiedzieć kilka uprzejmych, łagodnych słów. A potem, przy pożegnaniu, jego lodowate obrażone oczy spotkały się ze wzrokiem Margaret. I wyszedł. A ona siedziała cicha i blada.

– Wiesz, Margaret, zaczynam naprawdę lubić pana Thorntona.

Z początku matka nie otrzymała odpowiedzi, aż wreszcie dziewczyna zmusiła się, by chłodno rzucić:

– Doprawdy?

– Tak. Uważam, że jego zachowanie staje się z dnia na dzień coraz bardziej cywilizowane.

Margaret, odzyskawszy trochę panowanie nad swym głosem, odpowiedziała:

– Jest bardzo dobry i uważający. Co do tego nie ma wątpliwości.

– Dziwne, że pani Thornton nas nie odwiedza. Musi przecież wiedzieć, że jestem chora, choćby przez to łóżko wodne.

– Przypuszczam, że jej syn ją informuje, jak się czujesz.

– A jednak chętnie bym ją zobaczyła. Masz tu tak niewielu przyjaciół, Margaret.

Panna Hale od razu odgadła, co się kryło za tym życzeniem – czułe pragnienie, by zapewnić życzliwość jakiejś kobiety wobec córki, która już wkrótce może zostać pozbawiona matki. Nie czuła się jednak na siłach, by odpowiedzieć.

– Czy sądzisz – spytała pani Hale po chwili – że mogłabyś pójść i poprosić panią Thornton, aby przyszła do mnie? Tylko ten jeden raz. Nie chciałabym jej sprawiać kłopotu.

– Zrobię, co tylko będziesz chciała, mamó. Ale jeśli... ale kiedy przyjedzie Frederick...

– Ależ oczywiście! Wtedy drzwi będą musiały być zamknięte dla wszystkich. Nikogo nie będzie można wpuścić. Zupełnie nie mogę się zorientować, czy życzę sobie, aby przyjechał. Czasami myślę, że jednak chyba nie. Miewam takie okropne sny o nim.

– Och mamó. Zaopiekujemy się nim. Prędzej wykorzystam moje własne ramię jako sztabę w drzwiach, niż pozwolę, by stała mu się krzywda. Zaufaj mi, mamó. Roztoczę nad nim opiekę niczym lwica nad młodymi.

– Kiedy spodziewasz się o nim usłyszeć?

– Najwcześniej za tydzień, może później.

– Musimy w odpowiednim czasie odesłać stąd Martę. Nie możemy dopuścić, by tu była, gdy on przyjedzie. Mogłaby się czegoś domyślić, gdybyśmy ją w pośpiechu odsyłali.

– Dixon zapewnia, że przypomni nam o tym, gdy

nadejdzie pora. Myślałam, że gdybyśmy potrzebowali pomocy w domu w czasie pobytu Fredericka, mogłabym sprowadzić Mary Higgins. Ma luz w pracy, ale dobra z niej dziewczyna i nie szczędziłaby sił, żeby nas zadowolić. No i na noc wracałaby do domu. I nigdy nie musiałaby wchodzić na górę, więc nie wiedziałaby, że ktokolwiek obcy jest w domu.

– Jak uważasz. Jak Dixon uważa. Ale, Margaret, bardzo cię proszę, nie używaj tych okropnych tutejszych słów. „Ma luz w pracy”. To przecież prowincjonalizm. Co powie twoja ciotka, gdy wróci i usłyszy, jak się wyrażasz?

– Och mammo. – Margaret się zaśmiała. – Nie rób potwora–straszaka z ciotki Shaw. Edith podłapała wojskową gwarę od kapitana Lennox i ciocia nawet tego nie zauważyła.

– Ale tu chodzi o gwarę robotniczą.

– A ja właśnie mieszkam w mieście robotniczym, więc w razie potrzeby muszę mówić językiem robotników. Zresztą, mammo, mogłabym cię zaskoczyć znajomością słów, jakich pewnie nigdy w życiu nie słyszałaś. Czy ty wiesz na przykład, co znaczy łamistrajk?

– Nie, dziecko. Ale wiem, że brzmi to wulgarnie, i nie życzę sobie, abyś tego słowa używała.

– Doskonale, najdroższa, nie będę. Tylko że zamiast tego jednego słowa będę musiała użyć zdania opisowego.

– Nie podoba mi się to całe Milton – oznajmiła pani Hale. – Edith ma zupełną rację, pisząc, że to przez ten dym zachorowałam.

Przy tych słowach matki Margaret się zerwała, bo do pokoju właśnie wchodził ojciec. Wiedziała przecież, że pan Hale zastanawia się, czy to nie powietrze w Milton spowodowało chorobę żony, i nie chciała, aby ten niepokój się pogłębił, nie chciała, aby cokolwiek utwierdziło go w tych podejrzaniach. Nie potrafiła ocenić, czy ojciec usłyszał słowa matki, ale na wszelki wypadek zaczęła pospiesznie mówić o innych sprawach, nieświadoma, że za panem Hale'em podąża pan Thornton.

– Mama zarzuca mi, że od czasu przybycia do Milton przejęłam wiele wulgaryzmów.

Przez pojęcie „wulgaryzm” Margaret rozumiała wyłącznie stosowanie lokalnych słów, a samo to wy-

rażenie nawiązywało do ostatniej rozmowy z matką. Czoło gościa się zachmurzyło, a ona uświadomiła sobie, jak opacznie jej wypowiedź mogła zostać zrozumiana, i w szczerzej niechęci do zadawania komukolwiek bólu zmusiła się, by podejść do mężczyzny z pozdrowieniem i kontynuować temat lokalnego słownictwa, zwracając się tym razem już bezpośrednio do niego.

– Panie Thornton, mam nadzieję, że zgodzi się pan ze mną, że choć słowo „łamistrajk” nie brzmi pięknie, to jednak jest bardzo wymowne? Czy można by się bez niego obyć? A jeśli używanie lokalnego słownictwa świadczy o wulgarności, to chyba byłam bardzo wulgarna na Południu, prawda, mamo?

Margaret rzadko narzucała innym temat rozmowy, ale tym razem tak bardzo jej zależało, aby pan Thornton nie poczuł się urażony słowami, które usłyszał przez przypadek, że dopiero gdy skończyła mówić, uświadomiła sobie agresywność swej przemowy; na jej twarz wyplłynęły rumieńce, tym silniejsze, że ich gość zdawał się ledwo rozumieć sens jej słów. Z zimną rezerwą minął ją ceremonialnie i podszedł do pani Hale.

Jego widok przypomniał chorej, że chciałaby się

spotkać z panią Thornton i powierzyć jej opiece córkę. W tym czasie spłoniona dziewczyna siedziała w milczeniu, poirytowana i zawstydzona swym nietaktem i niezrozumiałą ekscytacją, gdy John pojawiał się w pobliżu. Słyszała, jak matka wolno prosiła, aby pani Thornton przysłała ją odwiedzić, i to możliwie szybko, najchętniej jutro. Obiecał w imieniu matki, potem zamienił jeszcze kilka zdań z panią Hale i odszedł.

Całe zachowanie Margaret, jej ruchy i głos wydały się nagle jakby uwolnione od niewidzialnych łańcuchów. Nigdy na nią nie patrzył, a jednak te staranne uniki świadczyły o tym, że w jakiś sposób wiedziałby dokładnie, gdzie ją znaleźć, gdyby się zdecydował poszukać jej wzrokiem. Jeśli się odezwała, sprawiał wrażenie, że nie słucha, a jednak jego kolejna wypowiedź, nieważne do kogo skierowana, była naznaczona tym, co ona powiedziała. Czasami, słysząc jakieś jej stwierdzenie, udzielał natychmiastowej odpowiedzi, ale zwracał się do kogoś innego, jakby to jej nie dotyczyło. To nie były złe maniere wywodzące się z braku kindersztuby. To było celowo okazywane ignorowanie jej, mające swe źródło w głębokiej urazie. Robił to rozmyślnie,

co nie przeszkadzało mu tego żałować, gdy tylko stamtąd wychodził. Żaden przemyślny plan, żadne sprytne manewry nie przyniosły jednak oczekiwanego rezultatu. Margaret myślała o nim, co prawda, więcej niż kiedykolwiek przedtem, ale jej myśli pozbawione były jakiegokolwiek zabarwienia uczuciem, które można by nazwać miłością. Żałowała przede wszystkim, że tak głęboko go zraniła, i cierpliwie próbowała przywrócić poprzedni charakter ich wzajemnych stosunków, który najkrócej można by określić jako przyjaźń antagonistów. Teraz bowiem mogła być pewna, że tak w stosunku do niej, jak i do reszty rodziny zajmował pozycję przyjaciela.

W jej obecnym zachowaniu przeważała pokora, jakby chciała przeprosić go bez słów za swe zbyt ostre słowa, będące reakcją na dramatyczne wydarzenia w dniu rozruchów. On jednak nie przebolewał tych słów i nadal czuł się z ich powodu urażony. A im bardziej pobrzmiwały mu w uszach, tym bardziej był dumny ze swego poczucia sprawiedliwości, które kazało mu okazywać względy i serdeczność rodzicom Margaret. Za każdym razem, gdy obmyślał nowy sposób, by sprawić im przy-

jemność, czerpał radość z własnej siły, jaką okazywał, zmuszając się do spotkań z panną Hale. Był przekonany, że z niechęcią widuje kobietę, która tak głęboko go zraniła, ale się mylił. Odczuwał bolesną przyjemność, przebywając z nią w tym samym pokoju i czując jej obecność, ale ponieważ nie był znawcą i analitykiem własnej psychiki, mylił się, sądząc, że jej widok jest mu niemiły.

XXX

NARESZCIE W DOMU

Smutny ptak znajdzie czas na trel miłosny.

*Robert Southwell, „Times Goe by Turnes”,
przet. Juliusz Żuławski*

*Nigdy już nie będziesz skrywać swych tajemnych trosk,
Nigdy już nie skłonisz głowy pod ciężarem wspomnień.
Dotarłeś do domu.*

Felicia Hemans, „The Two Voices”

Następnego ranka pani Thornton przyszła odwiedzić panią Hale. Chora czuła się znacznie gorzej. W nocy nastąpiła u niej jedna z tych nagłych

zmian, jeden z tych zauważalnych kroków w stronę śmierci, tak wyraźnych, że jej rodzinę poraził widok szarej zapadniętej twarzy, którą ujrzeli po dwunastu godzinach cierpienia. Pani Thornton, która nie widziała jej od wielu tygodni, zmiękła od razu. Przyszła tego ranka, ponieważ prosił ją o to syn jak o osobistą przysługę, ale uzbroiła się w swą przyrodzoną dumę zaprawioną goryczą wobec rodziny, do której należała Margaret. Poważnie wątpiła w chorobę pani Hale, uważając jej dolegliwości za chwilowe kaprysy damy, które miały jej zapewnić odmianę w jednostajnym i ustabilizowanym biegu dni i tygodni. Pani Thornton wybuchnęła i oznajmiła synowi, że chciałaby, aby nigdy żadne z nich nie pojawiło się w pobliżu domu Hale'ów, aby w ogóle się z nimi nie zetknęli i aby nigdy nie wymyślono tak bezużytecznych języków jak łacina i greka. Zniósł to wszystko cierpliwie i w milczeniu, a gdy skończyła obrzucać inwektywami martwe języki, spokojnie wrócił do swej krótko i zdecydowanie wyrażonej prośby, aby poszła i odwiedziła panią Hale w godzinach, które są uznawane za najbardziej dogodne dla chorej. W końcu pani Thornton uległa temu ży-

czeniu z łaskawością na tyle kwaśną, na jaką potrafiła się zdobyć wobec syna, czerpiąc jednocześnie wielką radość i dumę z tego, że ją o to poprosił. W głębi serca bowiem żywiła przekonanie, które podzielał jej syn, że John musi być niesłychanie szlachetnym człowiekiem, skoro po tym, co zaszło, z takim uporem utrzymuje kontakty z Hale'ami.

Dobroć syna granicząca ze słabością (traktowała w ten sposób chyba wszystkie „miękkie” zalety), lekceważenie dla państwa Hale'ów i zdecydowana niechęć wobec ich córki przepelniały umysł pani Thornton aż do chwili, gdy poraziło ją poczucie nicości wobec mrocznego cienia skrzydeł anioła śmierci. Oto leżała przed nią kobieta, matka jak ona sama, choć znacznie od niej młodsza. Spoczywała na łożu i nie było śladu nadziei, by kiedykolwiek miała się z niego podnieść. W zaciemnionym pokoju nie było już miejsca na światło i blask, nie było działania, zaledwie nieznaczny ruch przy zmianie ułożenia. Kompletną ciszę rzadko przerywały szepty i stłumione dźwięki. Mimo tej monotonii owe ciche odgłosy i tak wydawały się zbyt intensywne, niestosowne. Kiedy pani Thornton, silna i żywotna, we-

szła do pokoju, pani Hale spoczywała bez ruchu, choć z wyrazu twarzy można się było domyślić, że wie, kto przyszedł, mimo że na początku nawet nie otworzyła oczu. Ciężkie łzy leżały na rzęsach chorej. Uniosła powieki i słabą dłonią poszukiwała po omacku ręki gościa na pościeli. Udało jej się ścisnąć mocne palce przybyłej i głosem tylko trochę głośniejszym od oddechu, tak że pani Thornton przy swoim wzroście musiała się przygarbić, by cokolwiek usłyszeć, wychrypiała:

– Margaret... pani ma córkę... moja siostra jest we Włoszech. Moje dziecko zostanie bez matki... w obcym miejscu. Jeśli umrę... czy pani...

Zdołała utkwić swój zamglony wzrok w twarzy pani Thornton z intensywną tęsknotą. Przez chwilę nieruchome rysy tamtej nie uległy zmianie, były surowe i sztywne. Oczy chorej zaczynały wzbierać łzami, możliwe, że dostrzegła cienie na tym zimnym obliczu. I to nie myśl o synu, i nie pamięć o własnej córce Fanny poruszyły w końcu czułą strunę w sercu pani Thornton. Sprawilo to nagłe wspomnienie, przywołane czymś w urządzeniu tego pokoju, wspomnienie małej córeczki zmarłej w niemowlęctwie wiele lat temu.

To właśnie, jak nagły promień słońca, stopiło lodową skorupę, pod którą ukrywała się żywa i niepozbawiona uczuć kobieta.

– Chce pani, abym była przyjaciółką panny Hale – powiedziała swym stonowanym głosem, który nie zmiękł, jak jej serce, ale brzmiał za to jasno i wyraźnie.

Chora ze wzrokiem nadal utkwionym w jej twarzy przycisnęła rękę leżącą pod jej własną dłonią na pościeli. Nie mogła mówić. Pani Thornton westchnęła.

– Będę jej prawdziwą przyjaciółką, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale nie będę czułą przyjaciółką. Taka nie będę... – „dla niej” chciała dodać, ale powstrzymała się w ostatniej chwili na widok mizernej, zaniepokojonej twarzy. – W mojej naturze nie leży okazywanie uczuć, nawet wobec najbliższych. Niechętnie też udzielam rad. Jednak na pani życzenie... jeśli to panią pocieszy i sprawi ulgę, mogę to obiecać.

Pani Thornton zamilkła. Była zbyt sumienna i uczciwa, by składać obietnicę, której nie zamierzała dotrzymać, a robienie czegokolwiek z radością dla Margaret, w owej chwili jeszcze bardziej nielubianej niż

kiedykolwiek przedtem, było trudne, prawie niemożliwe.

– Przymierzam – powiedziała po chwili ze śmiertelną powagą, która właśnie napełniła gasnącą kobietę wiarą, że istnieje coś pewniejszego, stabilniejszego niż samo życie, ulatujące, kapryśne życie. – Przymierzam, że jeśli w razie jakichkolwiek trudności panna Hale...

– Proszę nazywać ją Margaret! – wykrztusiła chora.

– Jeśli w razie jakichkolwiek trudności panna Hale przyjdzie do mnie po pomoc, zrobię dla niej wszystko to, co zrobiłabym dla własnej córki. Obiecuję też, że jeśli kiedykolwiek dowiem się, że postępuje w sposób, który uznam za niewłaściwy...

– Ale Margaret nigdy nie postępuje niewłaściwie... przynajmniej umyślnie – przekonywała pani Hale.

Pani Thornton kontynuowała, zupełnie jakby nie usłyszała tych słów.

– Jeśli kiedykolwiek dowiem się, że postępuje źle, a to zło nie będzie bezpośrednio dotyczyło mnie, bo wtedy mogłabym zostać posądzona o działanie we własnym interesie, powiem jej o tym, zupełnie tak jak chciałabym, aby w takiej sytuacji zwrócono uwagę mojej córce.

Nastąpiła długa przerwa. Pani Hale czuła, że ta obietnica nie była pełna, że to przyrzeczenie było warunkowe. A mimo to wiedziała, że osiągnęła wiele, pomimo tych zastrzeżeń, których nie rozumiała... Czuła się jednak już zbyt słaba, dezorientowana i zmęczona. Pani Thornton rozważała w tym czasie wszystkie prawdopodobne sytuacje, w których może się czuć zobowiązana do działania. Odczuwała przy tym dziłą przyjemność na myśl, że pod pretekstem obowiązku i spełnienia obietnicy będzie miała możliwość powiedzenia Margaret niemiłej i niechętnie przyjętej prawdy.

– Dziękuję – odezwała się w końcu pani Hale. – Będę się za panią modliła. Nie spotkamy się już więcej na tym świecie. Moje ostatnie słowa do pani brzmią: dziękuję, że obiecała pani okazać memu dziecku dobroć.

– Nie dobroć! – skorygowała pani Thornton, w dość przykry sposób prawdomówna i dokładna w każdej sytuacji. Gdy tylko uspokoiła swe sumienie tą poprawką, nie żałowała jednak, że pani Hale nie dosłyszała tych słów. Uścisnęła miękko, omdlałą dłoń chorej kobiety, podniosła się i nie żegnając się z nikim, wyszła.

W czasie gdy pani Thornton rozmawiała z matką Margaret, ona sama naradzała się z Dixon, w jaki sposób ukryć pobyt Fredericka przed postronnymi osobami. Lada dzień spodziewały się listu od niego, a przypuszczały, że on zjawi się wkrótce potem. Należało koniecznie odesłać Martę na wakacje, Dixon miała pełnić wartę przy drzwiach wejściowych i wpuszczać tylko niektóre osoby, wprowadzając je wyłącznie do gabinetu pana Hale'a, położonego na dole; zresztą poważna choroba pani domu mogła być tego wytłumaczeniem. Gdyby pomoc Mary Higgins okazała się niezbędna w kuchni, kontakt dziewczyny z Frederickiem zostałby ograniczony do minimum, i będzie on nazywany zawsze panem Dickinsonem. Margaret miała poza tym pewność, że otępienie dziewczyny jest najlepszym gwarantem zachowania tajemnicy.

Postanowiły, że jeszcze tego samego popołudnia Marta powinna opuścić dom i udać się z wizytą do swojej matki. Margaret żałowała, że nie odesłali służącej poprzedniego dnia, bo wyobrażała sobie, że dawanie jej wolnego teraz, kiedy pani Hale wymaga pełnej opieki, może się wydawać dziwne.

Biedna Margaret! Całe popołudnie musiała odgrywać rolę niezłomnej Rzymianki i dodawać ojcu siłę, mimo że jej własne były na wyczerpaniu. Pomiedzy atakami choroby żony pan Hale był pełen nadziei i opuszczała go rozpacz. Każda chwila wolna od bólu podtrzymywała go od nowa na duchu i wierzył wtedy, że to przełom i początek całkowitego powrotu jego Marii do zdrowia. Potem jednak, gdy nadchodził paroksyzm bólu, każdy kolejny silniejszy od poprzedniego, był on dla pana Hale'a źródłem nowej męki i ogromnego rozczarowania. To popołudnie spędził w salonie, niezdolny znieść samotności w swym gabinecie ani znaleźć sobie jakiegokolwiek zajęcia. Głowę zatopił w ramionach opartych na stole. Córce pękało serce na jego widok, ale ponieważ sam się nie odzywał, nie podejmowała z własnej woli żadnej próby pocieszenia go. Marta poszła do swojej matki, a Dixon czuwała nad snem pani Hale. Dom był cichy i nieruchomy, spowity ciemnością, bo żadne z nich nie zatroszczyło się o zapalenie świec. Margaret siedziała przy oknie i wpatrywała się w latarnie uliczne, choć ich nie dostrzegała, świadoma tylko ciężkich westchnień ojca. Nie chciała schodzić na

dół po światło, bojąc się, że jeśli zabraknie milczącego hamulca związanego z jej obecnością, pan Hale pozwoli, by zawładnęły nim gwałtowniejsze emocje, a jej nie będzie w pobliżu, by go ukoić. Wiedziała, że powinna zejść na dół przede wszystkim po to, by dopilnować ognia pod kuchnią, pozostawionego bez dozoru. Naraz usłyszała przytłumiony odgłos dzwonka u drzwi, pociągniętego z taką gwałtownością, że zadźwięczał w całym domu, choć niezbyt głośno. Podniosła się i przeszła koło ojca, który nawet nie drgnął. Zawahała się, cofnęła i czule go pocałowała. Wydawało się, że nawet nie zwrócił uwagi na tę pieśczołą. W ciemności zesła cicho na dół i ruszyła w stronę drzwi. Dixon przed otwarciem ich założyłaby łańcuch, ale w przejętym i zatroskanym umyśle Margaret nie było już miejsca na uczucie strachu. Pomiedzy nią, a oświetloną ulicą stał wysoki mężczyzna. Oglądał się za siebie, ale na dźwięk zasuwy szybko się odwrócił.

– Czy jest pan Hale? – spytał czystym, łagodnym głosem.

Margaret cała zadrżała. W pierwszej chwili nie odpowiedziała, a potem wykrztusiła:

– Fredericku! – Wyciągnęła przed siebie obie dłonie, aby ująć jego ręce i wciągnąć go do środka.

– Och Margaret! – powiedział. Ucałowali się, a potem odsunął ją na długość ramienia, jakby nawet w ciemnościach potrafił wyczytać w jej twarzy odpowiedź na swoje pytanie szybciej, niż gdyby usłyszał ją wypowiedzianą słowami.

– A matka? Żyje?

– Tak, kochany, tak, bracie! Jest śmiertelnie chora, ale żyje. Żyje.

– Dzięki Bogu – odetchnął.

– Ojciec jest tym kompletnie załamany.

– Oczekiwaliście mnie, prawda?

– Nie, nie otrzymaliśmy żadnego listu.

– W takim razie wyprzedziłem go. Ale matka wie, że przyjeżdżam?

– Och, wszyscy wiedzieliśmy, że przyjedziesz. Poczekaj chwilę. Wejdźmy tutaj. Podaj mi dłoń. Co tu masz? Ach, twój sakwojaż. Dixon zamknęła okiennice. Tutaj jest ojca gabinet. Usiądź na krześle i odpocznij chwilę, a ja pójde do papy.

Po omacku odnalazła świeczkę i zapalki. Nagle po-

czuła przyływ nieśmiałości, gdy słabe światełko sprawiło, że stali się dla siebie widoczni. Wszystko, co udało jej się dostrzec, to niezwykle ciemna karnacja brata i ukradkowe spojrzenie podłużnych niebieskich oczu, które nagle zamrugały komicznie, gdy pojął, że się sobie nawzajem przypatrują. Choć w tych wymienionych spojrzeniach od razu pojawiła się sympatia, rodzeństwo nie zamieniło ze sobą słowa. Margaret ze swej strony była pewna, że polubi brata jako towarzysza, tak jak kochała go jako członka rodziny. Idąc po schodach do góry, czuła dziwną lekkość serca; niebezpieczeństwo związane z chorobą matki nie zmniejszyło się ani trochę, ale jego ciężar rozłożył się na dwie osoby, bo pojawił się ktoś, kogo zmartwienie dotyczyło tak samo jak jej. Nawet depresja ojca nie przygnębiała jej tak bardzo jak wcześniej. Spoczywał z głową na stole, jeszcze bardziej niż dotychczas bezradny, ale ona знаła zaklęcie, za pomocą którego mogła go ożywić. Zastosowała je trochę może zbyt gwałtownie, bo sama odczuwała wielką ulgę.

– Papo! – odezwała się, z czułością obejmując go za szyję i unosząc delikatnie, ale zdecydowanie jego znu-

żoną głowę, aż spoczęła w jej ramionach. Spojrzała mu wtedy w oczy, dzieląc się z nim swą siłą i pewnością. – Papo! Zgadnij, kto tu jest.

Popatrzył na nią. Widziała, jak w jego oczach spod mgły smutku błysnęła nadzieja, ale natychmiast została zgaszona jako szalone wyobrażenie. Pochylił się do przodu i ponownie skrył twarz w ramionach nadal wyciągniętych na stole. Usłyszała, że coś szeptce, i pochyliła się, by to usłyszeć.

– Nie wiem. Nie mów mi, że to Frederick. Nie Frederick. Nie zniosę tego. Nie dam rady. Jestem zbyt słaby. A jego matka umiera! – Zaczął płakać i zawodzić jak dziecko.

Reakcja ojca była tak inna od tego, czego Margaret się spodziewała i na co liczyła, że aż musiała się odwrócić, osłabła z rozczarowania. Przez chwilę milczała, po czym odezwała się ponownie, już nie tak triumfalnie, ale za to z większą czułością i troską.

– Papo, to naprawdę Frederick! Pomyśl o mamie. Pomyśl, jaka będzie szczęśliwa! I przez wzgląd na nią my też powinniśmy być szczęśliwi. I przez wzgląd na niego. Nasz biedny, biedny chłopiec!

Ojciec nie zmienił swej postawy, ale chyba próbował pojąć to, co powiedziała córka.

– Gdzie on jest? – spytał w końcu, z twarzą nadal ukrytą w ramionach.

– W twoim gabinecie. Sam. Zapaliłam świeczkę i szybko tu do ciebie przybiegłam. Jest tam zupełnie sam i pewnie się zastanawia, czemu...

– Idę do niego – przerwał jej ojciec. Podniósł się i oparł na niej jak na przewodniku.

Margaret poprowadziła go aż do drzwi gabinetu, ale czuła się tak wzburzona, że obawiała się być świadkiem pierwszego spotkania ojca z synem. Odwróciła się, uciekła na górę i z głębi serca rozplakała. Po raz pierwszy od wielu dni pozwoliła sobie na szukanie w ten sposób ulgi. Teraz dopiero czuła, w jakim napięciu żyła. Frederick jednak dotarł. On, jej jedyny, jej cenny brat, był tu z nimi, bezpieczny. Z trudem mogła w to uwierzyć. Przestała płakać i otworzyła drzwi sypialni. Nie usłyszała żadnego odgłosu i prawie zaczęła się obawiać, że to wszystko tylko jej się przyśniło. Zeszła na dół i nasłuchiwała przy drzwiach gabinetu. Do jej uszu dobiegł szmer głosów i to jej wystarczyło. Poszła

do kuchni, poprawiła ogień, zapaliła świece i przygotowała poczęstunek dla wędrowca. Jak dobrze się złożyło, że matka spała. Margaret była tego pewna, bo fidybus do zapalenia świecy nadal tkwił wepchnięty w dziurkę od klucza w drzwiach sypialni. Zanim pani Hale się dowie, co się wydarzyło, podróżny się odświeży, posili i ochłonie z pierwszych emocji po spotkaniu z ojcem.

Gdy wszystko było gotowe, Margaret otworzyła drzwi gabinetu i weszła do środka z ciężką tacą niesioną w wyciągniętych przed sobą ramionach. Czuła dumę, że obsługuje brata. A on, gdy tylko ją ujrzał, od razu się poderwał i uwolnił od ciężaru. To była zapowiedź, znak nadchodzącego ukojenia, które przyniesie jego obecność. Brat i siostra wspólnie przygotowali stół. Mówili bardzo niewiele, ale ich dłonie ciągle się stykały, a oczy prowadziły ze sobą rozmowę naturalnym językiem, zrozumiałym i oczywistym dla ludzi tej samej krwi. Ogień zgasł i dziewczyna zaczęła go ponownie rozpalać, bo wieczory stawały się już chłodne. Pamiętała przy tym, aby jak najmniej hałasów dochodziło do sypialni matki.

– Dixon twierdzi, że rozpalenie ognia to dar i że to nie jest coś, czego po prostu można się nauczyć.

– *Poeta nascitur, non fit*. Poetą się rodzi, nie staje – wymruczał pan Hale, a Margaret ucieszyła się, słysząc ten cytat, mimo że wygłoszony został łamiącym się głosem.

– Dobra stara Dixon. Ależ my się ucałujemy! – powiedział Frederick i zaśmiał się. – Zawsze mnie całowała, po czym wpatrywała się w moją twarz, aby się upewnić, czy rzeczywiście jestem tą właściwą osobą. A potem całowała mnie znowu. Ależ, Margaret, cóż z ciebie za partacz! Nigdy nie widziałem takiej pary nieporadnych rączek. Biegnij je umyć, żebyś mogła mi przygotować pyszne grzanki z masłem, i daj sobie spokój z tym ogniem. Zajmę się tym. Rozpalanie ognia to jedna z moich wrodzonych zdolności.

Margaret odeszła, a potem wróciła i spacerowała po pokoju ze słodkim podekscytowaniem, które nie pozwalało jej na siedzenie w jednym miejscu. Im więcej Frederick miał potrzeb, tym szczęśliwsza się czuła, a on to instynktownie rozumiał. To były okruchy radości zbierane w domu żałoby, a smak ich wyostrzała nieopuszczająca ich świadomość, że zbliża się do nich smutek, przed którym nie ma ucieczki.

Nagle usłyszeli Dixon schodzącą w dół po schodach. Pan Hale poderwał się ze swej ospałej pozy. Dotychczas siedział w fotelu i marzycielsko obserwował swe dzieci, zupełnie jakby odgrywały jakieś przedstawienie szczęśliwości, na które spogląda się z przyjemnością, ale jest dalekie od rzeczywistości, i widz, w tym wypadku pan Hale, nie bierze w nim udziału. Podniósł się szybko i podszedł do drzwi, okazując tak gwałtowną troskę, by ukryć Fredericka przed wzrokiem zbliżającego się intruza, nawet jeśli była to wierna Dixon, że dreszcz przebiegł Margaret po plecach. Uświadomiła sobie, jakie nowe napięcie pojawiło się w ich życiu. Schwyciła mocno ramię brata, a pod wpływem ciężkiej myśli ściągnęła brwi i zacisnęła zęby. A przecież rozpoznali miarowe stąpanie Dixon. Słyszeli, jak szła korytarzem wprost do kuchni. Margaret podniosła się.

– Pójdę i powiem jej o Fredericku. I dowiem się, co u mamy.

Pani Hale nie spała. W pierwszej chwili mówiła chaotycznie i plątała się, ale gdy podali jej odrobinę herbaty, poczuła się lepiej, choć nadal nie mogła mówić. Wtedy zdecydowali, że najlepiej będzie, jeśli chora spę-

dzi noc, nie wiedząc o przyjeździe syna, tym bardziej że zapowiedź wizyty doktora Donaldsona dostarczała jej aż nazbyt wiele wzruszeń na ten wieczór. Liczono też na to, że lekarz poradzi im, w jaki sposób najlepiej przygotować panią Hale na spotkanie z Frederickiem. Syn był przecież na miejscu i wystarczyło go przywołać.

Margaret nie potrafiła usiedzieć spokojnie i z ulgą pomagała Dixon w jej przygotowaniach dla „panicza Fredericka”. Dziewczynie wydawało się, że już nigdy nie poczuje się zmęczona. Każdy rzut oka do pokoju, gdzie brat siedział i rozmawiał z ojcem, dodawał jej nowych sił. Nie znała przedmiotu ich rozmowy ani o to nie dbała, ale wiedziała, że jej czas na rozmowę z Frederickiem także nadejdzie, i była tego tak pewna, że nie starała się przyspieszać tego momentu. Na razie chłonęła sam jego widok, a to, co widziała, podobało jej się. Miał delikatne rysy twarzy, jednak jego wyglądu nie można było nazwać kobiecym, a to dzięki śniadej cerze i żywej mimice. Zwykle spoglądał radośnie, ale zdarzało się, że jego oczy i usta przyjmowały nagle wyraz powstrzymywanej i tajonej pasji, który przejmował Margaret strachem. Ale trwało to tylko chwilę, zresztą

nie było w nim śladu ani zawziętości, ani mściwości, lecz raczej chwilowa porywczosć, pojawiająca się na twarzach mieszkańców dzikich lub południowych krajin, szaleństwo, uwydatniające trochę chłopięcy urok, w jaki ostatecznie wtapiał się ów dziki wygląd.

Margaret mogłaby się obawiać gwałtowności impulsywnej natury brata przejawiającej się w taki sposób, ale nie odkryła w nim niczego, co wzbudziłoby w niej nieufność lub kazało się od niego odsunąć. Wprost przeciwnie, od samego początku ich wzajemne stosunki układały się doskonale. Uświadomiła sobie ciężar znoszonej dotychczas samotnie odpowiedzialności, gdy po pojawieniu się Fredericka poczuła nieprawdopodobną ulgę. On rozumiał i ojca, i matkę, ich charaktery i słabości, i przyjmował je całkowicie swobodnie, dbając jednak, by nie urazić żadnego z uczuć rodziców. Zdawał się instynktownie wiedzieć, kiedy naturalny urok i żywość jego zachowania czy rozmowy przyczynią się do załagodzenia głębokiego przygnębienia ojca lub przyniosą ulgę w cierpieniu matki. Gdy czas był ku temu nieodpowiedni, okazywał nie tylko cierpliwe oddanie i troskliwość, ale zmieniał się w godną podzi-

wu pielęgniarkę. Margaret wzruszała się prawie do łez aluzjami do ich wspólnego dzieciństwa w New Forest, które często czynił. Nigdy nie zapomniał ani jej, ani Helstone podczas swych wędrówek po odległych krajach i przebywając wśród obcych ludzi, mogła więc rozmawiać z nim o starych kątach bez obawy, że go tym zmęczy. Zanim przyjechał, bała się go, nawet wtedy, gdy marzyła o jego powrocie. Czowała, że te siedem czy osiem lat rozłąki spowodowało w niej mnóstwo zmian i – zapominając, ile pozostało z prawdziwej Margaret – doszła do wniosku, że jeśli jej gusty i uczucia uległy takim zmianom nawet w rodzinnym domu, to burzliwa kariera brata, o której przecież tak niewiele wiedziała, musiała ukształtować nowego Fredericka w miejsce tego młokosa w marynarskim mundurze, na którego, jak pamiętała, spoglądała z takim podziwem. W czasie rozstania dorośli jednak oboje i zbliżyli się do siebie w wielu sprawach. W owym trudnym okresie brzemię Margaret zelżało zatem, choć poza obecnością brata nie było w jej życiu innych jasnych stron. Matka na kilka godzin odzyskiwała siły przynajmniej na tyle, że mogła spędzić je z synem. Cały ten czas siedziała, trzymając

jego dłoń w swoich, i nie wypuszczała jej, nawet gdy spała. Margaret musiała go karmić jak dziecko, byle tylko nie zakłócić jej snu, gdyż budziła się przy każdej próbie wycofania ręki syna. Kiedyś w takiej chwili otworzyła oczy. Wolno pokręciła głowę na poduszce i uśmiechnęła się do swych dzieci, bo zrozumiała, co robią i dlaczego.

– Jestem bardzo samolubna – oznajmiła – ale to już nie potrwa długo.

Frederick pochylił się i ucałował słabą dłoń, która więziła jego rękę.

Ten stan wyciszenia nie mógł trwać wiele dni ani nawet godzin i doktor Donaldson ostrzegł o tym Margaret. Gdy życzliwy lekarz odszedł, wymknęła się na dół do brata, który przyrzekł, że na czas wizyty lekarza pozostanie w tylnym saloniku. Pokój ten zazwyczaj służył jako sypialnia Dixon, ale teraz został odstąpiony „paniczowi”.

Margaret przekazała Frederickowi słowa doktora.

– Nie wierzę w to! – wykrzyknął. – Jest bardzo chora, może nawet niebezpiecznie chora. Może zagrożona. Ale patrząc na nią, nie wierzę, żeby umierała. Margaret!

Powinniśmy to skonsultować. Z kimś z Londynu. Myślałaś o tym?

– Tak – potwierdziła – i to nie raz. Ale nie sądzę, żeby to cokolwiek dało. A poza tym, wiesz, my nie mamy pieniędzy, aby sprowadzić tu jakąś londyńską sławę. Jestem pewna, że doktor Donaldson niewiele im ustępuje, o ile w ogóle.

Frederick zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Mam kredyt w Kadyksie – powiedział – ale nie tu. Wszystko przez tę nieszczęsną zmianę nazwiska. Czemu ojciec opuścił Helstone? Co za omyłka!

– To nie była omyłka – zaprzeczyła Margaret posępnie. – Zrób wszystko, co w twojej mocy, by nigdy takie słowa jak te, które teraz wypowiedziałeś, nie dotarły do ojca. Wiem, że już i tak dręczy się myślą, że gdybyśmy zostali w Helstone, mama nigdy by nie zachorowała, a ty nie znasz jego siły wpędzania się w mękę samooskarżeń.

Frederick odmaszerował kawałek, zupełnie jakby się znajdował na pokładzie rufowym. W końcu zatrzymał się dokładnie na wprost siostry i przez chwilę przyglądał się jej postawie pełnej przygnębienia i rezygnacji.

– Moja maleńka Margaret – powiedział, tuląc ją. – Nie traćmy nadziei. Biedna kobietka. A to co? Buzia mokra od łez? Ja będę miał nadzieję. Naprawdę. Niech sobie tyśiąc lekarzy mówi, co chce. Głowa do góry, siostrzyczko. Odważ się mieć nadzieję.

Najpierw dławiła się własnymi słowami, a gdy wreszcie odzyskała głos, powiedziała bardzo cicho:

– Muszę szukać w sobie pokory, by wierzyć. Och Fredericku! Mama uczyła się mnie kochać. A ja uczyłam się ją rozumieć. A teraz przychodzi śmierć, by nas od siebie oderwać!

– No już, cicho! Chodźmy na górę i zrobmy coś, zamiast marnować czas, który może się okazać tak cenny. Wielokrotnie od myślenia robiłem się smutny, a od działania nigdy. Moje motto życiowe to parafraza maksymy: „Zdobądź pieniądze, synu, jeśli potrafisz, to uczciwie, ale zdobądź je”. Moja wersja brzmi: „Rób coś, moja siostrko, jeśli możesz, to coś dobrego, w każdym razie rób coś”.

– Nie wyłączając psot – powiedziała Margaret, uśmiechając się blado przez łzy.

– W żadnym razie. Jedyne, co wykluczamy, to

późniejsze wyrzuty sumienia. Wymaż z pamięci swoje ciemne sprawki (o ile jesteś oczywiście nadmiernie skrupulatna) jakimś dobrym uczynkiem, i to tak szybko, jak zdołasz. Dokładnie tak samo jak w szkole rozwiązywaliśmy poprawnie zadanie, gdy to błędne było starte z tabliczki tylko w połowie. To było lepszym wyjściem niż moczenie gąbki łzami. Mniejsza strata czasu, bo na łzy trzeba było czekać, i lepszy efekt końcowy.

O ile z początku Margaret uważała teorię Fredericka za dość niewyszukaną i prostacką, to wkrótce przekonała się, jak ustawicznie wcielał ją w życie. Po ciężkiej nocy spędzonej przy chorej matce (bo uparł się, aby tak samo jak oni dyżurować w nocy) cały kolejny rano przed śniadaniem majstrował podnózek dla Dixon, która zaczęła odczuwać zmęczenie nocnym czuwaniem. Podczas śniadania bawił ojca, żywo i plastycznie opowiadając o dzikim życiu, jakie wiódł w Meksyku, Ameryce Południowej i innych odległych zakątkach świata. Margaret na jego miejscu nie odważyłaby się na to, obawiając się wyrwać ojca na siłę z jego smutku, który zresztą wpłynąłby także na nią i uczynił niezdol-

ną do jakiegokolwiek rozmowy. Ale Frederick, zgodnie ze swoją teorią, nie ustawał w działaniu, chociaż podczas posiłku można tylko jeść lub rozmawiać.

Zanim dzień dobiegł końca, prognozy doktora Donaldsona okazały się aż nadto prawdziwe. Nadeszły konwulsje, a gdy ustąpiły, pani Hale pozostała nieprzytomna. Jej mąż mógł swymi szlochami wstrząsać łóżkiem, jej silny syn mógł łagodnie unosić ją do wygodnej pozycji, a córka mogła przemywać jej twarz. Ona już ich nie знаła. I już nigdy nie miała ich rozpoznać, aż do owego dnia, gdy spotkają się w niebie.

Zanim nastał ranek, było po wszystkim.

Wtedy Margaret otrząsnęła się z przygnębienia i żalności i stała się niczym anioł pocieszenia dla ojca i brata. Frederick bowiem zupełnie się załamał i jego teorie okazały się bezużyteczne. Zamknął się na noc sam w swym maleńkim pokoju i płakał tak gwałtownie, że przestraszone Margaret i Dixon zeszły do niego na dół, prosząc, aby postarał się opanować. Ściany były cienkie i sąsiedzi mogli łatwo usłyszeć jego namiętny, młodzieńczy szloch, tak różny od tej powolniejszej, drżącej męki znamiennej dla wieku średniego, gdy przyzw-
wy-

czajamy się do żalu i nie ośmielamy się protestować przeciw nieubłaganemu wyrokowi, świadomi tego, kto go wydał.

Margaret została razem z ojcem przy zmarłej. Byłaby wdzięczna, gdyby płakał. On jednak siedział przy łóżku w całkowitej ciszy i tylko od czasu do czasu odkrywał twarz i uderzał ją lekko. Nie zwracał uwagi na obecność córki. Kilkakrotnie podeszła do niego i go pocałowała. Poddawał się temu bez protestu, ale prawie natychmiast potem odpychał ją od siebie, jakby jej czułość przeszkadzała mu w jego zaabsorbowaniu zmarłą. Wzdrygnął się, gdy usłyszał płacz Fredericka i potrząsnął głową.

– Biedny chłopiec! Biedny chłopiec! – powiedział, a później ponownie zatopił się w swej rozpacz.

Panna Hale czuła ból w sercu. Myśl o stracie, jaką poniósł ojciec, skutecznie usuwała z jej umysłu pamięć o własnym sieroctwie. Mrok nocy zaczynał się przecierać i zbliżał się dzień, gdy nagle, bez żadnej zapowiedzi, głos Margaret wdarł się w ciszę i bezruch z czystością, która zaskoczyła nawet ją samą. „Powiedziane jest:

Niech się nie trwoży serce wasze”*. A potem wyrecytowała dalszy ciąg tego rozdziału niewymownego pocieszenia.

* Fragment z *Ewangelii św. Jana* (14,1).

XXXI

„PÓJŚĆ MA W NIEPAMIĘĆ STARY DRUH?”*

*Czy winien kryć to, co zdradza mimika:
Przebiegłość węża i upadek grzesznika?*

George Crabbe, „The Borough”

Nadszedł rześki październikowy poranek, ale nie był to poranek na wsi, gdzie miękka, skrząca się mgła znika pod wpływem promieni słonecznych, ukazując oszałamiającą feerię barw. To był październik w Milton, gdzie zamiast srebrzystego woalu mgieł miasto zasnuwał ciężki dym, a słońce mogło oświetlić tylko zakurzone ulice, o ile jego promieniom udało się przebić przez opary.

* Robert Burns, *Auld Lang Syne*, przeł. Zofia Kierszys.

Margaret szła apatycznie koło Dixon, która postawiła sobie za cel przygotowanie domu do pogrzebu. Służącej udało się zarazić tym nastawieniem swą młodą panią i choć oczy dziewczyny ustawicznie przepelniały łzy, nie poddawała się całkowicie rozpacz. Ojciec i brat polegali na niej i podczas gdy oni zatopili się bez opamiętania w smutku, ona zajęta była pracą, planowaniem, organizowaniem. Nawet niezbędne decyzje związane z ceremonią pogrzebową musiała podejmować sama.

Gdy wszystko było gotowe do śniadania, ogień jaśniał i skwierczał, a imbryk śpiewał swą melodię, Margaret po raz ostatni rozejrzała się po pokoju i poszła po pana Hale'a i Fredericka. Bardzo zależało jej na tym, aby wszystko wyglądało tak pogodnie, jak to tylko możliwe, ale gdy osiągnęła taki rezultat, kontrast między otoczeniem a jej własnym nastrojem spowodował, że zaczęła nagle łkać. Upadła na kolana przy sofie i ukryła twarz w poduszkach, aby nikt nie usłyszał jej płaczu. Po chwili poczuła na ramieniu dotyk Dixon.

– No, już, panienko, już, kochana. Nie wolno się panience poddawać, bo co by się z nami wszystkimi stało?

Przecież w tym domu nikt inny nie pokieruje sprawami, a tyle jest do zrobienia. Trzeba ustalić, kto odprawi pogrzeb. I kogo zaprosimy. I gdzie się odbędzie. I tyle innych spraw. I kto to załatwi? Panicz Frederick płacze jak oszalały, a pan Hale nigdy nie był mocny w organizowaniu, a teraz to już w ogóle, biedaczyna, chodzi, jakby był stracony dla świata. To straszne, kochanie, ja wiem, ale śmierć przychodzi do każdego. I tak dobrze, że aż do teraz nie straciłaś nigdy nikogo bliskiego.

Być może. Ale to była strata, jakiej nie można porównać do żadnego innego zdarzenia w życiu. Słowa Dixon nie przyniosły Margaret pocieszenia, ale niezwykła czułość w sztywnym zwykle sposobie zachowania starej służącej ujęła dziewczynę i chcąc okazać Dixon swą wdzięczność za serdeczne próby, podniosła się z klęczek, uśmiechnęła do zaniepokojonej kobiety, a potem poszła zaprosić ojca i brata na śniadanie.

Pan Hale wszedł, jakby śnił, a raczej posuwał się nieświadomym krokiem lunatyka, którego oczy i umysł dostrzegają co innego niż to, co go faktycznie otacza. Frederick wszedł z werwą i wymuszoną pogodą, uścisnął dłoń Margaret, spojrzął jej w oczy i wybuch-

nę płaczem. Podczas śniadania starała się podsuwać błahe tematy do rozmowy, aby ustrzec swych bliskich od zbyt uporczywego wracania myślami do ostatniego wspólnego posiłku, kiedy wszyscy bez przerwy nasłuchiwali odgłosów dochodzących z pokoju chorej.

Postanowiła po śniadaniu porozmawiać z ojcem o pogrzebie. Kiwał głową i zgadzał się na wszystkie jej propozycje, choć wiele z nich całkowicie się nawzajem wykluczało. Nie pomógł jej podjąć żadnej decyzji. Wychodziła z pokoju, by naradzić się z Dixon, gdy ojciec przywołał ją z powrotem do siebie.

– Spytaj pana Bella – powiedział pustym głosem.

– Pana Bella! – powtórzyła zdziwiona. – Pana Bella z Oxfordu?

– Tak, pana Bella – powtórzył. – Był moim przyjacielem.

Margaret zrozumiała skojarzenie ojca.

– Napiszę jeszcze dzisiaj – obiecała. On zaś ponownie zapadł się w siebie.

Panna Hale marzyła o odpoczynku, ale cały ranek spędziła, ciężko pracując, w nieprzerwanym biegu załatwiania przykrych spraw.

Pod wieczór Dixon powiedziała:

– Zrobiłam to, panienko. Naprawdę się bałam o pana, że dostanie apopleksji z tego żalu. Cały dzień spędził z biedną panią. Gdy stałam pod drzwiami, usłyszałam, jak mówił do niej. Ciągłe mówił do niej, jakby żyła. A jak weszłam do środka, to siedział zupełnie cicho, ale taki jakiś zagubiony. I pomyślałam sobie, że trzeba nim wstrząsnąć i nawet jeśli na początku to będzie dla niego szok, to potem obróci się na dobre. Poszłam więc tam i powiedziałam, że moim zdaniem panicz Frederick nie jest tu bezpieczny. Naprawdę tak uważam. We wtorek, jak wyszłam z domu, spotkałam jednego takiego z Southampton. To się zdarzyło pierwszy raz, bo oni się chyba nie zapuszczają w te strony. W każdym razie to był młody Leonards, syn tego starego sukiennika, łobuz, jakich mało. Maltretował własnego ojca, aż stary prawie umarł, a potem synalek zwiął na morze. Nigdy nie mogłam tego młodego znieść. Przez pewien czas pływał na Orionie z naszym paniczem, ale nijak nie mogę sobie przypomnieć, czy był z nim także podczas buntu.

– Poznał cię? – spytała przejęta Margaret.

– No i to jest właśnie najgorsze. Raczej by mnie nie

poznał, ale byłam taka głupia, że go sama zawołałam po nazwisku. Był człowiekiem z moich stron, w przeciwnym razie nie paliłabym się do wołania tego nic niewartego łajdaka. A on do mnie: „Panna Dixon! Kto by pomyślał, że spotkam tu panią? Ale może się mylę i nie jest już pani panną Dixon?” Powiedziałam mu więc, że nadal może się do mnie zwracać jak do niezamężnej kobiety, choć gdybym nie była tak wymagająca, miałabym wiele możliwości wstąpienia w związek małżeński. Był całkiem grzeczny, stwierdził, że patrząc na mnie, wcale w to nie wątpi. Ale ja się nie dam nabrać na te plewy i od razu mu to powiedziałam. Przy okazji, tak dla równowagi, spytałam o jego ojca. Wiedziałam, że stary go wyrzucił za drzwi, ale spytałam, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. A wtedy on, żeby mi zrobić na złość – bo zaczęliśmy być dla siebie ostrzy, mimo że na zewnątrz to wyglądało tak uprzejmie – wypytywał mnie o panicza Fredericka i powiedział, w jakie to paskudne tarapaty władował się nasz panicz (a przecież nawet ze swoimi tarapatami nasz panicz jest bielszy, niż kiedykolwiek będzie George Leonards, bo ten zawsze będzie wyglądał obrzydliwie brudno). A potem opowiadał, jak to panicz

będzie powieszony, kiedy tylko go złapią, i że wyznaczono sto funtów nagrody dla tego, kto pomoże go znaleźć. Na koniec dodał, że panicz zniestawił całą rodzinę. A wszystko to mówił, żeby mi zrobić na złość, bo swego czasu w Southampton pomogłam staremu Leonardsowi ostro zrugać tego jego synalka. Odpowiedziałam mu, że znam inne rodziny uważające się za uczciwe i godne poważania, które mają znacznie więcej powodów, by rumienić się za postęпки swoich synów i wysyłać ich z dala od domu. Ten zuchwalec mi na to, że ma wysoko postawionych przyjaciół i że gdybym słyszała o jakimś młodym dżentelmenie, który nieszczęściem zszedł na złą drogę i teraz chciałby się poprawić, to on nie miałby nic przeciw temu, by go wesprzeć i zaprotegować. On! On by potrafił świętego ściągnąć na złą drogę! Od lat nie czułam się tak podle jak tego dnia, gdy tak z nim stałam i rozmawiałam. Płakać mi się chciało na myśl, że nie dopieklam mu bardziej. A on mi się uśmiechał prosto w twarz, tak jakby wziął wszystkie moje słowa na poważnie. Nie widziałam jednak, aby się w ogóle przejął tym, co mówiłam, podczas gdy ja prawie pękłam ze złości z powodu tego, co on wygadywał.

– Ale nic mu nie wspomniałaś o nas? O Fredericku?

– No przecież, że nie – odpowiedziała Dixon. – Zresztą nie zaszczycił mnie pytaniem o to, gdzie mieszkam. A gdyby spytał, to i tak bym mu nie powiedziała. I nie zapytałam go, jaką to wspaniałą pozycję zajmuje. Czekał na omnibus, który właśnie wtedy nadjeżdżał, więc pomachał, żeby tamten się zatrzymał. Żeby mnie dobić, to wsiadając, odwrócił się i powiedział: „Jeśli pomoże mi pani, panno Dixon, capnąć porucznika Hale’a, to się podzielimy nagrodą. Wiem, że marzy pani o tym, by zostać moją partnerką, prawda? Niech się pani nie wstydzi, tylko po prostu się przyzna”. I wskoczył do środka, a potem zobaczyłam jego obrzydliwą gębę z tym nikczemnym uśmieszkiem. Łypał na mnie okiem, zadowolony, że miał ostatnie słowo.

Relacja Dixon poważnie zaniepokoiła Margaret.

– Mówiłaś o tym Frederickowi? – spytała.

– Nie – odpowiedziała służąca. – Cały czas się martwiłam, że ten łajdak Leonards jest w mieście, ale tyle było innych trosk i kłopotów, że nie rozmyślałam nad tym zbyt wiele. Dopiero jak zobaczyłam pana siedzącego tak sztywno, ze smutnymi, szklistymi oczyma,

pomyślałam, że gdyby zainteresował się sprawą bezpieczeństwa panicza Fredericka, to może by się trochę ożywił. Wszystko mu więc powiedziałam, choć rumieniłam się, powtarzając, jak ten nicpoń się do mnie odzywał. I to pomogło ojcu panienki. A jeśli panicz nadal ma pozostawać w ukryciu, to biedaczyna będzie się musiał stąd wynieść, zanim przyjedzie pan Bell.

– To nie pana Bella się obawiam, ale tego Leonardsa. Muszę powiedzieć Frederickowi. Jak ten Leonards wygląda?

– Jak łobuz, zapewniam, panienko. I ma takie bokbrody, że na jego miejscu umarłabym ze wstydu. Czerwone jak marchewka. A mimo tych jego gadek o uprzywilejowanej pozycji ubrany był w barchan, jak każdy inny robotnik.

Stało się jasne, że Frederick musi odejść. Odejść, kiedy tak idealnie dopasował się do tego miejsca i obiecał, że będzie „wszelką podporą”^{*} dla ojca i siostry. Odejść, gdy jego czułość okazana chorej matce i żałość po jej śmierci uczyniły z niego jednego z owych wyjąt-

* Cytat z *Księgi Izajasza* (3,1).

kowych ludzi, z którymi łączy nas wspólna miłość do tych, co odeszli. Gdy Margaret, siedząc przy kominku w salonie, myślała o ojcu, będącym w kleszczach właśnie uświadomionego strachu, o którym jeszcze nie rozmawiali, wszedł Frederick. Jego wesołość i pogoda były przytłumione, ale zapierająca dech w piersiach gwałtowna rozpacz minęła. Podeszedł do siostry i pocałował ją w czoło.

– Tak bardzo zmizerniałś, Margaret! – powiedział cicho. – Myślałaś o nas wszystkich, ale nikt nie pomyślał o tobie. Połóż się na sofie. Chyba nie pozostało już nic do zrobienia.

– I to jest najgorsze – wyszeptała ze smutkiem. Podeszła jednak do sofy i położyła się, a brat okrył jej stopy szalem. Potem usiadł na podłodze tuż przy niej i zaczęli rozmawiać przygnębnymi głosami.

Margaret opowiedziała mu, czego się dowiedziała o spotkaniu Dixon z młodym Leonardsem. Frederick aż gwizdnął z niepokoju.

– Bardzo chciałbym policzyć się z tym gagatkiem. Najgorszy żeglarz, jaki się kiedykolwiek pojawił na pokładzie statku. I najbardziej nikczemny z ludzi. Mówię

ci, Margaret... oczywiście znasz okoliczności tej całej sprawy?

– Tak, mama mi opowiedziała.

– Jak zatem wiesz, każdy marynarz, który nadawał się do czegokolwiek, był oburzony na kapitana, natomiast ten łajdak mu się przypochlebiał. I pomyśleć, że on tu jest! Gdyby wiedział, że znajduję się tak blisko niego, wyciągnąłby mnie spod ziemi, żeby wziąć odwet za stare urazy. Wolałbym, żeby każdy inny, niż ten łotr, dostał te sto funtów, na które wycenił mnie nasz rząd. Co za szkoda, że biedna Dixon nie dała się namówić, żeby mnie zadenuncjować. Zgarnęłaby pieniądze i na stare lata miałyby jak znalazł.

– Och Fredericku! Cicho! Nie mów tak.

Przejęty i drżący pan Hale podszedł do nich. Słyszał ich rozmowę. Ujął rękę syna w swe dłonie:

– Mój chłopcze, musisz odejść. To okropne, ale widzę, że konieczne. Zrobiłeś wszystko, co było możliwe, pocieszyłeś ją w tych ostatnich chwilach.

– Och papo, czy naprawdę musi nas opuścić? – spytała Margaret, błagając wbrew własnemu przekonaniu.

– Posłuchajcie – oznajmił Frederick – kusi mnie,

aby się w końcu z tym zmierzyć i stanąć przed sądem. Gdybym tylko mógł zebrać dowody. Nie mogę znieść myśli, że jestem w mocy takiego drania jak Leonards. Gdyby okoliczności były inne, radowałoby mnie te potajemne odwiedziny. Mają przecież cały ten urok, jaki Francuzki przypisują zakazanym przyjemnościom.

– Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień – odezwała się Margaret – to ty pogrążony w wielkiej niełasce, Fredericku, za kradzież jabłek. Mieliśmy mnóstwo własnych, drzewa wprost ugiwały się pod nimi, ale ktoś ci powiedział, że skradziony owoc jest zawsze najśodszy. Ty potraktowałeś to *au pied de la lettre* – dosłownie – i ruszyłeś na rabunek. Widzę, że od tamtej pory nie zmieniłeś zdania.

– Tak, musisz odejść – powtórzył pan Hale, odpowiadając na pytanie, które Margaret zadała już jakiś czas temu. Jego myśl była przywiązana do jednego tylko tematu i wysiłkiem było podążanie za wędrującymi w zaskakujących kierunkach rozważaniami jego dzieci. Trzeba dodać, że wysiłku tego nawet nie podejmował.

Siostra i brat popatrzyli na siebie. Instynktowna nic sympatii, którą do siebie od razu poczuli, zostanie ze-

rwana, jeżeli on odjedzie. Tak wiele potrafili wyczytać w swoim wzroku – wszystko to, czego słowa nie mogłyby wyrazić. Oboje podążali za tą samą myślą, aż zatęęła w smutku. Frederick pierwszy się otrząnął:

– Wiesz, Margaret, dziś po południu napędziłem niezłego stracha i sobie, i Dixon. Byłem w swojej sypialni i usłyszałem dzwonek przy frontowych drzwiach. Potem myślałem, że ten ktoś załatwił już swoją sprawę i dawno sobie poszedł. Otworzyłem drzwi i prawie wyszedłem na korytarz. Wtedy zobaczyłem Dixon schodzącą na dół. Skrzywiła się na mój widok i wepchnęła z powrotem do mojej skrytki. Zostawiłem drzwi otwarte i słyszałem, jak przekazywała temu człowiekowi jakąś wiadomość w gabinecie ojca. Potem on sobie poszedł. Kto to mógł być? Jakiś sklepikarz?

– Możliwe – odpowiedziała Margaret obojętnie. – O drugiej przyszedł po zlecenia taki nieduży człowiek.

– Ale to nie był nieduży człowiek. To był wielki, silny mężczyzna. Poza tym wtedy było po czwartej.

– To był pan Thornton – odezwał się pan Hale, a młodzi z zadowoleniem przyjęli jego włączenie się do rozmowy.

– Pan Thornton! – powtórzyła Margaret ze zdumieniem w głosie. – A ja myślałam...

– No, malutka, co myślałaś? – spytał Frederick, kiedy siostra przerwała w pół zdania.

– Nie, nic, tylko – odpowiedziała, czerwieniąc się i patrząc wprost na brata – odniosłam wrażenie, że chodziło ci o kogoś z innej klasy, nie o dżentelmena, kogoś, kto przyszedł z jakimś interesem.

– Bo właśnie tak wyglądał – niedbale poinformował ją brat. – Wziąłem go za sklepikarza, a tu się okazuje, że to fabrykant.

Margaret się nie odezwała. Dobrze pamiętała, że na początku, jeszcze zanim poznała charakter pana Thorntona, wypowiadała się o nim i myślała dokładnie tak samo jak teraz Frederick. Takie samo ich gość wywarł wrażenie na jej bracie i choć było ono naturalne, to jednak się rozgniewała. Nie miała ochoty się odzywać. Chciała, aby Frederick zrozumiał, jakim człowiekiem był pan Thornton, ale nie mogła wykrztusić słowa.

Pan Hale mówił dalej:

– Przyszedł, jak sędzę, zaoferować swą pomoc, ale

nie mogłem się z nim spotkać. Powiedziałem Dixon, żeby spytała go, czy chciałby widzieć ciebie. Chyba prosiłem ją, by cię znalazła, żebyś mogła z nim porozmawiać. Zresztą nie jestem pewien, co powiedziałem.

– To bardzo miły znajomy, prawda? – spytał Frederick, rzucając to pytanie jak piłkę, aby złapał ją ten, kto ma na to ochotę.

– Serdeczny przyjaciel – odpowiedziała Margaret, gdyż ojciec milczał.

Przez jakiś czas brat się nie odzywał, a potem powiedział:

– Margaret, boli mnie myśl, że nigdy nie będę mógł podziękować tym, którzy okazują wam serdeczność. Wasi i moi znajomi pozostaną oddzieleni, chyba że, tak jak rozmawialiśmy, zaryzykuję i oddam się pod sąd wojskowy albo ty z ojcem przyjedziecie do mnie do Hiszpanii. – Ostatnią sugestię rzucił niby mimochodem, jakby chciał wybadać dla niej grunt, ale już po chwili skoczył na głęboką wodę. – Nawet nie wiesz, jak bardzo tego pragnę. Zajmuję dobre stanowisko. I mam wszelkie szanse na jeszcze lepsze – kontynuował, rumieniąc się jak młoda dziewczyna. – Ta Dolores Barbour,

o której ci opowiadałem, Margaret... tak chciałbym, abyście ją poznali. Jestem pewien, że polubilibyście ją. Nie, nie polubili. Pokochali to właściwsze słowo, polubili jest za słabe. Pokochalibyście ją, ojcze, gdybyście ją znali. Nie ma jeszcze osiemnastu lat, ale jeśli do przyszłego roku się nie rozmyśli, to weźmiemy ślub. Teraz jednak pan Barbour nie pozwala nam jeszcze nazywać tego zaręczynami. Jeśli przyjdziecie, znajdziecie tam oprócz Dolores wielu, wielu przyjaciół. Pomyśl o tym, ojcze. Margaret, poprzyj mnie.

– Nie, żadnych więcej przynosin, jeśli chodzi o mnie – stwierdził pan Hale. – Jedna przeprowadzka kosztowała mnie życie żony. Koniec z przynosinami. Moja żona tu zostanie i ja razem z nią, aż nadejdzie mój czas.

– Och Fredericku! – zawołała Margaret. – Opowiedz nam o niej. Nigdy nie myślałam o twoim ślubie, ale taka jestem szczęśliwa. Miałbyś tam kogoś do kochania, kogoś, kto by się o ciebie troszczył. Opowiedz nam o niej.

– Jest katoliczką. I to jedyna przeszkoda, jakiej się spodziewam. Ale zmiana poglądów ojca... Ależ, Margaret, nie wzdychaj tak!

Zanim rozmowa dobiegła końca, dziewczyna miała wiele innych powodów, aby wzdychać. Frederick faktycznie stał się katolikiem, choć konwersja nie była jeszcze formalnie potwierdzona. To był zatem powód, dla którego tak słabo okazywał jej współczucie i zrozumienie, gdy w wysyłanych do niego listach wyrażała swe zdenerwowanie faktem porzucenia przez ojca funkcji kościelnych. W owym czasie przypisywała to niefrasobliwości żeglarza, prawda natomiast była taka, że już wtedy sam Frederick skłaniał się ku porzuceniu religii, w jakiej został ochrzczony, tylko że jego poglądy zmierzały w przeciwnym kierunku aniżeli ten, w którym podążał jego ojciec. Na ile miłość wpłynęła na ową zmianę przekonań, tego nawet on sam nie potrafił określić. Margaret porzuciła w końcu ten temat i powróciła do sprawy zaręczyn, którą to kwestię rozważała w zupełnie nowym świetle.

– Ze względu na Dolores powinieneś podjąć próbę oczyszczenia swego imienia z tych wyolbrzymionych zarzutów, nawet jeśli samo oskarżenie o bunt jest prawdziwe. Gdyby miało dojść do procesu przed sądem wojskowym i gdybyś znalazł świadków, mógłbyś

w każdym razie wykazać, że powodem twojego nieposłuszeństwa względem przełożonego było niegodne wypełnianie przez niego obowiązków.

Pan Hale przemógł swą apatię i czekał na odpowiedź syna.

– Po pierwsze, Margaret, kto odszuka moich świadków? – zauważył Frederick. – Wszyscy są żeglarzami rozłokowanymi na różnych statkach, poza tymi, których zeznania nic by nie znaczyły, bo albo brali udział w buncie, albo z nim sympatyzowali. Prócz tego muszę ci powiedzieć, że prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy z tego, czym jest sąd wojskowy. Zakładasz, że jest to zgromadzenie ludzi wymierzających sprawiedliwość. W rzeczywistości nie o sprawiedliwość tam chodzi. Dziewięć dziesiątych tego, co ich interesuje, to autorytet i władza, na dowody i sprawiedliwość pozostaje jedna dziesiąta. A w takich sprawach także dowody podlegają wpływom prestiżu władzy.

– Czy nie warto jednak podjąć próby i przekonać się, jakie dowody na twoją obronę można odkryć i przedstawić? Teraz wszyscy ci, którzy cię uprzednio znali, wierzą w twoją bezwarunkową i pełną winę. Nigdy nie

próbowałaś się usprawiedliwić czy oczyścić z zarzutów, a my nie wiedzieliśmy, gdzie szukać dowodów uniewinniających. Ale przez wzgląd na pannę Barbour powinnaś oczyścić swe imię w oczach świata. Możliwe, że to nie jest dla niej istotne, przypuszczam, że tak samo jak my głęboko w ciebie wierzy i ufa ci, ale nie powinnaś pozwalać jej, by złączyła swe losy z kimś, na kim ciążyą tak poważne zarzuty, nie próbując ujawnić prawdy. Okazałaś przełożonemu nieposłuszeństwo i to z pewnością było złe, ale znacznie gorzej by było, gdybyś ani słowem, ani czynem nie zaprotestowała, gdy władzy brutalnie nadużyto. Ludzie wiedzą, jak postąpiłaś, ale nie znają motywów zmieniających pospolite przestępstwo w bohaterską obronę słabszych. A powinni się dowiedzieć, przez wzgląd na Dolores.

– Ale jak mam sprawić, by się dowiedzieli? Nie jestem wystarczająco pewny praworządności i uczciwości tych, którzy mieliby mnie sądzić, aby stanąć przed sądem wojskowym, nawet gdyby udało mi się zgromadzić wartościowych i wiarygodnych świadków. Nie roześlę na ulicach heroldów, by głośnym krzykiem sławili to, co ty nazwałaś heroizmem. Nikt nie przeczyta broszury

z samousprawiedliwieniem tak długo po dokonanym czynie, nawet gdybym się zdobył na napisanie czegoś takiego.

– A może skonsultowałbyś z prawnikiem, jakie są twoje szanse na oczyszczenie z zarzutów? – spytała Margaret, podnosząc wzrok i purpurowiejąc.

– Musiałbym najpierw znaleźć prawnika, przyjrzeć mu się i przekonać, czy mi się podoba, zanim powierzyłbym mu swój sekret. Niejeden z tych bezrobotnych adwokatów potrafiłby nagiąć swe sumienie i głęboko uwierzyć, że może łatwo zarobić sto funtów, spełniając patriotyczny uczynek i oddając mnie, kryminalistę, w ręce sprawiedliwości.

– Nonsens, Fredericku. Akurat znam prawnika, na którego honorze można polegać i o którego fachowości ludzie wypowiadają się bardzo pozytywnie. I myślę, że nie zawahałby się zadać sobie wiele trudu dla... dla... dla krewnego cioci Shaw. Mówię o panu Henrym Lennoksie, papo.

– Świetny pomysł – ocenił pan Hale – ale nie proponuj niczego, co zatrzyma Fredericka w Anglii. Bardzo cię proszę, przez wzgląd na matkę.

– Mógłbyś jutro pojechać do Londynu wieczornym pociągiem – kontynuowała Margaret, zapalając się do swego planu. – Obawiam się, papo, że powinien wyjechać jutro – zwróciła się łagodnie do ojca. – Ustaliliśmy tak z powodu przyjazdu pana Bella i nieprzyjemnego spotkania Dixon.

– Tak, muszę wyjechać jutro – zdecydował Frederick. Pan Hale jęknął.

– Nie mogę znieść tej wymuszonej rozłąki z tobą, a z drugiej strony czuję się chory z niepokoju, że tu jesteś.

– W takim razie – odezwała się Margaret – posłuchajcie mojego planu. Dojedzie do Londynu w piątek rano. Ja mogę... ty mógłbyś... Nie! Najlepiej będzie, Fredericku, jak dam ci list do pana Lennox. Znajdziesz go w jego kancelarii w Temple.

– Spiszę nazwiska wszystkich osób, które pamiętam ze statku. Mógłbym mu to zostawić, żeby trochę poszperał. To brat męża Edith, prawda? Pamiętam, że wspominałaś go w listach. Powierzyłem swoje pieniądze Barbourowi. Będę w stanie zapłacić temu prawnikowi całkiem spory rachunek, jeśli tylko jest jaka-

kolwiek szansa powodzenia. Pieniądze te, co prawda, przeznaczałem na inny cel, drogi ojcze, więc wydając je, będę je uważał za pożyczone od ciebie i Margaret.

– Nie traktuj ich tak – powiedziała – bo nie będziesz chciał zaryzykować ich straty. A to będzie ryzyko, ale warto podjęcia. Możesz odpłynąć z Londynu, tak samo jak z Liverpoolu?

– Oczywiście, ty gąsko. Wystarczy, abym poczuł falowanie wody pod deskami, a od razu wiem, że jestem w domu. Znajdę jakąś załogę, która mnie stamtąd zabierze. Bez obaw. Nie zostanę nawet dwudziestu czterech godzin w Londynie, z dala od was i jednocześnie z dala od kogoś innego.

Margaret była zadowolona, że Frederick zaglądał jej przez ramię, gdy pisała do pana Lennox. Gdyby jej w ten sposób nie przymusił do pisania konkretnie i zwięźle, prawdopodobnie debatowałyby nad każdym słowem i łamała sobie głowę nad doborem właściwych wyrażen, będąc w dziwacznej sytuacji osoby, która jako pierwsza nawiązuje zerwaną znajomość po tym, jak ostatnie ich spotkanie sprawiło przykrość obu stronom. List został jej zabrany, zanim w ogóle miała szansę go

przeczytać. Frederick schował kartkę starannie w pugilaresie, a wtedy wypadł z niego długi lok ciemnych włosów, na którego widok oczy mężczyzny zajaśniały z radości.

– Chciałabyś to zobaczyć, prawda? – spytał. – Nic z tego. Musisz poczekać, aż ją poznasz. Jest zbyt doskonała na to, abyś miała ją poznawać fragmentami. Żadna pojedyncza cegła nie da obrazu pałacu mego szczęścia.

XXXII

PECH

Ach! Mam zostać?

By mnie oskarżyli – może nawet skuli łańcuchami.

George Byron, „Werner”

Pały następnego dnia spędzili razem, we trójkę. Pan Hale przeważnie siedział w milczeniu i odzywał się tylko wtedy, gdy dzieci zwróciły się do niego z pytaniem, zmuszając go tym samym do oderwania się od przeszłości i zajęcia teraźniejszością. Frederick nie okazywał już swej rozpacz. Minął pierwszy, intensywny jej napad i teraz chłopak się wstydził, że pozwolił, by emocje owładnęły nim w takim stopniu. Choć jego smutek z powodu śmierci matki był prawdziwy, głę-

boki i miał trwać do końca życia, nigdy więcej jednak o nim nie wspominał. Margaret, z początku bardziej od brata opanowana, cierpiała teraz z każdą chwilą mocniej. Często płakała, a w całym jej zachowaniu, nawet gdy zajmowała się obojętnymi sprawami, pojawiła się żałobna melancholia, pogłębiająca się zwłaszcza, gdy jej wzrok spoczywał na Fredericku, bo wtedy uświadamiała sobie, że chwila ich rozstania nieubłagannie nadchodzi. Ze względu na ojca cieszyła się z wyjazdu brata, choć sama żałowała, że muszą się rozstać. Niepokój, w jakim żył pan Hale, obawiający się, że jego syn zostanie odnaleziony i uwięziony, znacznie przeważał nad przyjemnością, jaką czerpał z jego obecności. Nerwowość pana Hale'a jeszcze się zwiększyła po śmierci żony, prawdopodobnie dlatego, że trosce o syna poświęcał teraz więcej myśli. Wzdrygał się na każdy niezwykły dźwięk i czuł względny spokój tylko wówczas, gdy Frederick był poza zasięgiem wzroku osoby wchodzącej do pokoju. Pod wieczór oznajmił:

– Czy odprowadzisz Fredericka na stację, Margaret? Chciałbym mieć pewność, że odjechał bezpiecznie. Przynajmniej potwierdziłabyś, że już go nie ma w Milton.

– Oczywiście – zgodziła się – bardzo chętnie, o ile nie będziesz się tu czuł beze mnie samotny.

– Nie, nie. Jeśli z nim nie pójdziesz, będę sobie potem wyobrażał, że ktoś go rozpoznał i że został zatrzymany. Poza tym lepiej będzie, jeśli wyruszy ze stacji w Outwood. Odległość stąd jest właściwie taka sama, ale tam nie ma tylu ludzi. I weźcie dorożkę. Wtedy będzie mniejsze ryzyko, że ktoś go zobaczy. O której godzinie masz pociąg, Fredericku?

– Dziesięć po szóstej, wtedy jest już prawie ciemno. Jak sobie poradzisz, Margaret?

– Och, nie martw się. Staję się bardzo odważna i twarda. Nawet jeśli zapadnie już zmrok, to cała droga do domu jest doskonale oświetlona. W zeszłym tygodniu byłam poza domem o znacznie późniejszej porze.

Margaret poczuła ulgę, gdy mieli za sobą scenę rozstania – ze zmarłą matką i żyjącym ojcem. Ponagliła Fredericka, aby jak najszybciej opuścili dom, chcąc skrócić gorzki i bolesny dla jej ojca moment pożegnania syna z matką, w którym pan Hale postanowił uczestniczyć. Częściowo dlatego, a częściowo z powodu niedokładnych informacji zawartych w Railway

Guide, dotyczących godzin przyjazdów pociągów na niewielkie stacje, po przybyciu na Outwood okazało się, że mają prawie dwadzieścia minut wolnego czasu. Kasa biletowa była jeszcze zamknięta, więc nie mogli nawet kupić biletu, zeszli zatem schodami prowadzącymi w dół na teren znajdujący się poniżej torów. Była tam szeroka żuźlowa ścieżka, przecinająca w poprzek pole; spacerowali po niej kilka minut.

Dłoń Margaret spoczywała na ramieniu Fredericka, a on z czułością ją przytrzymywał.

– Margaret! Zamierzam skonsultować się z panem Lennoxem w sprawie szans na moje uniewinnienie, tak abym mógł przyjeżdżać do Anglii, kiedykolwiek zechcę, ale zależy mi na tym bardziej przez wzgląd na ciebie niż na kogokolwiek innego. Nie chcę myśleć o tym, że zostaniesz tu całkowicie sama, gdyby cokolwiek stało się ojcu. To smutne, że tak się zmienił. Jest okropnie wstrząśnięty. Naprawdę chciałbym, abyś go przekonała do tego planu związanego z Kadyksem, i to z wielu powodów. Co się z tobą stanie, jeśli on odejdzie za matką? Nie masz tu w pobliżu żadnych przyjaciół. Jesteśmy prawie pozbawieni krewnych.

Margaret z trudem powstrzymywała się od płaczu. Frederick z taką łagodnością przedstawiał jej ten niepokój, który ona również czuła w głębi serca. Troski ostatnich kilku miesięcy tak bardzo podkopały siły pana Hale'a, że wydarzenie, o którym wspominał brat, ona sama uważała za prawdopodobne. Próbowwała jednak dodać sobie otuchy.

– W ciągu ostatnich dwóch lat w moim życiu nastąpiło tak wiele dziwnych i nieoczekiwanych zmian. Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuję, że nie warto próbować zbyt wiele przewidywać i wyobrazać sobie, jak postąpimy w przyszłości. Staram się myśleć tylko o bieżącej chwili. – Przerwała. Przez chwilę stali w milczeniu w pobliżu przełazu wiodącego na szerszą drogę. Zachodzące słońce oświetlało ich twarze. Frederick trzymał dłoń Margaret w swojej i wzrokiem pełnym tęsknoty i niepokoju wpatrywał się w jej twarz, wyczytując w niej więcej zmartwień, niż wypowiedziałyby w słowach. – Będziemy często do siebie pisać – mówiła dalej – i obiecuję, bo taka obietnica cię uspokoi, że będę się z tobą dzielić każdym moim zmartwieniem. Papa jest... – Zatrzymała się lekko, prawie niedostrzegalnie,

ale Frederick poczuł nagłe poruszenie trzymanej przez siebie dłoni. Odwrócił swą pełną twarz w stronę drogi, którą jechał powoli człowiek na koniu i właśnie w tej chwili mijają ścieżkę, na której stali. Margaret ukloniła się, a jeździec sztywno skinął głową.

– Kto to jest? – spytał Frederick, ledwo mężczyzna przejechał.

Odpowiadając, była lekko nieprzytomna, lekko zarumieniona:

– Pan Thornton. Widziałeś go już. Pamiętasz?

– Tylko jego plecy. Wygląda na niezbyt przyjaznego. I to spojrzenie spode łba!

– Coś go musiało zdenerwować – odrzekła przepaszająco. – Gdybyś widział, jak odnosił się do naszej mamy, nigdy nie nazwałbyś go nieprzyjaznym.

– Myślę, że to już czas, abym kupił bilet. Gdybym wiedział, że zrobi się tak ciemno, nie odesłałbym do rożki.

– Och, nie przejmuj się tym. Zresztą mogę wziąć do rożkę tutaj albo wrócić drogą wzdłuż torów, a od stacji Milton jest przy niej pełno sklepów, ludzi i latarni. Nie myśl o mnie, martw się bardziej o siebie. Niedobrze

mi się robi, gdy pomyślę, że Leonards może się znaleźć w tym samym pociągu co ty. Rozejrzyj się dokładnie po przedziale, zanim wsiądziesz.

Wrócili na stację. Margaret postanowiła, że sama pójdzie do jasno oświetlonej lampami gazowymi sali i kupi bilet. Jakiś młody mężczyzna o wyglądzie próżniaka leniwie i bez celu przechadzał się z zawiadowcą. Dziewczynie przyszło do głowy, że jedną z tych twarzy musiała już widzieć. Na impertynenckie spojrzenie nieskrywanego podziwu odpowiedziała wzrokiem wyrażającym obrażoną dumę. Pospiesznie podeszła do brata czekającego na zewnątrz i ujęła go pod ramię.

– Masz bagaż? Przejdźmy się po peronie – zaproponowała, trochę niespokojna na myśl, że już wkrótce zostanie tu sama. Czuła, że jej odwaga ulatnia się szybciej, niż chciała przyznać nawet przed sobą. Usłyszała kroki na płytach tuż za nimi, ale odgłosy umilkły, gdy się zatrzymali, spoglądając na tory i wsłuchując się w świst nadchodzącego pociągu. Nie odzywali się, mieli na to zbyt ciężkie serca. Za chwilę pociąg będzie na stacji i Frederick odjedzie. Margaret prawie żałowała swoich nacisków na brata, by pojechał do Londynu,

bo w ten sposób zwiększyło się niebezpieczeństwo pojmania go. Gdyby odpływał do Hiszpanii z Liverpoolu, opuściłby Anglię za dwie lub trzy godziny.

Frederick się odwrócił, stając w świetle lampy, która bujała się niespokojnie, jakby w niecierpliwym oczekiwaniu pociągu. Człowiek w mundurze zawiadowcy ruszył do przodu, natomiast ten drugi, o wyglądzie łotra, był najwyraźniej pijany i zachowywał się agresywnie, choć panował nad swymi ruchami.

– Za pozwoleniem, panienko! – odezwał się, odpychając na bok Margaret i łapiąc Fredericka za kołnierz. – Nazywasz się Hale, co nie?

W jednej krótkiej chwili – jak, tego Margaret nie widziała, bo wszystko wprost tańczyło jej przed oczyma – stosując chwyt zapaśniczy, Frederick podciął nogi napastnikowi i mężczyzna spadł z peronu, który wznosił się na wysokość trzech czy czterech stóp ponad poziomem torów. Leżał tam teraz.

– Uciekaj! Uciekaj! – wydyszała Margaret. – Pociąg już tu jest. To był Leonards, prawda? Och, uciekaj! Poniosę twoją torbę.

Chwytając go za ramię, ciągnęła za sobą, używając

całej swej kobiecej siły. Drzwi do przedziału się otwo-
rzyły i brat wskoczył do środka. Wychylił się, aby po-
wiedzieć do niej:

– Niech cię Bóg błogosławi, Margaret! – Pociąg ru-
szył.

Została sama na peronie. Było jej niedobrze i czuła się tak słaba, że z trudem dotarła do poczekalni dla pań. Przesiedziała tam chwilę, próbując złapać oddech. Co za szalony pośpiech! Trwoga przyprawiająca o mdłości! Frederick o włos uniknął niebezpieczeństwa! Gdyby na stacji nie było pociągu, ten okropny człowiek mógłby wskoczyć z powrotem na peron i wezwać pomoc. Zaaresztowaliby Fredericka! Zastanawiała się, czy tamten już się podniósł. Próbowwała przypomnieć sobie, czy się poruszał po upadku. Rozważała, czy poważnie się zranił. W końcu odważyła się wyjść. Peron był oświetlony jak w dzień, ale nadal całkowicie opustoszały. Podeszła na koniec platformy i z lękiem rozejrzała się dookoła. Nikogo tam nie było. Gdyby nie zmobilizowała się, by tam pójść i to sprawdzić, nie zaznałaby spokoju i nawiedzałyby ją najgorsze wizje i przypuszczenia. Chociaż lekko uspokojona, czuła się jednak tak rozdy-

gotana i przestraszona, że nie byłaby w stanie wracać do domu pieszo drogą, która teraz wydawała jej się pu-
sta i ciemna, zwłaszcza gdy spoglądała na nią z oświe-
tlonej stacji. Mogła poczekać, aż nadejdzie pociąg
powrotny, i wrócić nim do Milton. A jeśli Leonards
rozpozna ją jako towarzyszkę Fredericka? Rozejrzała się
dookoła, zanim ośmieliła się podejść do kasy, by kupić
bilet. Byli tam tylko jacyś kolejarze, którzy głośno ze
sobą rozmawiali.

– Leonards znowu się spił? – mówił jeden z nich
o wyższej randze. – Będzie potrzebował wszystkich
wpływów, którymi tak się przechwala, żeby go tym ra-
zem nie wywalili.

– A gdzie on właściwie jest? – spytał drugi, podczas
gdy Margaret, odwrócona do nich plecami, odliczała
resztę pieniędzy za bilet. Drżały jej ręce i nie śmiała się
obrócić, dopóki nie usłyszała odpowiedzi.

– Nie wiem – odparł tamten. – Wleciał tu niecałe
pięć minut temu z jakąś długą opowiadką o tym, że
skądś tam spadł. A kłął przy tym okropnie. I chciał
pożyczyć ode mnie pieniądze na bilet na następny po-
ciąg do Londynu. Składał mi pełno obietnic, jak to

pijak, ale miałem co innego do roboty niż go słuchać. Kazałem mu zająć się swoimi sprawami. I wyszedł. Głównymi drzwiami.

– Założę się, że jest teraz w najbliższym szynku – powiedział ten drugi. – A twoje pieniądze razem z nim, jeśli byłeś na tyle głupi, by mu je pożyczyć.

– Niedoczekanie! Już ja wiem, co oznacza ten jego Londyn. Przecież do dzisiaj nie oddał mi tych pięciu szylingów... – Rozmawiali dalej.

Teraz Margaret z niecierpliwością czekała na pociąg. Ponownie skryła się w poczekalni dla pań i najłżejszy stukot brała za kroki zbliżającego się Leonardsa, a każdy hałaśliwy głos za należący do niego. Nikt jednak się do niej nie zbliżył aż do przyjazdu pociągu, kiedy to zawiadowca uprzejmie pomógł jej wejść do przedziału. Ośmieliła się spojrzeć na tego mężczyznę dopiero, gdy pociąg ruszył, a wtedy przekonała się, że to nie był Leonards.

XXXIII

POKÓJ

*Ty zaś, najmiłsza, śpij w pościeli swojej
Zimnej; śpij, niech cię nic nie niepokoi!
Dobranoc po raz ostatni! Nie prędeż
Zbudzisz się ze snu, aż los twój dopędzę.*

*Dr Henry King, „Egzekwie”,
przeł. Stanisław Barańczak*

Po doznany wstrząsie i okropnym zamieszaniu dom Hale'ów wydawał się wprost nienaturalnie cichy. Ojciec dopilnował wszystkich przygotowań, aby Margaret natychmiast po powrocie mogła się posilić, ale zaraz potem ponownie usiadł w ulubionym fotelu i zapadł się w jeden ze swoich smutnych półśnów.

Dixon zajmowała się w kuchni dyrygowaniem i bezstaniem Mary Higgins, a jej energiczne łajania słyhać było wszędzie, mimo że wypowiadała je gniewnym szeptem. Uważała, że podnoszenie głosu w domu, w którym znajduje się ktoś zmarły, byłoby dowodem lekceważenia.

Margaret postanowiła nie wspominać ojcu o kosztownym incydencie zamykającym wizytę Fredericka. Nie było sensu mówić mu tego, skoro wszystko dobrze się skończyło. Obawiała się tylko, że Leonards mimo wszystko zdołał pożyczyć pieniądze wystarczające, aby podążyć do Londynu i tam urządzić polowanie na jej brata. Pocieszała się, że realizacja takiego planu wcale nie była łatwa, i postanowiła nie dręczyć się na zapas tym, czemu nie mogła zapobiec. Frederick z pewnością będzie się miał na baczności, tak jak go o to prosiła, a za dzień lub najdalej dwa opuści Anglię.

– Spodziewam się, że jutro będziemy mieli wiadomości od pana Bella – powiedziała.

– Tak – odrzekł ojciec – przypuszczam, że tak.

– Jeśli w ogóle przyjedzie, będzie tu jutro wieczorem.

– Gdyby nie zdołał przyjechać, poproszę pana

Thorntona, aby towarzyszył mi podczas pogrzebu. Nie mogę iść sam. Załamałbym się wtedy do reszty.

– Nie prosź o to pana Thorntona. Pozwól mi iść z tobą – odpowiedziała Margaret impulsywnie.

– Ależ, kochanie, kobiety nie biorą udziału w pogrzebach.

– Bo nie umięją nad sobą panować. Kobiety z naszej sfery nie potrafią kontrolować swoich emocji, chociaż wstydzą się je okazywać. Kobiety z ludu idą i nie dbają o to, czy ktoś będzie widział, jak płaczą z żalu. Obiecuję ci, papo, że jeśli pozwolisz mi ze sobą pójść, nie sprawię kłopotu i nie przyniosę ci wstydu. Nie zostawiaj mnie samej. Ojczy kochany, jeśli pan Bell nie zdoła przyjechać, ja pójdę z tobą. Ale jeśli przyjedzie, nie będę cię nakłaniać, byś mi pozwolił iść.

Pan Bell cierpiał z powodu silnego ataku podagry. Przysłał niezmiernie serdeczny list, w którym wyrażał głęboki i prawdziwy żal, że nie może przybyć. Miał nadzieję, że zdoła ich odwiedzić w najbliższym czasie, o ile zechcą go przyjąć. Jego nieruchomości w Milton wymagały dodatkowych starań i tutejszy administrator poinformował go, że jest absolutnie niezbędne, by pan

Bell przybył osobiście. Dotychczas robił wszystko, aby nie pojawiać się w Milton, ale teraz czuł, że mógłby się przełamać i przyjechać, gdyby ta wizyta przyniosła pocieszenie jego staremu przyjacielowi.

Margaret z wielkimi trudnościami odwiodła ojca od zapraszania pana Thorntona na pogrzeb. Odczuwała nieopisaną niechęć do tego pomysłu. Wieczorem przed pogrzebem nadeszła notatka od pani Thornton do panny Hale. Dama ta pisała, że na prośbę jej syna ich powóz będzie podążał za karawanem, o ile takie rozwiązanie zostanie zaakceptowane przez rodzinę zmarłej. Margaret zamachała listem przed oczyma ojca:

– Och, obejdziemy się bez tych form i czczych gestów – oznajmiła. – Idźmy sami, tylko ja i ty, papo. Nic ich nie obchodzimy, bo w przeciwnym razie pan Thornton zaofiarowałby się, że pójdzie osobiście, zamiast wysłać pusty powóz.

– Myślałem, że jesteś zdecydowanie przeciwna jego udziałowi w pogrzebie, Margaret – powiedział zdumiony pan Hale.

– Jestem. Wcale nie chcę, żeby przychodził, a już szczególnie mierzi mnie pomysł, abys ty go o to prosił.

Ale to, co proponują, to są jakieś kpiny z żaloby, i przyznaję, że zupełnie się tego po nim nie spodziewałam.

W tym momencie wybuchnęła płaczem, kompletnie zaskakując tym ojca. Do tego stopnia udawało jej się powściągać swój żal, tak bardzo poświęcała swe myśli innym, okazywała tyle łagodności i cierpliwości, że zupełnie nie potrafił pojąć jej obecnego rozdrażnienia i nerwowości. Wydawała się taka wzburzona i niespokojna, a im więcej czułości jej okazywał, tym bardziej płakała.

Noc nie przyniosła ukojenia i odpoczynku, a niepokój wywołany listem Fredericka pogorszył tylko jej stan. Pan Lennox przebywał poza miastem, a zdaniem jego kancelisty powinien wrócić najpóźniej we wtorek, natomiast w domu pojawi się prawdopodobnie już w poniedziałek wieczorem. W związku z tym, po namyśle, Frederick postanowił zostać w Londynie dzień lub dwa dłużej. Rozważał nawet powrót do Milton; pokusa była bardzo silna, ale myśl o odwiedzinach pana Bella, a także niepokojące zajście na stacji kolejowej skutecznie go do tego zniechęciły. Zapewniał siostrę, że podejmie wszelkie środki ostrożności, aby Leonards

nie trafił na jego ślad. Margaret była szczęśliwa, że list nadszedł w chwili, gdy ojciec przebywał w pokoju matki. Gdyby był obecny, oczekiwałby, że córka przeczyta list na głos, a zawarte tam informacje wprawiłyby go w stan niepokoju, którego prawdopodobnie nie udałoby się ukoić. Ona sama była skrajnie przejęta – nie tylko tym, że Frederick nadal pozostawał na angielskiej ziemi, ale także tym, że został rozpoznany tuż przed opuszczeniem Milton, a co za tym idzie – mógł być ścigany. Jeśli jej robiło się zimno na samą myśl o tym, to jak zareagowałby ojciec? Margaret wielokrotnie żałowała, że najpierw zasugerowała bratu nawiązanie kontaktu z panem Lennoxem, a później nakłaniała go do tego. Wtedy wydawało się, że to spowoduje naprawdę nieznaczną zwłokę, niewiele zwiększy i tak słabe szanse wykrycia Fredericka, a jednak w świetle wydarzeń na dworcu pozostawanie w Londynie okazało się niewskazane. Czasu i tak nie można było cofnąć, Margaret starała się więc zwalczyć ten żal do siebie samej, te samooskarżenia, że zaproponowała coś, co w tamtym momencie wydawało się rozsądne, ale z czasem okazało się niemądre lub niebezpieczne.

Jednakże ojciec był w zbyt złym stanie psychicznym i fizycznym, by skutecznie zmagać się z takimi problemami. Od razu poddałby się chorobliwym żalom nad tym, co minęło i czego nie można już było cofnąć. Margaret przywołała zatem całą siłę charakteru, aby samej stawić temu czoło. Ojciec wydawał się zresztą nie pamiętać, że tego dnia spodziewali się nadejścia listu od Fredericka, pochłaniała go bowiem myśl, iż ostatni widoczny ślad obecności jego żony ma być mu odebrany i ukryty pod ziemią. Żałośnie drżał, gdy grabarz upinał na nim krepę, a potem spojrzął błagalnie na córkę i szedł w jej kierunku, zataczając się.

– Módl się za mnie, Margaret – wybełkotał. – Straciłem całą siłę. Nawet nie potrafię się już modlić. Oddałem moją Marię, bo musiałem. Próbuję to znieść, naprawdę. Wiem, że taka była wola Boga. Ale nie pojmuję, dlaczego musiała umrzeć. Módl się za mnie, Margaret, abym odzyskał wiarę w modlitwę. Co za udręka, dziecko, co za udręka!

Usiadła koło niego w powozie i podtrzymywała go. Powtarzała mu wszystkie wersety świętego pocieszenia, jakie tylko mogła sobie przypomnieć, teksty chwalone

pełną wiary rezygnację. Jej głos nawet nie zadrżał, ani razu się nie zawahała, jakby wręcz przybyło jej sił. Usta ojca bezgłośnie się poruszały, gdy powtarzał za córką dobrze znane słowa. Z bólem obserwowała, jak z cierpliwością i wysiłkiem próbuje zaakceptować boski wyrok z rezygnacją, której nie miał w sercu.

Margaret prawie straciła swój hart ducha, gdy Dixon lekkim ruchem ręki wskazała jej Nicholasa Higginsa z Mary, stojących z boku z powagą i pochłoniętych ceremonią. Mężczyzna miał na sobie zwykłe barchanowe ubranie, ale do jego czapki przyszyty był kawałek czarnego materiału, oznaka żałoby, której nie okazał wobec śmierci swej córki. Pan Hale nie zauważył niczego. Szedł, mrużąc do siebie mechanicznie kolejne fragmenty obrzędu, równoległe z duchownym prowadzącym pogrzeb. Na koniec westchnął kilka razy, a potem położył dłoń na ramieniu córki z niemą prośbą, by go odprowadziła, zupełnie jakby był niewidomy, a ona jego wiernym przewodnikiem.

Dixon głośno łkała. Zakryła twarz chustką i, zatopiona we własnej rozpacz, nie zauważyła, że przyciągnięty pogrzebem tłum się rozprasza. Ocknęła się do-

piero, gdy odezwał się ktoś stojący obok niej. To był pan Thornton. Był tam przez cały czas. Stał z pochyłą głową za grupą ludzi i dlatego nikt go nie rozpoznał.

– Przepraszam, ale czy mógłbym spytać, jak się czuje pan Hale? I panna Hale również? Bardzo chciałbym wiedzieć, jak to znoszą.

– Oczywiście, sir. Czują się tak, jak można się było spodziewać. Pan jest kompletnie załamany, ale panienska znosi to nad podziw dobrze.

Pan Thornton wolałby chyba usłyszeć, że Margaret cierpi i rozpacza. Był w tym przede wszystkim egoizm, bo czerpał nadzieję z myśli, że dziewczyna znajdzie pocieszenie w jego wielkiej i trwałej miłości. Przypominało to trochę tę dziwną namiętą przyjemność, jaka przenika serce matki, gdy jej przewracające się maleńkie dziecko tuli się do niej, dając jej poczucie, że we wszystkim od niej zależy. To upajające marzenie, jakiemu, pomimo odrzucenia, oddawał się jeszcze kilka dni wcześniej, zostało jednak brutalnie zniszczone na samo wspomnienie tego, co widział na stacji Outwood. Żałośnie wzburzony – to nie było wystarczająco mocne określenie jego stanu. Opętał go obraz młodego przy-

stojnego mężczyzny, z którym, jak się wydawało, łączy ją wręcz familiarna zażyłość. Ta myśl była przyczyną jego męki, aż w końcu musiał zacisnąć dłonie, aby stłumić ból serca. O takiej późnej godzinie! I tak daleko od domu! Zmobilizował wszystkie swe siły moralne, aby na nowo obudzić wiarę – dotychczas tak bezwarunkową – w czystość i nieskazitelność Margaret. Jednakże, gdy zaprzestał tych wysiłków, to zaufanie rozpadło się i zniknęło, a umysł opanowały szalone wizje i wyobrażenia wszelkiego rodzaju. A teraz to kolejne przykre potwierdzenie, które też go będzie nękać. „Panienska znosi to nad podziw dobrze”. Taką tragedię! A to oznacza, że ma na coś nadzieję, i to na tyle silną, że nawet przy jej czulej naturze promyk ten zdolny był rozjaśnić najczarniejsze godziny tuż po śmierci matki, pierwsze chwile sieroctwa. Tak, wiedział, do jakiej miłości była zdolna. Nie kochałby jej tak, gdyby instynktownie nie wyczuł jej namiętnej natury. Jej dusza pławiłaby się w świetlanych promieniach, gdyby znalazł się mężczyzna wart siłą swego kochania pozyskać jej wzajemność. Nawet żalobie stawiałaby czoło z pogodą, świadoma jego miłości. Jego miłości! Czyjej, do licha? Tamtego! I właśnie

istnienie „tamtego” sprawiło, że blada i poważna twarz pana Thorntona spochmurniała na odpowiedź Dixon.

– Przypuszczam, że mógłbym przyjść z wizytą – odpowiedział chłodno. – Do pana Hale’a, oczywiście. Mam nadzieję, że mógłby mnie przyjąć na przykład pojutrze.

Mówił tak, jakby odpowiedź była dla niego sprawą niezbyt ważną. Ale to była nieprawda. Mimo całego odczuwanego bólu marzył bowiem o tym, by zobaczyć sprawczynię swego cierpienia. I choć szczerze nienawidził Margaret za każdym razem, gdy pomyślał o tej poufałości na stacji i wszystkim, co z tym związane, nie potrafił uwolnić się od pragnienia, by odnowić jej obraz w swej pamięci, i marzył o tym, by móc choć przez chwilę oddychać tym samym co ona powietrzem. Znajdował się między Scyllą a Charybdą swej namiętności, która wciągała go bezpowrotnie na dno przepaści.

– Wydaje mi się, sir, że pan się zgodzi. Było mu bardzo przykro, że tamtego dnia się z panem nie spotkał. Ale okoliczności nie były wtedy sprzyjające.

Z nieznanых powodów Dixon nigdy nie wspo-

mniała Margaret o tej rozmowie. Może to był tylko zbieg okoliczności, ale dziewczyna nigdy się nie dowiedziała, że pan Thornton wziął udział w pogrzebie jej biednej matki.

XXXIV

PRAWDA CZY FAŁSZ

*Prawda nie zawiedzie cię nigdy! Nigdy!
Choćby burza twoją łodzią miotła,
A każda deska by zmurszała,
Prawda zawsze zło zwycięży.*

Anonim

„*N*ad podziw dobre znoszenie” śmierci matki było w rzeczywistości dla Margaret źródłem ogromnego stresu. Czasami odnosiła wrażenie, że nie zdoła się powstrzymać i musi wybuchnąć płaczem, gdy nawet podczas serdecznej rozmowy z ojcem przypominała sobie nagle, że nie ma już matki. Martwiła się także o Fredericka. W poniedziałkowej poczcie nie było od

niego listu. We wtorek zdumiona i poważnie zaniepokojona Margaret odkryła, że nadal nie ma wiadomości od brata. Nie знаła jego planów, a ojciec dręczył się tą niepewnością, która wyrwała go z jego praktykowanego ostatnio zwyczaju ciągłego przesiadywania w tym samym fotelu. Teraz cały czas spędzał, spacerując po pokoju, po czym nagle wychodził i słychać go było na podeście, jak bez wyraźnej przyczyny otwiera i zamyka drzwi sypialni. Próbowwała go ukoić, czytając mu na głos, ale nie potrafił długo wysiedzieć w jednym miejscu. Gratulowała sobie pomysłu, by zatrzymać dla siebie wiadomość o spotkaniu z Leonardsem, bo byłoby to dla ojca tylko dodatkowym źródłem niepokoju. Z zadowoleniem przyjęła wiadomość o wizycie pana Thorntona, mając nadzieję, że pchnie ona myśli pana Hale'a na inne tory.

Gość podszedł od razu do ojca, ujął jego dłonie i uściśnął bez słowa. Zatrzymał je na chwilę w swoich rękach, a jego twarz i spojrzenie wyrażały więcej współczucia i zrozumienia, niż zdołałby wypowiedzieć w słowach. Potem odwrócił się do Margaret. Nie wyglądała „nad podziw dobrze”. Jej spokojne, klasyczne piękno przybladło po zbyt wielu godzinach czuwania

i wielu wylanych łzach. Na twarzy dominował wyraz łagodnego smutku. I wyraz cierpienia. Nie zamierzał składać jej kondolencji inaczej, jak tylko z ostatnio wyćwiczonym chłodem, ale po prostu musiał podejść do niej, gdy tak stała z boku, nieśmiała i niezdolna przewidzieć, jak on się zachowa. Kilka niezbędnych formułek wypowiedział tak czułym głosem, że jej oczy wypełniły się łzami i musiała odwrócić głowę, by je ukryć. Wzięła do ręki swoją robótkę i usiadła w milczeniu. Serce pana Thorntona łomotało w piersi i na ten moment kompletnie zapomniał o scenie na Outwood. Usiłował rozmawiać z gospodarzem. Obecność młodego człowieka była zawsze radością dla pana Hale'a, bo jego siła i zdecydowanie stanowiły dla ojca Margaret opokę i dodawały mu energii. Pan Thornton, co Margaret natychmiast dostrzegła, był niezwykle dla niego serdeczny.

W pewnej chwili Dixon uchyliła drzwi i powiedziała:
– Jest panienka proszona, panno Hale.

Służąca wydawała się tak speszona, że dziewczyna poczuła się chora. Coś się stało Frederickowi! Wiedziała od razu. Jak to dobrze, że ojciec i pan Thornton tak bardzo zatopili się w rozmowie!

– O co chodzi, Dixon? – spytała, kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi do salonu.

– Tędy, panienko – powiedziała tamta, otwierając drzwi pokoju, który poprzednio był sypialnią pani Hale, a obecnie zajmowała go Margaret, gdyż ojciec odmówił spania tam po śmierci żony.

– Nic takiego, panienko – zapewniała Dixon, ale lekko się przy tym dławiała. – To tylko inspektor z policji. Chce się z panienką widzieć. Ale nie wydaje mi się, żeby to było coś poważnego.

– Czy wspominał... – zaczęła Margaret tak cicho, że prawie nie było jej słychać.

– Nie, panienko, nic nie powiedział. Spytał tylko, czy panienka tu mieszka i czy mógłby z panienką mówić. Marta otworzyła drzwi i wpuściła go, a potem zaprowadziła do gabinetu pana. Sama do niego poszłam, bo liczyłam, że to wystarczy. Ale nie, nie wystarczyło i on chce rozmawiać z panią.

Margaret nie odzywała się do chwili, gdy położyła dłoń na klamce drzwi do pokoju ojca. Wtedy odwróciła się i poleciała Dixon:

– Dopilnuj, żeby ojciec nie zszedł na dół. Rozmawia z panem Thorntonem.

Gdy weszła, prawie poskromiła policjanta wyniosłością swego zachowania. Na twarzy miała wyraz oburzenia, ale tak skutecznie kontrolowanego, że sprawiała tylko imponujące wrażenie kogoś przepełnionego lekceważeniem. Nie było w niej ani trochę zaskoczenia, ani trochę ciekawości. Stała, czekając, aż wyjawii jej przyczyny swojego przyjscia. Nie zadała ani jednego pytania.

– Proszę o wybaczenie, ma'am, ale obowiązki zmuszają mnie do zadania pani kilku pytań. Zmarł pewien człowiek w szpitalu, a jego śmierć jest konsekwencją upadku na stacji Outwood, który miał miejsce między godziną piątą a szóstą wieczorem w czwartek dwudziestego szóstego bieżącego miesiąca. Upadek początkowo wydawał się niegroźny, ale zdaniem lekarzy okazał się fatalny z uwagi na chorobę, na którą cierpiał zmarły, oraz na jego zwyczaj nadużywania alkoholu.

Wielkie ciemne oczy, dotychczas wpatrujące się prosto w twarz inspektora, minimalnie się rozszerzyły. Poza tym jego doświadczone oko nie odnotowało żadnego poruszenia dziewczyny. Jej usta lekko obrzmiały na skutek zwiększonego napięcia mięśni, ale policjant

nie znał jej zwykłego wyglądu, nie zauważył więc niecodziennego, posępnego wyzwania, czającego się w liniach pełnych warg. Nie mrugnęła okiem, nie zadrżała. Tylko się w niego wpatrywała. A teraz, gdy na chwilę przerwał, odezwała się prawie tak, jakby poganiała go, by kontynuował swoją opowieść:

– Proszę mówić dalej.

– Najprawdopodobniej zostanie wszczęte dochodzenie, istnieje bowiem podejrzenie, że cios, pchnięcie lub nawet bójka, które spowodowały upadek, zostały sprowokowane przez pijacką zaczepkę zmarłego wobec pewnej młodej damy, przechadzającej się po peronie z mężczyzną, który zepchnął zuchwalca. Wszystko to widziała pewna osoba stojąca nieco dalej, ale wtedy wydawało się, że upadek nie będzie miał negatywnych skutków. Są pewne przesłanki pozwalające zidentyfikować ową młodą damę właśnie jako panią, a w takim wypadku...

– Nie było mnie tam – przerwała mu Margaret, wciąż wpatrując się w niego owym martwym wzrokiem nieświadomej swoich działań somnambuliczki.

Inspektor skinął głową, ale się nie odezwał. Stojąca

przed nim kobieta nie okazała ani cienia emocji, żadnego zakłopotania, niepokoju czy chęci położenia kresu tej rozmowie. Dane, które posiadał, były nader skąpe. Jeden z bagażowych, spiesząc do nadchodzącego pociągu, widział na drugim końcu peronu bójkę między Leonardsem a dżentelmenem znajdującym się w towarzystwie damy, ale nie słyszał żadnych odgłosów. A potem, gdy pociąg już ruszył, ale jeszcze nie nabrał pełnej prędkości, bagażowy został prawie przewrócony przez gnającego na złamanie karku Leonardsa, który, wściekły i pijany, złorzeczył i przeklinał okrutnie. Ten człowiek nie myślał o tym więcej, aż do czasu, gdy zeznanie wydobył z niego inspektor, który usłyszał od głównego zawiadowcy, że mniej więcej w czasie wypadku na peronie znajdował się dżentelmen z kobietą uderzającej urody. Dama ta została zidentyfikowana przez obecnego tam sprzedawcę warzyw jako panna Hale, zamieszkała w Crampton, a znana mu, ponieważ jej rodzina dokonuje zakupów w jego sklepie. Nie jest pewne, że ta akurat dama i ów dżentelmen są poszukiwaną parą, ale jest to wysoce prawdopodobne. Sam Leonard, na wpół oszalały z wściekłości i bólu, pobiegł po ukojenie

do najbliższego szynku, ale żaden z garsonów nie zwrócił uwagi na jego pijacki bełkot. Pamiętają jednak, jak nagle się zerwał i sam siebie zaczął lżyć, że nie pomyślał o telegrafie. Nie wiedzieli, po co był mu potrzebny telegraf, ale są przekonani, że wyszedł od nich, by właśnie tam się udać. Po drodze zmógł go ból lub alkohol i upadł na ulicy, gdzie znaleźli go policjanci i zabrali do szpitala. Tam nie odzyskał na tyle świadomości, by zdać wyczerpującą relację ze swego wypadku, aczkolwiek kilkakrotnie miał wystarczające przebłyski przytomności, by sprawić, że władze szpitala sprowadziły najbliższego sędziego, licząc na to, iż poszkodowany mężczyzna zdoła złożyć zeznanie o okolicznościach zdarzenia. Gdy sędzia przybył, ten człowiek plótł jednak o swym żeglarskim życiu, mieszał nazwiska kapitanów i poruczników razem z nazwiskami kompanów z pracy na kolei. A w ostatnich słowach przeklął kornwalijski chwyt zapaśniczy, który, jak twierdził, pozbawił go stu funtów.

Inspektor ponownie przeanalizował sytuację: niepewność dowodu świadczącego, że Margaret była na stacji, i jej niezachwiane, spokojne zaprzeczenie takiego

faktu. Stała, oczekując jego kolejnych słów z opanowaniem, które wydawało mu się niebywałe.

– W takim razie zaprzecza pani, madam, że jest ową damą towarzyszącą dżentelmenowi, który zadał cios lub pchnięcie i tym samym spowodował śmierć tego biedaka?

Bolesna myśl przeszła Margaret: „Och Boże! Gdybym tylko wiedziała, że Frederick jest bezpieczny!” Wytrawny znawca ludzkich fizjonomii mógłby dostrzec chwilowy przejaw męki w tych wielkich, posępnych oczach, cierpienia osaczonej istoty, ale inspektor, choć uważny, nie był wystarczająco przenikliwym obserwatorem, by to zauważyć. Uderzyło go tylko to, że jej odpowiedź była mechanicznym powtórzeniem pierwszej reakcji, niezmienionej pod wpływem jego dociekań.

– Nie było mnie tam – powiedziała powoli i jakby ciężko. Miała przy tym otwarte oczy i szkliste spojrzenie osoby śniącej na jawie.

To głuche echo poprzedniego zaprzeczenia wzbudziło podejrzenia inspektora. Brzmiało tak, jakby raz zmusiła się do powiedzenia nieprawdy, a później nie miała siły, by zmienić zeznanie. Nieśpiesznie wyciągnął

notes i spojrział na nią. Stała bez ruchu, zupełnie jakby była jakimś wielkim egipskim posągami.

– Mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za imperytnenta, jeśli powiem, że być może będę musiał ponownie panią odwiedzić. Możliwe też, że będę musiał wezwać panią do stawienia się podczas dochodzenia, aby udowodniła pani swoje alibi, jeśli moi świadkowie (tylko jedna osoba ją rozpoznała) podtrzymają swoje zeznania o pani obecności przy tym nieszczęsnym zdarzeniu. – Szybko na nią spojrział. Nadal była idealnie cicha, kolor jej skóry nie zmienił się nawet o ton, a na jej dumnej twarzy nie pojawił się cień winy. Liczył na to, że dziewczyna drgnie, ale nie znał Margaret Hale. Jej iście królewskie zachowanie speszyło go. Musiała zajść jakaś pomyłka przy identyfikacji. – Jest mało prawdopodobne, ma'am – kontynuował – abym musiał tak postąpić. Mam nadzieję, że wybaczy mi to pani, ale jestem zmuszony wypełniać swoje obowiązki, nawet jeśli może to wyglądać na impertynencję.

Margaret skinęła głową, gdy inspektor ruszył w stronę drzwi. Usta miała tak sztywne i wysuszone, że nie była w stanie wypowiedzieć zwykłych słów

pożegnania. Nagle jednak ruszyła naprzód, wypuściła go z gabinetu i zaprowadziła do głównego wyjścia. Otworzyła przed nim drzwi, a potem wpatrywała się w niego tym samym tępym, nieruchomym spojrzeniem, aż wyszedł z domu. Pokonała połowę drogi do gabinetu, a potem, tknięta impulsem, wróciła i zamknęła drzwi na klucz.

Dotarła do gabinetu, zatrzymała się i zatoczyła do przodu. Udało jej się złapać równowagę, ale ponownie się zachwiała i padła na podłogę twarzą do przodu w ciężkim omdleniu.

XXXV

POKUTA

*Najtajemniej rzecz utkana
Zawsze w końcu będzie znana.*

Anonim, przeł. Joanna Puchalska

Pan Thornton się zasiedział. Czuł wyraźnie, że jego towarzystwo sprawia panu Hale'owi przyjemność i ujmowało go na wpół wypowiedane błaganie, aby został choć odrobinę dłużej, owo życzenie: „Proszę jeszcze nie iść”, które jego przyjaciel od czasu do czasu powtarzał. Zastanawiało go, że Margaret nie wraca, ale to nie przez nią zwlekał z odejściem. Podczas tej wizyty – w obecności człowieka, który jak żaden inny zdawał sobie sprawę z nietrwałości spraw ziemskich – pan

Thornton był rozsądny i opanowany. Głęboko go interesowało, co miał do powiedzenia pan Hale:

*O śmierci i ciężkim bezruchu,
I o umyśle, który stracił ducha.*

Co ciekawe, obecność gościa miała tak przemożny wpływ na pana Hale'a, że nie wahał się wyjawić swemu młodemu przyjacielowi myśli, które taił nawet przed Margaret. Może to dlatego, że jej współczucie byłoby zbyt gorące i okazałaby je ojcu tak żarliwie, iż obawiał się swojej na nie reakcji. A może dlatego, że jego spekulatywny umysł dążył do rozwiania wszelkiego rodzaju wątpliwości, pojawiających się w tak trudnej chwili, i chciał je zmienić w pewność, a wiedział przecież, jak córka kurczyła się na każde wspomnienie tych wątpliwości, znając nieograniczone możliwości ojca do wymyślania kolejnych, i bał się, by z tego powodu nie odwróciła się od niego. Jakakolwiek była przyczyna, łatwiej przyszło mu zwierzyć się panu Thorntonowi niż córce z myśli, wyobrażeń i obaw, które do tej pory tkwiły zamrożone w jego umyśle. Gość odzywał się

niewiele, ale każde wypowiedziane przez niego zdanie podnosiło go jeszcze w oczach pana Hale'a, pogłębiało zaufanie i sympatię dla młodego człowieka. Jeżeli nagle przerywał opis jakiegoś zapamiętanego etapu męki, pan Thornton w kilku słowach uzupełniał zdanie, okazując, jak dogłębnie wniknął w intencję rozmówcy. Jeśli pojawiała się rozterka, obawa, niepewność nadaremnie błakająca się w poszukiwaniu ukojenia, bo zaślepiły ją łzy, wtedy pan Thornton, zamiast być wstrząśnięty, sprawiał wrażenie kogoś, kto sam przebył już tę drogę przemyśleń, i sugerował, gdzie można odnaleźć ten właściwy promień światła, który rozjaśni mrok. Mimo że był bez wątpienia człowiekiem czynu, jednym z wojowników wielkiej wojny współczesnego świata, mimo jego wyrachowania i popełnianych błędów, w jego sercu zakorzeniona była religia mocniej wiążąca go z Bogiem, niż pan Hale kiedykolwiek przypuszczał. Nigdy więcej nie poruszali ze sobą tych tematów, ale ta jedna rozmowa uczyniła z nich bardzo szczególnych przyjaciół, związała ich ze sobą w sposób, w jaki żadna przypadkowa, niezobowiązująca gadanina o sprawach uświęconych nie mogłaby tego dokonać. Bo tam, gdzie

wszystko jest dopuszczalne, czy jest jeszcze miejsce na najświętszą świętość?

Przez cały ten czas Margaret leżała w gabinecie na podłodze, nieruchoma i biała jak śmierć, przywalona ciężarem, który okazał się ponad jej siły i wytrzymałość. Była tak długo potulna i cierpliwa, aż do czasu, gdy straciła wiarę i po omacku, bezskutecznie poszukiwała pomocy. Na jej pięknym czole pojawiły się chwytające za serce zmarszczki głębokiego cierpienia, choć poza tym wszystko świadczyło o stanie nieświadomości. Usta, tak niedawno ściągnięte i wyzywające, teraz były rozluźnione, zsiniałe.

*Zdaje się wtedy, że gdzieś, blisko czoła,
Przeleci Miłość w postaci anioła
I każe duszy westchnienia wydawać*.*

Pierwszą oznaką wracającej przytomności było drżenie w okolicy ust – nieznaczna, bezgłośna próba odezwania się. Oczy pozostawały zamknięte. Dygot

* Dante Alighieri, *La Vita Nuova*, przeł. Gustaw Ehrenberg, 1902.

zniknął i dziewczyna ponownie znieruchomiała. Potem, z wysiłkiem opierając się na ramieniu, starała się wydostać z pomroki. Wreszcie zebrała siły i wstała. Grzebienie wypadły jej z włosów, więc rozpoczęła poszukiwania, z instynktownym pragnieniem zatarcia wszelkich śladów niedawnej słabości i doprowadzenia się do porządku. Od czasu do czasu musiała usiąść, by odpocząć. Głowę zwieszała do przodu, pokornie składała dłonie i ze wszystkich sił próbowała zrozumieć swą słabość, swój grzech, przypomnieć sobie, co spowodowało u niej taki atak strachu. Nadaremnie. Rozumiała jedynie dwa fakty: Frederickowi groził pościg i wykrycie w Londynie, i to nie tylko pod zarzutem zabójstwa, ale także jako godnego potępienia prowodyra buntu, oraz że ona powiedziała nieprawdę, by go ratować. Pocieszała się, że jej kłamstwo mu pomogło, nawet jeśli oznaczało to tylko zyskanie na czasie. Jeśli inspektor przyjdzie ponownie jutro, po tym, jak ona otrzyma ten oczekiwany list zapewniający o bezpieczeństwie brata, wtedy przełamie wstyd i przyjmie gorzką pokutę – ona, ta wyniosła Margaret – i jeśli będzie taka potrzeba, potwierdzi przed pełną salą sądową, że była „jak ten zde-

chły pies i wykonała to straszne dzieło”*. Ale jeśli policjant wróci przed nadejściem wieści od Fredericka, jeśli wróci, tak jak groził, już za kilka godzin, wtedy ona powtórzy swoje kłamstwo. Jak te słowa miałyby przejść przez jej usta, zwłaszcza po tym strasznym momencie refleksji i samooskarżeń, jak mogłaby to powtórzyć, nie zdradzając się, tego nie wiedziała, tego nie umiałaby wytłumaczyć. Wiedziała tylko, że dzięki temu powtórnemu kłamstwu zyskałaby czas – czas dla Fredericka.

Margaret ocknęła się z tych rozważań dopiero, gdy do pokoju weszła Dixon, która właśnie wypuściła gościa.

Ledwie pan Thornton uszedł dziesięć kroków ulicą, gdy przejeżdżający obok omnibus zatrzymał się i wysiadł z niego mężczyzna, który podszedłszy do niego, uchylił kapelusza, na co otrzymał podobną odpowiedź. Był to inspektor policji.

To z polecenia fabrykanta policjant otrzymał swą pierwszą posadę i co jakiś czas do uszu pana Thorntona dochodziły wieści o kolejnych awansach jego protego-

* Fragment z *Drugiej Księgi Królewskiej* (18,13).

wanego, aczkolwiek oni sami rzadko się ze sobą stykali. W pierwszej chwili przedsiębiorca nie rozpoznał inspektora.

– Nazywam się Watson... George Watson, sir, ten sam, którego pan...

– Ach tak, przypominam sobie. Z tego, co słyszę, doskonale się pan spisuje.

– Tak, sir, ale to dzięki panu. A teraz z oficjalnych powodów pozwalam sobie na śmiałość, by pana zaczepić. Wydaje się, że to pan był owym sędzią pokoju, w którego obecności zmarł ten biedak zeszłej nocy w szpitalu.

– Tak – potwierdził pan Thornton. – Poszedłem tam na wezwanie i usłyszałem jakieś chaotyczne zeznanie, które urzędnik uznał za niewiele warte. Obawiam się, że ze zmarłego był po prostu kawał pijaka, choć wszystko wskazuje na to, że jego śmierć nastąpiła wskutek napadu. Chyba jedna ze służących mojej matki była z nim zaręczona i dzisiaj straszliwie rozpacza. O coś chciał pan zapytać?

– Cóż, sir, jego śmierć jest dziwnie związana z kimś, kto mieszka w domu, z którego właśnie pan wyszedł. To dom pana Hale'a, prawda?

– Tak! – odpowiedział pan Thornton, gwałtownie się odwracając i spoglądając w twarz inspektora z nągłym zainteresowaniem. – I co w związku z tym?

– Istnieje całkiem niezły łańcuch powiązań. Wydaje się, że dżentelmen spacerujący tamtego wieczoru na stacji Outwood z panną Hale jest mężczyzną, który uderzył lub zepchnął Leonardsa z peronu i tym samym spowodował jego śmierć. Młoda dama zaprzecza jednak, że tam wtedy była.

– Panna Hale zaprzecza, że tam była – powtórzył pan Thornton zmienionym głosem. – Proszę mi powiedzieć, o jaki dzień chodzi. I o jaką godzinę.

– Około szóstej wieczorem, w czwartek dwudziestego szóstego.

Szli obok siebie w milczeniu. Po pewnym czasie inspektor się odezwał:

– Widzi pan, najprawdopodobniej czeka nas dochodzenie koronera, a ja mam młodego człowieka, który jest całkiem pewien – przynajmniej był na początku, bo kiedy się dowiedział, że młoda dama zaprzeczyła, stwierdził, że wolałby nie przysięgać – w każdym razie jest przekonany, że widział na stacji pannę Hale

z pewnym dżentelmenem niespełna pięć minut przedtem, jak pewien kolejarz widział bójkę, którą uznał za jeden z bezczelnych wybryków Leonardsa. Awantura doprowadziła do upadku, który potem skutkował jego śmiercią. A teraz zobaczyłem, że wychodzi pan właśnie z tego domu, sir, i ośmieliłem się pana spytać. Widzi pan, to jest zawsze niezręczna sytuacja, takie sprawy ze sporną identyfikacją, a poza tym nie chciałbym podważać słowa szanowanej młodej damy, chyba że miałbym mocne dowody przeciwko jej słowom.

– A ona zaprzeczyła, że tego dnia była na tej stacji – powtórzył pan Thornton niskim, ponurym głosem.

– Tak, sir, dwukrotnie. Tak zdecydowanie, jak to tylko możliwe. Powiedziałem jej, że przyjdę ponownie. Teraz, wracając po przesłuchaniu tego młodzieńca, który twierdzi, że ona tam była, dostrzegłem pana. Pomyślałem sobie, że spytam pana o radę: jako sędziego pokoju, który widział Leonardsa na łożu śmierci, i jako dżentelmena, któremu zawdzięczam moją posadę.

– Postąpił pan słusznie – powiedział pan Thornton. – Proszę nie podejmować dalszych kroków, dopóki się znów nie spotkamy.

– Młoda dama spodziewa się, że pojawię się u niej. Zapowiedziałem to.

– Chciałbym tylko, aby poczekał pan godzinę. Teraz jest trzecia. Proszę przyjść do mojego biura o czwartej.

– Doskonale, sir.

Rozdzielili się. Pan Thornton pospieszył do fabryki. Surowo przykazał kancelistom, aby pod żadnym pozorem nikt mu nie przeszkadzał, po czym udał się do swego prywatnego pokoju i zamknął drzwi. Oddał się torturowaniu samego siebie wspomnieniem całego zajścia, wszystkich jego szczegółów. Jak mógł dać się tak uśpić, jak mógł dopuścić do tego, by jej zrozpaczony, łzawy wygląd wyciszył wszystkie jego podejrzenia niecałe dwie godziny temu? Już jej nawet żałował, współczuł, już zdążył zapomnieć tę dziką, zrodzoną z nieufności zazdrość, jaką wzbudził w nim jej widok w takim miejscu i o takiej porze, a na dodatek z kimś zupełnie mu nieznanym. Jak ktoś tak nieskazitelny mógł się zniżyć, odstąpić od zasad obyczajności i własnej godności? Czy to była przyzwoitość? Nienawidził się za tę słabość, którą wywołał w nim jej widok, za tę myśl, która przebiegła mu wtedy przez głowę, co prawda tylko na chwili-

łę, a jednak się pojawiła. Przeraziło go przemożne przyciąganie do tej dziewczyny. I to fałszywe świadectwo! Jak okropny musi być strach przed ujawnieniem tego tête-à-tête... bo przecież prowokacja ze strony kogoś takiego jak Leonards, zwłaszcza pijanego, z pewnością wystarczała, by usprawiedliwić kogoś, kto zgłosiłby się i bez ogródek wyjaśnił okoliczności zajścia na dworcu... Jaki przerażający musi być ten strach, skoro zmusił prawdomówną Margaret, by zniżyła się do kłamstwa! Prawie jej żałował. Czym to się skończy? Nie wzięła pod uwagę wszystkich możliwych konsekwencji. Nie przewidziała, że może nastąpić dochodzenie ani że ten młody człowiek ją rozpozna. Nagle pan Thornton się zerwał. Nie może dopuścić do oficjalnego śledztwa. Musi ją uratować. Weźmie na siebie odpowiedzialność i zapobiegnie wszczęciu dochodzenia, bo i tak ze względu na niejasność opinii lekarskiej (a słyszał o tym poprzedniej nocy od dyżurującego medyka) cała sprawa była wątpliwa. Lekarze odkryli u zmarłego jakąś zaawansowaną chorobę, która w krótkim czasie i tak zakończyłaby się śmiercią. Stwierdzili, że zgon nastąpił szybciej z powodu upadku, nadużycia alkoholu lub wy-

chłodzenia. Gdyby tylko wiedział, że Margaret wplątała się w tę aferę, gdyby tylko przewidział, że splami swą nieskazitelną nieprawdą, mógłby ją uratować jednym słowem, bo pytanie, czy istnieją przesłanki dla wszczęcia dochodzenia, zawisło w powietrzu minionej nocy. Panna Hale mogła kochać innego, było mu to zupełnie obojętne, ale miał okazję wyświadczyć jej przysługę, o której nigdy by się nie dowiedziała. Mógł nią teraz pogardzać, ale kobieta, którą kiedyś kochał, nie powinna być narażona na hańbę i wstyd, a wstydem i hańbą byłoby, gdyby w sądzie pod przysięgą zeznała nieprawdę lub gdyby zdecydowała się publicznie podać powody, dla których podczas pierwszego zeznania pragnęła raczej ciemności niż światła.

Zdumieni urzędnicy pana Thorntona zobaczyli swego przełożonego, jak wychodził ze ściągniętą twarzą o barwie popiołu. Nie było go przez pół godziny, a gdy wrócił, nadal był poważny i surowy, choć jego misja zakończyła się powodzeniem.

Na kawałku papieru napisał dwie linie, włożył go do koperty, zakleił ją i oddał jednemu ze swych pracowników ze słowami:

– Umówiłem się z Watsonem, który był kiedyś pakowaczem w magazynie, ale teraz pracuje w policji, że przyjdzie do mnie o czwartej. Teraz jednak spotkałem pewnego dżentelmena z Liverpoolu, który koniecznie chce ze mną rozmawiać, zanim wyjedzie z miasta. Przekaż ten list Watsonowi, kiedy się pojawi.

List zawierał następujące słowa:

Nie wszczynamy dochodzenia. Świadcstwo medyczne niewystarczające, by to uzasadnić. Proszę nie podejmować dalszych kroków. Nie widziałem się z koronerem, ale biorę odpowiedzialność na siebie.

Dobrze – pomyślał Watson – to uwalnia mnie od tej dziwacznej sprawy. Żaden ze świadków nie był do końca przekonany poza tą młodą damą. Ona jedna była całkowicie pewna i niezachwiana w swym zeznaniu. Bagażowy widział bójkę, ale kiedy się dowiedział, że może zostać wezwany jako świadek, stwierdził, że to mogły być tylko wygłupy i że Leonards mógł sam zeskoczyć z peronu. Przestał być pewien czegokolwiek.

A jeśli chodzi o Jenningsa, tego pomocnika sklepiarkarza, wątpię, by udało się go skłonić do zeznawania pod przysięgą po tym, jak się dowiedział, że panna Hale stanowczo zaprzeczyła jego słowom. To byłaby ogromnie kłopotliwa sprawa i nieprzynosząca satysfakcji. Muszę teraz tylko iść do nich i powiedzieć, że nie będą już potrzebni.

Tak więc jeszcze tego samego wieczoru inspektor pojawił się w domu pana Hale'a. Dixon i ojciec Margaret próbowali ją przekonać, aby położyła się do łóżka, ale żadne z nich nie znało przyczyn, dla których tak uparcie odrzucała ich radę. Służąca znała część prawdy, ale tylko część. Margaret za żadne skarby nie zdradziłaby nikomu, co powiedziała policjantowi, nie ujawniła też, czym zakończył się fatalny upadek Leonardsa. Ciekawość Dixon mieszała się z jej opiekuńczością i kobieta starała się nakłonić pannę Hale do odpoczynku, którego, sądząc z wyglądu dziewczyny leżącej na sofie, bezwzględnie potrzebowała. Nie odzywała się, chyba że zwracali się do niej wprost. Na zaniepokojone spojrzenia ojca i jego czułe wypytywania próbowała odpowiedzieć uśmiechem, ale jej usta, zamiast

układać się w uśmiech, wydawały z siebie omdlewające westchnienia. Pan Hale wydawał się tak zmartwiony, że w końcu Margaret zdecydowała się pójść do swego pokoju i przygotować się do snu. Naprawdę sądziła, że inspektor nie pojawi się ponownie tego dnia, ponieważ minęła już dziewiąta.

Stanęła koło ojca, trzymając się oparcia jego krzesła.

– Ty też się wkrótce położysz, prawda, papo? Nie siedź tu sam.

Odpowiedź nie dotarła do jej świadomości. Słowa gdzieś się zagubiły wobec dalszego, cichszego dźwięku, który jednakże wydał się zwielokrotniony przez strach, dźwięku dzwonka przy drzwiach wejściowych. Odgłos ten wypełnił jej umysł.

Ucałowała ojca i sfrunęła ze schodów z prędkością, o jaką nie podejrzewałby jej nikt, kto widział ją zaledwie minutę wcześniej. Odsunęła Dixon.

– Nie idź. Otworzę drzwi. Wiem, że to on... Mogę... Muszę poradzić sobie sama.

– Jak panienka sobie życzy! – odpowiedziała służąca cierpko, lecz od razu dodała: – Ale nie nadaje się panienka do tego, taka bardziej martwa niż żywa.

– Naprawdę? – spytała Margaret, odwracając się i ukazując oczy płonące niesamowitym ogniem i zarumienione policzki. Tylko jej usta nadal pozostawały spierzchnięte i sine.

Otworzyła drzwi inspektorowi i zaprowadziła go do gabinetu. Postawiła świecę na stole i przycięła ją starannie, a potem się odwróciła i spojrzała wprost na policjanta.

– Przychodzi pan raczej późno! – powiedziała. – A zatem?

Wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.

– Przykro mi, że niepotrzebnie sprawiłem pani kłopot, ma'am, bo ostatecznie zdecydowano o zamknięciu tej sprawy. Byłbym u pani już wcześniej, ale miałem jeszcze inne zajęcia i inne spotkania.

– W takim razie ta sprawa jest zakończona. Nie będzie dalszych pytań.

– Zdaje się, że mam przy sobie notatkę pana Thorntona na ten temat – powiedział inspektor, nerwowo przeszukując kieszenie.

– Pana Thorntona! – krzyknęła Margaret.

– Tak! To sędzia pokoju... Ach, mam. Tu jest.

Nie widziała tekstu, nie była w stanie go przeczytać, choć stała blisko świecy. Wyrazy tańczyły jej przed oczami. Trzymała jednak kartkę w dłoni i wpatrywała się w nią, jakby ją uważnie analizowała.

– Może mi pani wierzyć, że cieszę się z takiej decyzji. Pozbyłem się wielkiego problemu, bo dowody były słabe. Nie byliśmy nawet pewni, czy temu człowiekowi w ogóle zadano jakikolwiek cios. A jeszcze doszła ta kwestia sprzecznej identyfikacji, więc byłaby to naprawdę skomplikowana sprawa. Tak właśnie powiedziałem panu Thorntonowi.

– Panu Thorntonowi – powtórzyła Margaret.

– Spotkałem go dzisiaj, jak stąd wychodził, a ponieważ jest nie tylko moim starym przyjacielem, ale też sędzią pokoju, który widział Leonardsa ostatniej nocy, ośmieliłem się podzielić z nim moim kłopotem.

Panna Hale głęboko westchnęła. Nie chciała słyszeć już nic więcej: bała się tego, co już usłyszała, i tego, co jeszcze mogła usłyszeć. Marzyła o tym, żeby ten człowiek już sobie poszedł. Zmusiła się, by powiedzieć:

– Dziękuję, że pan przyszedł. Jest już bardzo późno. Wydaje mi się, że już minęła dziesiąta. Och! A tu jest ta

notatka! – dodała, nagle rozumiejąc znaczenie wyciągniętej w jej kierunku dłoni inspektora. Gdy wziął od niej list, Margaret znów się odezwała. – To pismo wydaje się takie... stłoczone. Nie udało mi się wszystkiego odszyfrować. Czy mógłby mi pan to przeczytać?

Przeczytał jej list na głos.

– Dziękuję panu. Czy wspominał pan panu Thorntonowi, że mnie tam nie było?

– Oczywiście, ma'am. Żałuję teraz, że działałem w oparciu o informacje, które okazały się błędne. Z początku ten młody sklepikarz wydawał się taki przekonany, a teraz mówi, że cały czas miał wątpliwości. I jeszcze ma nadzieję, że jego pomyłka nie zirytuje państwa na tyle, abyście zaprzestali dokonywania zakupów w jego sklepie. Dobranoc, ma'am.

– Dobranoc – odpowiedziała Margaret i zadzwoniła na Dixon, aby ta wyprowadziła policjanta. Gdy służąca wracała korytarzem, dziewczyna minęła ją szybko.

– Wszystko w porządku! – powiedziała, nie patrząc na nią. Zanim kobieta zdołała ruszyć za panną Hale, aby zadać kolejne pytania, ta pospieszyła na górę, wpała do swojej sypialni i zamknęła drzwi na zasuwę.

Nie rozbierając się, rzuciła się na łóżko. Była zbyt wyczerpana, by myśleć. Uplłynęło co najmniej pół godziny, zanim niewygodna pozycja i panujący w pokoju chłód przewyciężyły zmęczenie i wyrwały jej zmysły z odrętwienia. Wtedy zaczęła wspominać, kojarzyć, rozważać. Pierwszą myślą było to, że przeraźliwy niepokój o Fredericka minął, napięcie zelżało. Potem zaczęła odtwarzać z pamięci każde słowo inspektora, które odnosiło się do pana Thorntona. Kiedy go widział? Co tamten powiedział? Co pan Thornton zrobił? Jak dokładnie brzmiały słowa listu? I dopóki sobie nie przypomniała każdego najdrobniejszego słowa i kolejności wyrazów, jakich użył w swej notatce, jej umysł nie chciał porzucić tego wątku i podążać dalej. A potem jednoznaczny wniosek sam jej się nasunął: pan Thornton widział ją owego fatalnego wieczoru w czwartek w pobliżu stacji Outwood, a potem powiedziano mu, że ona stanowczo zaprzeczyła, jakoby tam była. W jego oczach była kłamcą. Była kłamcą. Nawet do głowy jej nie przyszło, aby odczuwać skruchę wobec Boga. Z panującego chaosu i mroku wyłaniał się tylko jeden szokujący fakt: w oczach pana Thorntona była

zhańbiona. Nawet się nie zastanawiała, jak mogłaby się wytłumaczyć. To nie miało nic wspólnego z nim. Nie przyszło jej do głowy, aby on lub ktokolwiek inny znalazł coś niewłaściwego w tym, co dla niej było tak naturalne, a mianowicie w towarzyszeniu bratu; natomiast za to, co było naprawdę złe, za jej kłamstwo, o którym wiedział, pan Thornton miał prawo ją osądzać.

Och Fredericku, Fredericku! – krzyczała w sercu. Czego bym dla ciebie nie poświęciła? Gdy w końcu usnęła, jej myśli wciąż zataczały te same kręgi, tylko że z wyolbrzymionym odczuciem bólu.

Po przebudzeniu nowy wniosek uderzył ją równocześnie z jasnością poranka. Pan Thornton dowiedział się o jej kłamstwie, zanim poszedł do koronera, a zatem mógł to zrobić powodowany chęcią oszczędzenia jej konieczności powtórnego kłamstwa. Odsunęła tę myśl na bok z rozmysłem dziecka. Jeśli rzeczywiście tak było, nie czuła dla niego ani trochę wdzięczności, bo taki krok pokazywałby tylko, jak bardzo była w jego oczach zbrukana, zanim podjął tak niecodzienne działania, aby oszczędzić jej kolejnej próby prawdomówności, w której już raz zawiodła. Raczej przeszłaby przez

całą... raczej zdobyłaby się na krzywoprzysięstwo w obronie Fredericka... Wolałaby już to... o wiele bardziej... niż żeby pan Thornton wiedział to, co wie i co pchnęło go do ratowania jej. Cóż za kaprys losu zetknął go z inspektorem? Dlaczego to właśnie on był tym sędzią, który został wezwany do umierającego Leonarda? Co Leonard powiedział? I co z tego było zrozumiałe dla pana Thorntona, który mógł – tak przynajmniej sądziła – znać sprawę oskarżeń stawianych Frederickowi od ich wspólnego przyjaciela, pana Bella? Jeśli wiedział, to próbował ochronić syna przyjaciela, który wbrew prawu przybył pożegnać się z leżącą na łożu śmierci matką. Wobec takiej wersji wydarzeń mogła odczuwać wdzięczność, ale nie wtedy, o ile w ogóle kiedykolwiek, jeśli wtrącił się kierowany pogardą dla niej. Och! Czy istniał ktoś, kto miałby większe prawo, by czuć do niej pogardę? Pan Thornton, akurat on ze wszystkich ludzi, on, na którego patrzyła dotychczas z wymyślonej przez siebie wysokości! Naraz poczuła, że znalazła się u jego stóp, i ten upadek ją załamał. Wzdrygnęła się wobec perspektywy wyciągania dalszych wniosków i przyjęcia do wiadomości tego, jak

bardzo ceniła jego szacunek i dobrą opinię o sobie. Za każdym razem, gdy ta myśl do niej wracała w rezultacie rozważań, odwracała się i wycofywała z tej ścieżki. Nie chciała tego zaakceptować.

Było znacznie później, niż jej się wydawało, bo w zamieszaniu poprzedniego wieczoru zapomniała nakręcić zegarka, a ponadto pan Hale wydał specjalne polecenie, by jej nie przeszkadzano zwyczajową pobudką. W pewnej chwili drzwi uchylły się delikatnie i do pokoju zajrzała Dixon. Widząc, że Margaret nie śpi, weszła do środka z listem.

– Mam tu coś, co panience pomoże. List od panicza Fredericka.

– Dziękuję, Dixon. Jak strasznie późno!

Mówiła ospale i nie wyciągnęła dłoni po list, wobec czego służąca położyła kopertę na narzucie.

– Pewnie marzy panienka o śniadaniu. Zaraz przyniosę. Pan już dostał swoją tacę.

Margaret nie odpowiedziała. Pozwoliła Dixon odejść. Czowała, że musi choć przez chwilę być sama, zanim zdoła przeczytać list. W końcu otworzyła kopertę. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę, było to, że

nosił datę sprzed dwóch dni. A zatem Frederick napisał go zgodnie z obietnicą i gdyby list doszedł w porę, nie musiałyby się tak niepokoić. Zaczęła czytać. Brat pisał list wyraźnie w pośpiechu, ale był zadowolony. Widział się z panem Henrym Lennoxem, który wystarczająco dużo wiedział o całej sprawie, by w pierwszej chwili z ubolewaniem kręcić głową i oświadczyć, że Frederick powążył się na wielkie ryzyko, przyjeżdżając do Anglii, gdy wisi nad nim tak ciężkie oskarżenie rzucone przez wszechwładną instytucję. Później jednak, gdy omówili całą sprawę, pan Lennox potwierdził, że byłaby szansa na uniewinnienie, gdyby Frederick udowodnił swoje racje, przedstawiając wiarygodnych świadków. Tylko w takim wypadku warto byłoby stawać przed sądem, w przeciwnym bowiem razie ryzyko przeważałoby szanse powodzenia. Obiecał, że zbada tę sprawę, zadając sobie każdy konieczny trud.

Uderzyło mnie – pisał Frederick – że wprowadzenie, które na mój temat uczyniłaś, wyglądało na całkiem obszerne. Mam rację, siostrzyczko? Wierz mi, zadawał bardzo wiele pytań.

Wydaje się bystrym, inteligentnym człowiekiem i z powodzeniem uprawia swój zawód, przynajmniej jeśli można sądzić z ilości spraw, które prowadzi, i tłumu kręcących się wokół niego dependentów. No, ale to mogą być tylko sztuczki prawników. Zdażę wysłać ten list ostatnią pocztą, bo właśnie wyływam. Za pięć minut już mnie tu nie będzie. Możliwe, że będę zmuszony przyjechać ponownie do Anglii w związku z procesem, więc nikomu nie wspominaj, że tu byłem. Wyślę ojcu trochę wyjątkowej starej sherry, jakiej nie można kupić w Anglii (coś podobnego mam właśnie przed sobą w butelce)! Ojciec potrzebuje czegoś takiego, jako dowód mojej miłości. Niech Bóg go błogosławi. Jestem pewien... Przyjechała moja dorożka. PS. Cóż to była za ucieczka! Pilnuj się, abys słowem nie wspomniała, że u was byłem. Nawet Shawom.

Margaret sięgnęła po kopertę. Widniał na niej znak: „Spóźniony”. Frederick najprawdopodobniej powierzył list jakiemuś niedbałemu garsonowi, który zapomniał

go zanieść na pocztę. Och! Jakie sploty okoliczności stają pomiędzy nami a naszymi grzechami! Brat był bezpieczny poza granicami Anglii dwadzieścia... nie, już trzydzieści godzin temu. A zaledwie siedemnaście godzin temu ona dała świadectwo nieprawdzie, aby pokrzyżować plany pościgu, który już wtedy prowadzono by na próżno. Co za brak wiary z jej strony! Co z jej dumnym motto: *Fais ce que dois, advienne que pourra?* Gdyby tylko odważyła się powiedzieć prawdę na temat swojego udziału w incydencie, zmuszając ich, aby sami odkryli fakty dotyczące jej towarzysza, z jakim lekkim sercem siedziałaby teraz! Nie czułaby się upokorzona wobec Boga za to, że Mu nie zaufała, nie czułaby się poniżona i zawstydzona wobec pana Thorntona. Złapała się na tej myśli i aż zadrżała – oto zestawiała razem niską opinię pana Thorntona i niezadowolenie Boga! Jak doszło do tego, że ten mężczyzna tak uparczywie nawiedzał jej myśli? Co się stało? Dlaczego tak bardzo dbała o jego sądy pomimo całej swej dumy, wbrew sobie? Wierzyła, że mogłaby znieść potępienie Wszechmogącego, bo wiedział wszystko, czuł jej skrucę i słyszał jej wołania o pomoc w chwili próby. Ale

pan Thornton? Dlaczego drżała i skrywała twarz w poduszce? Jakie uczucie nią zawładnęło?

Wyskoczyła z łóżka i modliła się, długo i szczerze. Uspokoiło ją to i pocieszyło, gdyż w ten sposób otworzyła serce. Ale gdy tylko zaczęła znowu myśleć, ponownie przeanalizowała swe uczucia i wniknęła w siebie, od razu sobie uświadomiła, że żądło tkwiło w niej nadal. Nie była ani wystarczająco dobra, ani dostatecznie czysta, aby czuć obojętność wobec dezaprobaty czy potępienia ze strony innego człowieka. Wiedziała ponadto, że świadomość jego pogardy stała między nią a jej poczuciem winy.

Gdy tylko się ubrała, zaniósła list Fredericka ojcu. Wzmianka o incydencie na stacji była tak nieznaczna, że pan Hale nie zwrócił na to uwagi. Poza faktem, że syn nie został odkryty ani złapany, że udało mu się bezpiecznie odpłynąć, nie wyciągnął z lektury tego listu właściwie żadnego wniosku. Jego obecnym zmartwieniem był mizerny wygląd córki, która sprawiała wrażenie, że lada chwila wybuchnie płaczem.

– Jesteś poważnie przemęczona, Margaret. Nic zresztą dziwnego. Musisz pozwolić, bym się tobą zaopiekował.

Zmusił ją, by się położyła na sofie, i poszedł po szal do przykrycia. Jego troska wycisnęła jej z oczu łzy. Popłakiwała gorzko.

– Moja biedna mała, biedna mała! – powiedział, patrząc z czułością na córkę, która leżała z twarzą zwróconą ku ścianie, a jej ramionami wstrząsało łkanie.

Gdy udało jej się opanować, zaczęła się zastanawiać, czy odważyłaby się poszukać ukojenia, zwierając się ojcu ze swych rozterek. Znalazła jednak więcej przesłanek przeciwko temu pomysłowi niż przemawiających za nim. Jedynym argumentem za byłaby ulga dla niej samej. Kontrargumentów było więcej. To, co miała do powiedzenia, w istotny sposób zwiększyłoby zgryzotę ojca, zwłaszcza gdyby Frederick musiał ponownie przybyć do Anglii. Pan Hale rozważałby bez końca okoliczności, w jakich jego syn doprowadził do śmierci innego człowieka, nawet jeśli nieświadomie i niechcący, a ta wiedza ciągle wracałaby do niego, by go dręczyć w najróżniejszych wyolbrzymionych odmianach i wizjach. Natomiast jeśli chodzi o jej przewinę, byłby ponad miarę przerażony wykazaniem przez nią brakiem odwagi i wiary, choć jednocześnie usiłowałby znaleźć dla niej

usprawiedliwienie. W dawnych czasach Margaret przyszłaby do niego jako do duchownego i ojca, aby zwierzyć mu się z pokusy, której uległa, i z grzechu, który popełniła. Ale ostatnimi czasy jakoś przestali o tych sprawach rozmawiać. Czuła niepewność, jak wobec jego zmiany poglądów odpowiedziałby jej, gdyby odśloniła przed nim najgłębsze czeluści swej zgnębionej duszy. Nie, musi zachować swą tajemnicę i nadal samotnie dźwigać to brzemię. Sama stanie przed Bogiem i będzie błagać o odpuszczenie winy. I sama zniesie swą hańbę w oczach pana Thorntona.

Nie potrafiła znaleźć słów, tak bardzo wzruszały ją wysiłki ojca, aby rozmawiać na przyjemne tematy, które odciągnęłyby jej myśli od ostatnich wydarzeń. Od wielu miesięcy nie widziała go tak rozmownym. Nie zgadzał się, by usiadła, i śmiertelnie obraził Dixon, upierając się, że sam będzie usługiwał córce. W końcu się uśmiechnęła, był to co prawda wymuszony, błądy uśmiech, ale sprawił mu najprawdziwszą radość.

– Jakie to się wydaje dziwne, ta myśl, że to, co nas najbardziej napawa nadzieją na przyszłość, wiąże się z Dolores, a przecież to imię oznacza zmartwienie – po-

wiedziała Margaret. To spostrzeżenie bardziej pasowało do ojca niż do niej, ale najwyraźniej tego dnia zamienili się rolami.

– Jej matka była Hiszpanką, o ile mnie pamięć nie myli, to by tłumaczyło jej wyznanie. Ale ojciec był nieugiętym prezbiterianinem, przynajmniej wtedy, gdy go znałem. Dolores to takie śliczne imię.

– Jaka ona młodziutka! Młodsza ode mnie o czternaście miesięcy. Dokładnie w takim wieku Edith zaręczyła się z kapitanem Lennoxem. Papo, pojedziemy i odwiedzimy ich w Hiszpanii.

Pokręcił głową, ale mimo to powiedział:

– Jak sobie życzysz, Margaret. Obiecuj mi jednak, że tu wrócimy. Twoja matka chyba naprawdę nienawidziła Milton i to byłoby nieuczciwe... niedobre wobec niej, gdybyśmy wyjechali stąd teraz, gdy ona tu spoczywa na wieki i nie może pojechać z nami. Nie, kochanie. Pojedziesz ty, spotkasz się z nimi, a potem wrócisz i opowiesz mi wszystko o mojej hiszpańskiej córce.

– Nie, papo. Nie pojedę bez ciebie. Kto by się tobą opiekował podczas mojej nieobecności?

– Czasami się zastanawiam, kto się tu kim opiekuje.

Jeśli pojedziesz, namówię pana Thorntona na podwójne lekcje. Świetnie przerobilibyśmy klasyków. To by było takie interesujące. Poza tym, jeśli masz ochotę, możesz pojechać do Edith na Korfu.

Margaret z początku się nie odezwała, a potem odpowiedziała raczej szorstko:

– Dziękuję ci, papo. Nie mam ochoty jechać. Miejmy nadzieję, że pan Lennox tak dobrze się sprawi, że Frederick będzie mógł po ślubie przywieźć do nas Dolores. A jeśli chodzi o Edith, to regiment nie zostanie zbyt długo na Korfu. Bardzo możliwe, że zanim upłynie kolejny rok, zobaczymy ich oboje tutaj.

Miłe tematy do rozmowy wyczerpały się. Jakieś bolesne wspomnienie opanowało umysł pana Hale'a i zapadł w ponure milczenie. Po jakimś czasie Margaret spytała:

– Papo, widziałeś Nicholasa Higginsa na pogrzebie? Był tam. I Mary też. Biedny. W ten sposób okazał nam swoje współczucie. Za tą szorstkością i opryskliwością skrywa prawdziwie gorące serce.

– Jestem tego pewien – potwierdził pan Hale. – Widziałem to już wtedy, gdy usiłowałaś mnie przeko-

nać, że z niego nic dobrego. Jutro pójdziemy go odwiedzić, o ile będziesz wystarczająco silna na taki daleki spacer.

– Och, tak. Chcę iść i się z nimi spotkać, tym bardziej że nie zapłaciliśmy Mary, a raczej ona odmówiła przyjęcia pieniędzy. Tak przynajmniej twierdzi Dixon. Pójdziemy tak, aby go zastać tuż po obiedzie, zanim wyjdzie do pracy.

Pod wieczór pan Hale powiedział:

– Przyznam, że trochę oczekiwałem odwiedzin pana Thorntona. Wczoraj opowiadał o pewnej książce, którą posiada, a którą ja bardzo chciałbym zobaczyć. Obiecał, że postara się przynieść ją dzisiaj.

Margaret westchnęła. Wiedziała, że on nie przyjdzie. Był zbyt delikatny i taktowny, aby ryzykować spotkanie z nią w chwili, gdy jej niegodny postępek był taki świeży w jego pamięci. Wystarczyło, że ojciec wymienił jego nazwisko, by jej dylematy powróciły i zepchnęły ją ponownie w stan wyczerpania i przygnębienia. Poddała się apatii i smutkowi. Naraz uświadomiła sobie, że to osobliwy sposób okazywania wdzięczności ojcu za jego czułą opiekę. Natychmiast usiadła i zapro-

ponowała, że poczyta mu na głos. Pan Hale chętnie to zaakceptował, ponieważ oczy coraz częściej go zawodziły. Czytała dobrze, odpowiednio akcentując poszczególne frazy, ale gdyby po skończeniu ktoś ją spytał o znaczenie tego, co czytała, nie umiałaby odpowiedzieć.

Rano w pierwszej chwili opanowało ją uczucie niewdzięczności wobec pana Thorntona mimo uprzejmości, jaką okazał, spotykając się ponownie z lekarzem w sprawie Leonardsa, aby uchronić ją przed dalszym dochodzeniem. Och, ale przecież była wdzięczna! Była tchórzem i kłamcą, a co więcej, pokazała to w czynach, których nie mogła cofnąć. Nie była jednak niewdzięczna. Serce jej płonęło na myśl o uczuciach wobec człowieka, który miał wszelkie powody, by nią gardzić, a były one tak usprawiedliwione, że chyba straciłaby do niego szacunek, gdyby nią nie gardził. Czuła wielką radość na myśl, jak głęboko go poważa. Nie mógł jej tego zabronić. Tylko to było pocieszające w tej niedoli.

Późnym wieczorem dostarczono oczekiwaną książkę. „Z uprzejmym pozdrowieniem od pana Thorntona i zapytaniem o samopoczucie pana Hale’a”.

– Powiedz, że czuję się znacznie lepiej, Dixon, ale że panna Hale...

– Nie, papo – zaprotestowała żywo Margaret – nic o mnie nie mów. On o to nie pyta.

– Moje drogie dziecko, przecież ty się cała trzęsiesz! – zauważył ojciec kilka minut później. – Musisz jak najszybciej iść do łóżka. Jesteś biała jak chusta.

Nie zaprotestowała, chociaż niechętnie pozostawiała ojca samego. Potrzebowała jednak samotności i wytchnienia po całym dniu intensywnych myśli i jeszcze intensywniejszych samooskarżeń.

Następnego dnia wydawało się, że jej stan wrócił do normalności. Apatia, przygnębienie i częste popadanie w roztargnienie nie były niczym niezwykłym w początkowym okresie rozpacz i żałoby. Ojciec natomiast, jakby dla równowagi, zaczął się ponownie zatapiać w swych rozmyślaniach nad utraconą żoną i tym okresem życia, który zamknął się dla niego na zawsze.

XXXVI

W JEDNOŚCI NIE ZAWSZE SIŁA

*Kroki grabarzy, wolne, stłumione,
Szlochy żałobników, ciche, zdławione.*

Percy Shelley, „The Sensitive Plant”

© ustalonej poprzedniego dnia godzinie wyruszyli na spacer z zamiarem odwiedzenia Nicholasa Higginsa. I Margaret, i jej ojciec byli głęboko świadomi niedawno poniesionej straty. Nowe, żałobne ubrania sprawiały, że czuli się nieswojo, a poza tym po raz pierwszy od dłuższego czasu wyszli z domu na wspólną przechadzkę. Szli bardzo blisko siebie w milczącym współczuciu.

Nicholas siedział przy kominku na swoim zwykłym

miejscu, ale nie palił fajki. Opierał ramię na kolanie, a głowę na dłoni. Nie wstał na ich widok, ale Margaret dostrzegła w jego oczach błysk zadowolenia.

– Siadajcie, państwo, siadajcie. Ogień się nie najgorzej pali – powiedział, energicznie grzebiąc w palenisku, jakby chciał odwrócić od siebie ich uwagę.

Wyglądał niechlujnie: jego ubranie pilnie wymagało łatania, był nieogolony, a ciemny kilkudniowy zarost kontrastował z upiornie bladą twarzą.

– Pomyśleliśmy, że pewnie o tej porze, tuż po obiedzie, uda nam się pana zastać – powiedziała Margaret.

– Mieliśmy również smutne chwile od naszego ostatniego spotkania z panem – dodał pan Hale.

– Tak. Zmartwień teraz jakby więcej niż obiadów. Tak mi się coś zdaje, że moja przerwa na obiad trwa teraz całutki dzień, nic więc dziwnego, że udało wam się mnie zastać.

– Został pan bez pracy? – spytała Margaret.

– Tak – przytaknął krótko. A po chwili milczenia dodał, po raz pierwszy podnosząc na nich wzrok: – Nie potrzebuję pieniędzy. Nawet o tym nie myślcie. Moja biedna Bess miała mały zapasik pod poduszką, przy-

gotowany, aby mi go przekazać w ostatniej chwili. Poza tym Mary ma zajęcie przy cięciu barchanu. Ale to nie zmienia faktu, że jestem bez pracy.

– Jesteśmy winni Mary pieniądze – wyrwał się pan Hale, zanim ostry nacisk Margaret na jego ramię zdołał zatrzymać słowa.

– Jeśli je weźmie, wywalę ją za drzwi. Ja sobie poczekam w tych czterech ścianach, a ona poczeka na zewnątrz. Ot co!

– Tak czy owak winniśmy jej podziękowania za serdeczną pomoc – upierał się dalej pan Hale.

– Ja nigdy nie podziękowałem pańskiej córce za miłość, którą okazywała mojej choróbce. Jakoś nigdy nie umiałem znaleźć słów. Ale czuję, że będę teraz próbował, jeśli dalej będzie pan robił tyle hałasu o to, jak mała Mary wam służyła.

– Czy to z powodu strajku został pan bez pracy, Nicholasie? – spytała Margaret łagodnie.

– Strajk skończony. Przynajmniej na teraz. A jestem bez pracy, bo o nią nie prosiłem. A nie prosiłem, bo dobrych słów brakuje, a tych złych jest aż za dużo.

Zachowywał się gburowato i zdecydowanie czerpał

tego dnia przyjemność z udzielania odpowiedzi, które brzmiały jak zagadki. Margaret widziała jednak, że chciał być wypytywany.

– A jakie są te dobre słowa?

– Proszenie o pracę. Moim zdaniem to są najlepsze słowa, jakie człowiek może wypowiedzieć. „Daj mi pracę” znaczy: „Wykonam ją jak człowiek”. Oto są dobre słowa.

– Zatem złe słowa to odmowa zatrudnienia, gdy o to prosisz?

– Właśnie. Złe słowa to: „Aha, mój kolego. Byłeś w porządku wobec twojej organizacji, ja będę w porządku wobec mojej. Zrobiłeś, co mogłeś, dla nich, jak potrzebowali pomocy, i to jest twój sposób na lojalność wobec twoich, ja będę teraz lojalny wobec moich. Byłeś biednym głupcem, który nie ma rozumu, więc teraz bądź wiernym głupcem. Idź w cholerę i niech cię szlag trafi. Dla ciebie nie ma tu roboty”. To są właśnie złe słowa. Ale ja nie jestem głupcem. A jeśli byłem, ludzie powinni byli nauczyć mnie ich mądrości. Może bym to pojął, gdyby ktoś spróbował.

– Może byłoby warto – zaproponował pan Hale –

zapytać pana pracodawcę, czy nie zgodziłby się przyjąć pana z powrotem? Szansa co prawda jest niewielka, ale zawsze to jakaś nadzieja.

Higgins ponownie rzucił szybkie spojrzenie na gościa i parsknął cichym, gorzkim chichotem.

– Panie, jeśli się pan nie obrazi, to teraz ja z kolei zadam panu jedno czy dwa pytania.

– Ależ bardzo proszę – odpowiedział pan Hale.

– Rozumiem, że w pewnym sensie pan też pracuje i zarabia na chleb. Ludzie nie zwykli mieszkać w Milton tak sobie dla przyjemności, jeśli mają szansę żyć gdzie indziej.

– Jest dokładnie tak, jak pan mówi. Posiadam pewien niezależny majątek, ale osiedliłem się tutaj, by pracować jako prywatny nauczyciel.

– Czyli aby uczyć ludzi. Dobrze! I sędzę, że oni płacą panu za to, że ich pan uczy. Prawda?

– Tak – potwierdził z uśmiechnął pan Hale. – Uczę, aby otrzymać zapłatę.

– A ci, co panu płacą, nie mówią, co ma pan zrobić lub czego nie robić z tymi pieniędzmi, jakie panu sprawiedliwie zapłacili za pana trud, tak jak było umówione?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Oni nie mówią: „Możesz mieć brata lub najlepszego przyjaciela, który potrzebuje tych pieniędzy dla sprawy, którą i on, i ty uważacie za świętą. Musisz jednak przyrzec, że mu ich nie oddasz. Możesz sobie myśleć, że to dobry użytek dla tych pieniędzy, ale my tak nie uważamy, więc jeśli je na to przeznaczysz, to my zrywamy z tobą”. Pana uczniowie nie mówią tak do pana. Prawda?

– Nie, oczywiście, że nie.

– A zniósłby pan, gdyby tak mówili?

– Byłby to bardzo silny nacisk, więc być może rozważyłbym podporządkowanie się takiemu dyktatowi.

– Jak ziemia długa i szeroka nie ma takiego nacisku, który zmusiłby mnie do podporządkowania się – oświadczył Nicholas Higgins. – Teraz już pan rozumie. Trafił pan w dziesiątkę. Hamper, bo u niego pracowałem, zmusza ludzi, by przyrzekali, że nie dadzą nawet pensa, aby pomóc związkowi albo by uratować od głodu zwolnionych. Może przyrzekają sami, może są zmuszani – mówił z pogardą – lecz nie są nikim więcej jak kłamcami i hipokrytami. Moim zdaniem

jednak to i tak mniejszy grzech niż zamieniać ludzkie serca w taki kamień, że w potrzebie nie pomogą innym, że nie poprą dobrej i uczciwej sprawy, choć to sprawa przeciwko silnej ręce. Ale ja się nigdy nie wyrzeknę siebie, nawet za całą robotę, jaką by mi sam król dawał. Jestem członkiem związku i myślę, że tylko związek może uczynić cokolwiek dobrego dla robotników. Strajkowałem i wiem, co znaczy głodować, jeśli więc dostanę szylinga, to sześć pensów im oddam, jak tylko poproszą. Chociaż nie wiem, skąd miałbym wziąć tego szylinga.

– Czy we wszystkich fabrykach wprowadzono zakaz płacenia składek na związek? – spytała Margaret.

– Nie wiem. U nas to całkiem nowy przepis. I moim zdaniem już niedługo zrozumieją, że nie dadzą sobie z tym rady. Ale teraz to obowiązuje. Z czasem pojmą, że tyrania stwarza kłamców.

Nastąpiła przerwa. Margaret rozważała z wahaniem, czy powinna poruszyć temat, który leżał jej na sercu, bo nie chciałyby dobijać kogoś, kto i tak był już wystarczająco posępny i przygnębiony. W końcu jednak się zdecydowała, choć mówiła łagodnym głosem

i z ociąganiem, okazując tym wyraźnie, że niechętnie wypowiada cokolwiek nieprzyjemnego. Higgins nie wydał się zresztą zdenerwowany, a tylko zakłopotany:

– Czy pamięta pan, jak biedny Boucher stwierdził, że to sam związek jest tyranem? Chyba nawet powiedział, że to najgorszy tyran ze wszystkich. I pamiętam, że ja się wtedy z nim zgodziłam.

Milczał przez dłuższą chwilę. Teraz opierał głowę na obu dłoniach i wpatrywał się w ogień, tak że nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy.

– Nie zaprzeczam, że związek zmusza ludzi, by postępowali tak, jak dla organizacji jest najlepiej. Powiem, jak jest. Jak się nie należy do związku, to życie się robi nieciekawe. Ale jak się człowiek do nas przyłączy, to związek dba o jego interesy lepiej, niż sam by potrafił. To jedyny sposób, aby robotnicy wywalczyli swoje prawa: złączyć się. Im więcej członków, tym większa szansa na sprawiedliwość dla pojedynczego człowieka. Rząd zajmuje się głupcami i wariatami, i jeśli taki chce sobie lub sąsiadowi zrobić krzywdę, to rząd go zamyka, czy to się temu człowiekowi podoba, czy nie. To właśnie robimy w związku. Nie możemy zapakować ludzi

do więzienia, ale możemy uczynić ich życie tak trudnym do zniesienia, że będą wdzięczni, mogąc się do nas przyłączyć, a potem będą rozsądni i pomocni, nawet wbrew sobie. A Boucher był zawsze głupcem, ale nigdy aż takim jak ostatnio.

– Zaszкодził wam? – spytała Margaret.

– To właśnie zrobił. Publika była po naszej stronie do czasu, gdy on i banda jemu podobnych durniów rozpoczęła rozruchy i łamanie prawa. To właściwie oznaczało koniec strajku.

– W takim razie czy nie byłoby lepiej po prostu zostawić go samemu sobie i nie zmuszać do wstąpienia do związku? Nie pomógł wam, a wy doprowadziliście go do obłędu.

– Margaret – odezwał się jej ojciec niskim, ostrzegawczym tonem, bo dostrzegł chmury zbierające się na twarzy Higginsa.

– Ona mi się podoba – oznajmił nieoczekiwanie Nicholas. – Mówi jasno to, co myśli. Ale nie pojmuje metody związku. To wielka siła, to nasza jedyna siła. Czytałem kiedyś kawałek poezji. To było o pługu przeciągniętym przez stokrotkę. Aż mi łzy popłynęły, bo

wtedy nie miałem jeszcze innych powodów do płakania. Daję głowę, że ten człowiek nie przerwał orania, choć żałował kwiatka. Miał za dużo rozsądku. A związek jest jak ten pług. Przygotowuje ziemię do żniw. Takich jak Boucher – byłoby przesadą, gdybym przyrównał go do stokrotki, gdyż on jest jak chwast zarastający ziemię – trzeba było usunąć z drogi. Ostro mnie rozwścieczył, więc może mówię o nim niesprawiedliwie, ale z wielką przyjemnością mógłbym przejechać po nim pługiem.

– Ale co zrobił? Coś jeszcze?

– Jasna sprawa. On się zawsze w coś wpakuje. Najpierw wściekał się jak jakiś szaleniec, aż wywołał rozruchy. Potem się ukrył i pewno by go do teraz nie znaleźli, gdyby Thornton nie urządził na niego polowania, tak jak na to liczyłem. Szukał go jednak dla swoich celów i nie zamierzał wnosić przeciw niemu oskarżenia o zamieszki. Boucher znowu się zaszył we własnym domu i nie pokazywał się przez dzień czy dwa. Miał przynajmniej tyle honoru. A potem poszedł... Jak myślicie? Dokąd on poszedł? Ależ oczywiście, do Hampera! Przeklęty! Polazł z tą swoją oszukańczą gębą, od któ-

rej mnie mdli, błagać o pracę, choć doskonale znał ten nowy przepis o przysięganiu, że nic nie da na związek! I nic na umierających z głodu, którzy zostali wywaleni. Przecież sam by dawno zdechł z głodu, gdyby związek mu nie pomógł, gdy cała jego rodzina konała. Tam właśnie poszedł. Obiecywał i przyrzekał wszystko... że opowie, co wie o naszych działaniach, przekłety judasz! Ale muszę to oddać Hamperowi i nawet w godzinie śmierci będę mu za to wdzięczny, że odpędził Bouchera i wcale nie chciał go słuchać, ani jednego słowa, choć wiem od ludzi, co tam stali, że zdrajca płakał jak małe dziecko.

– Och, jakie to okropne! Jakie żałosne! – wykrzyknęła Margaret. – Higgins, ja pana dzisiaj nie poznaję! Nie widzi pan, że to wy uczyniliście z Bouchera zdrajcę? Zmusiliście go, by wstąpił do związku wbrew jego woli, wbrew jego przekonaniom. To przez was stał się taki, jaki jest.

– My go uczyniliśmy? A kim on był?

Stopniowo, powoli w wąskiej ulicy wzbierał głuchy, miarowy dźwięk, na który dopiero teraz zwrócili uwagę. Słyszeli wiele głosów, ale cichych, jakby przytłumionych, i wiele kroków, ale powolnych. Odnosili wra-

żenie, jakby te dźwięki krążyły wokół jednego punktu, a nie przybliżały się. Tak, to był powolny, jednostajny tupot stóp, torujący sobie drogę w przestrzeni wprost do ich uszu. To był równomierny krok ludzi niosących coś ciężkiego. Jakiś nieodparty impuls popchnął całą trójkę w stronę drzwi wejściowych. Powodowała nimi nie czysta ciekawość, ale jakby straszne przeczucie.

Środkiem ulicy szło sześciu mężczyzn, z czego trzech było policjantami. Na ramionach nieśli wyjęte z zawiasów drzwi, na których leżał martwy człowiek. Z każdej strony prowizorycznych noszy na ziemię skapywała woda. Mieszkańcy wyglądali na ulicę i od razu przyłączali się do procesji, wypytując tragarzy. A ci odpowiadali na te pytania chyba tak wiele razy, że teraz odzywali się z wyraźną niechęcią.

– Znaleźliśmy go w strumieniu na polu, tam z tyłu.

– W strumieniu! Przecież nie ma tam tyle wody, żeby się utopić.

– Był tak uparty, że mu się udało. Leżał twarzą do dołu. Miał już dość tego świata, po co miałby dalej żyć?

Higgins niepostrzeżenie stanął koło Margaret i odezwał się słabym, piskliwym głosem:

– To przecież nie John Boucher. Nie miałby dość odwagi. Na pewno. To nie może być John Boucher. Ależ oni chyba tu idą! Słuchajcie! Coś mi dzwoni w głowie i nic poza tym nie słyszę!

Drzwi ostrożnie ułożono na kamieniach i wszyscy mogli teraz obejrzeć biednego, nieszczęsnego topielca, jego szkliste oczy – jedno częściowo otwarte i patrzące do góry, wprost w niebo. Ze względu na ułożenie ciała, w jakim je znaleziono, twarz była obrzmiała i pozbawiona koloru, poza miejscami, gdzie skóra została poplamiona wodą ze strumienia, której używano podczas farbowania. Prząd czaszki był pozbawiony włosów, ale rosły z tyłu, cienkie i długie, a z każdego pasma ściekała woda. Mimo to Margaret rozpoznała Johna Bouchera. Wydawało jej się świętokradztwem, że wszyscy wpatrują się w tę znękaną, zniekształconą twarz; kierowana nagłym instynktem, podeszła i delikatnie zakryła twarz zmarłego swą chustką. Gdy spełniła ten miłosierny uczynek, oczy zebranych podążyły za nią aż do miejsca, gdzie stał jak wrośnięty w ziemię Nicholas Higgins. Jeden z mężczyzn zbliżył się do niego, a on najchętniej wycofałby się do wnętrza domu.

– Higgins, ty go znałeś! Musisz powiedzieć jego żonie. Zrób to delikatnie, człowieku, ale szybko, bo nie możemy go tu zostawić na długo.

– Nie mogę iść – odpowiedział Nicholas. – Nawet mnie nie proście. Nie mógłbym jej spojrzeć w oczy.

– Ty ją znasz najlepiej – powiedział mu ten sam człowiek. – My zrobiliśmy swoje i przynieśliśmy go tutaj. Teraz kolej na ciebie.

– Nie mogę tego zrobić – upierał się Higgins. – Prawie mnie to poraziło. Pokłóciliśmy się, a teraz on nie żyje.

– Cóż, jak nie chcesz, to nie. Ale przecież ktoś musi. Cholerne zadanie. Każda minuta jest ważna, żeby nie dowiedziała się o jego śmierci brutalnie. Lepiej, żeby poszedł ktoś, kto jej o tym opowie w łagodny sposób.

– Papo, idź ty – odezwała się cicho Margaret.

– Gdybym mógł... gdybym miał choć trochę czasu, aby pomyśleć, co jej najlepiej powiedzieć. Ale tak od razu, tak nagle?

Panna Hale stwierdziła, że jej ojciec rzeczywiście był niezdolny, aby przekazać złe wieści żonie Bouchera. Trząśł się od stóp do głów.

– Ja pójdę – oznajmiła.

– Niech cię Bóg błogosławi, panienko. To będzie dobry uczynek. Z tego, co słyszę, to ona jest strasznie chorowita i niewiele o niej wiadomo.

Margaret zapukała w zamknięte drzwi, ale ze środka dobiegał taki hałas rozrabiających dzieci, że nie słyszała żadnej odpowiedzi, wątpiła nawet, czy ktokolwiek zwrócił uwagę na jej pukanie. Ponieważ z każdą chwilą czuła coraz większą niechęć do swojej misji, zdecydowała się otworzyć drzwi i wejść do środka. Zatrzasnęła je za sobą, a potem, niedostrzeżona przez kobietę, zamknęła na zasuwę.

Pani Boucher siedziała w fotelu bujanym po drugiej stronie zaniedbanego paleniska. Całe wnętrze wyglądało, jakby od wielu dni nikt w nim nie sprzątał.

Margaret powiedziała coś, choć sama z trudem rozpoznała, co, tak bardzo wyschnięte miała gardło i usta, zresztą harmider robiony przez dzieci skutecznie uniemożliwiał usłyszenie jej słów. Spróbowała ponownie.

– Jak się pani miewa, pani Boucher? Słyszałam, że nie najlepiej.

– A jak niby miałabym się czuć? – odpowiedzia-

ła gderliwie. – Zostałam tu sama, żeby się zajmować dziećskami i nie mam im co dać, żeby się wreszcie zamknęły. John nie powinien mnie tu z nimi zostawiać, kiedy jestem taka chora.

– A kiedy wyszedł?

– Już cztery dni temu. Nikt by mu tu nie dał zajęcia, więc ruszył w stronę Greenfield. Ale przecie mógłby już do tej pory wrócić albo chociaż dać mi znać, jeśli znalazł robotę. Mógł też...

– Och, proszę go o to nie winić – powiedziała Margaret. – Jestem pewna, że chciałby...

– Powstrzymaj te swoje wrzaski i pozwól mi słuchać, co dama do mnie mówi – zwróciła się pani Boucher niezbyt delikatnie do małego, mniej więcej rocznego urwisa. A potem przeproszającym tonem tłumaczyła Margaret: – Ciągłe mi marudzą o tatkę i chlebek. A ja nie mam chlebka, aby im dać, a tatko zniknął i sobie o nas zapomniał. To ulubieniec ojca, naprawdę – oznajmiła i z nagłą zmianą nastroju posadziła sobie dziecko na kolanie i zaczęła je serdecznie całować.

Panna Hale położyła dłoń na ramieniu kobiety, aby przyciągnąć jej uwagę. Ich oczy się spotkały.

– Biedny malec! – powiedziała wolno. – Był ulubieńcem swojego ojca.

– Jest ulubieńcem swojego ojca – poprawiła kobieta, unosząc się nagle i stając twarzą w twarz z Margaret. Przez chwilę żadna z nich nic nie mówiła. Potem pani Boucher odezwała się znów niskim, warczącym głosem, który nabierał z każdym słowem dzikości: – Jest ulubieńcem ojca. Ja tak mówię. Biedacy mają prawo kochać swoje dzieci dokładnie tak samo jak bogacze. Czemu nic nie mówisz? Czemu wlepiasz we mnie te swoje wielkie litościwe oczy? Gdzie John? – Mimo słabości szarpała ramię Margaret, próbując zmusić ją do odpowiedzi. – Och mój Boże! – wykrztusiła, pojmując znaczenie jej łzawego spojrzenia. Bez sił osunęła się na krzesło.

Margaret wzięła dziecko i umieściła w ramionach matki.

– Kochał go – powiedziała.

– Tak – przytaknęła kobieta, potrząsając głową. – Kochał nas wszystkich. Mieliśmy kogoś, kto nas kochał. Uplłynęło już tyle czasu, ale gdy żył i był przy nas, kochał nas, naprawdę. A tego malucha kochał chyba

najbardziej z nas wszystkich. Mnie też kochał, a ja kochałam jego, choć ledwo pięć minut temu na niego narzekałam. Jest panienka pewna, że nie żyje? – spytała, usiłując się podnieść. – Bo jeśli jest tylko chory i wołałby umrzeć, to niech go tu przyniosą. Sama niedomagam, niedomagam już od tak dawna...

– On naprawdę nie żyje. Utonął.

– Ludzie wracają do zmysłów po tym, jak utonęli. O czym ja myślałam, siedząc tak, kiedy powinnam się ruszyć? Uciszyć się, dziecko, ucisz się! Weź to. Weź cokolwiek do zabawy, ale nie krzycz, kiedy pęka mi serce. Och, gdzie się podziała cała moja siła? Och John, mężu!

Margaret uchroniła ją od upadku, łapiąc w ramiona. Usiadła w fotelu na biegunach i trzymała kobietę na kolanach, wspierając jej głowę na swym ramieniu. Pozostałe dzieci zbiły się przerażone w gromadę, zaczynając rozumieć zagadkową scenę, aczkolwiek następowało to bardzo powoli, gdyż ich umysły były przytłumione i ospałe. Gdy w końcu odgadły prawdę, podniósł się taki krzyk, że Margaret z trudem to zniosła. Johnny płakał najgłośniej, choć przecież biedak nie rozumiał powodu tej rozpacz.

Ich matka drżała, spoczywając w ramionach panny Hale. W pewnej chwili dziewczyna usłyszała wrzawę przy drzwiach.

– Otwórz. Otwórz szybko drzwi – poleciła najstarszemu dziecku. – Są zamknięte na zasuwę. Nie hałasujcie. Spokojnie. Och papo, zabierz ich na górę, ale po cichu. Może ona tego nie usłyszy. Po prostu zasłała. To wszystko.

– To nawet lepiej dla tej biedaczki – stwierdziła jedna z kobiet, podążająca śladem mężczyzn niosących zmarłego. – Ale to nie dla panienki, tak ją dźwigać. Proszę poczekać. Pobiegnę do domu po poduchę i położymy ją na podłodze.

Ta pomocna sąsiadka stała się wielkim wsparciem dla Margaret. Była wyraźnie obca w domu Boucherów i chyba od niedawna mieszkała w tej dzielnicy, ale okazała się tak serdeczna i rozsądna, że panna Hale nie czuła się już tam potrzebna. Uznała poza tym, że swoim odejściem dałaby może przykład zapełniającym dom niepomocnym, choć pełnym współczucia obserwatorom. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu Nicholasa Higginsa, ale go nie dostrzegła. Zaczęła więc

rozmawiać z kobietą, która przejęła dowodzenie nad grupą układającą panią Boucher na podłodze.

– Czy może pani zasugerować wszystkim tym ludziom, że byłoby lepiej, gdyby w ciszy stąd wyszli? Tak aby ona zobaczyła tu tylko jedną lub dwie osoby, które zna, gdy już dojdzie do siebie? Papo, może porozmawiasz z ludźmi i przekonasz ich, żeby sobie poszli? Przecież pośród tego tłumu biedaczka nie może oddychać.

Margaret klęczała przy pani Boucher i obmywała jej twarz octem. Po kilku minutach zaskoczył ją powiew świeżego powietrza. Podniosła wzrok i zobaczyła uśmiech, jaki wymieniali między sobą jej ojciec i sąsiadka.

– Co się stało? – spytała.

– Nasza dobra przyjaciółka – odpowiedział ojciec – znalazła świetny sposób na to, aby zapanował tu spokój.

– Kazałam im odejść i każdemu zabrać jednego dzieciaka. I mają pamiętać, że to teraz sieroty, a ich matka to wdowa. Sąsiedzi rzucili się po nie na wyścigi, a dzieciaki mogą być pewne, że pójda dzisiaj spać z pełnymi brzuchami i że wszyscy będą dla nich dobrzy. Czy ona wie, jak on umarł?

– Nie – odpowiedziała Margaret. – Nie mogłam powiedzieć jej wszystkiego naraz.

– Musi wiedzieć. Z powodu dochodzenia. Patrzcie. Wraca do siebie. Panienka jej to powie czy ja? A może panienki ojciec zrobi to najlepiej?

– Nie. Pani – zdecydowała Margaret.

Czekali w milczeniu, aż wdowa w pełni wróci do siebie. A wtedy kobieta przysiadła na podłodze i ułożyła głowę i ramiona pani Boucher na swoich kolanach.

– Sąsiadko – powiedziała – twój mąż nie żyje. Czy wiesz, jak zmarł?

– Utonął – odpowiedziała słabo tamta i rozplakała się wobec tak bezpośredniego traktowania jej tragedii.

– Znaleźli go utopionego. Wracał do domu bez nadziei, bez wiary w cokolwiek na tym świecie. Uważał, że Bóg nie będzie bardziej bezwzględny niż ludzie. Może nie taki twardy. Może będzie czuły jak matka. Może czulszy. Nie mówię, że zrobił dobrze. I nie mówię, że zrobił źle. Mam tylko nadzieję, że ani ja, ani mój stary nigdy nie będziemy mieli tyle bólu w sercu, aby zrobić coś takiego.

– Zostawił mnie samą z tymi wszystkimi dzieciaka-

mi! – jęczała wdowa, mniej, niż Margaret się obawiała, zrozpaczona tym, jak zginął jej mąż. Do bezradności tej kobiety pasowało jednak traktowanie śmierci męża jako wydarzenia, które negatywnie wpłynie na los jej i dzieci.

– Nie samą – oznajmił pan Hale uroczyście. – Kto jest z panią? Kto zajmie się pani sprawą? – Wdowa otworzyła szeroko oczy i wpatrywała się w mówiącego mężczyznę, z którego obecności dopiero teraz zdała sobie sprawę. – Kto obiecał być ojcem dla sierot? – kontynuował.

– Ale ja mam szóstkę dzieciaków, a najstarszy nie ma jeszcze ośmiu lat. To nie jest tak, że ja wątpię w Jego moc, sir, tyle tylko że trzeba naprawdę dużo ufności... – Zaczęła ponownie płakać.

– Jutro będzie bardziej zdatna do rozmowy, sir – oznajmiła sąsiadka. – Teraz najlepszym dla niej pocieszeniem byłoby czuć dziecko przy sercu. Źle się stało, że malucha też zabrali.

– Pójdę po niego – zaofiarowała się Margaret i już po kilku minutach wróciła, niosąc Johnniego. Chłopiec miał twarz wysmarowaną jedzeniem, a ręce pełne ta-

kich skarbów, jak muszelki, kawałki kryształków i głowa gipsowej figurki. Dziewczyna podała dziecko matce.

– Właśnie! – odezwała się sąsiadka. – Właśnie tak. Niech sobie razem płaczą i razem się pocieszają. Nikt tego nie potrafi lepiej niż dziecko. Zostanę z nią tak długo, jak będzie trzeba, a jeśli przyjdą państwo jutro, to łatwiej będzie się z nią dogadać, bo dzisiaj to nic z tego nie będzie.

Gdy Margaret z ojcem szli powoli ulicą, nagle ona zatrzymała się przy zamkniętych drzwiach Higginsa.

– Wejdziemy? – spytał ojciec. – Też o nim myślałem.

Zapukali. Nikt nie odpowiedział, więc spróbowali wejść.

Drzwi były zamknięte, ale wydawało im się, że słyszeli gospodarza wewnątrz.

– Nicholasiu! – zawołała Margaret. Nie otrzymali odpowiedzi i być może oddaliliby się w przekonaniu, że w domu nikogo nie ma, gdyby nagle ze środka nie dotarł do nich dźwięk przypominający odgłos spadającej książki. – Nicholasiu! – odezwała się po raz kolejny Margaret. – To tylko my. Nie wpuści nas pan do środka?

– Nie – odpowiedział. – Chcę być teraz sam. Choć dzisiaj.

Pan Hale zamierzał chyba dalej namawiać Higginsa, aby ich wpuścił, ale Margaret przyłożyła palec do swych warg.

– Wcale mu się nie dziwię – powiedziała. – Też marzę o tym, by zostać sama. Po takim dniu jak dzisiejszy wydaje się, że tylko samotność może pomóc.

XXXVII

SPOJRZENIE NA POŁUDNIE

*Szpadel i siekiera,
Sierp, co zetnie żniwo,
Sznur, co kopki w snopki zbiera,
Cep, co śmiga żywo.
Chwyć za nie dłonie
Zdatne do roboty,
W pracy dobrze wyszkolone
I pełne ochoty.*

*Thomas Hood, „The Lay of the Labourer”,
przeł. Joanna Puchalska*

Drzwi Higginsa były zamknięte także następnego dnia, gdy przyszli odwiedzić panią Boucher.

Dowiedzieli się od gorliwej sąsiadki, że tym razem Higgins naprawdę wyszedł, jednak zanim się oddalił w swoich sprawach, wstąpił do wdowy.

Spotkanie z nią nie należało do udanych. Uważała, że samobójstwo męża stanowi dowód na to, jak źle ją traktował, a ponieważ tkwiła w tym okruszyna prawdy, nie udawało jej się tej idei wyperswadować. Pan Hale i Margaret z wielką przykrością obserwowali też, jak myśli kobiety całkowicie skupiły się na niej samej i jej położeniu, a ten egoizm rozciągnął się także na jej relacje z dziećmi, które uważała za kule u nogi, nawet gdy w sposób nieokielznany, niemal zwierzęcy, okazywała im uczucia macierzyńskie. Margaret usiłowała poznać choć trochę jedno czy dwoje dzieci, podczas gdy jej ojciec wysiłał się, by skierować myśli wdowy na nieco inne tory, wykraczające poza kwękającą bezradność. Zdaniem Margaret dzieci były bardziej szczerymi żalobnikami niż matka. Tatuś był dla nich dobry i każde z nich potrafiło ze wzruszeniem wyjąkać przykłady czułości i łagodności, jakie im okazywał. Jeden z malców spytał:

– Czy to coś, tam na górze, to naprawdę on? Nie wy-

gląda jak tatuś. Tego czegoś się boję, a tatusia się nie bałem.

Panna Hale czuła, jak serce jej krwawi na myśl, że matka, w swym samolubnym poszukiwaniu współczucia ze strony otoczenia, zabrała dzieci na górę i pokazała im zdeformowanego ojca. Czuła mieszaninę przerażenia i głębokiego gniewu. Próbowwała skierować myśli malców w inną stronę: co mogliby zrobić dla matki? To nie działało, dopiero drugie pytanie trafiło im do przekonania: co ich ojciec chciałby, aby zrobili? Margaret powiodło się lepiej niż panu Hale'owi. Dzieci dostrzegły, że ich drobne pomysły są możliwe do zrealizowania od razu, i próbowały uporządkować zaniedbany pokój, zgodnie z sugestiami Margaret. Niestety, jej ojciec ustawił poprzeczkę zbyt wysoko, a ponadto odmalowywane przez niego wizje były zdecydowanie zbyt abstrakcyjne dla ospałej, chorej kobiety. Nie potrafiła wyteńczyć swego otępiełego umysłu na tyle, aby próbować sobie wyobrazić, przez jakie męki musiał przejść jej mąż, zanim zdecydował się na swój ostateczny krok. Patrzyła na to tylko przez pryzmat swojej sytuacji i rozważała, jak desperacki czyn męża wpłynął na jej

życie. Nie chciała pamiętać o wiecznym miłosierdziu Boga, bo nie wtrącił się, by zakazać wodzie topienia jej załamane go męża. W głębi duszy winiła małżonka za to, że wpędził się w tak ponury stan, odmawiała mu prawa do jakiegokolwiek wytłumaczenia i nie chciała dostrzec okoliczności łagodzących, przeklinała też wszystkich, którzy mieli jakąkolwiek możliwość zapobieżenia tragedii: pracodawców, ze szczególnym uwzględnieniem pana Thorntona, którego przedsiębiorstwem Boucher zaatakował, a który, gdy mu zagwarantowano, że zostanie wydany nakaz zatrzymania Bouchera pod zarzutem wywołania rozruchów, wycofał swe oskarżenia; związek, którego reprezentantem w oczach biednej kobiety był Higgins; liczne dzieci, zbyt liczne, zbyt głośne, zbyt głodne. Wszyscy oni stanowili wielką armię jej osobistych wrogów i ciemżycieli, bo za ich sprawą była teraz bezradną wdową.

Margaret usłyszała wystarczająco dużo tych niedorzeczności, by zniechęcić się do kobiety, a gdy wreszcie stamtąd wyszli, nie potrafiła pocieszyć ojca.

– Oto życie w mieście – stwierdziła. – Nerwy mieszkańców napinają się przez ten cały pośpiech, krzą-

taninę, nieustanny ruch, który ich otacza. Nawet nie wspominać o stłoczeniu na ograniczonej przestrzeni tych domków. Samo to stanowi jednak wystarczającą przyczynę depresji i obniżenia nastroju. Na wsi ludzie żyją bardziej poza domem, na zewnątrz. Nawet dzieci. I nawet zimą.

– Ale przecież ludzie muszą mieszkać w miastach. Na wsi zaś niektórzy wpadają w taką stagnację, nieruchomość umysłu, że stają się właściwie fatalistami.

– Tak, to prawda. Przypuszczam, że każdy sposób życia wiąże się z pewnymi wyzwaniem i zagrożeniami. Mieszkaniec miasta z trudem znajduje w sobie spokój i cierpliwość, natomiast dla kogoś wychowanego na wsi problemem okazałyby się przedsiębiorczość i stawianie czoła niespodziewanym komplikacjom. A żaden z nich nie radzi sobie dobrze z przewidywaniem przyszłości. Pierwszy dlatego, że teraźniejszość jest taka żywa, tak pędzi do przodu. Drugi dlatego, że jego życie skłania go do trochę zwierzęcej egzystencji – z powodu niewiedzy nie dba o satysfakcję płynącą z osiągnięcia czegoś, co mógłby zaplanować, czemu mógłby się poświęcać lub czegoś mógłby oczekiwać.

– Konieczność życia w napięciu i głupie zadowolenie z doczesności dają jednak ten sam efekt – podsumował pan Hale. – Ale ta biedna pani Boucher! Jak niewiele możemy dla niej zrobić!

– A jednak nie ośmielamy się jej tak zostawić. Podejmujemy wysiłki, nawet jeśli wydają się bezużyteczne. Och papo, tak trudno żyć na tym świecie!

– To prawda, dziecko. Tak przynajmniej nam się teraz wydaje. Ale nawet pośród naszej zgryzoty i rozpaczki byliśmy tacy szczęśliwi. Jaka przyjemnością była ta wizyta Fredericka!

– Tak, zgadza się – radośnie potwierdziła Margaret. – To było takie urocze, takie wykradzione i zakazane. – Nagle zamilkła. Sama zbrukała wspomnienie odwiedzin brata własnym tchórzostwem. Ze wszystkich wad tą, którą najbardziej u innych pogardzała, był brak odwagi, małość serca prowadząca do kłamstwa. A sama właśnie tym zgrzeszyła! Potem przypomniała sobie, że pan Thornton wie o jej kłamstwie. Zastanawiała się, czy przejmowałaby się tym tak choć w połowie, gdyby o jej grzechu wiedział ktoś inny, nie on. Próbowała to sobie wyobrazić na przykładzie ciotki Shaw i Edith,

potem ojca, kapitana Lennox, jego brata, a wreszcie Fredericka. Myśl o tym ostatnim, nawet jeśli skłamała dla jego dobra i w jego interesie, bolała ją najbardziej, bo w obojgu na nowo rozgorzały uczucia miłości i wzajemnego szacunku. Ale nawet gdyby miała stracić w opinii brata, to nie odczuwałaby takiego wstydu, paraliżującego wstydu, który ogarniał ją na samą myśl o ponownym spotkaniu z panem Thorntonem.

A jednak marzyła o tym, by go zobaczyć, by mieć to już za sobą, by wreszcie poznać jego uczucia. Policzki ją piekły, gdy sobie przypominała, z jaką dumą w początkowym okresie ich znajomości wysuwała zastrzeżenia wobec kupiectwa, sugerując, że zbyt często powoduje ono oszustwo zastępowania gorszym towarem lepszego z jednej strony, a z drugiej doprowadza do przyznawania kredytu na nieposiadane zasoby. Pamiętała, z jakim lekceważeniem pan Thornton w kilku słowach dał jej do zrozumienia, że zgodnie z zasadami prowadzenia interesów wszelkie niehonorowe metody postępowania na dłuższą metę okazują się szkodliwe i że takie działania rozważane tylko pod kątem opłacalności, są szalone i nierozsądne, a zasada ta obowiązuje tak w handlu, jak

w każdej innej dziedzinie życia. Ona zaś, jeszcze wtedy prawdomówna i niewystawiona na pokusę, spytała go, czy nie uważa, że kupowanie tak tanio, jak tylko się da, i sprzedawanie w najwyższej możliwej cenie jest przejawem braku sprawiedliwości, tak ściśle powiązanej z najczystszą prawdą. Pamiętała, że użyła wtedy słowa: rycerskość, co ojciec skorygował na jeszcze bardziej wzniosły termin: chrześcijaństwo. Tym samym to on dalej prowadził tę rozmowę, podczas gdy ona siedziała w milczeniu, pogrążona w pogardzie.

Koniec z pogardą, koniec z pochwałami rycerskości! Od tej chwili na jego widok może się czuć tylko poniżona i zhańbiona. Ale kiedy go zobaczy? Jej serce podskakiwało z obawy na każdy dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych, po czym, gdy zapadała cisza, pozostawała smutna i przygnębiona kolejnym rozczarowaniem. Widziała wyraźnie, że jej ojciec oczekiwał wizyty pana Thorntona i był zdziwiony, że ten nie przychodził. W czasie ich pamiętnej wieczornej rozmowy poruszyli pewne kwestie, których nie mieli czasu rozwinąć, ale było oczywiste, że następnego wieczoru... no, jeśli nie następnego, to może pierwszego, w którym

pan Thornton będzie miał czas do rozporządzenia... w każdym razie wkrótce spotkają się, by kontynuować rozmowę. Pan Hale oczekiwał tego z niecierpliwością już w chwili, gdy się rozstawali. Nie powrócił jeszcze do swych zwykłych zajęć z uczniami, które przerwał z chwilą zaostrenia się choroby żony, miał więc obecnie mniej obowiązków niż kiedyś, a ponadto najistotniejsze wydarzenie ostatnich dni, czyli samobójstwo Bouchera, pogłębiło jego wątpliwości. Przez cały wieczór nie zdołał się uspokoić. Ciągłe powtarzał:

– Naprawdę spodziewałem się, że pan Thornton przyjdzie. Myślę, że posłaniec, który przyniósł wczoraj książkę, musiał mieć też jakiś list i po prostu zapomniał go doręczyć. Czy myślisz, że dzisiaj będzie jakaś wiadomość?

– Pójdę i spytam, papo – zaproponowała Margaret po kolejnym pytaniu ojca. – Czeka! Dzwonek!

Od razu usiadła i pochyliła się z uwagą nad swoją robótką. Usłyszała kroki na schodach, ale szła tylko jedna osoba i dziewczyna wiedziała, że to Dixon. Uniosła głowę, westchnęła i starała się wierzyć, że jest zadowolona.

– To ten Higgins, sir. Chce się widzieć z panem albo z panną Hale. Może najpierw z panienką, a potem dopiero z panem, bo jest jakiś dziwny.

– Najlepiej będzie, jeśli tu do nas przyjdzie, Dixon. Jesteśmy tu oboje i będzie sobie mógł wybrać, z kim chce rozmawiać.

– Och, doskonale, sir. To pewne, że ja wcale nie mam zamiaru słuchać, co on ma do powiedzenia. Ale gdyby pan mógł zobaczyć jego buty, to sam by pan powiedział, że kuchnia to dla niego odpowiednie miejsce.

– Przypuszczam, że może je wytrzeć – stwierdził pan Hale.

Dixon odmaszerowała, by zaprosić gościa na górę. Udało mu się trochę ją udobruchać, bo słysząc zaproszenie, z wahaniem spojrzął na swoje stopy, a potem usiadł na dolnym stopniu schodów, zdjął zawstydzające buty i bez słowa ruszył do góry.

– Sługa uniżony, sir – odezwał się, wchodząc do pokoju i przyglądając włosy. Potem spojrzął na pannę Hale i mówił dalej: – Może ona mi wybaczy, że jestem tylko w pończochach, ale cały dzień się włóczyłem, a ulice nie są zbyt czyste.

Margaret przyszło do głowy, że być może to zmęczenie wpłynęło na zmianę jego sposobu bycia, bo stał się niezwykle cichy i powściągliwy. Miał też wyraźne problemy z wyjaśnieniem celu swojej wizyty.

Pomógł mu w końcu pan Hale, zawsze pełen zrozumienia dla nieśmiałości, zwątpienia i braku przytomności umysłu.

– Zaraz będzie herbata i mam nadzieję, panie Higgins, że wypije pan z nami. Z pewnością jest pan zmęczony, jeśli spędził pan taki słotny dzień na zewnątrz. Margaret, kochanie, czy mogłabyś trochę przyspieszyć herbatę?

Mogła przyspieszyć herbatę, biorąc jej przygotowanie w swoje ręce i obrażając tym samym Dixon, która przewrażliwieniem i irytacją okazywała żal za swoją zmarłą panią. Ale Marta, jak każdy, kto miał styczność z Margaret, wliczając w to także Dixon na dłuższą metę, uznawała za szczęście i honor spełniać życzenia panienki. Wkrótce też dobra wola młodej dziewczyny i wyrozumiałość panny Hale zawstydziły starą służącą.

– Dlaczego pan i panienka czują się zobowiązani, aby tu, w Milton, zapraszać na górę ludzi z niższych

klas, tego ja doprawdy pojąć nie mogę. W Helstone nie puszczano się takich dalej niż do kuchni, a znałam tam niejednego, który by nawet to uważał za wielki honor.

Higgins uznał, że łatwiej przyjdzie mu się zwierzać jednej osobie niż dwóm, więc jak tylko Margaret opuściła pokój, podszedł do drzwi i upewnił się, czy są faktycznie zamknięte. Potem wrócił i stanął niedaleko pana Hale'a.

– Nie zgadnie pan nigdy – zaczął – za czym się tak dzisiaj włóczyłem, zwłaszcza jak pan sobie przypomni to, co gadałem wczoraj. Szukałem roboty. Powiedziałem sobie, że będę grzeczny, że będę się pilnował, a niech sobie mówią, co chcą. Powiedziałem sobie, że prędzej odgryzę sobie jęzor, niż powiem coś jak raptus. Ale to wszystko ze względu na niego, rozumie pan – dodał, odchylając kciuk w jakimś niesprecyzowanym kierunku.

– Nie, nie rozumiem – odparł pan Hale, widząc, że Higgins oczekiwał jakiegoś potwierdzenia, ale zupełnie nie umiając przeniknąć, kim ów „on” mógł być.

– Ten facet, co tam leży – wyjaśnił Nicholas. – Poszedł tam i się utopił, biedaczyna! Nigdy bym nie

pomyślał, że jest do tego zdolny. Położył się nieruchomo i czekał, aż woda go całego ogarnie. Czekał na swoją śmierć. Boucher, wie pan.

– Tak, teraz już rozumiem – odpowiedział pan Hale. – Proszę jednak wrócić do tego, co pan mówił wcześniej, że nic pan nie powie w pośpiechu.

– Ze względu na niego. Choć właściwie nie ze względu na niego, bo tam, gdzie on jest, i w ogóle, to już nie będzie znał ani głodu, ani zimna. Bardziej ze względu na jego żonę i te dzieciaki, co je zostawił.

– Niech Bóg pana błogosławi! – krzyknął pan Hale, zrywając się. Po chwili uspokoił się i spytał bez tchu: – Ale co pan przez to rozumie? Proszę mi szybko powiedzieć.

– Przecież powiedziałem – odparł Higgins, lekko zdziwiony wzburzeniem gospodarza. – Nie prosiłbym o robotę dla siebie, ale oni są moim obowiązkiem. Bo tak sobie myślę, że mogłem doprowadzić Bouchera do lepszego końca. Ale zepchnąłem go z drogi, więc muszę teraz za to odpowiedzieć.

Pan Hale złapał dłoń Higginsa i w milczeniu, za to żarliwie, uścisnął ją. Mężczyzna wyglądał na zdumionego i zawstydzonego.

– No już, już, panie! Między nami nie ma człowieka, ale takiego prawdziwego człowieka, który postąpiłby inaczej. Wielu nawet lepiej. Ale niech mi pan wierzy, nie znalazłem roboty, nawet śladu. Powiedziałem Hamperowi, zostawiając tę przysięgę... której nie podpiszę... nie, nie mógłbym, nawet dla nich... powiedziałem mu, że nigdy nie miałby w swojej przędzalni takiego pracownika jak ja... ale on mnie nie chce... i inni właściciele też mnie nie będą chcieli. Jestem jak ta biedna czarna owca. Niegodny zaufania. Dzieci będą głodować, chyba że pan mi pomoże, wielebny.

– Pomóc panu? Ale jak? Zrobiłbym wszystko... Ale co ja mogę?

– Panienska – Margaret tymczasem wróciła do pokoju i stała, słuchając w milczeniu – tyle razy mówiła tak ładnie o Południu i o tym, jak tam jest. Ja tak do końca to nie wiem, jak to daleko stąd, ale sobie pomyślałem, że gdybym mógł się tam dostać, tam gdzie jedzenie jest tanie, zarobki dobre i gdzie wszyscy ludzie, bogaci i biedni, panowie i robotnicy, wszyscy są dla siebie jak przyjaciele, to może mógłby mi pan pomóc z robotą. Jeszcze nie skończyłem czterdziestu pięciu lat i jestem silny jak koń.

– Ale jaką pracę mógłby pan tam wykonywać?

– Mógłbym na przykład kopać, jak sądzę...

– A za to – wtrąciła Margaret, podchodząc do nich – w ogóle za wszystko, co byś tam robił, otrzymałbyś, Higgins, w najlepszym wypadku dziewięć szylingów na tydzień. Może dziesięć. Jedzenie kosztuje tam właściwie tyle samo, ile tutaj, choć tam mógłbyś mieć niewielki ogród.

– Dzieci by się nim zajęły – podchwycił. – Mam już dość Milton, a Milton ma dość mnie.

– Nie wolno ci się przenosić na Południe z tych powodów – powiedziała Margaret. – Nie zniósłbyś tego. Przy każdej pogodzie musiałbyś pracować na zewnątrz. Reumatyzm by cię zabił. W twoim wieku taka ciężka praca fizyczna szybko by cię zniszczyła. Nawet jedzenie jest tam zupełnie inne od tego, do którego jesteś tu przyzwyczajony.

– Nie widzę nic szczególnego w tym, co jem – odpowiedział prawie obrażony.

– Ale liczysz na mięso przynajmniej raz dziennie, jeśli pracujesz. Spróbuj zapłacić za nie z tych dziesięciu szylingów i jeszcze utrzymaj te biedne dzieci. Jestem ci

winna prawdę, ponieważ to moje opowieści podsunęły ci ów pomysł, to całe rozwiązanie. Nie zniósłbyś nudy, monotonii tego życia. Nie wiesz, jak to jest. Ta stagnacja pożarłaby cię jak rdza. Ci, którzy spędzili w ten sposób całe swe życie, są przyzwyczajeni do tego, że tkwią w bezruchu, jak w stojącej wodzie. Dzień za dniem pracują w przeraźliwym odosobnieniu parujących pól, nie mówią, nie podnoszą swych biednych, pochylonych głów. Ciężka jednostajna praca fizyczna okrada ich życie z myśli, monotonna harówka zabija ich imaginację, nie zależy im na tym, aby po dniu pracy spotkać się i porozmawiać z kimś o swych myślach i wątpliwościach, nawet najmniejszych, nawet najgłupszych. Ci biedacy wracają do domów zmęczeni jak bydłota i obchodzi ich tylko jedzenie i sen. Nie znalazłbyś w nich towarzyszy, którzy tutaj otaczają cię jak powietrze, którym oddychasz. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, że masz ich tutaj tylu, ale wiem jedno, że ze wszystkich znanych mi osób ty, Nicholasie, najtrudniej zniósłbyś życie wśród takich ludzi jak na Południu, wśród tych wiecznych wyrobników. To, co dla nich jest spokojem, dla ciebie byłoby wieczną zgryzotą. Nie myśl więcej

o tym, Nicholasie, błagam cię. Poza tym nigdy nie byłoby cię stać, by sprowadzić tam panią Boucher i dzieci. To jedno powinno cię przekonać.

– Przemyslałem to. Jeden dom by nam wystarczył, a meble z tego drugiego poszłyby w świat. Ludzie utrzymują tam jakoś swoje rodziny, dałbym radę z tą szóstką dzieciaków. Bóg nas wesprze! – oświadczył, bardziej utwierdzony w swym przekonaniu własną wizją niż tym, co powiedziała Margaret.

Nagle porzucił ten pomysł, który tak naprawdę zrodził się w jego umyśle w ostatniej chwili pod wpływem zmęczenia i niepokoju po ciężkim dniu.

– Bóg nas wesprze. I Północ, i Południe mają swoje troski. Jeśli tam jest zapewniona praca, to płaca za to jest głodowa, a tu w jednym kwartale mamy całe mnóstwo pieniędzy, a w następnym nie ma nawet złamanego szeląga. To jasne, że wszystko się pomieszało, i ja już nic z tego nie rozumiem. Świat potrzebuje, żeby go uporządkować, ale kto ma to zrobić, jeśli jest tak, jak mówią, i nie ma nic innego poza tym, co się widzi?

Ku zadowoleniu Margaret pan Hale zajmował się krojeniem chleba i smarowaniem go masłem. Dziew-

czyna uważała bowiem, że Higgins powinien być w tej chwili pozostawiony sam na sam ze swoimi myślami. Czuła, że gdyby jej ojciec podjął teraz nawet najłagodniejszą dyskusję z Nicholasem na temat jego przemyśleń, to ich gość mógłby uznać to za wyzwanie i kurczowo trzymałby się swego zdania. Panna Hale prowadziła więc z ojcem grzecznościową konwersację na obojętne tematy, podczas gdy Higgins, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zjadł przy nich całkiem solidny posiłek. Potem odsunął swoje krzesło od stołu i próbował wykazać zainteresowanie toczącą się rozmową, jednak bez powodzenia, i po chwili zapadł się z powrotem w ponure zamyślenie. Margaret już od pewnego czasu rozważała pewien pomysł, ale słowa grzęzły jej w gardle. W pewnej chwili przełamała się jednak i spytała:

– Higgins, czy szuka pan pracy także w Marlborough Mills?

– U Thorntona? – spytał. – Tak, byłem także u Thorntona.

– I co powiedział?

– Taki facet jak ja nie jest dopuszczany przed jego oblicze. Ale jego kierownik kazał mi się wynosić do diabła.

– Szkoda, że nie widział się pan z Thorntonem – powiedział pan Hale. – Być może nie dałby panu pracy, ale z pewnością nie używałby niegrzecznych słów.

– Jeśli chodzi o takie słowa, to jestem do nich przyzwyczajony. Nie przeszkadzają mi. Sam też nie jestem delikatnusi, jak mnie zdenerwują. Nie chodziło o słowa, ale o to, że mnie tam nie chcą. Ani tam, ani nigdzie indziej. O to chodziło.

– Chciałabym, Nicholasie, aby się pan zobaczył z panem Thorntonem – powtórzyła Margaret. – Czy poszedłby pan ponownie, chociaż wiem, że to trudne prosić o coś, ale czy poszedłby pan do niego jutro i spytał? Byłabym zadowolona.

– Obawiam się, że to by nic nie dało – stwierdził pan Hale cicho. – Byłoby chyba lepiej, abym to ja z nim porozmawiał.

Margaret nadal wpatrywała się w Higginsa, czekając na jego odpowiedź. Nie potrafił się oprzeć tym poważnym, łagodnym oczom. Westchnął ciężko.

– To by trochę wystawiło moją dumę na próbę. Gdyby chodziło tylko o mnie, to prędzej zniósłbym głód. Wolałbym raczej zdzielić tego człowieka niż go

o cokolwiek prosić. Wolałbym nawet być wychłostany. Ale panienska nie jest kimś takim sobie zwyczajnym, za przeproszeniem. I zachowanie panienski też nie jest takie sobie. Mogę się nawet krzywo uśmiechnąć i iść do niego jutro. Niech panienska jednak nie myśli, że on się zgodzi. To taki człowiek, że wolałby być spalony na stosie niż się poddać. Robię to tylko dla panienski i to jest pierwszy raz w życiu, gdy ustępuję kobiecie. Nawet mojej żonie ani Bess nigdy się to nie udało.

– Tym bardziej dziękuję – odpowiedziała Margaret z uśmiechem – choć wcale w to nie wierzę. Jestem pewna, że ustępował pan i żonie, i córce, tak jak wszyscy mężczyźni.

– A jeśli chodzi o pana Thorntona – włączył się pan Hale – to dam panu list do niego, który, jak mniemam, zapewni panu posłuchanie.

– Uprzejmie panu dziękuję, sir, ale równie dobrze mogę spróbować sam. Nie zniósłbym tego, że jestem faworyzowany i że wstawił się za mną ktoś, kto nie zna przyczyn kłótni. Wtrącanie się między pana i pracownika jest jak wcinanie się między męża a żonę, trzeba dużo mądrości, żeby przyszło z tego cokolwiek dobre-

go. Stanę na straży przy wejściu do fabryki i będę tam stał od szóstej rano aż do chwili, gdy on mnie przyjmie. Wolałbym zamiatać ulice, tylko że biedacy przyczepili się do tej roboty. Ale niech panienka na nic nie liczy, bo jest większa szansa, że mleko popłynie z kamienia, niż że Thornton da mi robotę. Życzę państwu bardzo dobrej nocy. I wielkie dzięki.

– Pana buty są przy ogniu w kuchni, postawiłam je tam, aby wyschły – oznajmiła Margaret.

Odwrócił się i spojrzał na nią z uwagą. A potem przetarł oczy szczupłą dłonią i odszedł.

– Cóż za dumny człowiek – stwierdził pan Hale, lekko urażony tym, że Higgins nie zgodził się na jego wstawiennictwo u pana Thorntona.

– To prawda – przytaknęła Margaret – ale cóż za wielkie zalety można w nim odkryć, dumę i tyle innych.

– To bardzo zabawne, jak on wyraźnie szanuje w panu Thorntonie te cechy charakteru, które sam posiada.

– Ci ludzie na Północy mają w sobie coś z granitu, prawda, papo?

– Nie zawsze. Obawiam się, że nie znalazłabyś granitu w Boucherze. W jego żonie również nie.

– Sądząc z ich karnacji, powiedziałabym, że pochodzą z Irlandii. Zastanawiam się, czy Higginsowi uda się jutro cokolwiek osiągnąć. Jeśli porozmawiają ze sobą jak człowiek z człowiekiem, jeśli Higgins zapomni, że pan Thornton jest właścicielem fabryki, i będzie go traktował tak jak nas, i jeśli pan Thornton znajdzie w sobie wystarczająco dużo cierpliwości i zwykłego serca, by wysłuchać Higginsa, ale nie jako pracodawca...

– Widzę, Margaret, że zaczynasz w końcu oddawać panu Thorntonowi sprawiedliwość – stwierdził ojciec, dając dziewczynie prztyczka w ucho.

Margaret czuła dławienie w sercu i nie zdołała odpowiedzieć. Och! – pomyślała – szkoda, że nie jestem mężczyzną. Mogłabym iść do niego i zmusić go, by wyraził swą dezaprobatę wprost. I mogłabym powiedzieć mu uczciwie, że zasłużyłam na to. To takie trudne tracić jego przyjaźń w chwili, gdy właśnie zaczynam go doceniać. Jaki był dobry dla mamy! Nawet gdyby to miało być tylko ze względu na nią, chciałabym, aby przyszedł, bo wreszcie wiedziałabym, jak nisko upadłam w jego oczach.

XXXVIII

SPEŁNIONE OBIETNICE

*I dumnie, ach, jak dumnie wstała,
Choć w oczach jej błysnęły łzy.
„Cokolwiek mówisz, cokolwiek myślisz,
Ode mnie nie usłyszysz nic”.*

Ballada szkocka

*N*ie chodziło tylko o to, że pan Thornton wiedział o kłamstwie panny Hale, choć ona sobie wyobrażała, że właśnie ono zniszczyło jej wizerunek w jego oczach; prawdziwym bólem było to, że ta nieprawda jednoznacznie kojarzyła mu się z osobą jej ukochanego. Nie potrafił zapomnieć tych poważnych, oddanych spojrzeń, jakie zamieniali z sobą Margaret i ten

obcy mężczyzna, postawy pełnej poufałości i zażyłości, wręcz czułości. Ta myśl kłuła go nieustannie, miał ten obraz ciągle przed oczyma, dokądkolwiek poszedł i czymkolwiek się zajmował. Sytuację pogarszało to, że widział ich o zmroku, i w tak nieuczęszczanym miejscu. Na to wspomnienie aż zgrzytał zębami. Szlachetniejsza część jego istoty podpowiadała mu, że te okoliczności mogły być przypadkowe, niewinne, łatwe do wyjaśnienia. Skoro przyznał jej prawo do kochania i bycia kochaną (Bo czy miał jakikolwiek powód, by odmówić jej tego prawa? Czy jej własne słowa nie były wystarczająco jasne, gdy odrzucała jego miłość?), mogła dać się namówić na spacer dłuższy i o późniejszej godzinie, niż przypuszczała. Ale to kłamstwo! Miała fatalną świadomość złego uczynku i starała się go zataić, co zupełnie do niej nie pasowało. Musiał jej to przyznać, choć chyba czułby się lepiej, gdyby umiał uwierzyć, że była całkowicie niegodna jego szacunku i poważania. To stąd brał się cały problem – kochał ją namiętnie i pomimo jej błędów uważał za bardziej zachwycającą i doskonałą niż jakakolwiek inna kobieta. Jego zdaniem tak bardzo przywiązała się do tego mężczyzny, tak bardzo pozwo-

liła się opanować tej miłości, że pogwałciła swą prawdziwą naturę i skłamała. I właśnie ta nieprawda, którą się splamiła, była dowodem tego, jak bardzo kochała tamtego – szczupłego, eleganckiego, przystojnego mężczyznę, podczas gdy on sam był nieokrzesany, surowy, przyciężki. Z okrucieństwem wpędzał się w mękę dzikiej zazdrości. Ciągłe wspominał wygląd tamtego, jego postawę; rzuciłby całe swe życie do jej stóp za takie czułe spojrzenia, za sam dotyk. Sztydził z siebie, że tak wysoko cenił instynktowny sposób, w jaki ochroniła go przed rozszalałym motłochem. Dopiero teraz widział, jak delikatnie i urzekająco wyglądała przy mężczyźnie, którego kochała prawdziwie. Pamiętał każde jej ostre słowo: „Nie było tam mężczyzny, dla którego nie miałabym więcej współczucia i sympatii, dla którego nie zrobiłabym czegokolwiek z większą chęcią”. W swym pragnieniu uniknięcia rozlewu krwi stawiała go na równi z każdym wzburzonym robotnikiem. A tamten, ten tajemny kochanek, władał nią niepodzielnie. Do niego należały jej spojrzenia, słowa, uścisk dłoni, kłamstwa, ukrywanie. To wszystko należało do niego.

Pan Thornton zdawał sobie sprawę, że nigdy dotąd

nie irytował się tak łatwo jak teraz. Na każde zadane mu pytanie miał chęć rzucić szybką, obcesową odpowiedź, która bardziej przypominała warknięcie niż ludzką mowę. Ta świadomość raniła jego dumę, którą zawsze czerpał ze swego opanowania, i chyba z tego tylko względu jednak się kontrolował. Tak więc dzięki rozwadze zdołał okiełznać swe zachowanie, ale sama przyczyna pozostała. W domu milczał częściej niż dotychczas, spędzając wieczory na nieustannym przemierzaniu pokoju, co z pewnością doprowadzałoby jego matkę do szaleństwa, gdyby chodziło o kogokolwiek innego. Chociaż nawet wobec ukochanego syna nie zawsze potrafiła się zdobyć na wyrozumiałość.

– Czy mógłbyś się zatrzymać? Mógłbyś usiąść na chwilę? Mam ci coś do powiedzenia, jeśli tylko przewiesz choć na moment ten nieustający spacer.

Natychmiast usiadł na krześle pod ścianą.

– Chcę z tobą porozmawiać o Betsy. Twierdzi, że musi nas opuścić. Śmierć jej narzeczonego tak fatalnie na nią wpłynęła, iż nie jest w stanie pracować.

– Doskonale. Myślę, że znalezienie innej kucharki nie będzie stanowiło problemu.

– Jakie to typowo męskie podejście! To nie chodzi tylko o gotowanie, ale o to, że ona zna dom, nas, panując tu zwyczajnie. Poza tym powiedziała mi coś o twojej przyjaciółce, pannie Hale.

– Panna Hale nie jest moją przyjaciółką. Moim przyjacielem jest pan Hale.

– Cieszę się, że tak mówisz, bo gdyby była twoją przyjaciółką, to, co mówi Betsy, tylko by cię zdenerwowało.

– Cóż to takiego? – powiedział nienaturalnie spokojny, bo taką właśnie pozę przyjmował przez ostatnie dni.

– Betsy mówi, że tej ostatniej nocy, gdy jej narzeczony, zapomniałam, jak on się nazywał, bo ona zawsze mówi o nim „on”...

– Leonards.

– Tej nocy, gdy Leonards był po raz ostatni widziany na stacji, gdy był ostatni raz widziany na służbie, była tam panna Hale. Spacerowała z jakimś młodym mężczyzną, który, jak twierdzi Betsy, zabił Leonardsa ciosem czy pchnięciem.

– Leonards nie zginął ani od uderzenia, ani od pchnięcia.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ zadałem jednoznaczne pytanie chirurgowi w lecznicy. Powiedział mi, że przyczyną śmierci była choroba spowodowana niewiarygodnym wprost nadużywaniem alkoholu. To zatem, że pogorszenie jego stanu zdrowia nastąpiło w stanie upojenia alkoholem, rozwiązuje kwestię, czy śmiertelny atak był następstwem picia, czy upadku.

– Upadku! Jakiego upadku?

– Tego spowodowanego ciosem lub pchnięciem, o których mówiła ci Betsy.

– Był więc jednak cios lub pchnięcie.

– Wydaje się, że tak.

– Ale kto to zrobił?

– Wobec takiej, a nie innej diagnozy lekarskiej oficjalne dochodzenie nie zostało wszczęte. Nie potrafię więc odpowiedzieć na to pytanie.

– Ale panna Hale tam była?

Nie otrzymała odpowiedzi.

– Z młodym mężczyzną?

Nadal nie padła odpowiedź. W końcu John powiedział:

– Mówiłem ci, mamó, że nie było dochodzenia. Nie było przesłuchań. To znaczy sądowych.

– Betsy twierdzi, że Woolmer, jej znajomy, który pracuje w sklepie z warzywami w Crampton, przysięga, iż widział o tej godzinie pannę Hale na stacji spacerującą z jakimś młodzieńcem.

– Nie rozumiem, co mamy z tym wspólnego. Panna Hale może robić, na co tylko ma ochotę.

– Cieszy mnie, że tak mówisz – odparła pani Thornton z ożywieniem. – Dla nas to z pewnością niewiele znaczy... dla ciebie zwłaszcza, po tym, co zaszło. Ale ja... ja złożyłam pani Hale obietnicę, że nie dopuszczę do tego, aby jej córka zeszła na złą drogę, że w razie czego jej doradzę i upomnę. I teraz jestem zdecydowana powiedzieć jej, co myślę o takim zachowaniu.

– Nie widzę nic złego w jej zachowaniu tamtego wieczoru – oznajmił pan Thornton, wstając i podchodząc bliżej. Stał przy kominku z twarzą odwróconą od matki.

– Przypuszczam, że nie podobałoby ci się, gdyby widziano Fanny na odludziu po zmierzchu, do tego spacerującą z młodym człowiekiem. Już nawet nie wspo-

minam o tym, że panna Hale oddawała się przyjemnościom w czasie, gdy jeszcze nie zdążyli pochować jej matki. Chciałbyś, aby jakiś sprzedawca warzyw widział Fanny w takiej sytuacji?

– Po pierwsze, nie minęło jeszcze wiele czasu, odkąd ja sam byłem pomocnikiem sklepikarza, więc sama okoliczność, że jakiś sprzedawca był świadkiem pewnego wydarzenia, w niczym nie zmienia tego wydarzenia w moich oczach. Po drugie, moim zdaniem istnieje zasadnicza różnica między panną Hale a Fanny. Bez kłopotu potrafię sobie wyobrazić, że jedna z nich miała istotne powody, które sprawiły, iż musiała postąpić wbrew ogólnie przyjętym zasadom przyzwoitości. Jeśli zaś chodzi o Fanny, to jeszcze nigdy nie zauważyłem, aby miała istotne powody ku czemukolwiek. To inni muszą jej strzec. A panna Hale, moim zdaniem, sama jest swoją strażniczką.

– Doskonałe masz mniemanie o swojej siostrze. Doprawdy, John, już się wydawało, że panna Hale dołożyła wszelkich starań, byś wreszcie przejrzał na oczy. Zrobiła z siebie przedstawienie, publicznie okazując ci udawane uczucie, czym skłoniła cię do oświadczyń,

a potem usunęła cię z gry i wybrała tamtego człowieka. Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Teraz wreszcie wszystko jest dla mnie jasne. Ty wiesz, jak przypuszczam, że on jest jej ukochanym. Przyznaj chociaż to.

Odwrócił się w stronę matki i zobaczyła jego twarz – poszarzałą i srogą.

– Tak, matko. Wierzę, że on jest jej ukochanym. – Kiedy to powiedział, ponownie stanął do niej tyłem. Nagle skręcił się, jak ktoś dotknięty paroksyzmem bólu. Wsparł twarz o dłoń. A potem, zanim ona zdołała się odezwać, odwrócił się ostro w jej stronę. – Matko, to jej ukochany, kimkolwiek jest. A ona może potrzebować pomocy. I kobiecej rady. Mogły się pojawić jakieś kłopoty, komplikacje. Coś, o czym nie wiem. Obawiam się, że coś takiego się właśnie stało. Nie chcę wiedzieć, co. Ale tak, jak byłaś dobrą... och, i czułą matką dla mnie, idź teraz do niej, zdobądź jej zaufanie i poradź jej, jak najlepiej postąpić. Wiem, że coś jest nie tak. Jakaś zgroza, jakiś strach, coś okropnego ją dręczy.

– Na litość boską, John! – krzyknęła matka, teraz naprawdę zdenerwowana. – O co ci chodzi? Co ty wiesz o tym wszystkim?

Nie odpowiedział jej.

– John! Jeśli mi nie powiesz więcej, nie będę wiedziała, co o tym myśleć. Nie masz prawa mówić zagadkami, jeśli to jest coś przeciwko niej.

– Nie przeciwko niej, mamo! Nie mógłbym powiedzieć czegokolwiek przeciwko niej.

– Cóż, nie masz prawa, ale zaczynasz mówić, a nie chcesz powiedzieć więcej. Te aluzje, urywane w połowie zdania, to wszystko rujnuje reputację kobiety.

– Jej reputację! Matko, nie ośmielisz się... – Odwrócił się i pałającymi oczyma spojrzał w jej twarz. A potem, odzyskując wyćwiczone opanowanie i godność, powiedział: – Powiem tylko to, o czym wiem, że ona jest, ni mniej, ni więcej, tylko samą prawdą. I ufam, że mi uwierzysz. Mam powody przypuszczać, że panna Hale przeżywa jakieś trudności czy zgryzotę, mające coś wspólnego z jej związkiem, co do którego jestem pewien, znając ją, że jest całkowicie niewinny i uczciwy. Jakie są powody, bym tak sądził, tego nie mogę wyjawiać. Ale nigdy więcej nie chcę słyszeć z niczyich ust nawet jednego słowa przeciwko niej, nawet jednego słowa przypisującego jej cokolwiek drożnego. Ona teraz

potrzebuje rady od jakiejś serdecznej i łagodnej kobiety. A ty przyrzekałaś pani Hale, że będziesz tą kobietą!

– Nie! – zaprzeczyła pani Thornton. – Szczęściem nie obiecywałam ani serdeczności, ani łagodności, bo już wtedy czułam, że nie będę w stanie tego okazać komuś o charakterze i usposobieniu panny Hale. Obiecałam radę, i to taką, jakiej udzieliłabym własnej córce. I porozmawiam z nią tak, jakbym rozmawiała z Fanny, gdyby się po nocy szwendała z jakimś mężczyzną. Powołam się tylko na okoliczności, które znam, i nie będę ulegać wpływom tych „ważnych powodów”, których nie chcesz mi zdradzić. Tym samym wypełnię to przyrzeczenie i spełnię swój obowiązek.

– Ona tego nie zniesie – oświadczył z pasją.

– Będzie musiała to znieść, jeśli przemówię w imieniu jej zmarłej matki.

– Cóż – odezwał się z wyraźną intencją zamknięcia tematu – nic więcej mi o tym nie mów. Nie mogę nawet o tym myśleć. Ale i tak będzie chyba lepiej, jeśli z nią porozmawiasz, niż gdyby nikt się tym nie zajął...

Och, to spojrzenie, takie pełne miłości! – mełł słowa między zębami, gdy już został sam w swoim pry-

watnym apartamencie. I to przeklęte kłamstwo, które przecież dowodzi, że za tym wszystkim stoi coś niegodnego, coś, co trzeba skrywać przed tą jasnością, w której ją zawsze widziałem, w której, jak myślałem, ona żyje. Och, Margaret, Margaret! Jaką torturę mi zadałaś! Margaret, czy naprawdę nie byłaś w stanie mnie pokochać? Jestem twardy i nieokrzesany, ale nigdy nie pozwoliłbym, abyś dla mnie kłamała.

Im więcej pani Thornton rozmyślała nad tym, co powiedział jej syn, jak błagał o litościwy osąd postępkowi Margaret, tym gorzej była do niej usposobiona. Czowała wprost dziką przyjemność na myśl, że przemówi tej dziewczynie do rozumu pod pozorem wypełnienia złożonej przysięgi. Radowała się, że ona sama udowodni swą odporność na czar, jaki panna Hale zdawała się rzucać na tylu ludzi. Lekceważąco prychała na wspomnienie urody swojej przyszłej ofiary – te lśniące kuczne włosy, gładka przejrzysta skóra, świetliste oczy – to jej nic nie pomoże; pani Thornton nie oszczędzi jej ani jednego słowa sprawiedliwej i surowej wymówki. Przez pół nocy przygotowywała sobie w głowie przemowę.

– Czy panna Hale jest w domu? – zapytała, choć

wiedziała, że jest, bo dostrzegła ją przez okno. Zanim Marta zdążyła odpowiedzieć, pani Thornton już stała w małym holu.

Margaret siedziała sama i pisała do Edith, relacjonując kuzynce szczegóły ostatnich dni życia matki. Tak ją to wzruszyło, że musiała wycierać nieproszone łzy, gdy zaanonsowano gościa.

Powitała panią Thornton jak prawdziwa dama i przybyła poczuła się trochę tym obezwładniona. Wobec takiego przyjęcia było jej trudniej wypowiedzieć ostrą przemowę, tak łatwo formułowaną, gdy nie zwracała jej do nikogo konkretnego. Niski, dźwięczny głos dziewczyny brzmiał łagodniej niż zwykle, a całe jej zachowanie było jeszcze bardziej czarujące, ponieważ czuła wdzięczność wobec tej kobiety za grzeczność okazaną wizytą. Wysilała się, by znaleźć interesujące tematy do rozmowy: chwaliła Martę, którą pani Thornton dla nich wyszukała, relacjonowała swą korespondencję z Edith na temat pewnej greckiej arietki, o której kiedyś wspominała pannie Fanny. Sroga matrona czuła się coraz bardziej zakłopotana; ostra stal miecza, z którym przybyła, wydawała się tak bardzo nie na miejscu po-

śródm tych pąków róż. Milczała, bo usiłowała zmobilizować się do wypełnienia swej misji. Nieoczekiwanie i wbrew posiadanym informacjom w jej umyśle pojawiło się nagle podejrzenie, że ta słodycz gospodyni ma na celu przebłaganie pana Thorntona, gdyż z jakichś względów nadzieje panny Hale związane z tamtym drugim związkiem zawiodły i dlatego postanowiła przyciągnąć z powrotem swego odrzuconego wielbiciela. Ta myśl stała się dla pani Thornton impulsem do spełnienia tego, co postanowiła.

Biedna Margaret! W tych przypuszczeniach było tylko tyle prawdy, że dziewczyna patrzyła na swego gościa jak na matkę mężczyzny, którego szacunek wiele dla niej znaczył, zwłaszcza teraz, gdy obawiała się, że go utraciła. To jeszcze przydało wykwintności i serdeczności jej zwykłemu zachowaniu wobec gości. Pani Thornton wstała, jakby szykując się do odejścia, jednak wyraźnie miała coś jeszcze do powiedzenia. Odchrząknęła i zaczęła mówić:

– Panno Hale, mam obowiązek do spełnienia. Obiecałam pani biednej matce, że kierując się moim niedoskonałym osądem, nie pozwolę pani na żaden

uczynek, który uznam za niestosowny – tu trochę złagodziła ton głosu – nawet popełniony nieumyślnie. Zostałam zatem upoważniona do pouczenia pani, a przynajmniej udzielenia rady, niezależnie od tego, czy ją pani przyjmie, czy nie.

Margaret stała przed nią, rumieniąc się jak jakiś winowajca, a jej oczy ogromniały, gdy patrzyła na panią Thornton. Myślała, że przyszła ona, aby mówić o owym kłamstwie, że to syn prosił matkę, by wyjaśniła jej niebezpieczeństwo, na jakie się wystawiła, związane z możliwością obalenia jej zeznań przed sądem. I chociaż serce w niej zamarło na myśl, że wołałaby, aby sam przyszedł, skarcił ją osobiście, przyjął jej skrucę i zwrócił jej swój szacunek, czuła się wystarczająco poniziona, by z cierpliwością i potulnością wysłuchać nagany.

Pani Thornton kontynuowała:

– Po pierwsze, gdy usłyszałam od mojej służącej, że widziano panią spacerującą z jakimś mężczyzną w miejscu tak oddalonym od domu, jak stacja Outwood, i do tego wieczorem, przyznam, że w pierwszej chwili nie chciałam w to uwierzyć. Mój syn jednakże potwierdził

ten fakt. Mówiąc najbardziej oględnie, był to czyn nierozważny. Wiele młodych kobiet straciło reputację...

Oczy Margaret błysnęły ogniem. To była całkiem nowa kwestia. Co za obraza! Gdyby ta kobieta zaczęła mówić o wypowiedzianym kłamstwie, cóż, trudno, przyznałaby jej rację i upokorzyła się. Ale wtrącać się do jej prowadzenia się... mówić ojej reputacji! Ona... pani Thornton, ktoś całkowicie obcy! Przecież to impertynencja! Nie odpowie na to! Ani jednym słowem! Jej rozmówczyni dostrzegła ten bunt w oczach Margaret i to obudziło jej własną wojowniczość.

– Przez wzgląd na pamięć pani matki czułam się w obowiązku ostrzec panią przed taką niestosownością. Może to pani poważnie zaszkodzić w oczach świata, nawet jeśli nie wyrządza pani żadnej szkody.

– Przez wzgląd na pamięć mojej matki – odpowiedziała Margaret głosem nabrzmiałym od łez – jestem w stanie wiele znieść. Ale nie wszystko. Jestem pewna, że nie zamierzała pani obrzucać mnie obelgami.

– Obelgami, panno Hale?

– Tak, madam – odparła dziewczyna już spokojniej – to jest obelga. Co pani o mnie wie, że posunęła się pani

do podejrzeń... Och! – Głos jej się urwał i zakryła twarz dłońmi. – Już teraz rozumiem. Pan Thornton powiedział pani...

– Nie, panno Hale – przerwała jej pani Thornton, gdyż uczciwość kazała jej powstrzymać wyznanie, które Margaret właśnie zamierzała uczynić, choć paliła ją ciekawość, aby je usłyszeć. – Zatrzymaj się. Pan Thornton nie powiedział mi nic. Nie znasz mojego syna. Nie jesteś warta, by go znać.

A teraz posłuchaj i postaraj się zrozumieć, o ile potrafisz, jakiego człowieka odrzuciłaś. Ten potężny przemysłowiec, mimo że jego czułym, wielkim sercem wzgardzono, powiedział mi wczoraj wieczorem tylko to: „Idź do niej. Mam powody, by podejrzewać, że panna Hale przeżywa jakieś trudności czy zgryzotę, które mają coś wspólnego z jej związkiem. Ona teraz potrzebuje rady od kobiety”. Takie były jego słowa. Nic więcej, poza potwierdzeniem faktu, że wieczorem dwudziestego szóstego byłaś na stacji Outwood z mężczyzną, nic więcej mój syn nie powiedział. Ani jednego słowa przeciwko tobie. Jeśli wie o czymkolwiek, co może być powodem, dla którego teraz szlochasz, to zatrzymał to dla siebie.

Margaret nadal skrywała twarz w dłoniach, a przez palce ciekły jej łzy. Pani Thornton trochę złagodniała.

– Przyznaję, panno Hale, że dopuszczam istnienie okoliczności, które mogą wyjaśnić całą sytuację i zarzut nieprzyzwoitości.

Nie otrzymała odpowiedzi. Margaret rozważała, co zrobić. Chciała postąpić uczciwie wobec pani Thornton, a jednak nie mogła. Nie wolno jej było udzielić wyjaśnienia. Niecierpliwość gościa wzrastała.

– Z przykrością widziałabym zerwanie naszej znajomości, ale ze względu na Fanny... Tak jak powiedziałam mojemu synowi, gdyby moja córka postąpiła w ten sposób, uznalibyśmy to za hańbę... a przecież Fanny mogłaby zostać zwiedziona przez taki przykład...

– Nie mogę pani niczego wyjaśnić – odpowiedziała Margaret cicho. – Postąpiłam niewłaściwie, ale nie chodzi o czyn, o którym pani myśli lub wie. Pani syn osądził mnie bardziej litościwie. – Z trudem powstrzymywała dławiące ją łzy. – Chcę wierzyć, madam, że kierowały panią chwalebne intencje.

– Dziękuję – powiedziała pani Thornton, podnosząc się. – Nie sądziłam, że moje intencje były kwestiono-

wane. Wtrącałam się po raz ostatni. Niechętnie się zgodziłam na złożenie tej obietnicy, ale pani matka bardzo o to prosiła. Nie pochwalałam uczuć mojego syna wobec pani od pierwszego momentu, kiedy zaczęłam go o to podejrzewać. Nie wydawała mi się pani godna Johna. Ale kiedy w dniu zamieszek skompromitowała się pani i wystawiła na komentarze robotników i służby, poczułam, że nie mam dłużej prawa oponować wobec jego zamiaru oświadczenia się pani, zamiaru, którego zresztą aż do dnia rozruchów zdecydowanie się wypierał. – Margaret skrzywiła się i wciągnęła powietrze z długim świstem, na co jednak pani Thornton nie zwróciła żadnej uwagi. – Poszedł, a pani najwyraźniej zdążyła zmienić zdanie i odrzuciła go. Powiedziałam wczoraj synowi, że jak mniemam, najprawdopodobniej w tym krótkim czasie, jaki upłynął do chwili jego oświadczyń, usłyszała pani lub dowiedziała się czegoś o tym drugim kochanku...

– Co pani musi o mnie myśleć, madam? – spytała Margaret ze wzgardą, odrzucając do tyłu głowę, aż jej szyja wygięła się na kształt łabędziej. – Proszę już nic więcej nie mówić. Rezygnuję z jakiegokolwiek próby

usprawiedliwienia się wobec zarzutów. Pozwoli pani, że opuszczę pokój – oświadczyła i odpłynęła bezszelestnie z gracją obrażonej księżniczki.

Pani Thornton miała wystarczająco dużo naturalnego poczucia humoru, aby odczuć niedorzeczność swego położenia. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko samej się odprowadzić. Nie była specjalnie poirytowana zachowaniem Margaret, zbyt mało o nią dbała, by się tym przejmować. Dziewczyna wzięła sobie do serca udzieloną jej naganę tak żywo, jak pani Thornton oczekiwała, a egzaltacja panny Hale udobruchała jej gościa bardziej, niż mogłyby zdziałać spokój lub rezerwa. Świadczyła bowiem o tym, że słowa reprimendy nie trafiły w próżnię.

Moja młoda damo – pomyślała pani Thornton – masz całkiem niezły charakterek. Gdybyście się kiedyś zeszli z Johnem, musiałby cię trzymać twardą ręką, abyś nie zapomniała, gdzie twoje miejsce. I nie sądzę, byś zbyt szybko zdecydowała się ponownie na spacer ze swoim kochasiem. Za dużo w tobie dumy i ikry. Lubię obserwować, jak dziewczyna peszy się na wiadomość, że jest na językach. To dowodzi, że nie jest

ogłupiała z miłości, ale odważna. Może i jest zuchwałą, ale nie traci głowy. To jej muszę oddać. A Fanny jest trzpiotowata i nigdy nie będzie śmiała. Nie ma za grosz odwagi, biedaczka.

Pan Thornton nie spędził poranka w tak zadowolający sposób jak jego matka. Ona przynajmniej spełniła złożoną obietnicę, on natomiast usiłował się zorientować w bieżącej sytuacji i ustalić, jakie są rozmiary strat spowodowanych przez strajk. Duża część jego kapitału była zablokowana w nowych, kosztownych urządzeniach, poza tym dokonał poważnych zakupów bawełny, aby móc wywiązać się z zamówień o dużej wartości, które w ostatnim czasie napłynęły. Strajk spowodował spore opóźnienia w realizacji tych kontraktów i nawet gdyby fabrykant dysponował swymi wykwalifikowanymi robotnikami, miałby trudności w wypełnieniu podjętych zobowiązań. W bieżącej sytuacji źródłem codziennej troski była niekompetencja irlandzkich pracowników, którzy, zamiast nadganiać stracony czas, bezustannie potrzebowali rad i instrukcji.

To nie był szczęśliwy moment, aby Higgins przedstawiał swą prośbę. Jednakże obiecał to Margaret, więc

choć z każdą chwilą narastała w nim niechęć i duma, choć coraz bardziej poseępniał, to godzina po godzinie stał, opierając się o ścianę, najpierw jedną, potem drugą nogą. W końcu zasuwa się gwałtownie uniosła i pan Thornton wyszedł.

– Chciałbym z panem porozmawiać, sir.

– Nie mogę się teraz zatrzymywać. Już i tak jestem spóźniony.

– Cóż, zaczekam tu, aż pan wróci.

Przedsiębiorca był już w połowie ulicy. Higgins westchnął. Nie miał innego wyjścia. Jedyłą szansą na rozmowę z właścicielem fabryki było złapanie go na ulicy, bo gdyby zadzwonił do wartowni lub nawet poszedł pytać o niego w domu, bez wątpienia odesłano by go do jednego z nadzorców. Stał więc nadal bez ruchu i poza krótkim skinieniem głową nie raczył udzielić innej odpowiedzi znajomym mężczyznom, którzy w czasie przerwy obiadowej wychodzili z przędzalni. Tak samo bez słowa przyglądał się spode łba ostatnio sprowadzonym irlandzkim łamistrajkom. W końcu pan Thornton wrócił.

– Co? Jeszcze tu jesteś?

– Tak, sir. Muszę z panem porozmawiać.

– Wejść w takim razie. Czekać. Przejdziemy przez dziedziniec. Pracownicy jeszcze nie wrócili, więc jest tam na razie pusto. Ci dobrzy ludzie, jak widzę, są jeszcze na obiedzie – powiedział, zamykając drzwi stróżówki.

Zatrzymał się, aby porozmawiać z brygadzystą, który powiedział mu cichym głosem:

– Wie pan, przypuszczam, że ten człowiek to Higgins, jeden z liderów związku. To właśnie on wygłosił to przemówienie w Hurstfield.

– Nie, nie wiedziałem – odpowiedział pan Thornton, szybko spoglądając na przybysza. Znał go z nazwiska i wiedział, że uznawany jest za wicherzyciela.

– Wejść – zwrócił się do niego bardziej szorstkim tonem.

To właśnie jeden z tych – pomyślał – którzy utrudniają nam działalność i niszczą nasze miasto. Demagodzy, wielbiciele siły, niezależnie od tego, kto później za to płaci.

– Słucham pana. Czego pan sobie ode mnie życzy? – spytał, odwracając się twarzą do Higginsa, gdy tylko znaleźli się w kantorze.

– Nazywam się Higgins.

– To akurat wiem – wtrącił pan Thornton – ale czego pan chce ode mnie, panie Higgins? Oto jest pytanie.

– Chcę pracy.

– Pracy! Niezły z pana żartowniś, skoro przychodzi pan z tym do mnie. Nie brak panu bezczelności.

– Tak samo jak lepsi ode mnie mam wrogów i takich, co mnie obmawiają za plecami. Nigdy jednak nie słyszałem, aby ktoś z nich nazywał mnie zbyt skromnym – odpowiedział Higgins, lekko poirytowany nie tyle słowami pana Thorntona, co raczej jego zachowaniem.

Fabrykant dostrzegł na stole list adresowany do siebie. Podniósł go i przebiegł wzrokiem, a gdy skończył, uniósł głowę i spytał:

– Na co pan czeka?

– Na odpowiedź na moje pytanie.

– Już jej udzieliłem. Proszę nie tracić więcej swego czasu.

– Pan tylko zrobił uwagę, sir, o mojej bezczelności. A mnie uczono, że na grzecznie zadane pytanie należy udzielić odpowiedzi „tak” lub „nie”. I byłbym wdzięcz-

ny, gdyby mi pan dał pracę. Hamper może poświadczyć, że dobry ze mnie robotnik.

– Wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyś mnie, mój panie, nie odsyłał do Hampera z prośbą o referencje. Mogę usłyszeć od niego więcej, niżbyś sobie życzył.

– Zaryzykuję. Najgorsze, co mógłby o mnie powiedzieć, to że zrobiłem, co uważałem za najlepsze, nawet wbrew własnym interesom.

– Najpierw idź i sprawdź, czy ktokolwiek da ci pracę. Zwolniłem ponad stu moich najlepszych pracowników za to tylko, że posłuchali ciebie i tobie podobnych, a teraz myślisz, że cię przyjmę? Równie dobrze mógłbym przyłożyć pochodnię do czyściwa.

Higgins się odwrócił. Przypomniawszy sobie jednak o Boucherze i ponownie spojrzawszy na Thorntona z wyrazem największej pokory, na jaką potrafił się zdobyć.

– Obiecałbym panu, że jak pan będzie dobrze z nami postępował, to nie wypowiem ani jednego słowa, które mogłoby panu przynieść szkodę. Obiecałbym nawet więcej; obiecałbym, że gdybym widział, iż idzie pan w złą stronę i działa niesprawiedliwie, powiedziałbym to panu na osobności. I to by było uczciwe ostrze-

żenie. A gdybyśmy mieli różne zdania o pana postępowaniu, będzie pan mógł mnie wywalić w ciągu jednej godziny.

– Słowo daję! Z pewnością nie uważasz się za mało znaczącego! Hamper poniósł ogromną stratę. Jak to się stało, że pozwolił odejść tobie wraz z twoją mądrością?

– Cóż, rozstaliśmy się ku obopólnemu niezadowoleniu. Ja nie chciałem podpisać tej przysięgi, tak jak żądał, a on nie chciał mnie zatrzymać bez tego. Teraz jestem więc wolny i szukam zatrudnienia. I jak powiedziałem, choć może nie powinienem, dobry ze mnie robotnik, sir, i spokojny człowiek, zwłaszcza jak nie tykam butelki. A to właśnie zamierzam teraz, tak jak nigdy dotychczas.

– Po to, abyś mógł wyłożyć więcej pieniędzy na kolejny strajk, jak przypuszczam?

– Nie, choć chciałbym tego. Potrzebuję pieniędzy, aby utrzymać wdowę i dzieciaki człowieka, którego do szaleństwa doprowadzili ci pana sprowadzeni robotnicy. Został wywalony, a jego miejsce zajął jakiś Irlandczyk, co to nie ma zielonego pojęcia o pracy w przędzalni.

– W takim razie znajdź sobie może jakieś inne za-

jęcie, jeśli masz takie chwalebne intencje. Nie radzę ci zostawać w Milton, bo jesteś tu zbyt dobrze znany.

– Gdyby było lato, wziąłbym się do roboty Irlandczyków, nająłbym się przy budowie dróg albo kolei, może przy sianokosach czy czymś takim, i nigdy więcej moja noga nie stanęłaby w Milton. Ale jest zima i dzieciaki by głodowały.

– Byłbyś niezłym robotnikiem przy budowie dróg! Nie dałbyś rady zrobić nawet połowy tego, co Irlandczyk.

– W takim razie brałbym tylko pół dniówki za dwaście godzin, gdybym zdołał w tym czasie wykonać nie więcej niż połowę roboty. A może zna pan jakieś miejsce, gdzie przyjęto by mnie na próbę? Z dała od przędzalni, skoro ze mnie taka pochodnia? Ze względu na te dzieciaki zgodziłbym się na każde pieniądze, jakie byłbym wart.

– Czy nie widzisz, co by z tego wynikło? Byłbyś prawie łamistrajkciem. Akceptowałbyś niższe zarobki niż pozostali robotnicy, i to wszystko dla dzieci innego mężczyzny. Pomyśl o jakimś biedaku, który zamierzał zarobić tyle, ile by się dało, dla własnych dzieci. Ty

i ten twój związek od razu byście odsądzili go od czci i wiary! Nie! Choćby tylko przez wzgląd na to, jak do-tychczas traktowaliście wyłamujących się robotników, odpowiadam na twoje pytanie: Nie! Nie dam ci pracy. Nie twierdzę, że nie wierzę w ten powód, dla którego prosisz o zajęcie. Nic mi o tym nie wiadomo. To może być prawda, może być kłamstwo. W każdym razie ta historia brzmi bardzo nieprawdopodobnie. Pozwól mi przejść. Nie dam ci pracy. Oto odpowiedź.

– Słyszałem, sir. Nie kłopotałbym pana tym pyta-
niem, ale obiecałem, że do pana przyjdę. Obiecałem
komuś, kto, zdaje się, uważał, że ma pan jeszcze jakieś
miększe miejsca w sercu. Ale ona się pomyliła, a ja da-
łem się temu zwieść. No, ale nie ja pierwszy i nie ostat-
ni uwierzyłem kobiecie.

– Powiedz jej, żeby następnym razem zajmowała się
swoimi sprawami, zamiast marnować twój i mój czas.
Moim zdaniem za każdym nieszczęściem na tej ziemi
stoi kobieta. A teraz żegnam.

– Jestem zobowiązany panu za uprzejmość, panie,
a przede wszystkim za grzeczny sposób pożegnania.

Pan Thornton nie raczył odpowiedzieć, ale gdy

minutę później wyglądał przez okno, zobaczył szczupłą pochyłą postać opuszczającą dziedziniec. Ciężki krok przykro kontrastował z jawną determinacją tego człowieka, nalegającego na rozmowę w sprawie pracy. Fabrykant wstąpił do wartowni:

– Jak długo ten Higgins czekał tu na mnie?

– Widziałem go za bramą już przed ósmą, sir. Chyba czekał tam od tamtej pory.

– A teraz jest...?

– Dokładnie pierwsza.

Pięć godzin – pomyślał pan Thornton. Długi czas oczekiwania dla człowieka, który najpierw miał nadzieję, a potem czuł obawę.

XXXIX

NOWA PRZYJAŹŃ

*Żegnaj na zawsze; wolny od tej chwili,
Rad jestem, tak, rad z całej duszy, że bez słowa
Wymówki takeśmy się gładko rozłączyli.*

*Michael Drayton, Sonet LXXI,
przeł. Stanisław Barańczak*

Po rozstaniu z panią Thornton Margaret zamknęła się w swoim pokoju i zaczęła chodzić w tę i z powrotem, co było jej zwykłym przejawem poruszenia. Jednakże szybko przypomniała sobie, że w tym niezbyt solidnie zbudowanym domu każdy krok był we wszystkich zakątkach słyszalny, dlatego usiadła i zmusiła się do bezruchu, aż upewniła się, że gość opuścił

dom. Przypominała sobie zdanie po zdaniu całą rozmowę, zmusiła pamięć, aby ją odtworzyła. W końcu podniosła się i melancholijnym tonem powiedziała do siebie:

– W każdym razie jej słowa mnie nie dotknęły. Spłynęły po mnie, bo nie jestem winna żadnego przestępstwa, które mi przypisała. Tak czy owak ciężko mi jednak pomyśleć, że ktokolwiek... że jakaś kobieta może uwierzyć w coś takiego o innej kobiecie. I to tak łatwo. Przykre to i smutne. A tam, gdzie postąpiłam źle, ona mnie nie oskarża. Ponieważ nie wie. Nie powiedział jej. Powinnam była wiedzieć, że on tego nie robi.

Uniosła głowę, jakby odczuwała dumę z delikatności uczuć okazanej przez pana Thorntona. Zaraz potem kurczowo splotła dłonie, gdyż uświadomiła sobie coś jeszcze.

On także uważa zatem Fredericka za mojego ukochanego – pomyślała i zarumieniła się. Teraz to widzę. Nie chodzi więc tylko o to, że on wie o moim kłamstwie, lecz wierzy, iż ktoś mnie kocha i że ja... Och Boże! Co ja mam zrobić? O co mi chodzi? Dlaczego tak się przejmuję tym, co on myśli? I nie tylko tym,

jakie ma zdanie o mojej prawdomówności. Nie wiem. Nie wiem. Och, jak mi źle! Jaki ten ostatni rok był niešťczęśliwy! Wyszłam z dzieciństwa prosto w dorosłość. Nie miałam młodości, nie dane mi było po prostu być młodą kobietą. Jej nadzieje i oczekiwania są mi obce. Nigdy nie wyjdę za mąż. Już teraz przewiduję troski i zmartwienia, zupełnie jakbym była starą, przygnębią matroną. Nuży mnie to ciągłe oczekiwanie ojca, że będę silna. To oczywiste z jego strony, w końcu to mój naturalny, pobożny obowiązek. Chyba zniósłabym... w każdym razie znalazłabym energię, by żywić urazę do pani Thornton za jej niesprawiedliwe i impertynenckie podejrzenia, ale tak strasznie, strasznie ciężko żyć ze świadomością, że on ocenia mnie nieprawdziwie. Co się dzisiaj ze mną stało, że przychodzą mi do głowy takie myśli? Takie chorobliwe. Nie wiem. Wiem tylko, że nie umiem ich powstrzymać. Czasami muszę dać im upust. Nie. Jednak nie – postanowiła, zrywając się raptownie. Nie będę. Nie będę myślała o sobie i o mojej sytuacji. Nie będę się zagłębiała w moje uczucia. Teraz to i tak nie ma sensu. Kiedyś, jeśli będę żyła wystarczająco długo i dożyję sędziwego wieku, być może usiądę

przy kominku, zapatrzę się w dogasający żar i wtedy zobaczę moje życie takie, jakie mogło być.

W trakcie tych rozważań Margaret z pośpiechem ubierała się do wyjścia, przystając od czasu do czasu dla otarcia oczu gestem, który zdradzał zniecierpliwienie, że mimo deklarowanej odwagi nie zdołała pohamować łez.

Przypuszczam, że wiele kobiet popełniło taką samą smutną pomyłkę jak ja i dopiero po pewnym czasie to dostrzegło – rozmyślała dalej.

Z jaką dumą i butą przemawiałam do niego tamtego dnia! Ale wtedy nie wiedziałam. To przyszło do mnie tak powoli, stopniowo. Nawet nie wiem, kiedy się zaczęło. Ale teraz się nie załamie. Będzie mi trudno zachowywać się wobec niego tak samo, teraz, gdy już mam tę żalostną świadomość... Będę bardzo cicha, spokojna. I będę mało mówić. Może się nawet zdarzyć, że go nie spotkam, to jasne, że schodzi nam z drogi. To byłoby okropne. Choć nic dziwnego, że mnie unika, jeżeli naprawdę wierzy w to wszystko o mnie.

Wyszła i szybko ruszyła za miasto, próbując wysiłkiem fizycznym zagłuszyć uporczywe, dręczące myśli.

Gdy po spacerze wchodziła do domu, nadszedł ojciec.

– Dobra z ciebie dziewczyna! – powiedział. – Byłaś u pani Boucher. Właśnie zamierzałem tam iść, i to najchętniej przed obiadem, jeśli byłby na to czas.

– Nie, ojczy, nie byłam tam – odpowiedziała, czerwieniąc się, Margaret. – Nawet o niej nie pomyślałam. Ale pójdę od razu po obiedzie, podczas twojej drzemki.

Panna Hale poszła do wdowy zgodnie z obietnicą. Pani Boucher była bardzo chora, naprawdę chora, a nie tylko niedomagająca. Wydawało się, że wszystkim zajmowała się owa uprzejma i rozsądna kobieta, poznana w dniu śmierci Bouchera. Niektóre z dzieci przebywały u sąsiadów. W porze obiadu Mary Higgins przyszła po trójkę najmłodszych i wtedy Nicholas wyruszył po lekarza. Dotychczas medyk się nie pokazał, ale jasne było, że pani Boucher umierała, i można było tylko czekać. Margaret pomyślała, że chciałaby mimo wszystko poznać opinię doktora i najlepiej będzie, jeśli tymczasem zajrzy do Higginsów. Chciała się dowiedzieć, czy Nicholasowi udało się spotkać z panem Thorntonem w sprawie pracy.

Zastała go zajętego kręceniem monetą pensową na komodzie, co wprawiało trójkę małych dzieci w tak szaloną radość, że zupełnie bez obawy wspinały się na niego. Cała czwórka uśmiechała się z zachwytem przy szczególnie udanym bączku i Margaret pomyślała, że wyraz twarzy mężczyzny, taki szczęśliwy i pełen zainteresowania, jest dobrym znakiem.

Gdy moneta przestała wirować, mały Johnnie się rozplakał.

– Chodź do mnie – powiedziała Margaret, unosząc go z komody i biorąc w ramiona. Przyłożyła mu do ucha swój zegarek i spytała Nicholasa, czy widział się z panem Thorntonem.

Na jego twarzy pojawił się cień.

– Tak! – odpowiedział. – Widziałem się z nim i usłyszałem od niego nazbyt wiele.

– A więc odmówił? – spytała z żalem.

– A pewnie. Wiedziałem, że odmówi. Nie powinno się oczekiwać, że panowie będą mieli litość dla robotników. Panienska jest tu obca i nie może znać ich metod, ale ja to wiedziałem.

– Przykro mi, że cię o to poprosiłam. Czy był roz-

gniewany? Mam nadzieję, że nie rozmawiał z tobą tak jak Hamper?

– Nie był nadmiernie grzeczny – powiedział Nicholas, ponownie kręcąc monetą, tak dla swojej, jak i dla dzieci zabawy. – Niech się panienka nie martwi, jestem po prostu w takiej sytuacji, w jakiej byłem. Jutro znowu ruszę na poszukiwania. Zaoferowałem mu to, co mogłem. Powiedziałem też, że nie mam aż tak dobrego o nim zdania, żeby sam z siebie do niego przychodzić, ale że panienka mi doradziła, bym przyszedł, a ja mam wobec panienki dług wdzięczności.

– Powiedziałeś mu, że to ja cię przysłałam?

– Nie wiem, czy wymienilem panienkę z nazwiska. Myślę, że chyba nie. Powiedziałem, że kobieta, która nie orientowała się najlepiej, poradziła mi, abym poszedł i sprawdził, czy w jego sercu nie ma miększych miejsc.

– A on...? – spytała Margaret.

– Kazał panience przekazać, żeby pilnowała swoich spraw... Jak dotychczas, moi mili, to był najdłuższy bączek... To były właśnie te jego grzeczne słowa. Ale nieważne. Jesteśmy tam, gdzie byliśmy. A ja prędej

będę kruszył kamienie na drogach, niż pozwolę, by te maluchy głodowały.

Margaret posadziła wyrywającego się Johnniego z powrotem na komodzie.

– Przykro mi, że cię prosłam, abys poszedł do pana Thorntona. Rozczarował mnie.

Usłyszeli za sobą jakiś hałas. Odwrócili się w tym kierunku równocześnie i zobaczyli pana Thorntona z wyrazem zaskoczenia i niezadowolenia na twarzy. Podążając za pierwszym impulsem, Margaret minęła go bez słowa, tylko się nisko kłaniając. Starła się w ten sposób ukryć nagłą bladość, którą wyczuła na swojej twarzy. W odpowiedzi pochylił głowę równie nisko, a potem zamknął za nią drzwi. Gdy ruszyła spiesznie w stronę mieszkania pani Boucher, usłyszała za sobą zgrzyt zamka i to dopełniło miary jej zmartwienia.

On także się zdenerwował, zastając ją tam. Miał w swym sercu czułość, owe „miększe miejsca”, jak nazwał to Higgins, ale duma kazała mu to ukrywać. Chował tę łagodność jak świętość i niechętnie witał okoliczności, które skłaniały go do jej ujawnienia. Ale tak samo jak obawiał się okazać tkliwość, zależało mu

na ustawicznym udowadnianiu swej sprawiedliwości. A czuł, że postąpił niesprawiedliwie, tak lekceważąco traktując kogoś, kto czekał na niego z pełną pokorą i cierpliwością przez pięć godzin.

Pana Thorntona nie zraziła zuchwałość, z jaką przemawiał Higgins. Właściwie to nawet mu się to podobało. Poza tym był świadomy, jak łatwo obecnie wpada w irytację, w czym między innymi upatrywał przyczynę ich szybkiego rozstania wtedy, w przędzalni. Tym, co przykuło uwagę fabrykanta, było owe pięć godzin czekania. Nie mógł poświęcić aż tyle, ale spędził trochę czasu i włożył nieco wysiłku w to, aby zebrać dowody potwierdzające historię Higginsa, a także informacje o jego charakterze i prowadzonym przez niego życiu. Walczył z głębokim przeświadczeniem, że wszystko, co powiedział ten człowiek, było prawdą, ale ta pewność przeniknęła go jak za sprawą zaklęcia i poruszyła tajemną, uspioną czułość jego serca. Cierpliwość Higginsa i jego wielkoduszność – bo dowiedział się także o kłótni pomiędzy nim a Boucherem – sprawiły, że całkowicie zapomniał o racjach sprawiedliwości, zastępując je płynącymi z serca instynktami. Przyszedł, by oznajmić

Nicholasowi, że da mu pracę. Bardziej poirytowała go sama obecność tam Margaret niż jej ostatnie słowa, bo zrozumiał, że to ona była tą kobietą, która namówiła Higginsa, by do niego poszedł. Lękał się dopuszczenia jakiegokolwiek myśli o niej jako o motywie swego postępowania, które uważał za słuszne.

– A więc to ona jest tą kobietą, o której pan mówił? – spytał Nicholas z oburzeniem. – Powinien był pan mi powiedzieć, że to o nią chodzi.

– A wtedy mówiłby pan o niej trochę grzeczniej? Miał pan przecież matkę, która mogła hamować pana język, żeby pan nie opowiadał o kobiecie jako przyczynie każdej zarazy na ziemi.

– Oczywiście powtórzył pan to pannie Hale?

– Oczywiście powtórzyłem. A przynajmniej wydaje mi się, że powtórzyłem. Powiedziałem jej, co by się nigdy więcej nie mieszała w nic, co dotyczy pana.

– Czyje to są dzieci? Pana? – Pan Thornton doskonale wiedział, czyje to były dzieci, ale musiał coś powiedzieć, by zmienić temat po tym niezbyt obiecującym początku.

– Nie są moje i są moje.

– Czy to o nich mówił mi pan dziś rano?

– Wtedy, kiedy mi pan powiedział – przypomniał mu Higgins ze źle skrywaną zawziętością – że moja historia może być prawdziwa lub nie, ale że brzmi mało prawdopodobnie. Nie zapomniałem tego.

Pan Thornton milczał przez chwilę, a potem się odezwał:

– Ja również nie. Pamiętam, co powiedziałem. Rozmawiałem z panem o tych dzieciach w sposób, w jaki nie powinienem był rozmawiać. Nie wierzyłem panu. Sam nie byłbym w stanie zaopiekować się dziećmi człowieka, gdyby postąpił wobec mnie tak, jak Boucher postąpił z panem. Ale teraz już wiem, że mówił pan prawdę. I proszę o wybaczenie.

Higgins nie odwrócił się ani nie odpowiedział natychmiast. Gdy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał łagodniej, choć słowa nadal były zgryźliwe.

– To nie pana sprawa wtrącać się w to, co się stało między mną a Boucherem. On nie żyje, a ja tego żałuję. To dość.

– Zgadza się. Czy przyjmie pan u mnie posadę? Po to tu przyszedłem.

Upór Higginsa się zachwiał, ale po chwili wzmocnił się i utrwalił. Gdyby jednak nic nie powiedział, pan Thornton nie ponowiłby swej propozycji. Wzrok Nicholasa spoczął na dzieciach.

– Nazwał mnie pan zuchwalcem, kłamcą, intrygantem i mąciwodą. I może było w tym trochę prawdy, gdy zdarzyło mi się wypić. A ja nazywałem pana tyranem, starym buldogiem i twardym, okrutnym pracodawcą. Na tym stanęliśmy. Tylko co z dziećmi? Czy myśli pan, że kiedykolwiek uda nam się razem pracować?

– Cóż – odpowiedział pan Thornton, prawie ze śmiechem – to nie był mój pomysł, żebyśmy razem pracowali. W tym, co pan powiedział, jest jednak coś pocieszającego. Już gorzej o sobie nawzajem nie możemy myśleć.

– Prawda – odrzekł zadumany Higgins. – Jak tylko pana zobaczyłem, pomyślałem, iż może to i lepiej, że mi pan nie da roboty, bo nigdy nie widziałem człowieka, którego bym bardziej nie znosił. Ale może to było zbyt pospieszne. A dla mnie praca to praca. Dlatego przyjdę. A co więcej, dziękuję panu. Z mojej strony to jak wiążąca umowa – powiedział ze szczerością,

nagle się odwracając i po raz pierwszy stając z panem Thorntonem twarzą w twarz.

– A to moja umowa – odpowiedział fabrykant, ścisnąc mocno dłoń Higginsa. – I pilnuj, żebyś się pojawiał punktualnie – dodał, wracając na swoją pozycję zwierzchnika. – Nie toleruję u siebie opieszałości. Wyznaczam za to kary i są one egzekwowane. A jak cię złapię na intrygach i buntach, od razu wylatujesz. Teraz już znasz zasady.

– Dziś rano mówił pan o mojej mądrości. Sądzę, że mogę ją ze sobą zabrać do pracy. Chyba że wołałby pan, abym przychodził bez rozumu?

– Bez rozumu, jeśli miałbyś go używać do mieszania się w moje interesy, a z rozumem, jeśli ograniczysz się do swoich spraw.

– Będę potrzebował sporo rozumu, żeby się zorientować, gdzie kończą się moje sprawy, a zaczynają pana.

– Twoje sprawy się jeszcze nie zaczęły, natomiast moje mają się całkiem nieźle. Dobrego popołudnia.

Chwilę przedtem, nim pan Thornton zbliżył się do drzwi mieszkania pani Boucher, Margaret wyszła stamtąd. Nie zauważyła go, natomiast on ruszył za nią

i przeszedł kilkanaście metrów, zachwycając się jej lekkim, płynnym krokiem i wysoką, kształtną postacią. Naraz to proste uczucie przyjemności zostało zbrukane, zatrute zazdrością. Zaprzagnął dogonić dziewczynę i porozmawiać z nią, zobaczyć, jak go potraktuje teraz, gdy już wiedziała, że on zna prawdę o jej ukochanym. Marzył też, ale tego akurat się wstydził, aby się dowiedziała, że oddał sprawiedliwość jej rozsądkowi, jaki wykazała, wysyłając do niego Higginsa, i że wyznał wobec tego ostatniego skruchę z powodu swej porannej decyzji. Podszedł do niej. Drgnęła.

– Proszę pozwolić powiedzieć sobie, że wyrażając swoje rozczarowanie, postąpiła pani raczej pochopnie. Właśnie zatrudniłem Higginsa.

– Cieszę się – odpowiedziała chłodno.

– Wspomniał, że powtórzył pani to, co dziś rano powiedziałem o... – Zawahał się, natomiast Margaret dokończyła:

– O tym, że kobiety nie powinny się wtrącać do pana spraw. Ma pan pełne prawo do wyrażania swojej opinii, która z pewnością jest słuszna. Ale – kontynuowała coraz żywiej – Higgins nie powiedział panu całej prawdy.

To słowo „prawda” przypomniało Margaret o jej własnym kłamstwie i poczuła się tak niezręcznie, że musiała na chwilę zamilknąć.

Pan Thornton w pierwszej chwili nie zrozumiał powodu jej zawahania, ale potem przypomniał sobie o kłamstwie, które miała na sumieniu, i o wszystkim, co je poprzedziło.

– Cała prawda! – zawołał. – Bardzo niewielu ludzi mówi całą prawdę. Już zarzuciłem nadzieję, że ją znowu usłyszę. Panno Hale, czy nie może mi pani udzielić żadnego wyjaśnienia? Musi pani wiedzieć, co mogę o tym myśleć.

Margaret się nie odezwała. Rozważała, czy udzielenie jakiegokolwiek wyjaśnienia stałoby w zgodzie z jej poczuciem lojalności względem Fredericka.

– Nie – powiedział. – Już o nic więcej nie proszę. Być może wystawiam panią na zbyt silną pokusę. Proszę mi wierzyć, że pani sekret jest u mnie bezpieczny. Ale proszę też pozwolić sobie powiedzieć, że swoją nieostrożnością wystawia się pani na wielkie ryzyko. Mówię to jako przyjaciel pani ojca. Jeśli miałem jakiegokolwiek inne zamiary czy nadzieje, to należą one do przeszłości. Teraz nie jestem już zainteresowany.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedziała dziewczyna, zmuszając się do obojętnego i niedbałego tonu. – Domyślam się też, co pan o mnie sądzi, ale ten sekret dotyczy innej osoby i nie mogę niczego wyjaśnić, nie czyniąc jednocześnie tej osobie szkody.

– Nie mam najmniejszej ochoty wtrącać się w tajemnice owego dżentelmena – powiedział z narastającym gniewem. – Moje zainteresowanie panią to po prostu troska przyjaciela. Nie wiem, czy mi pani wierzy, panno Hale, ale tak właśnie jest... pomimo propozycji, z jakimi się pani narzucałem... tego, czym groziłem swego czasu... To już minęło. To przeszłość. Wierzy mi pani, panno Hale?

– Tak – odpowiedziała cicho, ze smutkiem.

– W takim razie nie widzę żadnego powodu, abyśmy szli dalej razem. Liczyłem, że miałyby mi pani, być może, coś do powiedzenia, ale teraz wiem, że nic dla siebie nie znaczymy. Jeśli jest pani przekonana, że jakkolwiek niemądra namiętność z mojej strony już pani nie zagraża, pozwolę sobie życzyć pani dobrego popołudnia. – Po tych słowach odszedł pośpiesznie.

Co on mógł mieć na myśli? – zastanawiała się

Margaret. Co mógł mieć na myśli, mówiąc w taki sposób, jakbym uważała, że jemu wciąż na mnie zależy. Przecież on o mnie nie dba. Nie mógłby. Jego matka powiedziała mu te wszystkie paskudne rzeczy o mnie. Ale mnie też na nim nie zależy. Jestem na tyle panią siebie, że potrafię zapanować nad tym dzikim, żalonym uczuciem, które kazało mi nawet brać pod uwagę możliwość zdradzenia tajemnicy Fredericka. I to tylko po to, by odzyskać dobrą opinię u tego człowieka. Kogoś, kto zadaje sobie tyle trudu po to tylko, by mnie poinformować, że jestem dla niego nikim. Och ty moje biedne serduszko! Bądź radosne i dzielne! Jesteśmy zdani, ty i ja, tylko na siebie, skoro nas odrzucono i zostawiono samych sobie.

Ojciec był tego popołudnia zdumiony jej wesołością, prawie figlarnością. Paplała bez przerwy, a jej wrodzone poczucie humoru wznosiło się ponad zwykły poziom. Jeśli w tym, co mówiła, pojawiała się odrobina goryczy, jeśli w jej opowieściach o towarzystwie z Harley Street słyszał tony sarkastyczne, to nie hamował jej, jak zrobiłby to innym razem, bo czuł zadowolenie, że udało jej się zrzucić z siebie troski. Wieczorem

przyszła Mary Higgins i Margaret zeszła na dół, by z nią porozmawiać. Gdy wróciła, pan Hale odniósł wrażenie, że dostrzegł ślady łez na jej policzkach, ale doszedł do wniosku, że to było złudzenie, bo przyniosła dobre wiadomości. Pan Thornton zatrudnił Higginsa w swojej przędzalni. W każdym razie jej doskonały nastrój prysł i z trudnością przychodziło jej mówienie, a o powrocie do poprzedniej beztroski nawet nie mogło być mowy. Przez kilka dni trwała huśtawka nastrojów, aż wreszcie ojciec zaczął się o nią poważnie martwić. Właśnie wtedy nadeszła ćwiartka papieru z wiadomością zapowiadającą zmianę. Pan Hale otrzymał list od pana Bella, w którym dżentelmen ten wyrażał ochotę złożenia im wizyty, a ojciec Margaret wyobrażał sobie, że towarzystwo jego starego przyjaciela z Oxfordu będzie taką samą przyjemnością i urozmaiceniem dla córki jak dla niego samego.

Panna Hale próbowała zainteresować się tym, co cieszyło jej ojca, ale była zbyt otępiała, aby dbać o jakiegoś tam pana Bella, nawet jeśli był ojcem chrzestnym jej brata. O wiele bardziej poruszył ją list od Edith, pełen współczucia z powodu śmierci matki Margaret.

Pisała też sporo o sobie, o mężu i synku, a na końcu dodała, że klimat najwyraźniej nie służy dziecku. Skoro więc pani Shaw zamierza wrócić do Anglii, było możliwe, że kapitan Lennox sprzeda swój oficerski patent i wszyscy wrócą, by zamieszkać razem w starym domu na Harley Street, który jednakże wydawałby się dziwnie niekompletny bez Margaret. A ona tęskniła za tym starym miejscem i za nieustającym spokojem tego doskonale zorganizowanego, choć czasem jednostajnego dawnego życia. Dopóki trwało, wydawało jej się czasem nużące, ale od tamtej pory musiała się tak borykać z losem, a teraz dodatkowo wyczerpała ją wewnętrzna walka, że tęskniła za stagnacją, która zapewniłaby jej choć trochę wytchnienia i spokoju. Zaczęła więc wyglądać długich odwiedzin u Lennoxów po ich powrocie do Anglii jako okazji – nie, nie dla nadziei, ale dla odpoczynku, tak aby mogła odzyskać siły i panowanie nad sobą. Odnosiła wrażenie, że obecnie wszystkie jej myśli kierowały się niezmiennie w stronę pana Thorntona i mimo wielkich wysiłków nie udawało jej się o nim zapomnieć. Słyszała bowiem o nim, gdy szła odwiedzić Higginsów, a jej ojciec, odkąd wznowił pro-

wadzone przez siebie lekcje, ustawicznie cytował opinie swego ulubionego ucznia. Nawet wizyta pana Bella okazała się powodem do wspomnienia jego nazwiska, bo w swym liście przyjaciel ojca pisał, że sporo czasu spędzi z panem Thorntonem, ponieważ przygotowują nową umowę dzierżawy i należy uzgodnić jej warunki.

XL

DYSONANS

*Krzywdy nie cierpię, bom nie miał żadnych praw,
Przecież nie traci ten, kto nie ma nic.
Marna to wszak pociecha, chociaż fakt;
Inny bowiem, szczęśliwszy, zyskał tym,
Nie ja. Dlatego w duszy smutno mi.*

*Thomas Wyatt, „The answer that ye made to me”,
przeł. Joanna Puchalska*

Margaret nie spodziewała się żadnej przyjemności po wizycie pana Bella, oczekiwała jej tylko ze względu na swego ojca, ale gdy ich gość przyjechał, od razu zawiązała się między nimi najbardziej naturalna na świecie przyjaźń. Oznajmił Margaret, że

jest jego bratnią duszą, ale nie zawdzięcza tego swoim wysiłkom; miała po prostu wrodzony czar, skoro od pierwszego wejrzenia zdobyła jego serce. Ona natomiast doceniła, że pod strojem akademika pan Bell skrywał dziarskiego i młodego ducha.

– Dziarski i młody, jeśli chodzi o uprzejmość i serdeczność, dla ścisłości. Muszę bowiem uczciwie przyznać, że od bardzo dawna nie spotkałam się z poglądami tak staroświeckimi i skostniałymi jak pańskie.

– Słuchaj swojej córki, Hale. Mieszkanie w Milton ją zdeprawowało. Jest demokratką. Czerwoną republikanką. Członkinią Towarzystwa Pokoju. Socjalistką...

– Papo, to wszystko dlatego, że jestem zwolenniczką rozwoju handlu i przemysłu. Pan Bell chciałby, abyśmy zatrzymali się na etapie wymiany skór dzikich bestii na żołądziej.

– Nie, nie. Skopałbym ten cały teren i posadził ziemniaki. I ogoliłbym skóry zwierzętom, a z wełny kazałbym zrobić mocną odzież. Nie przesadzaj, moja panno. Jestem po prostu zmęczony tym całym pośpiechem, tym, że ludzie traktują się nawzajem w pogoni za bogactwem.

– Nie każdy ma takie szczęście, że może sobie siedzieć wygodnie w zaciszu pokoi w kolegium i pozwalać, by bez jakiegokolwiek wysiłku z jego strony jego bogactwo tak się pomnażało. Jest tu bez wątpienia wielu ludzi, którzy byliby wdzięczni, gdyby to ich majątek tak się zwiększył jak twój, i to bez zadawania sobie trudu – powiedział pan Hale.

– Absolutnie w to nie wierzę. Przecież im chodzi właśnie o ten pośpiech i walkę. A co do siedzenia bez ruchu, wyciągania wniosków z przeszłości lub przewidywania przyszłości po wprowadzeniu się w trans prooczy... cóż... nie wierzę, abyś w całym Milton znalazł choć jednego człowieka, który potrafiłby siedzieć bez ruchu. To wielka sztuka.

– Jak przypuszczam, mieszkańcy Milton uważają, że ci z Oxfordu nie umieją się ruszać. Byłoby wspaniale, gdyby się trochę wymieszali.

– Byłoby wspaniale, ale dla ludzi z Milton. Wiele rzeczy mogłoby być dla nich dobre, takich, jakie dla innych byłyby nieprzyjemne.

– A czy pan sam nie jest z Milton? – spytała panna Hale. – Myślałam, że jest pan dumny ze swego miasta.

– Przyznaję, że zupełnie nie wiem, z czego tu można być dumnym. Jeśli tylko przyjedziesz do Oxfordu, Margaret, pokażę ci miejsca, którymi można się szycić.

– Cóż – powiedział pan Hale – dziś przychodzi do nas na herbatę pan Thornton, a on jest dumny z Milton, tak jak ty z Oxfordu. Będziecie musieli obydwaj postarać się o nieco bardziej liberalne podejście.

– Nie chcę mieć bardziej liberalnego podejścia, dziękuję bardzo – oznajmił pan Bell.

– Czy pan Thornton przyjdzie w porze herbaty, papo? – spytała Margaret cichym głosem.

– Tak lub odrobinę później. Nie był pewien. Powiedział, abyśmy na niego nie czekali.

Pan Thornton zdecydował, że nie spyta matki o to, jak przebiegła realizacja jej planu dotyczącego rozmowy z Margaret o niestosowności zachowania dziewczyny. Był całkowicie pewien, że jeżeli doszło do tej rozmowy, relacja matki tylko go zirytuje i zmartwi, mimo że cały czas pamiętałby o tym, iż jest ona podkolorowana i wyolbrzymiona przez panią Thornton i jej negatywne nastawienie. Wzdrygał się na sam dźwięk imienia

Margaret. Bo nawet gdy ją obwiniał, gdy był o nią zazdrosny, gdy się jej wyrzekł, to i tak ją kochał. Boleśnie i wbrew sobie. Śnił o niej. Śnił, że zbliża się do niego tanczącym krokiem z rozpostartymi ramionami, z lekkością i wesołością, które sprawiały, że jej nienawidził, nawet jeżeli jednocześnie go pociągała. Wizerunek postaci Margaret, ze wszystkimi jej cechami odwzorowanymi tak dokładnie, jakby to jakiś zły duch przybrał jej formę, był jednak tak głęboko wryty w jego wyobraźni, że gdy się budził, miał kłopoty z oddzieleniem Uny od Duessy*, a niechęć wobec tej ostatniej zdawała się deformować tę pierwszą i rzucać na nią cień. Był zbyt dumny, by okazać swą słabość unikaniem widoku Margaret. Nie zamierzał ani szukać jej towarzystwa, ani od niej stronić, a żeby udowodnić sobie siłę samokontroli, celowo przeciągał każdą sprawę w ciągu tego popołudnia, robił wszystko z nienaturalną powolnością. W rezultacie minęła godzina ósma, gdy dotarł do domu Hale'ów. W gabinecie pana domu zajęł się interesami z panem

* Postacie z *Królowej Wróżek* Edmunda Spensera (1590); Una jest symbolem czystości (a także Kościoła anglikańskiego), Duessa zaś uosabia fałsz (oraz religię katolicką).

Bellem, który siedział przy kominku i opowiadał coś ze znużeniem jeszcze długo po tym, jak ustalili szczegóły transakcji i mogli równie dobrze udać się na górę. Pan Thornton jednakże nie wyrzekł ani słowa na temat przeniesienia się do salonu; siedział tylko i irytował się, uznając pana Bella za nieciekawego kompana, a ten odwzajemniał to mniemanie, uważając pana Thorntona za najbardziej szorstkiego i niekomunikatywnego człowieka, z jakim miał do czynienia, człowieka, któremu brakowało tak inteligencji, jak wykwintności. W końcu jakiś przytłumiony odgłos z pokoju nad nimi przypomniał im, że powinni się tam udać. Zastali Margaret z listem w dłoni, żywo omawiającą jego treść z ojcem. Po wejściu panów dyskusja została przerwana, ale wyczulone zmysły pana Thorntona zdołały wyłowić kilka słów pana Hale'a skierowanych do pana Bella.

– To list od pana Henry'ego Lennox. Margaret wiąże z tym wielkie nadzieje.

Pan Bell przytaknął. Dziewczyna spłoniała się jak róża, gdy pan Thornton na nią spojrzał. Poczul nieodpartą ochotę, aby natychmiast wstać, opuścić pokój i nigdy więcej nie pojawić się w tym domu.

– Myśleliśmy już – powiedział pan Hale – że wzięliście sobie panowie do serca radę Margaret i próbowaliście się nawzajem nawrócić. Bardzo długo do nas nie przychodziliście.

– I pewnie sądziliście – odparł pan Bell – że nic już z nas nie pozostało poza naszymi poglądami, tak jak ogony po kotach z Kilkenny*. Ciekaw jestem, któremu z nas przypisywaliście większy upór i zaciętość w obronie swojej opinii.

Drugi z gości nie miał pojęcia, o czym wcześniej rozmawiali, a nie zadał sobie trudu, by o to spytać. Pan Hale grzecznie mu to wyjaśnił.

– Panie Thornton, tego ranka oskarżaliśmy pana Bella o swego rodzaju średniowieczne zaślepienie wobec jego rodzinnego miasta. Sugerowaliśmy, a raczej Margaret sugerowała, że może powinien trochę bardziej utożsamić się z przemysłowcami z Milton.

– Bardzo cię przepraszam, ale twoja córka uważała, że to ludziom z Milton dobrze by zrobiło, gdyby czasami wzięli przykład z mieszkańców Oxfordu. Czyż nie, Margaret?

* Odniesienie do irlandzkiej opowieści o dwóch kotach walczących ze sobą tak zapalczywie, że w końcu zostały z nich tylko ogony.

– Wydaje mi się, że dla obu stron byłoby korzystne, gdyby się sobie lepiej przyjrzały. Poza tym sądzę, że to był w równym stopniu mój pomysł, jak papy.

– Jak więc pan widzi, panie Thornton, powinniśmy byli na dole ulepszać się wzajemnie, zamiast omawiać zniknięcie rodzin Smithów i Harrisonów. Jestem gotów wziąć się teraz do dzieła. Zastanawiam się, kiedy wy z Milton zamierzacie zacząć żyć, bo jak na razie odnoszę wrażenie, że spędzacie czas na gromadzeniu środków do tego życia.

– Przypuszczam, że przez pojęcie „życie” rozumie pan zabawę.

– Tak, zabawę. Nie precyzuję, jaką, ponieważ sądzę, że każdy z nas uznaje czystą przyjemność za nędzną namiastkę zabawy.

– Wolałbym jednak, abyśmy lepiej zdefiniowali pojęcie zabawy.

– Doskonale. Radość czasu wolnego. Radość z siły i władzy, jaką dają pieniądze. Wy wszyscy walczyście właśnie o pieniądze. Po co wam one?

Pan Thornton przez chwilę milczał, a potem odpowiedział:

– Nie wiem. Pieniądze nie są jednak tym, o co ja walczę.

– Cóż zatem?

– To pytanie wewnętrzne, do samego siebie. Musiałbym się otworzyć i poddać takiej analizie, a wcale nie mam pewności, czy jestem na to gotowy.

– Nie! – zaprotestował pan Hale. – Nie podchodźmy zbyt osobiście do takich badań. Żaden z was nie jest reprezentatywnym przykładem określonego typu, jesteście zbyt wielkimi indywidualistami.

Pan Bell się roześmiał.

– Nie jestem pewien, czy powinienem traktować to jako komplement, czy też nie. Chciałbym być reprezentantem Oxfordu, jego piękna, nauki, chwalebnej historii. Co ty na to, Margaret? Czy to powinno mi pochlebiać?

– Nie znam Oxfordu. Ale moim zdaniem istnieje różnica między byciem reprezentantem miasta a byciem reprezentatywnym przykładem jego mieszkańców.

– Szczera prawda, panno Hale. Teraz sobie przypominam, że dziś rano byłaś przeciwko mnie. Okazałaś się zwolenniczką Milton i przemysłowców.

Margaret dostrzegła, że pan Thornton rzucił w jej kierunku spojrzenie pełne zdumienia, i poczuła irytację na myśl o wnioskach, jakie mógł wyciągnąć z przemowy pana Bella. Ten zaś kontynuował:

– Tak chciałbym pokazać ci naszą High Street. Nasz Radcliff Square. Pomijam już nasze kolegia, tak jak pozwałam panu Thorntonowi pomijać jego budynki fabryczne przy opiewaniu uroków Milton. Zresztą mam pełne prawo znieważać to miasto do woli, bo przecież tu się urodziłem.

Przedsiębiorca czuł się ponad miarę poirytowany słowami pana Bella. Nie był w nastroju do żartów. Prawdopodobnie w innych okolicznościach bawiłoby go lekko cierpkie potępienie miasta, gdzie życie biegło rytmem tak różnym od tego, w jakim pan Bell znajdował upodobanie. Teraz jednak był wystarczająco rozdrażniony, by podjąć próbę obrony tego, co w rzeczywistości nigdy nie zostało zaatakowane.

– Nie uważam Milton za wzorcowe miasto.

– Pod względem architektonicznym? – spytał sprytnie pan Bell.

– Nie! Byliśmy zbyt zapracowani, by zajmować się tylko wyglądem zewnętrznym.

– Proszę nie mówić „tylko wyglądem zewnętrznym” – łagodnie wtrącił pan Hale. – Wszyscy podlegamy jego wpływowi, i to od wczesnego dzieciństwa. Każdego dnia naszego życia.

– Chwilę – powiedział pan Thornton. – Proszę nie zapominać, że należymy do innej rasy niż Grecy, dla których piękno stanowiło wartość najwyższą i którym pan Bell mógłby mówić o życiu wypełnionym odpoczynkiem i czystą radością, jakie chłonęliby głównie zmysłami. Nie zamierzam ich lekceważyć, ale również nie będę ich naśladować. We mnie płynie krew Teutonów – to domieszka typowa w tej części Anglii. Zachowaliśmy pewne elementy ich języka, a także sporo z ich charakteru. Nie patrzymy na życie jak na czas radości, ale jak na czas działania, pracy i zmagañ. Nasza chwała i nasze piękno pochodzą z wewnętrznej siły, dzięki której zwyciężamy nie tylko opór materii, ale każdą poważniejszą trudność. Tu w Darkshire jesteśmy Teutonami także pod innym względem. Nienawidzimy, aby na dystans narzucać nam prawa. Chcemy sami stanowić dla siebie zasady. Nie chcemy, aby ktoś się do nas bezustannie wtrącał ze swoim kula-

wym prawodawstwem. Jesteśmy zwolennikami samorządu i przeciwnikami centralizacji.

– Krótko mówiąc, chcielibyście powrotu Heptarchii*. Cóż, w każdym razie zmuszony jestem odwołać to, co powiedziałem dziś rano, a mianowicie że mieszkańcy Milton nie szanują przeszłości. Jesteście wiernymi czcicielami Thora**.

– Jeśli nie szanujemy przeszłości tak jak wy w Oxfordzie, to dlatego, że chcemy czegoś, co jest bardziej dostosowane do terażniejszości. To godne zainteresowania, jeśli studiowanie przeszłości pomaga lepiej przewidywać przyszłość, ale dla ludzi błądzących po omacku w nieznanym, bo nowych warunkach byłoby lepiej, gdyby doświadczenia przeszłości mogły wskazać, jak najlepiej działać w kwestiach dotyczących nas bezpośrednio i natychmiastowo, jak stawić czoło trudnościom i wyzwaniom. Bo od tego, jak się z nimi zmierzmy, a nie tylko odsuniemy na później, zależy nasza przyszłość. Mądrość przeszłości pomogłaby nam

* Związek siedmiu państw germańskich istniejący we wczesnym średniowieczu na terenie Brytanii.

** Germański bóg burzy i piorunów.

w zmaganiach z terażniejszością. Ale nie! Uczonym przychodzi łatwiej opowiadać o utopii niż o obowiązkach dnia codziennego, a potem, gdy ktoś inny spełni te obowiązki, ci właśnie teoretycy z taką łatwością wołają: „Phi, co za wstyd!”

– Nie do końca rozumiem, o jakich komplikacjach pan mówi. A może mieszkańcy Milton raczyliby posłać nam trochę tych codziennych trudności do Oxfordu? Jeszcze nas nie wypróbowaliście.

Pan Thornton otwarcie się na to roześmiał.

– W ogromnym stopniu nawiązywałem do naszych bieżących kłopotów. Chodzi mi oczywiście o gnębiące nas strajki, bardzo kłopotliwe i szkodliwe, jak się przekonałem na własnej skórze. A ten ostatni, który mi tak dopiekł, był poważny, wręcz wzbudzał szacunek.

– Strajk wzbudzający szacunek! – zawołał pan Bell. – To brzmi, jakby naprawdę stał się pan zaangażowanym wyznawcą Thora.

Margaret raczej poczuła, niż zobaczyła, że pan Thornton był dotknięty tym, jak po raz kolejny obrócono w żart coś, co on sam uważał za poważną sprawę. Próbowwała zmienić temat rozmowy i porzucić przed-

miot, o który jedna ze stron nie dbała prawie wcale, natomiast dla drugiej był głęboko i bezpośrednio interesujący. Chwyciła się pierwszej myśli:

– Edith pisze, że jej zdaniem wzorzyste płótna na Korfu są ciekawsze i tańsze niż w Londynie.

– Naprawdę? – spytał ojciec. – Myślę, że Edith jak zwykle trochę przesadza. Jesteś tego pewna, moja droga?

– Jestem pewna, że ona tak pisze, papo.

– W takim razie możemy to uznać za fakt – włączył się pan Bell. – Margaret, do tego stopnia jestem przekonany o twojej prawdomówności, że rozciąga się to nawet na twoją rodzinę. Niemożliwe, aby twoja kuzynka potrafiła przesadzać.

– Czyżby panna Hale słynęła z prawdomówności? – spytał cierpko pan Thornton.

Już w chwili, gdy skończył mówić, poczuł ochotę, by sobie odciąć język. Co mu się stało? Dlaczego dźgał ją jej własną hańbą. I to w taki sposób? Co za diabeł w niego dzisiaj wstąpił? Owładnięty złym humorem, bo od tak dawna jej nie widział, poirytowany wzmianką o tym człowieku, który jego zdaniem był

owym szczęśliwym kochankiem, a teraz na dodatek jeszcze rozdrażniony, gdyż nie umiał z lekkim sercem i wdziękiem poradzić sobie z kimś, kto próbował wesołą i dowcipną rozmową uprzyjemnić wieczór. I na kogo był rozeźlony? Na dobrego, starego przyjaciela wszystkich zebranych osób, do którego facecji pan Thornton był przyzwyczajony i z którym się znał od wielu, wielu lat. A teraz jeszcze to, co zasugerował o Margaret! Nie wstała i nie wyszła z pokoju, jak to się zdarzało poprzednio, gdy rozzłościły ją jego oschłość lub gniew. Siedziała zupełnie nieruchomo, choć w pierwszym momencie spojrzała na niego z pełnym powagi zdumieniem, jak dziecko odtrącone w niezasłużony sposób. Potem jej oczy rozszerzyły się żalobnym smutkiem i wyrzutem, ale zaraz przymknęła powieki i pochyliła głowę nad robótką. Milczała. A on nie potrafił oderwać od niej wzroku i widział, że cała drży, jakby wstrząsana niezwykłym wewnętrznym chłodem. Czuł się jak matka, którą odwołano od dziecka w samym środku ganiaenia, zanim jej wolny, uspokajający uśmiech, pełen uczuć macierzyńskich, ostatecznie potwierdził niezmienną miłość do skarconego. Pan Thornton udzielał

krótkich, urywanych odpowiedzi, był niespokojny i poirytowany, niezdolny do odróżnienia spraw poważnych od żartobliwych. Wyglądał tylko jej spojrzenia, jej słów, pragnąc paść przed nią na kolana ze skruchą i pokorą. Ona jednak nie patrzyła na niego i nie odzywała się. Jej palce zręcznie poruszały się przy szyciu, tak miarowo i szybko, jakby jej życie od tego zależało. Doszedł do wniosku, że zupełnie jej na nim nie zależy, bo w przeciwnym razie jego namiętna żarliwość zmusiłaby ją choć na moment do podniesienia oczu, by mogła dostrzec jego skruchę. Mógł ją przed wyjściem potraścić, aby po tak jawnej niegrzeczności mieć możliwość wyrażenia wyrzutów sumienia i żalu, które nękały jego serce. Dobrze się stało, że ten wieczór zakończył się dla niego długim spacerem na świeżym powietrzu. Otrzeźwiło go to i pomogło podjąć decyzję, że od tej pory będzie się starał widzieć ją jak najrzadziej, skoro sam widok jej twarzy i dźwięk głosu, owa czysta i delikatna melodia, potrafią pozbawić go panowania nad sobą. Wiedział już, czym jest miłość – ostrym skurczem, bolesnym doświadczeniem, z płomieniami którego się zmagał. Ale przez ten ogień torował sobie drogę

do spokoju, do błogostanu wieku dojrzałego, bogatszy i bardziej ludzki, bo poznał, co to namiętność.

Gdy pan Thornton trochę niespodziewanie opuścił pokój, Margaret podniosła się i w milczeniu składała swoją pracę.

Długie szwy wydały jej się niezgrabne, a materia nie-naturalnie ciężka w omdlewających ramionach. Zwykle zaokrąglone linie jej twarzy wydłużyły się, a wygląd wskazywał na to, że miniony dzień śmiertelnie ją zmęczył. Gdy cała trójka szykowała się do pożegnania przed udaniem się na nocny spoczynek, pan Bell wymruczał lekkie potępienie pod adresem pana Thorntona.

– Nigdy nie spotkałem człowieka tak zepsutego powodzeniem. Nie potrafi przyjąć najłżejszego żartu. Wszystko bierze do siebie, wszystko rani jego wysokie mniemanie o sobie. Przedtem był taki prosty i szlachetny. Taki bezpośredni. Nie można było go obrazić, bo nie znał, co to próżność.

– Nadal nie jest próżny – wtrąciła Margaret, odwracając się od stołu. Mówiła cicho i wyraźnie. – Dzisiaj zupełnie nie był sobą. Coś musiało go zirytować, zanim tu do nas przyszedł.

Pan Bell rzucił jej sponad okularów jedno ze swych szybkich spojrzeń. Dziewczyna wytrzymała to ze spokojem, ale po jej wyjściu z pokoju gość nagle spytał:

– Hale, czy ty zauważyłeś, że między Thorntonem a twoją córką jest ta czułość, którą Francuzi nazywają *tendresse*?

– Nigdy! – odparł pan Hale, najpierw zaskoczony, a potem odrobinę speszony tym nowym pomysłem. – Nie, jestem przekonany, że się mylisz. Jestem prawie pewien, że się mylisz. Jeśli nawet coś w tym jest, to tylko ze strony Thorntona. Biedaczyna! Mam nadzieję, że on o niej nie myśli, bo jestem pewien, że by go odrzuciła.

– Cóż, jestem kawalerem i całe życie trzymałem się z daleka od miłości i romansów, więc zapewne moja opinia nie jest zbyt wiele warta. Powiedziałbym jednak, że ona zdradza wyraźne symptomy zaangażowania.

– W takim razie to pewne, że się mylisz – odpowiedział pan Hale. – Możliwe, że jemu na niej zależy, choć swego czasu zachowywała się w stosunku do niego prawie niegrzecznie. Ale ona? Nigdy by o nim nie pomyślała. To jasne. Taka myśl nie przyszlaby jej do głowy.

– Ale mogła jej przyjść do serca. Zresztą to była tylko sugestia, tylko możliwość. Przypuszczalnie nie mam racji. A niezależnie od tego, czy ją mam, czy nie, teraz chce mi się spać. A zatem, skoro udało mi się zakłócić spokój twego nocnego odpoczynku moimi niewczesnymi pomysłami, udaję się do łóżka z wolnym od trosk umysłem.

Pan Hale postanowił, że żadna taka bzdura nie przyprawi go o bezsenność, i w nocy nie zmrużył oka, postanawiając nie poświęcać tej nowej idei ani jednej myśli.

Następnego dnia pan Bell wyjechał, prosząc Margaret, by traktowała go jako kogoś, do kogo powinna się zwracać po pomoc i opiekę we wszystkich kłopotach, jakie mogłyby ją spotkać. Do pana Hale'a zaś powiedział:

– Ta twoja Margaret głęboko zapadła mi w serce. Dbaj o nią, bo to skarb. Zdecydowanie za dobra dla Milton. W gruncie rzeczy pasowałaby do Oxfordu. Do miasta, znaczy, nie do ludzi. Jeszcze dla niej nikogo nie wymyśliłem. Jeśli jednak znajdę odpowiedniego człowieka, przywiozę go tu, by stanął u boku naszej młodej

damy, zupełnie jak dzinn w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* przywiódł księcia Caralmazana, aby się ożenił z księżniczką Badourą.

– Proszę, byś niczego takiego nie robił. Przypomnij sobie, jakie to miało opłakane skutki. Poza tym nie mógłbym się obejść bez Margaret.

– Nie, jednak po głębszym zastanowieniu stwierdzam, że ona będzie nas pielęgnować przez dziesięć lat, gdy będziemy dwójką zgryźliwych niedołączonych starców. Słowo daję, Hale! Chciałbym, abys opuścił Milton, bo to najbardziej nieodpowiednie dla ciebie miejsce. Muszę to powiedzieć, choć to przecież był mój pomysł. Gdybyś się zdecydował, przymknąłbym oko na swoje wątpliwości i przyjąłbym beneficjum oferowane mi przez kolegium. Ty i Margaret przyjechalibyście i zamieszkalibyśmy na plebanii: mógłbyś zostać kimś w rodzaju świeckiego wikarego i zamiast mnie opiekowałbyś się ludem. A ona byłaby w ciągu dnia naszą gospodynią, prawdziwą wioskową Panią Hojność, a wieczorami czytałaby nam do snu. Bardzo by mi odpowiadało takie życie. Co ty na to?

– Nigdy – oznajmił pan Hale zdecydowanie. –

Przeprowadziłem wielką zmianę i opłaciłem to wielkim cierpieniem. I tu pozostanę aż do kresu moich dni, tu mnie pochowają i tu znajdę wiekuisty spokój.

– Nie zrzucam mojego projektu, aczkolwiek chwilowo przestanę cię nim szczuć. A gdzie nasza Perła? Wiesz, oczywiście, że imię Margaret oznacza po grecku perłę? Chodź, Margaret, i daj mi pożegnalnego całusa. I nie zapomnij, moja droga, gdzie możesz znaleźć prawdziwego przyjaciela, który zrobi dla ciebie wszystko, co tylko będzie mógł. Jesteś dla mnie jak moje dziecko, Margaret. Pamiętaj o tym. I niech cię Bóg błogosławi.

Ponownie wpadli w monotonię cichego życia, jakie przedtem prowadzili. Nie było nikogo chorego, z kim wiązałyby się nadzieje czy obawy, nawet Higginsowie, którzy tak długo stanowili przedmiot ich zainteresowania, wydawali się nie potrzebować nieustającego wsparcia. Po śmierci pani Boucher Margaret otaczała jej dzieci opieką, a dzięki temu często odwiedzała zajmującą się sierotami Mary Higgins. Obie rodziny mieszkały teraz w jednym domu. Starsze dzieci uczęszczały do skromnej szkoły, natomiast młodszymi, gdy Mary była w pracy, opiekowała się odpłatnie owa serdeczna są-

siadka, której zdrowy rozsądek tak się podobał pannie Hale w dniu śmierci Bouchera. We wszystkich planach i ustaleniach związanych z tymi sierotami Nicholas wykazywał taki trzeźwy i rzeczowy osąd, taką konsekwencję, że stanowiło to ostry kontrast z jego poprzednim, nierównym postępowaniem. Pracował bardzo solidnie i Margaret rzadko go spotykała podczas tej zimy, a gdy to następowało, widziała, że krzywił się na samo wspomnienie ojca dzieci, którymi tak sumiennie się opiekował. O panu Thorntonie nie mówił swobodnie i z łatwością.

– Tak szczerze mówiąc, to on mnie chyba omaił – stwierdził. – W nim jest dwóch gości: jeden to taki w starym stylu, co to rządzi wszystkimi, a ten drugi to nie ma w sobie nawet grama z władcy. Jak tych dwóch ludzi może być w jednym ciele, to dla mnie czarna magia. Ale mnie i tak tym nie odstraszy. Przychodzi tu całkiem często, stąd znam go jako człowieka, nie tylko rozkazodawcę. I coś mi się widzi, że ja go tak samo zbijam z tropu jak on mnie, bo siedzi tu i słucha, i się we mnie wpatruje, jakbym był jakąś dziwną bestią świeżo gdzieś tam złapaną. Ale ja się nie

zniechęcam. On już wie, że trzeba by o wiele więcej, abym się zraził we własnym domu. I czasem mu mówię swoje zdanie, zwłaszcza jak mi się wydaje, że jest to coś, co powinien usłyszeć, jak był młodym człowiekiem.

– A on nie odpowiada? – spytał pan Hale.

– Cóż, nie powiem, aby przewaga była zawsze po jego stronie, choć uważam, że dzięki mnie poprawił się trochę. Czasem mówi niemiłe rzeczy, zwłaszcza jak się to słyszy po raz pierwszy. Ale jak się to przetrawi, to zwykle jest w tym ziarno prawdy. Przyjdzie dzisiaj, tak myślę, w sprawie szkoły dzieciaków. Nie jest zadowolony z tego, co tam robią, i chce je sam przeegzaminować.

– A co oni tam... – zaczął pan Hale, ale Margaret położyła dłoń na jego ramieniu i wskazała mu swój zegarek.

– Dochodzi siódma – powiedziała. – Wieczory stają się teraz dłuższe. Chodźmy, papo.

Nie mogła swobodnie oddychać, dopóki nie oddalili się na spory dystans od domu Higginsa. Dopiero gdy się uspokoiła i poczuła bezpieczna, pożałowała swojego pośpiechu: tak się jakoś składało, że ostatnio bardzo rzadko widywali pana Thorntona, a on miał być tego

dnia u Higginsa i chyba chciałaby go zobaczyć. Przez wzgląd na starą przyjaźń, oczywiście.

Tak! Przychodził do nich bardzo rzadko, nawet jeśli chodziło o zwykłe, nudne lekcje. Pan Hale był bardzo rozczarowany obojętnością swego ucznia na literaturę grecką, która jeszcze tak niedawno stanowiła przedmiot jego głębokiego zainteresowania. A teraz często się zdarzało, że dosłownie w ostatniej chwili przed czasem wyznaczonym na lekcję przynoszono krótką notkę od pana Thorntona, odwołującego wspólną lekturę ze względu na pilne i ważne zajęcia. I chociaż inni uczniowie z naddatkiem wypełniali czas pana Hale'a, w jego sercu nikt nie zajął miejsca tego pierwszego podopiecznego. Był smutny i przygnębiony z powodu częściowego zerwania znajomości, która stała się dla niego taka cenna, i coraz częściej zagłębiał się w rozmyślenia, co mogło spowodować taką zmianę.

Pewnego dnia, gdy jego córka siedziała zajęta swą robótką, zaskoczył ją nagłym pytaniem:

– Margaret, czy miałaś jakiegokolwiek podstawy, by przypuszczać, że panu Thorntonowi zależy na tobie?

Prawie się zarumienił, zadając to pytanie, ale ten

pomysł, zasygnalizowany przez pana Bella, ciągle do niego powracał, i te słowa same mu się wymknęły, zanim uświadomił sobie, co robi.

Margaret nie odpowiedziała od razu, ale po sposobie, w jaki schyliła głowę, zorientował się, jaka będzie jej odpowiedź.

– Tak. Wydaje mi się... och papo! Powinnam była ci powiedzieć. – Opuściła swą robótkę i ukryła twarz w dłoniach.

– Nie, kochanie. I nie myśl, że jestem impertynencki i wścibski. Jestem pewien, że powiedziałaś mi o tym, gdybyś czuła, że możesz odwzajemnić jego uczucia. Czy rozmawiał z tobą?

Początkowo nie odpowiedziała, ale potem z delikatnie wyczuwalnym ociąganiem potwierdziła.

– Tak.

– I odmówiłaś mu?

Długie westchnienie, jeszcze bardziej bezradna, bezsilna postawa i kolejne „tak”. Ale zanim pan Hale się odezwał, Margaret uniosła twarz, zaróżowioną, piękną w zawstydzeniu, i patrząc prosto w oczy ojca, oznajmiła:

– Papo, powiedziałam ci to, ale nic więcej dodać nie mogę. Cała ta sprawa tak dotkliwie mnie boli. Każde słowo, każdy czyn z tym związany są tak niewymownie gorzkie i przykre, że nie mogę znieść nawet myśli o tym. Och papo, tak mi przykro, że przeze mnie straciłeś przyjaciela, ale nic nie mogłam na to poradzić... Och! Tak strasznie mi przykro.

Usiadła na podłodze i złożyła mu głowę na kolanach.

– Mnie też jest przykro, kochanie. Pan Bell mnie kompletnie zaskoczył, gdy wyraził takie przypuszczenie...

– Pan Bell! Pan Bell to zauważył?

– Trochę. I wbił sobie do głowy, że ty... zaraz, jak to najlepiej ująć?... że ty nie jesteś panu Thorntonowi niechętna. Byłem pewien, że to niemożliwe. Miałem nadzieję, że to wszystko jest tylko imaginacją pana Bella. Wiedziałem przecież aż za dobrze, jakie były twoje prawdziwe uczucia, aby choć przez moment przypuszczać, że mogłabyś lubić pana Thorntona w ten sposób. Bardzo mi przykro.

Przez jakiś czas trwali w ciszy i bezruchu, ale gdy

po chwili pieszczotliwie pogładził jej policzek, odkrył w zdumieniu, że jej twarz była mokra od łez. Gdy tylko jej dotknął, zerwała się i uśmiechając się z wymuszoną pogodą, zaczęła mówić o Lennoxach z tak gwałtownym i wyraźnym pragnieniem zmiany kierunku rozmowy, że łagodny pan Hale nawet nie próbował kontynuować poprzedniego tematu.

– Jutro... tak, jutro wracają na Harley Street. Och, jakie to będzie dziwne! Ciekawe, gdzie urzędują pokój dziecinny. Ciotka Shaw będzie bardzo rada dziecku. Wyobraź sobie, Edith jest mamą. A kapitan Lennox ojcem. Zastanawiam się, czym się zajmie teraz, kiedy sprzedał patent.

– Powiem ci coś – zaproponował ojciec, pragnąc podtrzymać zainteresowanie Margaret tym świeżym tematem. – Myślę, że obejdę się bez ciebie przez jakieś dwa tygodnie, bo akurat tyle potrzeba, abyś dotarła do miasta i spotkała się z naszymi podróżnikami. Poza tym więcej dowiesz się o szansach Fredericka podczas półgodzinnej rozmowy z panem Henrym Lennoxem niż z tuzina listów, które przysłał. Tak więc w gruncie rzeczy połączyłabyś przyjemne z pożytecznym.

– Nie, papo – odrzekła – nie możesz się beze mnie obejść i, co więcej, nie będziesz musiał. – Po chwili zaś dodała: – To smutne, ale tracę nadzieję w sprawie Fredericka. Oddała się od nas powoli, a widzę poza tym, że sam pan Lennox nie wierzy w odszukanie potrzebnych świadków. Nie – powiedziała – ta bańka była naprawdę śliczna. I tak nam droga. Ale pękła jak tyle innych. I musimy pocieszyć się tym, że Frederick jest szczęśliwy, a my mamy siebie nawzajem. Nie obrażaj mnie zatem, papo, opowiadaniem, że możesz się beze mnie obejść, bo zapewniam cię, że nie możesz.

Ten pomysł małej odmiany zakorzenił się jednak i zaczął kiełkować w umyśle Margaret, choć niekoniecznie w takiej formie, jak zaproponował pan Hale. Zaczęła rozważać, jak pożądanym byłby taki wyjazd dla ojca, którego nastrój, zawsze niezbyt pogodny, pogarszał się ostatnio zbyt często. Poza tym była pewna, że jego zdrowie, choć się nigdy nie skarżył, zostało poważnie nadszarpnięte chorobą i śmiercią żony. Odbywał regularne lekcje ze swymi uczniami, ale przepływ myśli był jednostronny – on tylko dawał, a nic nie otrzymywał, więc nie można było tego nazywać partnerstwem, jak to

miało miejsce za czasów pana Thorntona. Margaret zdawała sobie sprawę z problemu, którego sam pan Hale był nieświadomy; po prostu brakowało mu godnego siebie rozmówcy. W Helstone spotykał się z innymi duchownymi, poza tym ubodzy robotnicy polowi, mężczyźni włóczący się bez celu o zmierzchu czy mieszkańcy wypasający w lesie bydło – wszyscy oni dysponowali czasem na krótsze lub dłuższe pogawędki. W Milton natomiast każdy był zbyt zajęty, by spokojnie porozmawiać czy wymienić poważniejsze myśli. Po zakończeniu dnia pracy nie można było natknąć się na przypadkowego robotnika; w zależności od charakteru i usposobienia szedł na odczyt, do klubu lub oberży. Wszystko, co mieli do powiedzenia, dotyczyło bieżących spraw i interesów, a gdy wreszcie uwalniali się od napięcia umysłu związanego z zajęciami dnia, aż do następnego ranka zapadali w jałowy odpoczynek. Pan Hale rozważał prowadzenie wykładów w jednej z instytucji w mieście, ale traktował to raczej w kategoriach obowiązku i pomysł ten nie wynikał z jakiegokolwiek jego pasji czy prawdziwego zaangażowania. Margaret była pewna, że bez choćby odrobiny entuzjazmu nie wykonywałby tej pracy rzetelnie.

XLI

KRES PODRÓŻY

*Widzę swą drogę, niczym ptak swój powietrzny szlak.
Przybędę! Kiedy, którędy, o to nie pytam.
Ale jeśli Bóg oszczędzi mi swych plag:
Gradu, piorunów, ulewy czy śnieżycy,
Kiedyś, gdy mi pozwoli, przybędę.
Prowadzi mnie On i ptak. Przybędę, gdy mi pozwoli.*

Robert Browning, „Paracelsus”

Zima nadal trwała, ale dni stawały się już coraz dłuższe, nie przynosząc jednakże ze sobą owych jasnych przeblysków nadziei, które zazwyczaj towarzyszą promieniom lutowego słońca. Pani Thornton całkowicie zaprzestała swoich wizyt u Hale'ów, natomiast jej

syn pojawiał się tam od czasu do czasu, ale przychodził do ojca Margaret i spędzali czas w gabinecie. Pan Hale wypowiadał się o swym przyjacielu zawsze tak samo, a możliwe nawet, że ograniczenie ich wzajemnych kontaktów jeszcze podniosło w jego oczach wartość młodego człowieka. Margaret wywnioskowała z cytowanych słów pana Thorntona, że przerwa w jego odwiedzinach nie wynikała z urazy czy gniewu. Po prostu w czasie strajku jego interesy skomplikowały się tak bardzo, że zmuszony był obecnie poświęcać im znacznie więcej starań i uwagi niż ubiegłej zimy. Margaret odkryła, że zdarzało mu się nawet wspominać czasami o niej, a z tego, co zdołała ustalić, robił to w stonowany i przyjacielski sposób, ani nie unikając rozmowy na jej temat, ani do niej nie dążąc. Nie była w nastroju, by pocieszać ojca. Obecny drętwy spokój poprzedzony był tak długim okresem niepokoju i zmartwień przerywanych wstrząsami, że jej umysł stracił elastyczność. Próbowwała zająć się nauczaniem dwójki młodszych dzieci Bouchera i ciężko pracowała z samej dobroci – naprawdę ciężko, bo serce nie brało udziału w jej wysiłkach, i choć obowiązki spełniała punktualnie

i rzetelnie, to jednak nie wkładała w nie serdeczności czy entuzjazmu. Życie wydawało jej się ponure i nijakie. Jedyne, co jej się udawało, to ciche podnoszenie na duchu i pocieszanie ojca, wspierane wrodzoną pobożnością. Żadne jego przygnębienie nie pozostawiało bez współczucia dziewczyny, każde życzenie było uprzedzone i spełnione, choć prośby były ciche i jeśli w ogóle wypowiedane, to z wahaniem i przeprosinami. Tym pełniejsze i bardziej imponujące wydawały się jej potulność i posłuszeństwo.

Marzec przyniósł im wiadomość o małżeństwie Fredericka. Pisali razem z Dolores: ona oczywiście w mieszaninie języków hiszpańskiego i angielskiego, on z niewielkimi błędami i kalkami z hiszpańskiego, co dowodziło, do jakiego stopnia język wybranki wpłynął na jego sposób wypowiedania się.

Po otrzymaniu listu od pana Henry'ego Lennox, w którym donosił, jak niewielkie są szanse na uniewinnienie przed sądem wojskowym wobec braku wiarygodnych świadków, Frederick napisał do siostry. W porwanych słowach wyrażał rezygnację z Anglii jako swej ojczyzny, pisał, że chciałby sam się wynarodowić,

że nie przyjąłby rehabilitacji, nawet gdyby mu ją oferowano, i nie zgodziłby się mieszkać w Anglii, nawet gdyby otrzymał na to pozwolenie. Margaret gorzko płakała nad tym listem, gdy go czytała po raz pierwszy, tak bardzo nienaturalne wydawały jej się poglądy brata. Po zastanowieniu się stwierdziła jednak, że wyziera z nich przede wszystkim ból rozczarowania, które zniszczyło jego nadzieje, i doszła do wniosku, że w tej sprawie pozostaje jej zachować spokój. W następnym liście Frederick tak radośnie zajmował się przyszłością, że nie poświęcił ani jednej myśli przeszłości, i Margaret zrozumiała, że to ona musi znaleźć w sobie ową cierpliwość, której tak gorąco pragnęła dla brata. Wkrótce nieśmiałe i dziewczęce listy od Dolores zauroczyły zarówno pannę Hale, jak i jej ojca. Młoda Hiszpanka tak wyraźnie starała się wywrzeć korzystne wrażenie na angielskich krewnych swego ukochanego, że ta troska była widoczna w każdym skreśleniu i poprawce tekstu. Razem z listem donoszącym o ślubie nadeszła wspaniała czarna, koronkowa mantyla, osobiście wybrana przez Dolores dla nieznannej szwagierki, którą Frederick przedstawił narzeczonej jako niedościgniony

wzór piękna, mądrości i cnoty. Wskutek tego małżeństwa jego pozycja w towarzystwie bardzo się podniosła. Barbour and Co był jednym z najbardziej ekspansywnych hiszpańskich domów handlowych, a Frederick został przyjęty do spółki jako młodszy partner. Margaret lekko się uśmiechnęła, a potem westchnęła na wspomnienie swoich dawnych tyrad przeciwko kupiectwu. Oto jej wykwinny brat, prawdziwy *preux chevalier**, zmienił się w sprzedawcę, w handlarza! Zaraz potem zbuntowała się jednak wobec swych myśli i upomniała się za samo zestawianie hiszpańskiego przedsiębiorcy z właścicielem przędzalni. Zresztą, handel czy nie, Frederick był bardzo, bardzo szczęśliwy, Dolores uroczą, a mantyla wspaniała. Potem jednak panna Hale wróciła do terażniejszości.

Tej wiosny ojciec miał kilkakrotnie trudności z oddychaniem, które poważnie go martwiły. Margaret była mniej zdenerwowana, ponieważ w przerwach między atakami nie działo się nic niepokojącego, jednakże tak bardzo jej zależało, aby pan Hale całkowicie ode-

* Wytworny rycerz, galant (fr.)

rwiał się od swych trosk, że naciskała, aby przyjął zaproszenie do złożenia w kwietniu wizyty panu Bellowi w Oxfordzie. Dotyczyło ono także Margaret, a co więcej, pan Bell wystosował do niej osobny list, nakazujący jej przyjazd razem z ojcem. Czuła jednak, że byłoby dla niej wielką ulgą i odprężeniem, gdyby mogła zostać w domu, całkowicie uwolniona od jakiejkolwiek odpowiedzialności czy obowiązku, tak aby mogła wreszcie wyciszyć i umysł, i serce, czego nie dane jej było doświadczyć w ciągu minionych dwóch lat.

Gdy ojciec wsiadł do dorożki, by odjechać na dworzec, Margaret uświadomiła sobie, jak wielką i długotrwałą wywierano presję na jej nastrój, na jej rozkład dnia, na jej życie. To obecne poczucie wolności zaskoczyło ją, początkowo prawie zdruzgotało. Nikt nie oczekiwał od niej opieki, pocieszania, uszczęśliwiania, żaden chory nie wymagał obsługi ani troski. Mogła próżnować, milczeć, zapominać o obowiązkach. A co najważniejsze i najcenniejsze – mogła być do woli niešťęśliwa. Podczas minionych miesięcy jej osobiste kłopoty i zmartwienia musiały tkwić upchnięte w jakiejś zapomnianej skrytce, ale teraz miała wolną rękę,

by je wreszcie wyciągnąć na światło dzienne, oplakiwać je, studiować ich naturę i poszukiwać właściwej metody zmienienia ich w coś pożytecznego. Przez wiele tygodni miała tępą świadomość obecności tych zgryzot, choć przecież je ukryła. Teraz zamierzała się nimi zająć i znaleźć dla każdej swej troski jej właściwe miejsce i rolę do odegrania. Godzinami przesiadywała bez ruchu w salonie w niezachwianym postanowieniu, nie uciekając od goryczy żadnego ze wspomnień. Tylko raz rozplakała się na głos, przy boleśnie piekącej myśli o wykazanym braku wiary, który w konsekwencji doprowadził ją do kłamstwa.

Nawet teraz nie chciała uznać siły tamtego kuszenia. Plany związane z Frederickiem legły w gruzach, a jej grzech wydawał się kpina, całkowicie nierzeczywistą kpina. To kłamstwo, widziane w świetle następujących po nim wydarzeń, było takie nikczemne i głupie, a wiara w siłę prawdy wydawała się nieskończenie większą mądrością.

W swym nerwowym poruszeniu nieświadomie otworzyła książkę ojca, leżącą na stole. Słowa, które przykuły jej wzrok, wydawały się napisane specjalnie

dla kogoś, kto jak ona znajdował się w stanie ostrego samoupokorzenia.

Je ne voudrais pas reprendre mon coeur en ceste sorte: meurs de honte, aveugle, impudent, triste et desloyal à ton Dieu, et semblables choses; mais je voudrois le corriger par voye de compassion. Or sus, mon pauvre coeur, nous voila tombez dans la fosse, laquelle nous avions tant resolu d'eschapper. Ah! relevons-nous, et quittons-la pour jamais, reclamons la misericorde de Dieu, et esperons en elle qu'elle nous assistera pour desormais estre plus fermes; et remettons-nous au chemin de l'humilité. Courage, soyons meshuy sur nos gardes, Dieu nous aydera.*

* „Wolałbym nie czynić wyrzutów memu sercu, mówiąc: Giń ze wstydu za twą nienawiść, ślepotę, zuchwałość, nielojalność i niewierność wobec twojego Boga. Wolałbym raczej uciec się do współczucia i powiedzieć: Moje biedne serce, a więc wpadliśmy do tego dołu, którego tak bardzo staraliśmy się uniknąć. Podnieśmy się i wydostańmy się stąd na zawsze, głosząc miłosierdzie Pana i ufając, że dzięki Niemu uda nam się od tej pory wytrwać w naszych postanowieniach. Wstąpmy na drogę pokory! Odwagi, bądźmy czujni. Bóg nas wesprze!” Fragment z *An Introduction to the Devout Life* św. Franciszka Salezego (1567–1622).

Drogą pokory. Ach – pomyślała Margaret – to właśnie pominęłam. Ale odwagi, moje serduszko. Zawróćmy i z bożą pomocą odnajdę moją zagubioną ścieżkę.

Podniosła się ze zdecydowanym zamiarem zajęcia się pracą, która odciągnie jej myśli od osobistych trosk. Marta, w drodze na górę, mijała akurat drzwi salonu. Margaret zawołała ją, aby spróbować odkryć, co znajduje się pod poważnym, pełnym respektu, służalczym zachowaniem dziewczyny, które skrywało rzeczywiste cechy jej charakteru, zastąpione mechanicznym posłuszeństwem. Z trudem udało jej się skłonić służącą, by zaczęła mówić o sobie, ale w końcu uderzyła we właściwą strunę, wspominając panią Thornton. Twarz Marty rozjaśniła się i po niewielkiej zachęcie ze strony Margaret popłynęła opowieść o tym, jak ojciec dziewczyny we wczesnym okresie życia związany był z panem Thorntonem seniorem, a co więcej, zajmował takie stanowisko, że zdarzyło mu się wyświadczyć panu Thorntonowi przysługę. Wiedziała o tym tylko z opowieści, bo w tym czasie była małym dzieckiem. Potem, na skutek okoliczności, drogi obu rodzin się rozeszły, aż

do czasu, gdy Marta dorosła. Jej ojciec zajmował posady o coraz niższej randze w stosunku do poprzedniej pozycji oficjalisty, a matka nie żyła. Jej i siostrze groził zatem „upadek”, jak to sama określiła. Na szczęście pamiętała o nich pani Thornton – odnalazła je i zatroszczyła się o nie.

– Gorączkowałam i byłam taka słabowita. A pani Thornton, i pan Thornton też nie spoczęli, aż mnie wyleczyli. I to w ich własnym domu. Wysłali mnie nad morze i w ogóle. Doktorzy ich ostrzegali, że to zaraźliwa gorączka, ale oni na to nie zwracali uwagi, oprócz pani Fanny. Pojechała więc z wizytą do tych ludzi, gdzie teraz wychodzi za mąż.

– Panna Fanny wychodzi za mąż?! – wykrzyknęła Margaret.

– Tak, za takiego bogatego dżentelmena. Jest o wiele, wiele od niej starszy. Nazywa się Watson, a jego fabryki są gdzieś tam, za Hayleigh. To bardzo korzystne małżeństwo, chociaż on ma już siwe włosy.

Po tej informacji Margaret zamilkła, a cisza trwała na tyle długo, że Marta zdążyła odzyskać swój zwykły sposób bycia, a wraz z nim lakoniczność wypowiedzi.

Poruszyła ogień, spytała, o której godzinie ma podać herbatę, i opuściła pokój z tak samo nieruchomą twarzą, z jaką przedtem do niego weszła. Panna Hale musiała się powstrzymać od folgowania złemu nawykowi, w jaki ostatnio wpadła, polegającemu na wyobrażaniu sobie, w jaki sposób każde związane z panem Thorntonem wydarzenie, o którym się dowiadywała, wpływało na niego samego, przy czym szczególnie ją interesowało, czy spodobało mu się ono, czy nie.

Następnego dnia miała lekcje z dziećmi Bouchera, potem poszła na długi spacer i w drodze powrotnej odwiedziła Mary Higgins. Zdziwiła się trochę obecnością w domu Nicholasa, ale to wydłużający się dzień ją zmylił i straciła poczucie czasu. Zachowanie mężczyzny świadczyło o tym, że także on odniósł pewne sukcesy na drodze do pokory. Był cichszy i mniej przekorny.

– A więc nasz starszy dżentelmen wyruszył sobie w podróż, co? – spytał. – Maluchy mi tak powiedziały. Ech! Cwane z nich bestie. Sprytne. Wydaje mi się nawet, że są sprytniejsze, niż były moje dziewczuchy, choć to może źle tak mówić, zwłaszcza że jedna śpi już w grobie. Jest chyba coś takiego w powietrzu, co nosi

ludzi poza domem. Nawet mój pan, ten tam, w fabryce, gdzie się kręci po świecie.

– Czy to dlatego wróciłeś dziś tak wcześnie do domu? – spytała Margaret niewinnie.

– Panienska wie, że to nie o to chodzi – odpowiedział kpiąco. – Ja nie z tych, co to mają dwie twarze: jedną dla pana, a inną dla jego pleców. Liczyłem uderzenia zegara w mieście, jak zawsze, zanim wyszedłem z pracy. Nie! Ten panienska Thornton jest dość dobry, aby z nim walczyć, ale zbyt dobry, by go oszukiwać. To panienska znalazła mi tę robotę i za to dziękuję. Coraz częściej myślę, że przędzalnia Thorntona to wcale nie jest złe miejsce. Stań prosto, szkrabie, i powiedz paniencie Margaret hymn. Właśnie tak, twardo na nogach, prawe ramię przed siebie prosto, jak wskazówka, i: „Na raz – stań, na dwa – wytrzymaj, na trzy – gotów, na cztery – przed siebie!”

Chłopczyk odśpiewał hymn metodystów, którego zrozumienie przekraczało jego możliwości, ale doskonale podchwycił rytm i odtworzył go, zaznaczając każdą kadencję, niczym członek parlamentu. Gdy Margaret okazała swój podziw, Nicholas zażądał kolej-

nego hymnu, a potem jeszcze następnego, ku wielkiemu zdumieniu dziewczyny, gdy zobaczyła go tak nieświadomie zainteresowanego świętymi tekstami, które poprzednio odrzucał z pogardą.

Kiedy dotarła do domu, dawno minęła zwykła pora herbaty, ale panna Hale była w tej komfortowej sytuacji, że przez swoje spóźnienie nie kazała nikomu na siebie czekać. Mogła poza tym zająć się własnymi myślami, zamiast niespokojnie przyglądać się owej drugiej osobie, w panicznym strachu, czy jest obrażona, czy nie. Po herbacie postanowiła przejrzeć spory pakiet listów i zdecydować, które z nich należy zniszczyć.

W paczce znalazła cztery czy pięć listów od pana Henry'ego Lennox, dotyczących sprawy Fredericka. Przeczytała je uważnie po raz kolejny, zaczynając ich lekturę wyłącznie z intencją dokładnego upewnienia się, czy są szanse na uniewinnienie brata. Jednakże, gdy skończyła czytać ostatni list i ważyła argumenty za i przeciw wszczynaniu procesu, zwróciła uwagę na inny, bardziej osobisty aspekt tej korespondencji. Było jasne, że pan Lennox nie zapomniał, mimo zaangażowania w przedmiot korespondencji, o ich bliskich

niegdyś relacjach. Listy świadczyły też o bystrej inteligencji autora, wprost się nią skrzyły. Margaret nie znalazła w nich jednak ani serdeczności, ani szczerości. Mimo to postanowiła je zatrzymać, gdyż zawierały cenne uwagi. Starannie odłożyła je na bok, a gdy ta sprawa została załatwiona, zatopiła się w marzeniach na jawie. Nieoczekiwanie tego wieczoru w jej myślach wciąż pojawiał się ojciec. Prawie się obwiniła o to, że swoją samotność, a co za tym idzie – także nieobecność pana Hale’a, uważała za ulgę. Te dwa dni napełniły ją na nowo siłą i nadzieją. Plany, które ostatnio traktowała wyłącznie jako zadania do wykonania, teraz wydały jej się przyjemne. Fałszywe łuski spadły jej z oczu i nareszcie zobaczyła swą sytuację we właściwych proporcjach. Gdyby jeszcze pan Thornton przywrócił jej swą przyjaźń... Gdyby choć przychodził od czasu do czasu, aby jak za dawnych dni podnieść jej ojca na duchu... Nawet gdyby ona miała go więcej nie widzieć, czuła, że bieg jej dalszego życia, choć może nieośniewający, byłby pogodny i równy. Westchnęła, podnosząc się, by iść do łóżka. Pomimo zasady: „Jeden krok to dla mnie do-

ść”*, pomimo jasno wytyczonego obowiązku poświęcenia się ojcu, gdzieś w głębi serca czuła niepokój i jakby ukłucie żalu.

Tak jak Margaret uporczywie myślała o ojcu tego kwietniowego wieczoru, tak samo myśl o niej nie opuszczała pana Hale’a. Zmęczyło go odwiedzanie starych przyjaciół. Miał przesadne obawy co do wrażenia, jakie wywrze na nich zmiana jego poglądów. Choć niektórzy z nich mogli być wstrząśnięci, oburzeni lub pełni pogardy wobec tego, że całkowicie poddał się wątpliwościom i rozważaniom teoretycznym, to gdy tylko zobaczyli twarz człowieka, którego kiedyś kochali, zapominali o jego przekonaniach lub pamiętali o nich tylko na tyle, by przydawało to ich zachowaniu czulej powagi.

Pan Hale nie był bardzo znany. Należał do jednego z mniejszych kolegiów, a ponadto zawsze był nieśmiały i powściągliwy. Jednakże ci, którzy w młodości zadali sobie dość trudu, by przeniknąć subtelność jego myśli i uczuć ukrytych pod niezdecydowaniem i skromno-

* Cytat z *Lead Kindly Light* kardynała Newmana.

ścią, byli nim oczarowani i okazywali mu serdeczną opiekuńczość, taką, jaką się otacza kobiety. A jeśli chodzi o pana Hale'a, to nawrót do tej uprzejmości po tylu latach i tak wielu zmianach obezwładnił go o wiele bardziej, niż mogłaby to uczynić dezaprobata lub szorstkość.

– Obawiam się, że dzień był zbyt długi i nużący – powiedział pan Bell. – Cierpisz i to są skutki długiego mieszkania w Milton.

– Jestem zmęczony – odrzekł pan Hale – ale to nie wina powietrza w Milton. Mam po prostu pięćdziesiąt pięć lat i to wystarcza za powód utraty siły.

– Co za bzdura! Ja mam ponad sześćdziesiątkę i nie czuję żadnej utraty sił, ani fizycznych, ani psychicznych. Nawet nie chcę czegoś takiego słuchać. Pięćdziesiąt pięć lat. Przecież z ciebie jest całkiem młody człowiek!

Pan Hale potrząsnął głową.

– Te ostatnie kilka lat... – zaczął mówić, lecz przerwał. Po chwili uniósł się z jednego z wygodnych foteli pana Bella, gdzie na wpeł leżał, i z rozedrganą powagą powiedział: – Bell! Nie powinienesz myśleć, że gdybym zdołał przewidzieć wszystkie konsekwencje mojej zmia-

ny poglądów i rezygnacji ze stanowiska... Nie! Nawet gdybym wiedział, jak ona będzie cierpiała... że bym się cofnął... przed potwierdzeniem... że już nie podzielał tej samej wiary co Kościół, w którym byłem duchownym. Teraz wiem, że nawet gdybym mógł przewidzieć to okrutne męczeństwo kogoś, kogo tak kochałem, postąpiłbym dokładnie tak samo, przynajmniej w kwestii otwartego wystąpienia z Kościoła. Prawdopodobnie mogłem postąpić inaczej i zachowywać się mądrzej we wszystkim tym, co nastąpiło później, a dotyczyło mojej rodziny. Obawiam się jednak, że Bóg nie obdarzył mnie nadmiarem mądrości czy siły – dodał, opadając z powrotem w głąb fotela.

Pan Bell ostentacyjnie wydmuchał nos, po czym odpowiedział:

– Dał ci jednak dość siły, byś zrobił to, co było zgodne z twoim sumieniem. A ja uważam, że nie potrzebujemy żadnej większej czy świętszej siły niż ta. Ani mądrości. Ja nie mam nawet tyle, a jednak różni ludzie wymieniają mnie w swoich książkach jako niezależny charakter, silny umysł i inne temu podobne frazesy. Największy idiota, przestrzegając zwykłych prostych

zasad, nawet jeśli dotyczą tylko wycierania butów przed wejściem do domu, jest mądrzejszy i silniejszy ode mnie. Ale wiadomo, że ludzie są naiwni.

Nastąpiła przerwa. Pierwszy odezwał się pan Hale, kontynuując swą poprzednią myśl.

– Wracając do Margaret...

– Cóż z nią?

– Jeśli umrę...

– Nonsens!

– Często się zastanawiam, co się z nią stanie. Przypuszczam, że Lennoxowie zaproszą ją, by z nimi zamieszkała. Taką przynajmniej mam nadzieję. Ciotka kocha ją na swój cichy sposób, ale zapomina o niej, kiedy tylko straci ją z oczu.

– Bardzo powszechne zjawisko. Co to za ludzie ci Lennoxowie?

– On jest przystojny, gładki, przyjemny. Edith to słodka, zepsuta piękność. Margaret kocha ją z całego serca, natomiast kuzynka odwzajemnia tę miłość na tyle, na ile serca jej jeszcze pozostało.

– Cóż, Hale, wiesz dobrze, że twoja córka całkiem mną zawładnęła. Mówiłem ci to już przedtem.

Oczywiście, zanim ją zobaczyłem w Milton, interesowałem się nią, ale jako twoją córką i siostrą mojego chrześniaka. Ostatnie odwiedziny w Milton uczyniły jednak ze mnie jej niewolnika i jako ochocza ofiara podążyłem za rydwanem zwyciężczyni. Trzeba przyznać, że wygląda tak imponująco i dostojnie jak ktoś, kto walczył, być może walczy teraz, i z pewnością widzi na horyzoncie zwycięstwo. Tak, pomimo jej wszystkich bieżących trosk, takie właśnie wywarła na mnie wrażenie. A zatem wszystko, co posiadam, jest w razie potrzeby do jej dyspozycji, a kiedy umrę, stanie się jej własnością, czy tego będzie chciała, czy nie. Co więcej, ja sam stanę się jej rycerzem i kawalerem, mimo mojej sześćdziesiątki i podagry. Mówię serio, stary przyjacielu, twoja córka będzie moim głównym celem i priorytetem, i udzielę jej każdej pomocy, na jaką pozwoli moja inteligencja, wiedza czy serce. Nie wybrałem jej jako przedmiotu trosk, choć wiem od dawna, że człowiek potrzebuje w życiu czegoś, o co mógłby się martwić, bo inaczej nie byłby szczęśliwy. Ale ty przeżyjesz mnie o wiele, wiele lat. Wy, szczupli mężczyźni, zawsze kusicie i zawsze oszukujecie śmierć, ale to my, tędzy i rumiani, odchodzimy pierwsi.

Gdyby pan Bell był obdarzony proroczym spojrzeniem, zdołałby dostrzec prawie odwróconą pochodnię i anioła z nieruchomą, grobową twarzą, stojącego blisko na kiwnięcie palcem nad jego przyjacielem. Tej nocy pan Hale złożył głowę na poduszce, z której już nigdy nie miał jej podnieść o własnych siłach. Nie odpowiedział na pytanie służącego, który rano wszedł do pokoju. Gdy podszedł bliżej łóżka, zobaczył spokojną, piękną twarz spoczywającą pod nieusuwalnym całunem śmierci, białą i zimną. Ułożenie ciała było całkowicie swobodne, bez śladu jakiegokolwiek cierpienia czy zmagania. Najwyraźniej serce się zatrzymało, gdy leżał już w łóżku.

Pan Bell był oszołomiony i wstrząśnięty. Odzyskiwał przytomność umysłu tylko wtedy, gdy się złościł na sugestie służącego.

– Dochodzenie koronera? Phi. Chyba nie myślisz, że go otrułem! Doktor Forbes stwierdził, że to był naturalny finał choroby serca. Biedny, stary Hale. Zdarłeś przed czasem to swoje czułe serce, biedny stary przyjacielu. Jak on mówił o swojej... Wallis! Spakuj moją torbę podróżną! Masz na to pięć minut! A ja tu sobie

siedzę i gadam. Pakuj ją, mówię ci. Muszę jechać do Milton następnym pociągiem.

W ciągu dwudziestu minut od podjęcia decyzji sakwojaż był spakowany, dorożka zamówiona, a pan Bell zdążył dojechać na stację. Pociąg z Londynu wtoczył się ze świstem, cofnął kilka jardów, a niecierpliwy konduktor ponaglił pasażera, by wsiadł do przedziału. Wsiadłszy, rzucił się na swoje siedzenie i z zamkniętymi oczyma próbował zrozumieć, jak ktoś żywy wczoraj mógł być dzisiaj martwy. I wkrótce łzy wykradły się spomiędzy siwych rzęs. Szybko otworzył przenikliwe oczy i rozejrzał się, wkładając w to spojrzenie tyle powagi i pogody, na ile było go w danej chwili stać. Nie zamierzał przecież mazgać się przed bandą nieznajomych. O, nie!

W pobliżu nie było jednak żadnych nieznajomych, tylko jeden podróżny siedzący nieco dalej po tej samej stronie przedziału. Pan Bell zaczął wkrótce spoglądać w stronę tego mężczyzny, aby zorientować się, jakiego typu człowiek mógł być świadkiem jego wybuchu emocji. I poza wielką płachtą rozłożonego „Timesa” rozpoznał pana Thorntona.

– Ależ Thornton! Czy to pan?! – wykrzyknął, pospiesznie się do niego przysuwając. Mocno potrząsnął jego dłonią, ale chwyt rozluźnił się niespodziewanie, bo pan Bell potrzebował tej ręki do osuszenia oczu z łez. Po raz ostatni spotkał wszak pana Thorntona w towarzystwie swego przyjaciela Hale’a. – Jadę do Milton w bardzo przykrew sprawie. Muszę przekazać córce Hale’a wiadomość o jego śmierci.

– Śmierci! Pan Hale nie żyje!

– Tak. Sam muszę sobie ciągle powtarzać: „Hale nie żyje”, ale nadal nie mogę w to uwierzyć. On naprawdę nie żyje. Wczoraj wieczorem położył się w idealnym zdrowiu, tak przynajmniej wyglądał, a dziś rano, gdy mój służący do niego poszedł, był już zupełnie zimny.

– Ale gdzie? Nic nie rozumiem!

– W Oxfordzie. Przyjechał do mnie z wizytą. Nie był tam od siedemnastu lat. I tak to się skończyło.

Przez kolejny kwadrans nie padło ani jedno słowo. Potem odezwał się pan Thornton:

– Ale ona! – powiedział krótko.

– Ma pan na myśli Margaret. Tak! Muszę ją o tym zawiadomić. Biedny człowiek. Tego ostatniego dnia

myślał tylko o niej. Dobry Boże! Zaledwie wczoraj wieczorem. A teraz? Jaki niezmierny dystans nas dzieli. Ze względu na niego będę traktował dziewczynę jak własne dziecko. A wczoraj mu powiedziałem, że będzie dla mnie jak córka przez wzgląd na nią samą. Cóż, będzie nią przez wzgląd na nich oboje.

Pan Thornton, po kilku bezowocnych próbach wydobycia z siebie głosu, zdołał wreszcie wykrztusić:

– Co się z nią stanie?

– Wydaje mi się, że w grę wchodzi dwie osoby, z czego ja jestem jedną. Jestem gotów przyjąć do własnego domu smoka, jeśli zatrudniając przyzwoitkę i urządzając odpowiednio dom, mógłbym na starość cieszyć się towarzystwem Margaret jako mojej córki. No, ale poza mną są jeszcze Lennoxowie.

– Kim oni są? – drżącym głosem spytał bardzo zainteresowany pan Thornton.

– Och, tacy modni londyńczycy, którzy prawdopodobnie będą uważać, że mają do niej największe prawa. Kapitan Lennox poślubił jej kuzynkę, z którą się razem wychowywały. Raczej przyzwoici ludzie, jak sądzę. Jest jeszcze ciotka, pani Shaw. Byłoby może rozwiązaniem

poślubić ową szlachetną damę, ale to chyba ostateczność. No i jest jeszcze brat!

– Jaki brat? Brat ciotki?

– Nie, nie. Mądry Lennox. Bo musi pan wiedzieć, że kapitan to dureń. Mądry Lennox to młody adwokat, który się szykuje na Margaret. Wiem, że wbił ją sobie do głowy już kilka lat temu. Powiedział mi o tym jeden z jego kolegów. Mówił też, że jedyne, co powstrzymywało Lennox, to brak majątku dziewczyny. Ale teraz się z tym uporamy.

– Jak? – spytał pan Thornton, zbyt poważnie zainteresowany tą kwestią, by zdać sobie sprawę z bezczelności swego pytania.

– Po prostu po mojej śmierci odziedziczy moje pieniądze. A jeśli ten Henry Lennox jest choć w połowie tak dobry jak ona, a ona go lubi... cóż! Mógłbym przecież znaleźć inny sposób na zorganizowanie sobie domu przez małżeństwo. Strasznie się boję, że w chwili nieuwagi skusi mnie związek z tą ciotką.

Ani pan Bell, ani pan Thornton nie byli w żartobliwych nastrojach, tak więc dziwaczność niektórych stwierdzeń pierwszego z nich pozostała niezauważona.

Oksfordczyk poza świszczącym oddechem nie wydawał żadnego dźwięku i bezustannie się wiercił, wyraźnie nie umiejąc znaleźć wygodnej pozycji. Jego towarzysz siedział dla odmiany w kompletnej ciszy i bezruchu. Oczy utkwił w jednym punkcie gazety, którą podniósł tylko po to, by się za nią skryć i móc pomyśleć.

– A gdzie pan był? – spytał po pewnym czasie pan Bell.

– W Hawrze. Usiłowałem się dowiedzieć na miejscu, w czym tkwi sekret tak poważnego wzrostu cen bawełny.

– Ufff! Bawełna, spekulacje, dym, wyczyszczone i zadbane maszyny, brudni i zaniedbani robotnicy. Biedny stary Hale! Biedny stary Hale! Gdyby choć w części potrafił pan sobie wyobrazić, jaką zmianę stanowią dla niego ta wyprowadzka z Helstone. Czy zna pan choć trochę New Forrest?

– Tak – padła krótka odpowiedź.

– Potrafi pan sobie zatem wyobrazić różnicę między Helstone a Milton. A jaki rejon pan zna? Był pan kiedykolwiek w Helstone? Mała, malownicza wioska, trochę jak w Odenwald? Zna pan Helstone?

– Widziałem je. To rzeczywiście musiała być wielka zmiana wyjechać stamtąd i zamieszkać w Milton.

Ponownie wziął do ręki gazetę ze zdecydowaną miną kogoś, kto nie życzy sobie dalszej rozmowy.

Pan Bell natomiast wrócił do swego poprzedniego zajęcia i próbował zdecydować, w jaki sposób najlepiej przekazać Margaret wiadomość o śmierci jej ojca.

Zobaczyła go z okna na piętrze, jak wysiadał z drożki. W nagłym przebłysku intuicji odgadła prawdę. Stała na środku salonu, zatrzymana w pierwszym odruchu, by pobiec na dół. Była tak biała i nieruchoma, jakby ta okropna myśl zamieniła ją w kamień.

– Och! Proszę mi tego nie mówić! Widzę to po pana twarzy! Przecież wysłałby pan... Nie zostawiłby go pan samego... gdyby żył! Och! Papo!

XLII

SAMA. ZUPEŁNIE SAMA

*Gdy ukochany głos, wsparcie dla ciebie
I słodycz, nagle zamiera,
A wokół ciebie zapada milczenie,
Którego nie potrafisz przerwać nawet płaczem,
I rwie ci serce na strzępy. Skąd czerpać nadzieję?
Skąd pomoc? Jaka muzyka
Odegna od ciebie tę chorobę ciszy?*

Elizabeth Browning, „Substitution”

Wstrząs ją poraził. Zapadła w stan rozpacz, która nie objawiała się szlochem czy łzami, lecz po prostu nie znajdowała ujścia. Z zamkniętymi oczami leżała na sofie, odzywała się tylko, gdy ją py-

tano, a nawet wtedy mówiła wyłącznie szeptem. Pan Bell był skonsternowany. Obawiał się zostawić ją samą, a nie śmiał zaproponować, by pojechała wraz z nim do Oxfordu, co było jednym z rozwiązań wymyślonych podczas podróży do Milton. Jej wyczerpanie fizyczne było wyraźne i uniemożliwiało podjęcie takiego wysiłku, zwłaszcza wobec wydarzenia, któremu tam na miejscu musiałaby stawić czoło. To wszystko wydawało się nie do pomyślenia.

Pan Bell siedział przy kominku i rozważał, co powinien zrobić. Margaret leżała bez ruchu i prawie bez dechu. Nie chciał jej opuścić nawet na czas obiadu, który łkająca Dixon przygotowała mu na dole i którym gościnnie usiłowała go skusić. W końcu talerz z posiłkiem przyniesiono mu na górę. Zazwyczaj był wybredny i uważny w sprawach jedzenia, rozpoznawał szczególny smak i aromat każdego dania, teraz jednak kurczak po diabelsku smakował mu jak trociny. Podrobił trochę mięsa dla Margaret i dobrze przyprawił, ale gdy Dixon zgodnie z jego instrukcjami próbowała nakarmić dziewczynę, jej omdlały ruch głową przekonał go, że w stanie, w jakim się znajdowała, jedzenie mogło ją tylko zadławić, a nie pożywić.

Pan Bell westchnął ciężko. Zmusił swe stare, tęgie i zeszywniałe od podróży kończyny do porzucenia wygodnego ułożenia i wyszedł za służącą z pokoju.

– Nie mogę jej zostawić w tym stanie. Napiszę do Oxfordu, aby dopilnowano przygotowań do pogrzebu. Mogą je kontynuować, dopóki nie wrócę. A może pani Lennox mogłaby przyjechać do Margaret? Napiszę do niej i zaznaczę wprost, że musi. Dziewczyna powinna mieć jakąś przyjazną kobietę koło siebie, chociażby po to, by ją skłoniła do porządnego płaczu.

Jeśli chodzi o Dixon, to ona płakała, i to za dwie osoby. Ale gdy otarła oczy i nieco się uspokoiła, zdołała poinformować gościa, że pani Lennox jest zbyt bliska rozwiązania, by podjąć jakąkolwiek podróż. Pan Bell miał kolejny pomysł:

– Wygląda na to, że musimy tu ściągnąć panią Shaw. Wydaje mi się, że wróciła już do Anglii, prawda?

– Tak, sir, wróciła, ale nie sądzę, by zechciała opuszczać panią Lennox w takim ekscytującym momencie – odpowiedziała Dixon, której niezbyt uśmiechała się perspektywa przyjmowania w domu kogoś, z kim musiałyby się dzielić swą władczą opieką nad Margaret.

– Ekscytujący moment... – Pan Bell zmusił się, by kaszlem pokryć końcówkę zdania. – Z tego, co wiem, to poprzedni ekscytujący moment na Korfu nie przeszkodził pani Shaw w zwiedzaniu Wenecji, Neapolu czy jakiejś innej wylęgarni papistów. A zresztą czym jest ów „ekscytujący moment” w wypadku kwitnącej, zdrowej kobiety, w porównaniu z tą biedną istotą tam na górze? Z moją bezsilną, bezdomną, samotną Margaret... Leży tak nieruchomo na sofie, jakby była kamiennym posągami w grobowcu. Mówię ci, że pani Shaw przyjedzie. Dopilnuj tylko, żeby pokój i wszystko, czego mogłaby potrzebować, były gotowe jutro wieczorem. A moja głowa w tym, żeby przyjechała.

Następnie pan Bell napisał taki list, że pani Shaw oświadczyła, zalewając się łzami, iż do złudzenia przypomina jej epistoły drogiego generała, jakie pisał, gdy zbliżał się atak podagry. Podobieństwo było tak uderzające, że zachowała list pana Bella na pamiątkę. Gdyby dał jej możliwość wyboru, gdyby prosząc lub nakłaniając, dopuścił możliwość odmowy, prawdopodobnie by nie pojechała, mimo prawdziwego i szczerego współczucia dla Margaret. Potrzebne było ostre i niezbyt

uprzejme polecenie, aby przemoc jej skłonność do inercji. Pozwoliła, by pokojówka przygotowała pudła podróżne i spakowała jej rzeczy. Edith, cała w czepkach, szalach i łzach, wyszła na podest schodów, gdy kapitan Lennox pomagał jej matce wsiąść do powozu.

– Nie zapomnij, mamó. Margaret musi przyjechać i z nami zamieszkać. Cosmo pojedzie do Oxfordu w środę i wyślij mu wiadomość przez pana Bella, kiedy możemy się ciebie spodziewać. A jeśli Cosmo byłby ci potrzebny, to z Oxfordu pojedzie do ciebie do Milton. Nie zapominaj, mamó. Masz przywieźć ze sobą Margaret.

Edith wróciła do salonu i zastała tam pana Henry’ego Lennox, rozcinającego strony nowego wydania „Review”. Nie podnosząc głowy, powiedział:

– Jeśli wolałabyś, aby Cosmo nie oddalał się od ciebie na tak długo, Edith, to mam nadzieję, że pozwolisz mi pojechać do Milton zamiast niego. Zapewniam cię, że postaram się pomóc.

– Och, dziękuję ci – odpowiedziała. – Przypuszczam, że stary pan Bell zrobi wszystko, co w jego mocy, i dodatkowa pomoc chyba nie będzie potrzebna, choć nie

wiem, czy można liczyć na praktycyzm u akademika. Droga, kochana Margaret. Czy to nie będzie urocze mieć ją tu ponownie? Wy dwoje byliście kiedyś wielkimi przyjaciółmi.

– Naprawdę? – spytał obojętnie i wyglądał na zainteresowanego wyłącznie czytany fragmentem „Review”.

– No, może nie. Zresztą nie pamiętam. Byłam całkowicie zaprzątnięta Cosmo. Ale czy to się nie składa świetnie, że jeśli wuj miał umrzeć, to stało się to akurat teraz, gdy wróciliśmy do Anglii i urządzamy się w naszym dawnym domu? I że wszystko jest gotowe na przyjęcie Margaret? Biedaczka. Cóż to będzie dla niej za zmiana po tym Milton. Muszę wybrać nowy perkal do jej sypialni, aby wszystko odnowić i rozjaśnić. Na pewno ją to podniesie na duchu.

Z podobnie serdecznym nastawieniem pani Shaw podróżowała do Milton, co jakiś czas tylko ogarnięta obawą, jak przebiegnie jej pierwsze spotkanie z siostrzenicą. Znacznie częściej zajmowało ją planowanie, jak szybko zdoła wydostać Margaret z tego okropnego miejsca i zabrać z powrotem na Harley Street, gdzie będą wiedli przyjemne i komfortowe życie.

– Spójrz tylko na te kominy! – powiedziała do swojej pokojówki. – Moja biedna siostra Hale! Myślę, że gdybym o tym wszystkim wiedziała, nie byłabym w stanie odpoczywać w Neapolu. Powinnam była tu przyjechać i zabrać ją stąd razem z Margaret. – W duchu zaś dodała, że zawsze uważała swego szwagra za niezbyt silnego człowieka, ale nigdy za tak słabego jak w chwili, gdy zobaczyła miejsce, na jakie zmienił śliczny dom w Helstone.

Margaret pozostawała w tym samym stanie: biała, nieruchoma, nieznająca słów, nieznająca łez. Powiedzieli jej, że przyjedzie ciotka Shaw, ale dziewczyna w żaden sposób nie zareagowała. Nie okazała ani zdumienia, ani zadowolenia, ani niechęci. Pan Bell, któremu powrócił apetyt i który oddawał sprawiedliwość przysmakom podsuwanym mu przez Dixon, nadaremnie nakłaniał pannę Hale, by skosztowała grasicy cielęcej duszonej z ostrygami. Kręciła głową z takim samym cichym uporem jak poprzedniego dnia, był więc wobec jej odmowy zmuszony pocieszyć się, zjadając wszystko samemu.

To Margaret usłyszała pierwsza zatrzymującą się

dorożkę, która przywiozła ciotkę ze stacji kolejowej. Powieki jej zatrzepotały, usta odzyskały kolor i zadrżały. Pan Bell poszedł na dół po panią Shaw, a dziewczyna usiłowała opanować skołowanie i odzyskać równowagę. Gdy zobaczyła ciotkę i jej wyciągnięte do siebie ręce, ruszyła do przodu i nareszcie znalazła choć trochę ulgi, płacząc namiętnie na ramieniu krewnej. Wszystkie wspomnienia cichej, stałej miłości, trwającej latami czułości, pokrewieństwa ze zmarłą matką, całe to niewytłumaczalne podobieństwo wyglądu, głosu, gestów, świadczące o przynależności do tej samej rodziny, siłą narzuciły się w tym momencie Margaret, by roztopić lód i zmiękczyć odrętwiałość serca, wywołując zalew gorących łez.

Pan Bell wyslizgnął się z pokoju i zszedł na dół do gabinetu, gdzie na jego polecenie rozpalono ogień. Tam próbował zająć się przeglądaniem książek, a każda z nich przywoływała wspomnienie zmarłego przyjaciela. Jego ręce, co prawda, znalazły jakieś zajęcie po dwóch dniach czuwania przy Margaret, jednak myśli nie zmieniły kierunku. Ku swemu zadowoleniu usłyszał głos pana Thorntona przy drzwiach wejściowych.

Dixon raczej nonszalancko usiłowała go odesłać, ponieważ wraz z pojawieniem się w domu pokojówki pani Shaw stara służąca przypomniła sobie o minionej świetności rodziny Beresford, o prawach związanych z jej koligacjami, których młoda pani Hale została pozbawiona, a które teraz, dzięki Bogu, miały zostać przywrócone. Te wizje, które z samozadowoleniem roztaczała w trakcie rozmów z pokojówką pani Shaw (umiejętnie podkreślając pozycję Margaret i następstwa jej relacji z towarzystwem na Harley Street ku oświeceniu przysłuchującej się wszystkiemu Marty), podkreślały wyniosłość, z jaką traktowała mieszkańców Milton. Dlatego właśnie, mimo że dotychczas okazywała panu Thorntonowi bojaźliwy respekt, teraz tak krótko, jak się tylko ośmieliła, oznajmiła mu, że nie może się on tego wieczoru zobaczyć z żadnym z domowników. W tym momencie jej słowom dość nieoczekiwanie zaprzeczyło ukazanie się w drzwiach gabinetu pana Bella, który na dodatek zawołał:

– Thornton! Czy to pan? Proszę wejść na minutę. Chciałbym z panem porozmawiać.

W ten sposób gość wszedł do gabinetu, natomiast

Dixon wycofała się do kuchni, gdzie przywróciła dobre mniemanie o sobie samej, opowiadając niesamowitą historię o powozie sir Johna Beresforda zaprzężonym w szóstkę koni w czasach, gdy był on szeryfem hrabstwa.

– Tak naprawdę to teraz już nie pamiętam, co chciałem panu powiedzieć. Ale to takie trudne siedzieć samemu w pokoju, gdzie z każdego kąta wychyla się do człowieka jego nieżyjący przyjaciel. Salon pozostawiłem do dyspozycji Margaret i jej ciotki.

– Czy pani... czy jej ciotka przyjechała? – spytał pan Thornton.

– Przyjechała? Tak! Z pokojówką i z tym całym majdanem. Można by pomyśleć, że w taki czas przyjedzie sama. A ja muszę się teraz zebrać i wynieść do Clarendona.

– Nie ma najmniejszego powodu, by się pan przenośli do Clarendona. Mamy w domu sześć czy siedem wolnych sypialni.

– Dobrze wywietrzonych?

– Myślę, że pod tym względem może pan zaufać mojej matce.

– W takim razie pobiegnę tylko na górę życzyć mojej mizernej dziewczynie dobrej nocy, ukłonię się ciotce i idę od razu z panem.

Pan Bell został jakiś czas na górze. Panu Thorntonowi wydawało się, że trwa to naprawdę długo, miał bowiem jeszcze wiele spraw do załatwienia i z trudem udało mu się wygospodarować chwilę, by zajrzeć do domu w Crampton i spytać o samopoczucie panny Hale.

Gdy w końcu ruszyli, pan Bell powiedział:

– Kobiety zatrzymały mnie w salonie. Pani Shaw bardzo się spieszy, by wracać do domu... Twierdzi, że to ze względu na córkę... i chce, żeby siostrzenica już teraz z nią pojechała. A ona tak się mniej więcej nadaje do podróżowania jak ja do latania. Margaret stwierdziła, i nie mogę odmówić jej słuszności, że ma tu przyjaciół, z którymi chce się zobaczyć, i że musi pożegnać kilka osób. Ciotka zaś zaczęła gadkę od nowa i spytała, czy dziewczyna zapomniała o starych przyjaciółach. Margaret wybuchnęła wtedy płaczem i powiedziała, że z wielką chęcią opuści miejsce, gdzie tyle się nacierpiała. A ja muszę jutro wracać do Oxfordu i zupełnie nie wiem, po której stronie się opowiedzieć.

Przerwał, jakby oczekiwał odpowiedzi, ale jego towarzysz nie zajął w tej sprawie stanowiska, bo w jego myślach jak echo brzmiały słowa „gdzie się tyle nacierpiała”. A zatem w taki sposób postrzegła te osiemnaście miesięcy w Milton, ten czas, dla niego tak niewypowiedzianie cenny mimo swojej goryczy, wart całej słodczy reszty życia. Ani strata ojca, ani matki, tak przecież dla niego ważnej, nie zdołałyby zatruć wspomnień tych tygodni, dni, godzin, gdy dzieliła ich odległość zaledwie dwóch mil, z których każdy metr przybliżał go do niej i jej słodkiej obecności, z których każdy krok, nawet ten oddalający ją od niego, był cenny, bo przypominał mu jakiś jej wdzięk, urok postawy czy cechę charakteru. Tak. Cokolwiek mu się przydarzyło – nawet niezwiązanego z Margaret – nigdy nie nazwałby tego okresu, gdy mógł ją codziennie widywać... gdy była w zasięgu jego ręki, jego wzroku... nie mógłby nazwać tego okresu czasem cierpienia. Dla niego był to okres wręcz królewski, ze wszystkimi swymi bolączkami i ranami, zwłaszcza w porównaniu do przewidywanej nędznej przyszłości, która będzie oznaczała życie bez strachu, ale i bez nadziei.

Pani Thornton i Fanny były w jadalni, przy czym ta ostatnia znajdowała się w stanie radosnego upojenia, ponieważ pokojówka unosiła jeden za drugim fragmenty błyszczących tkanin, aby panienska mogła ocenić przy świetle świec wygląd materii na suknię ślubną. Pani Thornton próbowała podzielać zainteresowanie córki, ale stroje nie należały do fascynujących ją dziedzin życia. Z całego serca życzyła sobie, by Fanny zaakceptowała sugestię brata, który proponował, by strój ślubny został w całości przygotowany przez pierwszorzędnego londyńskiego krawca, co pozwoliłoby im uniknąć niekończących się kłopotliwych debat i ciągłych zmian decyzji, wynikających z pragnienia dziewczyny, by wszystko osobiście wybrać i wszystkiego dopilnować. Pan Thornton był gotów zaaprobować z wdzięcznością każdego w miarę rozsądnego męczyznę skuszonego miernymi walorami Fanny, a swe poparcie okazywał, dostarczając jej pod dostatkiem środków, by mogła się zaopatrzyć w fatałaszkę, które rywalizowały z uczuciem – o ile go nie przewyższały – jakie Fanny żywiła wobec swego wybranka. Gdy jej brat i pan Bell weszli, panna Thornton splonęła rumieńcem,

potem uśmiechała się sztucznie, krygowała i wierciła nad przedmiotami swego zajęcia w sposób, który skutecznie przyciągnąłby uwagę każdego mężczyzny z wyłączeniem pana Bella. Jeśli w ogóle pomyślał o niej lub jej jedwabiach czy atlasach, to tylko porównując barwność tej sceny z tą, której niedawno był świadkiem, naznaczonej zmartwieniem, ciszą, z postacią o zwieszonej głowie i zaciśniętych rękach, stojącą w pokoju, gdzie panował taki bezruch, że jakikolwiek szmer, słyszalny dla wrażliwych uszu, mógł być spowodowany jedynie przez duchy zmarłych, krążące wokół kochanych przez siebie żywych; pani Shaw bowiem, o ile nie wygłaszała filipik przeciw przemysłowym miastom, przysypiała na sofie i żaden dźwięk nie zakłócał ciszy.

Pani Thornton powitała pana Bella uroczyście i bardzo gościnnie. Nigdy zresztą nie była równie wytworna i łaskawa jak w chwili, gdy w domu swego syna przyjmowała jego gości, a im bardziej byli niespodziewani, z tym większą radością dawała dowód na perfekcyjność prowadzonego przez siebie gospodarstwa.

– Jak się miewa panna Hale? – spytała.

– Ten ostatni cios złamał ją doszczętnie.

– Z pewnością jest wdzięczna, że ma takiego przyjaciela jak pan.

– Chciałbym być jedynym przyjacielem, madam. Zdaję sobie sprawę z tego, że brzmi to brutalnie, ale zostałem usunięty ze stanowiska pocieszyciela i doradcy i zastąpiony przez szanowną panią ciotkę. Poza tym są jeszcze kuzyni i różni tacy w Londynie, którzy roszczą sobie do niej pretensje, jakby była należącym do nich pieskiem pokojowym. A ona jest zbyt słaba i przybita, by stawić opór i podjąć sama decyzję.

– Rzeczywiście musi być słaba – stwierdziła pani Thornton, a za tymi słowami kryło się drugie znaczenie, które jej syn doskonale rozumiał. – Ale gdzie byli ci przyjaciele przez cały ten czas, gdy panna Hale wydawała się całkowicie sama na świecie, a musiała stawić czoło naprawdę poważnym troskom?

Pani Thornton nie była jednak na tyle zainteresowana uzyskaniem odpowiedzi na swe pytanie, by na nią poczekać. Opuściła pokój, by dopilnować swych obowiązków pani domu.

– Mieszkali za granicą. Twierdzą, że mają do niej jakieś prawa. Muszę im co prawda oddać trochę spr-

wiedliwości. Ciotka wychowała Margaret, a ona sama i kuzynka były dla siebie jak siostry. Denerwuje mnie to wszystko, bo sam chciałem przygarnąć ją jak własne dziecko. Zazdroszczę więc tym ludziom. A na dodatek oni chyba nie doceniają wartości swojej uprzywilejowanej pozycji wobec mojej sierotki. Rzecz jasna, sytuacja wyglądałaby całkowicie inaczej, gdyby upomniał się o nią Frederick.

– Frederick! – krzyknął pan Thornton. – A kim on jest? Jakie prawo... – Raptownie się zatrzymał w swym porywczym pytaniu.

– Frederick? – odrzekł zaskoczony pan Bell. – Ależ nie wie pan? Przecież to jej brat. Nie słyszał pan...?

– Nigdy dotąd nie słyszałem tego imienia. Gdzie on jest? I kim jest?

– Z pewnością wspominałem panu o nim, gdy po raz pierwszy przyjechali do Milton. To ten syn, który był zamieszany w bunt.

– Aż do tej chwili nigdy o nim nie słyszałem. Gdzie on mieszka?

– W Hiszpanii. Zostanie zatrzymany w chwili, gdy postawi nogę na angielskiej ziemi. Biedny. Będzie

zrozpaczony, że nie może wziąć udziału w pogrzebie ojca. Kapitan Lennox będzie musiał wystarczyć, bo nie wiem o żadnym innym bliskim krewnym, którego można by wezwać.

– Mam nadzieję, że wolno mi wziąć udział?

– Oczywiście. Będę bardzo wdzięczny. W gruncie rzeczy porządny z pana człowiek, Thornton. Hale lubił pana. W Oxfordzie mówił mi o panu dzień przed śmiercią. Żałował, że w ostatnim czasie tak rzadko się widywaliście. Jestem naprawdę zobowiązany, że chce pan okazać mu swój szacunek.

– A wracając do Fredericka, czy on nigdy nie przyjeżdża do Anglii?

– Nigdy.

– I nie było go tu w czasie śmierci pani Hale?

– Nie. Ja tu wtedy byłem. Nie widziałem młodego Hale'a od wielu, wielu lat, a jak pan pamięta, przyjechałem... nie, ja przecież przyjechałem jakiś czas potem. Ale tak czy owak biednego Fredericka tu wtedy nie było. Dlaczego pan tak myślał?

– Pewnego dnia widziałem pannę Hale spacerującą z jakimś młodym człowiekiem – powiedział pan

Thornton – i wydawało mi się, że to było mniej więcej w tym czasie.

– Och, to musiał być ten młody Lennox, brat kapitana. Jest adwokatem i prowadzili regularną korespondencję. Hale mówił mi, jak sobie przypominam, że spodziewali się przyjazdu Lennox. Czy wie pan – spytał pan Bell, okręcając się i przysmykając jedno oko, by w drugim skoncentrować siły niezbędne do zwrócenia bacznej uwagi na wyraz twarzy pana Thorntona – że kiedyś wydawało mi się, iż żywi pan wobec Margaret pewną czułość?

Brak odpowiedzi. Brak zmiany wyrazu twarzy.

– To samo podejrzewał Hale. Ale to później, dopiero po tym, jak mu to podsunąłem.

– Podziwiałem pannę Hale, tak jak każdy musi ją podziwiać. Jest bardzo piękną istotą – odpowiedział pan Thornton zmuszony nieustępliwymi pytaniami pana Bella.

– I to wszystko? Potrafi pan o niej mówić w taki zimny sposób? Po prostu „piękna istota”? Coś, co przyciąga wzrok i cieszy oko? Liczyłem, że ma pan w sobie na tyle szlachetności, by oddać jej hołd serca. Choć wy-

daje mi się, w gruncie rzeczy wiem to, że ona by pana odrzuciła. No, ale i tak, nawet kochając ją bez wzajemności, wzniosłby się pan powyżej tych, kimkolwiek by byli, którzy nigdy jej nie znali i przez to nie mogli pokochać. „Piękna istota!” Też coś. Jakby pan mówił o koniu czy psie!

Oczy pana Thorntona rozjarzyły się.

– Panie Bell – powiedział – przed wyrażaniem takich ocen powinien pan przypomnieć sobie, że nie wszystkim wypowiedanie uczuć przychodzi tak łatwo i swobodnie jak panu. Proponuję, byśmy porozmawiali o czymś innym.

Mimo iż jego serce przy każdym słowie pana Bella podskakiwało jak na wezwanie trąbki bojowej i choć wiedział, że od tej pory akademik z Oxfordu przez to, co powiedział, będzie mu się na zawsze kojarzył z najcenniejszym skarbem serca, nie zamierzał pozwolić, by zmuszono go do potwierdzenia jego uczuć dla Margaret. Nie lubił licytowania się w komplementach i nigdy nie usiłował po tym, jak ktoś inny wychwalał to, co on szanował i żarliwie kochał, prześcignąć przedmówcy w pochwałach. Zaczął więc mówić o obojęt-

nych sprawach związanych z interesami, jakie ich łączyły jako właściciela nieruchomości i dzierżawcę. Potem pan Bell spytał:

– Co to za sterta cegieł i zaprawy murarskiej? Widziałem je na dziedzińcu, gdy tamtędy przechodziliśmy. Jakież naprawy są konieczne?

– Nie. Żadne. Dziękuję.

– Buduje pan coś na własny rachunek? Jeśli tak, to jestem panu wielce zobowiązany.

– Buduję jadalnię. To znaczy jadłodajnię. Dla robotników.

– W pierwszej chwili pomyślałem, że trudno pana zadowolić, jeśli ten dom nie wydaje się panu – kawalerowi – wystarczająco dobry.

– Poznałem pewnego interesującego człowieka i umieściłem w szkole dwoje dzieci, którymi on się opiekuje. Tak się złożyło, że przechodziłem pewnego dnia w pobliżu jego mieszkania i wstąpiłem tam w sprawie jakiejś drobnej płatności. Zobaczyłem zupełnie spaloną namiastkę obiadu, jakiś zwęglony, tłusty kawałek mięsa. Wtedy pierwszy raz pomyślałem o jadłodajni. A zimą ceny żywności tak podskoczyły,

że zacząłem się zastanawiać, czy kupując hurtowe ilości produktów i przygotowując więcej jedzenia naraz, można by zaoszczędzić pieniądze i ułatwić ludziom życie. Rozmawiałem z tym moim przyjacielem – lub wrogiem – z tym człowiekiem, o którym wspominałem, a on znalazł wady w każdym punkcie mojego planu. W konsekwencji odsunąłem ten projekt na bok, uznając go po pierwsze za niewykonalny, a po drugie za zbyt naruszający niezależność moich pracowników. Aż tu nagle ten Higgins przyszedł do mnie i łaskawie wręczył mi podpisany przez siebie schemat, tak podobny do opracowanego przedtem przeze mnie, że z powodzeniem mógłbym rościć do niego prawa. Poza jego podpisem na projekcie znajdowały się nazwiska kilkunastu innych robotników, z którymi omówił ten temat. Przyznaję, że byłem rozdrażniony jego zachowaniem, i w pierwszej chwili korciło mnie, by wyrzucić to wszystko do kosza. Uświadomiłem sobie jednak, że dziecinadą byłoby odrzucenie planu, który swego czasu uznałem za rozsądny i dobrze przemyślany, tylko dlatego, że nie mnie miał przypisać zaszczyt i chwała jako pomysłodawcy. Bez emocji przyjąłem więc przypisaną

mi rolę, która najbardziej przypomina posadę zarządcy czy organizatora w klubie. Załatwiam hurtowy zakup produktów i zapewniam odpowiednią kucharkę.

– Mam nadzieję, że nowe obowiązki dadzą panu wiele satysfakcji. Czy jest pan znawcą ziemniaków i cebuli? Choć przypuszczam, że w kwestii zakupów żywności może pan liczyć na wsparcie pani Thornton.

– Ani trochę – odpowiedział fabrykant. – Ona nie pochwała tego całego przedsięwzięcia i nawet o tym nie rozmawiamy. Ale całkiem nieźle daję sobie radę; kupujemy duże zapasy w Liverpoolu, natomiast mięso dostarcza nasz rodzinny rzeźnik. Zapewniam pana, że gorące obiady przygotowywane przez zatrudnioną kucharkę są nie do pogardzenia.

– Czy z racji sprawowanego urzędu próbuje pan każdego dania, które jest podawane? I jakie ma pan insygnia swego stanowiska? Kopystkę?

– Początkowo byłem bardzo skrupulatny w tym, aby ograniczać się wyłącznie do obowiązków związanych z zakupami żywności, a nawet w tym podporządkowywałem się raczej zamówieniom robotników, przekazywanym przez gospodynię, i nie wykazywałem się własną

inicjatywą. Zdarzało się, że wół był zbyt duży, innym razem baran nie dość tłusty. Myślę, że dostrzegli, jak bardzo staram się pozostawić im wolną ręką, nie ingerować i nie narzucać im swego zdania. I pewnego dnia kilku z nich, między innymi mój Higgins, zaprosiło mnie do jadłodajni na posiłek. Byłem bardzo zajęty, ale uświadomiłem sobie, że odmawiając, uraziłbym ich, bo przecież wykonali krok w moją stronę i powinienem też wykazać dobrą wolę. Poszedłem więc i muszę przyznać, że nigdy w życiu nie jadłem lepszego posiłku. Powiedziałem im, to znaczy powiedziałem mojemu sąsiadowi przy stole, bo nie jestem najlepszy w wygłaszaniu przemów, jak bardzo mi to smakowało. I od tej pory zawsze, kiedy to właśnie danie pojawia się w jadłospisie, ci mężczyźni mnie zaczepiają i mówią: „Panie, dziś na obiad jest gulasz. Przyjdzie pan?” Gdyby mnie nie poprosili, nigdy bym się im nie narzucał, tak samo jak nigdy nie poszedłbym bez zaproszenia do kantyny w koszarach.

– Powiedziałbym, że pańska obecność jest raczej dla pana gospodarzy krępująca. Nie mogą wtedy przecież atakować pracodawców. Ale pewnie nadrabiają to w te niegulaszowe dni.

– Jak na razie udaje nam się trzymać z dala od kontrowersyjnych tematów. Jeśli jednak jakakolwiek ze starych kłótni wypłynie na powierzchnię, nie będę miał skrupułów i poruszę ten temat podczas następnego gulaszowego dnia. Ale myślę, że zupełnie nie zna pan prawdziwych mieszkańców Darkshire, choć przecież stąd pan pochodzi. Mają takie niesamowite poczucie humoru i taki ożywczy sposób wyrażania się. Z niektórymi z nich jestem w całkiem niezłej komitywie i nie wahają się wypowiadać przy mnie otwarcie.

– Nic tak nie zrównuje ludzi jak wspólne spożywanie posiłków. Nawet umieranie aż tak nie działa. Filozof umiera moralizatorsko, faryzeusz ostentacyjnie, człowiek prostoduszny umiera skromnie, idiota nieświadomie i na ślepo, tak jak wróbel spadający na ziemię. Ale filozof i idiota, karczmarz i faryzeusz – wszyscy jedzą tak samo. O ile trawią tak samo. Oto teoria dla pana.

– Ja nie mam teorii. Tak naprawdę to ich nienawidzę.

– W takim razie proszę o wybaczenie. Dla potwierdzenia mojej skruchy chciałbym ofiarować banknot

dziesięciofuntowy dla pana jadłodajni. Proszę w moim imieniu wyprawić swym ludziom prawdziwe święto.

– Dziękuję, ale wołałbym raczej tego nie robić. Płacą mi dzierżawę za korzystanie z pieca i płyt do gotowania na zapleczu przędzalni, a za nową salę do spożywania posiłków też będą płacić. Nie chcę dopuścić do tego, żeby to wyglądało na akcję charytatywną. I dlatego nie przyjmuję datków. Jeśli raz odstąpię od tych zasad, od razu się zacznie chodzenie, gadanie i niszczenie prostoty całej naszej idei.

– Ludzie i tak będą gadać o każdym nowym pomysle. Nie może pan temu zapobiec.

– Moi wrogowie, o ile takich mam, będą wokół tych obiadów robić filantropijne zamieszanie. Ale pan jest przyjacielem i liczę, że zachowa pan milczenie na temat tego eksperymentu. Obecnie to nowa, świeża miotła i jeszcze dobrze zamiata, ale jestem pewien, że z czasem spotka na swojej drodze niejedną kłodę.

XLIII

ODLOT NA POŁUDNIE

*Najmarniejsza rzecz, którą żegnamy,
Zyskuje na wartości w godzinie rozstania.*

Ebenezer Elliot, „The Village Patriarch”

Pani Shaw powzięła niechęć do Milton na tyle gwałtowną, na ile było to możliwe w wypadku kogoś tak łagodnego jak ona. Miasto było dla niej zbyt hałaśliwe i zadymione, ludzie na ulicach brudni, bogate damy zbyt przesadnie wystrojone, a mężczyźni nie nosili ubrań, które na nich pasowały. Była całkowicie przekonana, że Margaret, pozostając w tym miejscu, nigdy nie odzyska utraconych sił, a jeśli chodzi o panią Shaw, obawiała się powrotu do starych ataków

nerwowych. Uważała, że Margaret powinna z nią wyjechać, i to od razu. Jeśli nawet nie wyrażała tego dokładnie tymi słowami, to w każdym razie taka była jej intencja i do tego namawiała siostrzenicę, aż w końcu ta, słaba, znużona i załamana, acz niechętnie, złożyła jednak obietnicę, że nie później niż w najbliższą środę będzie gotowa towarzyszyć ciotce do Londynu, zostawiając tymczasem na Północy Dixon, aby uregulowała rachunki, sprzedała meble i zamknęła dom. Przed tą środą, przed tą żalobną środą, kiedy pan Hale miał zostać pochowany, daleko od domów, które znał za życia, i daleko od żony, która spoczywała samotnie między obcymi – to ostatnie było dla Margaret wielką boleścią, uważała bowiem, że gdyby w ciągu tych pierwszych dni smutku nie poddała się wszechogarniającej niemocy, byłaby w stanie zorganizować pewne sprawy inaczej – przed tą środą właśnie Margaret otrzymała list od pana Bella.

Moja droga Margaret. Zamierzałem wrócić do Milton w czwartek, ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że jest to jedna z rzadkich oka-

zji, kiedy my, członkowie Kolegium Plymouth, mamy do wypełnienia jakiegokolwiek obowiązku i z tego względu nie wolno mi opuszczać mego stanowiska. Kapitan Lennox i pan Thornton są tutaj. Pierwszy z nich wydaje się człowiekiem pełnym dobrych chęci. Zaproponował, że pojedzie do Milton i pomoże Ci w poszukiwaniach testamentu; oczywiście nic takiego nie istnieje, bo w przeciwnym razie, podążając za moimi instrukcjami, już byś znalazła ostatnią wolę Twego ojca. Ponadto kapitan twierdzi, że musi zabrać Ciebie i swoją teściową do domu, a biorąc pod uwagę obecny stan jego żony, nie można się spodziewać, by pozostał poza Londynem dłużej niż do piątku. Jednakże Twoja Dixon jest godna zaufania i jestem pewien, że da sobie radę sama, aż do mojego przyjazdu. Jeśli nie znajdziemy testamentu, przekażę sprawę formalnie mojemu prawnikowi w Milton, wątpię bowiem, by ten kapitan był wybitnym człowiekiem interesów, choć jego wąsy powalają na kolana. Trzeba będzie zorganizować wyprzedaż,

więc wybierz rzeczy, które chciałabyś zatrzymać, choć możesz też wystać ich wykaz po wyjeździe z Milton. Mam jeszcze dwie sprawy i to będzie wszystko z mojej strony. Wiesz, a jeśli nie, to w każdym razie wiedział o tym Twój ojciec, że po mojej śmierci otrzymasz moje pieniądze i majątek. Nie żebym zamierzał w najbliższym czasie rozstać się z tym światem, ale wspominam o tym w związku ze sprawą, którą zamierzam Ci dalej przedstawić. Ci Lennoxowie wydają się za Tobą przepadać. Być może tak będzie zawsze, być może nie. Dlatego uważam, że należy wasze relacje sformalizować. Proponuję, abyś płaciła im dwieście pięćdziesiąt funtów rocznie tak długo, jak długo obu stronom będzie sprawiało przyjemność wspólne przebywanie. Ta kwota oczywiście zawiera utrzymanie Dixon i proszę, byś nie dała się nakłonić do płacenia jeszcze czegoś za nią. Tym sposobem nie będziesz pozostawiona na lodzie, jeśli pewnego dnia kapitan postanowi odzyskać dom tylko dla siebie. Po prostu przeniesiesz się

ze swymi dwustu pięćdziesięcioma funtami w inne miejsce, o ile wcześniej ja sam nie wezwę Cię, abys zajęła się moim ogniskiem domowym. Jeśli chodzi o strój, Dixon, wydatki osobiste i ciastka – wszystkie młode damy jedzą ciastka, przynajmniej dopóki nie zmadrzeją – ustalę tę kwotę, jak tylko odbędę konsultacje z jedną z moich znajomych dam, a także sprawdzę, jaką kwotę otrzymasz po ojcu. A teraz przyznaj, Margaret: czy zanim dotarłaś do tego miejsca, odleciałaś już z gniewu i zastanawiasz się, jakim prawem ten staruszek tak arogancko urządza Ci życie? Z pewnością o tym właśnie myślisz. A jednak ten staruszek ma prawo. Kochał Twojego ojca przez trzydzieści pięć lat, družbował na jego ślubie, zamknął mu oczy w godzinie śmierci. Co więcej, ten staruszek jest ojcem chrzestnym Twego brata, a jako że niewiele może dla Ciebie zrobić w wymiarze duchowym, bo jest głęboko przekonany o Twojej wyższości w tej dziedzinie, chciałby chociaż wspomóc Cię materialnie. A ten staruszek poza tym nie ma

żadnego krewnego na ziemi. „Kto uрони tżę po Adamie Bellu?” Całe jego serce skierowane jest na tę jedną sprawę. A Margaret Hale nie jest dziewczyną, która powie mu „nie”. Napisz odwrotną pocztą, nawet jeśli miałyby to być tylko dwa wersy. Napisz, jaka jest Twoja odpowiedź. Ale nie pisz: „Nie, dziękuję”.

Margaret wzięła pióro i drżącą dłonią nagryzmoliła: „Margaret Hale nie jest dziewczyną, która mu powie „nie”.

Przy swej słabości nie zdołała wymyślić żadnych innych słów, choć nie była zadowolona z tych, których użyła. Nawet ten minimalny wysiłek tak ją jednak znużył, że gdyby miała wyrazić swą zgodę w innej formie, prawdopodobnie nie usiadłaby, by napisać choć jedną sylabę. Z ulgą ponownie się położyła i skoncentrowała na tym, by nie myśleć.

– Drogie dziecko! Czy ten list zdenerwował cię lub zmartwił? – spytała pani Shaw.

* Cytat z *Reliques* Thomasa Percy’ego (1767); Adam Bell, wymieniony w tym dziele, był bohaterem ludowym utożsamianym z Robin Hoodem.

– Nie – odpowiedziała słabo Margaret. – Poczuję się lepiej, gdy jutrzejszy dzień się skończy.

– Jestem pewna, kochanie, że nie poczujesz się lepiej, dopóki nie zabiorę cię z tego okropnego miejsca. Nie potrafię pojąć, w jaki sposób zdołałaś tu przeżyć dwa lata.

– A dokąd miałam iść? I jak mogłabym opuścić rodziców?

– Nie martw się już tym, moja kochana. Myślę, że to wyjdzie na dobre. Po prostu zupełnie nie potrafię zrozumieć, jak mogliście w ten sposób żyć. Nawet żona naszego kamerdynera mieszka w lepszych warunkach.

– Tu też jest czasami ślicznie. Latem. Nie osądzaj tego miejsca po tym, co widzisz teraz, ciociu. Byłam tu bardzo szczęśliwa. – Margaret zamknęła oczy, dając do zrozumienia, że kończy rozmowę.

Dom zamienił się teraz w miejsce komfortowe, zwłaszcza w porównaniu z tym, co było wcześniej. Wieczory były chłodne i pani Shaw poleciła, by palono w kominkach w każdej sypialni. Ciotka rozpieszczała Margaret na wszystkie możliwe sposoby, kupowała każdy specjał, każdy rarytas, w jakim ona sama po-

szukiwałyaby ukojenia. Ale Margaret reagowała na to wszystko obojętnością, a jeśli w ogóle na coś zwróciła uwagę, to wyłącznie dlatego, by okazać wdzięczność ciotce, która przez swe starania zupełnie nie przypominała dawnej pani Shaw. Margaret była niespokojna, a przy tym taka słaba. Przez cały dzień powstrzymywała się od myślenia o ceremonii odbywającej się w Oxfordzie, przemierzając pokoje i nieprzytomnie odkładając na bok przedmioty, które zamierzała zatrzymać. Za nią, zgodnie z poleceniem ciotki, podążała Dixon pod pozorem odnotowywania instrukcji panny Hale, ale w rzeczywistości po to, aby zgodnie z otrzymanym nakazem jak najszybciej zmusić dziewczynę do odpoczynku.

– Zatrzymam te książki, Dixon. Chciałabym, abyś pozostałe wysłała do pana Bella. Moim zdaniem będzie je cenili dla nich samych, nie tylko ze względu na papę. A tę... chciałabym, abyś tę zaniósła po moim wyjeździe panu Thorntonowi. Poczekaj. Napiszę liścik.

Pospiesznie usiadła, jakby bała się dłużej rozważać ten pomysł, i napisała:

*Szanowny Panie, zechce Pan przyjąć książkę,
którą przesyłam razem z tym listem. Należała
do mego ojca i mam nadzieję, że będzie dla
Pana pamiątką po nim.*

Z poważaniem

Margaret Hale

Wróciła do swej wędrówki po domu, zatrzymując się nad kolejnymi przedmiotami znanymi jej od dzieciństwa, i było jasne, z jakim trudem przyjdzie jej się rozstać z tymi drobiazgami – nawet staromodnymi, nawet zniszczonymi i zużytymi. Prawie się przy tym nie odzywała i Dixon zaraportowała pani Shaw, że „wątpi, czy do panny Hale dotarło choć jedno słowo z tych, które ona, Dixon, wypowiedziała w celu odwrócenia uwagi panienki”. Efektem tego nieustającego przemierzania domu było skrajne wycieńczenie fizyczne i dzięki temu Margaret spała tej nocy lepiej, niż jej się to zdarzyło od dnia, w którym usłyszała o śmierci ojca.

Nazajutrz przy śniadaniu wyraziła życzenie złożenia pożegnalnych wizyt u jednego czy dwóch przyjaciół. Pani Shaw zaoponowała:

– Jestem pewna, kochanie, że nie masz tu przyjaciół, z którymi łączyłyby cię na tyle bliskie stosunki, abyś mogła odwiedzić ich tak szybko po śmierci ojca. Zwłaszcza że jeszcze nie byłaś w kościele.

– Ale mogę do nich pójść tylko dzisiaj. Jeśli kapitan Lennox przyjedzie dzisiaj po południu i jeśli musimy... jeśli naprawdę muszę wyjechać jutro...

– Tak, wyjeżdżamy jutro. Z każdą chwilą jestem coraz bardziej przekonana, że to powietrze jest dla ciebie fatalne. To dlatego jesteś taka blada i mizerna. Poza tym Edith nas oczekuje. Może mnie potrzebować. A nie mogę cię tu zostawić samej. Nie w twoim wieku. Jeśli rzeczywiście musisz złożyć te wizyty, to pojedę z tobą. Przypuszczam, że Dixon może nam sprowadzić powóz.

Tak więc pani Shaw pojechała jako opiekunka Margaret i wzięła ze sobą pokojówkę jako opiekunkę szali i poduszek. Panna Hale była zbyt przygnębiona, by rozbawiły ją wszystkie te przygotowania do dwóch wizyt, które dotychczas składała sama o dowolnej porze dnia. Była trochę niespokojna na myśl, że jednym z miejsc, które zamierzała odwiedzić, był dom

Nicholasa Higginsa. Mogła tylko mieć nadzieję, że ciotka nie będzie się czuła na siłach, by wysiąść z powozu, przejść przez podwórze i przy każdym powiewie wiatru odsuwać sprzed twarzy wilgotną odzież, suszącą się na sznurach rozwieszonych między budynkami.

W umyśle pani Shaw nastąpiła walka między umiłowaniem spokoju a poczuciem stosowności. W końcu wygrało to pierwsze. Po wielu napomnieniach, by Margaret uważała na siebie i by nie złapała żadnej z gorączek panoszących się zwykle w takich miejscach, ciotka pozwoliła jej iść tam, dokąd dotychczas dziewczyna chodziła bez strachu, bez żadnych środków ostrożności i bez specjalnego pozwolenia.

Nicholas był nieobecny. Zastała tylko Mary i dwoje dzieci Bouchera. Margaret zirytowała się na siebie, że nie wybrała lepszej pory na tę wizytę. Przy całej swej dobroci i serdeczności córka Nicholasa nie grzeszyła nadmiarem inteligencji i jak tylko pojęła powód odwiedzin, natychmiast zaczęła płakać, i to w tak nieopanowany sposób, że panna Hale zrezygnowała nawet z prób przekazania jej którejkolwiek z tysiąca próśb i poleceń, jakie obmyśliła w powozie. Mogła tylko po-

ciesząc płaczącą mglistymi obietnicami ponownego spotkania w bliżej niesprecyzowanym miejscu i czasie. Prosiła też Mary, by przekazała ojcu, jak bardzo Margaret zależałoby na tym, by jeszcze tego wieczoru przyszedł ją odwiedzić, o ile tylko zdoła.

Gdy już wychodziła, zatrzymała się i rozejrzała dookoła. Chwilę się zawahała i powiedziała:

– Bardzo chciałabym mieć jakiś drobiazg, który przypominałby mi Bessy.

Szczodre serce Mary natychmiast się ożywiło. Co mogliby dać? A gdy Margaret wybrała zwyczajną małą filizankę, którą pamiętała, bo przedmiot ten stał zawsze koło Bessy, aby chora zwilżała rozpalone wargi, panna Higgins stwierdziła:

– Niech panienka wybierze coś lepszego. To kosztuje tylko cztery pensy.

– Chciałabym właśnie to – powiedziała Margaret i szybko wyszła, pozostawiając dziewczynę z uśmiechem na twarzy, szczęśliwą, że miała coś, co mogła ofiarować.

Teraz do pani Thornton – pomyślała. Trzeba to załatwić.

Na samą myśl o tym zbladła i zeszywniała. Z trudem udało jej się wyjaśnić ciotce, kim była pani Thornton i dlaczego Margaret chciała się z nią pożegnać.

Tym razem zacna pani Shaw nie pozostała w powozie i wraz z siostrzenicą została wprowadzona do salonu, w którym zaledwie chwilę wcześniej rozpalono ogień. Starsza dama zadrżała i mocniej owinęła się szalem.

– Cóż za lodownia! – powiedziała.

Musiały poczekać na przyjście pani Thornton. Jej uczucia dla Margaret złagodniały wobec perspektywy, że dziewczyna wyjedzie i tym samym zniknie im przed oczu. Pamiętała jej odwagę, której dowody dawała w różnych sytuacjach, i bardziej zapadły jej one w serce niż cierpliwość, z jaką Margaret znosiła nakładające się troski. Zachowanie pani Thornton było prawie uprzejme, gdy witała się z gośćmi. Można się było dopatrzeć w nim nawet życzliwości, gospodyni bowiem zauważyła białą, splakaną twarz panny Hale i jej drżący głos, nad którym nie do końca udawało jej się panować.

– Pozwoli pani, że jej przedstawię moją ciotkę, panią

Shaw. Nie jestem pewna, czy pani wie, że jutro wyjeżdżam z Milton. I chciałam spotkać się z panią po raz ostatni, pani Thornton, aby... aby przeprosić panią za moje zachowanie podczas naszego poprzedniego spotkania. Pragnę panią zapewnić, że wierzę w pani dobre intencje. Chyba się po prostu nawzajem nie zrozumieliśmy.

Pani Shaw stała się jednym wielkim zdumieniem, słysząc te słowa. Podziękowanie za dobre intencje! I przeprosiny za zachowanie niezgodne z wymogami etykiety!

– Panno Hale, cieszę się, że oddaje mi pani sprawiedliwość – odpowiedziała pani Thornton. – Napominając panią tamtego dnia, zrobiłam tylko to, co uważałam za swój obowiązek. Zawsze pragnęłam działać jako pani przyjaciółka. I cieszy mnie, że pani to dostrzegła.

– A czy pani odda mi sprawiedliwość – spytała Margaret, płonąć krwistym rumieńcem – i uwierzy, że choć nie mogę... choć nie wolno mi wyjaśnić powodów mojego ówczesnego zachowania, w moim postępowaniu nie było nic z tych nagannych rzeczy, które mi pani przypisała?

Głos Margaret był tak miękki, a jej spojrzenie tak błagalne, że choć raz pani Thornton uległa owemu czarowi, na który dotychczas wydawała się całkowicie odporna.

– Tak, wierzę pani – odpowiedziała. – Nie mówmy już więcej o tym. Gdzie zamierza pani mieszkać, panno Hale? Z tego, co mówił pan Bell, rozumiem, że opuszcza pani Milton. Wiem, że nigdy go pani nie lubiła – dodała z ponurym uśmiechem. – Mimo to proszę nie oczekiwać, że pogratuluję pani zamiaru opuszczenia naszego miasta. Gdzie pani zamierza zamieszkać?

– Z moją ciotką – odrzekła Margaret, zwracając się w stronę pani Shaw.

– Moja siostrzenica zamieszka ze mną na Harley Street. Jest dla mnie prawie jak córka – oznajmiła starsza dama, patrząc z czułością na Margaret – i będę rada okazać, jak bardzo jestem zobligowana każdemu, kto był dla niej uprzejmy. Jeśli pani i pani mąż kiedykolwiek zawitacie do Londynu, mój syn i córka, kapitan i pani Lennoxowie, przyłączą się do mojego życzenia i okażą państwu wszelkie możliwe atencje.

Pani Thornton pomyślała, że Margaret nie zadała

sobie zbyt wiele trudu, by objaśnić swej ciotce charakter więzów rodzinnych pomiędzy wymienionymi panem i panią Thorntonami, nad którymi owa dama zamierzała roztoczyć swą opiekę. Odpowiedziała krótko:

– Mój mąż nie żyje. Pan Thornton to mój syn. A ja nigdy nie bywam w Londynie, więc prawdopodobnie nie będę miała okazji, by skorzystać z pani oferty.

W tym momencie do pokoju wszedł pan Thornton, który właśnie wrócił z Oxfordu. Jego żałobne ubranie potwierdzało powód jego wyjazdu.

– John – odezwała się jego matka – ta dama to pani Shaw, ciotka panny Hale. Przykro mi to mówić, ale panna Margaret przybyła, by się z nami pożegnać.

– A więc jednak pani wyjeżdża – powiedział niskim głosem.

– Tak – odpowiedziała dziewczyna. – Jutro.

– Dziś wieczorem przyjeżdża mój zięć, aby nas eskortować do Londynu – wtrąciła pani Shaw.

Pan Thornton się odwrócił. Nie usiadł, a teraz wydawał się coś uważnie przeglądać na stole, zupełnie jakby znalazł tam nieotwarty list, który sprawił, że zapomniał o obecności gości. Przez chwilę sprawiał nawet

wrażenie, że nie zauważył, iż panie wstały, by się pożegnać i odejść. Ruszył jednak do przodu i sprowadził panią Shaw na dół. Gdy czekali na przyjazd powozu, pan Thornton i Margaret stali koło siebie na schodach wejściowych i obojgu, rzecz jasna, przypomniła się scena z dnia zamieszek. Jemu skojarzyło się to od razu z oświadczeniami następnego dnia i jej namiętym stwierdzeniem, że o każdego z mężczyzn w tym oszalałym, zdesperowanym tłumie martwiłaby się tak jak o niego. Na przypomnienie jej szyderczych słów jego czoło spochmurniało, choć rozkochane serce kołatało mu w piersi. Nie! – powiedział do siebie – raz zaryzykowałem i przegrałem wszystko. Pozwól jej odejść z tym kamiennym sercem i z tym pięknem. Ta zdecydowana mina. Jak nieszczęśliwie wygląda pomimo ślicznych rysów twarzy! Boi się, że powiem coś, co będzie wymagało od niej surowej odpowiedzi. Pozwól jej odejść. Taka piękna i posażna, trudno będzie jej znaleźć wierniejsze serce niż moje. Pozwól jej odejść!

W tonie jego głosu, gdy ją żegnał, nie było ani odrobiny żalu czy jakiegokolwiek innego uczucia, a podaną sobie dłoń przyjął z wystudiowanym chłodem, po

czym puścił ją tak niedbale, jakby to był zwiędnięty kwiat. Ale tego dnia nikt z domowników już go nie ujrzał. Był bardzo zajęty. Tak przynajmniej twierdził.

Te dwie wizyty do tego stopnia wyczerpały Margaret, że musiała później poddać się pieścizom i czułościom ciotki oraz wysłuchać z jej strony wielu westchnień i ubolewań: „A nie mówiłam?” Dixon stwierdziła, że stan Margaret pogorszył się i jest taki jak pierwszego dnia, gdy nadeszła wiadomość o śmierci ojca. Razem z panią Shaw rozważały nawet opóźnienie o kilka dni wyjazdu z Milton, jednakże, gdy ciotka niechętnie przedstawiła tę propozycję Margaret, ciało dziewczyny aż się skrzyło niczym w paroksyzmie ostrego bólu.

– Och, jedźmy stąd. Nie umiem tu być spokojna. Ja tu nie wydobrzeję. Chcę zapomnieć.

Przygotowania zatem kontynuowano. Przybył kapitan Lennox, przywożąc ze sobą wiadomość o Edith i małym chłopcu. Margaret odkryła, że dobrze jej zrobiła obojętna, niedbała rozmowa z kimś, kto jakkolwiek miły, to jednak nie okazywał nadmiaru współczucia czy troski. Trochę się ożywiła i w porze, gdy

spodziewała się przyjścia Higginsa, zdołała cicho wyjść z salonu, udać się do swojej sypialni i czekać, aż zostanie wezwana.

– Ech! – odezwał się, gdy weszła. – Pomyśleć tylko, że nasz starszy dżentelmen tak sobie po prostu przysnął. Całkiem mnie ścięło z nóg, jak mi to powiedzieli. „Pan Hale? – spytałem. – Ten, co to kiedyś był duchownym?” „No” – przytaknęli. „W takim razie – powiedziałem – odszedł najlepszy człowiek, jaki chodził po tej ziemi. Znajdźcie mi drugiego takiego”. I przyszedłem zobaczyć się z panienką i powiedzieć, jak mnie to zmartwiło. Ale kobiety w kuchni nie chciały panience powiedzieć, że jestem. Powiedziały, że panienka chora. Niech mnie kule biją! Nie wygląda panienka jak ta sama dziewczucha. A teraz jeszcze będzie panienka wielką damą w Londynie, prawda to?

– Nie wielką damą – odpowiedziała Margaret z bladym uśmiechem.

– Thornton zapytał dzień czy dwa temu: „Higgins, czy widziałeś się z panną Hale?” „Nie – odpowiedziałem. – Wokół niej jest banda bab i nie chcą mnie do niej dopuścić. Ale jeśli jest chora, to muszę poczekać.

Znamy się całkiem dobrze, więc ona nie pomyśli, że nie jest mi przykro z powodu śmierci starszego dżentelmena tylko dlatego, że nie mogłem przyjść i jej o tym powiedzieć”. A on mi na to: „Nie będziesz miał zbyt wiele czasu na kolejne próby, by się z nią zobaczyć, przyjacielu, bo ona tu z nami nie zostanie. Przyjechali jej wspaniali krewni i ją stąd zabierają. I już jej nie zobaczymy”. „Panie – ja mu na to – jeśli nie zobaczę jej przed odjazdem, pojedę do tego ich Londynu w następne Zielone Świątki, oto co zrobię. Żaden wielki krewny nie zatrzyma mnie przed powiedzeniem jej: do widzenia”. Ale wiedziałem, że panienka przyjdzie. Niech panienkę Bóg błogosławi. Tylko żeby poprawić panu humor, udawałem, że wierzę, iż panienka mogłaby zostawić Milton bez pożegnania.

– Masz zupełną rację – powiedziała Margaret. – Tylko ty mnie oceniłeś właściwie. I wiem, że mnie nie zapomnisz. Nawet jeśli nikt inny w Milton nie będzie mnie pamiętał, ty z pewnością tak. I mojego ojca też. Wiesz, jaki był dobry i łagodny. Spójrz! Oto jego Biblia. Zatrzymałam ją dla ciebie. Z trudem się z nią rozstaję, ale wiem, że chciałby, abyś ty ją dostał. Wiem, że

będziesz o nią dbał i że ze względu na ojca będziesz ją studiował.

– Może panienka być spokojna. Choćby to były bażgroły samego czarta, a panienka poprosiłaby, abym przez wzgląd na nią albo starego dżentelmena to przeczytał, to zrobiłbym to. Co to ma znaczyć, dziewczyno! Nie zamierzam przyjmować pieniędzy, więc nawet o tym, panienko, nie myśl. Jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi bez dźwięku mamony między nami.

– To dla dzieci... dla dzieci Bouchera – powiedziała szybko Margaret. – Mogą tego potrzebować. Nie masz prawa odmawiać w ich imieniu. Tobie nie dałabym nawet pensa – zapewniła go z uśmiechem – więc nie myśl, że cokolwiek z tego jest twoje.

– Dobra, dziewczyno. Mogę tylko powiedzieć: Niech cię Bóg błogosławi! Niech cię Bóg błogosławi! I amen!

XLIV

SPOKÓJ, ALE NIE POKÓJ

*Wiecznie i bez końca, błędne wirowanie,
I wczoraj, i dzisiaj to samo się stanie.*

William Cowper, „Hope”

*Jest pewien idealnej formy i treści wszystkiego,
I nie zazna spokoju, dopóki nie osiągnie tego.*

Friedrich Ruckert, „Pantheon”

W czasie gdy Edith dochodziła do siebie po porodzie, w domu na Harley Street panowała całkowita cisza, co znakomicie odpowiadało także Margaret. Nareszcie miała warunki, by odzyskać siły

i spokój, nareszcie miała czas, by w pełni ogarnąć zmiany, które nastąpiły w jej życiu w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Ponownie stała się mieszkanką luksusowej rezydencji, a pozostali domownicy sprawiali wrażenie, jakby do ich świadomości nie docierało, że istnieją jakiegokolwiek troski czy zmartwienia. Tryby i koła mechanizmu codziennego życia były starannie naoliwione i pracowały znakomicie. Pani Shaw i Edith nie mogły się nacieszyć powrotem Margaret do domu, jak z uporem nazywały Harley Street, a ona się czuła bardzo niewdzięczna z powodu skrywanego uczucia, że nie tylko plebania w Helstone, ale nawet małeńki dom w Milton, ze zdenerwowanym ojcem i chorą matką, ze wszystkimi codziennymi troskami i względnym ubóstwem, bardziej były jej domem niż obecne miejsce zamieszkania. Edith starała się jak najszybciej wrócić do zdrowia, bo chciała zaopatrzyć sypialnię Margaret we wszystkie udogodnienia, ozdoby i bibeloty, jakie wypełniały jej własny pokój, a pani Shaw ze swą pokojówką zapewniły sobie zajęcie na wiele godzin, przywracając elegancki wygląd garderobie panny Hale. Jeśli chodzi o kapitana Lennox, to był uprzejmy, serdeczny i łatwy w pożyciu.

Codziennie przebywał z żoną godzinę lub dwie w jej gotowni, potem przez kolejną godzinę bawił się ze starszym synkiem. Resztę czasu, o ile nie wychodził na kolację, mitrzył w swoim klubie.

Jeszcze zanim Margaret nasyciła się ciszą i spokojem, zanim życie wydało jej się puste i nudne, Edith zeszała na dół i zajęła swą dotychczasową pozycję w domu. Jej kuzynka zaś wróciła do swego dawnego zwyczaju obserwowania, podziwiania, asystowania i służenia jej. Z chęcią zdjęła z ramion pani Lennox wszystko, cokolwiek nosiło znamiona obowiązku: odpowiadała na skierowane do niej liściki, przypominała o spotkaniach i terminach, pocieszała ją, gdy na horyzoncie nie było żadnej rozrywki, bo wtedy Edith wyobrażała sobie, że niedomaga. Pozostali członkowie rodziny byli zajęci przyjemnościami trwającego w Londynie sezonu towarzyskiego i Margaret często zostawała w domu sama. Wtedy jej myśli uciekały do Milton i zauważała kontrast między tamtejszym życiem a tym londyńskim. Zaczynała czuć przesyt bezczynnością i spokojem, egzystencją, w której nie istniała walka, praca czy wyzwanie. Obawiała się, by nie popaść w uśpienie,

w zapomnienie o wszystkim, co nie było luksusowym i beztroskim trwaniem. Możliwe, że w Londynie byli tacy, których życie upływało w mozołach i harówce, ale ona ich nie widywała. Służba żyła we własnym podziemnym świecie, o którego nadziejach i obawach panna Hale nic nie wiedziała. Zdawali się ujawniać swe istnienie dopiero wtedy, gdy konieczne było zaspokojenie kaprysu lub potrzeby ich pana lub pani. W sercu Margaret, w jej życiu pojawiła się jakaś dziwna frustracja, niezadowolenie, męcząca próżnia. Raz mgliście wspomniała o tym uczuciu Edith, która, znużona całonocnymi tańcami, lekko uderzyła kuzynkę w policzek, gdy ta usiadła jak za dawnych czasów na podnóżku tuż przy jej sofie.

– Biedne dziecko! – powiedziała pani Lennox. – Musi ci być strasznie smutno, że wieczór za wieczorem zostajesz tu sama, i to wtedy, gdy cały świat się bawi. Już wkrótce jednak zaczniemy wydawać nasze małe przyjęcia. Jak tylko Henry wróci ze swojego objazdu. To będzie miła odmiana dla ciebie. Nic dziwnego, że moja biedulka jest rozżalona.

Margaret nie była przekonana, czy rzeczywi-

ście przyjęcia wieczorne będą lekiem na jej niepokoje. Edith jednakże uczepiła się pomysłu przyjęć, jak twierdziła „całkowicie innych niż te dawne wdowie obiadki z czasów panowania mamy”, a sama pani Shaw zdawała się czerpać taką samą przyjemność z zupełnie inaczej organizowanych spotkań w odmienionym gronie przyjaciół córki i zięcia jak z dawniejszych, bardziej formalnych i nobliwych przyjęć, które sama wydawała. Kapitan Lennox był niezmiennie uprzejmy wobec Margaret i traktował ją jak siostrę. Naprawdę bardzo go lubiła poza chwilami, gdy wykazywał nadmierny niepokój w kwestii stroju i wyglądu żony, chcąc, by wywarła właściwe wrażenie na otoczeniu. W Margaret budziła się wtedy uśpiona natura biblijnej królowej Wasty*, która odmówiła wystawienia się na widok publiczny, i w takich sytuacjach dziewczyna z trudem się powstrzymywała, by nie okazać rozdrażnienia.

Dni Margaret upływały właściwie niezmiennie. Rano, przed późnym śniadaniem, spędzała jedną czy dwie ciche godziny w samotności. Potem następował

* Odniesienie do *Księgi Estery* (1,10–20).

niepunktualny, wlokący się niemiłosiernie posiłek, leniwie spożywany przez znużonych i nie do końca przebudzonych ludzi, którzy jednakże domagali się jej obecności przy stole, ponieważ bezpośrednio po śniadaniu układali plany na najbliższy dzień i choć żaden z nich jej nie dotyczył, oczekiwali z jej strony jeśli nie rady, to chociaż współczucia. Po śniadaniu należało napisać stertę liścików, co Edith niezmiennie pozostawiała kuzynce, okraszając to wieloma komplementami pod adresem jej zdolności epistolarnych. Poza tym Margaret bawiła się z małym Sholto po jego powrocie z porannego spaceru, a także podczas posiłków służby. Urozmaicenie stanowiła przejażdżka lub popołudniowi goście. Oczywiście, Edith i jej matka miały swoje zajęcia poranne i popołudniowe, i Margaret udawało się znaleźć trochę wolnego czasu, ale zazwyczaj była wtedy już zmęczona brakiem konkretnego zajęcia, szczególnie dokuczliwym w połączeniu ze złym nastrojem i osłabieniem.

Z niecierpliwością i niewypowiadaniem wobec domowników zainteresowaniem oczekiwała powrotu Dixon, która nadal pozostawała w Milton, gdzie zajmo-

wała się likwidowaniem spraw rodziny Hale. Margaret ze zdumieniem stwierdziła, że naprawdę brakuje jej wiadomości o ludziach, wśród których żyła tak długo. Co prawda w listach służącej dotyczących interesów od czasu do czasu występowało nazwisko pana Thorntona, bo Dixon cytowała jego opinie w sprawie sprzedaży mebli czy sposobu postępowania z właścicielem domu w Crampton. Ale pojawiało się ono tylko okazjonalnie, podobnie jak wzmianki o innych mieszkańcach Milton. Pewnego wieczoru Margaret siedziała samotnie w salonie Lennoxów i mimo że w dłoni trzymała listy Dixon, nie czytała ich. Rozmyślała o nich, przywoływała minione dni i odmalowywała obraz pracowitego życia, z którego została wyrwana. Zastanawiała się, czy kręci się ono dalej, tak jakby jej i ojca nigdy tam nie było, i czy jest w Milton choć jedna osoba, która odczuwa jej brak (pomijając Higginsa, oczywiście, bo nie o nim właśnie myślała). W tym momencie niespodziewanie zaanonsowano pana Bella. Panna Hale pośpiesznie wepchnęła listy do koszyka z robótkami i zerwała się cała zarumieniona, jakby złapano ją na czymś wzbronionym.

– Och, pan Bell! Nie spodziewałam się pana!

– Ale mam nadzieję, że mimo wszystko przywitasz mnie równie ślicznie, jak się właśnie zdziwiłaś moim przyjazdem.

– Czy jadł pan już obiad? W jaki sposób pan tu dotarł? Proszę pozwolić, bym zadysponowała dla pana posiłek.

– Tylko jeśli się do mnie przyłączysz. Wiesz przecież, że na całej ziemi nie ma drugiego człowieka, który mniej dbałby o jedzenie niż ja. Ale gdzie reszta? Wyszli na obiad? Zostawili cię samą?

– Tak. I teraz naprawdę wypoczywam. Właśnie myślałam... Ale czy zaryzykuje pan ten obiad? Nie jestem pewna, co jest w domu.

– Cóż, szczerze mówiąc, jadłem obiad w klubie, ale niestety, nie dają już tak dobrze jeść jak kiedyś, więc pomyślałem sobie, że jeśli ty też zamierzałaś coś zjeść, mógłbym spróbować posilić się z tobą. Ale to nieważne. Nieważne. W tym kraju nie ma nawet dziesięciu kucharzy, którym można by zaufać w kwestii przygotowania improwizowanego obiadu. Jeśli nawet dysponują odpowiednią wiedzą i piecem, to ich temperament jest

nieodpowiedni. Zrób mi lepiej herbatę, Margaret. A teraz, o czym tak rozmyślałaś? Proszę mi zaraz wszystko opowiedzieć. I czyje to listy, moje drogie dziecko, tak panicznie chowałaś?

– Tylko Dixon – odpowiedziała Margaret, gwałtownie się rumieniając.

– I to wszystko? Zgadnij, z kim jechałem w pociągu.

– Nie wiem – odpowiedziała, zdecydowana uchylić się od zgadywania.

– Z twoim – jak wy go tam nazywacie? Jaka jest prawdziwa nazwa brata męża kuzynki?

– Pan Henry Lennox? – spytała Margaret.

– Tak – odpowiedział pan Bell. – Znałaś go już wcześniej, prawda? Co to za człowiek, Margaret?

– W dawnych czasach lubiłam go – odpowiedziała, na moment spuszczać wzrok. Ale już po chwili uniosła głowę, spojrzała gościowi prosto w oczy i mówiła dalej całkowicie swobodnie. – Wie pan, że korespondowałam z nim w sprawie Fredericka. Jednakże nie widziałam go od trzech lat i w tym czasie mógł się zmienić. A co pan o nim sądzi?

– Nie wiem. Był tak bardzo zajęty, najpierw próbu-

jąc ustalić, kim jestem, a potem jaki jestem, że nawet przez moment nie pozwolił sobie na okazanie, jaki jest on sam. No, chyba że uznamy tę jego zawołowaną ciekawość co do tego, z kim ma do czynienia, za próbkę i jasną wskazówkę jego własnego charakteru. Czy uważasz go za przystojnego, Margaret?

– Nie! Zdecydowanie nie. A pan?

– Ja również nie. Ale myślałem, że być może podoba się tobie. Czy on tu spędza dużo czasu?

– Przypuszczam, że tak, kiedy jest w mieście. Odkąd przyjechałam, był poza Londynem na jakimś objeździe. Ale, panie Bell, czy jedzie pan z Oxfordu, czy z Milton?

– Ależ z Milton! Nie widzisz, że jestem przywędzony dymem?

– Oczywiście, że widzę, ale byłam pewna, że to efekt działania starożytności z Oxfordu.

– Bądź rozsądna! W Oxfordzie poradziłbym sobie z wszystkimi właścicielami nieruchomości, i to po mojemu, i oni wszyscy nie sprawiliby mi połowy tych kłopotów, które miałem z tym człowiekiem w Milton. Na dodatek nie wygrałem, musiałem się przed nim ugiąć. Nie zgodził się przyjąć z powrotem waszego domu aż

do czerwca przyszłego roku. Na szczęście pan Thornton znalazł ci dzierżawcę. A właśnie, Margaret, czemu nie pytasz o niego? Udowodnił swym działaniem, że jest twoim prawdziwym przyjacielem. Załatwił za mnie więcej niż połowę twoich spraw.

– Co u niego słyhać? I u jego matki? – spytała pośpiesznie Margaret. Udało jej się wydobyć z siebie tylko szept, choć próbowała mówić normalnie.

– Przypuszczam, że wszystko dobrze. Mieszkałem u nich w domu, aż mnie wypędziło stamtąd to ustawiczne trajkotanie o ślubie tej ich dziewczyny. Nawet Thornton nie może tego znieść, choć to przecież jego własna siostra. Ciągle wychodził i siedł do swoich pokoi. On chyba już minął ten wiek, gdy dba się o takie rzeczy jak matrymonium, niezależnie od tego, czy miałyby to być cel sam w sobie, czy tylko dodatek. Byłem jednak zdumiony tym, że starsza dama dała się złapać tej gorączce. Płynie z prądem i podziela entuzjazm córki dla kwiatów pomarańczy i koronek. Myślałem, że pani Thornton jest zrobiona z twardszego materiału.

– Potrafiłaby przybrać pozory każdego uczucia, jeśli

pozwoliłoby to ukryć niedostatki jej córki – powiedziała Margaret cicho.

– Być może. Studiowałaś ten charakter, prawda? Ona nie wydaje się twoją wielbicieleką.

– Wiem o tym – odrzekła dziewczyna. – O, jest nasza herbata! – wykrzyknęła prawie z ulgą.

Razem z herbatą pojawił się pan Henry Lennox, który przyszedł pieszo na Harley Street po późnym obiedzie i wyraźnie się spodziewał, że zastanie brata i bratową w domu. Margaret podejrzewała, że co najmniej tak samo jak ona jest wdzięczny za obecność trzeciej osoby przy ich spotkaniu, pierwszym od pamiętnego dnia jego oświadczyn i jej odmowy. Na początku z trudem potrafiła cokolwiek powiedzieć i z radością zajęła się przygotowaniem herbaty, co stanowiło dla niej znakomite uzasadnienie milczenia, a jemu dało czas na zebranie myśli. Trzeba bowiem wiedzieć, że pan Henry Lennox zmusił się, by przyjść tego wieczoru na Harley Street i mieć wreszcie za sobą to niezręczne spotkanie z Margaret, które nawet w towarzystwie kapitana Lennox i Edith byłoby kłopotliwe, a teraz stało się takie w dwójnasób ze względu na ich nieobecność, gdyż siłą rzeczy to Margaret

była adresatką większości jego wypowiedzi. Ona pierwsza odzyskała panowanie nad sobą. Rozpoczęła rozmowę na temat, który przyszedł jej do głowy po tym, jak wyrwała się ze szponów zakłopotania.

– Panie Lennox, nie potrafisz powiedzieć, jak bardzo byłam panu wdzięczna za wszelkie starania w sprawie Fredericka.

– Przykro mi tylko, że nie na wiele się zdały – odpowiedział, rzucając szybkie spojrzenie na pana Bella, jakby chciał się zorientować, czy może przy nim mówić otwarcie. Margaret właściwie odczytała jego myśli i zwróciła się do ojca chrzestnego swego brata, wciągając go do rozmowy, a tym samym dając do zrozumienia, że wie on o staraniach podjętych dla oczyszczenia Fredericka z zarzutów.

– Ten Horrocks, ostatni z listy świadków, okazał się tak samo nieprzydatny jak wszyscy pozostali. Pan Lennox zdołał ustalić, że odpłynął do Australii w sierpniu zeszłego roku, zaledwie dwa miesiące przed tym, jak Frederick był w Anglii i podał nam nazwiska...

– Frederick był w Anglii! Nic mi o tym nie wspominałaś! – wykrzyknął zdumiony pan Bell.

– Byłam pewna, że pan wie. Nawet do głowy mi nie przyszło, że nic panu o tym nie powiedziano. Oczywiście wszystko odbyło się w tajemnicy i być może nie powinnam o tym wspominać nawet teraz – powiedziała Margaret z niepokojem.

– Nie zdradziłem tego ani memu bratu, ani pani kuzynce – zapewnił pan Lennox z lekkim wyrzutem zawodowca.

– To nieistotne, Margaret – stwierdził pan Bell. – Nie żyję w rozplotkowanym, trajkoczącym świecie i nie ma wokół mnie ludzi znajdujących upodobanie w wyciskaniu ze mnie opowieści. Nie musisz być tak przerażona tylko dlatego, że puściłaś parę z ust przed takim starym pustelnikiem jak ja. Nigdy nie wspomnę, że Frederick był w Anglii. I nie będę wystawiony na pokusy, bo nikt mnie o to nie spyta. Czeka! – przerwał sobie ostro. – Czy to było w czasie pogrzebu twojej matki?

– Był przy śmierci mamy – przytaknęła Margaret miękko.

– Więc to tak! Więc to tak! Ktoś mnie pytał, czy Frederick był w Anglii w tym czasie, i ja twardo zaprze-

czyłem... zaledwie kilka tygodni temu... Kto to mógł być? Ach, już sobie przypominam.

Nie wymienił nazwiska. Choć Margaret oddałaby wiele, by się upewnić, czy jej podejrzenia są słuszne i czy pytanie zadał pan Thornton, nie mogła indagować pana Bella, niezależnie od tego, jak bardzo pragnęła potwierdzenia swych domysłów.

Przez chwilę panowała cisza, a potem pan Lennox zwrócił się do panny Hale:

– Przypuszczam, że skoro pan Bell jest zaznajomiony ze wszystkimi okolicznościami związanymi ze sprawą, najlepiej będzie, jeśli poinformuję go dokładnie, jaki jest bieżący stan prowadzonych przez nas poszukiwań dowodów, które miałyby uniewinnić pani brata. A zatem, jeśli wyświadczy mi pan zaszczyt i zje ze mną jutro śniadanie, będę mógł przedstawić nazwiska owych poszukiwanych ludzi.

– Ja też chciałabym wszystkiego się dowiedzieć, o ile to możliwe. Czy nie moglibyście przyjść tutaj? Nie śmiem zapraszać was na śniadanie, choć jestem pewna, że zostalibyście przywitani z radością. Ale pozwólcie mi usłyszeć wszystko o Fredericku, nawet jeżeli trzeba porzucić wszelką nadzieję.

– Mam umówione spotkanie o wpół do dwunastej, ale mogę przyjść, jeżeli tylko pani sobie tego życzy – po lekkim zawahaniu odpowiedział pan Lennox z tak wyraźną ochotą, że Margaret aż się skurczyła i prawie pożałowała swej tak naturalnej propozycji.

Pan Bell podniósł się i rozglądał dookoła w poszukiwaniu swego kapelusza, który został przesunięty podczas przygotowywania herbaty.

– Cóż! – oświadczył. – Nie wiem, jakie plany ma pan Lennox, ale ja będę zmierzał w stronę domu. Cały dzień podróżowałem, a to nie przechodzi bez echa przy mojej przekroczonej sześćdziesiątce.

– Myślę, że zostanę, by się zobaczyć z moim bratem i bratową – odpowiedział adwokat, nie wykonując żadnego ruchu wskazującego na zamiar odejścia.

Serce Margaret ścisnęło dziwne uczucie nieśmiałości połączonej ze strachem, że zostanie sama z panem Lennoxem. Scena na tarasowej ścieżce w ogrodzie w Helstone stała tak realistycznie przed jej oczyma, że z trudem przychodziło jej uwierzyć, by z nim mogło być inaczej.

– Proszę jeszcze nie odchodzić, panie Bell – powie-

działał pospiesznie. – Chciałabym, aby pan zobaczył Edith i aby ona też pana poznała. Proszę – powtórzyła, kładąc dłoń na jego ramieniu lekko, ale zdecydowanie. Spojrzał na nią i od razu dostrzegł na jej twarzy zmieszanie. Ponownie usiadł, zupełnie jakby jej łagodny dotyk miał tajemniczą siłę nie do odparcia.

– Widzi pan, jak ona mną zawładnęła, panie Lennox – powiedział. – Mam nadzieję, że zauważył pan, jak doskonale dobiera słownictwo. Chce, abym „zobaczył” jej kuzynkę Edith, która, z tego co słyszałem, jest wybitną piękną. Ale gdy przeszła do mnie, uczciwość kazała jej powiedzieć, że pani Lennox powinna mnie „poznać”. Rozumiem, że ja nie jestem wart tego, by mnie „zobaczyć”.

Żartował, aby dać jej czas na pozbieranie się z lekkiego poruszenia, które wyczuł w jej zachowaniu, gdy chciał wyjść. Ona podchwyciła dowcipny ton pana Bella i szybko odbiła piłeczkę. W tym czasie pan Lennox zastanawiał się, jak jego brat mógł stwierdzić, że Margaret straciła całą urodę. Z pewnością w swej skromnej czarnej sukni stanowiła kontrast dla Edith, roztańczonej w białej żałobnej krepie i powiewają-

cej złotymi lokami, takiej miękkiej i jaśniejszej. Pani Lennox, gdy przedstawiano ją panu Bellowi, czarowała dołeczkami i rumieńcami, świadoma, że musi obronić swą reputację piękności. Nie zamierzała dopuścić do tego, by ktoś, jak Mordechaj*, odmówił jej swego podziwu, nawet jeśli tym kimś miał być stary akademik, o którym nikt nie słyszał. Pani Shaw i kapitan Lennox, każde na swój sposób, powitali gościa uprzejmie i serdecznie, podbijając go nawet wbrew jego woli, tym bardziej że od razu dostrzegł, jak naturalnie Margaret zajęła swe miejsce siostry i córki w tym kręgu.

– Jaka szkoda, że nie było nas w domu, by pana powitać – powiedziała Edith. – Ciebie też, Henry. Choć sądzę, że nie zostalibyśmy ze względu na ciebie. Ale dla pana Bella, dla przyjaciela naszej Margaret...

– Nie ma takiego poświęcenia, na które byś się nie zdobyła – dokończył jej szwagier. – Zrezygnowałabyś nawet z pójścia na przyjęcie. I z przyjemności zaprezentowania się w tej wspaniałej sukni.

Edith nie była pewna, czy powinna zareagować zło-

* Odniesienie do *Księgi Estery* (3,2); Mordechaj odmawia oddania pokłonu Hamanowi, faworytowi króla Aswerusa.

ścią, czy uśmiechem, na szczęście panu Lennoxowi nie zależało na doprowadzeniu jej do tego pierwszego stanu, więc kontynuował:

– Czy skłonna byłabyś okazać podobną gotowość do poświęceń także jutro rano? Czy mogłabyś, po pierwsze, zaprosić mnie na śniadanie, abym mógł się spotkać z panem Bellem, a po drugie, zadysponować śniadanie na godzinę wpół do dziesiątej, zamiast na dziesiątą, jak zwykle? Mam kilka listówi dokumentów, które chciałbym pokazać panie Hale i panu Bellowi.

– Mam nadzieję, że pan Bell będzie traktował nasz dom jak swój własny podczas pobytu w Londynie – odezwał się kapitan Lennox. – Żałuję tylko, że nie jesteśmy w stanie zaoferować panu sypialni.

– Dziękuję. Jestem wielce zobowiązany. Dobrze się jednak składa, że nie dysponują państwo dodatkowym pokojem, bo mimo wszelkich pokus tak miłego towarzystwa odmówiłbym zamieszkania tu, a wtedy uznaliby mnie państwo za gbura – odpowiedział pan Bell, kłaniając się wszystkim dookoła i po cichu gratulując sobie świetnej formy tego zdania. Jego prawdziwa wymowa była nieco inna: Nie zniósłbym na dłuższą metę

ograniczeń mieszkania z tak przyzwoicie zachowującymi się i odpowiednio wyrażającymi się ludźmi. To byłoby jak jedzenie nieposolonego mięsa. Co za szczęście, że nie mają wolnej sypialni. I jak cudownie sformułowałem moją wypowiedź. Zdecydowanie opanowuję coraz więcej sztuczek człowieka dobrze wychowanego.

Samozadowolenie nie opuszczało go aż do chwili, gdy znalazł się na ulicy u boku pana Henry'ego Lennox. Wtedy przypomniało mu się błagalne spojrzenie panny Hale, kiedy namawiała go, by został trochę dłużej, a także kilka wzmianek, które usłyszał dawno temu od jednego ze znajomych pana Lennox o uwielbieniu tego ostatniego dla Margaret. To nadało myślom pana Bella nowy kierunek.

– Z tego co wiem – odezwał się – zna pan pannę Hale już od dawna. Czy nie znalazł jej pan obecnie zmienioną? Wydaje mi się taka blada i mizerna.

– Moim zdaniem wygląda po prostu znakomicie. Choć może nie w pierwszej chwili, gdy wszedłem. Tak, dopiero teraz to sobie uświadomiłem. Ale potem, gdy już się ożywiła, wyglądała nawet lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

– Naprawdę wiele wycierpiała – powiedział pan Bell.

– Tak, z przykrością się dowiedziałem, przez co przeszła. I nie chodzi mi tylko o tę naturalną, powszechną rozpacz towarzyszącą śmierci bliskich, ale także o zdenerwowanie spowodowane zachowaniem jej ojca, który...

– Zachowaniem jej ojca! – przerwał zdumiony pan Bell. – Chyba został pan wprowadzony przez kogoś w błąd. Ojciec Margaret zachował się właśnie jak najbardziej zgodnie z sumieniem. Okazał więcej stanowczej siły, niżbym się po nim spodziewał.

– Być może rzeczywiście udzielono mi fałszywych informacji. Następca pana Hale’a, inteligentny, rozsądny człowiek i do tego bardzo aktywny duchowny, powiedział mi, że nie istniała żadna przyczyna, aby pan Hale podjął takie kroki, aby wyrzekł się stanowiska i skazał siebie i swą rodzinę na niepewny los prywatnego nauczyciela w przemysłowym mieście. Biskup zaproponował mu inne beneficjum, to prawda, ale skoro ojciec Margaret żywił pewne wątpliwości, mógł pozostać tam, gdzie był, i nie rezygnować. Uważam, że ci wiejscy duchowni prowadzą zbyt odizolowany tryb

życia, odizolowany od kontaktów z ludźmi o wykształceniu i zapatrywaniach podobnych do ich własnych, a których refleksje mogłyby wspierać ich przemyślenia i uświadamiać im to, że posuwają się za wolno lub za szybko. Przez to tacy duchowni są zbyt skłonni, aby zatrzymywać swe umysły wymaginowanymi wątpliwościami dotyczącymi artykułów wiary, porzucać możliwość czynienia dobra i podążać za swymi mrzonkami.

– Nie zgadzam się z panem. Nie uważam, aby byli skłonni do wyboru takiej drogi, na jaką się zdecydował mój biedny przyjaciel Hale – odrzekł pan Bell, z trudem ukrywając poirytowanie.

– Być może, mówiąc „zbyt skłonni”, użyłem za bardzo ogólnego sformułowania. Ale to pewne, że ich tryb życia bardzo często prowadzi albo do nadmiernego separowania się, albo do chorobliwej sumienności – odpowiedział pan Lennox z wystudiowanym chłodem.

– Jak rozumiem, wśród prawników nie spotyka się pan z separowaniem się? – zasugerował pan Bell. – I raczej nie zdarzają się przypadki chorobliwej sumienności?

Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej rozdraż-

niony i zapominał o ostatnio nabytej umiejętności stosowania sztuczek człowieka doskonale wychowanego. Pan Lennox zauważył, że zdenerwował swego towarzysza, i choć nadal mówił sporo, to chodziło mu teraz przede wszystkim o to, by zagłuszyć ciszę i by szybciej upłynęła im droga, którą mieli wspólnie do przebycia. Zwracał jednak uwagę na to, aby pozostać obojętnym i nie wypowiadać się po żadnej ze stron. Dyplomatycznie dodał:

– Z pewnością jest coś imponującego w takim człowieku jak pan Hale. W jego wieku opuszczać dom, gdzie mieszkał przez dwadzieścia lat, porzucać swe nawyki. I to wszystko dla idei, która była prawdopodobnie błędną, choć to nie ma znaczenia, i nieuchwytną myślą. Trzeba go podziwiać, ale jest to podziw z domieszką litości. Przypomina to trochę uczucia żywione dla Don Kichota. Cóż to był jednak za dżentelmen! Nigdy nie zapomnę tej wytwornej, a jednak tak prostej gościnności, jaką mi okazał w Helstone.

To tylko częściowo ułagodziło pana Bella, który jednakże pragnął uspić lekkie wyrzuty sumienia, jakie odczuwał na myśl o własnej niezłomności, i dlatego

chętnie widział w postępowaniu pana Hale'a pewne znamiona donkiszoterii. Warknął:

– Tak. A pan nie zna Milton. Taka zmiana po Helstone! Lata minęły, odkąd byłem tam po raz ostatni... ale głowę dam, że wszystko tam stoi jak kiedyś... każdy patyk i każdy kamień w tym samym miejscu od stu lat, podczas gdy Milton... Jeżdżę tam co cztery, pięć lat... urodziłem się tam... a jednak, proszę mi wierzyć, zdarza mi się, że się tam gubię... tak, pomiędzy tymi skupiskami magazynów, wybudowanych na starych sadach mojego ojca. Rozstajemy się tutaj? A zatem dobranoc, sir. Pewnie spotkamy się jutro rano na Harley Street.

XLV

„MIAŁEM DZIWNY SEN,
MOŻE I NIE CAŁKIEM SENNY”

*Gdzież są te dźwięki w lekkim
Brzmiące powietrzu, gdy byłem młody?
Zniknął już ich ostatni pogłos,
Tak jak odeszli ci, co go słyszeli.
Pozwólcie mi przymknąć oczy i śnić.*

Walter Savage Landor, „The Last Fruit off an Old Tree”

*M*yśl o Helstone pojawiła się w głowie pana Bella pod wpływem rozmowy z panem Lennoxem i przez całą noc wprowadzała mętlik w jego sny. Znowu był tutorem w tej instytucji, gdzie obecnie piastował stanowisko członka kolegium. Trwały waka-

cje i przebywał u swego przyjaciela, świeżo poślubionego, dumnego małżonka i szczęśliwego proboszcza w Helstone. Wykonywali nieprawdopodobne skoki przez szemrzące strumyki, tak nieprawdopodobne, że wydawało się, jakby przez całą wieczność pozostawali zawieszeni w powietrzu. Czas i przestrzeń zdawały się nie istnieć, choć pozostałe elementy snu były całkowicie realne. Każde kolejne wydarzenie następowało na skutek działania umysłu, a nie przez faktyczne istnienie, bo przecież nie istniało. Drzewa oszałamiały jesienną szatą, ciepły aromat kwiatów i ziół radował zmysły, młoda żona poruszała się po domu z niepokojem związanym z nową rolą i zmienionym stanem majątkowym, a niepokój ten mieszał się z dumą z przystojnego i oddanego męża. Dokładnie tak to zaobserwował pan Bell ćwierć wieku wcześniej w prawdziwym życiu. Ten sen tak bardzo przypominał mu rzeczywistość, że gdy się obudził, wydawało mu się, że to obecne życie jest tylko snem. Gdzie się znajdował? W przytulnym i ładnie umeblowanym pokoju londyńskiego hotelu. A gdzie są ci, z którymi rozmawiał, którzy się poruszali koło niego, dotykali go nie dawniej niż minutę temu?

Są martwi. Pogrzebani. Straceni na wieczność, a przynajmniej na tyle, na ile trwa ziemską wieczność. Był starym człowiekiem, a przed chwilą radował się pełnią siły i męskości. Nie mógł znieść myśli o wszechogarniającej pustce i samotności swego życia. Szybko wstał i próbował zapomnieć o tym, co się już nie powtórzy. Pospiesznie przygotowywał się do śniadania na Harley Street.

Nie brał udziału w całej rozmowie Margaret z adwokatem, ale od razu dostrzegł, że pod wpływem przekazanych informacji jej oczy się rozszerzyły, a usta zbiegały, jakby los wydał wyrok na każdy najdrobniejszy dowód, mogący oczyścić Fredericka z zarzutów, i jakby dowody te jeden po drugim upadały u jej stóp i znikaly. Nawet wystudiowany głos pana Lennox'a przybrał łagodniejsze tony, w miarę jak zbliżał się do obwieszczenia o wygaśnięciu ostatniej nadziei. Margaret już przedtem była świadoma, że właściwie nie ma szans na uniewinnienie brata, ale teraz kolejne rozczarowania następowały z taką nieodwołalnością, tak bezwzględnie przekreślały te nadzieje, że w końcu dziewczyna nie zdołała powstrzymać łez.

Pan Lennox przestał czytać.

– Myślę, że nie powinienem kontynuować – powiedział z troskanym głosem. – Miałem głupi pomysł, żeby to przynieść. Porucznik Hale – nawet wymieniając rangę Fredericka z czasów służby, z której tak ostro go usunięto, pan Lennox sprawił Margaret przyjemność – jest teraz szczęśliwy, a jego powodzenie i widoki na przyszłość są zdecydowanie pewniejsze, niż kiedykolwiek byłyby, gdyby służył w marynarce. Bez wątpienia też traktuje ojczyznę swojej żony jako własną.

– Zgadza się – potwierdziła Margaret. – Jestem strasznie samolubna w moim żalu, że nie udało się znaleźć świadków jego niewinności. – Próbowала się uśmiechnąć. – Wiem, że jest dla mnie stracony, ale jestem taka samotna.

Pan Lennox przewracał zebrane dokumenty i pomyślał, że bardzo chciałby być już teraz tak bogaty i odnosić takie sukcesy, jak spodziewał się osiągnąć to w przyszłości. Pan Bell wydmuchał nos, ale zachowywał milczenie. Margaret po chwili zdołała odzyskać swe zwykłe opanowanie. Z wielką uprzejmością podziękowała panu Lennoxowi za trud, który włożył

w tę sprawę. Starła się być szczególnie serdeczna, bo nie chciała, by przez jej zachowanie doszedł do wniosku, że zadał jej niepotrzebne cierpienie. Cierpiała, ale za nic nie wyrzekłaby się tego bólu.

Pan Bell wstał ze swego miejsca, by się pożegnać.

– Margaret! – powiedział, nerwowo poszukując swych rękawiczek. – Wybieram się jutro do Helstone, żeby się trochę rozejrzeć po starych kątach. Chciałabyś pojechać ze mną? A może sprawiłoby ci to zbyt dużą przykrość? Mów śmiało.

– Och panie Bell! – Tylko tyle zdołała powiedzieć, ale ujęła jego starą, wykręconą artretyzmem dłoń i pocałowała.

– No, już, już. Dosyć tego – rzekł, czerwieniąc się z zakłopotania. – Mam nadzieję, że twoja ciotka powierzy mi ciebie. Pojedziemy jutro rano i powinniśmy tam dotrzeć około drugiej. Przekąsimy coś i zamówimy obiad w tej małej gospodzie... nazywała się, o ile mnie pamięć nie myli, Pod Godłem Lennardów. I pójdziemy się przejść po lesie, żeby zaostriżyć apetyt. Jak ci się to podoba, Margaret? To będzie taka próba, dla każdego z nas. Ale też przyjemność, przynajmniej dla mnie.

Zjemy tam obiad, koniecznie łanię, jeśli oczywiście uda się ją zdobyć. A potem ja sobie utnę drzemkę, a ty pójdziesz się spotkać ze starymi przyjaciółmi. I odstawię cię tu całą i zdrową, o ile oczywiście nie nastąpi katastrofa kolejowa. Zanim jednak wyruszymy, ubezpieczę twoje życie na tysiąc funtów, co być może ucieszy twych krewnych i spadkobierców. Ale jeśli nie będzie wypadku, to zwrócę cię ciotce w piątek w godzinach lunchu. Skoro się zgadzasz, od razu idę na górę i przedstawiam swoją propozycję.

– Nawet nie ma sensu, abym próbowała wyrazić, jak bardzo ten pomysł mi się podoba – odpowiedziała Margaret przez łyzy.

– Mogłabyś więc udowodnić mi swą wdzięczność, wyłączając te swoje fontanny na najbliższe dwa dni. Jeśli bowiem tego nie zrobisz, to obawiam się, że moje przewody łożowe również zadziałają, a tego nie lubię.

– Nie uronię już ani jednej łyzy – obiecała, mrugając oczyma, aby strącić krople z rzęs, i zmuszając się do uśmiechu.

– Dobra dziewczyna. W takim razie idziemy na górę i załatwiamy sprawę.

Margaret cała drżała z podniecenia, gdy pan Bell przedstawiał swój projekt pani Shaw. Ciotka w pierwszym momencie zareagowała zdumieniem, potem była niespokojna i pełna wątpliwości. W końcu poddała się i wyraziła zgodę, ale raczej wskutek nacisków pana Bella niż z własnego przekonania. Jeśli chodziło o jej opinię, czy pomysł był dobry czy zły, stosowny czy nie-stosowny, nie potrafiła się jeszcze zdecydować, aż do bezpiecznego powrotu Margaret. Dopiero wtedy, gdy wszystko przebiegnie zgodnie z planem, pani Shaw będzie mogła stwierdzić: „Byłam pewna, że pan Bell wykazał tym pomysłem wielką uprzejmość, i to było dokładnie to, czego życzyłamby Margaret jako odmiany, tak potrzebnej po trudnych chwilach, które przeżyła”.

XLVI

KIEDYŚ I TERAZ

*Kiedy myślami się odważę
Wracać w czas szczęsny dawnych zdarzeń,
Ża przyjaciółmi mymi tęsknię,
Co ich zabrała śmierć przedwcześnie.
Łecz jeśli przyjaźń jest prawdziwa,
Więź duszy z duszą się nie zrywa,
I w świecie, gdzie duch rządzi czysty,
Odnajdę dusze moich bliskich.*

*John Ludwig Uhland, „Crossing the Stream”
przet. Joanna Puchalska*

*M*argaret była gotowa do wyjazdu na długo przed umówioną godziną i miała czas, by

sobie trochę popłakać, gdy nikt nie patrzył, i by szeroko się uśmiechać, gdy jej się przyglądano. Do ostatniej chwili niepokoiła się, że nie zdążą na pociąg, ale na szczęście wszystko przebiegło pomyślnie. Siedząc w przedziale naprzeciwko pana Bella, oddychała pełną piersią, szczęśliwa i swobodna. Poruszenie wywoływały w niej dobrze znane mijane stacje, stare południowoangielskie miasteczka i osady, wygrzewające się w ciepłych promieniach czystego słońca, które podkreślało czerwień dachów, tak różnych od chłodnych, szarych dachówek na Północy. Stada gołębi unosiły się nad szczytami uroczych wzgórz, leniwie przysiadając tu i ówdzie, strosząc miękkie, lśniące piórka, jakby chciały każde z osobna wystawić na działanie delikatnego ciepła. Na stacjach Margaret widziała niewiele osób, odnosiła wręcz wrażenie, że ludzie są zbyt rozleniwieni i zadowoleni, aby zadawać sobie trud podróżowania. Nie było tu ruchu i krzątaniny, jakie obserwowała w czasie swych dwóch podróży na linii łączącej Londyn z północno-zachodnimi hrabstwami. Pod koniec roku ta południowa trasa trochę się ożywi, bo pociągi zapełnią się bogaczami, zmierzającymi do stolicy

w poszukiwaniu rozrywki, ale w zakresie regularnych podróży handlowych zawsze pozostanie bardzo różna od swojej odpowiedniczki na Północy. Tutaj prawie na każdej stacji widzieli co najmniej jednego gapia, który z rękoma w kieszeniach był całkowicie pochłonięty prostą czynnością przypatrywania się. Zajmowało go to do tego stopnia, że podróżnym samo nasuwało się pytanie, czym taki filozof się zajmie, kiedy pociąg opuści już stację i nie pozostanie nic, poza pustym torowiskiem, barakami i polami w oddali, w co mógłby wlepić wzrok.

Gorące powietrze unosiło się nad złotawą nieruchomą ziemią, a oni mijali farmę za farmą, z których każda przypominała Margaret germańskie poematy: *o Hermanie i Dorotei*^{*}, *o Evangelinie*^{**}.

Zbudziła się z tych snów na jawie, bo dotarli do stacji, gdzie należało wysiąść i wynająć powóz, który miał ich zawieźć do Helstone. Jej serce przeszły silniejsze uczucia, aczkolwiek nie potrafiłaby odpowiedzieć, czy była to przyjemność, czy ból. Każda mila tej drogi na-

* Johann W. von Goethe, *Hermann und Dorothea* (1797).

** Henry Longfellow, *Evangeline* (1847).

sycona była skojarzeniami, których za nic w świecie nie chciałaby się wyrzec, mimo że wyciskały jej z oczu łzy niewymownej tęsknoty „za dniami, które odeszły w dal”*. Po raz ostatni podążała tą drogą z ojcem i matką. Wtedy dzień i pora roku były ponure, a ona sama pozbawiona nadziei. Ale byli z nią. Teraz została sama. Była sierotą, a oni odeszli od niej i zniknęli z tego świata. Bolał ją widok drogi do Helstone zalanej słońcem, cierpiała, widząc, że każdy zakręt i każde drzewo trwają w takim samym letnim przepychu jak w poprzednich latach. Natura nie odczuła żadnej zmiany. Nawet wydawała się odmłodzona.

Pan Bell chyba zdawał sobie sprawę z uczuć i refleksji Margaret, bo mądrze i taktownie zachowywał milczenie. Dojechali do oberży Lennardów. W części była to farma, w części gospoda, stojąca w pewnym oddaleniu od drogi. Właściciel widocznie nie zaliczał przypadkowych podróżnych do swych najważniejszych klientów i nie zamierzał natrętnie zabiegać o takich gości; wołał raczej, aby to oni go poszukali. Front go-

* Cytat z *Tears, Idle Tears w: The Princess* Alfreda Tennysona (1847).

spody był skierowany na zieleniec, a tuż przed budynkiem rosła wiekowa lipa, obwiedziona dookoła ławką. Z ukrytych zakamarków drzewa, pomiędzy listowia, zwieszała się tarcza Lennardów. Drzwi gospody były otwarte na oścież, ale nikt nie wykazywał nadmiernego pośpiechu, by powitać gości. W końcu pojawiła się gospodyni, ale zanim to nastąpiło, mieli możliwość, by wynieść stamtąd niejedną przedmiot. Powitała ich tak uprzejmie, jakby byli zaproszonymi przez nią gośćmi, i przeprosiła za zwłokę, tłumacząc, że jest czas sianokosów i musiała wysłać pożywienie mężczyznom pracującym w polu. Była tak zajęta pakowaniem koszyków, że nie usłyszała turkotu kół ich pojazdu, tym bardziej że ostatnia część drogi po zjeździe z gościńca prowadziła po miękkiej darni.

– A niech mnie! – krzyknęła na zakończenie swoich przeprosin, bo wtedy właśnie nagły błysk słońca oświetlił twarz Margaret, która stała dotychczas na uboczu w mrocznej sali. – Ależ to panna Hale. Jenny! – krzyknęła, biegnąc w stronę drzwi i wołając córkę. – Chodź tutaj, chodź szybko! To panna Hale! – Podeszła do Margaret, ściskając jej dłonie z macierzyńską serdecz-

nością. – A jak się czują pozostali? Co u proboszcza i panny Dixon? Przede wszystkim u proboszcza? Niech go Bóg błogosławi. Nigdy nie przestaliśmy żałować, że nas opuścił.

Margaret próbowała wydobyć głos i powiedzieć kobiecie o śmierci swego ojca, bo o śmierci matki pani Purkis musiała chyba wiedzieć, sądząc z tego, że w swych pytaniach o niej nie wspominała. Słowa dłażyły jednak Margaret i, niezdolna przemoc swej żałości, wykrztusiła tylko jedno słowo:

– Papa...

– Ależ, sir, to niemożliwe! – stwierdziła pani Purkis, zwracając się do pana Bella po potwierdzenie smutnego podejrzenia, które teraz przyszło jej do głowy. – Był tu wiosną taki jeden dżentelmen, to nawet mogło być dawniej, może zimą. Dużo nam opowiadał o panu Hale’u i paniencie Margaret. I powiedział, że pani Hale odeszła, biedaczka. Ale nawet słowem nie wspominał, że proboszcz niedomaga.

– A jednak to prawda – potwierdził pan Bell. – Zmarł całkiem niespodziewanie, gdy odwiedzał mnie w Oxfordzie. To był dobry człowiek, pani Purkis, i wie-

lu z nas mogłoby być wdzięcznym za tak spokojny koniec. Chodź, Margaret! Jej ojciec był moim najdawniejszym przyjacielem, a ona jest dla mnie jak córka, więc pomyślałem, że przyjedziemy tu razem i rozejrzemy się po starych kątach. Wiem z dawnych czasów, że ma tu pani wygodne pokoje i wyśmienite jedzenie. Widzę, że nie przypomina mnie pani sobie; nazywam się Bell i raz czy dwa, gdy plebania była pełna gości, spałem tu i delektowałem się pani wspaniałym piwem.

– Na pewno. Proszę mi wybaczyć, ale, widzi pan, tak się zajęłam panną Hale, że nie przyjrzałam się panu. Zaprowadzę panienkę, panno Margaret, do pokoju, gdzie będzie mogła panienka zdjąć czepek i przemyć twarz. Pomyśleć, że właśnie dziś rano zamoczyłam pąki świeżo zebranych róż w dzbanku z wodą, bo przyszło mi do głowy, że może ktoś przyjedzie, a nie ma przecież niczego tak rozkosznego jak świeża woda przesycona aromatem róż. I pomyśleć, że nasz proboszcz nie żyje! Cóż, wiadomo, że wszyscy muszą umrzeć. Tylko że wtedy ten dżentelmen mówił, że pan Hale prawie się pozbierał po śmierci żony.

– Proszę zejść do mnie na dół, pani Purkis, jak już

skończy pani z panną Hale. Muszę się pani poradzić w kwestii obiadu.

Niewielkie okno w sypialni Margaret było prawie w całości zasłonięte pędami róż i wina, ale odsuwając je na boki, mogła dostrzec ponad drzewami wierzchołki kominów plebanii i rozróżnić poprzez listowie niektóre ze znanych sobie zarysów.

– No! – odezwała się pani Purkis, wygładzając kapę na łóżku i wysyłając Jenny po pachnące lawendą ręczniki. – Teraz nastały inne czasy, panienko. Nowy proboszcz ma siódmkę dzieci. I dobudowuje pokój dziecinny dla kolejnych. Dokładnie w tym miejscu, gdzie przedtem stała altana i budka z narzędziami. I ma nowe palenisko i okno z olbrzymią szybą w salonie. On i jego żona we wszystkim biorą udział i robią dużo dobrego. A przynajmniej oni twierdzą, że to jest dobre. Bo ja bym to nazwała wywracaniem wszystkiego do góry nogami, i to nie wiadomo po co. Nowy proboszcz jest, panienko, abstynentem i sędzią pokoju, a jego żona ma mnóstwo przepisów na oszczędne gotowanie i uważa, że trzeba piec chleb bez drożdży. I okropnie dużo mówią, zwykle obydwójce naraz, tak że po prostu

zwalają człowieka z nóg. Dopiero jak sobie pójda i człowiek ma chwilę spokoju, żeby pomyśleć, to przychodzą mu do głowy rzeczy, które ma na obronę swojego zdania. A on pójdzie teraz na pole i będzie chłopom zaglądał do dzbanów, i znowu narobi hałasu, że to nie piwo imbirowe, ale co ja mu na to poradzę? I moja matka, a przed nią jeszcze moja babka zawsze posyłały na pole likier słodowy. A na niedomogi to się dawało sole i senes. I ja muszę robić to samo, nawet jeżeli pani Hepworth chce mi dawać pastylki zamiast lekarstwa. Twierdzi, że pastylki są o wiele przyjemniejsze, tylko że ja w nie nie wierzę. Ale muszę iść, panienko, choć marzę o tym, aby mi panienka wszystko opowiedziała. Niedługo wrócę.

Pan Bell zamówił dla Margaret truskawki ze śmietaną, bochenek ciemnego chleba i dzban mleka (plus stiltona i butelkę porto dla siebie celem wzmocnienia) i przekąska ta czekała na stole, gdy dziewczyna zeszła z góry. Po tym wiejskim posiłku wyruszyli na spacer, zastanawiając się, który kierunek obrać, tyle wspomnień i skojarzeń wiązało się z każdym z miejsc.

– Idziemy w stronę plebanii? – spytał pan Bell.

– Nie, jeszcze nie. Pójdziemy tędy, zrobimy rundę dookoła i dojdziemy do plebanii od tyłu – zdecydowała Margaret.

Gdzieniedzie natykali się na stare drzewa powalone poprzedniej jesieni, z powierzchni ziemi zniknęło kilka nielegalnych, na wpół dzikich chat i rozpadających się domostw.

Dziewczyna tęskniła za każdym z nich i rozpaczła nad nimi jak nad starymi przyjaciółmi. Minęli miejsce, gdzie pamiętnego dnia ona i pan Lennox szkicowali. Zniknął zbiegły, poraniony uderzeniami pioruna pień dostojnego buka, wśród którego korzeni wtedy siedzieli. Stary mieszkaniec zrujnowanego domku zmarł, sam budynek został zrównany z ziemią, a na jego miejscu stał nowy, schludny i porządny. Zamiast imponującego drzewa mogli podziwiać śliczny ogródeczek.

– Nie przypuszczałam, że jestem taka stara – stwierdziła Margaret po chwili milczenia i odwróciła się z westchnieniem.

– Tak! – przytaknął pan Bell. – Tajemnica czasu dociera do młodych, gdy po raz pierwszy zauważą zmianę w czymś, co wydawało się niezmiennie. Potem wraże-

nie tajemniczości znika. Ja przyjmuję wszystkie zmiany wokół siebie jako naturalny proces. Niestabilność spraw ludzkich jest dla mnie oczywista, ale przypuszczam, że dla ciebie to coś nowego i przytłaczającego.

– Chodźmy odwiedzić małą Susan – powiedziała Margaret, prowadząc swego towarzysza w górę trawistej drogi, przecinającej cienistą leśną polanę.

– Z największą przyjemnością, mimo że nie mam najłżejszego pojęcia, kim jest mała Susan. Ale mam najwyższe względy dla każdej Susan, przez wzgląd na Susan właśnie.

– Moja mała Susan była rozczarowana, gdy stąd wyjechałam bez pożegnania. I od tamtej pory dokucza mi sumienie, że sprawiłam jej ból, choć przy odrobinie wysiłku mogłam przecież temu zapobiec. Ale to długa droga. Czy jest pan pewien, że nie będzie pan zmęczony?

– Całkowicie pewien. To znaczy, jeżeli nie będziesz szła bardzo szybko. Bo, widzisz, tutaj nie ma widoków do podziwiania, które stanowiłyby wymówkę, gdybym się zatrzymywał dla złapania oddechu. Uważałabyś za romantyczny taki spacer z kimś, „kto ma krótki od-

dech i mało ćwiczył”*, gdybym był Hamletem, księciem Danii. Przez wzgląd na niego miej współczucie dla moich dolegliwości.

– Będę szła wolniej przez wzgląd na pana. Wołę pana dwadzieścia razy bardziej niż Hamleta.

– Zgodnie z zasadą, że żyjący osioł jest lepszy niż martwy lew?

– Być może. Nie analizuję swoich uczuć.

– Cieszy mnie twoja dla mnie sympatia i nie zamierzam zbytnio się zagłębiać w jej przyczyny. Tylko może nie idźmy aż tak ślimaczym tempem.

– Doskonale. Proszę iść tak, jak panu odpowiada, a ja pójdę za panem. Gdybym szła zbyt szybko, proszę się zatrzymać i medytować, dokładnie tak jak Hamlet, do którego się pan porównał.

– Bardzo ci dziękuję. Ale ponieważ moja matka nie zamordowała mojego ojca, nie mówiąc już o tym, że nie wysłała potem za mojego wuja, obawiam się, że nie miałbym nad czym medytować. Chyba że rozważałbym, jakie są nasze szanse na wyśmienity posiłek po powrocie. Co o tym sądzisz?

* Cytat z v aktu *Hamleta* Williama Shakespeare’a, w przekł. Stanisława Barańczaka.

– Jestem pełna nadziei. Nasza gospodyni była zawsze uważana za wspaniałą kucharkę, przynajmniej w Helstone.

– Ale czy wzięłaś pod uwagę, że jej umysł jest obecnie zajęty sianokosami?

Margaret doceniała poświęcenie pana Bella starającego się prowadzić pogodną rozmowę na obojętne tematy, aby ochronić ją przed zbyt głębokim zagłębianiem się w przeszłość. Ale jeśli chodziło o nią, to wołałaby odbyć w milczeniu ten spacer przez drogie jej sercu okolicę, o ile oczywiście nie mogła być sama.

Dotarli do domku, w którym mieszkała owdowiała matka małej Susan, ale dziewczynki nie było w domu. Poszła do szkółki parafialnej. Margaret była tak bardzo zawiedziona, że biedna kobieta prawie ją przeproszała.

– Och! Wszystko w porządku – powiedziała panna Hale. – Cieszę się, że poszła do szkoły. Mogłam się tego domyślić. Chciał przedtem zawsze zostawała z panią w domu.

– Tak, to prawda. I bardzo mi jej brakuje. Uczyłam ją wieczorami tej odrobiny, którą sama umiem, choć to tak niewiele. Zaczęła być dla mnie prawdziwą wyręką

i teraz brakuje mi jej bardzo. Ale już nie mogłabym jej uczyć, bo dawno mnie wyprzedziła. – Matka westchnęła.

– Wszystko mi się miesza – mruknął pan Bell. – Nie zwracajcie uwagi na to, co mówię, bo jestem o sto lat opóźniony. Powiedziałbym jednak, że dziecko zdobywa lepsze wykształcenie, zostając w domu, pomagając matce i przy jej boku ucząc się czytać co wieczór jeden rozdział z *Nowego Testamentu*, niż zdobyłoby we wszystkich szkołach pod słońcem.

Margaret nie odpowiedziała, bo nie chciała zachęcać go do kontynuowania tej myśli i przedłużania rozmowy w obecności matki dziewczynki. Odwróciła się do kobiety i spytała:

– A jak się czuje Betty Barnes?

– Nie wiem – odpowiedziała krótko. – Nie przyjaźnimy się.

– Ale dlaczego? – spytała panna Hale, która dawniej pełniła rolę rozjemcy w wiosce.

– Ukradła mojego kota.

– A wiedziała, że to był pani kot?

– Nie wiem. Chyba nie.

– A czy nie mogłaby go pani odzyskać, gdyby jej pani powiedziała, że to był pani kot?

– Nie, bo go spaliła.

– Spaliła go?! – wykrzyknęli razem Margaret i pan Bell.

– Upiekła go – wyjaśniła kobieta.

To niczego nie tłumaczyło. Dzięki kolejnym pytaniom Margaret wydobyła z kobiety przerażającą relację o tym, jak pani Barnes została namówiona przez cygańską wróżkę, aby pożyczyła tej ostatniej niedzielne ubranie męża Betty. Cyganka przyrzekła, że zwróci odzież przed sobotnim wieczorem, zanim Goodman Barnes zauważy jej brak. Ubranie nie zostało oddane i Betty wpadła w popłoch ze strachu przed gniewem męża. Pamiętała, że zgodnie z wiejskim przesądem wrzaski gotowanego lub pieczonego żywca kota są zdolne przywołać siły ciemności, które spełnią życzenie egzekutora, i zdecydowała się uciec do tego drastycznego środka. Matka Susan najwyraźniej wierzyła w skuteczność tej metody i jej oburzenie wynikało wyłącznie z faktu, że to jej kot został wybrany jako ofiara. Margaret słuchała przerażona i na próżno usiłowała

oświecić umysł biednej kobiety. Krok po kroku starała się wykazać matce Susan brak sensu w jej rozumowaniu. W końcu jednak zdezorientowana kobieta i tak powtórzyła swe początkowe stwierdzenie: „To z pewnością było bardzo okrutne i wcale mi się to nie podobało, ale wiadomo, że to najlepsza metoda, aby dostać to, czego się potrzebuje, wszyscy to wiedzą i słyszałam o tym przez całe życie; chociaż to rzeczywiście okrutne”. Zrozpaczona Margaret dała kobiecie spokój i odeszła ze zgrozą w sercu.

– Dobra z ciebie dziewczyna, że nie okazujesz swego triumfu nade mną – odezwał się pan Bell.

– Triumfu? Co pan ma na myśli?

– Przyznaję, że byłem w błędzie w tym, co powiedziałem o zdobywaniu wykształcenia. Właśnie doszedłem do wniosku, że wszystko byłoby lepsze niż chowanie dziecka w takim pogaństwie.

– Biedna mała Susan. Muszę się z nią zobaczyć. Czy miałby pan coś przeciwko temu, abyśmy zajrzeli do szkoły?

– Zupełnie nic. Jestem wręcz ciekawy, jakie wykształcenie ona tam zdobywa.

Nie odzywali się wiele, przedzierając się przez leśne kotlinki, których kojąca zieloność nie zdołała jednakże usunąć wstrząsu i bólu z serca Margaret, wywołanych opisem takiego okrucieństwa, tym bardziej że zdradzało ono całkowity brak wyobraźni, a co za tym idzie – brak współczucia dla cierpiącego zwierzątka.

Brzęczenie głosów, niczym pomruk pracowitych pszczołek w ulu, dotarło do nich, gdy tylko wynurzyli się z lasu i znaleźli na otwartej zielonej przestrzeni, gdzie stał budynek szkoły. Drzwi były otwarte na oścież, weszli więc do środka. Energiczna dama w czerni, znajdująca się jednocześnie i tu, i tam, właściwie wszędzie, dostrzegła ich i powitała, trochę jak gospodyni. Margaret pamiętała, że w podobny sposób, tylko subtelniej i nie tak dynamicznie, zachowywała się jej matka, gdy jakiś rzadki gość zabłąkał się i życzył sobie obejrzeć szkołę. Od razu wiedziała, że ma przed sobą żonę nowego proboszcza, następczynię swej matki, i gdyby to tylko było możliwe, wycofałaby się i uchyliła od rozmowy. dzielnie zwalczyła jednak to uczucie i skromnie wystąpiła do przodu, napotykać mnóstwo rozpoznających ją spojrzeń i słysząc na wpeł przyciszo-

ne szepty: „To panna Hale”. Żona proboszcza dosłyszała nazwisko i od razu stała się bardziej przyjacielska, a także, przynajmniej Margaret odniosła takie wrażenie, bardziej protekcjonalna. Pani Hepworth wyciągnęła dłoń w stronę pana Bella.

– Rozumiem, panno Hale, że to pani ojciec. Od razu dostrzegłam podobieństwo. Bardzo jestem szczęśliwa z poznania pana, sir, i to samo z pewnością powtórzy proboszcz.

Margaret wyjaśniła, że to nie jest jej ojciec, i zdołała wyjąkać informację o jego śmierci, zastanawiając się, jak pan Hale zdołałby znieść ponowny przyjazd do Helstone, tak jak to sugerowała żona obecnego proboszcza. Nie słyszała słów pani Hepworth, pozostawiając panu Bellowi trud podtrzymania rozmowy, sama natomiast rozglądała się dookoła w poszukiwaniu znanych sobie twarzy.

– Och, widzę, panno Hale, że chciałyby pani ich odpytać. Znam to uczucie. Pierwsza klasa wstaje do lekcji gramatyki z panną Hale.

Biedna Margaret, która przysła tu z pobudek sentymentalnych i w najmniejszym stopniu nie miała

ochoty na kontrolowanie kogokolwiek, poczuła się jak złapana w pułapkę. Ale ponieważ była to dla niej szansa na przyjrzenie się twarzyczkom dzieci tak dobrze kiedyś znanych, dzieci, które odebrały chrzest z rąk jej ojca, usiadła i zatraciła się w poszukiwaniu zmian w wyglądzie dziewczynek. Zdołała też, przez nikogo niezauważona, przytrzymać przez chwilę dłoń małej Susan, podczas gdy pierwsza klasa wyciągała książki. Pani Hepworth podeszła tak blisko do pana Bella, jak tylko przystało damie, i trzymając go za guzik, wyjaśniała mu zawiłości systemu fonetycznego i relacjonowała rozmowę, jaką odbyła na ten temat z inspektorem.

Margaret pochyliła się z zaangażowaniem nad książką. Słyszała szmer dziecięcych głosów i nagle wróciły do niej stare czasy i stare wspomnienia. Oczy wypełniły się łzami, a dookoła nastąpiła cisza. Jedna z dziewczynek utknęła przy prostej głosce „a”, nie wiedząc, jak powinna ją nazwać.

– „A” to przedimek nieokreślony – pomogła jej łagodnie Margaret.

– Bardzo przepraszam – odezwała się żona proboszcza, która najwyraźniej miała oczy i uszy dookoła gło-

wy – ale pan Milsome nauczył nas, że „a” to... no, kto pamięta?

– Przymiotnik absolutny – odpowiedziało jednocześnie pół tuzina głosów.

Margaret usiadła zażenowana. Te dzieci wiedziały więcej niż ona. Pan Bell odwrócił się, by ukryć uśmiech. Ona zaś do końca lekcji się nie odzywała, ale potem przeszła się po sali i zamieniła kilka słów z dawnymi ulubienicami. Wyrastały z dzieciństwa i stawały się dziewczętami. Wymykały się z jej wspomnień, tak jak ona po trzyletniej nieobecności zniknęła z ich pamięci. Była jednak zadowolona z ponownego z nimi spotkania, choć to uczucie mieszało się ze smutkiem.

Gdy zajęcia zaplanowane na ten dzień się skończyły, było wczesne letnie popołudnie i pani Hepworth zaproponowała Margaret, aby ona i pan Bell towarzyszyli jej na plebanię i obejrzeni – tu wymknęło jej się słowo „udogodnienia”, ale szybko zastąpiła je taktowniejszym i bezpieczniejszym słowem „zmiany” – a zatem, aby obejrzeni zmiany wprowadzone przez obecnego proboszcza. Margaret nie tylko nie była zainteresowana tymi „zmianami”, ale czuła, że rozdrażnią ją, tak czu-

le wspominała ukochany dom. Marzyła jednak o tym, by jeszcze raz zobaczyć te stare miejsca, choć drżała na myśl o cierpieniu, którego prawdopodobnie dozna.

Plebania była tak zmieniona, i to zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz, że prawdziwy ból okazał się zdecydowanie słabszy, niż panna Hale przewidywała. To właściwie było inne miejsce. Trawnik, poprzednio tak starannie skoszony, że nawet zabłąkany liść róży wydawał się płomień idealnie wymuskaną płaszczyznę, był teraz zarzucony dziecięcymi zabawkami. W jednym miejscu leżał worek z kulkami do gry w „marmurki”, gdzie indziej obręcz. Ktoś powiesił kapelusz słomkowy na drzewku różanym, jak na kołku, niszcząc długie, miękkie pędy obładowane kwiatami, które w dawnych czasach z czułością formowano. Niewielki kwadratowy hol wyłożony matami również nosił ślady nieokiełznanej i radosnej obecności dzieci.

– Ach! – odezwała się pani Hepworth. – Musi nam pani wybaczyć ten lekki bałagan, panno Hale. Kiedy ukończymy budowę pokoju dziecinnego, będę nalegać na więcej porządku. Dobudowujemy pokój dziecinnie przy pani dawnej sypialni. Nie rozumiem, jak sobie dawaliście radę bez niego.

– Było nas tylko czworo – wyjaśniła Margaret. – Jak rozumiem, pani ma liczną rodzinę.

– Siedmioro dzieci. Proszę tylko spojrzeć. Z tej strony wybiliśmy okno wychodzące na drogę. Pan Hepworth wydaje krocie na ten dom, ale gdy tu przyjechaliśmy, prawie się nie nadawał do zamieszkania... dla tak dużej rodziny jak nasza, to miałam na myśli.

Każdy pokój został urządzony przez nowych mieszkańców inaczej, poza tym jednym, o którym mówiła pani Hepworth, a który kiedyś był gabinetem pana Hale'a. Wtedy głęboka zieleń za oknem i spokój tego miejsca sprzyjały, jak sam twierdził, wytworzeniu nawyku medytacji, uformowaniu jego charakteru bardziej predestynowanego do świata myśli niż działania. Nowe okno wychodziło na drogę, co dawało, jak zauważyła pani Hepworth, wiele korzyści. Można było z niego dostrzec zabłąkane owieczki z trzódki jej męża, które uległy pokusom zajrzenia do przybytku z piwem, licząc, że nie zostaną dostrzeżone, choć w rzeczywistości czujne oko proboszcza śledziło każdy ich ruch, nawet gdy wielebny oddawał się tworzeniu swych najbardziej porywających kazań. Co więcej, miał w zasięgu

ręki kapelusz i laskę, by mógł je złapać i popędzić za parafianami, którzy potrzebowali naprawdę szybkich nóg, jeśli chcieli skryć się w gospodzie U Wesołego Gajowego, zanim dopadnie ich lokalny rzecznik trzeźwości, pan Hepworth. Cała ta rodzina była energiczna, szybka, uprzejma, wszyscy mówili głośno i nie wykazywali zbytnej subtelności ani uczuć, ani myśli. Margaret obawiała się, by pani Hepworth nie zorientowała się, iż pan Bell stroi sobie z niej żarty, wyrażając swój podziw zwłaszcza wobec rzeczy, które najbardziej działały mu na nerwy. Nie! Brała wszystko dosłownie i w tak dobrej wierze, że dziewczyna poczuła się w obowiązku upomnieć go, gdy wolnym krokiem wracali z plebanii do gospody.

– Nie marudź, Margaret. To i tak wszystko przez ciebie. Gdyby ci nie demonstrowała każdej zmiany z tą triumfującą minką, gdyby nie podkreślała tych wszystkich udogodnień i ich znaczenia, być może zdołałbym się zachowywać poprawnie. A jeśli musisz wygłaszać mi to kazanie, to może wstrzymaj się do czasu, gdy będziemy po obiedzie, bo wtedy mnie to uśpi i pomoże na trawienie.

Obydwoje byli zmęczeni, a Margaret do tego stopnia, że nawet nie miała ochoty ponownie wyjść, tak jak to wcześniej proponowała, i powłóczyć się po lasach i polach tak bliskich jej sercu. Okazało się, że wizyta w Helstone nie była dokładnie tym, czego się spodziewała. Wszędzie widziała zmiany, nieznaczne, ale przenikające wszystko. Nastąpiły za sprawą wyjazdów, śmierci, małżeństw lub naturalnego biegu rzeczy w toku dni, miesięcy i lat, które niosą nas nieustannie od dzieciństwa do młodości, a potem przez dorosłość, aż do tego dnia, gdy niczym w pełni dojrzały owoc spadamy wprost na cichą matkę ziemię. Miejsca też nie pozostały takie same. Tu i ówdzie brakowało drzew lub tylko pojedynczych konarów, tam, gdzie przedtem panował całkowity cień, teraz pojawiały się promienie słońca. Droga była zwężona i starannie utrzymana, a biegnącą wzdłuż niej ścieżkę odgrodzono i oddano pod uprawę. Wszystko to nazywano postępem i ulepszeniami, ale Margaret wzdychała na wspomnienie dawnej malowniczości, mroku i trawiastego pobocza. Usiadła na niewielkiej ławie przy oknie i ze smutkiem wpatrywała się w gęstniejące cienie wieczoru, idealnie

harmonizujące z jej zamyśleniem. W końcu wyrwała ją z tego stanu zarumieniona wiejska dziewczyna niosąca tacę z herbatą; najwyraźniej tego dnia brała udział w sianokosach, co musiało stanowić dla niej odmianę wobec codziennych obowiązków kelnerki.

– Halo! Kto tam jest? – zerwał się pan Bell, który po aktywnym dniu zapadł w sen. – Gdzie jesteśmy? Kto tu? Margaret? Och, teraz już wszystko pamiętam. Nie mogłem sobie uświadomić, co to za kobieta siedzi tam w takiej rozpaczliwej postawie, z dłońmi złożonymi na kolanach, i wpatruje się nieruchomo przed siebie. W co się tak zapatrzyłaś? – spytał, podchodząc do okna i stając za Margaret.

– W nic takiego – odpowiedziała, wstając szybko i starając się mówić tak beztrosko, jak tylko potrafiła bez przygotowania.

– W nic takiego, oczywiście. Mroczne drzewa w tle, jakaś bielizna rozwieszona na różanym żywopłocie i cała masa wilgotnego powietrza. Zamknij okno, pojejdź i przygotuj dla nas herbatę.

Panna Hale przez jakiś czas milczała. Bawiła się swoją łyżeczką i nie bardzo słuchała tego, co mówił

pan Bell. Miał w jakiejś kwestii inne zdanie niż ona, ale przyjęła to z uśmiechem, jak gdyby się z nią zgodził. Potem westchnęła, odłożyła łyżeczkę i odezwała się bez żadnego związku z poprzednim tematem, za to cieniem głosem, który zazwyczaj świadczy o tym, że od jakiegoś już czasu przygotowywało się swą przemowę:

– Panie Bell, czy pamięta pan, co mówiliśmy wczoraj o Fredericku?

– Wczoraj. Gdzie ja byłem? Och, już pamiętam. Wydaje się, jakby upłynął już tydzień. Tak, oczywiście, że pamiętam, jak rozmawialiśmy o tym biedaku.

– Właśnie... a czy pamięta pan, jak pan Lennox wspominał, że Frederick był w Anglii w czasie śmierci biednej mamy? – spytała Margaret już niższym głosem.

– Pamiętam. Nie wiedziałem o tym wcześniej.

– A ja myślałam... zawsze myślałam, że papa mówił panu o tym.

– Nie, nie zrobił tego. Ale o co chodzi, Margaret?

– Chciałam powiedzieć panu o czymś, co wtedy zrobiłam, o czymś bardzo złym – rzekła dziewczyna, podnosząc na niego nagle swe szczere oczy. – Skłamałam – oznajmiła, a jej twarz stała się purpurowa.

– To niedobrze, przyznaję. Chociaż sam postąpiłem tak całkiem sporo razy. Niekoniecznie tak wprost słowami, co, jak przypuszczam, miało miejsce w twoim wypadku, ale w działaniu albo w jakiś okrężny sposób, czym sprawiałem, że ludzie albo nie wierzyli w prawdę, albo wierzyli w nieprawdę. Czy wiesz, kto jest ojcem kłamstwa, Margaret? Cóż, mnóstwo ludzi, i to tych uważających się za dobrych i prawych, ma zastanawiające związki z kłamstwem, na przykład ludzie pozostający w związkach bez ślubu. Skażona kłamstwem krew płynie w nas wszystkich. Nie powinienem się zatem dziwić, że ciebie to też dotknęło. Co? Płaczesz, dziecko? No, to nie będziemy już o tym rozmawiać, skoro to prowadzi do łez. Myślę, że tego żałujesz, że tego nigdy więcej nie zrobisz, że to było już dawno temu i że, krótko mówiąc, chcę, byś się radowała i zapomniała dziś wieczorem o smutku.

Margaret osuszyła oczy i próbowała mówić o czymś innym, ale nagle znów wybuchnęła płaczem.

– Proszę, panie Bell, proszę pozwolić mi opowiedzieć panu o tym, może będzie pan mógł mi trochę pomóc... nie, nie pomóc, ale gdyby poznał pan prawdę,

może pomógłby mi pan się w tym odnaleźć... nie, to też nie tak... – jąkała się zrozpaczona, że nie potrafi wyrazić się tak precyzyjnie, jak by sobie tego życzyła.

Pan Bell od razu spoważniał.

– Wszystko mi o tym opowiedz, dziecino – powiedział.

– To długa historia. Kiedy Frederick przyjechał, mama była już bardzo chora i troska o nią mnie dobiła, ale byłam też przerażona, że być może naraziłam go na śmiertelne niebezpieczeństwo. Zaraz po śmierci mamy poważnie się zaniepokoiłszy, bo Dixon spotkała w Milton człowieka o nazwisku Leonards, który znał kiedyś Fredericka i żywił do niego urazę. W każdym razie na pewno skusiłaby go nagroda przyrzeczona za wskazanie miejsca pobytu mojego brata. Wystraszyłam się i zdecydowałam, że Frederick powinien jak najszybciej wyjechać do Londynu, gdzie, jak się pan z pewnością domyślił podczas ostatniej rozmowy z panem Lennoxem, miał odbyć z nim konsultacje i ustalić, czy są szanse na oczyszczenie go z zarzutów. Tak więc pojechaliśmy, to znaczy ja i on pojechaliśmy na stację kolejową. To był wieczór, zaczynało się robić ciemno,

ale nadal było wystarczająco jasno, aby rozpoznawać innych i samemu być rozpoznanym. Przyjechaliśmy na stację zbyt wcześnie i spacerowaliśmy na przyległym polu. Cały czas drżałam na myśl o możliwym spotkaniu z tym Leonardsem, bo wiedziałam, że kręci się gdzieś po okolicy. Gdy byliśmy na tym polu, zachodzące słońce wisiało tuż nad horyzontem i świeciło mi prosto w oczy, ale dostrzegłam, że drogą nadjeżdżał ktoś konno, prosto w naszym kierunku. Widziałam, że na mnie patrzy, ale z początku nie wiedziałam, kto to jest, tak bardzo oślepiało mnie słońce. Nagle promienie przestały mnie razić i zobaczyłam, że to pan Thornton. Ukłoniliśmy się sobie...

– A on, oczywiście, zauważył Fredericka – wtrącił pan Bell, uważając, że pomaga tym w kontynuowaniu opowieści.

– Tak, a zaraz potem na stacji podszedł do nas mężczyzna, podchmielony i zataczający się, i próbował zatrzymać Fredericka, a gdy ten się wyszarpnął, tamten człowiek stracił równowagę i spadł z krawędzi peronu. Tam nie było wysoko, nie więcej niż metr. Ale, panie Bell, ten upadek go zabił!

– Co za historia! Przypuszczam, że to był ten Leonards. A w jaki sposób Frederickowi udało się wymknąć?

– Odjechał natychmiast po tym, jak Leonards spadł z peronu. Nawet do głowy nam nie przyszło, że to mogło temu biedakowi zaszkodzić. Wydawało się, że najwyżej lekko się zranił.

– A więc nie umarł od razu?

– Nie. Dopiero po dwóch czy trzech dniach. A wtedy... Och, panie Bell, to jest właśnie najgorsze – powiedziała, nerwowo splatając palce. – Przyszedł do mnie inspektor policji i zarzucił mi, że towarzyszyłam młodemu mężczyźnie, który popchnął lub uderzył Leonardsa, powodując tym jego śmierć. To było fałszywe oskarżenie, ale nie byłam pewna, czy Frederickowi udało się już opuścić Anglię. Mógł być nadal w Londynie. Bałam się, że zostanie aresztowany pod tym zarzutem, a gdyby odkryto, że jest porucznikiem Hale'em, oskarżonym o wszczęcie buntu, zostałby od razu rozstrzelany. To wszystko przebiegło mi przez głowę i powiedziałam temu policjantowi, że to nie byłam ja. Oświadczyłam, że nie było mnie tego dnia na stacji i że nic o tej spr-

wie nie wiem. Nie obchodziło mnie sumienie, liczyło się tylko to, żeby zapewnić Frederickowi bezpieczeństwo.

– Postąpiłaś całkowicie słusznie. Zrobiłbym tak samo. Myśląc o kimś innym, zapomniałaś o sobie. Mam nadzieję, że umiałbym się zachować tak samo.

– Nic takiego by pan nie zrobił. To było złe, karygodne... i okazałam brak wiary. Później dowiedziałam się bowiem, że w tym czasie Fredericka nie było już w Anglii. A ja w swoim oszołomieniu zupełnie zapomniałam, że jest inny świadek mojej obecności na stacji.

– Kto taki?

– Pan Thornton. Tak jak mówiłam, widział mnie wtedy w pobliżu dworca. Ukłoniliśmy się sobie.

– Ale przecież nic nie wiedział o tym zamieszaniu związanym ze śmiercią tego pijanego człowieka. Spodziewam się, że śledztwo niczego nie wykazało.

– Nie, działania zmierzające do wszczęcia dochodzenia zostały wstrzymane. Pan Thornton o wszystkim wiedział, bo był sędzią pokoju, i ustalił, że to nie ten upadek był przyczyną śmierci Leonardsa. Ale tego dowiedział się później. Najpierw usłyszał o moim kłam-

stwie. Och panie Bell! – Nagle zakryła twarz dłońmi, jak gdyby chciała się ukryć przed wracającymi wspomnieniami.

– Wyjaśniłaś mu to? Powiedziałaś mu, jaki silny i instynktowny motyw tobą kierował?

– Instynktowny brak wiary i kurczowe chwytnie się grzechu, by się ochronić – powiedziała z goryczą. – Nie! Nic mu nie powiedziałam. Jak mogłabym? Nic nie wiedział o Fredericku. Po to, aby się wybielić w jego oczach, miałam wyjawic rodzinny sekret, być może grzebiąc szanse mojego brata na uniewinnienie? Wtedy bowiem jeszcze wierzyliśmy, że są jakiegokolwiek nadzieje. Brat w ostatnich słowach przed odjazdem zakazał mi wspominać komukolwiek, że był w Anglii. Zresztą sam pan wie, że ojciec nie powiedział o tym nawet panu. Nie! Wolałam raczej znieść hańbę. Przynajmniej tak sądziłam. I zniosłam ją. Od tamtej pory pan Thornton już mnie nie szanował.

– Ależ z pewnością cię szanuje – zaprzeczył pan Bell. – To wszystko, co prawda, tłumaczy trochę... ale zawsze wypowiadał się o tobie z poważaniem, choć teraz lepiej rozumiem pewną rezerwę w jego zachowaniu.

Margaret się nie odezwała; nie uważała na to, co pan Bell dalej mówił i nic do niej nie dotarło. Dopiero później spytała:

– Czy mógłby mi pan wyjaśnić, co dokładnie rozumie pan przez pojęcie „rezerwa”, gdy chodzi o jego zachowanie w stosunku do mnie?

– Po prostu kiedyś mnie zirytował, bo nie przyłączył się do moich pochwał pod twoim adresem. Jak stary głupiec uważałem, że każdy powinien podzielać moje opinie, a on nie chciał przyznać mi racji na twój temat. Zaintrygował mnie tym, ale teraz rozumiem, że musiał być skonfundowany, jeżeli nikt mu nigdy nie wyjaśnił, co się wydarzyło na stacji. Najpierw spacerowałaś sobie w ciemnościach z jakimś młodzieńcem...

– Ale przecież to był mój brat! – zawołała zdumiona Margaret.

– Tak, ale skąd on miał o tym wiedzieć?

– Nie wiem. Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób – przyznała dziewczyna, czerwieniąc się. Wyglądała na urażoną.

– On pewnie też nie, gdyby nie to jedno kłamstwo, które, co podtrzymuję, w tych okolicznościach było niezbędne.

– Nie było. Teraz to wiem. I gorzko go żałuję.

Przez dłuższy czas panowała cisza, którą w końcu przerwała Margaret.

– Jest raczej mało prawdopodobne, bym jeszcze kiedyś miała spotkać pana Thorntona... – Urwała.

– Powiedziałbym, że jest znacznie więcej rzeczy bardziej nieprawdopodobnych – odpowiedział pan Bell.

– Jestem jednak przekonana, że już go nie zobaczę. Mimo to niemiła jest mi myśl, że tak nisko upadłam w opinii... przyjaciela. – Głos miała pewny i równy, chociaż jej oczy wypełniły się łzami. – A teraz, gdy Frederick porzucił wszelką nadzieję i nawet chęć oczyszczenia się z zarzutów i powrotu do Anglii, wyjaśnienie wszystkiego panu Thorntonowi byłoby tylko formą oddania mi sprawiedliwości w jego oczach. Gdyby pan zechciał... gdyby pan mógł... gdyby pojawiła się odpowiednia okazja, bo nie chciałabym, aby robił pan cokolwiek na siłę... więc gdyby pan mógł, to proszę mu opowiedzieć wszystkie okoliczności i proszę mu też powiedzieć, że chciałam, by to wiedział przez wzgląd na pamięć mego ojca. Właśnie dlatego nie chcę stracić jego szacunku, choć pewnie nigdy już się nie spotkamy.

– To oczywiste. Uważam, że powinien wiedzieć. Nie chcę, żeby spoczywał na tobie choćby cień oskarżenia o niestosowne zachowanie. Nie wiadomo, co sobie pomyślał, widząc cię z młodym mężczyzną.

– Jeśli o to chodzi – odpowiedziała Margaret dość wyniośle – uważam, że *honny soit qui mal y pense**. Mimo wszystko wołałabym, aby to zostało wyjaśnione, o ile nadarzy się ku temu odpowiednia okazja. Nie chodzi mi jednak o oczyszczenie mnie z podejrzeń o niewłaściwe zachowanie. Gdybym przypuszczała, że tak o mnie myśli, nie zależałoby mi na jego dobrej opinii. Nie! Chodzi mi tylko o to, aby się dowiedział, co mnie skusiło i jak wpadłam w pułapkę. Krótko mówiąc, chcę, by wiedział, dlaczego skłamałam.

– Za co ja cię absolutnie nie winię. I nie myśl, że to jest jakaś stronniczość.

– To, czy inni uważają to za właściwe lub nie, jest niczym w porównaniu z moim głębokim przekonaniem, że postąpiłam źle. Ale wołałabym, abyśmy już więcej o tym nie rozmawiali. Stało się, a grzech jest

* „Hańba temu, kto źle o tym pomyśli” (fr.) – dewiza Orderu Podwiązki.

grzechem. Muszę z tym żyć i nigdy więcej nie kłamać, o ile mi się uda.

– Doskonale, jeśli jesteś zdecydowana dalej się tym zadręczać, to proszę bardzo. Ja staram się trzymać swoje sumienie w zamknięciu, bo gdy wydobywa się na światło dzienne, zawsze mnie zaskakuje swymi rozmiarami. I wtedy nakłaniam je usilnie, tak jak rybak dzinna*. „Cudownie – mówię – pomyśleć, że tak długo się ukrywałaś i do tego w tak niewielkim wymiarze, że nawet nie wiedziałem o twoim istnieniu. Drogi panie, czy zamiast powiększać się tak gwałtownie i zadziwiać mnie swymi mglistymi zarysami zechciałbyś się z powrotem ścieśnić do poprzednich rozmiarów?” A gdy już je opanuję, szczelnie zamykam naczynie i dobrze się zastanawiam, zanim je znowu otworzę. Bo otwierając, działałbym wbrew zaleceniom Salomona, najmędrszego z mądrych, który je tam zamknął.

Dla Margaret nie był to jednak zabawny temat. Jednym uchem słuchała przemowy pana Bella. Mogła zajmować się tylko myślą już wcześniej braną pod

* Odniesienie do opowieści o rybaku i dzinnie z *Księgi tysiąca i jednej nocy*.

uwagę, która teraz zamieniła się w pewność, że pan Thornton już jej nie poważy, że ona go zawiodła. Czuła, że żadne wyjaśnienie nie przywróci jej – nie miłości, bo była zdecydowana nigdy się o to nie starać i uparcie trwała przy tym postanowieniu – ale przede wszystkim jego szacunku i dobrego o niej zdania, dzięki którym chciałby, zgodnie z pięknymi strofami Geralda Griffina: „Odwrócić się i spojrzeć za siebie na sam dźwięk mego imienia”^{*}.

Coś ją dławiło i nie pozwalało oddychać na samą myśl o tym. Próbowwała się pocieszać, że to, co on o niej sądzi, w najmniejszym stopniu nie wpływa na to, kim ona naprawdę jest. Ale to był tylko truizm, złuda niknąca pod ciężarem jej gorczy i żalu. Na końcu języka miała ze dwadzieścia pytań, które chciałaby zadać panu Bellowi, ale nie wypowiedziała żadnego z nich. On zaś był przekonany, że dziewczyna jest po prostu zmęczona, i odesłał ją wcześniej do jej pokoju. Tam Margaret, przed położeniem się do łóżka, siedziała długie godziny przy otwartym oknie, wpatrując się w ciemną kopułę

* Cytat z *A Place in thy Memory, Dearest Geralda Griffina*.

nieba, gdzie gwiazdy pojawiały się, migotały, a w końcu znikwały za potężnymi drzewami. Jeszcze inne małe światło paliło się przez całą noc – świeca w jej dawnej sypialni na plebanii, która teraz służyła za pokój dziecinny, przynajmniej do czasu, gdy zostanie zbudowane nowe pomieszczenie. Poczucie zmian, świadomość nicości jednostki, dezorientacja i rozczarowanie – wszystko to przytłoczyło Margaret. Nic nie pozostało takie samo. I ten przenikający wszystko brak stałości sprawił jej więcej bólu, niż gdyby świat zmienił się w stopniu zupełnie uniemożliwiającym rozpoznanie.

Zaczynam rozumieć – myślała – czym jest niebo... i och! także majestat i spokój słów: „Wczoraj i dziś, ten sam także na wieki”*. Wieczne! „Od wieku po wiek Ty jesteś Bogiem”**. To niebo nade mną wygląda, jakby nigdy nie miało się zmienić, a jednak się zmienia. Jestem taka zmęczona, tak bardzo zmęczona tym raptownym przechodzeniem przez kolejne etapy życia, w których nie towarzyszy mi nic stałego, ani człowiek, ani miejsce. To jak zaklęty krąg, w którym ofiary ziemskich

* Fragment z *Listu do Hebrajczyków* (13,8).

** Fragment z *Księgi Psalmów* (90,2).

namiętności wirują bez końca. Jestem teraz w takim stanie, w jakim kobiety innych wyznań przywdziewają welon i składają śluby zakonne. W ziemskiej monotonii próbuję odnaleźć niebieską stałość. Gdybym była katoliczką i gdybym potrafiła stłumić głos serca, zagłuszyć je jakimś potężnym ciosem, zostałabym zakonnicą. Ale pewnie uszłabym z tęsknoty za ludźmi. Choć może nie za ludzkością w ogóle, bo miłość dla mego gatunku nigdy nie wypełniłaby mego serca w takim stopniu, by wykluczyć uczucia w stosunku do jednostki. Możliwe, że tak powinno być, możliwe, że nie. Dzisiaj nie jestem w stanie zdecydować.

Położyła się do łóżka znużona i w takim samym stanie podniosła się po czterech czy pięciu godzinach. Wraz z porankiem pojawiła się jednak nadzieja i jaśniejsze spojrzenie na świat.

Mimo wszystko tak jest dobrze – powiedziała sobie, słysząc głosy bawiących się dzieci, gdy ubierała się w sypialni. – Gdyby świat pozostawał niezmienny, to w rzeczywistości cofałby się i deprawował, o ile te dwie rzeczy nie wykluczają się wzajemnie. Pomijając mnie i moje bolesne poczucie zmian, postęp dookoła jest bo-

wiem potrzebny i słuszny. Nie wolno mi myśleć tylko o tym, jak te nowe warunki wpływają na mnie, ale ile znaczą dla innych ludzi. Tylko wtedy będę w stanie sprawiedliwie osądzić zmiany i zachować uczciwe serce.

Z uśmiechem w oczach, gotowym wypłynąć także na usta, weszła do salonu i przywitała się z panem Bellem.

– Ach panienko! Położyłaś się zeszłej nocy późno i tak samo późno przychodzisz rano. A ja tu mam dla ciebie taką nowinę! Co powiesz na zaproszenie na obiad? Miałem poranne odwiedziny. Dosłownie poranne. Jeszcze rosa nie zniknęła. Był tu proboszcz w drodze do szkoły. Nie wiem, ile ta wczesna wizyta miała wspólnego z potrzebą wygłoszenia antyalkoholowego kazania wobec naszej gospodyni, a w obronie ludzi pracujących przy sianokosach, ale gdy zszedłem przed dziewiątą, on już tu był i zaprosił nas na obiad.

– Ale Edith na mnie czeka... nie mogę pójść – powiedziała Margaret, szczęśliwa, że ma taką dobrą wymówkę.

– Tak, wiem. Powiedziałem mu to. Pomyślałem, że pewnie nie będziesz chciała iść. Sprawa jest jednak otwarta, jeżeli zmienisz zdanie.

– Och, nie! – zawołała. – Trzymajmy się planu. Wyruszamy o dwunastej. To bardzo miłe i uprzejme z ich strony, ale ja naprawdę nie mogłabym tam pójść.

– Doskonale. Nie kłopotz się tym więcej, ja to załatwię.

Zanim wyjechali, Margaret zakradła się na tył ogrodu plebanii i zerwała pędy pnącego wiciokrzewu. Jeszcze dzień wcześniej nie tknęłaby nawet jednego kwiatka, bojąc się, że ktoś mógłby ją dostrzec i później komentować motywy jej postępowania, ale tego dnia, gdy wracała przez błonie, całe miejsce na nowo przesycone było dawnym czarem. Nigdzie indziej na świecie odgłosy codziennego życia nie były tak melodyjne, światło nigdzie nie było tak złote, a życie tak spokojne i rozkosznie powolne. Margaret przypomniała sobie wczorajsze refleksje i stwierdziła:

– Przecież ja też się ustawicznie zmieniam... dziś to, jutro tamto... w jednej chwili rozczarowana i zgorzkniała, bo świat okazał się nie do końca taki, jak sobie wyobrażałam, a potem nagle odkrywam, że rzeczywistość jest o wiele piękniejsza, niż przypuszczałam. Och Helstone! Nigdy nie pokocham bardziej innego miejsca!

Kilka dni później, gdy odzyskała równowagę, poczuła zadowolenie, że ponownie zobaczyła Helstone, i zdecydowała, że dla niej to będzie zawsze najpiękniejszy zakątek na ziemi. Wiązało się z nim jednak tyle skojarzeń i wspomnień, zwłaszcza tych dotyczących ojca i matki, że gdyby miała tam pojechać ponownie, chyba się nie zdecydowała na powtórzenie wycieczki, którą odbyła z panem Bellem.

XLVII

CZEGOŚ MI BRAK

*Doświadczenie jest jak stary grajek,
Co zbyt mocno ściska cytrę w dłoni;
I nie rozumiemy tej harmonii
Woli Bożej, którą świat dostaje;
Tony brzmią smutno.*

*Elizabeth Barrett Browning, „Perplexed Music”
przeł. Joanna Puchalska*

Mniej więcej w tym samym czasie Dixon wróciła z Milton i zajęła stanowisko pokojówki Margaret. Przywiozła ze sobą mnóstwo plotek o znajomych. Opowiadała o tym, jak Marta rozpoczęła pracę u panny Thornton po jej ślubie, zdając przy okazji rela-

cję z wyglądu drухen, strojów, ze śniadania weselnego i samej ceremonii. Wspomniała, że mieszkańcy miasta uznali wesele za zbyt wystawne, biorąc pod uwagę straty, jakie pan Thornton poniósł na skutek strajku i wypłat odszkodowań klientom z tytułu niedotrzymania warunków kontraktów. Z oburzeniem informowała, jak niewiele pieniędzy uzyskała ze sprzedaży mebli, o które tak starannie dbała, co jest tym większą hańbą, że mieszkańcy Milton są przecież tacy zamożni. Opowiedziała, jak pani Thornton pojawiła się raz na wyprzedaży i nabyła po bardzo okazyjnych cenach kilka rzeczy, a następnego dnia przyszedł jej syn, któremu najwyraźniej zależało na pewnych przedmiotach, i licytował je chyba wbrew sobie samemu, za to ku rozbawieniu licznych obserwatorów. Dixon doszła w tym miejscu do wniosku, że zapanowała równowaga, bo jeśli pani Thornton zapłaciła za mało, to jej syn dla odmiany zapłacił zbyt dużo. Pan Bell przysłał mnóstwo poleceń dotyczących ksiązek, ale trudno było zrozumieć jego intencje, taki jest dziwny. Wszystko byłoby dobrze, gdyby sam przyjechał, ale listy zawsze wprowadzały i zawsze będą wprowadzać więcej zamieszania,

niż są warte. Dixon nie miała zbyt wiele do powiedzenia o Higginsach. Jej pamięć cechowały arystokratyczne uprzedzenia – zawodziła ją zawsze, kiedy kobieta miała sobie przypomnieć cokolwiek o ludziach zajmujących w życiu niższe stanowisko niż ona. Uważała, że z Nicholasem było wszystko dobrze. Kilkakrotnie przychodził pytać o pannę Margaret. Właściwie to był jedyną osobą, która o nią pytała, poza tym, że raz spytał także pan Thornton. Mary? Oczywiście, że wszystko z nią dobrze. Co za wielka, niechlujna dziewczucha! Słyszała – a może tylko jej się to śniło, choć to by było doprawdy dziwne, gdyby śnili jej się tacy ludzie – a zatem słyszała, że Mary poszła do pracy w przędzalni Thorntona, bo jej ojciec życzył sobie, żeby się nauczyła gotować. Ale co ta bzdura ma znaczyć, tego Dixon nie wiedziała. Margaret była gotowa przyznać, że cała ta historia wydawała się nieprawdopodobna i faktycznie przypominała sen. Tak czy owak panna Hale była szczęśliwa, że ma koło siebie kogoś, z kim może rozmawiać o Milton i jego mieszkańcach. Dixon jednakże nie była wielbicielką tego tematu i raczej wolałaby zapomnieć o tym okresie swego życia. Znacznie bardziej od-

powiadały jej rozważania nad przemowami pana Bella, w których zdradził jej intencję uczynienia z Margaret swej spadkobierczyni, ale dziewczyna nie tylko nie zachęcała do podejmowania tego tematu, ale też w żaden sposób nie udawało się jej skłonić do zaspokojenia ciekawości Dixon, niezależnie od tego, w jak zawoalowanej formie służąca zadawała pytania na ten temat.

Margaret wyczekiwała niecierpliwie wiadomości, że pan Bell odbył wizytę w Milton. Już w Helstone obydwój się zgodzili, że wyjaśnienie, na którym jej tak bardzo zależało, może być złożone wyłącznie osobiście, a nawet wtedy żadną miarą nie wolno zmuszać pana Thorntona do wysłuchania tego, co pan Bell ma mu do powiedzenia. Ten ostatni nie był wielbicielem pisania listów, ale od czasu do czasu, gdy naszła go ochota, pisywał dłuższe lub krótsze epistoły, i choć panna Hale nie żywiła żadnej uświadomionej nadziei, zawsze odkładała korespondencję od niego z uczuciem zawodu. Nie wybierał się do Milton, a w każdym razie nic o tym nie wspominał. Cóż, musi być zatem cierpliwa. Prędzej czy później mgły się rozproszą. Listy pana Bella zupełnie go nie przypominały. Były zwięzłe, marudne i za-

wsze wyczuwało się w nich tak nietypową dla ich autora gorycz. Nie spodziewał się niczego po przyszłości, wydawał się raczej żałować przeszłości, męczyła go teźniejszość. Margaret zaczęła podejrzewać, że coś mu dolega, ale w odpowiedzi na jej pytania przysłał krótki liścik, że istnieje staroświecka dolegliwość zwana splinem. Stwierdził, że na to właśnie cierpi, i pozostawił do jej decyzji, czy jest to bardziej choroba duszy, czy ciała. Prosił, aby pozwolono mu narzekać do woli, bez obowiązku przesyłania jej każdorazowo biuletynu o stanie swego zdrowia.

W następstwie tej prośby Margaret zaprzestała pytań o jego samopoczucie. Pewnego dnia Edith wspomniała o fragmencie rozmowy z panem Bellem podczas jego ostatniego pobytu w Londynie, z której wynikało, że planował zabrać pannę Hale do Kadyksu jeszcze tej jesieni. Margaret bez końca wypytywała o to kuzynkę, aż ją zmęczyła, choć wydobyła z niej tylko stwierdzenie, że Edith nic więcej z tej rozmowy nie pamięta. Według niej pan Bell rozważał, czy nie byłoby wskazane, aby sam wysłuchał, co Frederick ma do powiedzenia na temat buntu, i że taki wyjazd byłby doskonałą okazją

dla jego siostry, by poznała bratową. Twierdził też, że w czasie wakacji zwykł gdzieś wyjeżdżać i równie dobrze może się wybrać do Hiszpanii, jak w każde inne miejsce. I to było wszystko. Edith miała nadzieję, że Margaret nie zamierza ich opuścić, mimo że tak się interesowała tą rozmową z panem Bellem, a potem, nie mając nic innego do roboty, zaczęła płakać, że to jej znacznie bardziej zależy na Margaret, niż Margaret na niej. Ta usiłowała ją pocieszyć, na ile mogła, ale nie potrafiła wyjaśnić kuzynce, jak bardzo oczarował ją pomysł wyjazdu do Hiszpanii. Jej myśli wciąż krążyły wokół skarbów Andaluzji. Edith była w takim nastroju, że uważała każdą przyjemność, jaką Margaret mogłaby się cieszyć z dala od niej, za milczący afront lub co najmniej za dowód obojętności. Panna Hale musiała więc rozkoszować się tym pomysłem sama, a ujście dla radości znalazła, pytając Dixon podczas przygotowań do kolacji, czy chciałaby zobaczyć panicza Fredericka i jego żonę.

– Ona jest papistką, panienko, prawda?

– Tak, chyba tak. Na pewno! – powiedziała Margaret, lekko ostudzona w swym zapale na to wspomnienie.

– I mieszkają w papistowskim kraju?

– Tak.

– No to muszę powiedzieć, panienko, że moja dusza jest dla mnie ważniejsza nawet niż panicz Frederick, nawet niż on. Byłabym tam w ustawicznym strachu, że mnie przerobią na swoją wiarę.

– Och! Ja też nie wiem, czy tam pojedę. A nawet jeżeli tak, to nie jestem taką damą, żebym nie mogła podróżować bez ciebie. Nie! Moja kochana stara Dixon, jeśli pojedziemy, będziesz miała długie wakacje. Ale obawiam się, że to „jeśli” jest tu bardzo silne.

To się zdecydowanie nie spodobało Dixon. Po pierwsze, nie odpowiadał jej sposób, w jaki Margaret wypowiadała „kochana stara Dixon” zawsze, kiedy stawała się szczególnie wylewna. Wiedziała, że panna Hale była skłonna nazywać starymi wszystkich ludzi, których lubiła, i stanowiło to dowód zażyłości i okazania swego afektu, ale służąca zawsze się krzywiła, gdy panienska używała tego określenia wobec niej, która przecież dopiero przekroczyła pięćdziesiątkę i znajdowała się, jak sama twierdziła, w kwiecie wieku. Po drugie, nie lubiła, gdy ją tak od razu chwymano za słowo.

Przy całym swym deklarowanym przerażeniu była ciekawa Hiszpanii, inkwizycji i sekretów papieżstwa. Tak więc odchrząknęła i jakby dla okazania swej gotowości do pokonania każdej pojawiającej się trudności spytała Margaret, czy uważa ona, że gdyby Dixon dołożyła starań, by nigdy nie spotkać żadnego z księży i by nie wejść do żadnego z ich kościołów, to czy nawet wtedy groziłoby jej, że ją przeciągną na katolicyzm. To, że panicz Frederick przeszedł na stronę wroga, najwyraźniej się nie liczyło.

– Myślę, iż Frederick zmienił wyznanie przede wszystkim dlatego, że się zakochał – stwierdziła Margaret z westchnieniem.

– To na pewno, panienko! – przytaknęła Dixon. – Cóż! Potrafię się ustrzec księży i kościołów, ale na miłość nic się nie poradzi. Chyba najlepiej będzie, jeśli nie pojedę.

Panna Hale się obawiała, że pozwoli swym myślom zbyt przywiązać się do tego hiszpańskiego planu, choć z drugiej strony, skupiając się na nim, nie poświęcała tyle czasu niecierpliwym rozważaniom, czy pan Thornton otrzymał już należne mu wyjaśnienie. Pan

Bell zdawał się zneruchomieć w Oxfordzie i nie wykazywał najmniejszego zamiaru odbycia w najbliższym czasie podróży na północ, natomiast coś nieokreślonego powstrzymywało Margaret od wypytywania go o to, czy choćby nawet ponownego poruszania tego tematu. Nigdy też nie okazała mu, że Edith wspomniała jej o projekcie, który przedsięwziął – być może tylko na pięć minut – związanym z podróżą do Hiszpanii. Skoro pan Bell nic jej o tym nie powiedział podczas owego słonecznego dnia spędzonego w Helstone, panna Hale uznała, że prawdopodobnie należy to potraktować jako chwilowy kaprys. Jeśli jednak był to szczerzy zamiar, cóż za jasny punkt pojawiłby się na horyzoncie w monotonii obecnego życia, która zaczynała jej doskwierać.

Jedną z jej wielkich przyjemności w tamtym czasie było przebywanie z synkiem Edith. Był dumą i zabawką zarówno swego ojca, jak i matki, ale tylko tak długo, jak był grzeczny. Wykazywał bardzo silną wolę i gdy tylko wpadał w jeden ze swych gwałtownych ataków złości, zrozpaczona i wycieńczona Edith wycofywała się, wołając:

– Och, co ja mam z nim zrobić? Margaret, proszę cię, zadzwoń na Hanley.

Margaret chyba nawet wołała go w tych manifestacjach silnego charakteru niż wtedy, gdy był w anielskim wcieleniu. Kiedy pokazywał rogi, wynosiła go do innego pokoju, gdzie mogli się sami ze sobą zmagać. Ujarmiała go z nieugiętą siłą, ale jednocześnie wykorzystywała swój wdzięk i stosowała drobne podstępny, wszystko to dla dobra sprawy. W końcu chłopczyk ocierał rozgorączkowaną i zalaną łzami buzię o jej twarz, całował ją i pieścił, po czym zapadał w sen w jej objęciach. To były dla Margaret najśodsze chwile. Dawały jej posmak tego uczucia, o którym sądziła, że go nigdy w życiu nie zazna.

Częste wizyty pana Henry'ego Lennox stanowią nowe i całkiem przyjemne urozmaicenie życia domowników. Margaret stwierdziła, że jest chłodniejszy w obejściu niż przed laty, ale jednocześnie stał się jeszcze bardziej błyskotliwy. Jego inteligencja, a także szeroka i wszechstronna wiedza czyniły rozmowy z nim interesującymi, zwłaszcza na tle innych, raczej błahych konwersacji. Panna Hale dostrzegła u niego przebły-

ski lekkiej pogardy, jaką żywił dla swego brata i bratowej, a także dla ich trybu życia, który najwyraźniej uważał za gnuśny i bezcelowy. Raz czy dwa w obecności Margaret ostrym tonem spytał brata, czy definitywnie wyrzekł się swego zawodu, a na odpowiedź kapitana, że ma zupełnie wystarczająco dużo środków, by utrzymać siebie i rodzinę, pan Lennox lekceważąco wygiął wargi i spytał: „Czy tylko po to żyjesz?”

Bracia byli mimo wszystko bardzo ze sobą związani, tak jak zawsze dzieje się w wypadku dwóch osób, z których jedna jest bystrzejsza i odgrywa rolę lidera, druga natomiast cierpliwie zgadza się, by nią kierowano. Pan Henry Lennox posuwał naprzód swoją karierę, z wyrachowaniem i zimną kalkulacją pielęgnując te znajomości, które w przyszłości mogły mu się przydać. Przenikliwy, dalekowzroczny, inteligentny, sarkastyczny i dumny. Taki był. Od czasu tej jednej długiej rozmowy o sprawie Fredericka, jaką odbyli pierwszego wieczoru w obecności pana Bella, właściwie nie mieli okazji do wymiany poglądów, bo spotkania rodzinne temu nie sprzyjały, ale to w zupełności wystarczyło, by Margaret wyleczyła się z nieśmiałości, a on pozbył

się wszelkich symptomów urażonej dumy i próżności. Oczywiście ciągle się spotykali, ale panna Hale była przeświadczona, że on raczej unika okazji do pozostania z nią sam na sam. Uważała też, że podobnie jak ona sama zdawał sobie sprawę, iż oddalili się od siebie i utracili poprzednią zgodność w wielu poglądach i we wszystkich upodobaniach.

A jednak w chwilach, gdy wypowiadał się szczególnie dobrze lub z wyjątkowo dowcipną puentą, czuła, że on najpierw szuka jej twarzy, by sprawdzić, jakie wrażenie wywarł. Zdawała też sobie sprawę, że podczas rozmów w rodzinnym gronie, które ustawicznie ich ze sobą stykały, tylko jej zdania słuchał z uwagą, tym pełniejszą, że wyrażała je opornie i tak rzadko, jak to było możliwe.

XLVIII

„NIE ZNAJDĘ JUŻ NIGDY”*

*Mój przyjacielu! Przyjacielu mego ojca!
Nie umiem i nie chcę rozstać się z tobą!
Nigdy ci nie okazałem, a ty nie wiedziałeś,
Jak bardzo byłeś mi drogi.*

Anonim

Wieczorne przyjęcia pani Lennox składały się z kilku elementów. Jej przyjaciółki zapewniały obecność piękna, a kapitan Lennox gwarantował znajomość tematów dnia. Jeśli chodzi o pana Henry’ego Lennox, to wraz z garstką wybijających

* William Szekspir, *Zimowa powieść*, akt v, s. 111, przeł. Leon Ulrich.

się mężczyzn, przyjmowanych jako jego przyjaciele, wnosił ze sobą dowcip, inteligencję i elokwencję, które umiał tak wykorzystać, że nie zakłócał płynności czy lekkości konwersacji.

Te przyjęcia były wspaniałe, a mimo to nawet w ich trakcie Margaret nie potrafiła się uwolnić od niesmaku. Każdy talent, każde uczucie, każda umiejętność, ba, nawet każda skłonność do cnoty stawały się przedmiotem żartów i kpin, przypominających wręcz sztuczne ognie, i w rezultacie wszystkie świętości rzucono na pożarcie płomieniom. Sztukę uczestnicy tych przyjęć analizowali tylko w sensie zmysłowym i rozważali wyłącznie jej aspekt zewnętrzny, nie starając się wyciągnąć z niej wniosków ani nauki. W towarzystwie silili się na entuzjazm w kwestiach egzystencjalnych, a sami nigdy nie poświęcali im myśli. Krótko mówiąc, trwonili swe zdolności intelektualne jedynie na dobór odpowiednio gładkich słów. Pewnego dnia, gdy panowie dotarli po kolacji do salonu, pan Lennox podszedł do Margaret i zwrócił się do niej z własnej woli po raz pierwszy od dnia, gdy wróciła do dawnego życia na Harley Street.

– Nie wyglądała pani na zachwyconą tym, co przy obiedzie powiedział Shirley.

– Naprawdę? Zatem moja twarz jest bardzo wymowna – odpowiedziała.

– Zawsze taka była. Nie straciła nic ze swej ekspresji.

– Nie podoba mi się sposób – odrzekła Margaret pośpiesznie – w jaki występuje on w obronie tego, o czym dobrze wie, że jest złe, tak rażąco złe. Nawet jeżeli robi to w żartach.

– Ale to było takie zręczne. I do tego wspaniale wypowiedziane. Pamięta pani ten dobór epitetów?

– Tak.

– I pogardza pani tym. To chyba chciała pani dodać. Proszę nie mieć skrupułów, mimo że to mój przyjaciel.

– Właśnie, to jest ten pana ton... – Gwałtownie urwała.

Czekał przez moment, licząc, że Margaret dokończy swą wypowiedź, ale ona tylko zaczerwieniła się i odwróciła. Zanim to zrobiła, usłyszała, jak mówił niskim głosem:

– Jeśli ton mego głosu lub tok myślenia nie podoba się pani, proszę wyświadczyć mi przysługę i powiedzieć

mi o tym, abym miał szansę się poprawić i zadowolić panią.

Przez wszystkie minione tygodnie nic nie wskazywało na to, by pan Bell wybierał się do Milton. Gdy rozmawiali o tym w Helstone, mówił o podróży na północ jak o czymś, co nastąpi w krótkim czasie, ale widocznie udało mu się załatwić interesy listownie. Tak przynajmniej myślała Margaret, a wiedziała przecież, że jeśli było to możliwe, za wszelką cenę unikał wyjazdu do miejsca, którego tak bardzo nie lubił. Poza tym nie wiedział przecież, jaką wagę przywiązywała do tego wyjaśnienia, które mógł złożyć tylko on i tylko osobiście. Wiedział, oczywiście, że do tych wyjaśnień musi dojść, ale było mu obojętne, czy zrobi to latem, jesienią czy zimą. Był już sierpień, a nadal nie padła wzmianka na temat ich podróży do Hiszpanii, o której wspominała Edith. Margaret próbowała pogodzić się z tym, że i ta nadzieja się rozwiewa.

Pewnego ranka nadszedł jednak list, w którym pan Bell zapowiadał swój przyjazd do Londynu w przyszłym tygodniu. Chciał przedyskutować z nią pewien plan, z którym nosił się już od jakiegoś czasu, a poza tym za-

mierzał odbyć konsultację medyczną, bo zaczynał podzielać jej opinię, że za jego skłonnością do irytacji stoi szwankujące ciało, a nie umysł. W całym tym liście wyczuwalny był ton wymuszonej wesołości, ale Margaret zauważyła to dopiero później, bo w tym momencie całkowicie pochłonęło ją zdenerwowanie i lamenty Edith.

– Przyjeżdża do Londynu! Och, co za pech! A ja jestem taka wykończona tą pogodą, że chyba nie znajdę w sobie siły na kolejne przyjęcie. Poza tym wszyscy już wyjechali, tylko my tu jesteśmy, bo nie umiemy się zdecydować, dokąd się udać. Nie będzie nikogo, kogo mogłabym zaprosić.

– Jestem pewna, że pan Bell będzie wolał przyjść i zjeść kolację tylko z nami, a nie z najmilszymi nawet, ale obcymi ludźmi. Poza tym, jeśli on nie czuje się najlepiej, nie będzie miał ochoty nigdzie bywać. Cieszę się, że to wreszcie przyznał. Byłam pewna, że jest chory, z samego tonu jego listów, ale nie odpowiadał, gdy go o to pytałam, a przecież nie znam nikogo, kogo mogłabym poprosić o wieści o nim.

– Och, przecież nie może być bardzo chory, bo nie myślałby o tej całej Hiszpanii.

– On nie wspomina o Hiszpanii.

– Niby nie, ale ten plan, który ci chce przedstawić, z pewnością jest z tym związany. Naprawdę wybrałabyś się tam w taką pogodę jak teraz?

– Przecież z każdym dniem robi się chłodniej. Tak. Pomyśl o tym! Boję się tylko, że marzyłam o tym i życzyłam sobie tego za bardzo, i to w ten intensywny, idealistyczny sposób, który wiedzie do rozczarowania, a jeśli nawet do spełnienia, to tylko w sensie dosłownym, natomiast w rzeczywistości nie daje przyjemności i sprawia zawód.

– Ależ to jest przesąd, Margaret.

– Nie, myślę, że nie. To tylko powinno być powstrzymać mnie od popuszczania wodzy takim żarliwym marzeniom. To trochę jak: „Spraw, abym miała dzieci, bo inaczej przyjdzie mi umrzeć”*. W moim przypadku to brzmi: „Pozwól mi jechać do Kadyksu albo umrę”.

– Moja kochana Margaret! Oni cię z pewnością namówią, żebyś tam z nimi została! I co ja wtedy zrobię?

* Fragment z *Księgi Rodzaju* (30,1).

Och! Tak bym chciała znaleźć tutaj kogoś, kto by się z tobą ożenił, i mogłabym być pewna, że nie wyjedziesz.

– Nigdy nie wyjdę za mąż.

– Co za bzdura! Bzdura i jeszcze raz bzdura! Cosmo twierdzi, że jesteś taką atrakcją tego domu, iż zna całe tłumy mężczyzn, którzy będą chcieli nas odwiedzać w przyszłym sezonie tylko ze względu na ciebie.

Margaret wyprostowała się z wyniosłością.

– Czy wiesz, Edith, że czasami wydaje mi się, iż życie na Korfu nauczyło cię...

– Tak?

– Tylko jednego czy dwóch przejawów prostactwa.

Edith zaczęła gorzko szlochać i z porywcznością zaklinać się, że Margaret przestała ją kochać i traktować jak przyjaciółkę. Atak był gwałtowny i panna Hale doszła do wniosku, że chcąc ukoić własną zranioną dumę, wyraziła się zbyt szorstko. Skończyło się na tym, że na resztę dnia stała się niewolnicą kuzynki, która powalona zdeptanymi uczuciami leżała na sofie niczym ofiara przemocy i wydawała od czasu do czasu głębokie westchnienie, aż w końcu zapadła w sen.

Pan Bell nie pojawił się w dniu, na który ostatecz-

nie przesunął swój przyjazd. Następnego ranka nadszedł list od Wallisa, jego służącego, z informacją, że pan już od dłuższego czasu nie czuł się dobrze, co było prawdziwą przyczyną odraczania terminu przyjazdu do Londynu. W dniu, w którym miał wyjechać, doznał ataku apopleksji i według opinii lekarzy najprawdopodobniej nie przeżyje nocy, w chwili zatem, gdy panna Hale otrzyma tę wiadomość, pana Bella może już nie być między żywymi.

Margaret dostała ten list w porze śniadania i czytając go, zbieleła na twarzy. Podała go Edith i wyszła z pokoju.

Pani Lennox przeczytała list i najwyraźniej doznała wstrząsu. Zaczęła płakać i szlochać zupełnie jak dziecko, wprawiając tym swego męża w zdenerwowanie. Pani Shaw spożywała śniadanie w swoim pokoju i na biednym kapitanie spoczął obowiązek pogodzenia żony z bliskością śmierci, z którą, jak się wydawało, miała do czynienia po raz pierwszy w życiu. Oto człowiek, z którym zamierzała dzisiaj jeść kolację, umarł, a przynajmniej był umierający. Minęło sporo czasu, zanim w ogóle pomyślała o Margaret. Edith wstała i ruszyła

na górę. Dixon pakowała przybory toaletowe, a panna Hale, zalewając się łzami, pospiesznie nakładała czepek, ale dłonie tak jej się trzęsły, że z ledwością udawało jej się wiązać wstążki.

– Och kochana Margaret! Jakie to okropne! Ale co ty robisz? Wychodzisz gdzieś? Cosmo może zatelegrafować lub zrobić coś innego, czego sobie życzysz!

– Jadę do Oxfordu! Za pół godziny mam pociąg. Dixon proponowała, że pojedzie ze mną, ale dam sobie radę sama. Muszę się z nim zobaczyć. Poza tym mogło mu się polepszyć i teraz będzie wymagał opieki. Był dla mnie jak ojciec. Nie zatrzymuj mnie, Edith.

– Muszę. Mamie to się wcale nie spodoba. Chodź i spytaj ją, Margaret. Nie wiesz, co robisz. Nie przeszkadzałoby mi to, gdyby miał własny dom, ale te pokoje w kolegium? Chodź do mamy i ją o to spytaj. To zajmie niewiele więcej niż minutę.

Margaret ustąpiła i przez to spóźniła się na pociąg. Poinformowana o niespodziewanym wydarzeniu pani Shaw wpadła w histerię i w ten sposób upłynął cenny czas. Na szczęście kolejny pociąg odchodził za kilka godzin i po przeróżnych dyskusjach na temat stosow-

ności czy niestosowności podróży Margaret ustalono, że wyruszy ona w towarzystwie kapitana Lennox, bo jedynym jej życzeniem, od którego nie chciała odstąpić, był sam wyjazd. Tak postanowiła, a poza tym mogła jechać sama lub z kimś, ale z pewnością następnym pociągiem i niezależnie od tego, czy świat potępi jej krok, czy nie. Przyjaciel jej ojca, jej przyjaciel znajdował się na granicy między życiem a śmiercią, a myśl o tym tak ją prześladowała, że sama była zaskoczona swoją stanowczością w egzekwowaniu prawa do samostanowienia. Tak więc pięć minut przed godziną odjazdu pociągu zajęła miejsce w przedziale kolejowym naprzeciw kapitana Lennox.

I wtedy, i później pocieszająca była dla niej myśl, że tam pojechała, choć po przyjeździe okazało się, że pan Bell zmarł poprzedniej nocy. Obejrzała jednak pokoje, które zajmował, i na zawsze zachowała je w czułej pamięci, kojarząc to miejsce ze swym ojcem i jego najdroższym, najwierniejszym przyjacielem.

Przed wyjazdem z Londynu obiecali Edith, że jeżeli sprawdzą się ich najgorsze obawy, wrócą jeszcze tego samego wieczoru, dlatego Margaret musiała przerwać

powolne, refleksyjne zwiedzanie pokoju, w którym zmarł jej ojciec. A potem nastąpiło ciche pożegnanie z twarzą człowieka, który zawsze miał dla niej dobre słowo, żart lub wesołą wymówkę.

Kapitan Lennox zapadł w sen, gdy tylko wsiedli do pociągu, i Margaret mogła swobodnie płakać, rozmyślając o całym tym fatalnym roku i wszystkich nieszczęściach, które jej przyniósł. Nie zdążyła oswoić się z myślą o jednej stracie, a już spotykał ją kolejny cios, który nie tyle wypierał z jej myśli poprzednią troskę, co raczej ponownie otwierał ledwie zaleczone rany. Jednakże czułe głosy ciotki i Edith, radość małego Sholto z jej powrotu, widok jasno oświetlonych pokoi i ich pani, takiej ślicznej w swej bladości i pełnej współczucia, sprawiły, że Margaret otrząsnęła się trochę z transu prawie przesądnej beznadziei i braku wiary i zaczęła dopuszczać do siebie myśl, że może także wokół niej zbierze się choć trochę szczęścia i wesela. Zajęła miejsce Edith na sofie, a mały Sholto, po wielu prośbach o zachowanie ostrożności, zdołał przynieść cioci Margaret filiżankę herbaty. A gdy poszła na górę, by się przebrać, dziękowała Bogu, że oszczędził jej przyjacielowi długiej lub bolesnej choroby.

Gdy nadeszła noc, poważna i uroczysta, i w całym domu zapadła cisza, panna Hale nadal siedziała, obserwując piękno londyńskiego nieba w letni wieczór. Zachwyciły ją blad różowe refleksy ziemskich światła na miękkich chmurach, wynurzających się z mroku wiążącego nieruchomo nad horyzontem, leniwie przepływających przez poświatę księżyca. Sypialnia Margaret była dziennym pokojem jej i Edith w czasie, gdy z dzieci przemieniały się w dziewczęta i gdy ich uczucia oraz świadomość zaczynały się budzić i rozwijać. Takie noce jak dzisiejsza przypominały jej składane sobie obietnice, że przeżyje życie z taką odwagą i szlachetnością jak najwspanialsza heroina, o jakiej kiedykolwiek słyszała lub czytała w romansach, a jej życie będzie wolne od lęku, wolne od błędów. Wydawało jej się wtedy, że wystarczy chcieć tak żyć i te nadzieje się spełnią. Teraz już wiedziała, że nie wystarczy chcieć, trzeba się też o to modlić, bo jest to niezbędny warunek prawdziwie bohaterskiego życia. Nie starczyło jej wiary, a sprawiedliwą konsekwencją jej grzechu było to, że wszelkie wyjaśnienia i uzasadnienia pozostaną nieznanie osobie, w oczach której pogrzyła się najbardziej. Nareszcie stała twarzą

w twarz ze swym występkiem i widziała go takim, jaki był. Uprzejme sofizmaty pana Bella, owe fałszywe twierdzenia ukryte pod pozorami prawdy, że chyba każdy człowiek ma na sumieniu dwuznaczne, nieczyste działania i że cel uszlachetnia zło, nigdy tak naprawdę do niej nie przemawiały. Jej pierwsza myśl, że gdyby wiedziała wszystko o bezpiecznym odjeździe brata, bez strachu wyznałaby prawdę, teraz wydawała jej się niska i podła. A jej gorące pragnienie, by oczyścić się częściowo w oczach pana Thorntona z zarzutu kłamstwa, co miał zrobić pan Bell, wydawało jej się obecnie nieistotne, błahe po tym, jak po raz kolejny śmierć udzieliła jej lekcji, czym jest tak naprawdę życie. Gdyby cały świat mówił, działał lub milczał z intencją wprowadzania w błąd, gdyby wchodziły w grę najważniejsze sprawy, a najdroższe życie było zagrożone, gdyby nikt nigdy nie miał się dowiedzieć, czy mówiła prawdę, czy kłamała, aby według tego ją osądzać, gdyby więc stała całkiem sama w obecności Boga, to i tak modliłaby się o siłę, by mówić i działać zgodnie z prawdą.

XLIX

WYTCHNIENIE

*A ona idzie powoli rozświetloną słońcem plażą
I pełna wahania co chwila przystaje,
Przygnieciona nieopanowanym żalem.*

Thomas Hood, „Hero and Leander”

czy Margaret jest teraz dziedziczką? – wyszeptała Edith do męża, gdy zostali sami w ich pokoju tego wieczoru po smutnej podróży do Oxfordu. Przyciągnęła jego głowę niżej, stanęła na czubkach palców i najpierw uprzedziła go, by nie był zaszokowany, a dopiero później odważyła się zadać mu to pytanie. Niestety, kapitan Lennox nie potrafił jej nic powiedzieć. Jeśli cokolwiek na ten temat słyszał, to już o tym nie

pamiętał, ale przecież członek tak niewielkiego kolegium nie mógłby zostawić nikomu fortuny. Poza tym on, kapitan Lennox, przecież nigdy nie oczekiwał, aby mu płaciła za utrzymanie, a ta kwota dwustu pięćdziesięciu funtów jest absurdalna, zwłaszcza jak się weźmie pod uwagę, że Margaret nie pije wina. Edith postawiła z powrotem całe stopy na ziemi zdecydowanie smutniejsza po tym, jak jej romantyczne wizje rozpadły się na kawałki.

Tydzień później wparadowała do pokoju i ruszyła w stronę męża. Ukłoniła mu się i triumfalnie oznajmiła:

– Ja miałam rację, a pan się mylił, szlachetny kapitanie. Margaret otrzymała list od prawnika; jest spadkobierczynią pana Bella, który zapisał jej dwa tysiące funtów, a pozostałość jest ulokowana w nieruchomościach w Milton o wartości czterdziestu tysięcy według dzisiejszych cen.

– Naprawdę? I jak ona przyjęła ten uśmiech losu?

– Ona chyba już wcześniej wiedziała o tym, tylko nie zdawała sobie sprawy, że tego jest tak dużo. Wygląda blado i mizernie i twierdzi, że się obawia takiej dużej kwoty. Ale to nonsens i szybko jej minie. Zostawiłam

mamę wylewającą z siebie istne strumienie powinszowań i wymknęłam się, by ci o tym powiedzieć.

Wyglądało na to, że całe otoczenie uznało pana Lennox'a za naturalny wybór na oficjalnego doradcę Margaret. Była tak kompletną ignorantką w kwestii interesów, że prawie we wszystkim zwracała się do niego. Wybrał dla niej pełnomocnika prawnego, przychodził do niej ze wszystkimi dokumentami do podpisu i wydawał się najszcześliwszy, gdy mógł jej objaśniać tajemnice i zawiłości prawa.

– Henry – odezwała się do niego Edith figlarnie pewnego dnia. – Czy wiesz, jakie mam nadzieje i oczekiwania, jeśli chodzi o finał tych twoich przedłużających się konwersacji z Margaret?

– Nie wiem – odpowiedział, czerwieniąc się. – I szczerze mówiąc, wolałbym, byś mi tego nie mówiła.

– Ach, doskonale. Skoro tak, to nie muszę uprzedzać Cosmo, aby nie zapraszał do nas tak często pana Montagu.

– Pozostawiam to twojej decyzji – odpowiedział z wymuszonym chłodem. – To, o czym myślisz, może się wydarzyć, ale nie musi. Tym razem, zanim się za-

angażuję, dokładnie wybadam grunt. Zapraszaj, kogo tylko masz ochotę. To może nie jest zbyt grzeczne, Edith, ale jeśli się w to wtrącis, to wszystko zaprzepaścisz. Przez długi czas trzymała mnie na dystans, dopiero ostatnio zaczęła trochę topnieć i nie zachowuje się cały czas jak Zenobia. Ma zadatki na Kleopatę, zwłaszcza gdyby była odrobinę bardziej pogańska.

– Jeśli o mnie chodzi – stwierdziła Edith z nutką złośliwości – cieszę się, że jest chrześcijanką. Znam ich tak niewiele...

Nie było szans na wyjazd do Hiszpanii tej jesieni, choć Margaret do ostatniej chwili liczyła, że jakaś szczęśliwa okazja sprowadzi Fredericka do Paryża, gdzie mogłaby łatwo dotrzeć pod eskortą. Zamiast podróży do Kadyksu musiała się zadowolić wakacjami w Cromer, dokąd udawali się Lennoxowie i ciotka Shaw. Wszyscy oni pragnęli, by im towarzyszyła, i zgodnie z tym oraz z uwagi na ich gnuśne usposobienie, czynili bardzo ograniczone wysiłki, aby spełnić jej osobiste życzenia. Być może pod pewnymi względami Cromer było idealnym miejscem dla niej, bo potrzebowała nie tylko odpoczynku, ale także wzmocnienia.

Pomiędzy innymi nadziejami, które musiała po-
grzebać, była szansa na to, że pan Bell przekaże panu
Thorntonowi czyste fakty dotyczące wydarzeń rodzin-
nych, które poprzedziły ów niefortunny wypadek na
stacji i śmierć Leonardsa. Jakakolwiek byłaby opinia
pana Thorntona i czy w ogóle różniłaby się od tej, któ-
rą swego czasu powziął, Margaret chciała, aby opie-
rała się ona na zrozumieniu tego, co zrobiła i dlacze-
go. Sprawiłoby jej to przyjemność, przyniosłoby ulgę
w kwestii, która i tak dręczyła ją będzie do końca życia,
chyba że umiałaby przestać o niej myśleć. Od tamtych
wydarzeń upłynęło już tyle czasu, że ostatnia możliwa
droga wyjaśnienia została zamknięta wraz ze śmiercią
pana Bella. Nie ona pierwsza musi się pogodzić z tym,
że została mylnie osądzona. Ale od wmawiania w siebie,
że nie było w tym niczego niezwykłego, jej serce nie
cierpiało ani trochę mniej. Nadal pragnęła, aby pew-
nego dnia, kiedyś w przyszłości, ale na pewno przed
jego śmiercią, pan Thornton jednak się dowiedział, co
zaszło. Uważała, że wcale jej nie zależy, aby stało się to
teraz, o ile tylko mogłaby być pewna, że on się jednak
kiedyś o wszystkim dowie. Jednakże to życzenie, po-

dobnie jak wiele innych, było nadaremne, a gdy to zrozumiała, zwróciła się całym sercem i z mocą w stronę życia, które było bezpośrednio przed nią, zdecydowana walczyć i nie zmarnować go.

Zwykła przesiadywać długie godziny na plaży, przyglądając się z uwagą, jak fale uporczywie atakują kamieniste wybrzeże, lub wpatrując się w mieniącą się dal. Wtedy słyszała, nawet nie będąc tego świadomą, odwieczny i nieustający psalm. Znajdowała tam ukojenie, nie wiedząc jak i dlaczego. Apatycznie siedziała na ziemi, obejmując rękami kolana. Ciotka Shaw robiła zakupy, a Edith z mężem bez końca zwiedzali okolicę – wzdłuż i wszerz wybrzeża, a także w głąb lądu. Opiekunki i pielęgniarki przechadzające się ze swymi podopiecznymi mijały pannę Hale i szeptem dyskutowały, zastanawiając się, w co ona się tak długo i uporczywie, dzień po dniu, wpatruje. A gdy cała rodzina zbierała się przy obiedzie, Margaret była tak zamyślona i milcząca, że Edith uznała stan kuzynki za poważną depresję i z radością przyjęła propozycję męża, by zaprosić pana Henry’ego Lennox na tydzień do Cromer, po jego powrocie ze Szkocji w październiku.

Czas poświęcony na rozmyślenia umożliwił panie Hale uszeregowanie wydarzeń przeszłych i przewidywanych w przyszłości, tak pod względem ich przyczyn, jak i znaczenia. Te godziny spędzone na brzegu morza nie były stracone i dostrzegał to każdy, kto umiał przyglądać się ludziom i komu zależało na tym, by ich rozumieć. Twarz Margaret stała się twarzą osoby w tajemniczonej. Pan Henry Lennox był uderzony zmianą, jaka w niej zaszła.

– Powiedziałbym, że pobyt nad morzem niesamowicie służy panie Hale – stwierdził, gdy wyszła z pokoju po raz pierwszy od jego przyjazdu do rodziny. – Wygląda na młodszą o dziesięć lat niż na Harley Street.

– To ten czepek, który jej wybrałam! – wykrzyknęła Edith triumfalnie. – Jak tylko go zobaczyłam, od razu wiedziałam, że to coś dla niej.

– Przepraszam bardzo – odpowiedział pan Lennox tonem na pół pogardliwym, na pół pobłażliwym, jakim zazwyczaj zwracał się do bratowej – ale ja raczej dostrzegam różnicę między urokiem stroju a urokiem kobiety. Żaden czepek nie sprawiłby, że oczy panny Hale są takie błyszczące i miękkie, a usta tak czerwone

i soczyste. Cała twarz stała się pełna spokoju i światła. Ona przypomina teraz... może nawet bardziej jest... – Zawiesił głos i dokończył: – Bardziej jak Margaret Hale z Helstone.

Od tej pory ten inteligentny i ambitny człowiek zaprzęgnął wszystkie swe siły i zdolności, by zdobyć Margaret. Kochał jej słodką piękność. Dostrzegał jej uśpione możliwości, skalę umysłu, który z łatwością (tak przynajmniej sądził) umiałby skłonić ku przywiązaniu do tych rzeczy, które były drogie jemu samemu. Na jej majątek spoglądał jak na dopełnienie, na część kompletnej doskonałości jej osoby i pozycji, aczkolwiek zdawał sobie sprawę z awansu społecznego, jaki taka fortuna przyniosłaby jemu, ubogiemu adwokatowi. Ostatecznie przecież osiągnąłby taki sukces i uznanie, że mógłby spłacić z odsetkami jej wkład w ten jego pierwszy poważny krok na drodze do dobrobytu. Wracając ze Szkocji, pojechał do Milton w sprawach związanych z jej interesami i jego wprawne oko doświadczonego prawnika, zawsze gotowe dostrzec i ocenić możliwości i perspektywy, od razu oszacowało, o jaką kwotę zwiększy się rocznie wartość nieru-

chomości i dzierżaw, które Margaret posiadała w tym rozwijającym się i prosperującym mieście. Z zadowoleniem stwierdził, że ich obecne relacje, opierające się na zasadach panujących między klientką a jej doradcą prawnym, stopniowo wypierają wspomnienie owego nieszczęsnego, nieudanego dnia w Helstone. Pojawiła się niezwykle okazja zacieśnienia ich stosunków, które dotychczas bazowały na związkach łączących obie rodziny.

Margaret z wielką radością słuchała go tak długo, jak opowiadał o Milton, choć nie spotkał tam żadnej z osób, na których jej zależało. Jej ciotka i kuzynka wypowiadały się o tym mieście z niechęcią i pogardą, czyli z takimi samymi uczuciami, jakie Margaret żywiła do tego miejsca na samym początku swego życia na Północy, a których teraz tak się wstydziła. Ale uznanie pana Henry'ego dla Milton i jego mieszkańców chyba nawet przerosło jej obecne uczucia. Ich energia, ich siła, ich nieugięta odwaga w zmaganiach z losem, szokująca czasami intensywność życia zauroczyły go i przykuły jego uwagę. Nigdy nie miał dość opowiadania o nich i zupełnie nie dostrzegał, jak samolubne i materialne

były niektóre z celów, które przed sobą stawiali, a które miały uwieńczyć wszystkie ich imponujące i niezmiordowane wysiłki. Dopiero Margaret, mimo przyjemności, jaką jej te pochwały sprawiały, miała dość szczerości i odwagi, aby wskazać to panu Lennoxowi jako grzech kalający coś, co jest szlachetne i godne podziwu. Sprytny pan Henry szybko się zorientował, że gdy wszystkie tematy sprzykrzyły się pannie Hale i gdy na zadawane pytania udziela tylko krótkich odpowiedzi, wystarczyło rzucić jakąś uwagę dotyczącą Darkshire, by na powrót przywołać blask w jej oczach i rumieniec na policzkach.

Gdy wrócili do miasta, Margaret przystąpiła do realizacji jednego z postanowień powziętych nad brzegiem morza. Wzięła swój los we własne ręce. Zanim wyjechali do Cromer, była posłuszna prawom narzucenym przez ciotkę, zupełnie jakby nadal była tym małym przestraszonym stworzonkiem, które pierwszej nocy na Harley Street płacz ukołysał do snu. Podczas pełnych rozmyślań godzin nad morzem zdecydowała jednak, że nadszedł czas, by wziąć odpowiedzialność za swe życie i za to, co z nim zrobi. Próbowwała

rozwickłać jedną z najtrudniejszych dla każdej kobiety kwestii, mianowicie ustalić, w jakim stopniu powinna podporządkować się posłusznie autorytetom, a na ile może sama o sobie stanowić i poświęcić się pracy. Pani Shaw była osobą niezmiernie spokojną i bezkonfliktową, a Edith odziedziczyła po niej te nieocenione w życiu rodzinnym zalety. Z nich trzech Margaret miała prawdopodobnie najtrudniejszy charakter, bo jej bystry intelekt i nadmiernie żywa imaginacja czyniły ją popędliwą, a dodatkowo, wskutek wczesnego odcięcia od współczujących rodziców, stała się skryta i harda. Ale przy tym wszystkim cechowała ją nieopisana słodycz i dobroć, które sprawiały, że jej sposób bycia, nawet w rzadkich napadach uporu, był niezwykle pociągający. A teraz, trochę nawet skrępowana tym, co świat zwykł nazywać wielką fortuną, oczarowała swą oporną ciotkę na tyle, by ta wyraziła zgodę na przeprowadzenie woli dziewczyny. W ten sposób Margaret uzyskała potwierdzenie prawa do zrealizowania tego, co uznawała za swój obowiązek.

– Tylko proszę cię, nie stań się jedną z tych wyzwolonych kobiet – błagała ją Edith. – Mama chce, abys

miała swojego lokaja, ale jestem pewna, że możesz nadal dysponować naszymi; nie musisz mieć osobnego, bo oni są jedną wielką plagą. Spraw mi jednak tę przyjemność, kochana, i nie stawaj się wyzwolona i twarda. Tylko o to proszę. Lokaj czy nie, nie bądź jak mężczyzna.

– Nie obawiaj się, Edith. Przy pierwszej okazji zemdleję na twoje ręce w czasie obiadu służby. A wtedy, jeżeli jeszcze mały Sholto zacznie się bawić ogniem, a maluszek się w tym momencie rozplacze, zaczniesz błagać niebiosa o zdecydowaną kobietę, która w takiej sytuacji stanęłaby na wysokości zadania.

– A nie staniesz się zbyt nieczuła na żarty i śmiech?

– Nie grozi mi to. Dopiero teraz stanę się naprawdę wesola i radosna, skoro odkryłam moją własną drogę.

– Ale nie będziesz robiła z siebie straszdyła i nadal pozwolisz mi kupować dla ciebie suknie?

– Zamierzam kupować je sama. Jeśli masz ochotę, to możesz jeździć ze mną na zakupy. Wybierać będę jednak ja.

– Och, właśnie tego się bałam, że powybierasz wszystko brązowe lub w takim przykurzonym kolorze,

żeby nie było widać brudu, który nazbierasz w tych wszystkich miejscach. Cieszę się, że zamierzasz pozostać choć przy jednej czy dwóch próżnościach. Tylko tyle, żeby udowodnić, iż mimo wszystko jesteś nieodrodną córką Ewy.

– Pozostanę taka sama jak dotychczas, Edith, jeśli tylko tobie i cioci na tym zależy. Skoro jednak nie mam ani męża, ani dzieci, a przez to także związanych z tym naturalnych obowiązków, muszę je sobie zorganizować sama, bo obowiązek zamawiania sukien mi nie wystarcza.

Podczas rodzinnej narady, w której wzięli udział Edith, jej matka oraz mąż, ustalono, że być może projekty Margaret jeszcze bardziej zachowają ją dla Henry'ego, bo będą utrzymywały ją z dala od innych przyjaciół, którzy mogli mieć braci lub synów do wzięcia. Doszli też wspólnie do wniosku, że poza Henrym nie wykazywała ona zainteresowania towarzystwem nikogo spoza najbliższej rodziny. Inni adoratorzy, przyciągnięci jej urodą lub majątkiem, spychani byli jej nieświadomie lekceważącym uśmiechem na ścieżki uczęszczane przez mniej wyniosłe piękności lub dzie-

dziczki ze znaczniejszym posagiem. Zażyłość między Henrym a Margaret wzrastała, ale żadne z nich nie należało do osób, które tolerowałyby najmniejszą nawet uwagę na temat swego postępowania.

L

ZMIANY W MILTON

*Więc w górę, w górę, w górę.
A potem w dół, w dół, w dół.*

Wyliczanka dziecięca

Tymczasem w Milton nadal dymiły kominy, nieustannie słycać było ryki i przeraźliwy łoskot maszyn. Elementy z drewna i żelaza wirowały z oszłamiającą i otępiającą bezdusnością, para buchala bez końca. Z uporczywością monotonnego działania maszyn rywalizowała wytrwałość tłumów ludzi, którzy niestrudzenie się wokół nich krzątali, w dążeniu do... właśnie, do czego? Na ulicach było niewielu obiboków, nikt nie spacerował dla czystej przyjemności, rysy twa-

rzy każdego z przechodniów wyrażały niepokój lub podekscytowanie. Z niecierpliwością wyczekiwano nowych wiadomości; ludzie rozpychali się łokciami na sali aukcyjnej i na giełdzie, zupełnie tak samo jak postępowali w życiu, powodowani wszechogarniającym egoizmem współzawodnictwa. Na miasto padł strach. Niewielu przyjeżdżało kupować, a na tych, którzy przyjechali, sprzedawcy spoglądali podejrzliwie, bo kredyty nie były wiarygodne i nawet majątki najpewniejszych klientów mogły być zagrożone z powodu kłopotów spedytorów w sąsiednim porcie. Jak do tej pory żadne z wielkich przedsiębiorstw w Milton nie upadło, ale na światło dzienne wyszły informacje o potężnych spekulacjach nie tylko w Ameryce, ale także bliżej Milton, i stało się jasne, że niektóre z domów handlowych muszą poważnie ucierpieć. Każdego dnia jeśli nie usta, to w każdym razie twarze ludzi zdawały się pytać: „Jakie wieści? Kto padł? Czy to wpłynie na moje interesy?” Jeśli dwie lub trzy osoby rozmawiały na ten temat, to raczej wymieniały nazwiska tych, którzy ich zdaniem byli bezpieczni, niż typowały firmy, które miały polec, bo w owym czasie nawet lekki zefirek mógł powalić

tego, który w bardziej sprzyjającym okresie przetrwałby sztorm, a jeden idący na dno pociągał za sobą wielu innych. „Thornton jest bezpieczny – twierdzili. – Jego przedsiębiorstwo jest ogromne i rozwija się z każdym rokiem, ale nic dziwnego, skoro kieruje nim taka tęga głowa jak jego. I ta jego rozważa przy nowych przedsięwzięciach”. Ktoś inny, odciągawszy na bok jednego z rozmówców, pochylił się lekko w stronę jego ucha i powiedział: „Firma Thorntona jest duża, ale on wszystkie swoje zyski wydawał na jej rozbudowę i nie ma wolnego kapitału. W ciągu ostatnich dwóch lat wymienił maszyny na nowe, a to kosztowało go... cóż, nie powiem, ile... będzie to przestroga dla innych...” Tę opinię wyraził pan Harrison, znany panikarz, człowiek, który odziedziczył fortunę po ojcu i cały czas drżał, że ją straci, wprowadzając w swym przedsiębiorstwie jakiegokolwiek zmiany mające na celu rozszerzenie działalności, a przy tym każdego pensa zarobionego przez innych, bardziej śmiałych i dalekowzrocznych, uważał za osobistą zniewagę.

Prawda była taka, że pan Thornton był w trudnej sytuacji i odczuwał to mocno w swym najczulszym

punkcie – dumie z pozycji zawodowej, którą sam zdobył. Architekt własnego sukcesu, nie przypisywał go żadnej specjalnej osobistej zalecie czy właściwości, ale mocy, którą jego zdaniem handel i przemysł dawał każdemu śmiałemu, uczciwemu i wytrwałemu człowiekowi, pozwalając mu wznieść się do poziomu, z którego mógł dojrzeć i zrozumieć wielką grę światowego postępu, a także dzięki tej dalekowzroczności dysponować jeszcze większą siłą i władzą. Daleko stąd, na wschodzie i na zachodzie, gdzie nigdy nie poznano by go osobiście, poważano jego nazwisko, wypełniano życzenia, a jego słowo miało wartość złota. Z taką ideą handlu pan Thornton zaczynał karierę. „Którego kupcy byli książętami”^{*} – powtarzała jego matka, czytając ten tekst na głos, niczym sygnał trąbki wzywającej jej chłopca do walki. Należał do tych ludzi – mężczyzn, kobiet, dzieci – którzy żyją dla spraw odległych i celów dalekosiężnych, których nie interesują rzeczy bliskie. Chciał, by jego nazwisko miało znaczenie w dalekich krajach i na obcych morzach, chciał kierować firmą, która istniała-

* Fragment z *Księgi Izajasza* (23,8).

by przez pokolenia. Przez długie, ciche lata pracował, aby dojść choć do tego, kim stał się obecnie, w swym mieście, we własnej fabryce, pośród swoich ludzi. On i oni wiedli równoległe życia, bliskie sobie, ale nigdy się niestykające, aż do przypadkowej – tak mu się przynajmniej wydawało – znajomości z Higginsem. Postawieni naprzeciw siebie twarzą w twarz, człowiek z człowiekiem, każdy z nich jako jednostka wyodrębniona z otaczającego ich tłumu, bez podziału na pracodawcę i pracownika, zaczęli przede wszystkim dostrzegać, że „wszyscy mamy w piersi takie samo ludzkie serce”*. To był początek, pierwsze ogniwo spinające odseparowane do tej pory życia. I teraz obawa przed utratą kontaktu z kilkoma robotnikami, których zaczynał poznawać po prostu jako ludzi, obawa przed klęską kilku swych eksperymentalnych projektów, które bardzo chciał wprowadzić w życie, a które prawdopodobnie nawet nie zostaną przetestowane, pogłębiły lekki dotychczas strach przed porażką, jaki od czasu do czasu odczuwał. Aż do tej pory nigdy sobie nie uświadamiał, jak mocno

* Cytat z *The Old Cumberland Beggar* Wordswortha.

utożsamia się ze swoją pozycją właściciela fabryki tylko dlatego, że pozwala mu ona na bliski kontakt z robotnikami i daje szansę wykorzystania tej potężnej siły – ludzi mocnych, przebiegłych, i choć niedouczonej, to o nieugiętych charakterach i pełnych szczerych uczuć.

Pan Thornton przeanalizował swoją pozycję w Milton. Strajk sprzed półtora roku... lub nawet więcej, bo choć wciąż utrzymywała się zimowa pogoda, była już wiosna... więc ten strajk, kiedy on był młody, bo teraz czuł się już stary... uniemożliwił mu wywiązanie się z kilku wielkich zamówień, które u niego złożono. Większość kapitału zamroził w nowych kosztownych maszynach, a ponadto zgromadził wielkie zapasy bawełny, niezbędne do zrealizowania tych właśnie zamówień, obwarowanych podpisanymi kontraktami. Powodem niedotrzymania tych umów był przede wszystkim brak kwalifikacji irlandzkich robotników, których sprowadził. Spora część tego, co wyprodukowali, była wadliwa i nie nadawała się do wysyłki, ponieważ firma Thorntona stawiała sobie za punkt honoru sprzedaż produktów wyłącznie najwyższej jakości. Przez wiele miesięcy trudne położenie, będące na-

stępstwem strajku, było dla przedsiębiorcy przeszkodą w działaniu i często, gdy spojrzał na Higginsa, odzywał się do niego rozgniewanym tonem bez żadnej doraźnej przyczyny – wystarczyło wspomnienie, jak poważne konsekwencje przyniosła sprawa, w którą Nicholas był zaangażowany. Gdy uświadomił sobie, co powoduje tę reakcję, postanowił ją okiełznać. Nie wystarczyłoby mu jednak unikanie Higginsa, musiał sobie udowodnić, że panuje nad swoim gniewem, odnosząc się do Nicholasa bardzo uprzejmie, o ile tylko pozwalały mu na to zasady obowiązujące w fabryce i gdy dysponował czasem. Stopniowo jego uraza zniknęła, a on sam zastanawiał się, jak to było możliwe, że dwóch ludzi, tak jak on i Higgins, posiadających to samo źródło utrzymania, żyjących co prawda na różnym poziomie, ale z tego samego przedsięwzięcia, mogło postrzegać swoje pozycje i obowiązki w tak odmienny sposób. Tak oto narodziła się przyjaźń, która, rzecz jasna, nie zapobiegłaby wszystkim przyszłym tarciom i zderzeniom poglądów oraz działań, gdyby pojawiła się ku nim okazja, ale w każdym razie pozwoliła tak właścicielowi, jak i pracownikowi traktować się z większą wyrozumiało-

ścią i sympatią i cierpliwie znosić się na co dzień. Poza tą poprawą wzajemnych relacji zarówno pan Thornton, jak i Higgins uświadomili sobie własną ignorancję w kwestiach doskonale znanych drugiej ze stron.

Nastał jednak jeden z tych okresów fatalnej koniunktury, gdy sytuacja na rynku doprowadziła do spadku notowań akcji wielkich firm. Wartość przedsiębiorstw Thorntona spadła prawie o połowę. Nie nadchodziły zamówienia, więc tracił odsetki od kapitału ulokowanego w nowych maszynach. Z wielką trudnością udawało mu się odzyskać pieniądze za zrealizowane dostawy, a tak czy owak ponosił stałe koszty prowadzenia firmy. Upływał termin zapłaty za zakupioną bawełnę, a ponieważ brakowało gotówki, przedsiębiorca zmuszony był pożyczać na niebotyczny, wręcz lichwiarski procent. Na dodatek nie mógł spieniężyć żadnej ze swych nieruchomości. Nie upadał jednak na duchu. Koncentrował się dzień i noc, aby przewidzieć komplikacje i ustrzec się od skutków wszelkich niesprzyjających wydarzeń. Dla kobiet w domu był tak spokojny i łagodny jak nigdy dotąd. Do swych pracowników w przędzalni odzywał się rzadko, ale w owym

czasie znali go już dobrze i wiele z jego suchych, zdecydowanych wypowiedzi przyjmowano raczej ze współczuciem dla trosk, które, jak wiedzieli, go przycisnęły, a nie z tłumionym sprzeciwem czy oporem, który tlił się w nich poprzednio, gdy wiecznie się spodziewali ostrych słów i sądów.

– Nasz pan ma same zmartwienia na głowie – stwierdził pewnego dnia Higgins, gdy usłyszał krótkie, ostre pytanie pana Thorntona, dlaczego nie wykonano jednego z jego poleceń. A potem dosłyszał stłumione westchnienie, gdy przemysłowiec przechodził przez pomieszczenie, w którym pracowali.

Higgins i jeszcze jeden z robotników, nikogo o tym nie informując, zostali tej nocy po godzinach i wykonali tę zaniedbaną pracę. Pan Thornton zaś nigdy się nie dowiedział, że została ukończona przez kogoś innego niż nadzorca, któremu jako pierwszemu zlecił to zadanie.

Myślę, że wiem, kto by się zmartwił, jakby zobaczył naszego pana siedzącego jak taki kawał szarego płótna. Staremu proboszczowi pękłoby to jego miękkie kobiece serce, gdyby zobaczył tę straszną minę swego przyja-

ciela – pomyślał pewnego dnia Higgins, widząc pana Thorntona na Marlborough Street.

– Panie – powiedział, zatrzymując swego pracodawcę w jego szybkim, zdecydowanym marszu i sprawiając, że spojrzał na Higginsa z nagłym poirytowaniem, jakby myślami był gdzieś daleko. – Słyszał pan może ostatnio o panie Hale?

– Pannie jakiej? – spytał pan Thornton.

– Pannie Margaret... Pannie Hale... córce starego proboszcza. Wie pan dobrze, o kim mówię. Niech pan tylko trochę pomyśli – powiedział Higgins tonem pełnym szacunku, choć słowa mogły temu przeczyć.

– Ach, tak! – odrzekł tamten i naraz z jego twarzy opadła lodowa maska zmartwień, zupełnie jakby miękki letni podmuch wywiał wszelkie niepokoje z jego umysłu. I choć nadal zaciskał usta jak przedtem, to jednak oczy uśmiechnęły się łagodnie do pytającego. – Wiesz przecież, Higgins, że ona jest teraz właścicielką ziemi, na której stoi przędzalnia, i dlatego od czasu do czasu słyszę o niej od jej tutejszego pełnomocnika. Ma się dobrze i przebywa wśród przyjaciół... Dziękuję, Higgins.

To „dziękuję”, które wymówił na koniec z pewnym wahaniem, a jednak ciepło, z uczuciem, natchnęło przenikliwego Higginsa nową ideą. To mogła być, oczywiście, tylko mrzonka, ale pomyślał, że nie zaszkodzi spróbować i upewnić się, dokąd go zawiedzie.

– I nie wyszła za mąż?

– Jeszcze nie – odpowiedział pan Thornton i jego twarz ponownie spochmurniała. – Jest ponoć mowa o tym, i z tego, co zrozumiałem, chodzi o kogoś z rodziny.

– A zatem ona raczej nie wróci do Milton, prawda?

– Nie, nie wróci.

– Jeszcze chwilę, panie – poprosił Higgins i podchodząc bliżej, spytał przyciszonym tonem: – Czy młody dżentelmen został oczyszczony? – Mrugnięciem oka chciał podkreślić swe wtajemniczenie, przez co pan Thornton tym bardziej nie zrozumiał pytania. – Młody dżentelmen – powtórzył Nicholas. – Mam na myśli pannicza Fredericka. Tak go właśnie nazywali. To jej brat. Był tutaj, wie pan.

– Tutaj?

– Tak. To pewne. Przy śmierci matki panny

Margaret. Nie musi się pan bać, że się wygadam. Mary i ja wiedzieliśmy o tym od początku, ale trzymaliśmy to dla siebie, bo dowiedzieliśmy się tylko dlatego, że moja córka u nich wtedy pracowała.

– I był tam. Jej brat!

– Jasna sprawa. Myślałem, że pan o tym wie, bo inaczej nie puściłbym pary z gęby. Wiedział pan, że ma brata?

– Tak, wiem o nim, oczywiście. A więc był tutaj w chwili śmierci pani Hale?

– No! I nic więcej nie mogę powiedzieć. Już i tak może wpakowałem ich w kłopoty, rozmawiając o tym, bo strasznie się z tym kryli. Chciałem tylko wiedzieć, czy uniewinnili młodego panicza.

– Nic mi, niestety, o tym nie wiadomo. Docierają do mnie wiadomości o pannie Hale tylko jako o właścicielce gruntu i tylko przez jej pełnomocników.

Oderwał się od Higginsa i z powrotem zajął się sprawą, która go pochłaniała, gdy robotnik go zaczepił, udaremniając dalsze próby tamtego.

– A więc to był jej brat – powiedział pan Thornton do siebie. – Cieszę się. Pewnie już jej nie zobaczę, ale to

dla mnie pocieszenie... ulga... wiedzieć o tym. Byłem pewien, że nie mogłaby się zachować niewłaściwie, a jednak pragnąłem dowodu. I teraz jestem szczęśliwy.

Ta pewność była jedyną złotą nitką wplecioną w mroczną sieć, w jakiej się znalazł. Sytuacja z każdą chwilą stawała się trudniejsza i bardziej skomplikowana. Jego agent zainwestował poważną kwotę w akcje jednego z amerykańskich domów handlowych, który właśnie upadł, pociągając za sobą wiele innych firm, zupełnie jak przewracający się domek z kart, gdy jedna upadająca karta niszczy całą budowlę. Jak bardzo interesy pana Thorntona były z tym związane? Czy wytrzyma także i ten kryzys?

Każdego wieczoru zabierał do swoich prywatnych pokoi księgi i rejestry i spędzał nad nimi noce, podczas gdy pozostali domownicy udawali się już na spoczynek. Był przekonany, że nikt nie wie, w jaki sposób on spędza czas przewidziany na sen. Pewnego ranka, gdy promienie słoneczne wciskały się już do pokoju przez szpary w okiennicach, a on, pogrążony w poczuciu beznadziei i obojętności, jeszcze nawet nie położył się do łóżka, doszedł do wniosku, że nie potrzebuje tej godzi-

ny czy dwóch odpoczynku, bo tylko na tyle mógłby sobie pozwolić, zanim na dobre rozpocznie się krzątania w nowym dniu. Naraz drzwi do jego sypialni się otworzyły i stanęła w nich matka, ubrana w ten sam strój co poprzedniego wieczoru. Ona również nie położyła się tej nocy. Ich oczy się spotkały. Twarze mieli zimne, zastygłe i pobladłe od długiego czuwania.

– Mamo, dlaczego nie jesteś w łóżku?

– Naprawdę uważasz, że mogłabym spokojnie spać, gdy ty nie możesz zmrużyć oka ze zmartwienia? Nie zwierzyłeś mi się ze swych kłopotów, ale wiem, że boleśnie cię dręczą od wielu dni.

– Interesy idą źle.

– I obawiasz się...

– Niczego się nie obawiam – odpowiedział, prostując się i unosząc wysoko głowę. – Wiem już teraz, że nikt przeze mnie nie ucierpi, a o to się martwiłem.

– Ale jak wyglądają twoje sprawy? Czy ty... czy firma upadnie? – Jej pewny zazwyczaj głos wyraźnie zadrział.

– Upadku raczej nie będzie. Po prostu będę musiał wycofać się z interesu, ale zdołam spłacić wszyst-

kich. Mam jedną szansę na ocalenie i nie ukrywam, że strasznie mnie to kusi.

– Jaka? Och John! Musisz ratować swoje nazwisko! Podejmij dla niego każde ryzyko! Co to za szansa?

– Spekulacja, którą mi zaproponowano. Bardzo, bardzo ryzykowna. Jeśli się powiedzie, znajdę się poza zagrożeniem i nikt się nigdy nie dowie, w jak krytycznej byłem sytuacji. Jednakże gdyby się nie udało...

– Gdyby się nie udało? – zapytała z wyrazem ekscytacji w oczach, podchodząc bliżej i kładąc dłoń na jego ramieniu. Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

– Uczciwi ludzie zostaliby zrujnowani przez łajdaka, czyli mnie – dopowiedział ponuro. – W chwili obecnej pieniądze ludzi kredytujących mnie są całkowicie bezpieczne, ale nie potrafię powiedzieć, ile mi zostanie. Możliwe, że już teraz nie mam nic, że jestem bez pensa. I dlatego, gdybym się zdecydował na tę spekulację, ryzykowałbym pieniądze moich wierzycieli, a nie moje własne.

– Ale gdyby się udało, oni nigdy by się o tym nie dowiedzieli. Czy to naprawdę takie desperackie przedsięwzięcie? Na pewno nie, bo gdyby takie było, to nawet byś o tym nie myślał. A gdyby się udało...

– Byłbym bogaczem, ale spokój mojego sumienia przepadłby na zawsze.

– Dlaczego? Przecież nikogo byś nie skrzywdził?

– Nie, lecz podjąłbym ryzyko zrujnowania wielu ludzi dla własnego nędznego wzbogacenia. Właśnie zdecydowałem. Nie będziesz bardzo rozpaczać, opuszczając ten dom, prawda, kochana mammo?

– Nie. Ale świadomość, że straciłeś pozycję, na którą tyle pracowałeś, złamie mi serce. Co możesz zrobić?

– Pozostać tym samym Johnem Thorntonem, niezależnie od okoliczności: starającym się postępować właściwie, popełniającym błędy i potem próbującym z podniesionym czołem zaczynać od nowa. Ale to takie trudne, mammo. Tyle pracowałem, miałem tyle planów. Zbyt późno odkryłem nowe możliwości mojej pozycji pracodawcy. A teraz wszystko skończone. Jestem już zbyt stary, aby rozpoczynać wszystko jeszcze raz z taką samą energią. To wszystko jest takie trudne, mammo.

Odwrócił się do niej tyłem i ukrył twarz w dłoniach.

– Nie potrafię pojąć – odezwała się z ponurym wyzwaniem w głosie – jak do tego doszło. Oto mój chło-

piec, idealny syn, sprawiedliwy człowiek, czułe serce, ma stracić wszystko, czemu się poświęcił. Znajduje kobietę, zakochuje się w niej, a ona nie dba o jego miłość, jakby był najzwyklejszym człowiekiem pod słońcem. Pracuje ponad siły, a cała jego harówka obraca się w pył. Inni ludzie prosperują i się bogacą, a ich nędzne, żałosne nazwiska stają się znane i nietknięte hańbą.

– Hańba nigdy mnie nie dotknęła – powiedział cicho, ale ona mówiła dalej:

– Już wielokrotnie zastanawiałam się nad tym, co się stało ze sprawiedliwością, i teraz już jestem pewna, że coś takiego w ogóle nie istnieje. Teraz, gdy to wszystko cię spotyka, nareszcie wiem. Ty jesteś moim Johnem Thorntonem. Choćbyśmy ty i ja mieli się stać żebrakami, to jesteś moim najukochańszym synem.

Osunęła mu się na szyję i ucałowała przez łzy.

– Mamo! – odezwał się, trzymając ją w ramionach. – Przypomnij sobie, kto zesłał mi mój los, ten dobry i ten zły!

Potrząsnęła przecząco głową. Nie chciała słuchać o religii.

– Mamo – mówił dalej, skoro ona najwyraźniej nie

zamierzała się odezwać. – Ja też się buntowałem, ale teraz staram się już tego nie robić. Pomóż mi, tak jak mi pomogłaś, gdy byłem dzieckiem. Miałaś wtedy dla mnie tyle dobrych słów, kiedy zmarł ojciec i tak bardzo nam brakowało podstawowych rzeczy. Teraz nie będzie aż tak źle. Znalazłaś wtedy dla mnie słowa pełne odwagi, szlachetności, wiary. I ja ich nigdy nie zapomniałem. Mów do mnie tak samo jak wtedy, mamo. Nie pozwólmy, by strapienia zamieniły nasze serca w kamień. Jeśli będziesz mówiła do mnie tymi starymi, dobrymi słowami, może odnajdę w sobie tę pobożną prostotę dzieciństwa. Potrafię je sobie powtarzać, ale to zupełnie coś innego, gdy wypowiedasz je ty, bo przypominają mi się wtedy wszystkie zmartwienia i próby, które musiałaś znieść.

– Wiele ich było – przyznała, szlochając – ale żadna z nich nie była tak ciężka jak ta teraz. Widzieć cię zrzuconym z należnego ci miejsca. Powtórzyłabym te zdania, gdyby chodziło o mnie, ale nie o ciebie, John, nie o ciebie! Bóg naprawdę jest dla ciebie srogi. Bardzo srogi.

Wstrząsał nią szloch, stopniowo przechodzący

w konwulsje, jak to dzieje się często, gdy łka starsza osoba. W końcu uderzyła ją cisza panująca dookoła i zaczęła nasłuchiwać. Nie słyszała nic, więc spojrzała. Jej syn siedział przy stole z rozrzuconymi na nim ramionami, głowę miał opuszczoną, a twarz skierowaną w dół.

– Och John! – jęknęła i uniosła do góry jego bladą twarz. Miał na niej wyraz takiego przygnębienia, że przez głowę przemknęła jej myśl, czy to nie jest zapowiedź śmierci. Gdy się ocknął, zniknęła sztywność rysów i skóra nabrała naturalnego koloru, a skoro ona upewniła się, że nic mu nie grozi, wszystkie doczesne zmartwienia zniknęły wobec świadomości wielkiego błogosławieństwa, jakim był dla niej syn przez sam fakt swego istnienia. Podziękowała Bogu za to, i tylko za to, z żarliwością, która wyparła z jej umysłu wszelkie buntownicze myśli.

Nie odezwał się, ale podszedł do okna i otworzył okiennice, wpuszczając różowe światło świtu, które natchemniał zalało pokój. Wiatr wiał ze wschodu i nadal było przeszywająco zimno, tak jak od wielu tygodni, a to oznaczało, że tego roku nie będzie zapotrzebowa-

nia na lekkie, letnie tkaniny z bawełny. Należało się ostatecznie pożegnać z nadzieją na ożywienie handlu.

Rozmowa z matką przyniosła Johnowi wielką ulgę. Mógł być pewien, że nawet jeśli od tej pory nie padnie między nimi żadne słowo na temat bieżących zmartwień, poznali i zrozumieli nawzajem swe uczucia i byli w swoich poglądach jeśli nawet nie w harmonii, to z pewnością nie w sprzeczności.

Mąż Fanny był rozdrażniony tym, że Thornton odmówił wzięcia udziału w zaproponowanej mu spekulacji, i od razu zastrzegł, że w żadnym wypadku nie wspomże szwagra gotówką, tym bardziej że potrzebował jej do własnych ryzykownych przedsięwzięć.

W końcu stało się, ale tylko to, czego pan Thornton obawiał się przez ostatnie tygodnie. Musiał wycofać się z prowadzenia przedsiębiorstwa, którym kierował długo i z wielkim powodzeniem, i znaleźć inne zajęcie, w którym jednakże nie odgrywałby już pierwszoplanowej roli. Przędzalnia Marlborough wraz z sąsiednimi zabudowaniami była przedmiotem długoletniej dzierżawy, najkorzystniejszym zatem rozwiązaniem byłoby wyszukanie podnajemcy. Złożono panu Thorntonowi

mnóstwo propozycji. Pan Hamper z wielką ochotą widziałby go jako sprawdzonego i doświadczonego partnera w spółce, którą zamierzał stworzyć z udziałem imponującego kapitału dla swego syna w sąsiednim mieście. Młody człowiek był jednak mało wykształcony, jeśli chodziło o wiedzę, natomiast zupełnie niewykształcony, jeśli chodziło o odpowiedzialność za cokolwiek innego niż pobieranie pieniędzy, a do tego całkowicie zdemoralizowany, tak w swoich rozrywkach, jak i wysiłkach, o ile zdarzało mu się takie podejmować. Pan Thornton odmówił zatem udziału w spółce, która udaremniłaby realizację kilku ostatnich projektów, jakie jeszcze miał w głowie, a które przetrwały katastrofę. Już prędzej przyjąłby posadę zarządzającego fabryką, gdzie poza otrzymywaniem ustalonej zapłaty posiadałby przynajmniej pewną władzę, a nie byłby zdany na kaprysy i humory bogatego partnera, z którym według swego przekonania musiałby się rozstać w ciągu kilku miesięcy.

Czekał więc, a potem odsunął się z pokorą na bok, gdy z giełdy napłynęły wiadomości o niezwykłej fortunie, jaką zbił jego szwagier na swych zuchwałych po-

sunięciach. To była prawdziwa sensacja dnia, a za sukcesem przyszła jego zwykła konsekwencja – admiracja. Nikogo nie uważano za tak mądrego i dalekowzrocznego jak pan Watson.

LI

PONOWNE SPOTKANIE

Wytrzymaj, moje dzielne serce! Będziemy spokojni i nieporuszeni,

Potrafimy przecież zapanować i nad wzrokiem, i nad mową, i nad rumieńcami.

*I nie pozwólmy, by wymknęła nam się prawda ta,
Że ona była, jest i będzie tak nam droga.*

Rymowanka

Był gorący letni wieczór. Edith weszła do sypialni Margaret najpierw w amazonce, a potem w wieczorowej sukni. Gdy wchodziła po raz pierwszy, nikogo nie zastała, natomiast za drugim razem znalazła tam Dixon, układającą na łóżku suknię panny

Hale. Samej dziewczyny jednak nie było. Edith została, by ponarzekać.

– Och Dixon! Tylko nie te okropne niebieskie kwiaty do tej przygnębiającej złotawej sukni. Co za gust! Poczekaj, przyniosę kilka kwiatów granatu.

– To nie jest przygnębiający kolor złota, proszę pani, tylko kolor słomkowy. A do słomkowego nosi się zawsze niebieski.

Zanim Dixon doszła do połowy swego sprostowania, Edith zdążyła już wrócić z kilkoma oszałamiającymi kwiatami w kolorze szkarłatu.

– Gdzie jest panna Hale? – spytała, gdy tylko sprawdziła efekt stworzonej przez siebie kompozycji. – Zupełnie nie rozumiem – ciągnęła rozdrażniona – jak moja ciotka mogła dopuścić, by Margaret nabrała w Milton tego zwyczaju włóczenia się. Z pewnością już niedługo usłyszymy, że coś naprawdę okropnego spotkało ją w jednym z tych straszliwych miejsc, w które się zapuszcza. Nigdy nie ośmieliłabym się wejść w te ulice bez służącego. To nie są miejsca dla dam.

Dixon nadal była naburmuszona z powodu swego wzgardzonego gustu, tak więc odpowiedziała krótko:

– Zupełnie się nie dziwię, jak słyszę panie rozprawiające tyle o byciu damą... i że są takie trwożliwe, delikatne i kruche... więc, jak mówiłam, zupełnie się nie dziwię, że już na świecie wcale nie ma świętych niewiast...

– Och Margaret, jesteś wreszcie. Tak bardzo byłaś mi potrzebna! Ależ ci policzki płoną od gorączki, moje ty biedne dziecko! Posłuchaj tylko, co ten nieznośny Henry zrobił. On już naprawdę przekracza wszelkie granice, nawet jak na szwagra. Wyobraź sobie, że właśnie teraz, gdy już tak ślicznie zorganizowałam całe moje przyjęcie, tak je idealnie dopasowałam do pana Colthursta, przychodzi sobie Henry, muszę mu oddać, że z przeprosinami, i zasłaniając się tobą jako usprawiedliwieniem, pyta, czy może przyprowadzić ze sobą tego pana Thorntona z Milton, wiesz, tego twojego dzierżawcę, który jest akurat w Londynie w interesach. A to mi przecież zrujnuje liczbę gości.

– Nie zależy mi na obiedzie. Właściwie to nawet nie mam ochoty na jedzenie – powiedziała cicho Margaret. – Dixon przyniesie mi tu filiżankę herbaty i będę na was potem czekała w salonie. Naprawdę z przyjemnością trochę poleżę.

– Nie, nie! Absolutnie nie! Wyglądasz, co prawda, przeraźliwie blado, ale jestem pewna, że to przez ten upał. Poza tym bez ciebie nie damy sobie rady. Te kwiaty powinny być trochę niżej, Dixon. W twoich ciemnych włosach, Margaret, wyglądają jak żywe płomienie. Przecież planowaliśmy, że porozmawiasz z panem Colthurstem o Milton. Och! Przecież ten człowiek przyjeżdża właśnie z Milton! Teraz widzę, że w rzeczywistości to się wszystko świetnie składa. Pan Colthurst wycisnie z niego wszystkie informacje, jakich potrzebuje. I co to będzie za zabawa śledzić potem zarówno twoje spostrzeżenia, jak i to, co ujawni ten pan Thornton, w następnym przemówieniu pana Colthursta w parlamencie. Tak, Henry miał chyba szczęśliwy pomysł. Pytałam go, czy tego Thorntona będę się musiała potem wstydzić, i odpowiedział: „Nie, siostrzyczko, jeśli masz choć trochę rozumu w głowie”. Mogę więc mieć nadzieję, że on wymawia głoskę „h”, bo to chyba nie jest powszechna umiejętność w Darkshire, prawda, Margaret?

– Czy pan Lennox nie wspominał ci, co sprowadza pana Thorntona do Londynu? Czy to jakieś kwe-

stie prawne związane z nieruchomościami? – spytała Margaret z przymusem.

– Och, chyba ta jego firma upadła lub coś w tym stylu. Henry opowiadał ci to tego dnia, gdy tak strasznie bolała cię głowa... Co to było? Właśnie, tak jest doskonale, Dixon. I panna Hale sama nam to przyzna, prawda? Wiesz, Margaret, chciałabym być wysoka jak królowa i brązowa jak Cyganka.

– Mówiłaś o panu Thorntonie...

– Och, żałuję, że zupełnie nie mam głowy do tych prawniczych spraw. Ale z pewnością Henry będzie zachwycony, mogąc ci wszystko o tym opowiedzieć. Ja w każdym razie odniosłam wrażenie, że pan Thornton wypadł z interesu, ale że jest godny szacunku i że mam być dla niego bardzo, ale to bardzo grzeczna. Henry nie wyjaśnił mi jednak, co to znaczy w tym wypadku, więc przyszedłam do ciebie, żebyś mi pomogła. A teraz zjedź ze mną na dół i odpocznij sobie mały kwadransik na sofie.

Uprzywilejowany szwagier zjawił się przed resztą gości i Margaret, czerwieniąc się, zaczęła go wypytywać o pana Thorntona.

– Przyszedł do mnie w sprawie podnajęcia komuś tej posiadłości, Marlborough Mills, z domem i przylegającymi budynkami. Nie może ich zatrzymać. Musieliśmy przejrzeć akty notarialne i umowy, sporządzić porozumienia. Mam nadzieję, że Edith przyjmie go odpowiednio, bo raczej nie była zachwycona tym, że pozwoliłem sobie go zaprosić. Przyszło mi jednak do głowy, że życzyłabyś sobie, aby okazać mu pewne względy. A każdy z nas stara się być szczególnie uprzejmy wobec człowieka, który idzie na dno. – Zniżył głos, mówiąc do Margaret, obok której siedział, ale gdy tylko skończył, zerwał się na równe nogi, bo akurat w tym momencie wszedł pan Thornton. Pan Lennox pospieszył, by przedstawić go Edith i kapitanowi.

Margaret wykorzystała moment, gdy gość był zajęty powitaniem, by uważnie mu się przyjrzeć. Od czasu, gdy widziała go po raz ostatni, upłynął ponad rok, podczas którego zaszły wydarzenia bardzo dla niego istotne. Jego imponująca sylwetka wynosiła go ponad przeciętny wzrost, a postawę cechowała nie tylko dystynkcja, ale także ta charakterystyczna dla niego swoboda ruchu. Jego twarz wyglądała jednak na star-

szą i nosiła piętno przeżytych trosk, co tylko przydało mu szlachetności. To właśnie, razem z wrodzonym poczuciem godności i męską siłą, imponowało zwłaszcza tym ludziom, którzy słyszeli o jego kłopotach i upadku przędzalni. Już od pierwszego spojrzenia, którym powiódł po pokoju, miał świadomość obecności Margaret. Widział, z jakim wystudiowanym zainteresowaniem przysłuchiwała się słowom pana Henry'ego Lennox, i udało mu się całkowicie opanować, zanim zbliżył się do niej z powitaniem starego przyjaciela. Po jego pierwszych spokojnych słowach na jej policzki wypłynął gorący rumieniec i utrzymał się już do końca wieczoru. Zdawało się, że dziewczyna nie ma mu zbyt wiele do powiedzenia, rozczarowała go też obojętnością, z jaką zadawała mu nieliczne i ogólne pytania na temat dawnych znajomych w Milton. Potem pojawili się inni goście, zdecydowanie bardziej niż on zadomowieni, wycofał się więc z głównego kręgu osób i tylko od czasu do czasu zamieniał kilka słów z panem Lennoxem.

– Czy zauważył pan, jak korzystnie wygląda pana Hale? – spytał prawnik. – Moim zdaniem Milton zupełnie jej nie służyło, bo kiedy wróciła stamtąd do

Londynu, pomyślałem, że nigdy nie widziałem, aby ktokolwiek tak bardzo się zmienił. A dzisiaj, proszę spojrzeć. Po prostu promienieje. Poza tym bardzo się wzmocniła. Zeszłej jesieni męczył ją kilkumilowy spacer. A w ostatni piątek poszliśmy do Hampstead i z powrotem, i mimo to w sobotę była w tak doskonałej formie jak dzisiaj.

My! – pomyślał pan Thornton. To znaczy kto? Oni sami we dwójkę?

Pan Colthurst był bardzo inteligentnym człowiekiem i wybijającym się członkiem parlamentu. Miał bystre oko do wynajdywania ciekawych ludzi i już podczas obiadu jego uwagę przyciągnęła jakaś wypowiedź pana Thorntona. Spytał Edith, kim jest ten dżentelmen. Odpowiedziała mu i ku swemu zdumieniu z tonu, jakim pan Colthurst wykrzyknął: „Naprawdę?”, domyśliła się, że ten pan Thornton z Milton nie jest nikomu nieznaną figurą, jak sądziła. Jej przyjęcie rozwijało się zatem całkiem nieźle. Henry był w wyśmienitym nastroju i z upodobaniem prezentował to swoje ironiczno–zgrzyźliwe poczucie humoru. Pan Thornton i pan Colthurst znaleźli jeden czy dwa wspólne tematy –

przy stole zamienili tylko kilka zdań, zamierzając powrócić do poruszanych kwestii w bardziej stosownym momencie po kolacji. Margaret, przystrojona kwiatami granatu, wyglądała oszalamiająco, i mimo że siedziała w swym krześle jakby wycofana, prawie się nie odzywając, Edith nie miała jej tego za złe, bo rozmowa płynęła gładko i szeroko, nawet bez udziału kuzynki. Ona zaś nadal obserwowała twarz pana Thorntona.

Nigdy na nią nie patrzył, mogła więc swobodnie studiować jego rysy i analizować zmiany, jakie wyrył w nich ten czas, kiedy się nie widzieli. Tylko w chwili, gdy pan Lennox rzucił coś bardzo błyskotliwego, na twarzy pana Thorntona pojawił się ów dawny promień czystej radości: w oczach zabłysła wesołość, wargi się rozchyliły, jak zapowiedź szczęśliwego uśmiechu, i na tę jedną jedyną chwilę szukał jej wzrokiem, jakby chciał się z nią podzielić rozbawieniem. Ale gdy ich oczy się spotkały, wyraz jego twarzy od razu się zmienił. Ponownie stał się poważny i smutny, a potem zdecydowanie unikał nawet spoglądania w jej stronę.

Poza mieszkankami domu przy Harley Street w towarzystwie znajdowały się jeszcze tylko dwie damy,

które po kolacji w salonie pograżyły się w rozmowie z ciotką i Edith, Margaret mogła więc z czystym sumieniem zająć się swoją robótką. Potem dołączyli do nich panowie. Pan Colthurst i pan Thornton dyskutowali, natomiast pan Lennox zbliżył się do Margaret i powiedział cicho.

– Naprawdę uważam, że Edith jest mi winna podziękowanie za mój wkład w ożywienie jej dzisiejszego przyjęcia. Nie zdaje pani sobie sprawy, jakim przyjemnym i rozsądnym człowiekiem jest ten pani dzierżawca. To właśnie on podał Colthurstowi wszystkie fakty, których tamten potrzebuje. Nie potrafię pojąć, jak doszło do tego, że zniszczył swoje interesy.

– Z jego potencjałem i zdolnościami, i przy takich okolicznościach, panu by się powiodło – odpowiedziała.

Nie bardzo przypadł mu do gustu ton, jakim to wypowiedziała, choć same słowa wyrażały myśl, która jemu samemu przemknęła przez głowę. Przez chwilę milczał i wtedy wychwycili wznoszący się ton rozmowy, toczącej się tuż przy kominku między panem Thorntonem a panem Colthurstem.

– Zapewniam pana, że osobiście słyszałem, jak mówiono o tym z wielkim zainteresowaniem... choć może powinienem raczej powiedzieć: z wielką ciekawością co do rezultatów. Pana nazwisko często przy mnie wymieniano, kiedy przebywałem w sąsiedztwie. – Potem nie dosłyszeli kilku słów, a gdy ponownie byli w stanie je rozróżnić, pan Thornton mówił:

– Nie mam upodobania ani talentu do zdobywania popularności... i jeśli mówią o mnie w ten sposób, to są w błędzie. Powoli przystępuję do nowych projektów i z trudem zawieram nowe znajomości, nawet z tymi, których znać pragnę i z którymi chętnie nawiązałbym bliższe kontakty. A jednak mimo wszystkich kłopotów czułem, że tamta droga była właściwa i że nawiązując przyjaźń z jednym z nich, poznawałem wielu. Korzyści były obustronne, bo świadomie i nieświadomie uczyliśmy się od siebie nawzajem.

– Powiedział pan w czasie przeszłym „uczyliśmy”. Mam nadzieję, że zamierza pan nadal podążać w tym samym kierunku.

– Muszę zatrzymać Colthursta – pośpiesznie zdecydował Henry Lennox.

Niespodziewanie zwrócił się do obu panów z pytaniami na temat prowadzonej przez nich rozmowy, zręcznie jednak ją przekierowując, tak aby oszczędzić panu Thorntonowi kłopotliwej sytuacji, gdy musiałby się przyznać do swego niepowodzenia i obniżenia zajmowanej pozycji. Ale gdy tylko zaproponowany przez pana Lennox'a temat został wyczerpany, pan Thornton sam powrócił do poprzedniego i podjął go dokładnie w tym miejscu, gdzie został przerwany. Odpowiedział na pytanie pana Colthursta:

– Niestety, nie powiodło mi się prowadzenie przedsiębiorstwa i musiałem zrezygnować z roli właściciela. Szukam obecnie posady w Milton, ale zależy mi na tym, bym mógł pracować dla kogoś, kto pozwoli mi w pewnych sprawach, przede wszystkim w tych właśnie, podążać własną drogą. Oczywiście nie zamierzam bez zastanowienia wprowadzać w życie żadnych rewolucyjnych teorii. Chcę po prostu mieć możliwość utrzymywania kontaktu z pracownikami poza tym najprostszym łącznikiem, jakim są pieniądze wypłacane za wykonaną pracę. Być może to jest właśnie punkt, którego poszukiwał Archimedes, aby opierając się na

nim, poruszyć Ziemię. Tak przynajmniej można by sądzić z wagi, jaką przywiązują do tej kwestii niektórzy nasi przemysłowcy. Wystarczy, że wspomnę o jednym czy dwóch eksperymentach, które chciałbym wypróbować, a od razu z ubolewaniem kręcą głowami.

– Zauważyłem, że używa pan terminu „eksperyment” – odezwał się pan Colthurst, a w jego zachowaniu można było dostrzec jeszcze więcej szacunku niż poprzednio.

– Tak, ponieważ za takie je uważam. Nie jestem pewien, jakie by to przyniosło konsekwencje, ale jestem przekonany, że należy podjąć próbę. Doszedłem do wniosku, że same instytucje, choćby najmądrzejsze, najlepiej zorganizowane i działające, nie mogą spleść interesów tych dwóch grup społecznych, tak jak powinny być ze sobą powiązane, jeśli nie będzie temu towarzyszyło nawiązanie osobistych kontaktów między przedstawicielami obydwu warstw. W ludzkich relacjach zawiera się sedno życia. Robotnik nie może sobie przecież wyobrazić, jak wiele czasu spędził jego pracodawca w swym gabinecie, opracowując plany, które mają przynieść korzyści nie tylko jemu samemu, ale też jego

pracownikom. Plan wyłania się kompletny i jest niczym część maszyny, na pozór uwzględniający każdą okoliczność. A robotnicy przyjmują te projekty tak samo, jak przyjmują maszyny – nie biorą pod uwagę ciężkiej pracy umysłowej i prób przewidywania, niezbędnych, by doprowadzić nowe koncepcje do perfekcji. Mimo to jestem zwolennikiem takich projektów, których realizacja wymagałaby osobistego kontaktu. Z początku to by nie szło najlepiej, ale przy każdej kolejnej komplikacji liczba zainteresowanych by wzrastała, a w końcu wszyscy pragnęliby powodzenia całego przedsięwzięcia, bo wszyscy przecież brali udział w jego tworzeniu i wcielaniu w życie. A z pewnością taka idea straciłaby całą swoją vitalność i zmarła śmiercią naturalną, gdyby przestała być napędzana powszechnym interese. Tylko bowiem on niezmiennie sprawia, że ludzie znajdują środki i sposoby, by dostrzec innych, by poznać ich charaktery i usposobienia, a nawet nastroje czy sposób wypowiedzania się. Powinniśmy się lepiej rozumieć i zaryzykuję stwierdzenie, że powinniśmy także bardziej się lubić.

– I uważa pan, że to by zapobiegło ponownym strajkom?

– Niecałkowicie. Moje oczekiwania nie wykraczają poza nadzieję, że dzięki tym zaproponowanym działaniom strajki przestaną być gorzkim, pełnym jadu źródłem nienawiści, jak to miało miejsce do tej pory. Ktoś pełen nadziei mógłby sobie wyobrazić, że bliższe i bardziej przyjazne relacje między klasami zapobiegną strajkom. Ale ja nie jestem tak pełen nadziei.

Nagle, jakby uderzony nową myślą, podszedł do miejsca, gdzie siedziała Margaret, i rozpoczął bez żadnego wstępu, zupełnie jakby wiedział, że dziewczyna przysłuchiwała się tej rozmowie:

– Panno Hale, otrzymałem swego rodzaju petycję od niektórych moich robotników, wypisaną, jak mi się wydaje, pismem Higginsa, w której deklarują swoją chęć pracy dla mnie, jeśli kiedykolwiek znajdę się ponownie na stanowisku zatrudniającego. To dobrze, nie uważa pani?

– Tak, oczywiście. Bardzo się cieszę – przytaknęła, patrząc mu swymi wyrazistymi oczyma prosto w twarz, a później spuszczać je pod siłą jego wymownego spojrzenia.

Przyglądał jej się przez chwilę, jakby nie bardzo

wiedział, co ma dalej zrobić. A potem westchnął i dodał:

– Wiedziałem, że to się pani spodoba. – Odwrócił się od niej i już się do niej nie odezwał, poza bardzo oficjalnymi życzeniami dobrej nocy, gdy się rozstawali.

Gdy pan Lennox się żegnał, Margaret powiedziała do niego z rumieńcem, którego nie zdołała powstrzymać:

– Czy moglibyśmy porozmawiać jutro? Potrzebuję rady w sprawie... w pewnej sprawie.

– Oczywiście. Proszę tylko wyznaczyć godzinę. Nic nie sprawi mi większej przyjemności niż możliwość przysłużenia się pani. O jedenastej? Doskonale.

Oczy zajaśniały mu radością. Nareszcie nauczyła się, że powinna na nim polegać. Prawdopodobnie lada dzień zyska pewność, bez której, jak już dawno postanowił, nigdy więcej jej się nie oświadczy.

LII

„ROZPROSZCIE SIĘ, CHMURY”*

*W radości i żalu, w nadziei i strachu,
Teraz i na wieki,
W zgodzie i w sporze, w burzy i w pogodzie.*

Anonim

Następnego ranka Edith poruszała się na paluszkach i powstrzymywała małego Sholto od głośnego mówienia, jakby jakikolwiek mocniejszy dźwięk mógł zakłócić rozmowę, która odbywała się w salonie. Była już godzina druga, a oni nadal siedzieli za zamkniętymi drzwiami. Nagle usłyszała kroki mężczyzny schodzącego w dół i wyrzła z pokoju.

* Fragment pieśni *The Rape of Lucrece* Thomasa Heywooda.

– I cóż, Henry? – odezwała się, a cała wydawała się pytaniem.

– Nic – odpowiedział krótko.

– Zostań na lunchu!

– Nie, dziękuję, nie mogę. I tak straciłem tu już za dużo czasu.

– Do niczego więc nie doszło? – spytała przygnębiona Edith.

– Nie. Absolutnie nie. I nigdy do niczego nie dojdzie, jeśli myślimy o tym samym, a przypuszczam, że tak. To się nigdy nie wydarzy, Edith, więc lepiej przestań zawracać sobie tym głowę.

– Ale to by było takie dogodne dla nas wszystkich – błagała pani Lennox. – Czułabym się taka spokojna, wiesz, chodzi o dzieci, gdyby tylko Margaret urządziła się gdzieś w pobliżu. Teraz bowiem ciągle drzę, że ona wyjedzie do Kadyksu.

– Mogę ci obiecać, że jeśli się ożenię, to postaram się znaleźć młodą damę umiejacą zajmować się dziećmi. To wszystko, co mogę w tej sprawie zrobić. Panna Hale nie jest mną zainteresowana. A ja nie będę jej prosił.

– W takim razie o czym tyle czasu rozmawialiście?

– O tysiącu spraw, których byś nie rozumiała: o inwestycjach, aktach notarialnych i cenach nieruchomości.

– Możesz sobie iść, jeśli to wszystko. Skoro przez cały ten czas rozmawialiście tylko o takim nudziarstwie, to jesteście parą głupców.

– Doskonale. Przyjdę ponownie jutro i przyprowadzę ze sobą pana Thorntona. Porozmawiamy razem z twoją kuzynką.

– Pan Thornton! A co on ma z tym wspólnego?

– Jest dzierżawcą panny Hale – powiedział pan Lennox, odwracając się – i chciałby wycofać się z umowy.

– Och! Doskonale. Zresztą nie mów mi nic więcej o tym, bo ja i tak tego nie rozumiem.

– Jedyne, co powinnaś zrozumieć, to, że chciałbym, aby tylny salon był jutro również do naszej dyspozycji i żeby nikt nam nie przeszkadzał. Tak, jak tego dopilnowałaś dzisiaj. Bo zazwyczaj i służba, i dzieci kręcą się w tę i z powrotem, i nigdy nie udaje się niczego porządnie omówić. A ustalenia, które mamy jutro poczynić, są bardzo ważne.

Nie wiadomo, co sprawiło, że pan Lennox nie przyszedł następnego dnia na to spotkanie. Pan Thornton pojawił się o ustalonej porze i czekał prawie godzinę. Po upływie tego czasu Margaret uznała, że nie może kazać mu dłużej czekać, i weszła do salonu, bardzo blada i zdenerwowana. Zaczęła szybko mówić:

– Tak mi przykro, że nie ma tu pana Lennox. Przedstawiłby to panu o wiele lepiej niż ja. On jest moim doradcą w tym...

– Przykro mi, że przyszedłem i sprawiam pani kłopot. Czy powinienem pójść do kancelarii pana Lennox i spróbować go znaleźć?

– Nie, dziękuję. Chciałam panu powiedzieć, jak żałuję, że stracę w panu swego dzierzawcę. Ale pan Lennox twierdzi, że z pewnością wszystko się ułoży...

– Pan Lennox wie o tym niewiele – odpowiedział pan Thornton cichym głosem. – Szczęśliwy we wszystkim, co dla człowieka ważne, nie potrafi pojąć, co to znaczy odkryć, że już się nie jest młodym, kiedy los spycha nas z powrotem do punktu wyjścia. A tam potrzeba nadziei i energii młodości. Pan Lennox nie wie, co to znaczy czuć, że pół życia minęło, a nic się nie

osiągnęło, nic poza straconymi okazjami. I jedyne, co zostało, to świadomość tych straconych szans. Panno Hale, wolałbym raczej nie słyszeć opinii pana Lennox na temat moich spraw. Ci, którym sprzyja szczęście i powodzenie, mają skłonność do bagatelizowania nie-szczęść innych ludzi.

– Jest pan dla niego niesprawiedliwy – odezwała się miękko. – Pan Lennox wyraził tylko przekonanie, że jego zdaniem odzyska pan, a nawet więcej niż odzyska, to, co pan utracił. Proszę pozwolić mi skończyć. Bardzo proszę! – Próbując się zmobilizować i zebrać myśli, drżącymi dłońmi wertowała jakieś prawnicze dokumenty i stany kont. Po chwili pospiesznie ciągnęła: – Och, mam to nareszcie. A więc on... on zaproponował, abym... och, chciałabym, aby tu był i to wyjaśnił... Otóż on wykazał, że gdyby przyjął pan część moich pieniędzy, osiemnaście tysięcy pięćdziesiąt siedem funtów, które teraz po prostu leżą niewykorzystane w banku i przynoszą mi tylko dwa i pół procent, to mógłby mi pan płacić od tej kwoty znacznie wyższe odsetki i mógłby pan dalej kierować Marlborough Mills. – Głos miała znowu czysty i równy.

Pan Thornton się nie odezwał, a ona kontynuowała, szukając jednocześnie jakichś papierów, na których spisano propozycję zabezpieczenia. Zależało jej, aby ta sprawa wyglądała wyłącznie na wzajemny interes, z którego główne korzyści czerpałaby ona. W czasie gdy szukała dokumentu, jej serce biło w rytmie słów wypowiedzianych przez niego. A mówił głosem zachrypniętym, drżącym od czulej namiętności:

– Margaret!

Przez jedną chwilę patrzyła prosto na niego, lecz potem zdołała skryć swe świetliste oczy, opierając czoło na dłoniach. Podszedł jeszcze bliżej i błagalnie, z drżeniem i żarliwością wymówił ponownie jej imię:

– Margaret!

Jeszcze niżej opuściła głowę, jeszcze bardziej skryła twarz, prawie opierając ją na stole. Podszedł i uklęknął tuż przy niej, przysuwając twarz do jej ucha. Powiedział zdyszczanym szeptem:

– Uważaj... Jeśli mnie nie powstrzymasz... w swoim zadufaniu uznam, że do mnie należysz... Jeśli chcesz, bym odszedł, to odeślij mnie teraz, zaraz. Margaret!

Na to trzecie wezwanie zwróciła się do niego, ale nadal zasłaniała twarz drobnymi dłońmi. Położyła głowę na jego ramieniu. Jemu jednak wystarczało, że czuł jej miękkie policzek przy swoim i nie musiał nawet widzieć ani jej zarumienionych policzków, ani rozkochanych oczu. Przyciągnął ją bliżej. Oboje milczeli. W końcu wyszeptała łamiącym się głosem:

– Och panie Thornton. Nie jestem wystarczająco dobra.

– Niewystarczająco dobra! Nie kpij z mojego własnego głębokiego poczucia, że na ciebie nie zasługuję.

Po chwili delikatnie oderwał jej dłonie od twarzy i położył je tam, gdzie już raz były ułożone, gdy zamierzała ochronić go przed tłumem w czasie zamieszek.

– Pamiętasz, kochana? – wymruczał. – A pamiętasz, jak ci się moją zuchwałością odpłaciłem następnego dnia?

– Pamiętam, jakie okropne rzeczy powiedziałam. To wszystko.

– Spójrz tutaj! Unieś głowę. Muszę ci coś pokazać! – Powoli uniosła twarz rozjaśnioną uroczym zawstydzeniem. – Znasz te róże? – spytał, wyciągając swój portfel, w którym skrywał kilka zwiędłych kwiatów.

– Nie! – odpowiedziała z niewinnym zaciekawieniem. – Czy to ja je panu ofiarowałam?

– Nie! Próżności, nie! Nie ty mi je ofiarowałaś. Ale prawdopodobnie przystrajałaś się ich siostrami.

Spojrzała na nie, przez chwilę coś rozważała, aż nagle lekko się uśmiechnęła i powiedziała:

– One są z Helstone, prawda? Pamiętam te głębokie wcięcia na obwodzie liści. Och! Naprawdę był pan tam? Kiedy?

– Chciałem zobaczyć miejsce, gdzie Margaret dostała, gdzie stała się tym, kim jest. Pragnąłem tego nawet w najgorszych chwilach, gdy nie miałem nadziei, że kiedykolwiek będę mógł nazwać ją swoją. Byłem tam w drodze powrotnej z Hawru.

– Musi mi je pan dać – stwierdziła, próbując delikatnie zmusić go do puszczenia kwiatów.

– Doskonale. Tylko ty mi za nie zapłać.

– Ale jak ja mam o tym powiedzieć ciotce Shaw? – wyszeptwała po pierwszych chwilach rozkosznego milczenia.

– Ja mogę z nią porozmawiać.

– Och, nie. Jestem jej to winna. Ale co ona powie?

– Zgaduję, że najpierw wykrzyknie: „Ten człowiek?!”

– Sza! – uciszyła go Margaret. – W przeciwnym razie będę musiała zademonstrować oburzony ton, z jakim pani Thornton zawoła: „Ta kobieta?!”



@Created by PDF to ePub

